

POSZUKIWACZE

LUIS

MONTERO

MANGLANO

ŁAŃCUCH PROROKA



REBIS

Tytuł oryginału: *La cadena del profeta*

Copyright © 2015, Luis Montero Manglano

Copyright © 2015, Penguin Random House Grupo Editorial S.A.U.

All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2016

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Agnieszka Horzowska

Projekt i opracowanie graficzne serii oraz okładki: Paweł Panczakiewicz / PANCZAKIEWICZ.ART.DESIGN –
www.panczakiewicz.pl

Fotografie na okładce

© Grant Murray / Arcangel

© Richard Peterson / Shutterstock.com

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Łańcuch Proroka*, wyd. I, Poznań 2016)

ISBN 978-83-8062-756-7

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**

POSZUKIWACZE

LUIS
MONTERO
MANGLANO

ŁAŃCUCH
PROROKA

PRZEŁOŻYŁY

Katarzyna Okrasko
Agata Ostrowska



*Dla Marty.
Dziękuję, że czytasz je wszystkie.*

Pod Łukiem Życia, gdzie miłość i śmierć,
Strach i tajemnica strzegą jej schronienia, ujrzałem
Piękno na tronie.

DANTE GABRIEL ROSSETTI

Tylko tajemnica trzyma nas przy życiu. Tylko tajemnica.

FEDERICO GARCÍA LORCA



OD AUTORA

Dla ułatwienia załączam kalendarium najważniejszych wydarzeń, jakie rozegrały się w Mali od początku historii państwa aż do dziś.

VIII w.: lud Soninke buduje imperium Ghany.

1087 r.: podbój Ghany i rozpad na dwanaście mniejszych państweczek.

1234 r.: bitwa pod Kiriną. Sundiata Keita (Książę Lew) doprowadza do ponownego zjednoczenia dwunastu państw i ogłasza się królem królów (*mansa*) imperium Mali. Wywodzi się z grupy etnicznej Mande.

1312 r.: koronacja Mansy Musy na władcę Mali. Jego panowanie przypadło na okres największej potęgi i splendoru imperium. Musa I szerzył islam na podległych sobie ziemiach, wysyłał okręty na wyprawy po Atlantyku, wspierał handel i kulturę oraz przyczyniał się do rozwoju najważniejszych miast imperium.

1327 r.: rozpoczęcie budowy wielkiego meczetu Dżingereber, perły architektury malijskiej, przez andaluzyjskiego architekta Abu Iszaka Es-Sahelego.

XV w.: uciekając przed tuareskimi łowcami niewolników, Dogoni osiedlają się w okolicach uskoku Bandiagara dzięki pomocy autochtonicznego plemienia Pigmejów zwanego Tellem.

1464 r.: Sunni Ali, songhajski książę z Gao, proklamuje niepodległość swojego kraju od władców Mali.

1492 r.: songhajski generał Mohammed Ture nadaje sobie tytuł „Askia” („Zdobywca”). Wyrusza z Gao, stolicy królestwa, na serię wypraw wojennych, która zakończy się niemal całkowitym podbojem imperium Mali.

1496 r.: Askia Mohammed I Wielki ogłasza się kalifem i zakłada imperium Songhaju, największe państwo Afryki Zachodniej.

1591 r.: bitwa pod Tondibi. Diego de Guevara, znany jako Dżaudar Pasza, rozbija wielką armię Iszaka II, ostatniego władcy z dynastii Askia, i zdobywa imperium Songhaju. Po jego śmierci imperium rozpada się na mnóstwo małych państweczek, które kolejno zajmują dominującą pozycję w regionie.

1885 r.: generał Joseph Gallieni podbija Mali i ogłasza państwo kolonią francuską.

1960 r.: proklamacja niepodległej Republiki Mali.

2012 r.: Tuaregowie z Narodowego Ruchu Wyzwolenia Azawadu, w sojuszu z islamistami z Ansar ad-Din, wszczynają rebelię przeciwko rządowi Amadou Toumaniego Tourégo. Prezydent podaje się do dymisji, kiedy rebelianci przejmują kontrolę nad połową kraju.

2014 r.: za zgodą ONZ i na wniosek rządu Mali Francja rozpoczyna operację Serwal mającą powstrzymać fundamentalistów islamskich.

Mój ojciec był dobrym narratorem. Potrafił tak poprowadzić opowieść, żeby wciągnąć słuchacza, nie znudzić go i nie pozwolić mu zgubić wątku.

Niestety, za życia zdążył opowiedzieć mi tylko jedną historię: o królu, czarownicy i stole mającym boskie moce. I nawet tej opowieści nie zdołał doprowadzić do końca – sam musiałem dopisać zakończenie.

To też niezła historia i mógłbym ci ją opowiedzieć, ale znam lepszą.

Chciałbym opowiedzieć ją tak, jak zrobiłby to mój ojciec. Może gdyby było nam dane spędzić razem więcej czasu, nauczyłby mnie wszystkich narratorskich sztuczek. Zniknął jednak z mojego życia zbyt wcześnie, z niezależnych od siebie powodów. Ta historia również jest ciekawa.

Ale, jak już wspominałem, znam lepszą...

Opowiem ci o imperiach i zdobyciach.

Mógłbym zacząć moją opowieść od jakiegoś mocnego, wymownego obrazu, od opisu ognistych muz czy zastępów nieśmiertelnych dusz. Ja jednak wolę użyć własnych słów – tej historii nie trzeba dodatkowo upiększać.

Na początku była rodzina Guevarów – mauryjski ród z Toledo, tak stary, że kiedy Wizygoci pojawili się na Półwyspie Iberyjskim, Guevarowie postrzegali ich jako obcych przybyszów. Niewiele więcej o nich wiadomo, prócz tego, że z czasem postanowili przejść na islam, a także że około XV wieku otrzymali – w ramach podziękowania za gościnę – pewną księgę od sędziego zwanego Al-Kuti, który uciekał przed Inkwizycją z Toledo do Afryki Północnej.

Gdyby to mój ojciec opowiadał tę historię, w tej chwili na pewno bym mu przerwał i zapytał o tytuł tej książki. On zaś spojrzalby na mnie z szelmowskim uśmiechem na ustach i odpowiedziałby jak zwykle:

– Chciałbyś to wiedzieć? Pewnie, mógłbym ci powiedzieć, ale znam lepszą historię.

Niektóre wady są chyba dziedziczne. Największą przywarą ojca była skłonność do zdradzania informacji dopiero wtedy, kiedy sam uznał, że przyszedł na to czas, kiedy jego zdaniem najbardziej pasowały do opowieści i mogły uczynić ją bardziej efektowną.

Guevarowie zachowali cenną księgę i związaną z nią tajemnicę – którą powierzył im Al-Kuti – przez kolejne sto lat. Przekazywali je z pokolenia na pokolenie, aż w XVI wieku jeden z potomków rodu, niejaki Diego, poznał opowieść o księdze z ust starszych członków rodziny. Już jako dorosły mężczyzna Diego zapisał na marginesach kodeksu to, co usłyszał w dzieciństwie.

„Opowiadali o wielkim sekrecie”, pisał, „tak wielkim, że nikt nie potrafił w pełni uchwycić jego natury. Chodziło o jakiś skarb, ale jednocześnie o znacznie więcej. Nienazwane dziedzictwo strzeżone przez imperatorów, w samym sercu ziem zajmowanych przez naszych braci w wierze”.

Kiedy mały Diego, zżerany ciekawością, zadawał dorosłym pytania, ci odpowiadali mu enigmatycznie – może dlatego, że sami nie znali bliższych szczegółów. O jakim skarbie była mowa? Nie wiedzieli. Gdzie się znajdował? Daleko. Na południu, na końcu długiej drogi zwanej przez nich Łańcuchem Proroka. Tym prorokiem był Musa, chrześcijanom –

niewiernym kanibalom żądnym krwi i mięsa – znany jako Mojżesz. Droga Musy biegła aż za wielką rzekę zwaną Isa Ber czy też Egerew n-igerewen. Co leżało na jej końcu? Tą wiedzą dysponowali wyłącznie Mojżesz i Allah.

Tajemnica imperatorów.

Diego de Guevara w młodości słuchał tych fascynujących legend. Potrafił godzinami czytać księgę Al-Kutiego, szukając między wierszami mapy nienazwanego skarbu – tylko od jego wyobraźni zależało, jak wspaniały mu się wydawał. Często w zamyśleniu wpatrywał się w kierunku południowym, rozmyślając o wielkich rzekach i odległych imperiach. „To tam – myślał – zaczyna się Łańcuch Proroka, u podnóża świata”. Choć nie wiedział, co znajduje się u kresu drogi ani czy Łańcuch Proroka istnieje w rzeczywistości, czy stanowi tylko abstrakcyjną ideę, czuł przemożną potrzebę, by wyruszyć na poszukiwania. Z czasem zaczął pragnąć tego bardziej niż samego skarbu.

Diego de Guevara miał duszę Poszukiwacza. Można go uznać za pierwszego z nas.

Po powstaniu Maurów w 1568 roku Guevarowie opuścili Kastylię i wyjechali do Almerii. Za rządów Filipa II Hiszpania stała się miejscem dla nich nieprzyjaznym. Jak wielu innych Maurów, młody Diego de Guevara wylądował w Marrakeszu – tamtejszy sułtan Abd al-Malik z otwartymi ramionami przyjmował braci w wierze prześladowanych przez bezlitosnych Habsburgów.

Mimo życia na uchodźstwie Diego zdobył gruntowne wykształcenie. Wyrósł na odważnego i sprytnego mężczyznę, równie biegle władającego piórem, jak mieczem, ambitnego i żądnego przygód. Choć mieszkańcy Maghrebu zwykli gardzić przybyszami z Hiszpanii, Diego szybko udowodnił swoją wartość i dzięki bohaterskiej postawie zapracował na szacunek nowych krajanów.

W roku 1578 do brzegów Maroka przybiła potężna armia Portugalii z królem Sebastianem I na czele. Młody, chorowity monarcha cierpiał na megalomanię, którą podsycali jeszcze jego jezuicki nauczyciele. Uważał się za przywódcę wielkiej krucjaty przeciwko mauretańskim muzułmanom. Podzielone Maroko, gdzie toczyły się wówczas walki pomiędzy pretendentami do tronu królestwa, stanowiło łakomy kąsek dla spragnionego podbojów władcy Portugalii.

Maurowie i chrześcijanie starli się pod Al-Kasr al-Kabir w bitwie trzech królów – dwóch sułtanów i portugalskiego monarchy. Walczył w niej również nieustraszony Diego de Guevara, gotów przelać portugalską krew swoim bułatem; ten Kastylijczyk z dziada pradziada bardziej niż niewiernych nienawidził bowiem wyłącznie Portugalczyków.

Żadnemu z trzech władców nie było dane dożyć końca bitwy. Po młodym Sebastianie słuch zaginął: zdematerializował się gdzieś pomiędzy wydmami, na skutek czego nastąpił koniec dynastii i upadek monarchii. Pusty tron został z czasem zajęty przez Filipa II, co uczyniło z Portugalii klejnot w koronie habsburskiej. Diego jednak nie tylko przeżył, lecz także okrył się chwałą. Ahmad I, nowy sułtan Maroka, w nagrodę za męstwo mianował go kaidem Marrakeszu.

Dobry sułtan Ahmad, zapewne zachęcony zwycięstwem w bitwie pod Al-Kasr al-Kabir, zaczął spoglądać w stronę ziem sąsiadujących od południa z jego królestwem i zdecydował potraktować je jako punkt wyjścia do budowy swojego afrykańskiego imperium. Ahmad słyszał o położonych za górami Atlas wspaniałych miastach, bogatych w złoto i sól. To tam

znajdowało się Timbuktu, wrota Sahary. Jak mówiło stare przysłowie, „złoto pochodzi z południa, sól – z północy, ale najwspanialsze cuda i słowo Boże znaleźć można tylko w Timbuktu”. Jeszcze dalej leżało miasto Gao, stolica imperium Songhaju, z pałacem władców z dynastii Askia, skąd panowali oni nad najrozleglejszym państwem Afryki Zachodniej.

Żyzne i tajemnicze ziemie Mali rozciągały się wzdłuż brzegów Wielkiej Rzeki, w Songhaju zwanej Isa Ber, przez Tuaregów zaś – Egerew n-igerewen, co w ich języku oznacza „rzekę nad rzekami”.

To rzeka Niger.

Kiedy Diego de Guevara dowiedział się o niej, owładnęły nim trudne do opisanie emocje. Jego umysł aż kipiał od legend poznanych jeszcze w Kastylji, a wspomnienia płynęły falą podobną do gorącej lawy na skraju wulkanu. Nareszcie, po tylu latach, dowiedział się, gdzie znaleźć Łańcuch Proroka, drogę Musy do wielkiego skarbu!

Diego poprosił, by pozwolono mu stanąć na czele armii wysyłanej przez sultana Ahmada na podbój imperium Songhaju, złożonej z 2,5 tysiąca arkebuzerów, 1,5 tysiąca jeźdźców lekkiej kawalerii, ponad 8 tysięcy wielbłądów, a nawet 8 angielskich armat... Na wyprawę zabrał jedynie starą księgę, w której mowa o ukrytym skarbie.

Imperator Askia Iszak II wystawił przeciwko Diegowi de Guevarze całą swoją armię. Władca jednak trochę przesadził – 70 tysięcy dzielnych Malijczyków czekało na marokańskiego najeźdźcę pod Tondibi, wioską nieopodal Gao. Najbardziej ostentacyjna zasadzka w historii. Iszak II miał malowniczą wizję stratowania wrogiej armii przez woły – taka strategia nieraz już mu się przysłużyła.

Kiedy Diego dotarł do Tondibi i zobaczył zwarty mur bestii wrywających się ku jego armii, w jego twarzy nie drgnął nawet mięsień – żaden mężczyzna, w którego żyłach płynie iberyjska krew, nie stchórzył jeszcze przed rogatym zwierzęciem. Diego odpalił armaty i nakazał arkebuzerom strzelać. Byki – przerażone niebem walącym się im na głowy – zrobiły w tył zwrot i natarły na songhajskich żołnierzy. Imperator, który nie dysponował bronią palną, mógł tylko patrzeć, jak jego wojska są dziesiątkowane i miażdżone przez tysiące racic. Od tamtej pory podbój imperium przypominał raczej paradę wojskową.

Wielu arkebuzerów pochodziło z Andaluzji, a ich nazwiska, jak Pérez, López czy Martínez, brzmiały w tych stronach egzotycznie. Przerażeni Malijczycy na widok żołnierzy z bronią gotową do strzału wskazywali na diabelskie narzędzia i krzyczeli *arma, arma*, czyli „broń”, bo tak nazywali arkebuzy sami Hiszpanie. Z czasem potomkowie Andaluzyjczyków zyskali przydomek Arma i do dziś pod takim mianem znani są w regionie.

I tak Diego de Guevara podbił całe imperium i został władcą legendarnego Timbuktu, miasta cudów i słowa Bożego. Sultan Maroka przyznał temu Hiszpanowi tytuł paszy, wrogowie zaś nadali mu przydomek Dżaudar. Miał on pochodzić od brzmiącego dość podobnie hiszpańskiego zwrotu, którym zdobywca zwykł zagrzewać swoje wojska przed każdą bitwą.

– Naprzód, dziady! Naprzód, do boju!

Nigdy jeszcze na podstawie tak potocznego, nieco obraźliwego słowa nie ukuto przydomka, na którego dźwięk wszyscy drżeli. Wystarczyło wspomnieć o Dżaudarze Paszy,

by wzbudzić popłoch wśród wrogów.

Na krótko przed tymi wydarzeniami Hernán Cortés zajął imperium azteckie, a Francisco Pizarro podbił Inków – dzieci Słońca. Dżaudar Pasza, pilny uczeń obu konkwistadorów, również marzył o podboju świata – w jego żyłach płynęła w końcu ta sama hiszpańska krew, a kastylijski był jego pierwszym językiem. Oddawali jednak cześć różnym bogom i władcom (Cortés i Pizarro królowi Hiszpanii, Dżaudar – sułtanowi Maroka), więc różnie też potraktowała ich historia: konkwistadorzy wsławili się na całym świecie, a wieść o dokonaniach paszy nigdy nie wyszła poza granice Sahary i przepadła w mrokach zapomnienia.

Nie zależało mu jednak na nieśmiertelności: dla Diega de Guevary liczyło się tylko odnalezienie skarbu ukrytego na końcu Łańcucha Proroka. Już jako pasza imperium Songhaju Diego poświęcił wszystkie siły na doprowadzenie poszukiwań do końca.

Po wielu latach, około 1599 roku, stary Dżaudar Pasza wrócił do Maroka. Na dworze sułtana spisał wspomnienia z podboju Songhaju, na marginesach księgi, która była jego nieodłączną przewodniczką we wszystkich przygodach. Pamiętniki spisał w języku podbitego imperium.

O skarbie pisze jednak irytująco mało, a czasem zdaje się wręcz bredzić:

Podążałem wzdłuż rzeki Niger, śladem Złotej Ryby, od Timbaktu aż do Miasta Umarłych, od Miasta Umarłych do Nieprzemijalnej Oazy. Znalazłem tam skarby, które otworzą drzwi tajemnicy: Ster, Czaszkę i Cegłę ze złota. Wreszcie miałem szansę zakończyć misję poszukiwawczą, która doprowadziła do podboju imperium.

Na własne oczy widziałem próg, ale Allah sprawił, że nie dane mi było go przekroczyć. Strzegą go dżinny, istoty straszniejsze nawet od tych stworzonych z ognia bez dymu na początku czasu. Mieszkańcy Stromej Oazy nigdy nie przekraczają granic Nieprzemijalnej Oazy – paraliżuje ich strach przed dziwnym, starożytnym i okrutnym kultem. Ogarnął mnie lęk i zawróciłem z drogi, bo nieważne, jaki skarb kryłby się na końcu Łańcucha Proroka, nie jest on przeznaczony dla ludzi.

Zatrzymałem mapy i znaleziska. Jako że Allah nie obdarzył mnie potomstwem, każę umieścić je w miejscu mojego wiecznego spoczynku w Timbaktu. Może któregoś dnia ktoś bardziej ode mnie odważny (lub lekkomyślny) odważy się spojrzeć na skarb proroka Musy.

Tam znajdują się wszystkie wskazówki dla tych, którzy chcą zdobyć ów skarb. Niech Allah ma ich w opiece, a Jego Wszechwładna Dłoń niech ich prowadzi; w przeciwnym razie bowiem czeka ich jedynie zguba i los gorszy nawet niż Dżahannam – piekielne jezioro ognia.

Tak brzmiały ostatnie zapiski Dżaudara Paszy w księdze Al-Kutiego. Zdobywca zmarł w Marrakeszu w roku 1605. Zgodnie z testamentem miał zostać pochowany w Timbaktu wraz z całym dobytkiem. Nikt jednak nie wie, czy jego ostatnia wola została spełniona.

Kiedy zabrakło Dżaudara Paszy, Armowie rozpiechli się po całym Mali, tworząc społeczności mocno oparte na hiszpańskich korzeniach. Choć przejęli miejscowy język i zwyczaje, kultywowali tradycje, aby nie zapomnieć, skąd pochodzą i co ich tu przygnało. Być może wśród ich wspomnień są i tajemnice, które Dżaudar Pasza zabrał ze sobą do grobu.

Opowieść o starej księdze i skarbie ukrytym u ujścia wielkiej rzeki, w ślad za Złotą Rybą.

Opowieść, której zakończenie akurat dobrze znam. Byłem tam, a mój ojciec w pewnym sensie był razem ze mną.

Chcesz poznać tę historię?

Zapewniam, że jest niezła.

CZEŚĆ PIERWSZA

MARDUD Z SEWILLI

Firaun był panem całego Egiptu, kiedy Allah wezwał proroka Musę i wręczył mu księgę. Wyzначył mu do pomocy brata Haruma i przykazał: „Idź do ludzi, którzy nie uznają Prawdy naszych Znaków, i przemów do nich”. Musę ogarnął niepokój, gdyż nie uważał się za wystarczająco mądrego i zdolnego, by uczynić zadość woli Allacha.

Musa zapytał więc: „Jak mam głosić Twoją prawdę, skoro sam jestem ignorantem, który nie rozumie jej w całej chwale?”. Allah odparł: „Ześlę na ciebie mądrość i zrozumienie”.

Następnie Allah polecił Musie: „Udasz się w podróż za granicę kraju Firauna, szlakiem Złotej Ryby, aż do miejsca, gdzie krzyżują się dwie wielkie wody. Podążaj za Złotą Rybą aż do jaskini Zielonego Proroka, gdzie mój sługa, którego nazywam przyjacielem, a na jego szyi zawiesiłem złoty łańcuch, wyjawi ci prawdę. To właśnie ci nakazuję”.

Musa rzekł Harumowi: „Nie spocznę, póki nie odnajdę miejsca, w którym spotykają się dwie wody, choćby miało mi to zająć całe lata”. I ruszyli w ślad za Złotą Rybą, która doprowadziła ich do celu. Kiedy tam dotarli, zapomnieli o Rybie, a ta spokojnie popłynęła dalej do morza.

Musa powiedział wtedy Harumowi: „Widzisz, co się stało? Demon sprawił, że zapomniałem o Złotej Rybie. Idź za nią, bez niej nie znajdziemy Zielonego Proroka”. Harum usłuchał brata i zostawił go samego, bo taka była wola Allacha.

Wówczas Musa wszedł odpocząć do jaskini i znalazł w niej Naszego Sługę, którego w swoim miłosierdziu uczyniliśmy powiernikiem Naszej Mądrości, Khidra, nazywanego również Zielonym Prorokiem.

Musa rzekł mu: „Czy mam pójść za tobą, byś nauczył mnie mądrości Allacha?”. A tamten odparł: „Nie wystarczy ci na to cierpliwości”.

Musa powiedział: „Będę cierpliwy, jeśli Allah tego chce, nie sprzeciwię się twoim rozkazom”. Prorok odparł: „Pójdź więc za mną. Ale nie wolno ci o nic pytać, chyba że sam ci na to pozwolę”.

I Musa poszedł za nim.

WŁAMYWACZE

Wszystkie muzea mają swoje duchy. Każdy, kto miał sposobność zostać w którymś z nich w nocy, kiedy jego sale opuścili ostatni zwiedzający, miał okazję przekonać się o tym na własnej skórze.

Tamtej nocy to ja zostałem duchem Narodowego Muzeum Archeologicznego.

Nie jest łatwo być duchem. Przede wszystkim trzeba mieć dużo cierpliwości, wystarczająco dużo, by poczekać, aż ostatni gość opuści mury muzeum, zgaśnie ostatnie światło, a korytarze zaludnią niezliczone cienie. Dopiero w tym momencie duch zaczyna swoją robotę.

Podobieństw między widmem a Kawalerem Poszukiwaczem – jak lubił nas nazywać Narváez – jest wiele: w obu przypadkach trzeba być cichym i niewidzialnym, balansować na cienkiej granicy oddzielającej rzeczywistość od fikcji. Istnieje jednak zasadnicza różnica: duchy nie kradną. Wystarczy im, że przestraszą kogoś od czasu do czasu. A Poszukiwacz musi umieć kraść, by udowodnić swoją skuteczność.

I właśnie do tego przygotowywałem się w tej chwili.

Miałem obrabować Narodowe Muzeum Archeologiczne po raz pierwszy w życiu. Dotychczas kradłem zupełnie gdzie indziej, żeby zapełnić gabloty tego właśnie miejsca.

Poszukiwacz ucieka się do kradzieży, by odzyskać nasze dziedzictwo. Może i okrywa go blask chwalebnej legendy i dostaje pensję z budżetu państwa, ale i tak w ostatecznym rozrachunku jest złodziejem. Nasza praca polega na odzyskiwaniu dziedzictwa kulturowego, które zostało wywiezione z Hiszpanii, i przywracaniu go prawowitemu właścicielowi. Kiedy wyczerpują się sposoby zgodne z prawem, pojawiają się my (niespodziewanie jak duchy), by odstawić z powrotem do domu to, co nigdy nie powinno go było opuścić.

Podejrzewam jednak, że skoro to czytacie, wielu z was doskonale wie, o czym mówię.

Nasza główna siedziba, zwana Piwnicą, znajdowała się w podziemiach Narodowego Muzeum Archeologicznego w Madrycie – w pewnym sensie to muzeum jest naszym domem. W tej chwili miałem obrabować własny dom. Interesujący zwrot akcji.

Od mniej więcej tygodnia planowałem tę kradzież. Miejsce zdarzenia znałem jak własną kieszeń i nie spodziewałem się większych komplikacji.

Powszechnie uważa się, że okradanie muzeum musi być bardzo trudne. Tak naprawdę zabezpieczenia muzealne są pomyślane raczej po to, by odstraszyć potencjalnego złoczyńcę, niż rzeczywiście uniemożliwić mu działanie. Do podobnych sztuczek uciekali się egipscy faraonowie: umieszczali w grobowcach złowieszcze klątwy, by odstraszyć potencjalnych łupieżców. Dziś nie wierzymy już w klątwy, przerażają nas jednak kamery nadzoru i szyby sprawiające wrażenie niezniszczalnych.

Szybę można stłuc. Kamery nadzoru da się unieszkodliwić, przecinając jeden kabel,

a zresztą i tak są bezużyteczne, jeśli nikt nie śledzi ich obrazu. Jednym słowem, jeżeli dziś systematycznie nie okrada się wszystkich muzeów świata, to dzieje się tak tylko dlatego, że potencjalni złodzieje są przekonani, iż nie sposób ich obrabować. Na tym przekonaniu bazuje większość systemów zabezpieczeń.

Działają jak klątwy faraonów. Nic poza tym.

Nauczyłem się tego, będąc Poszukiwaczem. Nauczyłem się też kilku innych sztuczek.

Schowałem się w pomieszczeniu technicznym, w szparze podwieszanego sufitu, i miałem tam zaczekać, aż muzeum zamknie swe podwoje. Sprawa wydawała się banalna. Nie było mi zbyt wygodnie, ale byłem do takich niewygód przyzwyczajony. Kiedy nadszedł właściwy moment, wypełzłem z kryjówki i udałem się na umówione miejsce. Tam, przyczaiwszy się za rogiem, wypatrzyłem w ciemnościach kurtkę munduru stróża. Sam odwiesiłem ją w tym miejscu, zanim udałem się do kryjówki.

Kurtka była autentycznym strojem stróżów obowiązującym w prywatnej firmie ochroniarskiej, z której usług korzystało muzeum, i razem z czarnymi spodniami sprawiała, że wyglądałem zupełnie jak prawdziwy pracownik ochrony.

Muszę przyznać, że mam słabość do przebieranek.

W tym stroju udałem się do korytarza wejściowego, a stamtąd schodami na drugie piętro. Nie spotkałem po drodze nikogo, nikt nie zwrócił uwagi na moją obecność. Kamery nadzoru pozostawiały tyle martwych pól, że więcej znaleźć można chyba tylko na cmentarzu. Postanowiłem z tego skorzystać.

W ciemnościach nocy muzeum aż roiło się od cieni. Posągi, maski, sfinksy drżały na ścianach i podłogach.

W pustym muzeum wszystko wydaje się żyć.

Szedłem dalej i by nie czuć na sobie wzroku tylu par starożytnych oczu, zacząłem wyobrażać sobie ochroniarza śledzącego obraz z kamer. Człowiek znudzony swoją pracą, przywykły, że przebiega ona bez większych zakłóceń, jest tak przyzwyczajony do monotonnej rutyny stróżowania, że nie wzbudza w nim ona nawet najmniejszych emocji. Czasem odrywa wzrok od gazety, może powieści, a może kolejnego odcinka *Breaking Bad*, by spojrzeć na monitor. I dopóki nie zobaczy, że w którejś sali wybuchł pożar albo jakiś inny kataklizm, jego spojrzenie nie zagości na ekranie dłużej niż na ułamek sekundy.

I co na nim napotka? Postać ubraną w regulaminowy mundurek, czyli kolegę na zwyczajowym obchodzie. Potem pomyśli, że wszystko idzie jak zwykle (monotonia, nuda, dzień jak co dzień), i będzie się dalej przyglądał kolejnym perypetiom Waltera White'a.

Tymczasem prawdziwy ochroniarz patrolujący strefę, w której się znajdowałem, szedł kilka metrów i kilka minut za mną. Była to tylko kwestia odpowiedniej koordynacji: ten stróż robił obchód dokładnie co czterdzieści pięć minut, wystarczyło wyruszyć pięć minut przed nim.

„To nie może być takie proste”, pomyślicie. I dobrze, taki sposób myślenia ułatwia pracę nam, Poszukiwaczom.

Dotarłem na drugie piętro i skręciłem w lewo. Przeszedłem przez korytarz, na którego ścianach wyłożono historię muzeum, i znalazłem się w strefie poświęconej Egiptowi i Bliskiemu Wschodowi. Tam znajdowało się dzieło sztuki, które zamierzałem zwinąć.

Operacja miała być prosta, bo eksponat nie zaliczał się do tych najważniejszych.

Wybrałem go właśnie ze względu na ten szczegół. Oczywiście kradzież Skarbu z Alisedy czy Piksydy mistrza z Zamory wymagałaby o wiele bardziej skomplikowanego planu. Na szczęście ich nie potrzebowałem.

W dziale poświęconym sztuce starożytnego Egiptu, za rekonstrukcją komory grobowej z czasów XXI Dynastii, znajdowała się witryna, w której wyeksponowano liczne uszebti. Tajemnicze słowo oznacza „tych, którzy odpowiadają”. To małe figurki, które chowano razem z mumiami. Egipcjanie wierzyli, że w zaświatach uszebti zmieni się w sługę, który będzie towarzyszył zmarłemu przez całą wieczność.

Miałem zamiar gwizdnąć uszebti Horemheba – figurkę z białego fajansu przedstawiającą faraona w peruce i ze spiczastą brodą. Władca miał skrzyżowane na piersi ręce, a jego ciało pokrywały hieroglify. Pochodziła z siódmego wieku p.n.e. Był to piękny, cenny, a przede wszystkim łatwy do ukrycia eksponat – figurka miała piętnaście centymetrów wysokości i grubość gałęzi.

Posążek Horemheba stał w swojej witrynce z żelaza i szkła, w otoczeniu innych uszebti. Wszystkie zdawały się niecierpliwie czekać, niczym oddział kamerdynerów, na rozkazy swojego pana.

Według innego powszechnie panującego przekonania muzealne witryny zrobione są z hartowanego, nietłukącego się szkła. Takie materiały są w rzeczywistości bardzo drogie i wykorzystuje się je do ochrony najcenniejszych eksponatów. Żadne muzeum nie wyda fortuny (niewiele z nich może się pochwalić nadmiarem środków) na ochronę zwykłej kolekcji uszebti – to oczywiście ciekawe dzieła sztuki, ale setki podobnych figurek zasilają zbiory muzeów całego świata. W Egipcie są ich tysiące. Co sprytniejszy turysta może kupić w Kairze autentyczne uszebti, oczywiście za odpowiednio wysoką kwotę. Starożytni Egipcjanie produkowali je w ilościach niemal hurtowych.

Mogłem wybrać sobie inne dzieło sztuki o podobnych cechach, w tym muzeum miałem w czym wybierać. Ale w głębi duszy jestem sentymentalny. Zawsze interesowała mnie kultura starożytnego Egiptu. W dzieciństwie tyle razy oglądałem Borisa Karloffa w *Mumii*, że znałem dialogi z filmu na pamięć. Jako nastolatek wpadłem na pomysł, że nauczę się sam z książek pisma hieroglificznego. Oczywiście zapal okazał się słomiany, ale udało mi się zrobić wrażenie na kilku dziewczynach, kiedy zapisałem hieroglifami ich imiona (niestety wrażenie nie było tak wielkie, jak bym sobie tego życzył). Podczas studiów myślałem o wyspecjalizowaniu się w sztuce świata faraonów, ale przytłaczający wpływ matki skłonił mnie do zwrotu w stronę mediewistyki. A jednak w moim sercu pozostał ciepły kącik dla świata Nilu i piramid.

Stałem przed witryną, plecami do mumii kapłana Nespamedu. Przez chwilę poczułem się jak odkrywca z czasów belle époque. Miałem nadzieję, że nie wzbudzę gniewu Imhotepa i całej jego świty znudzonych bogów.

Musiałem działać szybko. Zwykłym nożem do szkła wyciąłem kwadratowy otwór, na tyle duży, by moja ręka się w nim zmieściła. Nie rozległ się dźwięk alarmu. Sięgnąłem po figurkę Horemheba i ostrożnie ją wyjąłem.

W kurtce miałem podobny eksponat, tyle że ten nie miał dwóch tysięcy lat, a zaledwie kilka dni. Ustawiłem go na miejscu oryginalnego uszebti i włożyłem z powrotem kawałek szkła, który przed chwilą wyciąłem. Przymocowałem go zwykłym klejem poliuretanowym,

zakupionym u mechanika samochodowego. Przy odrobinie szczęścia przez najbliższe kilka godzin nikt nic nie zauważy, a kopia statuetki Horemheba wydłuży jeszcze czas odkrycia kradzieży.

Cała operacja zajęła mi około czterech minut. Ćwiczyłem wcześniej, by zrobić to szybko, i poczułem dumę, że w godzinie próby moje dłonie i nerwy stanęły na wysokości zadania. Schowałem uszebki do kieszeni, ukloniłem się mumii Nespamedu, dziękując jej za dyskrecję, i opuściłem salę sztuki starożytnego Egiptu.

Prawdziwy ochroniarz za chwilę zacznie patrolować tę część muzeum. Przyspieszyłem kroku, minąłem sale poświęcone starożytnej Grecji i dotarłem do schodów. Zszedłem na pierwsze piętro, do głównego wejścia dla zwiedzających. Musiałem zrobić przystanek w sklepiku z pamiątkami. Potem skierowałem się do wyjścia, z poczuciem dobrze wypełnionej misji.

W tej chwili włączył się alarm.

Zamarłem w bezruchu. Tego nie było w planach. Miałem wślizgnąć się do muzeum bezszelestnie, a potem opuścić je w absolutnej ciszy.

Wycie syreny świdrowało mi w uszach. Otrząsałem się z oszołomienia. Wciąż jeszcze mogłem dobiec do wyjścia, zanim pojawi się ochrona.

– Stać! Nie ruszaj się! – usłyszałem za plecami.

Było za późno. Zobaczyli mnie.

Przekląłem pod nosem i rzuciłem się do ucieczki. Biegłem w stronę schodów.

Wpadłem na pomysł, by dotrzeć na ostatnie piętro i wyjść z budynku przez jedno z okien w dachu. Przeskakując po dwa stopnie, zacząłem planować ucieczkę na najwyższym poziomie i nie była to metafora.

Na pierwszym piętrze pobiegłem w stronę ciemnych korytarzy działu archeologii prehistorycznej. Miałem nadzieję zgubić tu ochroniarzy, a potem niepostrzeżenie dostać się na strych.

– Widzieliście go? – zapytał w ciemnościach jakiś głos.

– Tędy pobiegł. Chyba kierował się do sali z Damą z Elche.

– Świetnie. Zostawcie go mnie. Możecie wracać do pracy. Wszystko pod kontrolą.

Natychmiast rozpoznałem ten głos.

– Kurwa! – mruknąłem. To był Bańka.

Narodowy Korpus Poszukiwaczy nie miał zbyt wielu agentów. Stanowiliśmy niewielką rodzinę. Ostatnią naszą misję – poszukiwanie Stołu Króla Salomona – niektórzy towarzysze okupili życiem. Teraz w naszej głównej siedzibie, szumnie zwanej Piwnicą, zostali tylko Bańka, jego siostra Danny i tajemnicza Enigma. Wolałbym, żeby na gorącym uczynku przyłapała mnie któraś z agentek, a nie Bańka. On wydawał się rywalem nie do pokonania – był ode mnie silniejszy, szybszy i sprytniejszy. Nie miałem wątpliwości, że jeśli postanowił mnie złapać, osiągnie swój cel.

Ochroniarze posłusznie rozeszli się do swoich zajęć. Syrena alarmowa ucichła. Przycisnąłem się za piedestałem Bestii z Balazote. Miałem stamtąd widok na wewnętrzny dziedziniec, na którym w promieniach księżyca lśniło Mauzoleum z Pozo Moro. Postać Bańki ukazała się z drugiej strony postumentu. W świetle księżyca ujrzałem jego twarz. Uśmiechał się z przekąsem.

– Dobra, młody, wylaż z kryjówki.

Młody. Zawsze to samo. Sam nadał mi imię Faro, a wciąż wyzywał mnie od nowicjuszy. Nienawidziłem tego.

Starałem się poruszać w ciemnościach jeszcze ciszej od niego. Ćwiczyłem to w ostatnich miesiącach i miałem nadzieję, że mój trening przyniósł jakieś efekty. Przemknąłem się do ściany korytarza, próbując się przedostać do działu sztuki romańskiej.

– Dyszysz jak zziązany pies, młody. Słyszę każdy twój oddech, jakbym niósł cię na plecach.

I ruszył w moją stronę. Gdybym rzucił się do ucieczki, zaraz pobiegłby za mną, a wygranie wyścigu z Bańką wydawało mi się równie trudne jak bieg ze związanymi kostkami. Zacząłem się nerwowo rozglądać, aż w końcu mój wzrok napotkał sarkofag z Husillos: ciężką kamienną skrzynię ozdobioną reliefami przedstawiającymi sceny z życia Orestesa, wystarczająco dużą, by zmieścił się w niej dorosły mężczyzna.

Na przykład ja.

Zareagowałem impulsywnie, jak zwykle w chwilach napięcia. Taki sposób działania wielokrotnie pozwolił mi wyjść z tarapatów i nie starałem się z nim walczyć. Poczłgałem się do sarkofagu i wszedłem do środka.

Przylgnąłem ciałem do kamiennej powierzchni i wstrzymałem oddech. Byłem pewien, że nie narobiłem zbyt wiele hałasu.

Usłyszałem kroki Bańki, zbliżające się do sarkofagu. Poszukiwacz stanął. Słyszałem jego oddech i wyobrażałem sobie, jak się rozgląda oczami, które zdawały się widzieć nawet w najgęstszych ciemnościach.

Bańka zaczął powoli chodzić po sali. Zatrzymał się kilka metrów od sarkofagu. Gdybym wychylił się z kryjówki, mógłbym mu napluć na plecy. Nie ruszał się z miejsca przez długą chwilę.

– Cholera jasna! – wymamrotał. – Gdzie on się schował?

W końcu skierował się do sali Narvaeza, gdzie wystawiono Stół Salomona. Usłyszałem jego oddalające się kroki i odetchnąłem z ulgą.

Policzyłem do dziesięciu i dopiero wtedy odważyłem się wypełznąć z kryjówki. Zdołałem przejść zaledwie kilka metrów, gdy usłyszałem za plecami głos.

– Wybierasz się gdzieś?

Odwróciłem się bardzo powoli. Bańka celował mi prosto w pierś.

– Już nie żyjesz, młody – powiedział.

I wystrzelił.

Zamknąłem oczy i usłyszałem odgłos wystrzału.

– Pif, paf – powiedział Bańka z goryczą. – A teraz opuść ramiona, bo wyglądasz jak jakiś wieszak.

Palec wskazujący Bańki nadal był wycelowany w moją pierś, a kciuk tworzył z nim kąt prosty.

– Można wiedzieć, za kogo się przebrałeś? – zapytał.

– To kurtka ochroniarza.

– Tylko przebieranki ci w głowie. Uważasz się za Sherlocka Holmesa?

– Odezwał się Kat z Canterbury.

– To co innego. Wtedy sytuacja tego wymagała. – Wyjął papierosa i wsunął go do ust. – Zapamiętaj sobie, młody, nigdy się nie przebieraj, chyba że nie będziesz miał wyboru. Dbaj o swoją godność, na litość boską!

– Nie nazywaj mnie młodym. Wiesz, że tego nie znoszę.

– Z wielką przyjemnością, kiedy tylko przestaniesz zachowywać się jak nowicjusz... Co ty w ogóle odstawiłeś? W życiu nie widziałem większej prowizorki. Grałeś, kurwa, na własnym boisku, wiedziałeś, że system zabezpieczeń jest dziurawy jak sito. Powinieneś był to zrobić z zamkniętymi oczami. – Nie mógł znaleźć zapalniczki, co strasznie go zdenerwowało. – Zrób coś pożytecznego, do cholery! Daj mi ogień!

– Chyba nie powinieneś tu palić.

– Nie przypominam sobie, żebym pytał cię o zdanie.

Westchnąłem i podałem mu zapalniczkę. Ostatnio z Bańką nie dawało się wytrzymać.

Bezczynność wyprowadzała go z równowagi. Narodowy Korpus Poszukiwaczy od kilku miesięcy nie pracował nad żadną operacją, a Bańka cierpiał jak lew zamknięty w klatce i wyładowywał swój zły humor na każdym, kto znalazł się w pobliżu. Bańka, młody facet, czysty instynkt i mięśnie, potrzebował akcji jak roślina słońca i wody.

Kilka tygodni wcześniej wpadł na pomysł, żebyśmy organizowali symulowane misje w terenie. Wśród moich towarzyszy to ja miałem najmniejsze doświadczenie, wybrał więc mnie jako królika doświadczalnego do swoich eksperymentów. Nie miałem nic przeciwko temu, bo prawdę mówiąc, sam zaczynałem się nudzić. Poza tym muszę przyznać, że jego nauki bywały całkiem pożyteczne. Wejście w nocy do Muzeum Archeologicznego i kradzież któregoś z eksponatów było najnowszym pomysłem.

Bańka zapalił papierosa, a potem uważnie przyjrzał się zapalniczce.

– Skąd to masz?

Była to zapalniczka Zippo ozdobiona emblematem Narodowego Korpusu Poszukiwaczy: widniały na niej kolumna, płomień, otwarta dłoń i korona. Alfa i Omega, barwni jubilerzy, których rodzina od pokoleń współpracowała z Korpusem, zrobili ją dla mnie.

– Zamówiłem ją u bliźniaków, po tym jak odzyskaliśmy Stół Salomona.

– Po co?

– Nie wiem. Coś w rodzaju osobistego trofeum. Może chciałem mieć talizman przynoszący szczęście. Nie podoba ci się?

Bańka wydał z siebie prychnięcie, którego znaczenia nie próbowałem się domyślać, a potem oddał mi zapalniczkę.

– Dziś chyba nie przyniosła ci szczęścia. Dobrze, pokaż, co próbowałeś zwinąć. – Wyjąłem uszebti Horemheba i podałem mu. – To ma być ten twój eksponat? Nie nadaje się nawet na przycisk do papieru.

– Masz całkowitą rację.

Chyba wyczuł coś w tonie mojego głosu. Przyglądał się bacznie figurce przez długą chwilę, a potem spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Jest fałszywa?

– Gips i emalia – odparłem z uśmiechem.

Bańka zmarszczył brwi.

– Zostawiłeś w witrynie oryginał i zabrałeś kopię? Jak mam nie nazywać cię nowicjuszem, skoro robisz takie głupoty?

– Daj mi to – powiedziałem, zabierając mu uszebti. – Figurka w witrynie to też podróbka. Zabrałem oryginał i poszedłem do sklepu z pamiątkami. Stoją tam całe tuziny podobnych, sprzedają je za 14,95 euro. Zamieniłem oryginał na jedną z nich i zabrałem ją ze sobą.

– Jak to?

– Postaram się mówić wolno, żebyś zrozumiał. Mój plan był prosty: zostawić oryginał w sklepie z pamiątkami i wrócić tam następnego dnia jako zwykły zwiedzający, żeby go kupić. W ten sposób, gdyby mnie schwytali, nie miałbym przy sobie oryginalnego eksponatu. Zrobiłem cię w balona. – Uśmiechnąłem się tryumfalnie. – I kto tu jest żółtodziobem?

– To beznadziejny plan, a jeśli ktoś by kupił figurkę przed tobą?

– Nikt nie kupuje tego badziewia.

– Tak ci się tylko wydaje. Naraziłeś operację na niepotrzebne ryzyko, w życiu ci tego nie uznają.

Było mi obojętne, czy mój pomysł zyska w jego oczach aprobatę, w końcu chodziło tylko o głupie ćwiczenie, żeby zabić nudę. Zresztą uważałem, że z tego pojedynku to ja wyszedłem zwycięsko, więc postanowiłem jeszcze trochę mu podokuczać.

Zamiast udać się do windy, wyszliśmy z muzeum do ogrodu. Od kilku miesięcy Korpus dysponował nowym wejściem do swojej kwatery głównej, prowadzącym przez rekonstrukcję jaskiń Altamiry. To dyskretne wejście pozwalało nam na dostęp do budynku z dala od wzroku personelu i zwiedzających.

Do jaskiń wchodziło się właśnie z ogrodu otaczającego muzeum. Najpierw znajdowało się pomieszczenie, w którym zwiedzający oglądali krótki film, a za nim właściwa część rekonstrukcji: wielka sala, w której centrum zawieszono lustro odbijające sufit; to na sklepieniu wykonano kopie malowideł naskalnych z Altamiry. Przez większość czasu w pomieszczeniu panował mrok, tylko z rzadka na malowidła padało dyskretne światło – w ten sposób pomysłodawcy starali się odtworzyć klimat prawdziwej jaskini. Na końcu sali znajdowały się pomalowane na czarno drzwi, niezbyt widoczne na tle ciemnej ściany, wyposażone w elektroniczny zamek, otwierany tylko naszymi błękitnymi przepustkami. Za nimi był korytarz prowadzący do Piwnicy.

Chociaż żadne z nas się do tego nie przyznawało, sądzę, że moim kolegom w głębi duszy podobała się ta nowa scenografia. Docieraliśmy teraz na stanowisko pracy przez prehistoryczną grootę, jakbyśmy się wkradali do kryjówki zamaskowanego superbohatera.

Nadal docinałem Bańce, chełpiąc się genialnym w swej prostocie podstępem, kiedy weszliśmy do Piwnicy. On zdawał się ignorować moje uwagi, chociaż minę miał wściekłą; traktował mnie jak natrętną muchę.

Pierwsza z naszych sal, o nowoczesnym oszczędnym wystroju, miała ściany wyłożone przydymionym szkłem, a podłogę z czarnego gresu. Centralne miejsce zajmowało biurko Enigmy: biała, opływowa barykada, za którą czuwała sekretarka Narodowego Korpusu Poszukiwaczy.

Chociaż zrobiło się już dość późno, Enigma nadal tkwiła na swoim stanowisku pracy,

wpatrzona w monitor. W jej skrzacich oczach malowało się znudzenie. Opierała brodę na rękach i gryzła kosmyk rudych włosów. Na nasz widok wstała i ziewnęła szeroko.

– Już skończyliście? Jak poszło?

– Młody wszystko schrzanił – odparł Bańka.

– Nie nazywaj go tak. Wiesz, że tego nie znosi.

– Dziękuję – wtrąciłem. – Poza tym niczego nie schrzaniłem. Wręcz przeciwnie, wszystko poszło zgodnie z planem.

– Złapałem go przyczajonego jak szczur w sarkofagu z Husillos. Pełen sukces.

– Ach, uwielbiam ten sarkofag – powiedziała. – Te reliefy z umięśnionymi nagimi facetami. Tak wyobrażam sobie wakacje życia.

Opowiedziałem Enigmie, jak wkradłem się do muzeum, a potem podmieniłem skradzione uszebti na jedną ze sklepowych pamiątek. Pochwaliła mój spryt. Bańka, coraz bardziej wściekły, zapalił kolejnego papierosa.

– Mógłbyś zgasić? – zapytała. – Dziś jest czwartek. Ustaliliśmy, że w czwartki tu się nie pali.

Enigma była fascynującą i zagadkową kobietą. Często wyobrażałem sobie wnętrze jej głowy jako coś w rodzaju najbardziej zagraconego pokoju świata. Ostatnią jej ekstrawagancją było ogłoszenie własnego miejsca pracy strefą wolną od dymu we wtorki i czwartki. Tylko ona wiedziała, dlaczego właśnie w te dni.

Bańka wybełkotał coś zupełnie niezrozumiałego, a potem zgasił papierosa i schował z powrotem do paczki.

– A ty właściwie co tu robisz o tej porze? – zapytałem. – Nie powinnaś być w domu?

– Powinnam, ale kiedy wy bawicie się w policjantów i złodziei, my, kobiety, jak zwykle odwalamy poważną robotę. Dowiedziałyśmy się z Danny o czymś, co może okazać się dla nas bardzo ważne.

Bańka spojrzał na nią z nagłym zainteresowaniem.

– Masz na myśli misję?

– Niewykluczone. Policja donosi, że okradziono Centrum Kultury Islamskiej. Złodzieje włamali się do bibliotecznych magazynów. Danny pojechała tam, żeby dowiedzieć się szczegółów, a ja zostałam, by w razie potrzeby udzielić jej wsparcia.

– To robota raczej dla policji – zauważyłem. – Dlaczego ma dotyczyć nas?

– Alzaga polecił nam przeprowadzić dochodzenie? – zapytał Bańka.

– Nie żartuj. Alzaga jak zwykle nie ma o niczym pojęcia. To był pomysł Danny.

Entuzjazm Bańki ulotnił się w jednej chwili.

– Cholera, myślałem, że chodzi o prawdziwą misję.

– To możliwe. Danny mówi, że...

– Dopóki nasz szef nie dowie się wszystkiego i nie pozwoli nam działać, z prawdziwej misji nici. A wy po prostu zabijacie nudę. – Enigma chciała coś powiedzieć, ale Bańka nie dał jej dojść do słowa. – Wiesz co? Jestem zmęczony, idę do domu. Jeśli mam marnować czas, najchętniej zrobię to na własnej kanapie.

I Poszukiwacz poszedł sobie, zostawiając nas samych.

– Sądziłam, że zechce się chociaż dowiedzieć o naszym odkryciu...

– Ja chętnie się dowiem. Opowiesz mi?

Uśmiechnęła się.

– Dlatego to właśnie ciebie lubię najbardziej.

– Wiem – przytaknąłem. – A wracając do tego włamania, czemu Danny sądzi, że może być dla nas interesujące?

– Zależy, co ukradli. W magazynie Centrum Kultury Islamskiej znajdują się książki ze zbiorów Al-Kutiego, tak zwane Czarne Dzieła.

– Nie mam pojęcia, co to są zbiory Al-Kutiego, a tym bardziej Czarne Dzieła.

– Przepraszam, czasem zapominam, że nie jesteś z nami od tak dawna. Wyjaśnię ci wszystko.

– Zaczekaj – przerwałem jej, wiedząc, że wyjaśnienia Enigmy rzadko rozwiewają wątpliwości. Dobierała słowa wolniej, niż myślała, i zawsze plątała się w dygresjach, z których trudno było wyłuskać wątek przewodni. – Czy Danny nadal tam jest?

– Tak myślę. Wyruszyła jakieś dwadzieścia minut temu.

– W takim razie pojedę do niej. Mam ochotę na trochę adrenaliny.

Enigma prychnęła, wyraźnie rozczerowana.

– Wspaniale, zostawcie mnie tu samą. Jak zwykle, już się przyzwyczyłam. Co takiego ma w sobie Danny, czego nie mam ja?

– Absolutnie nic. Jesteś zupełnie wyjątkowa.

Puściłem do niej oko na pożegnanie, a potem wyszedłem z Piwnicy. Miałem nadzieję, że właśnie zaczyna się interesująca noc.

SKRZYDŁOWY

Dziesięć miesięcy wcześniej byłem tylko smutnym praktykantem w muzeum w Canterbury. W tym czasie nazywałem się po prostu Tirso Alfaro.

Podejrzewam, że kiedy się urodziłem, ostatnia osoba o tak dziwacznym imieniu nie żyła już od wielu lat, może nawet dekad czy wieków. Na nieszczęście dla mnie moja matka Alicia Jordán, słynna archeolożka i zarazem wielbicielka hiszpańskiej poezji Złotego Wieku, dała swojemu jedynemu dziecku na imię Tirso. Osobista pasja przeważała nad zdrowym rozsądkiem – zakładam, że nie zastanawiała się zbyt długo nad tym, jak będzie się czuł jej potomek, nosząc tak dziwaczne imię w dwudziestym pierwszym stuleciu. Sądzę, że mówi to wiele o moich napiętych stosunkach z matką, które stały się już zupełnie nie do zniesienia, gdy mój ojciec, pilot rejsowy, zginął. Byłem wówczas małym dzieckiem.

Dziesięć miesięcy wcześniej, jak już wspominałem, miałem na imię Tirso, miałem też matkę egoistkę i kiepsko płatną pracę w muzeum w Canterbury o niemożliwej do wymówienia nazwie. Moja przyszłość malowała się w czarnych barwach.

Wtedy właśnie odpowiedziałem na tajemnicze ogłoszenie o pracę i dołączyłem do elitarnego korpusu zajmującego się odzyskiwaniem zrabowanych dzieł sztuki wchodzących w skład naszego kulturowego dziedzictwa, pomogłem w odnalezieniu mitycznej relikwii króla Salomona i, jako pełnoprawny członek Poszukiwaczy, dostałem nowe imię. Tak, w wielkim skrócie, przedstawia się cała historia.

Kiedy dołączyłem do Narodowego Korpusu Poszukiwaczy, kierował nim Narváez. Do jego rozlicznych funkcji należało nadawanie pseudonimów naszym świeżo upieczonym członkom. Niestety, Narváez został zamordowany, zanim zdążył nadać mi pseudonim. Dowiedziałem się jednak, że miał dla mnie przygotowane imię – Piorun.

Po śmierci Narvaeza Bańka, Poszukiwacz z wieloletnim doświadczeniem, niezastąpiony podczas misji, dostał awans i zastąpił naszego dotychczasowego szefa. Jego rządy nie trwały długo i czasem pozostawiały wiele do życzenia – na pewno nie zapisał się w annałach Korpusu jako jeden z jego najlepszych kierowników. Niemniej jednak zrobił dla mnie coś bardzo ważnego: nadał mi pseudonim. Nazwał mnie Faro, czyli latarnia, i tak zwracają się do mnie koledzy z Korpusu.

Bańka niezbyt długo sprawował kierownicze stanowisko. Sam czułem, że odpowiedzialność, której nigdy nie chciał, po prostu go przerasta. Niewiele razy w życiu widziałem go tak szczęśliwym jak w dniu, kiedy odwołano go ze stanowiska i znów został zwykłym agentem.

Tajemnicze elity polityczne finansujące nasz budżet – które, nawiasem mówiąc, wolą nie wiedzieć zbyt dużo o naszych działaniach – zdecydowały o powołaniu nowego dyrektora, szefa operacyjnego, naczelnika, pryncypała, czy jakbyście chcieli go zwać.

Od czasów swojego powstania – a było to w dziewiętnastym wieku – Narodowy

Korpus Poszukiwaczy cieszył się niemal całkowitą niezależnością. A że naszym podstawowym sposobem działania była kradzież, żaden polityk nie chciał wiedzieć zbyt wiele o Poszukiwaczach, by nie pobrudzić sobie rąk. Wystarczało im, że to, co robimy, robimy dobrze.

Po odnalezieniu Stołu Salomona – najprawdopodobniej największym naszym sukcesie – sytuacja zaczęła się zmieniać. I to niekoniecznie na lepsze. Znalezienie mitycznej relikwii sprawiło, że zaczęliśmy się cieszyć niespotykanym dotąd prestiżem, ale przy okazji wzbudzaliśmy większe zainteresowanie, niżbyśmy chcieli. Wielu prominentnych polityków zainteresowało się naszą działalnością i niektórzy przerazili się tym, co odkryli. Najbardziej przestraszyli się tego, że od ponad stu lat działaliśmy praktycznie bez kontroli. A tego właśnie politycy nie znoszą: organizacji, które kosztują dużo pieniędzy, a nie sposób ich kontrolować. Tak mówił Narváez i, jak widać, miał świętą rację.

To wszystko sprawiło, że postanowiono znaleźć dla nas nowego szefa, bezpośrednio związanego z kręgami władzy. Kogoś mającego wpływy w środowiskach, które planują budżet państwa.

I w ten właśnie sposób naszym szefem został Alzaga.

Pierwsze wrażenie, jakie wywarł na mnie Abel Alzaga, było pozytywne. Urquijo – adwokat, który pierze nasze najgorsze brudy – przedstawił go nam w sali konferencyjnej.

Niewątpliwie Alzagę cechowała nienaganna prezencja. Był wysoki i szczupły, wyprostowany jak krawiecki manekin i ubrany z podobną starannością. Myślę, że miał około pięćdziesięciu lat, chociaż wyglądał na dziesięć lat młodszego. Nosił patrycjuszowską brodę, którą przycinał chyba codziennie pod ekierkę. Kontrastowała ona z bujną młodzieńczą czupryną, starannie utrzymaną w artystycznym nieładzie. Miał czarne włosy przeplecione siwymi pasemkami, przypominającymi pasma mgły pośród nocnych ciemności. Należał do osób, które zawsze dobrze wychodzą na oficjalnych fotografiach.

Przedstawił się nam prawdziwym imieniem i nazwiskiem: Abel Alzaga. W odróżnieniu od poprzedników nie chciał używać pseudonimu Narváez. Nie chciał też, byśmy nazywali go dyrektorem czy szefem. Mówił, że jego stanowisko to praca łącznika. Nie wyjaśnił natomiast, z kim dokładnie miał nas łączyć.

Powitał nas krótkim przemówieniem, w którym każde słowo znajdowało się na swoim miejscu. Jest zaszczycony, powiedział, że stanowi część naszego zespołu, i liczy na naszą pomoc. Wplatał między zdania uśmiechy, które zapalały się i gasły, jakby uruchamiane przez jakiś elektryczny włącznik.

Tuż po objęciu stanowiska Alzaga odbył rozmowę w cztery oczy z każdym z nas. Ja miałem wyznaczone spotkanie jako ostatni.

– To ty jesteś Tirso, tak? – powiedział, przyglądając mi się bacznie. – Miałem wielką ochotę cię poznać.

– Tu mówią na mnie Faro – odrzekłem.

– Słucham? A tak, twój pseudonim... Jeśli o to chodzi, wołałbym, żebyśmy używali naszych prawdziwych imion i nazwisk, jeśli oczywiście nie masz nic przeciwko temu. – Słowom towarzyszył automatyczny uśmiech. – Cała ta zabawa w pseudonimy wydaje mi się taka teatralna, poza tym chyba wznoszą między nami niepotrzebne bariery, nie sądzisz, Tirso?

– Jeśli tak pan uważa...

– Mów mi na ty. Jestem jednym z was.

Alzaga starannie odrobił lekcje i zapoznał się z moim CV. Pogratulował mi dotychczasowych sukcesów, zwłaszcza odnalezienia Stołu Salomona, zadał mi też kilka pytań dotyczących tej historii. Ten człowiek dobrze panował nad językiem ciała i mówił w taki sposób, że słuchało się go z uwagą. Zapytał, czy mam jakieś wątpliwości, którymi chciałbym się podzielić.

– Tylko jedną: jaka jest nasza następna misja?

– Cieszę się, że o to pytasz. Wiem, że po okresie bezczynności chcecie znów wrócić do akcji, ale tym razem powinniśmy działać z większą rozwagą, nie uważasz?

– W jakim sensie?

– Wasze ostatnie działania drogo kosztowały całą organizację. Nie mówię tylko o śmierci Narvaeza, ale też dwóch innych Poszukiwaczy. Można powiedzieć, że jesteśmy... jak to się mówi? Zdziśnięci. – Uśmiechnął się po raz trzeci. – Nie chcę, żeby zabrzmiało to dramatycznie, ale nasze zasoby ludzkie w tym momencie nie pozwalają na żadną pomyślną misję. Wiedziałaś, że w przeszłości Korpus miał aż dziesięciu członków pracujących w tym samym czasie?

– Nie, nie wiedziałem.

– Może nie mieli tak nowoczesnego biura ani systemów informatycznych, ale mogli liczyć na dobrze wyszkoloną ekipę. Teraz nie została was nawet połowa. Rozumiesz, w czym problem, prawda?

Alzadze, w przeciwieństwie do jego poprzednika Narvaeza, łatwo przychodziło wygłaszanie długich mów, poza tym miał w zwyczaju kończyć swoje wypowiedzi pytaniem, by utrzymać uwagę słuchacza.

– Tak, rozumiem. Wyobrażam sobie, że zaczniemy szukać nowych agentów.

– Jak mówiłem wcześniej, będziemy działać z rozwagą. Najpierw musimy przygotować się do nowej dynamiki pracy, która nauczy nas optymalizować aktualne zasoby. Potem ocenimy, w jakim stopniu przydaje się to w naszej działalności, i postąpimy zgodnie z wynikami. Zgadzasz się ze mną?

Alzaga użył wielu słów, by nie powiedzieć nic konkretnego, przeplatając pojęcia korporacyjnego żargonu – „optymalizować” i „dynamika pracy” – automatycznymi uśmiechami. Wszedłem z tego pierwszego spotkania dziwnie zaniepokojony.

Nasz szef przydzielił każdemu konkretne zadania, jak sam to określił: „specjalizacje”. Ja miałem być „lokalizatorem”, to znaczy miałem poszukać dzieł sztuki, które mogłyby się stać przedmiotem naszych kolejnych misji. Na początku zabrałem się do pracy z zapałem. Dwa tygodnie po pierwszym zebraniu miałem już listę czterech skradzionych dzieł sztuki. Przedstawiłem ją Alzadze, sądząc, że dobrze wywiązałem się ze swojego zadania.

– Dobrze, Tirso, widzę, że zrozumiałeś, o co mi chodzi – powiedział, zapoznawszy się z nią. – Kontynuuj swoje poszukiwania.

Zapytałem, czy mamy planować odzyskanie któregoś z tych dzieł.

– Nie sądzisz, że byłoby to zaczynanie budowy domu od dachu? – odparł. – Ta lista nie wystarczy, żeby sporządzić porządną bazę danych.

– Bazę danych?

– Oczywiście. A sądziłeś, że po co zleciłem ci tę pracę? Najpierw stworzymy bazę danych, w miarę możliwości jak najbardziej kompletną, żeby uzyskać pełen obraz skradzionego dziedzictwa kulturowego. Potem sporządzimy fiszki, które będziemy na bieżąco uaktualniać i przeniesiemy na nośnik elektroniczny. Ale o to nie musisz się martwić, zleciłem to innemu agentowi.

– A kiedy zaczniemy odzyskiwać przedmioty z tej listy?

Na ustach Alzagi pojawił się mechaniczny uśmiech.

– Powoli i rozważnie, Tirso. Baza danych ma znaczenie fundamentalne. Bez niej nasze działania będą chaotyczne i bezładne. Musimy pracować według ściśle określonego harmonogramu: baza danych, zebranie ewaluacyjne, analiza kosztów. To uporządkowany system pracy, do którego wkrótce się przyzwyczaiacie. Ale, jak mówiłem, bez porządnej bazy danych cały ten system nie może funkcjonować. Dlatego twoje zadanie jest tak ważne, rozumiesz?

Nie byłem pewien, czy rozumiem. Tak naprawdę po każdej rozmowie z Alzagą wiedziałem coraz mniej o tym, co właściwie robimy. Wiedziałem tylko, że nigdy nie wychodzimy z Piwnicy.

Moi koledzy i koleżanki otrzymali równie niesprecyzowane i niekończące się zadania, wszystkie zostały oznaczone przez szefa dziwnymi, technicznymi nazwami. Co tydzień Alzaga zwoływał zebranie, by zbadać efekty naszej pracy, i zapewniał, że jest zadowolony z naszych postępów. Problem w tym, że żadne z nas nie miało pojęcia, na czym właściwie polegały te postępy.

Na jednym z zebrań Bańka otwarcie zakwestionował nowy system, w naszej obecności i w sposób niezbyt uprzejmy. Zapytał, kiedy wreszcie przestaniemy odwälać papierkową robotę i ruszymy w teren, bo na tym, jak powiedział, polega przecież nasza misja.

Alzaga obdarzył go jednym ze swoich uśmiechów, pozbawionym wyrazu jak pusta kartka.

– Jeszcze nie jesteście na to gotowi. Nie chcemy dopuścić do kolejnego nieszczęścia, jak podczas ostatniej operacji, przeprowadzonej zbyt pośpiesznie i bez odpowiedniego wsparcia. Niektórzy obarczają winą za nią mojego bezpośredniego poprzednika...

Był to cios poniżej pasa, bolesny jak pchnięcie sztyletem. Bezpośrednim poprzednikiem Alzagi był bowiem Bańka.

– Dwóch martwych agentów, wszyscy pozostali ranni – zakończył nasz nowy przełożony. – Nie chciałbym mieć czegoś podobnego na sumieniu. Sądziłem, że właśnie ty najlepiej zrozumiesz sens pracy, którą w tej chwili wykonujemy.

Bańka zbladł. Alzaga wykorzystał sytuację, by zadać kolejny cios.

– Rozumiem, że możemy mieć odmienne wizje tego, jak należy zarządzać organizacją, ale chyba obaj się zgodzimy, że w żadnym wypadku nie należy lekceważyć hierarchii.

Poczułem dla Alzagi nieklamany podziw: świetnie znał słabe punkty członków swojego zespołu i wiedział, jak je wykorzystać. Bańka nie potrafił sprzeciwić się poleceniu przełożonego, miał duszę żołnierza (dlatego nie sprawdził się w roli przywódcy).

To zebranie wiele nas nauczyło. Nauczyliśmy się, że uśmiechy Alzagi są groźniejsze od grymasów gniewu. Nauczyliśmy się, że zamierza narzucić nam swój sposób pracy, nie zważając na to, co o nim sądzimy. Że ma cel i nie jest skłonny z niego zrezygnować.

I muszę przyznać, że jeśli naprawdę chciałem zamienić Korpus Poszukiwaczy w grupę urzędników nieruszających się zza biurka, prawie mu się to udało.

Zadzwoiłem do Danny i powiedziałem, że jadę do niej. Nie zdradziła mi, co sądzi o tym pomysle, chociaż podejrzewałem, że wolałaby, żebym zostawił ją samą. Danny lubiła działać w pojedynkę.

Spotkaliśmy się na ulicy Salvadora de Madariagi, przed meczetem w pobliżu obwodnicy M-30. Centrum Kultury Islamskiej powstało w Madrycie po podpisaniu w 1976 roku porozumień między Hiszpanią a osiemnastoma krajami muzułmańskimi. Kilka lat później otwarto meczet, sfinansowany przez króla Arabii Saudyjskiej (która lubi siać w Europie ziarna islamu, podlewając je obfitym strumieniem pieniędzy pochodzących ze sprzedaży ropy). Architektura meczetu nawiązywała subtelnie do Alhambry w Granadzie. Oprócz meczetu Centrum Islamskie miało również inne obiekty, takie jak sala koncertowa, szkoła, muzeum i biblioteka mająca w swoich zbiorach dość cenne woluminy.

Do tej pory byłem pewien, że Centrum Islamskie zarządzało swoim majątkiem niezależnie, a Narodowy Korpus Poszukiwaczy nigdy nie miał z nim kontaktów. Zastanawiałem się, co w tej kradzieży tak zaintrygowało Danny.

Czekała na mnie przed wejściem do meczetu, ubrana w jedną ze swoich kurtek z czarnej skóry. Noc była zimna, więc miała na głowie wełnianą czapkę, a ręce schowała w kieszeniach.

– Nasz dzielny Faro przybywa na pomoc – powiedziała na mój widok swoim zwykłym sarkastycznym tonem. – Tak bardzo się za mną stęskniłeś?

– Domyśliłem się, że beze mnie nie dasz sobie rady. Nie musisz dziękować. Czy to się liczy jako randka?

– Możesz sobie pomarzyć, Tirso.

Przez chwilę szukałem inteligentnej riposty, ale jak zwykle nic nie przychodziło mi do głowy, więc tylko głupio zachichotałem. Nadal byłem w niej zakochany, chociaż Danny wyjaśniła mi, że nie chce wchodzić w związek z kimś, kto jest związany z Korpusem.

Ja jednak nie ustępowałem. Miałem nadzieję, że zmieni zdanie. Danny doskonale zdawała sobie z tego sprawę i pozwalała mi na to – nie wiem, czy moje nieporadne zaloty sprawiały jej przyjemność, czy po prostu lubiła się ze mną bawić w kotka i myszkę. Trudno było odgadnąć, co jej chodzi po głowie, rzadko dzieliła się swoimi przemyśleniami. Pewnie właśnie dlatego tak bardzo mi się podobała.

– Jeśli to nie randka, to chyba możesz mi zdradzić, po co tu przyjechaliśmy – powiedziałem.

– Ty przyjechałeś, żeby się ze mną spotkać, a jeśli chodzi o mnie, to sądzę, że znalazłam sprawę, która może nas zainteresować, i chcę sprawdzić, czy przecucia mnie nie mylą.

– Za plecami Alzagi?

– Tak, to dodatkowa zachęta. Enigma opowiedziała ci wszystko ze szczegółami?

– Nie, wiem tylko, że było włamanie. Wspomniała coś o zbiorach Al-Kutiego i Czarnych Dziełach. Ale nadal nie mam pojęcia, czy ma to coś wspólnego z tym, co skradziono.

– Przyjechałam, żeby to sprawdzić. Jeśli naprawdę tak jest, czeka nas poważna misja, nawet jeśli Alzaga nie będzie zadowolony. – Skrzywiła się, wymawiając nazwisko naszego

nowego szefa. – Chodźmy. Potem ci wszystko wyjaśnię.

– Dokąd się wybieramy?

– Na miejsce zdarzenia. Po prostu idź za mną i postaraj się nie otwierać ust. Jesteśmy tu incognito.

Posłuchałem Danny, szedłem za nią przez pomieszczenia centrum kultury. Wszystko wydawało się w porządku, póki nie znaleźliśmy się przed wejściem do biblioteki. Żółta taśma strzegła dostępu do niej, a umundurowany policjant pilnował, żeby nikt niepowołany się tam nie dostał. Inny funkcjonariusz rozmawiał z brodatym mężczyzną o arabskich rysach, wyglądającym na bardzo zdenerwowanego.

Przyczailiśmy się za rogiem. Staraliśmy się przebywać poza polem widzenia agentów. Danny gestem dała mi do zrozumienia, żebym nie ruszał się z miejsca.

Po chwili z biblioteki wyszedł mężczyzna w cywilu. Na szyi miał policyjną blachę.

– To nasz przyjaciel – powiedziała Danny. – Idziemy.

Podeszliśmy bliżej i Danny go zawołała:

– Skrzydłowy!

Odwrócił się. Był to gość w średnim wieku, niski, ale umięśniony – z profilu przypominał sześcian. Miał szeroką twarz i sumiaste wąsy. Jego gęste, czarne włosy na samym czubku głowy przerzedzały się nagle, tworząc łysinę, na której perliły się kropelki potu. Spojrzałem na jego blachy – miał stopień inspektora.

On zaś obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem.

– A ten to kto?

– Faro. Nasz towarzysz.

– Z Korpusu? – zapytał, lustrując mnie wzrokiem.

– Tak, z tego samego co ona – odparłem.

Wąsy policjanta uniosły się w szerokim uśmiechu. Mocno uścisnął mi dłoń. Miał szorstką, suchą skórę.

– Miło mi cię poznać, Faro. Chodźmy w jakieś bardziej ustronne miejsce.

Poprowadził nas do drzwi biblioteki i odsunął policyjną taśmę, żebyśmy mogli przejść.

– Są ze mną – rzucił do agenta pilnującego wejścia. – Gdyby ktoś mnie szukał, będę w gabinecie bibliotekarza.

Inspektor zaprowadził nas do maleńkiego pokoiku, przylegającego do biblioteki, i zamknął drzwi.

– Dobrze – powiedział, zwracając się do Danny. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Najpierw, jeśli pozwolisz, przedstawię cię jak Pan Bóg przykazał. – Skinął głową. – Faro, to inspektor Santamaría z Brygady ds. Dziedzictwa Historycznego.

– Dla was Skrzydłowy – dodał policjant. – To mój pseudonim Poszukiwacza.

– Jesteś Poszukiwaczem? – zapytałem.

– Byłem, wiele lat temu. Opuściłem Korpus, żeby zostać policjantem.

– Przeszedł na stronę tych, którzy nie muszą się chować – dorzuciła Danny.

Mężczyzna rozłożył ramiona w geście pełnym poczucia winy.

– Co miałem zrobić? Ożeniłem się, urodziły się dzieci, potrzebowałem mniej oryginalnej pracy. Któregoś dnia spotka was to samo.

– Jak widzisz, Skrzydłowy należy do tych, co lubią stabilizację. Ale to bardzo porządny gość i dobry przyjaciel Korpusu. Informuje nas o akcjach policji, które mogłyby nas zainteresować. Chyba w głębi duszy bardzo za nami tęskni.

Chętnie poznałbym lepiej historię tego byłego Poszukiwacza, ale Danny od razu przeszła do rzeczy:

– Co takiego zabrali?

– Przykro mi, Danny. Tak jak się obawiałaś, ukradli *Mardud*.

– Niedobrze, bardzo niedobrze. Jak to się stało?

– Koronkowa robota, przypomina mi to, co sam robiłem kiedyś w Korpusie: wyłączyli alarm, rozbili jedno z okien, wzięli *Mardud* i zniknęli. Złodzieje doskonale wiedzieli, czego szukają i gdzie to znajdują.

– Jakies pomysły, kto mógł to zrobić?

– Zatrzymaliśmy jednego podejrzanego.

– Kto to jest?

– Mam go tu jeszcze, chcecie się z nim zobaczyć?

– Możemy?

– Tak, ale musimy działać ostrożnie. Trzymajcie się blisko mnie i postarajcie się za bardzo nie rzucić w oczy.

– Sądysz, że to rozsądne?

– Nikt nie zadaje pytań, widząc inspektora prowadzącego gości. Zawsze się podejrzewa, że przyszedł ktoś wyżej postawiony. Ale zachowujcie się dyskretnie.

Danny zapytała o szczegóły dotyczące zatrzymanego. Inspektor opisał go jako młodego mężczyznę, na oko dwudziestopięcioletniego, trzydziestoletniego. Nie miał przy sobie dokumentów. Pracownik firmy ochroniarskiej centrum zatrzymał go na ulicy, dokładnie przed budynkiem. Danny zapytała, czy miał przy sobie *Mardud*. Skrzydłowy odpowiedział, że nie.

– W takim razie dlaczego go podejrzewacie?

– Złodzieje zabrali nie tylko *Mardud*, włamali się też do małego sejfów, gdzie było trochę gotówki. Mężczyzna miał przy sobie te pieniądze. Wydaje się pewne, że to on włamał się do skrytki, ale utrzymuje, że nie ma pojęcia o niczym więcej.

Słuchałem wyjaśnień Skrzydłowego w wielkim skupieniu, by nie umknął mi żaden szczegół. Patrzyłem na byłego Poszukiwacza uważnie, szczypiąc się po dolnej wardze – robię to nieświadomie, gdy próbuję się skoncentrować. Nagle inspektor zamilkł i spojrzał na mnie.

– Przepraszam? Czy my się skądś znamy?

– Nie, jestem pewien, że nie – odparłem zdziwiony.

– To ciekawe, masz w sobie coś znajomego, a ja nigdy nie zapominam twarzy. – Patrzył na mnie przez chwilę, marszcząc czoło. – Tak, jestem pewien, że skądś znam twoją twarz, ale nie potrafię skojarzyć skąd... Nieważne, kiedyś sobie przypomnę.

Danny zaczynała się niecierpliwić, więc inspektor polecił, żebyśmy poszli za nim.

Policja trzymała podejrzanego w czytelnicy. Był to mężczyzna młodszy ode mnie, miał ciemną karnację i cygańskie rysy. Siedział na krześle, skute kajdankami ręce trzymał na

biurku i patrzył przed siebie. Miał na sobie brudne dżinsy i przetartą koszulkę klubu Olympique Marsylia z nazwiskiem Drogby na plecach.

Skrzydłowy poprosił pilnującego go policjanta, żeby wyszedł. Zostaliśmy sam na sam z podejrzanym.

– Dobrze, kolego – inspektor zwrócił się do delikwenta. – Ci państwo chcieliby zadać kilka pytań. Postaraj się odpowiedzieć najlepiej, jak umiesz, a wszystko będzie w porządku.

Zatrzymany spoglądał na nas w milczeniu. Białka jego oczu błyszczały jak kość słoniowa, a powieki miały kolor miodu. Jego oczy były ogromne, a spojrzenie przenikliwe.

– Mogę zapalić? – zapytał.

– Jeśli skłoni cię to do współpracy – mruknął Skrzydłowy.

Podał mu papierosy, ale mężczyzna nie lubił ciemnego tytoniu, więc musiałem go poczęstować swoim marlboro.

Kiedy podałem mu zapalniczkę, przyjrzał się uważnie emblematowi. Potem zapalił papierosa i przymykając oczy, wypuścił dużą chmurę dymu.

– Jak widzisz – kontynuował inspektor – traktujemy cię dobrze. Mamy nadzieję, że nam się odwdzięczysz.

Danny przejęła inicjatywę.

– Jak się nazywasz?

Podejrzanym nie odezwał się od razu, ciągle bezczelnie się w nas wpatrywał, jakby rozważał, czy zasługujemy na jego odpowiedź.

– Mam na imię César – odrzekł w końcu.

– César jak?

Wzruszył ramionami. Nagle stracił zainteresowanie nami i zaczął oglądać swoje dłonie. Inspektor się skrzywił.

– Prędzej czy później będziesz musiał zdradzić nam swoje nazwisko.

César nie zwracał na niego uwagi.

– Dobrze – wtrąciła Danny. – Wiesz, gdzie jest *Mardud* z Sewilli?

– Nie wiem, co to jest.

– Słuchaj, spróbujmy pomóc sobie nawzajem – zaproponował Skrzydłowy. – Wiemy, że to ty wszedłeś do biblioteki i wyniosłeś pieniądze z sejfu. Jeśli zabrałeś coś jeszcze, lepiej, żebyś się przyznał od razu.

– Nie – odpowiedział César pewnym tonem. – Nic oprócz pieniędzy.

Policjant westchnął.

– Nie rób sobie jaj! Złapaliśmy cię na gorącym uczynku, nie było tu nikogo więcej. Brakuje pieniędzy i brakuje księgi. Skoro znaleźliśmy przy tobie forszę, powiedz nam, gdzie jest księga.

– Chcę porozmawiać z adwokatem. Mam do tego prawo.

– Kurwa, znów ta sama śpiewka – zdenerwował się inspektor. – Słuchaj, synu, nie oskarżamy cię o podłożenie bomby w ambasadzie, nie musimy komplikować sobie życia. Kwota, którą ukradłeś, nawet nie kwalifikuje czynu jako przestępstwa, a zwykłe wykroczenie. Jeśli oddasz pieniądze i powiesz nam, co się stało z księgą, obiecuję, że nie pójdziesz siedzieć. Zasadzą ci pewnie jakieś prace społeczne, w umiarkowanym wymiarze

godzin. Ale muszę wiedzieć, co się stało z tym tomem z biblioteki, w przeciwnym wypadku nie będę mógł ci pomóc.

– Chcę porozmawiać z adwokatem.

Skrzydłowy prychnął.

– Chyba nie da rady...

– Zostawmy to – rzekła Danny.

Wróciliśmy do gabinetu bibliotekarza.

– Co o tym myślisz? – zapytał Danny inspektor.

– Kłamie, bez dwóch zdań.

– Też tak sędzę, ale kiedy zaczynają się domagać adwokata, zwykle wszystko się komplikuje i chrzani.

– Z ciekawości, ile forsy zabrał?

– Niewiele ponad sto euro.

– Dziwne. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że to zwykłe wykroczenie, wskazuje na to wygląd podejrzanego i skradziona suma, coś takiego mógłby zrobić ćpun na głodzie, żeby zdobyć kolejną działkę...

– Ten chłopak nie jest ćpunem – wtrąciłem.

– Nie, chyba nie... Ale gdyby nie to, że ukradli *Mardud*, można by pomyśleć, że to pospolite włamanie, jakich codziennie popełnia się tysiące. W jaki sposób kradzież wyszła na jaw?

– Włączył się alarm w magazynie – wyjaśnił inspektor.

– Mówiłeś, że złodzieje go wyłączyli.

– Bo tak było. Włączył się znowu, kiedy nikogo nie było już w środku.

– Bardzo dziwne... Możemy porozmawiać z ochroniarzem?

– Jasne. Chodźcie za mną.

Rzeczony ochroniarz był pracownikiem prywatnej firmy Segursa. Miał znaczną nadwagę, cera błyszczała mu od potu, jakby ktoś wysmarował mu twarz olejem. Pachniał nieświeżym ubraniem, a na jego twarzy malował się głupkowaty wyraz, jakby właśnie się obudził ze zbyt długiej popołudniowej drzemki.

Powtórzył mniej więcej historię, którą słyszeliśmy już wcześniej od Skrzydłowego. Powiedział, że kiedy usłyszał alarm, natychmiast pobiegł do biblioteki. Najpierw zauważył otwartą pustą skrytkę. Wyjrzał na ulicę i zobaczył Cesara. Jak sam powiedział, podejrzanym wyglądał, jakby miał zamiar uciekać.

– Tylko dlatego go pan zatrzymał? – zapytała Danny.

– Tu w pobliżu mamy osiedle Cyganów i innych typów spod ciemnej gwiazdy – odpowiedział ochroniarz. – Włóczą się tutaj, wynoszą miedziane druty z placów budowy, kradną torebki... To przestępcy. Kiedy zobaczyłem tego gościa, pomyślałem od razu: „Ci pieprzeni Cyganie znów coś nabroili”. Bo wygląda na Cygana, nie? Mam nadzieję, że wsadzą go do więzienia i się nauczy. Mam ich po dziurki w nosie.

– Wie pan, że pracownicy prywatnych firm ochroniarskich nie mają prawa zatrzymywać nikogo poza terenem, którego pilnują? – zapytał inspektor.

Strażnik wydawał się nic sobie nie robić z tych prawniczych niuansów. Znów zaczął recytować swoją litanię żalów i obelg pod adresem „Cyganów i innych nielegalnych,

którzy tylko uprzykrzają życie uczciwym obywatelom”. Powiedział mniej więcej, że gdyby jeszcze raz miał okazję, postąpiłby tak samo. Był w swoich poglądach stanowczy i konsekwentny.

Zostawiliśmy go w spokoju i wróciliśmy do maleńkiego gabinetu bibliotekarza.

– Nie mam pojęcia, w jaki sposób prywatne firmy ochroniarskie rekrutują swoich pracowników, ale rezultat jest przerażający – skwitował Skrzydłowy. – Kiedy podejrzany dostanie adwokata, stracimy nasz jedyny ślad: zaraz podniesie kwestię, że nasz ochroniarz nie miał prawa go zatrzymać poza terenem centrum.

– Wszystko to jest bardzo podejrzane – powiedziała Danny. – Skoro złodzieje wyłączyli alarm, żeby wejść do budynku, dlaczego ten się włączył, kiedy zrobili swoje? Jakby chodziło im właśnie o to, żeby César został przyłapany na gorącym uczynku.

– Sądziś, że on jest tylko wabikiem? – zapytał były Poszukiwacz.

– Tak mi się wydaje. Jakby chcieli zamaskować większe przestępstwo, kradzież księgi, mniejszym – włamaniem do kasy. Jak wpadliście na to, że *Mardud* zniknął?

– Sprawdziłem to zaraz po przyjściu. Miałem przecucie.

– A dlaczego przyjechałeś? Nie dzwoni się po Brygadę ds. Dziedzictwa Historycznego z powodu kradzieży kilku euro.

– Dowiedziałem się o zajściu przypadkiem i przyjechałem na miejsce, żeby sprawdzić, czy *Mardud* jest bezpieczny, dokładnie tak jak ty.

– Czyli gdyby nie twój przyjazd, prawdopodobnie nie dowiedzielibyśmy się o zniknięciu *Mardudu*?

– W pewnym sensie mieliśmy szczęście.

– Tak, w pewnym sensie. Chyba domyślam się już, o co chodzi: złodziej, kimkolwiek jest, nie spodziewał się, że odkryjemy to tak szybko. Obawiam się, że twój podejrzany to tylko przynęta, żeby zmylić trop.

– Albo współnik. Ktoś, komu zapłacono za to, że pozwoli się złapać.

– Jak długo możesz go zatrzymać?

– Niedługo. Kiedy tylko dostanie adwokata, będę musiał go wypuścić.

– Mógłbyś trochę przeciągnąć sprawę?

– Zrobię, co w mojej mocy, ale boję się, że niewiele wskóram. Przypominam ci, że jestem teraz stróżem prawa.

Danny się skrzywiła.

Zdecydowaliśmy, że nie mamy tu już nic do roboty. Ale w ostatniej chwili przyszła mi do głowy pewna wątpliwość, którą chciałem rozwiać.

– Jakim systemem alarmowym dysponuje centrum? – zapytałem.

– Sądzę, że nowym, z informatyzowanym.

– Mogę sprawdzić konsolę?

– Nagle zostałeś ekspertem od systemów alarmowych? – zdziwiła się Danny.

– Zastanawiałem się tylko, jak go wyłączyli.

Skrzydłowy zaprowadził nas do kanciapy, w której znajdowała się konsola. Wszystko wydawało mi się niby znajome: panel sterowania, kilka ekranów z obrazem wizyjnego monitoringu. Zainteresował mnie jednak panel sterowania, o wiele bardziej skomplikowany niż te, z którymi miałem do czynienia. Przyglądałem mu się uważnie przez

długą chwilę.

– Jak to właściwie działa?

– Sam nie bardzo wiem – odparł policjant.

– Obsługa tego to chyba nie bułka z masłem.

– To prawda. Żeby go wyłączyć, potrzeba prawdziwego zawodowca.

Na rogu panelu sterowania wryta była spłaszczona gwiazda o czerwonych i niebieskich promieniach. Pod nią widniał napis „Heimdall”.

– Co to jest Heimdall?

– Nazwa programu – wyjaśnił inspektor. – Wiele firm specjalizujących się w nadzorze zaczęło go ostatnio używać. Cieszy się sławą niezawodnego... A przynajmniej prawie niezawodnego.

Opuściliśmy budynek. Skrzydłowy nas odprowadził, po drodze wymieniali się z Danny spostrzeżeniami na temat włamania. Prawie ich nie słyszałem. Sięgnąłem po komórkę i starałem się znaleźć w internecie informacje na temat programu Heimdall i systemów nadzoru.

W odpowiedzi na zapytanie wyskoczyły strony, dzięki którym dowiedziałem się, że Heimdall ma związek z innymi programami, używanymi o wiele częściej, takimi jak Icon, Ágora czy Vmail, a wszystkie mają ze sobą coś wspólnego – zostały wypuszczone przez tę samą firmę specjalizującą się w oprogramowaniu. Firmę, której logo stanowiła spłaszczona gwiazda o czerwonych i niebieskich ramionach. Firma nazywała się Voynich.

Zapamiętałem sobie dobrze ten niepokojący szczegół.

APOKRYFY

Skrzydłowy obiecał, że zda nam relację z postępów w śledztwie. Pożegnaliśmy się z nim i Danny oznajmiła, że jest głodna.

– Ja też – przyznałem. – Może pójdziemy na kolację? Zapraszam.

Uśmiechnęła się.

– Uparłeś się na tę randkę, co?

– Czemu nie? Noc może nas jeszcze zaskoczyć.

Danny nie protestowała, więc weszliśmy do pierwszego baru sprawiającego mniej więcej przyzwoite wrażenie. Zamówiliśmy kilka tapas i piwo.

– Sądzisz, że znajdą złodzieja? – zapytałem.

– Kto, Skrzydłowy? To bardzo prawdopodobne. Na pewno będzie się starał. Jest dobrym gliną.

– Pracowaliście razem w Korpusie?

– Nie, jest ode mnie sporo starszy. Kiedy mnie przyjęli, on nie pracował już od wielu lat, ale utrzymywał dobre stosunki z Narvaezem. Dlatego od czasu do czasu nam pomaga albo przekazuje informacje.

– Nie wiedziałem, że mamy wtyki w policji. To chyba dobra wiadomość.

– Tak naprawdę Skrzydłowy jest jedyny. Ci, którzy odchodzą z Korpusu, nie chcą mieć z nami więcej nic wspólnego, kiedy zdejmują błękitną przepustkę, jakby zapadli się pod ziemię. Nikt nie wraca.

– Powiemy o wszystkim Alzadze?

Danny się skrzywiła, jakby piwo, które właśnie piła, okazało się zbyt gorzkie.

– Nie podoba mi się ten pomysł, ale powinniśmy to zrobić. Sprawa jest poważna.

– Czemu? Przecież ukradli tylko jakąś księgę.

– *Mardud* z Sewilli należy do Czarnych Dzieł. Jeśli policja odnajdzie go przed nami, możemy mieć kłopoty.

– Chyba nie dostrzegam powagi sytuacji. Brakuje mi danych.

– O czym?

– O księdze, którą ukradli, o tych Czarnych Dziełach, o których ostatnio wszyscy mówią.

Czym dokładnie jest *Mardud* z Sewilli i dlaczego to taki problem, że zniknął?

Pomiędzy kolejnymi piwami Danny wyjaśniła mi wszystko.

Cała historia zaczęła się od człowieka zwanego Ismael Diadié.

Urodzony w Mali Diadié był postacią malowniczą, samoukiem, przedstawiającym się czasem jako poeta, czasem jako historyk, a także jako filozof. Uważał się za ostatniego potomka starego toledańskiego rodu.

Jego wiekowe drzewo genealogiczne wywodziło się od hiszpańskiego Maura. Ali bin Zijad Al-Kuti (czasem zapisywano go też Al-Kati) opuścił Toledo w 1468 roku i osiedlił

się w Afryce Zachodniej, a dokładnie w opływającym wówczas w dostatki imperium Songhaju. Al-Kuti zabrał ze sobą bogatą kolekcję bardzo starych i cennych ksiąg i manuskryptów. Z upływem wieków kolekcja Al-Kutiego rozproszyła się wśród licznych potomków klanu. Dopiero w naszych czasach Ismael Diadié postawił sobie za cel zebrać z powrotem wszystkie te dzieła.

Diadié wyglądał jak ucharakteryzowany aktor: ciemny jak noc, wysoki i smukły, ubierał się w nieskazitelnie białe galabije człowieka pustyni, które w połączeniu z rogowymi okularami sprawiały, że miało się wrażenie obcowania z beduińskim intelektualistą. Podczas wykładów wygłaszanych w europejskich miastach Diadié z przyjemnością opowiadał, jak wędrował od wioski do wioski, nie zapominając o żadnym domku z niepalonej cegły, zamieszkiwanym przez członka swojego klanu, by zebrać rozproszone dziedzictwo oświeconego przodka. Fascynująca historia dla wszystkich wielbicieli powieści przygodowych.

Diadié wykonał kawał dobrej roboty. Udało mu się zgromadzić ponad trzy tysiące woluminów, niektóre z nich przedstawiały niezwykłą wartość. Większość pochodziła z Andaluzji, więc rząd hiszpański, podekscytowany tym sukcesem, postanowił sfinansować w Timbaktu bibliotekę, w której miały się znaleźć owe skarby. Prace budowlane rozpoczęły się w 2000 roku. W tamtym czasie Republikę Mali zaliczano do krajów rozwijających się, a politycy uważali, że stanie się krajem nowoczesnym i demokratycznym.

Niestety owe przypuszczenia okazały się mrzonką. W 2012 roku powstanie Tuaregów i dżihadystów obaliło rząd generała Amadou Toumaniego Tourégo (na Zachodzie nazywanego po prostu ATT), a pewnych obszarów nie dało się w żaden sposób kontrolować. W Europie zaczęto oględnie mówić o Mali jako o państwie, które nie istnieje, a jego upadek był skąpany we krwi.

Islamiści okrążyli historyczne Timbaktu, niegdysiejszą stolicę dawnych imperiów, skarbnicę dziedzictwa historycznego i kulturowego. Wielu miłośników kultury trzęsło się ze strachu na myśl o tym, co muzułmańscy fanatycy zrobią z miastem, gdy je zdobędą. Wspomnienie wysadzonych posągów Buddy w Bamianie było nadal bardzo świeże.

Różne organizacje międzynarodowe, między innymi UNESCO, pośpieszyły na ratunek zabytkom Timbaktu. Oczywiście cała operacja musiała zostać przeprowadzona, zanim islamiści wkroczą do miasta. Hiszpański rząd zaoferował przyjęcie pod swe skrzydła woluminów ze zbiorów Al-Kutiego, zgromadzonych w Bibliotece Andaluzyjskiej w Timbaktu, tych samych, które z takim trudem ocalił Ismael Diadié.

Ze względu na okoliczności operacja okazała się totalną prowizorką. Dżihadyści wkroczyli do miasta 6 kwietnia 2012 roku, o wiele wcześniej niż przypuszczano. Do Hiszpanii udało się przetransportować tylko niektóre tomy, reszta została w Mali i wiadomo, jaki spotkał ją los.

Niewiele osób wie, że Narodowy Korpus Poszukiwaczy uczestniczył w operacji. Działo się to zaledwie kilka lat przed tym, nim ja zostałem Poszukiwaczem. Pomoc Korpusu nie była jednak bezinteresowna. Jak ciągle powtarzała mi Danny, NKP nigdy nie działa z pobudek altruistycznych.

Czy nam się to podoba czy nie, w ostatecznym rozrachunku jesteśmy złodziejami.

Wśród woluminów ze zbiorów Al-Kutiego znajdował się niezwykle rzadki i cenny skarb: *Mardud* z Sewilli.

W tradycji islamskiej istnieją opowieści o czynach i słowach proroka Mahometa, zebrane przez jego uczniów i następców. Opowieści te zwane są hadisami.

Autentyczność hadisów musi być potwierdzona przez łańcuch religijnych autorytetów, które przekazywały je przez wieki w formie ustnej. Kryterium autentyczności hadisów bazuje na tak zwanym *isnadzie* – łańcuchu tradentów, osób przekazujących ustnie daną opowieść. Hadisom przyznaje się rozmaite stopnie autentyczności, od tych całkowicie prawdziwych, po te odrzucone, apokryficzne, zwane właśnie *mardudami*.

W dzisiejszych czasach bardzo trudno natrafić na opowieści apokryficzne. Bardziej rygorystyczne nurty islamu zwykle dążyły do ich zniszczenia. Za kompletny egzemplarz opowieści sklasyfikowanych jako *mardud* każdy kolekcjoner gotów byłby zapłacić fortunę.

Według słów Danny *Mardud* z Sewilli był prawdziwym skarbem nad skarbami. Chodziło o kodeks datowany na jedenasty wiek, sporządzony prawdopodobnie przez skrybów taify mającej stolicę w Sewilli. Zawierał on kompletną transkrypcję Koranu, przeplecioną apokryficznymi komentarzami. Owe komentarze zostały uznane za apokryficzne przez muzułmańskich dostojników religijnych, którzy przybyli do Hiszpanii z Almorawidami w czasach Cyda. To niemal cud, że *Mardud* z Sewilli zdołał się uchować przed ich cenzorskim zapalem.

Klan Al-Kutiego musiał przechowywać go w sekrecie przez całe stulecia, póki ostatni z jego członków nie opuścił Sewilli w piętnastym wieku, oczywiście razem z cennym skarbem.

Jako że *Mardud* zlecony został skrybom przez samego władcę Al-Mutamida, Poszukiwacze dostali cynk, że dzieło to stanowi nieodłączną część hiszpańskiego dziedzictwa historycznego i jako takie nie powinno się znajdować w jakiejś zapadłej bibliotece zagrożonej inwazją Timbaktu.

Oczywiście kwestia była dyskusyjna. Do kogo w rzeczywistości należy *Mardud*? Nawet jeśli niemal całkiem zapomniany władca Sewilli zapłacił za niego prawie tysiąc lat temu, czy naprawdę uczciwie jest twierdzić, że ta księga stanowi część hiszpańskiego dziedzictwa? A może jedynymi prawowitymi dziedzicami są potomkowie rodu Al-Kutiego, którzy przechowali go w ukryciu przez tyle lat? A może tom powinien pozostać w posiadaniu rządu Mali? Sprawa wydawała się złożona i niejednoznaczna. *Mardud* miał tylu domniemanych właścicieli, że ustalenie, do kogo faktycznie należy, mogłoby zająć całą wieczność.

Z tego powodu Poszukiwacze zaklasyfikowali go jako Czarne Dzieło.

Z grubsza rzecz ujmując, Czarne Dzieła to zabytki, które nie mają właściciela... Albo mają ich zbyt wielu. Są na tyle wartościowe, że dobrze byłoby pokazać je w muzeum, ale nikt nie ma odwagi tego zrobić, ze względu na konflikt pomiędzy domniemanymi właścicielami, jaki mogłyby wywołać.

W ciągu długich lat swego istnienia Narodowy Korpus Poszukiwaczy ocalił wiele takich Czarnych Dzieł. Chociaż nie można się nimi pochwalić, sam fakt ich posiadania stanowi powód do dumy.

Czarne Dzieło przechowuje się w tajemnicy przez bliżej nieokreślony czas.

Poszukiwacze lubią na nie polować, gdyż stanowi to zawsze duże wyzwanie.

W 2012 roku Korpus Poszukiwaczy wykorzystał zamieszanie powstałe wokół ratowania zbiorów Al-Kutiego z Timbaktu, żeby przejąć *Mardud* z Sewilli. Kiedy wolumin trafił do Hiszpanii, nikt nie miał pojęcia, co z nim począć. Narváez poczynił więc kroki, by umieścić go w madryckim Centrum Kultury Islamskiej. Dyrekcja ośrodka nie wiedziała – bo niespecjalnie chciała się dowiedzieć – skąd właściwie wziął się ten nowy kodeks, była natomiast świadoma jego wielkiej wartości i chętnie przyjęła go pod swoje skrzydła, nie zadając zbędnych pytań. Osoby, które o tym wiedziały, można policzyć na palcach jednej ręki.

Nie wiem, co Narváez chciał zrobić z kodeksem w przyszłości. Niewykluczone, że liczył na to, iż problem rozwiąże się sam. W końcu sytuacja w Mali była tak katastrofalna, że pozwalała przypuszczać, iż nikt nie będzie zawracał sobie głowy zaginionymi dziełami sztuki.

Pech chciał, że życie potoczyło się inaczej. Narvaeza zamordowano, islamiści zostali wyparci z Timbaktu, a lokalne władze zaczynały wykazywać zainteresowanie odzyskaniem dzieł ze zbiorów Al-Kutiego. I – to już była wisienka na torcie – wolumin został skradziony przez kogoś, kto doskonale znał wartość swojego łupu.

Zrozumiałem wtedy, czemu Danny tak bardzo się martwiła.

Zafascynowany opowieścią o sekretnych kodeksach, wypilem drugie piwo prawie duszkiem. Danny bawiła się okruszkami chleba, które zostały w oliwie po skonsumowanych przez nas tapas.

– Niezła historia.

– Tak – mruknęła. – Może nie tak dobra jak historia stołu kryjącego w sobie tajemnicę stworzenia, ale równie dziwna.

– I równie niezwykła – odpowiedziałem, zapalając papierosa. – Naprawdę poproszono nas, żebyśmy wykorzystali operację ratowania dzieł sztuki z Mali, by ukraść *Mardud*?

– Nie wiem dokładnie. Polecenie wydał Narváez. Nigdy się nie dowiemy, czy ktoś go o to poprosił, czy zrobił to z własnej inicjatywy.

– Zastanawiam się, kogo w tym wypadku należy uznać za złodzieja.

– Nie zaczynaj ze swoimi dylematami moralnymi, Tirso. Nudzą mnie.

– Przepraszam, to tylko taka luźna uwaga. – Zamyślony wypuściłem chmurę dymu. Zastanawiałem się nad implikacjami tej historii. – Co się stanie, jeśli policja odnajdzie wolumin wcześniej niż my?

– Sądzę, że zwrócą go władzom Mali.

– To dobrze czy źle?

– Dla nas słabo. Ktoś mógłby zacząć się zastanawiać, skąd księga wzięła się w Madrycie, mogłoby to postawić wiele osób w niekorzystnej sytuacji. Czy ktoś pociągnąłby nas do odpowiedzialności? Nie wiem, ale i nie chcę się dowiedzieć. – Danny spojrzała na mnie wyzywająco. – Poza tym księga należy do nas! My ją odzyskaliśmy i nie rozumiem, czemu ktoś miałby ją nam ukraść. Gdybyśmy jej nie zabrali, dżihadyści pewnie by ją spalili.

– Jasne. Nikt nie okrada Poszukiwaczy.

- Nie, przynajmniej dopóki ja należę do Korpusu.
- Rozumiem. Jeśli to ważna sprawa dla Korpusu, jest ważna i dla mnie.
- Wydajesz się prawie pewien tego, co mówisz.
- Nie mam żadnych wątpliwości natury moralnej, słowo harcerza – powiedziałem, uderzając się w piersi.

Udało mi się wywołać na jej twarzy szczery uśmiech. Byłem z siebie dumny, jakbym zdobył trudny szczyt.

- Dziękuję ci za wsparcie. Liczę na ciebie jutro, kiedy spróbuję opowiedzieć o wszystkim Alzadze.

Następnego dnia w Piwnicy Danny zdała relację z włamania. Cały Korpus znajdował się w sali konferencyjnej. Alzaga zasiadał u szczytu stołu. Miałem wrażenie, że słucha opowieści Danny z uwagą – opuścił głowę, złączył dłonie i nie przerwał jej ani razu.

Kiedy Danny skończyła, nasz szef zapytał o zdanie pozostałych. Ja, jak wcześniej ustaliliśmy, opowiedziałem się za pełnym zaangażowaniem Korpusu w poszukiwanie księgi. Bańka poparł mnie, choć nie wykazał zbyt wielkiego entuzjazmu.

Alzaga przez długą chwilę w milczeniu kiwał głową, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Rzeczywiście, wszystko wskazuje na to, że sytuacja jest bardzo delikatna. Mam nadzieję, że Brygada ds. Dziedzictwa szybko odnajdzie skradziony wolumin.

- A my będziemy siedzieć z założonymi rękami? – nie mogła uwierzyć Danny.

Alzaga spojrzał na nią spod uniesionych brwi.

– Sądzę, że Korpus zrobił już w sprawie kodeksu wystarczająco dużo. Przywiezienie go do Madrytu było nieroztropne.

- Tym bardziej powinniśmy go jak najprędzej odzyskać.

– Nie podzielałm twojej opinii, Danny. To zadanie policji. Nie powinniśmy się wikłać w spory kompetencyjne.

– Chcesz powiedzieć, że boisz się zaryzykować – odparowała Danny, nie na żarty zirytowana.

– Wszyscy mamy prawo do własnego zdania – powiedział nasz zwierzchnik spokojnie, cedząc słowa. – Danny, bardzo ubolewam nad tym, że mój sposób działania ci się nie podoba. Ale próbuję tylko zaprowadzić ład w strukturach przez ostatnie lata nazbyt chaotycznych i skłonnych do szalonej improwizacji. Pragnę, by nasza działalność stała się bardziej produktywna, i myślę, że się ze mną zgodzisz?

- Mamy być produktywni? Odzyskajmy więc tę cholerną księgę.

– W jaki sposób? – zapytał ją tonem, jakiego używa ojciec strofujący niecierpliwe dziecko. – Nie dysponujemy zasobami, by przeprowadzić operację takiego kalibru. Jest nas zbyt mało, Danny, zbyt mało. Nie widzisz, w czym problem? Potrzebuję więcej Poszukiwaczy.

- Miałeś sporo czasu, żeby ich znaleźć.

Danny nie poddawała się manipulacjom Alzagi. W przeciwieństwie do brata nie ufała ślepo przełożonym.

Szef westchnął głęboko. Zapadła cisza ciężka jak ołów.

– Niewykluczone, że masz rację. Może zgrzeszyłem nadmiarem ostrożności. Mam taki plan: daj mi trochę czasu, znajdziemy nowych agentów, a kiedy uznam, że jesteśmy dostatecznie liczni, rozpoczniemy poszukiwanie księgi.

– Nie mamy tyle czasu. Musimy odzyskać *Mardud*, zanim policja wpadnie na jego trop.

– Bądźmy rozsądni, Danny. Znam twoje zasługi dla tej organizacji i bardzo cię szanuję, dlatego proszę, żebyś pomogła zrobić wszystko tak, jak należy.

– Co to znaczy?

– Chciałbym, żebyś przygotowała dla mnie szczegółowy raport na temat potrzeb Korpusu. Profile potrzebnych agentów, informacje, gdzie ich szukać, metody rekrutacji, trening. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że jesteś idealną kandydatką, by wykonać to zadanie. Zrobisz to dla mnie?

Usłyszałem, jak Danny zgrzyta zębami.

– Jeśli nie jest to tylko sztuczka, żeby zamknąć mi usta...

Alzaga udał, że ów komentarz bardzo go zabolął.

– W żadnym wypadku! Obiecuję, że kiedy rozwiążemy problem rekrutacji nowych agentów, wrócimy do pracy w terenie. Wszystko w twoich rękach, Danny, im prędzej zrobisz to, o co cię proszę, tym szybciej rozpoczniemy działalność operacyjną. Co ty na to? Mogę na ciebie liczyć?

– Chyba nie mam wyboru – odburknęła Danny.

– Fantastycznie! Bardzo się cieszę, że mogliśmy wyjaśnić kilka nieporozumień. Spory bywają bardzo potrzebne. A teraz wracajmy do pracy.

Nasz szef udał się do gabinetu, a my zaczęliśmy się rozchodzić z posępnymi minami.

O *Mardudzie* z Sewilli nikt nie wspomniał ani słowem.

Danny pokłóciła się z Bańką. Do kłótni pomiędzy rodzeństwem, bardzo ze sobą zżytym, dochodziło niezwykle rzadko. Mieli za sobą smutną rodzinną przeszłość: matka ich opuściła, kiedy Danny była bardzo mała, a ojciec niedługo po tym odebrał sobie życie. Od tamtej pory mogli liczyć tylko na siebie.

Danny miała pretensje do brata, że boi się Alzagi, on się bronił, tłumacząc, że jest winien posłuszeństwo szefowi Korpusu. Bańka poszedł w końcu do swojego gabinetu ze spuszczoną głową. Pomyślałem, że nie powinienem zostawiać go samego, więc nie czekając na zaproszenie, pobiegłem za nim.

Gabinet Bańki był drugim co do wielkości – po gabinecie szefa – pomieszczeniem naszej Piwnicy. Cóż, korzyści płynące z bycia weteranem. Poszukiwacz zajmował go na tyle długo, by nadać mu osobisty charakter. Na ścianach wisiała seria artystycznych czarno-białych fotografii autorstwa samego Bańki. Większość z nich przedstawiała opustoszałe plaże z potężnymi formacjami skalnymi na horyzoncie, wzburzone morze i ołowiane niebo. Dobre zdjęcia, ale jak na mój gust zbyt ponure.

W kącie pomieszczenia, na komodzie ze stali i szkła, na niewielkiej podstawce znajdowała się wypełniona podpisami i przykryta szklanym kloszem piłka. Obok niej stała nieco staroświecka wieża audio. I stojak pełen płyt kompaktowych. Bańka słuchał niezależnego rocka i punka z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Kiedy zamykał się w swoim gabinecie, słuchał utworów Pixies albo The Clash, ulubione piosenki potrafił

puszczać na okrągło. Kiedy moja kanciapa sąsiadowała z jego pomieszczeniem, nauczyłem się na pamięć *Here Comes Your Man*.

Na biurku trzymał glinianą popielniczkę, zwykle po brzegi pełną petów, i starą puszkę po herbatnikach, która tak naprawdę nie mogła zmylić nikogo: wszyscy wiedzieliśmy, że zamiast ciastek trzyma w niej plastikową torebkę z marihuaną. Zdarzało się, że Bańka zamykał starannie drzwi, a przez szpary sączył się zapach unoszący się zwykle w akademikach. Nie byłem pewien, czy Narváez zdawał sobie sprawę z tej słabości Poszukiwacza, ale jeśli tak, to przymykał na nią oko.

Od czasu śmierci Staruszka z gabinetu Bańki nie dobywały się już odurzające opary. Chyba właśnie z tego powodu nie chciałem go zostawiać samego w tej sytuacji. Pomyślałem, że jeśli skręci sobie jointa i Alzaga go nakryje, Poszukiwacz wpakuje się w kłopoty.

W pomieszczeniu było jeszcze kilka niezwykłych przedmiotów, jak na przykład stary niemiecki pistolet z czasów hiszpańskiej wojny domowej, którego Bańka używał jako przycisku do papieru, niewielka szklana miseczka pełna kostek do gry na gitarze i oprawiona fotografia przedstawiająca chłopca w stroju drużyny rugby, który uśmiechał się, ukazując bezzębne dziąsła.

Bańka siedział za biurkiem, opierał głowę na zagłówku fotela i patrzył w sufit. W dłoniach trzymał niewielką piłkę do rugby, od czasu do czasu z zamyśloną miną podrzucał ją do sufitu, a potem chwycił w locie. Poczułem ulgę, widząc, że nie pali trawki.

– Wszystko w porządku? – zapytałem ostrożnie. – Nie słyszę Pixies...

– Idź w cholere, młody, to nie mój dzień – odparł. Rozpocząłem dyskretny manewr odwrotu, ale powstrzymało mnie mamrotanie: – Włazisz do mojego gabinetu bez pukania. Danny wrzeszczy na mnie jak wariatka. Chciałbym wiedzieć, co się z wami dzieje.

Odważyłem się podejść do biurka.

– Zanim zaczniesz się zastanawiać, co się dzieje z nami, może powinieneś się zdobyć na odrobinę autorefleksji.

– O co ci chodzi?

– Nie mam pojęcia, to ty powinieneś wiedzieć najlepiej. Od jakiegoś czasu mam wrażenie, że sprawia ci przyjemność obrażanie innych.

Bańka milczał. Odrzucił piłkę w kąt, a potem instynktownie sięgnął po papierosa. Nagle dotarło do mnie, że mam do czynienia z kimś kompletnie wyczerpanym. Wypalonym zawodowo.

– Młody, powiedz szczerze, nie masz już dość myślenia?

– Myślenia?

– Tak, właśnie myślenia. Nie robię nic innego w tej piwnicy. – Przymknął oczy i postukał się w czoło palcami, w których trzymał papierosa. – Rozmyślanie, niekończące się rozmyślanie. Czuję się uwięziony w tej dziurze i skazany tylko na wspomnienia.

– Rozumiem, że ci się nudzi, ale nie powinieneś odgrywać się na nas. Wszyscy jedziemy na tym samym wózku.

– Nie chodzi o nudę. Chcę tylko przestać wspominać. Jak, do cholery, mam to zrobić? Jak mam wyłączyć przeklęty mózg, żeby przestał mnie wreszcie wkurwiać? – Zgasił papierosa wypalonego w połowie, a za chwilę sięgnął po następnego. – Kiedyś

powiedziałeś, że Poszukiwacz nie powinien zbyt długo się zastanawiać. Teraz wiem, że miałeś rację.

Bańka nigdy nie był zbyt wylewny, nie potrafił ubrać własnych myśli w słowa, zwłaszcza jeśli dotyczyły one kwestii osobistych – rozmów na ten temat nienawidził szczególnie. Zrozumiałem jednak, że dokucza mu coś więcej niż zwykła nuda i musi się tym podzielić, ale nie ma pojęcia w jaki sposób.

– O czym tak w kółko rozmyślasz?

– O różnych rzeczach. O Staruszku na przykład. Pewnie byłby bardzo zawiedziony, gdyby się dowiedział, że pozwoliłem się zastąpić takiemu karierowiczowi jak Alzaga. Myślę, że... Zresztą, sam nie wiem. Może powinienem zawalczyć o schedę po Narvaezie? Może powinienem postarać się bardziej?

– Teraz nie ma to najmniejszego znaczenia.

– Prawda? Już po herbacie. Poza tym i tak bym nie wygrał. Zwłaszcza po tym, jak spieprzyłem całą akcję ze Stołem.

– Niczego nie spieprzyłeś. Znaleźliśmy ten Stół. To był nasz sukces, twój sukces, bo wtedy nami kierowałeś.

Poszukiwacz nadal unikał mojego spojrzenia. Utkwił wzrok w pistolecie, który obracał na palcu wskazującym.

– Marc nie powinien był zginąć w tej jaskini – powiedział, prawie nie poruszając ustami.

– Dlaczego teraz o tym myślisz?

– Nie wiem... Uważam tylko, że powinien żyć, nic więcej.

Marc został przyjęty do Korpusu Poszukiwaczy razem ze mną. Podczas naszej wyprawy po Stół Salomona ukryty w Jaskiniach Heraklesa Marc napatoczył się na naszego oponenta, Joosa Gelderohdego, psychopatę zafascynowanego historią sztuki, który w trakcie całej operacji nieustannie rzucał nam kłody pod nogi. Gelderohde na moich oczach jednym strzałem uśmiercił Marca.

Dopiero w tym momencie zdałem sobie sprawę, że Bańka czuje się odpowiedzialny za tę tragedię.

– Nie jesteś winny jego śmierci.

– A kto was zmusił, żebyście weszli do Jaskiń, żeby znaleźć ten przeklęty Stół?

– Nikt nas nie zmuszał. Poszliśmy za tobą, bo wierzyliśmy w powodzenie tej misji.

– Ale my nadal żyjemy. A on nie.

Obracał na stole pistolet, który na szklanym blacie wydawał drażniący odgłos. Zaczął mnie irytować, położyłem więc rękę na jego dłoni, by go powstrzymać.

– Jeśli to o tym tak stale rozmyślasz, pozwól, że ci powiem: to nie ma sensu. Daj sobie spokój!

– Nie mogę!

– Owszem, możesz. Musisz tylko znaleźć lepsze sposoby na wypalanie sobie neuronów. Poszukiwacz wpatrywał się w stary pistolet, jakby wcale mnie nie słuchał.

– Marc był głupim chłopakiem. Głupim i nieskomplikowanym. Zasługiwał na głupie i proste życie. A potem na śmierć ze starości we własnym łóżku, a nie na to, żeby zginąć od postrzału jako dwudziestokilkulatek. Nikt nie zasługuje na taki los.

– Spójrz na mnie, Bańka! – Uniósł wzrok z wysiłkiem, jakby jego powieki były z ołowiu. – Zostaw to gówno. Mówię serio. Daj sobie spokój.

Skrzywił się i znów spojrzał na pistolet.

– Łatwo ci mówić.

– Mylisz się. Byłem przy tym, gdy go zastrzelono. Musiałem zmyć jego krew z butów, gdy wyszedłem z tej jaskini. Wiesz, ile razy budziłem się w środku nocy z krzykiem, bo śniła mi się jego twarz na chwilę przedtem, jak dostał kulkę w łeb? Jeśli myślałbym o nim choć minutę co dzień, już dawno bym zwariował. Nie mogę sobie na to pozwolić. I ty też nie.

– A czym mam się zająć? Alzaga trzyma mnie tu przykutego do biurka, nie mam nic innego do roboty, jak myśleć w kółko o tym samym. Boże... Czasem wydaje mi się... – zacisnął szczęki – że gość robi to specjalnie.

Poczułem wielkie współczucie dla Bańki. Żał było widzieć go w takim stanie. Moja antypatia wobec Alzagi zaczęła zmieniać się w nienawiść. Nie chciałem dopuszczać do siebie myśli, że nasz szef prowadził z Bańką perwersyjną psychologiczną grę, żeby go wykończyć.

– Może ślepe posłuszeństwo Alzadze nie jest w tej chwili dla ciebie najlepszym rozwiązaniem.

– Danny też tak sądzi. Ale czy mam inne wyjście? To on teraz rządzi.

– Nie wiem, czy masz inne wyjście, ale zastanowienie się nad nim być może byłoby dla ciebie mniej autodestrukcyjną zabawą.

Bańka milczał. Nie przychodziły mi do głowy żadne słowa pocieszenia, więc wyszedłem, zostawiając go sam na sam ze swoimi myślami.

Kilka minut później rozmyślałem o tej rozmowie w swoim gabinecie. Czuję się przygnębiony.

Wówczas usłyszałem piosenkę *Complete Control* The Clash, dobiegającą z pomieszczenia Bańki. Miałem nadzieję, że to dobry znak.

YOKAI

Odkąd Tesla, nasz ostatni ekspert do spraw technologicznych, zginął śmiercią tragiczną (i w pewnym sensie zasłużoną) podczas poszukiwania Stołu Króla Salomona, Korpusowi brakowało informatyka.

Zamiast znaleźć następcę Tesli, Alzaga skorzystał ze znajomości w Narodowym Centrum Wywiadu i poprosił, by jeden z zatrudnionych tam informatyków pomógł nam w najbardziej podstawowych sprawach. Mogliśmy się do niego zwrócić, kiedy zrywało się nam połączenie z internetem albo któryś z naszych komputerów zaczynał wariować.

Nasz Korpus nie utrzymywał właściwie kontaktów z NCW. Agentów wywiadu nazywaliśmy pogardliwie bondami. Myślę, że w naszych wzajemnych relacjach dominował duch rywalizacji, jak pomiędzy dwiema drużynami piłkarskimi z tego samego miasta. Nigdy nie prosiliśmy ich o pomoc, jeśli tylko mogliśmy tego uniknąć, oni zaś ignorowali nas, uważając za bandę darmozjadów. Słyszałem jednak, że mimo tej niechęci wielu agentów naszego Korpusu, kiedy zmęczy się karierą Poszukiwaczy, przechodzi do wywiadu, podobnie jak wielu Poszukiwaczy zaczynało swą karierę w NCW.

Z tych właśnie powodów pomyśl, by jakiś bond odwiedzał nas regularnie i zaglądał do naszych komputerów, wcale nie przypadł nam do gustu. Oczekiwaliśmy kogoś w rodzaju zarozumiałego przystojniaka, który będzie spoglądał na nas z góry, a jego oddech będzie pachniał martini i wódką.

Muszę przyznać, że doznaliśmy rozczarowania: informatyk z Narodowego Centrum Wywiadu okazał się zwyczajnym, sympatycznym facetem. Raz na tydzień odwiedzał nas w Piwnicy i sprawdzał wszystkie komputery, pomagał nam też rozwiązywać problemy. Rzadko zabawiał u nas dłużej niż godzinę, a potem znikał bez śladu na kolejny tydzień.

Rzeczony bond miał na imię Mateo, nie znaleźliśmy jego nazwiska. Wyglądał na trzydzieści kilka lat, jego twarz była okrągła i dobrotliwa. Włosy ścinał na krótko, co i tak nie maskowało okazałej łysiny, zostawiał tylko długie baczki. Nie mieliśmy pojęcia, co dokładnie robił w NCW, on również nie wypytywał o naszą działalność. Mateo był wzorem dyskrecji.

Tego dnia, kiedy odbyłem rozmowę z Bańką, przypadła właśnie cotygodniowa wizyta Matea. Zwykle przychodził około pierwszej, żeby móc potem zaprosić na lunch Enigmę. Chyba bardzo mu się podobała, a ja czasem się przyglądałem, jak stara się ją poderwać, stosując strategie rodem z baru nocnego, i podśmiewałem się w duchu. Nie zaliczyłbym naszego bonda do grona zawodowych uwodzicieli.

Mniej więcej o wpół do drugiej wyszedłem ze swojej kanciapy i ruszyłem w kierunku recepcji. Oczywiście zastałem tam Matea, który majstrował coś przy komputerze Enigmy. Wyjaśnił, że zmienia jej program antywirusowy.

– Co to za program? – dopytywała się Enigma. – Co zrobiłeś z moim starym, dobrym

Nortonem?

– Zastąpiłem go Blue Starem. To dużo lepszy antywirus, sami go używamy.

– Podoba mi się nazwa, ale nigdy o nim nie słyszałam. To nowość?

– Mniej więcej, wypuszczony przez Voynicha kilka miesięcy temu.

Na dźwięk słowa Voynich szybko zareagowałem.

– Cześć, Mateo – przywitałem się. – Mam pytanie: słyszałeś o programie Heimdall?

– O tak, jest świetny! – powiedział tonem, jakim rozmawia się o najlepszych markach samochodów. – Powinniście przekonać muzeum do jego zakupu, tutejszy system zabezpieczeń to totalna prowizorka.

– To też program Voynicha, prawda?

– W dodatku jeden z najlepszych. – Mateo, jak większość informatyków znajdujących się na rzeczy, wyrażał się o Voynichu w samych superlatywach. Kiedyś powiedział, że Apple ma się do Voynicha tak jak gołąb pocztowy do światłowodu. – Wiedziałeś, że jego nazwa to imię boga strzegącego Walhalli, mitycznego raju wikingów? Ci z Voynicha lubią nadawać wyszukane nazwy swoim programom, dbają o kulturalny sznyt.

Postanowiłem mu przerwać, zanim zasypie mnie opowieściami o swojej ulubionej firmie. Mógł gadać o niej godzinami.

– Jak dokładnie działa?

– To skomplikowane. Uaktywnia się go za pomocą kodów dostępu, które zmieniają się w sposób losowy. Zawsze ktoś musi go kontrolować i wprowadzać kody dostępu, żeby system działał. Jeśli po upływie danego czasu nie wprowadzi się kodu lub wprowadzi się kod niepoprawny, natychmiast włącza się alarm. Można go wyłączyć tylko wtedy, kiedy wprowadzi się poprawne hasło służące specjalnie do tego celu, też generowane co pewien czas.

– W jaki sposób można obejść ten system?

– Nie można, chyba że jesteś prezesem Voynicha albo najlepszym hakerem na świecie. Heimdall używa firewalli, które są niczym pancerne drzwi. Jest jak Fortefort TMG podniesiony do entej potęgi. Ci z Voynicha nie używają filtrów PF, tylko czegoś, co nazywa się VF, wymyślonego przez nich. Twardy orzech do zgryzienia.

– Dobra, wyobraź sobie, że nie mam pojęcia, o czym mówisz. Mógłbyś wyjaśnić mi to innymi słowami? – zapytałem.

– Wyobraź sobie żelazny kubek otoczony warstwą cementu, kolejną warstwą tytanu, a potem kręgiem błyskawic, a wszystko to w fosie pełnej rekinów i piranii. Tak mniej więcej działa firewall VF.

– Rozumiem. Praktycznie nie do przejścia.

– No nie, tego bym nie powiedział. Nie sądzę, żeby w dzisiejszych czasach ktokolwiek potrafił zaprojektować firewalla, którego nie da się złamać. Ale żeby dokonać tego w przypadku VF, trzeba być czarodziejem. Odkąd pracuję w Centrum, spotkałem się tylko z dwoma zdolnymi do tego hakerami, przy czym jeden z nich od trzech lat gnije w chińskim więzieniu.

– A drugi?

– Nawet nie wiem, czy naprawdę istnieje. W Centrum sądzimy, że to tylko błaga internautów.

– Brzmi fantastycznie – stwierdziła Enigma. – A ten haker widmo ma jakieś imię?

– Znany jest jako Yokai.

„Yokai”. Po japońsku duch. Bardzo sugestywne.

– A ten cały Yokai potrafiłby rozbroić Heimdalla? – zapytałem.

– Cóż, internet huczy od pogłosek, że mógłby wywołać nawet technologiczną apokalipsę, gdyby miał taki kaprys, ale ja bym w to specjalnie nie wierzył. Hakerzy to bardzo zarozumiała społeczność, lubią myśleć, że dysponują nadprzyrodzonymi mocami. Jak mówiłem, niewykluczone, że Yokai w ogóle nie istnieje.

– W takim razie dlaczego jest taki sławny?

– Świat informatycznych piratów lubi kreować antybohaterów. Jeśli pewnego dnia ktoś w Tokio włamie się do NSA, ktoś inny w Nowym Jorku złamie szyfry do bazy danych NATO, a ktoś zupełnie inny w Melbourne sprawia, że zawiesza się Facebook na całym świecie, zawsze znajdzie się jakiś spryciarz, który ogłosi: „Ej, chłopaki, to byłem ja! To ja zrobiłem to wszystko. Nazywam się Yokai. Jestem cholernym hakerskim bogiem”. Często się tak zdarza.

Zamyśliłem się przez chwilę nad słowami Matea. Potem zapytałem:

– A gdybym chciał się skontaktować z tym hakerem? Jak mógłbym to zrobić?

Mateo się roześmiał.

– No, ogłoszenie w gazecie raczej nie rozwiąże sprawy.

– Pytam serio, jak mógłbym go znaleźć?

– Będziesz polował na hakera? – zapytała Enigma. – Wspaniale, piszę się na to. Nie wykorzystałam jeszcze przerwy na lunch.

– Dajcie spokój – obruszył się Mateo. – Mówicie poważnie?

– Pomóż nam. To się zapowiada obiecująco – poprosiła Enigma, obdarzając Matea najbardziej uwodzicielskim ze swych uśmiechów. – Pokaż mi, jak wiele potrafisz.

Informatyk zaczerwienił się po same uszy. Nie miał wyjścia, musiał się zgodzić.

– Dobrze. Niech wam będzie. W końcu możemy się chwilę pobawić...

Enigma spojrzała na mnie i dyskretnie puściła oko.

Udaliśmy się do mojego komputera. Mateo włączył go, a potem zrobił minę, jakby znalazł niemiłą niespodziankę przyklejoną do podeszwy buta.

– Co to ma być? Nie, nie, to jakieś żarty. Jeśli mamy złapać hakera, muszę mieć komputer, a nie jakiś antyk z demobilu. Nawet moja siostrzenica ma na swoim tablecie więcej aplikacji. Nie macie tu innego sprzętu?

– Ma rację, Faro – przyznała Enigma. – Myślmy przyszłościowo. Chodźmy do Graciarni.

Graciarnią nazywała pokój, w którym mieściło się niegdyś biuro Tesli. Od śmierci informatyka nikt nie odważył się przekroczyć jego progu. Pomieszczenie przypominało nam ponure cmentarzysko, w którym duch towarzysza – zdrajcy, sprzedającego tajemnice największym wrogom Korpusu, unosi się ponad starymi, bezużytecznymi sprzętami.

Nikt nie posprzątał warsztatu Tesli. Nadal wałało się tu mnóstwo popowych gadżetów, po podłodze poniewierały się części komputerów i płyty z gramami oraz sprzęt najnowszej generacji, którego nikt z nas nie potrafił używać. Prawdę mówiąc, jego śmierć była dla nas

wielką stratą. Tesla był wprawdzie zdrajcą, ale też informatycznym geniuszem i do tej pory nie znaleźliśmy nikogo, kto mógłby go zastąpić.

Mateo włączył jeden z komputerów nieżyjącego Poszukiwacza, a na jego twarzy pojawił się błogi uśmiech.

– No, to zupełnie inna sprawa! – wykrzyknął. – Macie tu takie cacka i pracujecie na tych przedpotopowych rzeczach?

Mateo skorzystał z Voutera, by połączyć się z deepnetem, ukrytą częścią internetu, o której zwykli użytkownicy nawet nie mieli pojęcia. Bawił się komputerem przez długą chwilę, jak dziecko, które dostało nową i drogą zabawkę. W końcu wydał okrzyk radości.

Trafił na Herkulesa, wyszukiwarkę stworzoną przez Teslę. Najlepszy detektyw w sieci, jak zapewnił mnie kiedyś sam Tesla.

– Niesamowite! To wasza wyszukiwarka?

– No tak, Herkules. Wcześniej korzystaliśmy z niego na co dzień...

– A czemu przestaliście? Przecież ten program to majstersztyk! Nie zdajecie sobie sprawy, ile byśmy dali, żeby mieć takie cacko. Muszę wiedzieć, skąd je wytrzasnęliście.

Mateo przez jakiś czas badał rozmaite możliwości Herkulesa. Osobiście nigdy nie zdołałem zaznajomić się z obsługą programu, ale wiedziałem, że dla osób oblatanych w kwestiach informatycznych nie stanowiło to większego problemu. Marc na przykład bardzo szybko nauczył się go obsługiwać.

Rozejrzeliśmy się z Enigmą za czymś, co pozwoliłoby nam usiąść w tym cementarzysku technologicznych gratów i w spokoju napawać się pokazem Matea, który najwyraźniej chciał nam udowodnić, czemu jest najlepszym informatykiem pośród bondów. Po długiej chwili przeglądania deepnetu za pomocą Voutera znalazł to, czego szukał.

Na monitorze ukazała się nam strona przypominająca zwykły czat.

– Co to? – spytała Enigma.

– TorDir. Zaczynamy od podstaw. Czat hakerów, jeden z najstarszych. Zapytamy tu i zobaczymy, co z tego wyniknie.

Mateo wpisał pytanie po angielsku i po hiszpańsku:

„Ktoś ostatnio widział Yokaiego?”

Kilka sekund później na ekranie ukazało się kilkanaście odpowiedzi. Większość rozmówców utrzymywała, że nie, ale pokazało się też kilka typu: *Yokai to ja. Chyba nie wiesz, jak wielka jest moja moc*, albo: *Yokai od dawna nie żyje. Wszyscy jesteśmy martwi, ty też*. Ostatni post zaintrygował Enigmę.

– Ten czat jest bardziej interesujący, niż sobie wyobrażałam – przyznała.

Mateo nie dał się zwieść pozorom. Kilka minut później uznał, że TorDir to ślepy zaułek. Zaczął szukać innego czatu, objaśniając nam kolejne kroki. Potrafił przełożyć informatyczny żargon na proste analogie, za co byłam mu bardzo wdzięczny.

– Zrobimy sobie wycieczkę od góry do dołu, jakbyśmy wędrowali od ostatniego piętra budynku do piwnic. Najpierw najstarsze i najpopularniejsze czaty: TORCH, Dark Nexus, ParaZite... Wolałbym nie zaglądać do takich miejsc jak InterXup, tam spotkamy tylko zbrojców i handlarzy narządami. Nie przestraszcie się, jeśli wyskoczy nam coś dziwnego, deepnet to mroczne miejsce.

– A ten czat? Nazywa się Bortax, podoba mi się ta nazwa – powiedziała Enigma.

– Nie przyda się nam, chyba że któreś z was mówi po klingońsku. Tutejsi bywalcy używają wyłącznie tego języka.

Przez niemal godzinę przeglądaliśmy rozmaite czaty deepnetu, nawołując hakera, ale nie uzyskaliśmy żadnej odpowiedzi. Mateo specjalnie się tym nie zdziwił.

– Kiedy szukasz hakera, zostawiasz mu wiadomość w deepnecie. Czasem odpowiada, czasem nie. Taki to już los. Mówiłem, żebyście nie robili sobie nadziei.

Minęło dwadzieścia minut. Zaczęliśmy już godzić się z tym, że nie upolujemy Yokaiego.

– Spróbujemy raz jeszcze. Na BloodDocie. Jeśli tam go nie ma, gość po prostu nie istnieje – oznajmił Mateo.

– A czemu nie zaczęliśmy od tego? – zapytała Enigma.

– Wolałem tam nie zaglądać. To miejsce gromadzi dziwnych ludzi. Bardzo dziwnych. Strach się bać.

Mateo otworzył okienko czatu. Ekran zabarwił się na krwistoczerwony kolor, na którym ukazały się czarne napisy. Znów wpisał ten sam tekst:

„Ktoś widział Yokaiego?”

Ukazała się jedna odpowiedź. Po hiszpańsku.

„Kien lo buska?” ¹

Mateo się skrzywił.

– Chyba go mamy.

– Skąd wiesz? – spytałem, czując, że serce zabiło mi szybciej.

– Nie jestem pewien, ale pisze w sposób charakterystyczny dla niego, zamieniając „c” na „k”. Hakerzy zwykle mają swój znak rozpoznawczy, to właśnie znak Yokaiego. Poza tym odpowiedział po hiszpańsku. Plotki głoszą, że Yokai jest Hiszpanem lub Latynosem.

Odpowiedź nadal widniała na czerwonym ekranie.

– Co mu odpowiemy? – zapytał Mateo.

– Zawsze powtarzam, że najlepsza jest szczerowość – odparła Enigma i wystukała na klawiaturze:

„Nazywam się Faro”.

Odpowiedź nadeszła natychmiast.

„Twoja ksywa ssie”.

– Ale z niego cham – prychnęła oburzona Enigma. A potem napisała:

„Ty jesteś Yokai?”

Tym razem odpowiedź była grzeczniejsza.

„+Chodź do mnie+, powiedziałem.

Ale świetlik

Odleciał”.

– Co to ma znaczyć? – zapytałem.

Enigma się uśmiechnęła.

– To haiku – wyjaśniła. – Czyż nie jest piękne? Ten cały Yokai ma duszę poety.

– No, chyba rzeczywiście go znaleźliśmy. Pytanie tylko: co teraz?

– Chcę z nim pomówić – odparłem.

– No to dawaj, nie będziemy ci przeszkadzać.

– Ale muszę wiedzieć, kto to jest. Jak się nazywa.

– Masz pecha. Bo akurat tego na pewno ci nie powie.

– Jesteś przecież specjalistą, nie możesz sprawdzić, kto pisze te wiadomości? Namierzyć go? Sam nie wiem.

– A niby jak miałbym to zrobić? To nie działa tak jak w filmach. Sprawa jest skomplikowana.

– Skorzystaj z Herkulesa – zaproponowała Enigma. – Na pewno zadziała. Tesla uważał, że Herkules wyśledzi wszystko.

Mateo zagryzł dolną wargę. Nerwowym gestem przetarł okulary ściągaczem swetra.

– Wiecie co? – rzucił w końcu. – Spróbuję, a nuż się uda? No jasne, sprawdzimy, co potrafi to wasze cacko. – Mateo, podekscytowany nowym wyzwaniem, włączył Herkulesa. – Zagadajcie go, żeby wrócił.

– Zostawcie to mnie. Uwodzenie poetów to moja specjalność.

Jej palce zatańczyły na klawiaturze:

„Chcę rozmawiać z Yokaim”.

Odpowiedź nadeszła natychmiast.

„Nie wiadomo, czy on chce rozmawiać z tobą”.

– Hm, zobaczmy, co powiesz na to – wymamrotała Poszukiwaczka. Napisała kolejną wiadomość:

„Samotna kobieta

Budzi się i patrzy

Na pudełko z ważkami”.

Anonimowy rozmówca odpowiedział emotikonem uśmiechniętej buźki. A potem dodał:

„Podoba mi się”.

„Teraz mogę rozmawiać z Yokaim?”

Kilka sekund później ukazała się odpowiedź:

„Możesz”.

– Świetnie! – wykrzyknął Mateo. – Przytrzymaj go jeszcze trochę. Herkules pracuje.

„Czy to ty?” – zapytała Enigma.

„To ja. We własnej osobie”.

„Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz?”

„Nie kłamię. Powiedz, czego chcesz”.

– Już go zwabiłam, teraz twoja kolej.

„Znasz program Heimdall?” – napisałem.

„Znam”.

„Potrafiłbyś go zhakować?”

„Bułka z masłem”.

„Jak byś to zrobił?”

„Czemu chcesz wiedzieć?”

„Nie twoja sprawa”.

„Jesteś gliną?”

„Nie, nie jestem policjantem”.

„A może jednak? Pierdol się, gliniarzu”.

– Cholera, zaraz się ulotni – powiedziałem. Spojrzałem na Matea, który wzruszył

ramionami: Herkules jeszcze nie zdołał zlokalizować komputera, z którego pisał Yokai.

Napisałem czym prędzej kolejną wiadomość:

„Co mam zrobić, żebyś mi uwierzył?”

„Chichichi”.

„Z czego się śmiejesz?”

„Z ciebie. Wiem, kretynie, że nie jesteś gliną”.

„Powiesz mi, jak zhakować Heimdalla?”

„Pieprz się, Kawalerze Poszukiwaczu. Nie będę odwałał za ciebie roboty”.

Poczułem się, jakby ktoś wylał mi na głowę kubeł lodowatej wody. Wgapiłem się w ekran z głupią miną. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Jak, do cholery...? – wyszeptała Enigma.

Yokai napisał znowu:

„Znasz skądś tego gościa?”

Na ekranie ukazał się skan. Na jego widok serce zamarło mi w piersiach.

Miałem przed sobą własny dowód osobisty.

– Kurwa – powiedziałem niemal bezgłośnie.

„Tak to bywa, kiedy pogrywasz z mądrzejszymi, debilu”.

Nagle z głośników komputera popłynął utwór *Banana Split The Dickies*. Ekran czatu zniknął, a w jego miejsce pojawił się gif, na którym Godzilla odrywa głowę księżniczce z filmów Disneya. Księżniczka miała moją twarz, ze zdjęcia w dowodzie.

Zacząłem stukać w klawisze, ale animacja nie chciała zniknąć. Kilka chwil później komputer się wyłączył, a w warsztacie zapadła cisza.

Odchyliłem się do tyłu w fotelu.

– Dobry jest – mruknąłem, nie mogąc się otrząsnąć. – Bardzo dobry.

– Tak, niezły – przyznał Mateo. – Ale głupszy niż sądzi. Herkules go namierzył. Mam jego adres IP.

Mateo zamknął laptopa tryumfalnym gestem jak kowboj, który po udanym strzale chowa rewolwer do kabury.

Mając IP, nietrudno było zlokalizować komputer, z którego pisał Yokai. Istnieją dziesiątki służących do tego celu programów, niezbyt trudnych w obsłudze. W Korpusie używaliśmy VSeek IP Map Pro, wypuszczonego oczywiście przez Voynicha. Nie potrzebowaliśmy pomocy żadnego bonda, Enigma swobodnie posługiwała się programem.

Mateo wrócił do siebie, a my zaczęliśmy szukać komputera Yokaiego. Enigma wprowadziła numer IP i po chwili ukazała się nam satelitarna mapa z lokalizacją zaznaczoną czerwonym punktem.

– Dobrze. Mam dwie wiadomości: dobrą i złą. Dobra jest taka, że komputer znajduje się w okolicach Madrytu, a dokładnie w Escorialu. Zła natomiast jest taka, że z pewnością musi być fałszywa.

– Czemu?

– Słonko, nie wierzę, żebyśmy mieli tyle szczęścia: haker, którego szukamy, nie dość, że jest Hiszpanem, to jeszcze mieszka niecałą godzinę drogi stąd? To oczywiste, że Yokai zdołał przenieść swoje IP na inny komputer. Mateo mówił, że hakerzy to potrafią.

– Może masz rację, ale jednak zlokalizował go Herkules. Ufam tej najlepszej przeglądarce świata. – Tak naprawdę nie do końca wierzyłem we własne słowa, ale nie chciałem się jeszcze poddawać, a ten adres stanowił nasz jedyny ślad.

– No dobra. I co masz zamiar teraz zrobić?

Powiększyłem mapę satelitarną.

– Czerwona kropka wskazuje nam domek w dzielnicy willowej. Możemy się dowiedzieć, kto tam mieszka?

– Ty pewnie nie możesz, ale ja mam swoje sposoby, o których nie masz pojęcia. Daj mi godzinkę. – Odwróciła się na krześle i spojrzała mi w oczy. – Słuchaj, nie chcę, żebyś pomyślał, że mnie to nie bawi, bo to nieprawda, ale zastanawiam się, dlaczego tak bardzo zależy ci na złapaniu tego pirata.

– Mówił, że potrafi zhakować Heimdalla. Jeśli nie blefuje, też chcę wiedzieć, jak to się robi.

– Czy ma to związek z kradzieżą *Mardudu*?

– Tak. Jeśli zrozumiemy, w jaki sposób złodzieje wyłączyli alarm, być może dowiemy się o nich czegoś więcej. A poza tym możliwe, że to sam Yokai unieszkodliwił alarm w Centrum Kultury Islamskiej.

– Nie liczyłabym na tak niewiarygodny zbieg okoliczności.

– Czemu nie? Ten gość wie, kim jesteśmy. Ma mój dowód osobisty. Chciałbym spotkać się z nim twarzą w twarz i zadać mu kilka pytań.

– Dobrze, możemy się dalej w to bawić, ale założę się o kolację, że to ślepy zaułek. W dobrej restauracji. Z tych droższych. Z bufetem świetnych sałatek. A ty włożysz krawat.

Przyjąłem zakład i zadowolona Enigma wzięła się do roboty. Sam wróciłem do swojej kanciapy. Zrobiło się dość późno i zostaliśmy w Piwnicy sami.

W dochodzeniu w sprawie kradzieży *Mardudu* nie trzymałem się żadnej konkretnej linii. Jako dochodzeniowiec działałem dość chaotycznie, pozwalając się porywać przeblyskom intuicji. Liczyłem się więc z tym, że będę musiał postawić Enigmie tę kolację i włożyć jeden ze swoich znienawidzonych krawatów.

Nie wiem, skąd wzięła się u mnie ta obsesja na punkcie legendarnego hakera i programu Heimdall. Chyba zapaliła mi się w głowie czerwona lampka, kiedy usłyszałem, że to program Voynicha.

Miałem powody, by przypuszczać, że za wieloma przeszkodami, na które natrafiliśmy, szukając Stołu Salomona, stał właśnie Voynich. Wiedziałem, że ktoś używający pseudonimu Lilith próbował zawładnąć przed nami tym cennym dziełem sztuki. Ten ktoś wynajął płatnego mordercę Joosa Gelderohdego i płacił Tesli za składanie raportów z naszych działań. Różne przesłanki pozwoliły mi się domyślać, że Lilith ma coś wspólnego z firmą Voynich, ale mimo upływu czasu nadal błędziłem po omacku i nie udało mi się niczego udowodnić.

Moja narzeczona z czasów studenckich została zatrudniona przez Voynicha. To od niej dowiedziałem się, że firma pracuje nad projektem o kryptonimie Lilith. Powiedziała mi o tym kilka miesięcy wcześniej, tuż przed wyjazdem do Kalifornii, gdzie miała zacząć pracę w siedzibie korporacji.

Próbowałem skontaktować się z Silvią, by zadać jej kilka pytań dotyczących

tajemniczego Projektu Lilith, o którym, poza enigmatyczną nazwą, nie miałem bladego pojęcia. Napisałem do niej kilka mejli na adres, który podała mi przed wyjazdem, ale nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Wydało mi się to podejrzane. Ostatni mejl dostałem z powrotem z informacją, że taki adres poczty elektronicznej nie istnieje. Zadzwoiłem do Silvii na jej hiszpański numer – jedyny, jaki miałem – ale odbyłem tylko krótką pogawędkę z pocztą głosową. Napisałem nawet wiadomość do działu informacji Voynicha, tłumacząc, że muszę się z nią skontaktować. Otrzymałem suchą odpowiedź: polityka firmy nie pozwala udzielać żadnych informacji nikomu poza bliskimi krewnymi pracowników i takie tam komunały.

Miałem wrażenie, że Silvia zapadła się pod ziemię.

Podczas ostatnich miesięcy wielokrotnie dzieliłem się z kolegami z Korpusu moimi podejrzeniami dotyczącymi Voynicha. Większość z nich sądziła, że moje obawy ocierają się o paranoję, jedynie Enigma brała je na poważnie, ale ona lubowała się w niewiarygodnych historiach. Te spiskowe należały do jej ukochanych.

Silvia zniknęła, a koledzy zaczęli się podśmiewać z mojej obsesji, niewiele mogłem więc zrobić w kwestii Voynicha i osnutego tajemnicą projektu o kryptonimie Lilith. Z biegiem czasu zupełnie o tym zapomniałem.

Teraz, po upływie kilku miesięcy, temat Voynicha powracał, w dodatku w związku ze sprawą dotyczącą Narodowego Korpusu Poszukiwaczy. Może to czysty przypadek, że oprogramowanie systemu nadzoru Islamskiego Centrum Kultury było autorstwa Voynicha? Systemu nadzoru, który wszyscy uważali za niezawodny?

Jak to się stało, że właśnie tego dnia, kiedy skradziono *Mardud* z Sewilli, system zasnął? A potem obudził się w dokładnie przewidzianym momencie?

Mateo powiedział coś, co dało mi do myślenia. Według niego jedyną osobą zdolną wyłączyć system nadzoru był niezwykle sprytny haker... Albo sama firma Voynich.

Nie miałem jeszcze odwagi, by poważnie rozważyć teorię, że za kradzieżą *Mardudu* stoi Voynich. Wiedziałem, że zostałemby okrzyknięty Księciem Konspiracji, Władcą Krainy Paranoi. Chciałem wcześniej wykluczyć wszystkie inne hipotezy, dlatego właśnie miałem tak pilną potrzebę zlokalizowania Yokaiego.

Niecierpliwie czekałem, aż Enigma namierzy właściciela willi, którego adres IP był zbieżny z należącym do naszego hakera. Nie zajęło jej to nawet godziny. Zjawiała się w mojej kanciapie z uśmiechem na ustach i usiadła na biurku.

– Chyba coś dla ciebie mam. Mogę liczyć na jakiś rewanż?

– Proponuję ci w zamian moją dozgonną wdzięczność.

– E tam, to nic nowego. – Położyła na biurku kartkę. – Właścicielką domu, w którym znajduje się komputer Yokaiego, jest Julia Sánchez Prado. Masz tu jej numer telefonu, datę urodzenia i numer dowodu osobistego. Pochodzi z Bilbao.

– Yokai jest kobietą?

– Chętnie bym przyznała, że najlepszy haker świata jest kobietą, ale nadal sądzę, że ten trop prowadzi donikąd. Możesz już szykować krawat.

– Nie poddam się bez walki.

Podniosłem się z krzesła i zdjąłem z wieszaka płaszcz.

– Chyba nie masz zamiaru jechać do tej biednej kobiety, prawda?

– Czemu nie? Chcesz mi towarzyszyć?

Enigma zamyśliła się na chwilę.

– Jasne – powiedziała w końcu. – Zrobisz z siebie idiotę i będzie to spektakularne widowisko. Jeśli nikt z nas nie stawi się na miejscu, kto opowie o tym reszcie?

Zeskoczyła z mojego biurka i razem wyszliśmy z Piwnicy.

Osiedle nosiło nazwę Montelari i znajdowało się na peryferiach Escorialu. Kuliło się u podnóży najniższych pagórków tutejszej wyżyny. Gdzieś w oddali majaczyły kopuły Królewskiego Klasztoru.

Po obu stronach szosy wijącej się przez osiedle od czasu do czasu pojawiały się niewielkie domki. Wyglądały na opuszczone. Miejsce sprawiało wrażenie wakacyjnej enklawy, z pewnością ożywało latem, zimą sprawiało natomiast dość przygnębiające wrażenie.

Tutejsze domy były stare i raczej skromne, w większości jednopiętrowe. Działki pełne drobnych skał i kamieni, porośnięte dębami, oddzielały niskie granitowe ogrodzenia.

Dom, którego szukaliśmy, stał na samym końcu ulicy. Za nim malowały się sylwetki gór wrzynających się w szare zimowe niebo. Kiedy wysiedliśmy z samochodu, poczułem zapach palonego drewna. Ciszę mąciło czasem dalekie ujadanie psów.

Budynek był do tego stopnia pozbawiony stylu, że miało się wrażenie, iż pochodzi z masowej produkcji. Ogródek za to wyglądał na starannie pielęgnowany. W rogu znajdowała się koszmarna fontanna, z tych sprzedawanych w supermarketach z artykułami do domu i ogrodu, które wstawia się najczęściej w restauracjach organizujących wesela, bankiety i pierwsze komunie. Obok fontanny stała gipsowa figurka kreta w stroju ogrodnika. Z trawnika wystawało wiele kolorowych wiatraczków.

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami.

– Jaki masz plan? – zapytała Enigma.

– Jeszcze nie wiem. Będę improwizował – odparłem.

– Ale pośpiesz się, proszę. Mam wrażenie, że kret-ogrodnik śledzi mnie wzrokiem.

Zadzwoiłem. Po chwili drzwi otworzyła kobieta. Wyglądała zupełnie zwyczajnie: starsza, siwe włosy, siatka drobnych zmarszczek wokół oczu i ust. Miała nieumalowaną twarz, a na sobie domowy strój.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Czy pani Julia Sánchez?

Obrzuciła mnie dość nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Tak. W czym mogę państwu pomóc?

– Przepraszamy za kłopot – wymamrotałem. – Chcieliśmy zapytać, czy ma pani komputer z dostępem do internetu?

– Tak, mam. Są państwo z firmy telekomunikacyjnej? Przykro mi, nie chcę zmieniać...

– Nie, jesteśmy z NKP, to państwowa organizacja, niczego nie sprzedajemy. – Pokazałem kobiecie naszą błękitną przepustkę, jakby to była policyjna blacha. – Chodzi o to, że nasz system komputerowy został, jakby to powiedzieć... Ktoś się do niego włamał z komputera, który, według naszych informacji, znajduje się w tym domu. Może pani coś o tym wiadomo?

Kobieta westchnęła ciężko.

– Rozumiem. Znów to samo. Ach, Boże. Proszę mi powiedzieć, co takiego znów przeskrobał.

– Kto taki, proszę pani?

– Nicolás. Mój siostrzeniec. To na pewno jego sprawka. Jak zawsze. Znów narozrabiał. Wymieniliśmy spojrzenia z Enigmą.

– Moglibyśmy z nim porozmawiać?

Kobieta wydała z siebie kolejne rozpaczliwe westchnienie. Przez chwilę mierzyła nas wzrokiem, zaciskając usta.

– Oczywiście. Zapraszam.

Wpuściła nas do maleńkiego korytarza, w którym znajdowało się za dużo mebli i ozdób, wszystkie wyglądały na tanie. Na starej drewnianej komodzie na honorowym miejscu stało wielkie oprawione zdjęcie bardzo przystojnego mężczyzny w mundurze sierżanta Gwardii Obywatelskiej. Obok piętrzyło się mnóstwo przeraźliwie brzydkich pamiątek i skrzyneczek z muszli z nazwami miejscowości turystycznych nad Morzem Śródziemnym.

Kobieta przyglądała ręką włosy i poprawiała spódnicę.

– Proszę chwilę poczekać, zaraz go przyprowadzę. – Widać było, że tłumi w sobie wielką złość. – Nicolás! Pozwól tu na chwilę!

Weszła po schodach na górę. Usłyszeliśmy trzaśnięcie drzwi, a potem przytłumione odgłosy zażartej dyskusji.

Znów rozległy się kroki na schodach. Kobieta wróciła do nas, tym razem nie była sama.

– Dobrze, Nicolás, teraz przyznasz się przed tymi ludźmi, co nabroiłeś. I masz ich natychmiast przeprosić.

Zaskoczony przyglądałem się Yokaiemu, jednemu hakerowi na świecie zdolnemu złamać zabezpieczenia Heimdalla.

Był bardzo młody. Za bardzo. Miał twarz jak typowy nastolatek z kreskówki, jakby jego rysy nie mogły się zdecydować, czy chcą należeć do dorosłego mężczyzny, czy do dziecka. Kilka krost na czole starał się zasłonić rozczochraną, jasną grzywką. W ogóle przydałaby mu się wizyta u fryzjera.

Miał wielkie, niebieskie oczy i od czasu do czasu rzucał nienawistne spojrzenie ciotce, która trzymała go za kark. Krzywił się okropnie, głowę miał spuszczoną, a ręce trzymał w kieszeni spodni tak szerokich, że chyba robił to po to, żeby nie spadły mu z tyłka. Miał na sobie czarny T-shirt z napisem WINTER IS COMING na herbie z głową wilkora. Na prawym ramieniu miał wytatuowane litery chińskiego lub japońskiego alfabetu.

Odchrząknąłem, zastanawiając się, jak zacząć tę rozmowę.

– Więc masz na imię Nicolás? – zapytałem.

Spojrzał na mnie z wyzywającą butą.

– A kto pyta?

Ciotka natychmiast go skarciła:

– Nie bądź niegrzeczny i odpowiadaj na pytania.

– Czemu? Nie mam pojęcia, kim oni są. W życiu ich, kurwa, nie widziałem.

– Nicolás, wyrażaj się!

– Pierdolę to. Nie będę nic mówił.

Wyrwał się gwałtownie z uścisku ciotki i poszedł sobie. Ciotka krzyczała coś za nim.

Usłyszeliśmy trzaśnięcie drzwi na górnym piętrze, a potem muzykę na cały regulator. *Banana Split* zespołu The Dickies.

Fantastycznie – mój haker okazał się przyszłym wychowankiem poprawczaka.

Ciotka Nicolasa pokręciła głową z zatroskaną miną.

– Przykro mi. Naprawdę bardzo mi przykro. Już sama nie wiem, co mam począć z tym chłopakiem. W tym wieku robią się z nich prawdziwe potwory.

– Ile ma lat? – zapytałem.

– Miesiąc temu skończył szesnaście.

– A rodzice?

– Oboje nie żyją. Zginęli w wypadku cztery lata temu. Od tamtego czasu to ja się nim opiekuję. Przynajmniej próbuję. Jego matka była moją siostrą, jestem jego jedyną krewną.

– Kobieta znów westchnęła i omiotła spojrzeniem mężczyznę na fotografii. – Mój Boże, gdyby ojciec go teraz zobaczył. Nie wiem, co zrobił tym razem, ale obiecuję, że nie ujdzie mu to na sucho. Nie zatrzymają go państwo ani nic w tym rodzaju, prawda?

– Nie jesteśmy z policji, chcielibyśmy tylko z nim porozmawiać. Sam na sam, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Kobieta wskazała nam schody prowadzące na piętro.

– Proszę bardzo. Może zdołają państwo coś wskórać. Pewnie jest w swoim pokoju, jak zwykle przy komputerze. Nie odchodzi od niego przez cały dzień. I jeszcze te przekłete makiety...

Weszliśmy z Enigmą na górę. Bez trudu znaleźliśmy oblepione naklejkami drzwi pokoju Nicolasa. Poprowadziła nas rycząca muzyka.

Uznałem, że pukanie byłoby zbytciem uprzejmości, weszliśmy więc do środka bez zaproszenia.

Pokój wyglądał jak warsztat Tesli w miniaturze, tyle że tutaj było więcej fanzinów, plakatów i brudnych ciuchów rozrzuconych po podłodze. No i pachniało tu znacznie gorzej. Poza tym wielki komputer z wystającymi zwojami kabli prowadzącymi do rozmaitych urządzeń o niewiadomym przeznaczeniu i równie skomplikowany laptop rzucony na stos pościeli, brudnych skarpetek i koszulek, pod którym najprawdopodobniej kryło się łóżko.

Chłopak siedział plecami do drzwi, skupiony na monitorze, na którym wojownik o torsie gladiatora rozprawiał się gigantycznym mieczem z armią szkieletów. Nawet się nie odwrócił, kiedy weszliśmy.

Zauważyłem iPada podłączonego do głośników, z których rozbrzmiewała muzyka. Wyrwałem wtyczkę i zapadła błoga cisza.

Nicolás odwrócił się, jakby ktoś ukłuł go szpilką.

– Ej, podłącz to z powrotem!

– Nie. Chcę z tobą porozmawiać. To sprawa poufna.

– Zajeście. Za kogo się uważacie? Za agentów Muldera i Scully?

– Nie wiesz, kim jestem?

– Oczywiście, że wiem: durniem, z którym gadałem na BloodDocie. Mam kopię twojego dowodu, debilu.

– Dobra, przejdźmy do sedna. Ty jesteś Yokai?

– Co? Chyba się najarałeś.

– Dobra, daj sobie spokój z tą gadką. Chcę wiedzieć, skąd masz mój dowód, Jimmy Neutronie, Nicolasiu, Yokaiu... Jakkolwiek masz na imię.

Nicolás popatrzył na nas z pogardą.

– Powiem ci jasno i wyraźnie: Yokai nie istnieje. To błaga internautów.

– Ale to z tobą rozmawialiśmy na BloodDocie?

– Jasne. Nagle pojawił się ktoś, kto pytał o Yokaiego, jakby ten czat był centrum informacji turystycznej. Więc odpowiedziałem. Dla jaj.

– Po co?

– Nie wiem. Myślałem, że to dobry żart. Chciałem się zabawić.

– A haiku? I to, że używasz litery „k” zamiast „c”? – zapytała Enigma.

– To tylko część przedstawienia, droga pani. Mówią, że tak robi Yokai. Wczułem się w rolę. – Nicolás uśmiechnął się ironicznie. – Ale z was debile.

Przez dwie sekundy zastanawiałem się, czy po prostu stamtąd wyjść, czy chwycić gnojka za kark i rzucić na stertę brudnych ciuchów. W końcu wybrałem trzecią drogę.

– Dobrze. – Usiadłem na krześle naprzeciwko niego. – Teraz opowiesz mi ze szczegółami o naszej rozmowie na BloodDocie.

– Już mówiłem: chciałem się chwilę powyglupiać.

– Skąd masz mój dowód?

– A co? Myślałeś, że tylko wy macie dobre wyszukiwarki? Sprawdziłem IP nadawcy wiadomości na BloodDocie i włamałem się do waszego kompa. Przejrzałem sobie katalogi, znalazłem jeden o nazwie Faro – tak mi się przedstawiłeś. Otworzyłem go i znalazłem kopię twojego dowodu. Nie mam oryginału, tylko skan z tego katalogu.

Zamknął grę i otworzył katalog o nazwie Faro. Była to teczka zawierająca wszystkie informacje na temat mojej działalności, odkąd zostałem Poszukiwaczem.

Może Nicolás nie był Yokaim, ale nadal imponowały mi jego hakerskie umiejętności.

– Faro – odezwała się Enigma – ten dzieciak włamał się do naszych archiwów?

– Obawiam się, że tak.

Nicolás spoglądał raz na mnie, raz na Enigmę.

– A kim wy jesteście? Jakąś rządową agendą?

– Tak... nie... coś w tym rodzaju.

– Zajebicie! Myślałem, że Narodowy Korpus Poszukiwaczy to jakiś klub debili, jak grupy fanów *Władcy pierścieni* i takie tam. – Nicolás wskazał na moje akta. – To, co czytam, to prawda? Znalazłeś Stół Salomona? Ten z Muzeum Archeologicznego?

– Słuchaj, gówniarzu, chyba nie masz pojęcia...

– Ja pierdolę! To jest naprawdę czad! – wykrzyknął zachwycony Nicolás. – Co jeszcze znaleźliście? Podróżujecie po świecie i kradniecie dzieła sztuki? Szacun! Jak opowiem o tym kumplom...

– Nie! – wrzasnąłem. – Nie możesz nikomu o tym opowiadać! Jesteśmy... No nie! Jesteśmy agendą działającą w ukryciu, rozumiesz?

– OK. Kumam. Będę milczał jak grób. – Nicolás złapał się za głowę, a potem się uśmiechnął. – Niesamowite! Włamałem się do bazy danych tajnych rządowych służb. Kiedyś włamałem się do komputerów mojego liceum, żeby pozmienić sobie stopnie, ale

to... No to jest maks!

– Mój Boże, Faro – westchnęła Enigma – chyba będziemy musieli go zabić!

– Jaja sobie robicie, nie? – zapytał chłopak. Nie odpowiedziałem, spojrzałem tylko na niego, starając się wyglądać groźnie. Nicolás uniósł ręce. – Nie wysypię się! Będę trzymał język za zębami! Przysięgam! Jestem po waszej stronie.

– O czym ty mówisz? – zapytałem zaskoczony.

Wyraźnie zdenerwowany podniósł się z krzesła i podszedł do półki pełnej komiksów i figurek. Zgarnął je na bok jednym ruchem ręki, a zza nich wyłonił się stos książek.

Spojrzałem na nie. Był to całkiem uczciwy zbiór. Dostrzegłem dzieła autorstwa Panofskiego, Roberta Venturiego, Duby'ego, *O sztuce* Gombricha, egzemplarz *Listów* Henriego Matisse'a, *Traktat o malarstwie* Leonarda... Nawet zaczytany egzemplarz *Żywotów*... Vasariego.

– To twoje książki?

Nicolás grzbietem dłoni tarł nos.

– Należały do mamy. Była nauczycielką historii sztuki.

Wtedy po raz pierwszy zauważyłem, że pośród całego chłamu fanzinów walających się po pokoju znajdowały się również plakaty z reprodukcjami dzieł sztuki i makiety budowli stworzonych przez najwspanialszych architektów. Kolekcja wskazywała na to, że Nicolás szczególnie upodobał sobie artystów włoskiego renesansu.

– A te makiety? Też robiła twoja mama?

– Nie, większość zrobiłem sam. Kiedyś zajmowaliśmy się tym razem z ojcem.

Wziąłem do ręki jedną z makiet.

– Wygląda wspaniale. Co to jest?

– Monticello. Zaprojektowana przez Thomasa Jeffersona w 1768 roku. To cholerny plagiat z Palladia, ale i tak posiadłość wydawała się elegancka, jak na projekt jankesa.

– Widzę, że masz dobrych nauczycieli.

– W szkole nie uczę się niczego. Mój nauczyciel historii sztuki jest jakimś pojebem i chyba w dodatku pedofilem. Uczę się z książek, a makiety projektuję za pomocą programu, który sam stworzyłem. I sam zdobywam materiały, nie da się ich kupić w zwykłych sklepach.

Enigma podeszła do mnie, żeby przyjrzeć się z bliska makiecie Monticello.

– Mądry z ciebie chłopak – powiedziała. – A skoro jesteś taki bystry, może powinienes się zastanowić, czemu przeklinasz jak najgorszy żul. I czemu doprowadzasz do rozpacz swojej opiekunkę.

Nicolás zmarszczył brwi. Odebrał mi makietę i postawił ją na miejscu.

– Mam ją w dupie. Jest zgorzkniałą starą panną. Zajęła się mną, bo nie miała wyjścia, ale ma mnie gdzieś!

Patrzyłem na chłopaka, z pietyzmem ustawiającego makietę. Jego historia wydawała mi się boleśnie znajoma.

Enigma spojrzała na mnie. Pytała bez słów: „Co z nim zrobimy?”. Westchnąłem głęboko.

– Posłuchaj, młody człowieku – zacząłem. – Teraz sobie pójdziemy i wszyscy będziemy udawać, że ta rozmowa nigdy się nie odbyła. Gdyby przyszło ci do głowy chlapać ozorem

na temat naszego Korpusu, mogą cię spotkać bardzo niemiłe rzeczy. Bo na pewno wszystkiego się dowiemy.

Może ryzykowałem zbyt wiele, ale wciąż nie widziałem w tym dzieciaku zagrożenia. Sądziłem, że nawet gdyby spróbował opowiedzieć o wszystkim komuś z Korpusu, i tak nikt mu nie uwierzy.

Nicolás pokiwał głową, nie patrząc na mnie, udawał, że poprawia coś w makiecie.

– Mogę zadać wam pytanie? – mruknął.

– Proszę, ale tylko jedno.

– Gdybym chciał... – Podrapał się w nos. – Jak się wstępuje do waszej organizacji? Gdybym na przykład chciał zostać Poszukiwaczem. Powinienem studiować coś konkretnego?

– Tego nie mogę ci zdradzić.

– Rozumiem. Myślę, że bardzo chciałbym robić to co wy.

– Daj sobie czas – powiedziałem, nie bardzo wiedząc, co mu odpowiedzieć. – Jesteś jeszcze bardzo młody. Na razie musisz dobrze się uczyć, nie brać narkotyków, odrabiać lekcje... Normalne rzeczy.

– Ale mógłbym wam pomóc.

– Nie, nie mógłbyś.

– Dlaczego?

– Bo jesteś jeszcze za mały!

– Pierdol się – odburknął. Usiadł przed komputerem i ostentacyjnie odwrócił do nas plecami.

Enigma spojrzała na mnie z miną pełną współczucia i wskazała głową na chłopca. Pokręciłem głową. Nalegała... Nasza niema dyskusja trwała dobrą chwilę. W końcu Enigma popchnęła mnie w stronę Nicolasa.

– No dobrze, mam dla ciebie pewną propozycję – wycedziłem przez zęby. – Pomożesz mi w czymś, ale musisz przyrzec, że nigdy, przenigdy nikomu o tym nie powiesz. To będzie coś w rodzaju... umowy między Poszukiwaczami, dobra?

– Dobra. Zajebicie!

– Na litość boską, przestań tak przeklinać! Nie staniesz się przez to doroślejszy!

– OK. Co mam zrobić?

Westchnąłem głęboko. Nie mogłem uwierzyć, że dałem się namówić Enigmie.

– Słuchaj, kiedy rozmawialiśmy na czacie, powiedziałeś, że potrafiłbyś zhakować Heimdalla.

Nicolás odwrócił wzrok.

– No dobra... Trochę się przechwalałem.

– Rozumiem. Nie potrafisz. W takim razie to by było na tyle.

– Poczekaj! Zaczekajcie chwilę! Boże, wiesz, o co mnie pytasz? Nikt na świecie nie potrafi zhakować Heimdalla. To niemożliwe!

– Ekspert informatyczny z NCW, z którym rozmawiałem, twierdzi, że dobry haker mógłby to zrobić.

– Ach tak? Tak twierdzi? Więc ja ci powiem, że nie ma, kurwa, zielonego pojęcia, o czym mówi. Heimdalla nie da się złamać. Ten program stworzyli najlepsi goście na

świecie.

– A co ty możesz o tym wiedzieć?

– Nie ufasz mi, bo jestem dzieciakiem? Wiem więcej od ciebie, palancie. Wiem, że Voynich zatrudnia tylko najlepszych. Jest jeden facet... Gość dla zabawy trzy lata temu zablokował cały szwedzki system bankowy. I jeden Japończyk, który włamał się do sieci ministerstwa obrony i zamienił ich hasła służące do odpalania rakiet na link do portali porno. Tych dwóch gości pracuje teraz dla Voynicha. Ci ludzie zaprogramowali Heimdalla. Ten głąb, który twierdzi, że jakiś haker jest w stanie rozwalić ten system, nie wie, co mówi, choćby nawet był z NCW.

Czułem, że chłopak ma rację. Może i był młody, ale zdołał złamać nasze zabezpieczenia, co świadczyło o jego nieprzeciętnych umiejętnościach.

– Wbrew temu, co twierdzisz, znam przypadek, kiedy zabezpieczenia programu zostały złamane.

– Nie zostały.

– Słyszysz, co mówię? Widziałem to na własne oczy!

– A ja powtarzam, że to niemożliwe. Nie zrobił tego żaden haker, lecz ktoś, kto sam pracował przy tworzeniu programu. Ktoś z Voynicha.

– Jesteś pewien?

– Dałbym sobie jaja uciąć. Program taki jak Heimdall zawodzi tylko wtedy, kiedy jego twórca tego chce.

– W przypadku, o którym mówimy, alarm podłączony do systemu nie uruchomił się – wyjaśniła Enigma. – Ale potem włączył się sam.

– Widzisz – przytaknął skwapliwie Nicolás. – To mi nie wygląda na atak hakerski. Nie rozmawiamy o kimś, kto się włamuje do systemu i go rozwała. Po prostu zmienili jego działanie. A w przypadku Heimdalla mogli to zrobić tylko jego twórcy.

Milczałem, zastanawiając się nad jego słowami. Może nie powinienem uważać Nicolasa za największego specja w tej materii, ale naprawdę zaczynałem wierzyć, że zna się na rzeczy. Poza tym potwierdzał tylko moje podejrzenia.

– Dobrze. Pomyślę nad tym, co powiedziałeś. Dziękuję ci za pomoc.

– To już wszystko? Nie żartuj!

– A czego się spodziewałeś?

– I na tym ma polegać współpraca? O nie, nie ma mowy.

– Możesz mi wierzyć lub nie, ale naprawdę bardzo mi pomogłeś – odparłem i wyszedłem z pokoju, żeby wreszcie zakończyć rozmowę.

Nicolás pożegnał mnie wrogim spojrzeniem. Czuł się oszukany.

Miałem jednak lekkie wyrzuty sumienia, rzuciłem więc na odchodnym:

– Nie patrz tak na mnie. Wiemy, gdzie mieszkasz.

– Teraz mi grozisz? Serio? Mnie, biednemu dzieciakowi?

– Nie. Powiedziałem tylko, że jeśli będę potrzebował twojej pomocy, wiem, gdzie cię szukać.

Nicolás spojrzał na mnie z nadzieją.

– Powaga?

– No jasne. Możesz się uważać za Poszukiwacza na stażu. Czy coś w tym rodzaju.

Chłopak pokiwał głową, a na jego twarzy pojawił się sympatyczny uśmiech.

– Dobra!

Odeszliśmy z Enigmą, pozwalając mu śnić na jawie.

– Poszukiwacz na stażu? – drwiła ze mnie Enigma, kiedy wsiadaliśmy do samochodu, żeby wrócić do Madrytu.

– Nie chciałem sprawiać mu zawodu.

– Wiesz co? Podoba mi się ten dzieciak.

– Materiał na przestępcę, przyszły rezydent poprawczaka.

– Nie znasz się na ludziach. Nie przyjrzałeś mu się dobrze. Komputer, makiety. Jest jak młody Tesla. – Moja towarzyszką spoglądała przez okno w zamyśleniu. – Sądzę, że byłby z niego dobry Poszukiwacz.

– Przestań, proszę! Przynajmniej ty zachowaj zdrowy rozsądek.

– Mówię tylko, że jest dobrym materiałem w ohydny opakowaniu. Ale kto z nas w jego wieku nie sprawiał problemów?

„No, ja sprawiałem”, odpowiedziałem jej w duchu. Wspominam okres dojrzewania jako jeden z najgorszych w moim życiu – wypowiedziałem wtedy wojnę całemu światu. Wołałem uznać pytanie Enigmy za retoryczne, żeby nie musieć wracać pamięcią do tamtych czasów.

– Sugerujesz, żebym przedstawił go Alzadze jako naszego nowego kolegę? Chciałbym zobaczyć jego minę!

– Mówię tylko, że nie powinniśmy tracić go z oczu.

– Jak chcesz. Możesz sobie obserwować naszego nieletniego przestępcę. Ja mam ważniejsze rzeczy do przemyślenia.

– Nie jesteś zbyt uprzejmy – oświadczyła Enigma.

– Przepraszam. Jakoś nie potrafię podejść do rzeczy poważnie.

Chyba się na mnie zdenerwowała. Prowadziła, nie odzywając się słowem, z obrażoną miną. Po chwili zadzwonił mój telefon. Była to Danny.

– Gdzie cię znów poniosło? – zapytała. – Od kilku godzin próbuję się z tobą skontaktować.

– Jestem poza Madrytem. Pewnie nie miałem zasięgu i nie dostałem informacji o twoich połączeniach. Coś się stało?

– Chyba tak. Telefonował Skrzydłowy. W sprawie kradzieży. Pamiętasz tego podejrzanego? Cesara?

– Tak, co się z nim stało?

– Uciekł.

– Co? – rzuciłem zaskoczony. – Chyba żartujesz?

– Nie. Wczoraj w nocy transportowali go do aresztu. Po drodze zaatakował policjanta i zwiął. Poszukują go od kilku godzin.

– Czemu zdecydował się na taki głupi krok? Skrzydłowy twierdził, że byle adwokat bez trudu uzyskałby zwolnienie.

– Nie wiem. Podejrzewam, że niejaki César ma za uszami więcej, niż podejrzewaliśmy.

– I co teraz?

– Nie mam pojęcia. Skrzydłowy obiecał informować mnie na bieżąco.

– Świetnie. Będziemy w kontakcie.

Rozłączyłem się, westchnąłem głęboko i schowałem telefon do kieszeni. Enigma zerknęła na mnie kątem oka.

– Postanowiłam sobie wprawdzie, że nie otworzę do ciebie ust, póki nie dojedziemy do Madrytu, ale utrudniasz mi sprawę. Kto dzwonił? I o co chodzi?

– To Danny. Chodzi o *Mardud* z Sewilli. Cała sprawa wydaje się coraz bardziej skomplikowana.

– Wspaniale. – Poszukiwaczka uśmiechnęła się szeroko. – Lubię skomplikowane sprawy. Czuję, że w końcu zbliżają się emocjonujące dni.

1. Kto go szuka? (przyp. tłum.). ↩

UCIEKINIER

Każdą gwałtowną burzę poprzedza chwila ciszy, tak przynajmniej mówią. Zanim akcja zaczęła nabierać tempa, przeżyliśmy dni ciągnącej się w nieskończoność nudy.

Nikt nie pamiętał o kradzieży *Mardudu*, tej iskierce emocji w morzu naszej codziennej monotonii. Skrzydłowy nie dawał znaku życia, a moje śledztwo dotyczące Heimdalla utknęło w martwym punkcie. Alzaga tymczasem nie ustawał w wysiłkach mających na celu przekształcenie naszego Korpusu w szwadron apatycznych i posłusznych biurokratów.

W tym czasie zawieszenia, który zdawał się nie mieć końca, nie wydarzyło się nic godnego wzmianki. Wystarczy powiedzieć, że najbardziej utkwiła mi w pamięci wiadomość od matki. Nie odzywała się do mnie od ponad dwóch miesięcy.

Pisała w telegraficznym skrócie, w czterech, może pięciu liniijkach, informując, że przebywa obecnie w Kanadzie i wykłada na uniwersytecie w Toronto. Nie narzekała, gdyż, cytując jej słowa, klimat był całkiem znośny (matka szczerze nienawidziła upałów, a ja chyba to po niej odziedziczyłem), a Toronto okazało się interesującym miastem. Uznawała za oczywiste, że u mnie wszystko w porządku, a przynajmniej żyję, po czym obiecywała pisać częściej w bliżej nieokreślonej przyszłości. Ucieszyłem się z tego, że ma się dobrze, ale też ze względu na siebie: czułem się o wiele bezpieczniej, wiedząc, że matka znajduje się na innym kontynencie i na razie nie zamierza stamtąd wracać.

Tego dnia, kiedy nadeszła wiadomość od niej, nudziłem się jak mops; zdawało mi się, że jeśli pozostanę pięć minut dłużej w mojej kanciapie, zwariuję. Reszta moich kolegów czuła się dość podobnie. Uznałem, że nie są dla mnie najlepszym towarzystwem, postanowiłem więc opuścić nasze podziemia i przejść się po muzeum. Obiło mi się o uszy, że w dziale sztuki starogreckiej znalazły się nowe eksponaty, i postanowiłem je zobaczyć.

Była środa. W środy muzea są zwykle pełne zorganizowanych grup: wycieczek z podstawówek i ogólniaków lub organizacji kulturalnych zrzeszających dorosłych. Przyglądałem się z zainteresowaniem kontrastowi między grupkami młodzieży a emerytami snującymi się po salach bez zbytniego entuzjazmu.

Nowe eksponaty z działu sztuki greckiej nie zrobiły na mnie wielkiego wrażenia, może z wyjątkiem pięknej czerwono-czarnej amfory z wizerunkiem Achilleusa słuchającego przepowiedni Kalchasa, według której mógł wybrać pomiędzy żywotem krótkim, ale pełnym przygód i chwalebny, a długim i monotonnym, po którym miał zostać zapomniany.

Przyglądałem się amforze i zastanawiałem, co bym wybrał na miejscu Achilleusa.

I wtedy zobaczyłem w gablocie, w której przechowywano amforę, odbitą sylwetkę mężczyzny. Jego twarz wydała mi się znajoma.

W odbiciu skóra Cesara sprawiała wrażenie jeszcze ciemniejszej niż w rzeczywistości. Spojrzałem mu w oczy i natychmiast się zorientowałem, że wcale nie ogląda eksponatów. Patrzył na mnie.

Nie miałem czasu, żeby zastanowić się nad sytuacją. César podszedł do gabloty i stanął obok mnie, udając, że ogląda amforę z wizerunkiem Achillea. Zacząłem nawet podejrzewać, że mnie nie poznaje, ale on szybko wyprowadził mnie z błędu.

– Musimy porozmawiać – powiedział.

Obok nie było nikogo innego, nie miałem więc wątpliwości, że zwraca się do mnie, chociaż jednocześnie starał się zachowywać pozory, że się nie znamy. Postanowiłem wejść w jego grę.

– Dobrze. Słucham.

– Nie, nie tutaj. Sam na sam. W ustronnym miejscu.

– Wiesz, że szuka cię policja, prawda? – César spokojnie pokiwał głową. – Dlaczego uważasz, że cię nie wsypię?

– Mogę opowiedzieć panu o skradzionej księdze. Tylko panu. Jeśli powiadomi pan policję, nie dowie się niczego.

– Dlaczego chcesz opowiedzieć o tym właśnie mnie?

César zaczął się irytować.

– Proszę mi tylko powiedzieć, czy chce pan rozmawiać czy nie.

– Gdzie?

– Proszę policzyć do dziesięciu, a potem iść za mną.

Oddalił się od gabloty. Zrobiłem to, o co mnie prosił. Szedłem za nim, zachowując odpowiedni dystans, aż do wyjścia z muzeum. César skierował się do Jardines del Descubrimiento przy plaza de Colón. Tam, w pobliżu kępy drzew, znalazł pustą kamienną ławkę i usiadł na niej. Odczekałem kilka minut, a potem zająłem miejsce obok niego.

Miał na sobie to samo ubranie co w dniu, gdy został zatrzymany: T-shirt i brudne dżinsy. Kiedy usiadłem na ławce, nawet na mnie nie spojrzął, trwał w bezruchu z przedramionami opartymi na kolanach i wzrokiem wbitym w ziemię.

– Wiem, kim pan jest – powiedział. – Poszukiwaczem.

Fantastycznie. Najpierw zdemaskował mnie nastolatek, teraz zbiegły przestępca. Narodowy Korpus Poszukiwaczy zaczynał być organizacją równie tajną jak zastęp zuchów.

Powiedziałem Cesarowi, że skoro wie już o mnie wszystko, może zwracać się do mnie po imieniu. Potem zapytałem:

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Poznałem po zapalniczce. Masz na niej godło Korpusu. Zauważyłem, kiedy podałeś mi ogień w Islamskim Centrum Kultury.

Mlasnąłem językiem. Zdaje się, że Bańka miał rację, mówiąc, że ta zapalniczka to głupi pomysł. Miałem tylko nadzieję, że nigdy się o tym nie dowie.

– Niewielu ludzi na świecie rozpoznaje ten symbol. Dlaczego ty to potrafisz?

– Wiem o was niemało. Oni mi powiedzieli.

– Czekałem na to, aż ktoś zacznie mówić o „nich”. Wprost uwielbiam historie, w których są jacyś „oni”. A kogo konkretnie masz na myśli?

– Tych, którzy wynajęli mnie do kradzieży *Mardudu*. Ci sami wyciągnęli Joosa Gelderohdego z więzienia w Termonde i szukali Stołu Salomona. Ty jeszcze ich nie znasz, ale oni doskonale wiedzą, kim jesteście. Znają was dobrze.

– Jeśli chcesz, żebym ci uwierzył, powinieneś chyba podać kilka nazwisk.

– Nie mogę, nie znam żadnych nazwisk. Nigdy się nie przedstawiają, nawet jeśli dla nich pracujesz. Ale wiem, kto im płaci.

– Kto?

– Ta firma od komputerów. – César ściszył głos, jakby się bał, że ktoś za naszymi plecami podsłuchuje. – Voynich.

Wreszcie ktoś potwierdzał przypuszczenia, które od miesiący nie dawały mi spokoju. Nie zaskoczyły mnie jego słowa, właściwie poczułem nawet zadowolenie. Nie byłem jeszcze do końca świadomy wszystkich implikacji tego faktu.

– Skąd o tym wiesz?

– Wiem. Sami mi powiedzieli, kiedy się ze mną skontaktowali. – César wyjął z kieszeni pogniecioną kartkę. Na jednej stronie widniała spłaszczona gwiazda – symbol Voynicha, na drugiej imię: Lilith.

– Kto ci to dał?

– Jeden facet. Nigdy mi się nie przedstawił, zwracałem się do niego „proszę pana”. Poznał mnie z dwoma innymi, którzy również się nie przedstawili. To oni zaplanowali kradzież *Mardudu*.

– Nie wiesz, co oznacza Lilith?

– Nie. Raz nawet zapytałem jednego z tych gości. Wybuchnął tylko śmiechem i wyrecytował coś w rodzaju wiersza. Nic więcej.

Pokiwałem głową. Chyba wiedziałem, o jaki wiersz chodzi. „Miodem najświeższym ociekają wargi twe, oblubienico, miód i mleko pod twoim językiem...”. Pieśń nad pieśniami, której autorstwo przypisywano Salomonowi, a dokładnie fragment, który, jak się uważa, monarcha napisał, rozmyślając o Lilith, królowej Saby. Kiedy zapytałem Joosa Gelderohdego o jego zleceniodawców, odpowiedział mi tym właśnie cytatem.

– I to wszystko nie wydało ci się podejrzane?

César milczał. Wzruszył jedynie ramionami. Podejrzewałem, że ukrywa przede mną szczegóły tej historii, ale postanowiłem nie naciskać. Wolałem najpierw przekonać się, dokąd zmierza jego opowieść.

– Dobrze – powiedziałem. – Opowiedz mi o kradzieży. Na czym polegał plan tych ludzi?

– Ja miałem wejść do Centrum Kultury Islamskiej i wynieść z magazynu książkę. Powiedzieli mi też, że jeśli znajdę pieniądze, mam je zabrać, choćby było ich niewiele. Oni umieli wyłączyć alarm, nie potrafili jednak zakraść się do magazynu, dlatego mnie wynajęli.

– Ty wiedziałeś, jak to zrobić?

César znów wzruszył ramionami.

– Umiem wchodzić i wychodzić z różnych miejsc, naprawdę trudno mnie złapać.

– Kim ty właściwie jesteś? Ekskluzywnym włamywaczem?

César nie odpowiedział. Zacząłem zdawać sobie sprawę, że należy do osób szczególnie gadatliwych, odzywających się tylko wtedy, gdy naprawdę nie mają wyjścia.

– Jeśli to ty wyniosłeś książkę, dlaczego nie miałeś jej przy sobie, gdy złapała cię policja?

– Nikt mnie nie złapał, to ci, którzy mnie zatrudnili, zastawili na mnie pułapkę. – Zaciśnął usta, a na jego twarzy odmalowała się nienawiść. – Dlatego kazali mi zabrać pieniądze, zaplanowali wszystko.

– Co się właściwie stało?

– Wszedłem do biblioteki z drugim gościem, jednym z nich. Zabraliśmy kasę i księgę. Kiedy wychodziliśmy, to on miał *Mardud*. Według planu miał na nas czekać samochód, ale nie zauważyliśmy żadnego wozu. Tamten gość powiedział, żebym się nie ruszał z miejsca, a on pójdzie go poszukać. Kiedy zniknął mi z pola widzenia, włączył się alarm i wtedy złapał mnie stróż.

– Rozumiem. Obawiam się, że posłużyłeś im za kozła ofiarnego. Dlaczego nie opowiedziałeś wszystkiego policji?

– Nie chciałem, żeby wpadli na trop księgi. Musiałem jak najszybciej wyjść z więzienia. Poza tym bałem się...

– Czego?

– Tamtych. Tych z Voynicha. Nie wyobrażasz sobie, do czego są zdolni. Są wszędzie, mają wystarczająco dużo forsy, żeby przekupić całą policję. Bałem się, że moje aresztowanie to tylko pierwszy krok. Że stanie się coś znacznie gorszego.

– Bałeś się, że znajdą w celi twojego trupa?

César milczał. Miałem ochotę ponaśmiewać się trochę z jego lęków, ale w porę ugryzłem się w język. W końcu mówiliśmy o ludziach, którzy wyciągnęli z więzienia o zastrzonym rygorze mordercę, Gelderohdego, nie ubrudziwszy sobie rączek. O ludziach, którzy zapłacili Tesli, żeby został kretem zdradzającym sekrety naszego Korpusu. Tak, rzeczywiście wyglądali na ekipę zdolną do wszystkiego.

– Dlaczego przyszedłeś do mnie, żeby mi to opowiedzieć? Przecież widziałeś mnie z policją.

– Ale nie jesteś policjantem. Wiem o tym. Wiem, czym się zajmujecie. Oni mi opowiedzieli. Wiem też, że chcecie znaleźć księgę, zanim zrobi to policja. A ja mogę wam pomóc.

– Dlaczego?

– Ta księga jest ważna.

– Ważna? Dla kogo? – César znów zatopił się w swoich myślach. Zaczynał mnie irytować. – Chyba powinieneś być bardziej rozmowny, jeśli chcesz, żebym ci zaufał.

– Nie wiesz, co jest w tej księdze, prawda?

– Rozumiem, że ty owszem.

– Rajul el-Ajdhar Hajkal... Ta księga to tylko początek.

– Początek czego?

– Jeśli chcesz się dowiedzieć, musisz ją znaleźć – odparł César, patrząc na mnie wyzywająco. – Ale bez mojej pomocy ci się nie uda.

– Wiesz, gdzie ona jest?

– Chyba wiem, kto ją ma. Nie ukrywali, co zrobią z księgą, kiedy już dostanie się w ich ręce.

– A czego oczekujesz ode mnie w zamian za swoją pomoc?

César się skrzywił.

– Zadajesz o wiele za dużo pytań. To strata czasu. Chcesz odzyskać księgę. Mnie też na tym zależy. Żaden z nas nie zdoła zrobić tego sam. Dlaczego nie mamy pomóc sobie nawzajem? To jedyne pytanie, które ma sens.

Patrzyłem na niego w milczeniu, zastanawiając się, co może się kryć za jego propozycją. W pierwszym odruchu chciałem ją odrzucić, nie podobał mi się pomysł współpracy ze zbiegiem, który przyznawał się w dodatku, że wynajęli go nasi wrogowie, nie chciał natomiast wyjawić mi swoich motywów.

Dylemat natury etycznej. Przy jakiejś okazji Danny powiedziała, że powinienem wyzbyć się skrupułów. Może miała rację. Często zapominałem, co to znaczy być Poszukiwaczem.

Teraz jednak potrzebowałem czyjejs porady.

Zamiast odpowiedzieć Cesarowi, wyjąłem telefon komórkowy.

– Danny? – odezwałem się, kiedy odebrała. – Mogłabyś przyjść? Tak, to coś ważnego. Jestem w Jardines del Descubrimiento.

César powtórzył Danny wszystko, co opowiedział mnie, okraszając swoją historię chwilami uciążliwego milczenia. Pod koniec Danny oświadczyła, że nie możemy przyjąć jego propozycji bez konsultacji z pozostałymi Poszukiwaczami. Zrozumiał.

Zastanawialiśmy się, gdzie się umówić na kolejne spotkanie. César oczywiście nie chciał podawać nam żadnych namiarów. W końcu uzgodniliśmy, że zadzwoni następnego dnia do Danny, a ona powiadomi go o naszej decyzji.

– Nie boisz się, że pójde na policję? – zapytała.

– Jeśli naprawdę zależy ci na księdze, nie zrobisz tego – odparł César z niezbitą pewnością siebie.

I odszedł.

Wróciliśmy z Danny do Piwnicy. Ona zadecydowała za nas dwoje, że nie będziemy wtajemniczać w sprawę Alzagi, a ja nie protestowałem. Bierność naszego szefa doprowadzała nas wszystkich do szału.

Zgodziliśmy się też, że warto opowiedzieć o wszystkim Enigmie i Bańce, żeby sami mogli zdecydować, czy chcą się do nas przyłączyć, wiedząc, że zamierzamy działać za plecami naszego przełożonego.

Wreszcie zaistniała nadzieja na to, że nasz Korpus zacznie działać tak jak za starych dobrych czasów, bez całej tej niepotrzebnej biurokracji. Po raz pierwszy od dawna miałem wrażenie, że zachowujemy się jak prawdziwi Poszukiwacze.

Nasze zebranie nie mogło się oczywiście odbyć w Piwnicy. Byliśmy buntownikami, ale zachowywaliśmy zdrowy rozsądek. zaproponowałem, żebyśmy spotkali się u mnie. Tego samego wieczoru my, dawni agenci Narvaeza, zrobiliśmy pierwszy krok na drodze, która miała nas zaprowadzić o wiele dalej, niż przypuszczaliśmy.

Zarówno Danny, jak i ja nie mieliśmy wątpliwości, że chcemy pociągnąć nasze śledztwo. Byłem pewien, że Enigma też się zgodzi, i to z zapałem, ale nie miałem pojęcia, jak się zachowa Bańka; nie wiedziałem, czy udało mi się przepędzić jego osobiste demony. Ucieszyłem się, że przyszedł, uznałem to za dobry znak.

Przedstawiliśmy zwięźle naszym towarzyszom wszystkie wydarzenia związane z *Mardudem* z Sewilli. Nie zajęło nam to wiele czasu. Potem nadszedł moment decyzji.

– Wejdźmy w to! – powiedziała Enigma. – Odzyskajmy tę księgę. Podpisałabym nawet pakt z diabłem, byle tylko nie musieć przygotowywać kolejnych raportów dla Alzagi. Ten człowiek niszczy moją psychę.

Wszyscy spojrzeliśmy na Bańkę. Do tej pory nie odezwał się słowem, palił tylko papierosa za papierosem. Zastanawiał się jeszcze przez chwilę.

– Nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego Narvaezowi – oświadczył. Jakiś czas spoglądał, jak papieros w jego rękę się tli.

– On nigdy nie postawiłby cię w takiej sytuacji – odparłem.

Bańka pokiwał głową.

– To prawda. Nie było trudno wykonywać jego polecenia. Wiedział, jak nami zarządzać. Rozumiał Korpus lepiej niż ktokolwiek inny. – Nagle energicznym ruchem zgasił papierosa. – Do diabła z tym – mruknął. Potem spojrzął na Danny. – Porozmawiaj z tym całym Cesarem. Powiedz mu, że najpierw ma nam opowiedzieć, co wie na temat księgi, i jeśli się nam to spodoba, pozwolimy mu, żeby nam pomógł. Tylko niech sobie nie wyobraża, że bez niego nie damy rady albo że może nam grać na nosie: znaleźlibyśmy tę księgę sami, nawet w piekle. Może i César potrafi zakpić sobie z policji, ale z Korpusem Poszukiwaczy nie pójdzie mu tak łatwo.

Na obrzeżach Madrytu od strony południowej znajdowało się wyjątkowo szpetne miejsce. Prostokątny obszar nieużytkowanej ziemi, po którym walały się śmieci, na tyłach centrum handlowego kolosalnych wręcz rozmiarów. Rozciągał się z niego widok stanowiący kwintesencję brzydoty: na pierwszym planie sieć szos, potem bloki ustawione równiutko jak pudełka w magazynie i wreszcie w oddali pożółkłe, monotonne wzgórza.

Tam właśnie umówiliśmy się na spotkanie z Cesarem.

Pojechaliśmy na nie tylko Bańka i ja. Cieszyłem się, że Poszukiwacz opuścił wreszcie gabinet, w którym tylko rozdrapywał rany.

– Sądzę, że to tutaj – powiedziałem, kiedy podjechaliśmy samochodem.

Bańka prowadził z nieodłącznym papierosem w ustach.

– A skąd mam wiedzieć, Faro, nie ja się z nim umawiałem. – Spojrzął na mnie kątem oka. – Tym razem postaraj się nie wręczać mu czapki ani kubka ozdobionych emblematem Korpusu – powiedział, nawiązując złośliwie do wpadki z zapalniczką.

– Cha, cha, cha. Bardzo dowcipne. Jak długo będziesz mi to jeszcze wypominał?

– Dopóki będziesz się na mnie o to wściekał, żółtodziobie – odparł, uśmiechając się.

Zostawiliśmy samochód na parkingu przed centrum handlowym i ruszyliśmy w stronę znajdujących się na jego tyłach nieużytków. César już na nas czekał. Spojrzął podejrzliwie na Bańkę.

– Kto to?

– Poszukiwacz. Nazywa się Bańka.

– Na pewno nie jest z policji?

– Mówiłem ci już, że cię nie wydamy. Dotrzymujemy słowa i oczekujemy od ciebie tego samego – odrzekłem. – A teraz porozmawiajmy o księdze.

– Najpierw chcę coś w zamian.

– Sądziliśmy, że niewydanie cię policji będzie wystarczającą zapłatą – odezwał się

Bańka.

– Nie potrzebuję was, żeby schować się przed policją – rzucił César z pogardą. – Chcę czegoś innego. Kiedy już będziecie mieli księgę, muszę ją zobaczyć.

– Tylko tyle?

– Tak. Ja wam powiem, gdzie znajdziecie księgę, a wy pozwolicie mi rzucić na nią okiem. – César spojrział na nas pytająco. – Umowa stoi?

– Prawdopodobnie – odparł Bańka. – Powiedz nam, co wiesz.

– Wiem, że chcą wywieźć księgę z kraju.

Mój towarzysz chciał wiedzieć, czy złodzieje chcą sprzedać księgę na czarnym rynku. Nasz informator nie był tego pewien.

– Gdy *Mardud* zostanie wywieziony za granicę, nie mam pojęcia, co się z nim dalej stanie. Ci, dla których pracowałem, nigdy mi tego nie powiedzieli, nie napomknęli o tym przy mnie ani słowem – wyjaśnił. – Jeśli chcecie odzyskać księgę, musicie to zrobić, dopóki znajduje się w Hiszpanii, inaczej na zawsze stracie ją z oczu.

– Jesteś pewien, że już jej nie wywieźli?

– Prawie. Słyszałem, że przechowają ją w kraju do niedzieli, chyba że zmienili plany.

Do niedzieli zostały trzy dni. Nie mieliśmy zbyt wiele czasu.

– Jak zamierzają ją wywieźć? – zapytałem.

– Zrobi to pewien facet, niejaki Thomas Mariur. Posługuje się paszportem dyplomatycznym Republiki Palau.

– Istnieje taki kraj?

– To archipelag położony niedaleko Filipin. Ma chyba więcej wysp niż mieszkańców – powiedział Bańka. – Pewnie chcą skorzystać z poczty dyplomatycznej.

– Tak. Mariur jest sekretarzem ambasady, będzie podróżował z Paryża do Manili, z przesiadką w Madrycie. Tu właśnie mają mu przekazać księgę. Według planu powinien wyjechać w niedzielę.

– Musimy w takim razie się dowiedzieć, gdzie się zatrzymał.

– To też wam powiem, w hotelu Ritz.

– Wspaniale, nigdy nie byłem w Ritzu – ucieszył się Bańka. – Dzięki, César. Dzięki za wszystko.

– Nie zapominaj o naszej umowie.

– Nie pamiętam, żebyśmy się na coś umawiali. Musimy się najpierw przekonać, czy twoje informacje są cokolwiek warte.

César spojrział na Bańkę tak, jakby chciał mu wzrokiem prześwidrować czaszkę. Na jego twarzy pojawił się ironiczny uśmiech.

– Dotrzymasz słowa. Nie chcesz chyba, żebym opowiedział policji, że korzystaliście z mojej pomocy. Uwierzą mi, w końcu nadal pozostają ich głównym podejrzanym.

– Byłbyś skończonym głupcem, gdybyś zrobił coś takiego – powiedział mój towarzysz. Nie było łatwo go przestraszyć.

César nie odpowiedział. Ograniczył się tylko do spojrzenia Bańce głęboko w oczy. Uświadomiłem sobie, że był zdolny spełnić swoją groźbę. Bańka chyba też to zrozumiał.

– Pogadamy, gdy odzyskamy księgę – mruknął, odwracając wzrok. – Jeśli chcesz ją pomacać, zrobisz to pod naszym czujnym okiem.

– W porządku. – César uśmiechnął się nieco złowrogo niż wcześniej. – Będziemy w kontakcie.

Odwrócił się na pięcie i odszedł. Bańka i ja wróciliśmy do samochodu.

– Tylko pogratulować. Niezłego złoczyńcę znaleźliście z moją siostrzyczką – powiedział, przekręcając kluczyk w stacyjce. – Nie podoba mi się ten typ, ma spojrzenie pieprzonego zaklinacza węży.

– A jednak trzyma nas w szachu – dodałem.

– Czemu?

– Miał rację, że nie uśmiecha się nam wcale, żeby poszedł na policję i opowiedział wszystko, co wie o księdze. I o nas. Jest sprytny. I wie, co robi. – Zamyśliłem się na chwilę. – Nie powinniśmy tracić go z oczu.

Poszukiwacz pokiwał głową, przyznając mi słusność.

INTERPOL

Wróciliśmy do muzeum, żeby zostawić samochód. Bańka obiecał przekazać Danny wszelkie nowości, potem mieliśmy ustalić miejsce kolejnego zebrania, na którym powinniśmy się zastanowić, jak odebrać księgę niejakiemu Thomasowi Mariurowi.

Teraz mogłem tylko czekać na dalszy bieg wypadków, nie pozostało mi więc nic innego jak powrót do domu. Postanowiłem pójść pieszo. Po drodze myślałem o Cesarze. Niepokoiło mnie, że tak niewiele wiedzieliśmy o nim i jego intencjach, miałem wrażenie, że chce nas jakoś wykorzystać, nie miałem jednak pojęcia w jaki sposób. Uznałem, że nie możemy spuszczać z niego oka.

Przed drzwiami do budynku ktoś na mnie czekał. Kobieta o egzotycznej urodzie, bardzo atrakcyjna, z tych, za którymi mężczyźni oglądają się na ulicy. Miała ogromne oczy, zielone z żółtawymi plamkami, i skórę koloru kawy. Wyglądała jak karaibska fantazja umieszczona w niepasującej scenerii.

– Pan Tirso Alfaro? – zapytała z akcentem, chyba francuskim.

Zrozumiałem, że jej obecność nie zwiastuje niczego dobrego.

– Tak. Czy my się znamy?

– W żadnym wypadku. – Kobieta wyciągnęła z torebki legitymację. – Julianne Lacombe, Interpol. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałabym chwilę porozmawiać.

Natychmiast zapaliło mi się w głowie czerwone światełko. Żaden Poszukiwacz nie lubi wizyt agentów Interpolu, podobnie jak myszy nie lubią zadawać się z kotami. Jej wizyta wróżyła problemy.

– Czym mogę pani służyć?

– Wyobrażam sobie, że wolałby pan jakieś spokojniejsze miejsce. Czy to pański dom?

– A ja wyobrażam sobie, że doskonale zna pani odpowiedź na to pytanie. – Otworzyłem drzwi na klatkę schodową i przepuściłem ją kurtuazyjnie. – Zapraszam!

Weszliśmy na górę. Zaproponowałem jej coś do picia, ale zrobiła taką minę, jakbym popełnił jakiś nietakt. Odmówiła i usiadła na sofie, wyprostowana jakby połknęła kij od szczotki. Nagle doznałem wrażenia, że mój salon zamienił się w pokój przesłuchań.

– A więc, pani inspektor, jakiś problem?

– Mam nadzieję, że nie. Chciałabym tylko zadać kilka pytań.

– Zamieniam się w słuch.

– Panie Alfaro, wie pan coś o paryskiej konferencji z 2013 roku dotyczącej ochrony dziedzictwa artystycznego Mali?

– Jeśli chciała pani dowiedzieć się czegoś na ten temat ode mnie, obawiam się, że nie będę szczególnie pomocny – powiedziałem i uśmiechnąłem się lekko. Spojrzała na mnie jak ktoś, kto usłyszał idiotyczny dowcip. Odchrząknąłem i odwróciłem wzrok. – Nie, nic mi o niej nie wiadomo.

– Rozumiem. Chciałabym panu wyjaśnić to i owo. Po wybuchu wojny domowej w Mali w 2012 roku i upadku rządu generała Tourégo dżihadysty zaczęli stanowić realne zagrożenie dla historycznego dziedzictwa tego kraju. W tej sytuacji UNESCO zwróciło się o pomoc do wielu międzynarodowych organizacji, w celu opracowania i wprowadzenia w życie skoordynowanego planu ocalenia i zabezpieczenia spuścizny archeologicznej i artystycznej Mali. W 2013 roku w Paryżu zorganizowano konferencję pod auspicjami organizacji międzynarodowych, wśród których znajdowała się oczywiście Specgrupa Interpolu ds. Przeprowadzenia Przeciw Dziedzictwu Kulturowemu.

– Tak, oczywiście.

– Nie chcę pana zanudzać zbędnymi szczegółami, panie Alfaro. Reasumując: po tej konferencji ONZ uchwaliła rezolucję, na której podstawie Interpol ma prawo do interwencji za każdym razem, kiedy wśród państw członkowskich popełnione zostanie przestępstwo mające związek z malijskim dziedzictwem kulturowym. Stąd moja obecność tutaj. Teraz pan rozumie?

– Jeśli mam być szczery, niezupełnie. Co ja mam wspólnego z dziedzictwem kulturowym Mali? – zapytałem z miną pokerzysty. – To jakiś kraj w Afryce, prawda?

Lacombe się uśmiechnęła. Bardzo nie podobał mi się ten uśmiech.

Agentka wyjęła z torby teczkę i wyciągnęła z niej zdjęcie. Poznałem je natychmiast. Wyszedłem na nim naprawdę niekorzystnie: zrobiła mi je portugalska policja tuż po akcji, podczas której próbowaliśmy odzyskać Maskę Musy.

– Czy to pan? – zapytała.

– Pod zdjęciem widnieje moje nazwisko, więc chyba trudno mi będzie się wyprzeć.

Nie okazując najmniejszych emocji, agentka Lacombe wyciągnęła kolejne zdjęcie, tym razem zrobione przez kamery nadzoru. Zacząłem się pocić. Byliśmy na nim ja, Danny i Skrzydłowy w Centrum Kultury Islamskiej.

– Czy jest pan którąś z tych osób?

– Niewykluczone... Tym razem brakuje podpisu, więc trochę się waham.

– Radziłabym podejść do sprawy nieco poważniej. Obawiam się, że znalazł się pan w tarapatach. Wiem, że jest pan na tym zdjęciu, więc proszę, żebyśmy nie tracili więcej czasu.

– To pani ciągle zadaje pytania, na które doskonale zna odpowiedzi – odparłem. – Nie wiem tylko, do czego pani zmierza.

– Chodzi mi o to, że znalazł się pan na miejscu zdarzenia, chociaż nie jest pan z policji. Bez żadnego pozwolenia. Chciałabym się dowiedzieć, kim pan jest.

Postanowiłem zaserwować jakieś wiarygodne kłamstwo. W gruncie rzeczy miałem już kilka gotowych na wypadek podobnych sytuacji, ale wolałem nie ryzykować, dopóki się nie dowiem, jak dużo agentka Lacombe wie o moim życiu.

– Jakim prawem zadaje mi pani to pytanie?

– Sądziłam, że to już sobie wyjaśniliśmy: jestem agentką Interpolu współpracującą z Brygadą ds. Dziedzictwa Historycznego hiszpańskiej policji. Mam za zadanie znaleźć *Mardud* z Sewilli i złapać jego złodziei. A teraz chciałabym się dowiedzieć, jaki ma pan związek z tą sprawą.

– Ciekawe... Twierdzi pani, że działa we współpracy z hiszpańską policją, ale nie

widzę tu żadnego funkcjonariusza. Czy aby jego obecność nie jest konieczna, żeby nadać temu przesłuchaniu charakter, powiedzmy, oficjalny? Z tego, co wiem, Interpol nie może działać na własną rękę w niepodległym państwie.

Próbowałem grać na zwłokę. W filmach i książkach zwykle ukazuje się Interpol jako sztab generalny elitarnych agentów, którzy działają swobodnie na całym świecie, by doprowadzić groźnych przestępców przed oblicze sprawiedliwości. Rzeczywistość jest wszakże znacznie mniej barwna: Interpol to tylko centrum wsparcia i koordynacji. Jego praca polega na pomocy lokalnej policji w różnych krajach, ale agenci nigdy nie przejmują w całości jej obowiązków. Tak naprawdę agent Interpolu nie ma nawet prawa aresztować zwykłego kieszonkowca.

– Widzę, że mechanizmy działania Interpolu są panu doskonale znane – powiedziała Lacombe. – To ciekawe. Ale skoro tak to pana niepokoi, wyjaśnię, że działałam jako IRT.

W nagłych wypadkach Interpol może wysłać zespół interwencyjny złożony z tak zwanych IRT (*incident response team*), swoich wykwalifikowanych agentów, ale czyni tak tylko na prośbę policji danego kraju. Mogłem obstawiać, że Skrzydłowy nie zwrócił się o pomoc do Interpolu – w przeciwnym wypadku, jako były Poszukiwacz, z pewnością by nam o tym powiedział. Przypuszczałem, że Lacombe nie jest żadną IRT. Blefowała, żeby zrobić na mnie wrażenie.

– W takim razie nie ma pani nic przeciwko temu, żebym porozmawiał z funkcjonariuszem hiszpańskiej policji prowadzącym dochodzenie, prawda? – spytałem.

Lacombe uśmiechnęła się kwaśno.

– Więc odmawia pan współpracy?

– Wręcz przeciwnie, lubię jednak, kiedy wszystko odbywa się jak Pan Bóg przykazał. Nie chciałbym, żeby miała pani przeze mnie kłopoty.

Nawet jeśli moje słowa ją zirytowały, nie dała tego po sobie poznać. Uśmiech nie schodził z jej ust. Wzięła znów fotografię zrobioną przez portugalską policję i przyjrzała się jej z ostentacyjną uwagą.

– Miał pan jakąś nieprzyjemną przygodę tamtej nocy, prawda, panie Alfaro? Ale widzę, że rany pięknie się zagoiły.

– Nie do końca, zanim zrobiono mi to zdjęcie, nie miałem takiego krzywego nosa.

– A ta blizna na czole? Na fotografii nie widzę w tym miejscu żadnej rany.

– Ach, to zdarzyło się później. Miałem wypadek w jaskini, jestem grotolazem.

– Prowadzi pan bardzo aktywne życie, panie Alfaro. – Lacombe spojrzała na mnie, pokazując mi fotografię. – Wie pan, co to jest?

– Zdjęcie. Na którym wyszedłem dość kiepsko.

– Nie, to pojedynczy sznurek. Lubię takie sznurki. Mogę za nie pociągnąć i dotrzeć do bardzo ciekawych informacji. Ten przyprowadził mnie do pana, a jeszcze nie zdążyłam dobrze za niego pociągnąć. Proszę sobie tylko wyobrazić, co mogę odkryć, kiedy trochę bardziej się postaram. Niech się pan nad tym dobrze zastanowi. – Lacombe schowała teczkę do torby i ruszyła ku drzwiom. Na odchodnym rzuciła: – Proszę się o mnie nie martwić, następnym razem na pewno zjawię się w towarzystwie funkcjonariusza policji.

– Więc będzie następny raz?

– Może być pan tego pewien, panie Alfaro.

Skinęła głową na pożegnanie i poszła sobie.

Siedziałem przez chwilę, nie bardzo wiedząc, co mam teraz zrobić. Przeczuwałem, że ta kobieta będzie ciągnąć za swój cholerny sznurek, aż stanie się tak długi, żeby dało się go okręcić mi wokół szyi.

Po chwili namysłu postanowiłem zatelefonować do Danny. Uznałem, że powinniśmy jak najszybciej zobaczyć się ze Skrzydłowym.

Postanowiliśmy z Danny umówić się z eks-Poszukiwaczem w niezbyt uczęszczanym miejscu: w kawiarni centrum handlowego na obrzeżach Madrytu. Policjant z początku niechętnie podchodził do propozycji spotkania, ale na wieść o niezbyt miłej wizycie, jaką złożyła mi Julianne Lacombe, ustąpił.

Kiedy tylko usiedliśmy przy najbardziej ustronnym stoliku w całej kawiarni, Danny przeszła do sedna.

– Kim, do diabła, jest ta kobieta? – zapytała. – Skąd wie, że w dniu kradzieży weszliśmy w Centrum Kultury Islamskiej?

– Przykro mi, Danny – odparł policjant. – Robiłem wszystko, co w mojej mocy, żebyście nie dostali rykoszetem, ale chyba sytuacja trochę wymknęła się spod kontroli.

– Trochę? – wybuchnąłem. – Agentka Interpolu rozsiadła się na mojej kanapie! Co się tu, do cholery, wyprawia?

Skrzydłowy zganił mnie wzrokiem.

– Nie krzycz tak, chłopcze, to miejsce publiczne. – Z irytującą powolnością upił łyk kawy. – Agentka nazywa się Julianne Lacombe. Jest Francuzką, urodziła się na wyspie Reunion, z tego, co wiem. Próbowałem dowiedzieć się o niej czegoś więcej, zdaje się, że rozpoczynała karierę w OCBC¹, od razu uznano ją za szczególnie zdolną, chociaż większość kolegów szczerze jej nienawidziła. Mówili na nią Banquise Noire – Czarna Góra Lodowa. To zresztą najłagodniejsze spośród przezwisk, jakie wymyślili dla niej współpracownicy. Interpol zatrudnił ją cztery lata temu, ale ona nadal ciągnie sprawy, które prowadziła wcześniej. Znam ten typ funkcjonariuszy: są uparci i do bólu skuteczni, działają na własną rękę, naginają prawo, żeby osiągnąć swoje cele, co czyni ich szczególnie irytującymi. Żaden szef nie lubi takich agentów, ale niestety to oni odnoszą największe sukcesy.

– Nie wydaje ci się, że skoro wystąpiłeś do Interpolu o agenta IRT, powinieneś nas o tym powiadomić? – zapytała Danny.

– Nic takiego nie zrobiłem, właśnie to próbuję wam powiedzieć. Ta kobieta pewnego pięknego dnia zjawiała się w moim gabinecie i pokazała mi stosy dokumentów, powołując się na rezolucję ONZ dotyczącą spuścizny historycznej Mali. Ni w ząb nie rozumiałem, co do mnie mówi, wiem tylko, że może wtrącać się w moje śledztwo, a ja nie mam prawa powiedzieć ani słowa. Zdaje się, że Interpol ma specjalne uprawnienia, jeśli chodzi o dziedzictwo kulturowe Mali.

– Do Danny się nie przyczepiła. Do mnie tak. Dlaczego?

– Mały błąd taktyczny. Francuzka poprosiła, nie konsultując tego ze mną, o nagrania z kamer nadzoru z dnia kradzieży.

– Nie zapytała cię o zdanie?

– No przecież mówiłem, że jest niezdolna... Tak czy siak, zobaczyła was, jak spacerujecie sobie w moim towarzystwie. Zapytała mnie o was, wyjaśniłem jej, że jesteście pracownikami Ministerstwa Kultury, którzy przybyli na miejsce zdarzenia, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Wiedziałem, że to sprawdzi, ale nie wyobrażałem sobie, że znajdzie na was jakiegoś haka. Za moich czasów Poszukiwacze dbali o to, by zacierać po sobie ślady – mówiąc to, znów obrzucił mnie spojrzeniem pełnym wyrzutu.

– Nie możesz winić za to Fara, dołączył do nas stosunkowo niedawno. – Danny postanowiła przyjść mi z pomocą. – Kilka miesięcy temu miał niemiłe spotkanie z portugalską policją, potem zdarzyło się wiele rzeczy i nikt nie pamiętał o tym, żeby wyczyścić mu kartotekę. Prawdę mówiąc, sama o tym na śmierć zapomniałam.

– Poważny błąd. Kiedy ja urzędowałem w Piwnicy...

– Dajmy sobie spokój z martyrologią – ucięła Danny. – To nie najlepszy moment.

– Mówiłem tylko, że takie rzeczy się nie zdarzały, kiedy dowodził nami Staruszek.

– To prawda. Od tamtej pory wiele się zmieniło.

– Tego właśnie się obawiałem – mruknął Skrzydłowy.

Wyczułem w jego głosie jakiś dziwny ton, ale nie miałem pojęcia, jak go zinterpretować.

Policjant tymczasem dopił kawę.

– Możesz coś zrobić, żeby ta kobieta przestała utrudniać mi życie? – zapytałem.

– Mogę tylko spróbować. Nie chcę jednak, żeby Francuzka pomyślała, że próbuję coś przed nią ukryć. Nikt z nas nie wyszedłby na tym dobrze. – Inspektor wstał i zaczął wkładać płaszcz. Jak zwykle spokojnie i powoli.

Patrząc na niego, miałem wrażenie, że każdy jego gest jest owocem głębokiego namysłu.

– Idziesz już? – spytała Danny.

– Lepiej nie ryzykować, nikt nie powinien teraz zobaczyć nas razem. Sprawa i tak jest dość skomplikowana – odrzekł.

– Tak kiepsko to widzisz?

Skrzydłowy nie odpowiedział wprost.

– Dam wam jedną radę. Opowiedzcie o wszystkim Urquijowi. Jeśli ten adwokat o rybiej gębie nadal jest tak przebiegły jak za moich czasów, może wpadnie na pomysł, jak wyciągnąć nas wszystkich z tarapatów. Poza tym, Fara, powinieneś jak najmniej wychodzić z domu. Jeśli Francuzka ma cię na celowniku, wpakowałeś się w niezłą kabałę.

Po tym ostrzeżeniu odwrócił się na pięcie i odszedł.

Daniel Urquijo był aniołem stróżem wszystkich Poszukiwaczy, którzy popadli w konflikt z prawem. Podobnie jak anioł stróż, zjawiał się niespodziewanie, kiedy go potrzebowaliśmy, a potem znikał, nie pozostawiając śladów swojej działalności. Nie mam bladego pojęcia, co Urquijo robił w wolnych chwilach, kiedy nie musiał ratować z opresji Poszukiwaczy. Może miał rodzinę, kilkanaścioro dzieci i dobrze prosperującą kancelarię przy jakiejś uczęszczanej ulicy, a może po prostu pracowicie odrabiał swoje etatowe godziny w jakiejś międzynarodowej korporacji. W przypadku Urquija obydwie opcje wydawały mi się równie prawdopodobne.

Dla każdego poszukiwacza numer Urquija zapisany w pamięci komórki był równie

nieodzowny jak błękitna przepustka, której używaliśmy, żeby wejść do Piwnicy. A jednak połączenie się z nim było krokiem równie ostatecznym, jak uruchomienie wyrzutni pocisków.

Urquijo oddzwonił do mnie bardzo szybko i wziął sprawy w swoje ręce. Oczywiście powiadomił o wszystkim Alzagę. Ten natychmiast zwołał pilne zebranie w swoim gabinecie. Tam, zgodnie z przewidywaniami, dostałem po uszach.

– Zawsze podejrzewałem, że ta afera z księgą przyniesie nam same problemy – powiedział. – Dlatego prosiłem was, żebyście trzymali się od niej z daleka... Chcę poznać całą prawdę: czy oprócz tego, że byłeś w Centrum Kultury Islamskiej w dniu kradzieży, zrobiłeś coś jeszcze?

– Nie, nie zrobiłem nic poza tym – skłamałem jak z nut.

– Ta cała Lacombe może dowiedzieć się czegoś więcej o tobie i twojej pracy dla Korpusu? – pytał zaniepokojony.

– Nie mam cienia wątpliwości, że postara się dowiedzieć wszystkiego.

Alzaga zmarszczył brwi.

– Jestem bardzo rozczarowany twoją nieostrożnością, Tirso. Od agentów Korpusu oczekuję znacznie więcej. Myślę, że będę musiał cię ukarać za tę niesubordynację.

Poczułem, że Alzaga jest dla mnie niesprawiedliwy, i już chciałem się bronić, ale przerwał mi Urquijo. Miał plan. Był prosty i ryzykowny, ale uznaliśmy, że przy odrobinie szczęścia może się udać.

Potrzebowaliśmy jedynie gabinetu w budynku jakiegoś ministerstwa, żeby wprowadzić go w życie. Rozliczne kontakty Alzagi bardzo nam w tym pomogły, dzięki nim udało nam się wypożyczyć gabinet w Ministerstwie Kultury, który miał się stać scenerią naszej farsy. Potem, za pośrednictwem Skrzydłowego, skontaktowaliśmy się z agentką Lacombe i zaprosiliśmy oboje do naszego „biura” jeszcze tego samego dnia.

O umówionej godzinie czekaliśmy na nich Alzaga, adwokat i ja. Szef Korpusu siedział za biurkiem w majestatycznej pozycji, udając, że przebywa w swoim naturalnym środowisku. Urquijo i ja zajęliśmy miejsca po jego bokach. Lacombe i Skrzydłowy stawili się punktualnie.

Kiedy agentka Interpolu weszła do środka, Alzaga poderwał się z krzesła i podszedł do niej, żeby się przywitać, uzbrojony w swój najbardziej czarujący uśmiech. Padły miłe słowa, komplementy, uściśnięto sobie dłonie. Ja nie ruszałem się z miejsca, siedziałem ze skruszoną miną jak kiepski uczeń w dniu wywiadówki.

Kiedy nasi goście usiedli po drugiej stronie biurka, Alzaga, który starał się zrobić jak najlepszy użytek ze swojego uroku osobistego, zabrał głos:

– A więc pani Lacombe... Julianne Lacombe. Jest pani, jak mniemam, Francuzką?

– Owszem. Urodziłam się w Saint-Denis, ale nie pod Paryżem, tylko na wyspie Reunion. Mój ojciec jest Francuzem, a matka Afrykanką. Pochodzi z Madagaskaru.

– Co za piękne miejsce. Jest pani prawdziwą szczęściarą. – Alzaga uśmiechnął się. – Oczywiście moglibyśmy długo rozmawiać o urodzie pani małej ojczyzny, ale obawiam się, że niestety mamy do omówienia inne sprawy, już nie tak przyjemne.

– Słucham pana, panie Alzaga. To pan poprosił o spotkanie.

– W rzeczy samej. Cóż, wydaje mi się, pani inspektor, że niechęć wprowadziliśmy

lekkie zamieszanie w waszym śledztwie. Słyszałem, że obecny tu Tirso Alfaro, którego już pani zna, niechcący przeszkodził wam w pracy. I chciałbym przeprosić za wszystkie kłopoty, jakie mój dział mógł państwu sprawić.

– O jakim dziale mówimy? – zapytała podejrzliwie Lacombe.

– NKP. Dział Narodowej Katalogizacji Poszukiwanych Dzieł Sztuki i Skradzionych Dóbr Kultury. Najpierw nazywaliśmy się DNKPSDK, ale z oczywistych powodów trzeba było skrócić nazwę. – Na ustach Alzagi pojawił się przepraszający uśmiešek. – Już i tak mamy zbyt wiele skrótów w całej administracji, czasem sam się w tym gubię.

– Przepraszam, że zapytam, ale jaką konkretnie funkcję pan pełni?

– Ach, przepraszam, powinienem był powiedzieć od razu, jestem członkiem Rady Zarządzającej Dziedzictwem Kulturowym, dyrektorem Zbiorów Muzealnych i Archiwów. Może to pani sprawdzić w naszej bazie danych, gdzie figuruję na tym stanowisku od 2010 roku.

Alzaga nie kłamał. Przynajmniej po części. To stanowisko rzeczywiście zajmował, zanim został szefem Korpusu. Nie byłem pewien, czy nadal znajdował się w tej bazie danych, ale wiedziałem, że Urquijo z pewnością to sprawdził. On zawsze wszystko sprawdzał.

– A pan Alfaro?

– Jest szeregowym pracownikiem mojego działu. Sprawa w rzeczywistości jest bardzo prosta: od dłuższego czasu mamy w zwyczaju gromadzenie informacji o każdym przestępstwie mającym jakikolwiek związek z dziełami sztuki. Oczywiście wszystko w majestacie prawa. Mam tu rozporządzenie, które nas do tego upoważnia. – Alzaga sięgnął do szuflady i wyciągnął z niej kserokopię dokumentu, równie fałszywego jak cała nasza inscenizacja. – Według niego mamy prawo pojawić się na miejscu zdarzenia, jeśli zachodzi podejrzenie, że popełniony czyn mógł mieć związek z naszym kulturowym dziedzictwem. Jeśli skradzione dzieło sztuki należy do naszych kolekcji, odnotowujemy to w archiwach i staramy się prowadzić dochodzenie równoległe z działaniami policji. Nasza robota często okazywała się bardzo skuteczna. Mógłbym opowiedzieć o kilku przypadkach.

– Ale *Mardud* z Sewilli nie należy do dziedzictwa hiszpańskiego – ucięła Lacombe. – Dlatego właśnie przysłano tu mnie.

– Oczywiście, pani inspektor, ma pani zupełną rację. Obawiam się, że tym razem pan Alfaro zgrzeszył nadgorliwością i też... muszę przyznać, poniosła go ciekawość. A to, jak wiadomo, pierwszy stopień do piekła. – Alzaga westchnął ciężko. – Pracuje u nas dopiero od miesiąca i obawiam się, że nie do końca zrozumiał, gdzie kończą się jego uprawnienia. Otrzyma naganę.

Lacombe spojrzała mi w oczy. Siedziałem nadal ze skruszoną miną i, jak mi przykazano, nie odzywałem się słowem.

– Dlaczego nie odpowiedział mi, kiedy go pytałam?

– Jak już wspominałem, pan Alfaro nie zdawał sobie sprawy, że przekroczył swoje uprawnienia – odparł Alzaga. – Ja zaś dowiedziałem się o wszystkim dopiero dzisiaj. Podejrzewam, że mój pracownik uświadomił sobie poważne konsekwencje swojego działania i po prostu zachował się nieudolnie. – Spojrzał na mnie z wyrzutem. – To się już nie powtórzy, prawda?

Moja rola w tym przedstawieniu ograniczała się do tej jednej kwestii:

– Z pewnością się nie powtórzy. Bardzo mi przykro, pani inspektor. Nie miałem złych intencji, zapewniam.

– A ta kobieta, która panu towarzyszyła? – zapytała Lacombe, mając na myśli Danny.

– To zwykła praktykantka – odrzekł Alzaga. – Ona również poniosła karę i już z nami nie pracuje. Jak sama pani widzi, tak naprawdę chodzi tylko o drobne potknięcie i chyba nie ma sensu zajmować się tym dłużej. Nieszkodliwy wybryk, nic poza tym. Ponawiam jak najszersze przeprosiny w imieniu mojego działu. Nic nie zawstydzia mnie tak jak brak profesjonalizmu własnych pracowników.

– Rozumiem – odparła Lacombe beznamiętnie. – A jednak chciałabym rzucić okiem na dokumentację tych pracowników.

– Nie widzę przeciwwskazań, jeśli oczywiście nasz radca prawny, Daniel Urquijo, nie będzie miał nic przeciwko temu.

Urquijo wygłosił swoją ostatnią kwestię:

– Jeśli odpowiedzialna za dochodzenie jednostka policji wystąpi o te informacje, możemy je udostępnić. – Spojrzał na Skrzydłowego. – W przeciwnym wypadku obawiam się, że nie.

– Nie widzę takiej potrzeby – odpowiedział eks-Poszukiwacz. – Jest dla mnie oczywiste, że ani pan Alfaro, ani żaden z pracowników tego działu nie ma nic wspólnego z kradzieżą ani naszym dochodzeniem. Na razie uważam, że te wyjaśnienia w zupełności wystarczą.

Lacombe nie mogła zrobić nic więcej. Nie miała prawa posunąć się dalej, niż pozwalał na to prowadzący dochodzenie inspektor. Minę miała nieprzeniknioną, ale w jej spojrzeniu wychwytiłem coś, co kazało mi myśleć, że nie zgadza się z decyzją Skrzydłowego.

– Tak. Na razie powinno nam wystarczyć – powiedziała, ledwie poruszając ustami. – Mam jeszcze tylko jedno pytanie, po prostu z czystej ciekawości...

– Oczywiście.

– Chciałabym wiedzieć, dlaczego pan Alfaro nie figuruje w żadnej bazie danych Ministerstwa Kultury.

– Ach, odpowiedź jest prosta. Nasz dział nie podlega pod Ministerstwo Kultury, ale pod Kancelarię Premiera. W tamtej bazie danych z łatwością go pani znajdzie.

Tu Alzaga nie kłamał. Z jakiegoś powodu agenci Narodowego Korpusu Poszukiwaczy stanowili personel Kancelarii Premiera. Sądzę, choć nie jestem tego pewien, że to tradycja wywodząca się jeszcze z czasów generała Narvaeza, który założył Korpus w dziewiętnastym wieku.

– Przepraszam, ale nie rozumiem, dlaczego w takim razie macie siedzibę w Ministerstwie Kultury?

Alzaga się uśmiechnął.

– Wie pani co? Sam zastanawiałem się nad tym wielokrotnie i, szczerze mówiąc, nie znajduję odpowiedzi. Cóż, świat administracji publicznej. My, którzy mieszkamy w gabinetach, mamy wrodzoną zdolność do komplikowania prostych spraw i obawiam się, że tak jest w Hiszpanii, we Francji i na całym świecie. – Alzaga nachylił się ku niej i dodał przyjacielskim tonem: – Zawsze uważałem, że gdyby nie my, biurokraci, świat obracałby

się szybciej, nieprawdaż?

Lacombe uśmiechnęła się lekko.

– Tak, pewnie ma pan rację.

Nie przepadałem wprawdzie za Alzaga, ale nie mogłem odmówić mu przebiegłości i nienagannego stylu manipulowania ludźmi. Agentka Lacombe wydawała się usatysfakcjonowana jego wyjaśnieniami. A może po prostu znudziły ją długie odpowiedzi i wolała już o nic więcej nie pytać.

Goście pożegnali się z nami. Inspektor spojrział mi w oczy i poczułem, że wsuwa mi coś w dłoń. Niewielką, zwiniętą w rulonik karteczkę. Schowałem ją do kieszeni.

– Chyba wszystko poszło zgodnie z planem. Uniknęliśmy katastrofy – ocenił Urquijo, kiedy zostaliśmy sami.

– Też mam taką nadzieję – potwierdził Alzaga. Potem spojrział na mnie surowo. – Tym razem skończy się na słownym upomnieniu, Tirso, ale następnym razem nie unikniesz nagany.

Spojrzałem na Urquija, szukając wsparcia, ale napotkałem tylko zimne rybie oczy. Wyraziłem więc skruchę z powodu mojego nieodpowiedzialnego zachowania i czym prędzej opuściłem gabinet.

Wyjąłem z kieszeni kartkę, którą ukradkiem wsunął mi Skrzydłowy. Jak się spodziewałem, zawierała wiadomość napisaną odręcznie długopisem. Krótkie, treściwe równoważniki zdań. Tak komunikują się ze sobą Poszukiwacze.

„Plaza del Rey. Za 20 minut. Ty sam”.

Czekał na mnie przy fontannie na placu przed Ministerstwem Kultury. Palił papierosa. Jego brązowy, sięgający niemal ziemi płaszcz sprawiał, że wyglądał na jeszcze niższego i bardziej przysadzistego niż w rzeczywistości.

Na mój widok kiwnął głową w kierunku pobliskiego baru i, nie czekając na mnie, wszedł do środka. Ruszyłem za nim. Siedział na krańcu kontuaru. Zająłem miejsce na wolnym stołku obok. Skrzydłowy zachowywał się tak, jakby wcale mnie nie widział. Zamówiłem kawę i dopiero kiedy barman postawił przede mną filiżankę, inspektor przemówił.

– Niezły teatrzyk – powiedział, wbijając wzrok w swoją filiżankę mięty. – Widzę, że posłuchaliście mojej rady i porozmawialiście z Urquijem.

– Tak właśnie zrobiliśmy.

– Spodziewałem się czegoś lepszego, ale rozumiem, że nie miał zbyt wiele czasu. – Inspektor upił kolejny łyk mięty. – Mam tylko nadzieję, że nie uwierzyliście ani na chwilę w skuteczność tego przedstawienia. Francuzka tego nie kupi.

Nie ukrywałem zaskoczenia.

– Wydawało mi się, że uwierzyła w nasze kłamstwa.

– Nie. Nie ona. Nie jest głupia, wierz mi. Ostrzegałem, że nie pozbędziesz się jej tak łatwo.

– W takim razie dlaczego nie przycisnęła nas bardziej?

– Bo w tej chwili nie jesteś na jej liście priorytetów. Ma solidne podstawy, by sądzić, że wie, gdzie znajduje się księga. I wie, że ty nie masz z tym nic wspólnego.

– Już wpadła na trop? Tak szybko?

– Mówiłem ci, że jest dobra.

– A co wie?

– Natrafiła na ślad niejakiego Thomasa Mariura, dyplomaty z Palau, który zatrzymał się w hotelu Ritz.

– Kurwa – mruknąłem. – Masz rację, jest niezła.

– Wiedzieliście o nim?

– Tak, coś nam się obilo o uszy.

– Więc jeśli coś planujecie, zróbcie to jak najszybciej. Jutro ona ma zamiar pojawić się w Ritzu i go przycisnąć.

– Ciebie tam nie będzie?

Pokręcił głową.

– Lacombe mi nie ufa, bo wpuściłem was wtedy do Centrum Kultury Islamskiej. Ukrywa przede mną wiele rzeczy. Ja zostanę w komisariacie, a ona zabierze ze sobą dwóch agentów, żeby nikt nie mógł jej zarzucić, że działa niezgodnie z prawem.

– Wiesz, o której ma zamiar zjawić się w Ritzu?

– Jeszcze nie.

– Powiesz nam, kiedy się dowiesz?

– Nie mogę wam niczego obiecać. Ta kobieta jest gorsza niż zaraza. I tak ryzykuję, spotykając się z tobą.

– Dobrze. Bardzo ci dziękuję. Postaramy się jak najszybciej zrealizować nasz plan.

– O tym nie chcę nic wiedzieć, chłopcze.

– Skrzydłowy... – zawahałem się chwilę. – Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć. Chodzi o tego podejrzanego, Cesara.

– Tak, wiem od Danny, że został waszym informatorem.

– Obiecaliśmy, że nie wydamy go policji.

– Jeśli o mnie chodzi, nie będę go ścigał. Chociaż przeszedłem na stronę stróżów prawa, nie zrobię nic, co mogłoby pomieszać szyki Poszukiwaczom. Ostrzegam cię jednak, tak samo jak ostrzegałem Danny: ten cały César mi się nie podoba. Na waszym miejscu za bardzo bym się z nim nie bratał.

– Dlaczego?

– To tylko intuicja starego gliny. Uważajcie, bo będziecie mieć z nim problemy, zapamiętaj to sobie. – Dopił swój napar, wyjął z kieszeni kilka monet i położył na barze. Na odchodnym powiedział jeszcze: – Już wiem, skąd znam twoją twarz.

– Przypomniałeś sobie, gdzie spotkaliśmy się wcześniej?

– Nie spotkaliśmy się. Chodzi o coś innego. – Inspektor poruszył wąsem. – To długa historia, teraz nie mam czasu, żeby ci ją opowiedzieć. Kiedy sprawy trochę się uspokoją, przyjdź mnie odwiedzić. Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

Obiecałem, że tak zrobię. Potem Skrzydłowy narzucił na siebie płaszcz i wyszedł. Ja zostałem w barze jeszcze chwilę. Zamówiłem kolejną kawę i zacząłem rozmyślać o tym, jak powinniśmy teraz postąpić.

1. Office centrale de lutte contre le trafic des biens culturels – francuska jednostka policji odpowiedzialna za walkę z nielegalnym handlem dziełami sztuki. [↵](#)

HOTEL

Madrycki hotel Ritz stoi przy plaza Cánovas del Castillo, naprzeciwko fontanny Neptuna. Wygląda jak zbyt kunsztowny budynek, przeniesiony prosto z ojczyzny Moliera i ustawiony w niepasującym do niego otoczeniu. Wierna swemu francuskiemu duchowi, niewielka czarna kopuła wieńcząca gmach spogląda z wyższością na okolicę. I nic w tym dziwnego, w końcu mamy do czynienia z dziełem architektury zrodzonym z naszych kompleksów.

A ściśle rzecz ujmując, z kompleksów króla Alfonsa XIII, który – spędziwszy w Paryżu swój miodowy miesiąc – uświadomił sobie, że w stolicy jego kraju brakuje nowoczesnych luksusowych hoteli. Madryt nie mógł się pochwalić wieloma, a już na pewno nie takimi, gdzie mogliby się zatrzymać podróżni z arystokratycznych rodów i suto opłaciwszy swój pobyt, poczuć się wyjątkowo. Monarcha osobiście zatroszczył się o to, by tę lukę wypełnić. Z jego inicjatywy zbudowano w Madrycie hotel Ritz.

Projekt gmachu powierzono francuskiemu (jakże by inaczej) architektowi, temu samemu, który zaprojektował Ritza w Paryżu. Jego pierwsi dyrektorzy otrzymali wsparcie samego Césara Ritza, a pierwszy szef kuchni uczył swoich kucharzy przygotowywać dania legendarnego Auguste’a Escoffiera. Madrycki Ritz w pierwszych latach istnienia sprawiał wrażenie wyrafinowanego francuskiego tatuażu na poranej bruzdami i wyboistej skórze stolicy Hiszpanii.

Wiele wody upłynęło od tamtych czasów i ponad sto lat później nasz madrycki hotel jest równie francuski jak, dajmy na to, Casino Paris w Las Vegas w Nevadzie. Podejrzewam jednak, że kiedy agentka Lacombe przekroczyła jego próg, poczuła instynktownie, że znalazła się w domu.

Rozejrzała się wokoło. Wystrój wnętrza, przeładowanego kunsztownie wykonanymi przedmiotami i drogimi materiałami, od razu uzmysławiał gościowi, że znalazł się w królestwie luksusu. W centrum okrągłego holu znajdował się stół z egzotycznego drewna, przyozdobiony wyrafinowanym bukietem świeżych kwiatów. Do tego schody, z elegancką balustradą z kutego żelaza, puszyste dywany na podłodze, marmurowe kolumny. Wszystko to skąpane w szczególnym świetle promieni słonecznych przesączających się przez stare szyby. Światło, które wydaje się kosztować fortunę.

Z boku umieszczono recepcję: wytworny blat lśnił jak wypolerowane orderzy na piersiach generałów. Wisiał tam portret Alfonsa XIII, inaugurującego księgę gości hotelu drugiego października 1910 roku. Króla otaczał wianuszek szacownych dam i młodzieńców z dobrych domów.

Kiedy agentka Lacombe weszła do hotelu, w holu nie było prawie nikogo: kobieta w dżinsach i mężczyzna, którym pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat temu odmówiono by wstępu (jej dlatego, że włożyła spodnie, jemu dlatego, że nie miał krawata), i jeszcze turysta przeglądający przewodnik – kilka dekad temu hotelowy personel wskazałby mu

nader uprzejmie odpowiednie pomieszczenie przeznaczone na lekturę. Do tego dziewczyna w koszulce z tytułem popularnego filmu, niemająca zapewne pojęcia o tym, że w dniach świetności hotelu grający w nim aktorzy nie mogliby się tu zatrzymać, gdyż regulamin przybytku zabraniał pobytu toreadorom i gwiazdom kina... Julianne Lacombe pewnie nie zdawała sobie z tego sprawy, ale z biegiem czasu to sanktuarium wygórowanych ambicji bardzo się zmieniło. Rozumiem wszakże, że nie zaprzętała sobie tym głowy, miała przecież pilniejsze problemy do rozwiązania.

Agentce towarzyszyło dwóch policjantów w cywilu. Lacombe kazała im zaczekać na zewnątrz, sama zaś skierowała się do recepcji. Tam, pokazawszy recepcjoniście swoją legitymację, zapytała o numer pokoju, w którym zatrzymał się niejaki Thomas Mariur. Był to pokój 312.

Na zegarze wybiła czwarta, cztery uderzenia delikatne niczym stukanie widelca o kryształowy kieliszek.

Lacombe weszła do windy i nacisnęła guzik z numerem trzy. Na chwilę zza marynarki wyłoniła się lufa pistoletu, który miała w kaburze pod pachą – na szczęście nikt tego nie zauważył, gdyż winda była pusta.

Pokój 312 znajdował się na końcu korytarza o kremowych ścianach i podłodze wyłożonej dywanem w kolorze jajecznicy. Agentka Lacombe minęła szpaler kolejnych drzwi i, pokonawszy kilka zakrętów, dotarła do celu.

Drzwi pokoju 312 były uchylone.

Każdy dobry policjant ma szósty zmysł, który w porę podpowiada mu, że coś jest nie tak. Lacombe była świetną policjantką i od razu pomyślała, że te uchylone drzwi nie wróżą nic dobrego.

Popchnęła je ostrożnie i zajrzała do środka.

Pokój wyglądał, jakby przeszło przez niego tornado: wywrócone stół i krzesła, rzeczy powyrzucane z szuflad. Na podłodze siedział mężczyzna, oparty plecami o ścianę. Miał związane ręce i nogi i zakneblowane usta. Na widok Lacombe w oczach więźnia rozbłysła nadzieja, zaczął się więc i rzucać jak ryba na pokładzie statku.

Lacombe podbiegła do niego i rozwiązała krępujące go sznury. Mężczyzna był gruby, miał oliwkową cerę i bardzo gęstą brodę. Jego zmierzwiłone włosy i poszarpane ubranie zdradzały, że nie poddał się bez walki.

Kiedy Lacombe wyjęła mu z ust knebel, zaczął się krztusić, jakby nie mógł zaczerpnąć powietrza.

– Dziękuję, bardzo dziękuję – powiedział po angielsku z wyraźnym obcym akcentem. – O mój Boże! Moje plecy! Co za horror!

– Proszę się uspokoić, jestem policjantką. Z Interpolu. Nic się panu nie stało? Jest pan ranny?

– Nie mam pojęcia, nie czuję się dobrze. Boli mnie całe ciało. Muszę iść do lekarza.

– Czy pan Thomas Mariur?

– Tak, Thomas Mariur. Jestem konsulem Republiki Palau i zostałem napadnięty. W moim własnym pokoju!

– Kto panu to zrobił?

– Nie wiem, wszystko działo się bardzo szybko. Ktoś zapukał do drzwi, powiedzieli, że

są z obsługi. I wtedy ci faceci wpadli do środka, pobili mnie, zwiążali i okradli. Musi ich pani znaleźć!

– Co panu ukradli?

– Coś bardzo cennego. Co należy do mnie... Stary kodeks... Co za skandal! Jestem konsulem, wypełniam misję dyplomatyczną!

– Jak dawno temu to się stało?

– Przed chwilą! Kilka minut temu! Może ci ludzie jeszcze nie wyszli z hotelu?

Lacombe zaklęła pod nosem. Miała wiele pytań do pana Mariura, ale musiała jak najszybciej ruszyć w pogoń za złodziejami i odebrać im książkę. Pomyślała, że jeśli się pośpieszy, może ich złapie.

– Proszę się stąd nie ruszać. Zrozumiano?

Zostawiła Mariura w pokoju i wybiegła na korytarz.

Tak naprawdę Lacombe nie zamieniła nawet słowa z Thomasem Mariurem. Wiem o tym bardzo dobrze. Byłem w tym pokoju, kiedy do niego weszła. I to ze mną rozmawiała, biorąc mnie za dyplomatę z Palau.

Jak już wspominałem, mam słabość do przebieranek. A skoro zostałem członkiem elitarnego Korpusu, czemu nie pozwolić sobie od czasu do czasu na wypróbowanie aktorskich umiejętności?

Odczekałem kilka minut, a potem zamknąłem drzwi, żeby żaden intruz nie dostał się do środka.

Wszedłem do łazienki, omijając meble, które sam poprzewracałem, żeby stworzyć wrażenie, że odbyła się tu zażarta walka. Mój wzrok padł na prawdziwego Mariura, siedzącego na muszli klozetowej z wyrazem absolutnego przerażenia na twarzy. Bańka stał obok, mierząc mu w głowę z pistoletu.

– Droga wolna? – zapytał Poszukiwacz.

Pokiwałem głową. Stałem przed lustrem i odkleiłem sztuczne wąsy i brodę. Zmyłem mydłem i wodą resztki makijażu przyciemniającego moją karnację.

Prawdziwy Mariur rozglądał się na wszystkie strony, mrugając jak spłoszone zwierzę. Też miał oliwkową cerę i brodę przetykaną siwymi pasmami. Nawet w przebraniu nie przypominałem go w najmniejszym stopniu, ale miałem nadzieję, że Lacombe zabraknie czasu, żeby przyjrzeć mi się uważnie. I tak też się stało.

Zacząłem się pocić ze zdenerwowania i gorąca. Zdjąłem marynarkę i oderwałem poduszkę na brzuchu, mającą uczynić ze mnie otyłego gościa. Bańka obserwował mnie lekko zirytowany.

– Naprawdę nigdy nie zrozumiem tej twojej obsesji na punkcie przebieranek.

– Jeśli chcesz, wyznam ci prawdę. Zawsze chciałem być aktorem. – Odwróciłem się do konsula. – Dobrze, teraz kolej na pana. Mam nadzieję, że będzie pan współpracował i nie sprawi nam kłopotów.

– Kim wy, do diabła, jesteście?

Bańka przycisnął lufę pistoletu do skroni dyplomaty. Nie wtrącałem się, nie miał sobie równych w zastraszaniu ludzi. Naturalnie wchodził w rolę złego policjanta.

– Gośćmi, którzy nie lubią odpowiadać na pytania. Wolimy je zadawać – powiedział

groźnym tonem. – Gdzie jest Mardud z Sewilli?

Mariur był przerażony.

– Nie wiem, nie wiem. Nie mam pojęcia, o co wam chodzi. – Przymknął oczy i przełknął ślinę. – Słuchajcie, chcecie pieniędzy? Mam forszę. Całkiem sporo. Weźcie ją. Weźcie wszystko. Jest wasza.

Bańka mlasnął z niezadowoleniem i spojrzał na mnie.

– Co mam z nim zrobić? Może rozwalę mu nos o kant umywalki?

– Upaprasz krwią całą łazienkę.

– Eee tam – mruknął, przeciągając to „e” do granic możliwości. – To dobry hotel, na pewno sprzątaczkę wyszorują wszystko na błysk.

Rozłożyłem ręce. Bańka chwycił konsula za włosy i szarpnął w tył. Nasz więzień zaczął wrzeszczeć jak małe dziecko.

– Pod łóżkiem! Jest pod łóżkiem! Owinięty w materiał. Błagam, nie róbcie mi krzywdy!

– Zajrzyj tam – rzucił Bańka, przyciskając Mariura do ściany. – Ja się zaopiekuję naszym przyjacielem.

Pod łóżkiem w stylu Karola IV znalazłem przedmiot mający pięćdziesiąt centymetrów długości i dwadzieścia, może trzydzieści szerokości. Rozwinąłem płótno.

– Tak, to chyba Mardud – krzyknąłem.

Bańka puścił Mariura, który upadł na podłogę. Patrzył na nas z nienawiścią, masując obolałą szyję.

– Nie macie pojęcia, na co się porywacie – powiedział. – Z tą księgą nawet nie wyjdziecie z hotelu. W życiu. Prędzej was zabiją.

– Wciąż jeszcze mogę rozwalić ci nos, więc lepiej się przymknij – ostrzegł go Bańka.

W tej chwili Mariur kopnął go w żołądek, nie tak mocno, by zwalić Poszukiwacza z nóg – był na to za twardy – ale konsulowi udało się wymknąć z łazienki.

Dopał do nocnego stolika i złapał jakiś przedmiot wyglądający jak pilot do telewizora, ale z jednym tylko klawiszem. Wcisnął go zdesperowany raz za razem, jakby od tego zależało jego życie. Bańka wybiegł z łazienki i uderzył go w głowę kolbą pistoletu. Mariur osunął się na podłogę jak bezwładna kukielka.

– Skurwysyn – mruknął Poszukiwacz, trzymając się za brzuch. – Widziałeś? To dlatego, że ciągle siedzę w Piwnicy jak jakiś szczur. Zaczynam rdzewieć.

– Błagam, powiedz, że go nie zabiłeś.

– Nie, ale poleży tak sobie jeszcze przez jakiś czas. I mam nadzieję, że obudzi się z najgorszym bólem głowy w całym swoim życiu. – Wyrwał z rąk konsula tajemniczy przedmiot. – O kurwa...

– Co się stało?

– Nie jestem pewien, ale to urządzenie chyba włącza alarm, wygląda jak pilot, którego używają mieszkające samotnie starsze osoby.

Podał mi urządzenie. Nie musiałem przyglądać się długo, żeby zobaczyć na nim logotyp Voynicha.

– Mamy księgę, więc zmywajmy się stąd. I to już! – powiedziałem.

– Dobrze, idź pierwszy.

Jeszcze przez chwilę wszystko toczyło się zgodnie z planem. Położyliśmy konsula na

łóżku i wyszliśmy z pokoju. Niosłem pod pachą księgę owiniętą w materiał. Ważyła całkiem sporo.

Kiedy zmierzaliśmy ku schodom, drzwi jednego z pokoiów po drodze otworzyły się i ukazał się w nich mężczyzna w czarnej koszuli i czarnych spodniach. Jego twarz była usiana bliznami po ospie.

Wzrok mężczyzny w czerni padł na kodeks. Potem jednym ruchem wyjął pistolet i wycelował we mnie. Broń miała tłumik.

– Połóż to na podłodze – powiedział.

Zrozumiałem, że Mariur za pomocą aparatu Voynicha zdołał wezwać swojego ochroniarza. Byliśmy naiwni, zakładając, że dyplomata pozostanie bez ochrony tych, którzy ukradli *Mardud* z Centrum Kultury Islamskiej.

Bańka spróbował sięgnąć po broń.

– Na twoim miejscu rzuciłbym i to! – ostrzegł napastnik w czerni.

– Niech zgadnę – powiedział mój towarzysz. – Nie jesteś z policji?

– A jak ci się wydaje? – Potem zwrócił się do mnie: – Powiedziałem, żebyś to odłożył!

Spróbowałem ocenić nasze szanse. Niestety sytuacja nie nastrajała optymistycznie.

W tej chwili za plecami gościa w czerni rozległ się głos:

– Policja! Nie ruszać się!

Głos należał do agentki Lacombe.

Była sama. Obiema rękami trzymała swoją regulaminową broń wycelowaną między łopatki ochroniarza Mariura. Dzieliły ją od niego zaledwie dwa metry.

Stojąc tak jedno za drugim, zastygli w bezruchu, wyglądaliśmy zapewne dość komicznie. Modliłem się tylko, żeby nikt z personelu nie pojawił się przypadkiem w tym korytarzu.

Lacombe popatrzyła na mnie ironicznie zza pleców ochroniarza. Ten rozglądał się nerwowo, nie wiedząc, w kogo wycelować pistolet.

– Gratulacje, panie Alfaro – powiedziała z przekąsem. – Fenomenalna maskarada, prawie udało się panu mnie oszukać. Dopiero kiedy wybiegłam z hotelu, zdałam sobie sprawę, że dałam się nabrać. Ale zapomniał pan o drobnym szczególe. – Wskazała palcem na swoje czoło. – Pańska blizna, ślad po wypadku w jaskini. Powinien pan nałożyć na to miejsce trochę więcej makijażu.

Cholera. Rzeczywiście była niezła. Na swoją obronę powiem, że nie poznałem wielu ludzi zdolnych zapamiętać kształt i umiejscowienie blizny, którą widzieli wcześniej zaledwie dwa razy.

Bańka uniósł pistolet. Trzy pistolety wycelowane w trzy różne głowy to za dużo, by myśleć racjonalnie. Poczułem, że ręce zaczynają mi się pocić. Miałem nadzieję, że nikt nie naciśnie na spust, i to nie z obawy o wyszukany wystrój wnętrza.

– Dobra. Chodzi wam o książkę? – powiedziałem. – To ją łapcie!

Cisnąłem księgę z całych sił prosto w twarz gościa w czerni. Ochroniarz upuścił broń. Jak na zawołanie agentka Lacombe, Bańka i ja rzuciliśmy się do kodeksu.

Rozpoczęła się gwałtowna szarpanina. Dostałem w zęby, uderzyłem pięścią w coś miękkiego. Rozległ się jęk, być może mój, nie jestem tego pewien. W pewnym momencie moje dłonie zacisnęły się na księdze. Trzymałem ją tak mocno, jakbym miał ją zmiażdżyć.

– Mam ją! – krzyknąłem.

– Biegnij, młody!

Tak zrobiłem. Rzuciłem się biegiem w stronę schodów. Nie wiedziałem, czy ktoś biegnie za mną, ale nie miałem czasu, żeby się odwrócić.

Usłyszałem pierwszy strzał.

Bańka skoczył na mnie, żeby mnie osłonić. Chwycił mnie za kołnierz i pociągnął za róg. Przywarliśmy do ściany. Nie mogłem złapać tchu. Spojrzałem na towarzysza: miał na twarzy kilka ran i z nosa leciała mu krew. W dłoni trzymał pistolet, nie swój, ten należący do faceta w czerni, z tłumikiem.

Wychylił się zza rogu i strzelił.

– Skurwiel – rzucił. – Nadal tam jest.

– Skąd masz ten pistolet?

– Nie wiem, złapałem go w tym całym zamieszaniu. Skąd ten debilny pomysł, żeby rzucać księgą?

– Chciałem uniknąć strzelaniny.

– Wspaniale, geniuszu.

Ochroniarz znów strzelił. Kula trafiła w ścianę, kilka milimetrów od czoła Bańki. Odpryski farby i tynku spadły nam na głowy.

Wyrzałem ostrożnie. Napastnik ukrył się za jedną z drewnianych konsoli. Trzymał za kark Lacombe i przykładał jej pistolet do głowy. To był pierwszy problem. Drugi polegał na tym, że blokował nam drogę ucieczki.

– Wy dwaj! – krzyknął do nas. – Sprawa jest prosta: dajecie mi książkę albo wpakujecie jej kulę w łeb.

– Debil! – powiedział do mnie Bańka. – Myśli, że ona jest z nami.

– Wszystko jedno, nie uciekniemy, blokuje nam drogę do schodów.

– Ale korytarz biegnie po okręgu. Moglibyśmy dobiec do windy.

– Zobacz nas.

– Nie, ja go zajmę. Ty uciekaj z kodeksem, dam sobie radę.

– Jesteś pewien?

– Przestań gadać. Zmykaj! Jest jeszcze szansa, żeby wygrać tę rundę.

– Uważaj na siebie!

Bańka nie odpowiedział. Wychylił się zza rogu i strzelił do ochroniarza, podczas gdy ja próbowałem przemknąć się do wind.

Podejrzewam, że rozwój sytuacji musiał zaskoczyć agentkę. Pewnie miała do siebie pretensje, że tak łatwo dała się złapać.

Kiedy próbowała wyrwać mi książkę, rzuciła pistolet. Pierwszy gruby błąd. Potem ruszyła za mną, tracąc z oczu gościa w czerni. Drugi błąd. Ten chwycił ją za ramię, przyłożył lufę do pleców i pociągnął w kierunku ozdobnej konsoli. Wywrócił mebel na podłogę, by ochronić się przed ostrzałem, potem zaczął strzelać do mnie i Bańki, zmuszając nas do ukrycia się za zakrętem korytarza.

Lacombe była bezsilna. Mężczyzna z bliznami na twarzy trzymał ją mocno, przyłożył lufę do głowy, tuż nad uchem, i miał czelność używać jej jako zakładniczki.

W tym momencie Bańka strzelił w powietrze, Lacombe i ochroniarz schowali się za

konsolą, a ja zacząłem uciekać w kierunku wyjścia. Nie byłem więc świadkiem tego, co wydarzyło się później, ale mogę zrekonstruować historię na podstawie opowieści Bańki.

Facet w czerni zaczął strzelać do Bańki, agentka wykorzystała ten moment, by wbić mu łokieć między żebra; poczuła opór twardych jak stal mięśni. Napastnik zawył jednak z bólu i uderzył ją w twarz.

Francuzka upadła na plecy, uderzając głową o podłogę, ale nie dała za wygraną. Chwyliła ochroniarza za rękę, w której trzymał broń, i próbowała mu wyrwać pistolet.

Niestety napastnik okazał się od niej o wiele silniejszy. Po chwili rozpaczliwej szamotaniny mężczyzna w czerni odepchnął Lacombe. Ona uderzyła przedramionami o krawędź konsoli i jęknęła z bólu. Facet rąbnął ją w twarz, a potem wycelował pistolet w kolano.

– Przystaniesz podskakiwać, głupia suko.

Nagle Lacombe zobaczyła sylwetkę rzucającą się na napastnika. Dopiero po chwili zorientowała się, że to Bańka.

Poszukiwacz i facet w czerni potoczyli się po podłodze. Może i Bańka nie był w najlepszej formie, ale nadal nie miał sobie równych w walce wręcz. Był szybki jak wiatr i zwinny jak pantera. Wykręcił rękę ochroniarzowi, rozległ się suchy trzask. Mężczyzna zawył z bólu i wypuścił broń. Kopnął Poszukiwacza w żebra. Bańka w sekundę odzyskał zdolność do walki. Zaczął okładać mężczyznę pięściami, a ten uderzył go głową w brzuch i powalił na podłogę. Kiedy mój towarzysz wstawał, facet z bliźniami odzyskał broń i wycelował ją w jego głowę – z pewnością nie zawahałby się go zabić. Na szczęście Poszukiwacz miał pod ręką wazon z pewteru, który wcześniej stał na konsoli. Chwylił go i rzucił napastnikowi w twarz. Rozległ się dźwięk podobny do gongu, a potem strzał, ale goryl Mariura chybił celu. Bańka kopnął go w kolana. Facet się przewrócił, a Poszukiwacz wsunął rękę do wazonu i, uzbrojony w tę szczególną bokerską rękawicę, przyłożył mu w prawą skroń. Metal znów uderzył o czaszkę. Bańka powtórzył cios i twarz ochroniarza przestała przypominać ludzkie oblicze. Może był nieprzytomny, może nawet gorzej, ale najważniejsze, że w najbliższym czasie nie stanowił zagrożenia.

Poszukiwacz dyszał. Upuścił na podłogę mocno wgnieciony wazon.

Wtedy usłyszał za plecami trzask i powoli się odwrócił. Lacombe, na kolanach, mierzyła do niego z pistoletu ochroniarza. Wyglądała jak lwica, która zaraz skoczy na swoją ofiarę.

Bańka westchnął i powoli uniósł ręce.

– Zawsze wiedziałem, że nie warto być dżentelmenem – mruknął.

– Proszę się nie ruszać. Jest pan aresztowany – powiedziała niewzruszona agentka. – Proszę oddać mi broń, tę, którą miał pan wcześniej.

Bańka miał pistolet z tłumikiem wsunięty za pasek. Wyjął go i delikatnie rzucił do stóp Lacombe.

– Proszę, ale zapewniam, że nie robi pani z niego użytku. Zaciął się.

Agentka podniosła pistolet i upewniła się, że rzeczywiście nie działa.

– Rozumiem teraz, dlaczego był pan na tyle głupi, żeby rzucić się na faceta z bronią.

– Nie musi mi pani dziękować, inspektor...

– Lacombe, agentka Julianne Lacombe, Interpol. I nie, nie miałam zamiaru panu

dziękować.

– Bardzo po francusku.

Lacombe spojrzała na nieprzytomnego ochroniarza.

– Żyje?

– Oczywiście! To znaczy chyba tak. – Bańka trącił go czubkiem buta. – Mam nadzieję.

– A gdzie się podział pan Alfaro? I księga?

– Ufam, że są już daleko stąd. Z każdą chwilą, którą traci pani na pogaduszki ze mną, coraz dalej. Jeśli chce go pani dopaść, radziłbym się pospieszyć.

– Chciałby pan, co? Żebym pana wypuściła?

– Większości znanych mi kobiet przychodzi to z trudem, ale jeśli naprawdę zależy pani na księdze, obawiam się, że nie ma pani wyboru.

– Muszę pana zmartwić – powiedziała Lacombe i wyjęła z tylnej kieszeni spodni kajdanki, którymi przypięła jego nadgarstek do lampy przymocowanej do ściany. – W odróżnieniu od większości kobiet ja lubię mieć wszystko.

– No nie! Przecież ocaliłem pani życie. To wysoce niesportowe zachowanie.

Uśmiechnęła się przebiegle.

– Obiecuję panu odpowiednio podziękować, kiedy wrócę. Tymczasem proszę się dobrze bawić, jest pan w najlepszym hotelu w mieście.

Potem odwróciła się na pięcie i ruszyła do windy. Bezsilny Poszukiwacz odprowadzał ją wzrokiem aż do zakrętu korytarza, potem zniknęła mu z oczu.

Podczas gdy mój towarzysz i agentka Lacombe rozwiązywali swoje problemy, ja musiałem się skupić na swoich.

Udało mi się niepostrzeżenie dotrzeć do windy i bez przeszkód zjechać z księgą na parter. W windzie próbowałem doprowadzić się do porządku. Spojrzałem w lustro – na szczęście nie miałem na twarzy widocznych obrażeń.

Na dole dyskretnie przemierzyłem hol i dotarłem do saloniku pełnego klasycznych rzeźb na postumentach, eleganckich foteli i niskich stolików. Miałem wrażenie, że znalazłem się w jakimś angielskim klubie z epoki wiktoriańskiej.

Odnalazłem wzrokiem Danny. Siedziała w jednym z foteli, obok witryny pełnej grubych tomów oprawnych w skórę. Skierowałem się do niej.

– Mam księgę – powiedziałem, pokazując owinięty w materiał tom. – Bańka jest na trzecim piętrze, chyba ma problemy.

– Co się stało?

– Długo by opowiadać. Sytuacja trochę wymknęła się spod kontroli.

– Tak myślałam. Ta agentka Interpolu ciągle jest w hotelu.

– Wiem, ale chyba na razie jest zbyt zajęta, by stanowić dla nas zagrożenie.

– Nie przysłała sama, towarzyszy jej policja. Pewnie obstawiają wejścia.

Usłyszałem dochodzące z recepcji zaniepokojone szept. Domyśliłem się, że dotarła do nich wiadomość o strzelaninie na trzecim piętrze. Każda kolejna minuta w hotelu narażała misję na niepowodzenie. Przebywanie dłużej w tym miejscu było jak siedzenie na tykającej bombie zegarowej.

– Muszę się stąd wydostać.

– Skorzystaj z któregoś z wejść służbowych. – Na potrzeby misji Danny przestudiowała dokładnie plany hotelu. – Najlepiej spróbuj przez kuchnię.

– Dobrze. Ty zajrzyj na trzecie piętro, niewykluczone, że Bańka potrzebuje pomocy.

– Oczywiście. Do zobaczenia w Piwnicy!

Na odchodnym życzyła mi szczęścia. Zabawiłem w saloniku jeszcze chwilę, zastanawiając się, jak wybrnąć z sytuacji. Potem ruszyłem w stronę kuchni.

Szedłem pewnym krokiem, nie chciałem, żeby wzięto mnie za gościa, który zabłądził, i zawrócono do głównego wyjścia.

Najpierw podążałem za kelnerem jednym z bocznych korytarzy, dostępnym tylko dla personelu. Poczekałem chwilę, aż zniknie za metalowymi drzwiami. Dobiegał zza nich szum wody i brzęk sztućców. Wszedłem. Już od progu zauważyłem biały fartuch, który ktoś zostawił na stosie skrzynek z winem. Uznałem, że Opatrzność jednak nade mną czuwa.

Bańka miał rację: nie tracę żadnej sposobności, żeby się przebrać. Narzuciłem na siebie fartuch i wkroczyłem do kuchni. Na szczęście poza godzinami posiłków nie było tu większego ruchu – kilku pomocników myło blaty, szorowało podłogi i układało wszystko na swoich miejscach, przygotowując pole kucharzom, którzy za jakiś czas będą szykować kolację.

Dostrzegłem przed sobą drzwi prowadzące na ulicę. Dzieliło mnie od nich zaledwie kilkanaście kroków. Żadnego z pracowników kuchni nie zdziwiła moja obecność, tylko od czasu do czasu któryś rzucał mi pozbawione zainteresowania spojrzenie. Już się ucieszyłem, że wyjdę z hotelu i szczęśliwie zakończę misję.

Jak zwykle ucieszyłem się za wcześnie.

Drzwi do kuchni otworzyły się i stanęła w nich agentka Lacombe. Jej dolna warga była spuchnięta, a na policzku miała wielki siniak. Nadal zmierzałem w kierunku wyjścia, mając nadzieję, że mnie nie zauważyła. Niestety, nie miałem szczęścia.

– Stać, panie Alfaro! – krzyknęła, a cały personel zamarł w bezruchu. Odwróciłem się do niej powoli, przyciskając cenny tom do piersi. – Chyba już najwyższy czas zakończyć tę zabawę, nie sądzi pan? Proszę rzucić książkę!

Wyjęła pistolet, co w tych okolicznościach uznałem za całkiem zbędny gest. Przerażeni pracownicy tłoczyli się w najdalszym kącie. A ja ruszyłem w kierunku jednej z fajerek, na której akurat palił się ogień.

– Proszę się nie ruszać! – rozkazała Lacombe.

Musiałem usłuchać.

– Kiedy widziałem panią po raz ostatni, miała pani towarzystwo – powiedziałem.

– Jeden z moich napastników leży nieprzytomny na podłodze, drugiego zaś przykułam do lampy. Mam nadzieję, że z panem pójdzie gładko.

Westchnąłem, przytłoczony porażką.

– Tak. Sprawy chyba wymknęły się nam spod kontroli, prawda?

– Sama bym tego lepiej nie ujęła. – Lacombe zaczęła iść w moim kierunku.

– Lepiej niech się pani nie rusza, agentko.

– Nie jest pan w odpowiednim położeniu, żeby mnie o cokolwiek prosić – odpowiedziała, nie zatrzymując się.

Chwyciłem z kredensu butelkę spirytusu, służącego pewnie do przygotowywania

płonących deserów, i oblałem nim materiał, w który owinięta była księga. Potem, trzymając oburącz, umieściłem nad palnikiem. Lacombe stanęła jak wryta.

– Co pan, do diabła, robi?

– Szukam sposobu, żeby stąd uciec. Niech pani natychmiast stąd wyjdzie, w przeciwnym razie z kodeksu zostanie tylko popiół.

Mierzyliśmy się przez chwilę wzrokiem, starając się nawzajem przeniknąć swoje intencje.

– Nie robi pan tego...

– Jest pani pewna?

Spojrzałem na nią wyzywająco. Zawahała się, ale po chwili na jej ustach pojawił się przebiegły uśmiech.

– Tak, raczej jestem pewna.

Ruszyła ku mnie, nie pozostawiając mi wyboru.

– A jednak... *au revoir*, inspektor Lacombe.

Upuściłem księgę wprost w płomienie. Skropiony alkoholem materiał zapłonął jak pochodnia. Usłyszałem, że Lacombe coś krzyczy, podbiegła, by ocalić zabytek. Nie mogłem jednak oglądać finału, musiałem jak najszybciej opuścić hotel. Dopadłem do drzwi i w końcu znalazłem się na ulicy.

Biegłem jeszcze przez jakiś czas, wybierając coraz węższe uliczki. Po jakimś czasie zyskałem pewność, że nikt mnie nie goni. Dopiero wtedy zebrałem się na odwagę, by wrócić do Piwnicy.

Jest tylko jedna rzecz, która bawi mnie bardziej niż przebieranki: efektowne zejście ze sceny. I czułem się całkiem usatysfakcjonowany tym, które zaserwowałem agentce Lacombe.

Danny znalazła Bańkę w tym samym miejscu, w którym zostawiła go agentka Interpolu. Najpierw pośmiała się chwilę z brata, a potem uwolniła go z kajdanek za pomocą zwykłego wytrycha, podstawowego narzędzia każdego Poszukiwacza.

Udało im się opuścić hotel, zanim rozpętała się w nim prawdziwa burza: wieść o strzelaninie na trzecim piętrze i drobnym pożarze w kuchniach rozniosła się z prędkością błyskawicy, a korytarze zapełniły się funkcjonariuszami policji i zaniepokojonymi klientami. Krótka relacja z zamieszania w Ritzu znalazła się w wieczornych wiadomościach, a następnego dnia wspominało o nim na pierwszych stronach gazet. Niektóre teorie wysnute przez dziennikarzy były naprawdę zabawne. Do dziś można usłyszeć nieprawdopodobne historie na temat przyczyn strzelaniny na korytarzach i późniejszego pożaru w kuchniach Ritza, stanowią one jeszcze jedną z licznych związanych z tym miejscem legend.

My, Kawalerowie Poszukiwacze, zebraliśmy się wieczorem w Piwnicy, by podsumować misję. Na twarzach malował się smutek, atmosfera była pogrzebowa, wszyscy mieli poczucie bolesnej porażki, a co niektórzy obwiniali o to mnie.

– Spaliłeś księgę! – nakrzyczała na mnie Danny. – Zupełnie ci odbiło? Możesz mi wytłumaczyć dlaczego?

– Mogłem ocalić kodeks albo skórę, nie miałem wyboru.

– Oczywiście, że miałeś. Miałeś tysiące możliwości. Napytałbyś nam biedy, gdyby Lacombe cię złapała, ale na pewno znaleźlibyśmy wyjście. A teraz... teraz... – Danny zabrakło słów. – Tyle wysiłku na nic!

– Wiecie co? Boli mnie wasz brak zaufania. Dlatego pocierpicie jeszcze trochę.

Odwrociłem się na pięcie i z obrażoną miną wyszedłem z sali konferencyjnej. Enigma siedziała za swoim biurkiem. Spojrzała na mnie rozbawiona.

– Jesteś złym człowiekiem!

Położyłem palec na ustach i bez słowa wyszedłem z Piwnicy.

Postawa moich towarzyszy rzeczywiście bardzo mnie rozczarowała, zwłaszcza że wiedzieli, w jaki sposób udało mi się ukraść uszebti z muzeum. Jedyne Enigma domyśliła się prawdy.

Z tego powodu wydało mi się najwłaściwsze, żeby to właśnie ona następnego dnia, kiedy zamieszanie związane ze strzelaniną się uspokozi, poszła do hotelu Ritz.

Z godnością osoby umówionej na spotkanie z zagranicznym monarchą Enigma spokojnie przeszła przez hol i skierowała się do angielskiego saloniku. Tam, dzięki moim wskazówkom, bez trudu odnalazła półkę ze starymi książkami oprawnymi w skórę, których nikt nie dotykał od lat. W końcu stanowiły tylko element dekoracji.

Nikt nie zwrócił uwagi na to, że Enigma wyjmując z półki jedną z tych książek. Była podobna do innych, tylko trochę większa i zdecydowanie starsza. Jej strony wykonano nie z papieru, lecz z welinu, i zapisano ozdobną arabską kaligrafią.

Enigma spokojnie włożyła nietknięty *Mardud* z Sewilli do niewielkiej walizki na kółkach od Louisa Vuittona i niezatrzymywana przez nikogo opuściła hotel. Portier w liberii otworzył jej drzwi, a ona obdarzyła go przepięknym uśmiechem. Mężczyzna, w dość zaawansowanym wieku, zapewne przypomniawszy sobie czasy, gdy w hotelu bawili elegancy dżentelmeni i wytworne damy.

Enigma przyniosła *Mardud* do Piwnicy, a Poszukiwacze aż skakali z radości. Muszę przyznać, że z wielką satysfakcją tłumaczyłem kolegom, że kiedy Danny ruszyła na pomoc Bańce, wymieniłem *Mardud* na jedną z książek stojących na półce saloniku. Zmodyfikowałem nieco ustalony plan, ale intuicja podpowiedziała mi, że tego nie pożałuję. I tak też się stało.

Żałuję tylko, że nie mogłem zobaczyć miny Julianne Lacombe, kiedy zorientowała się, że wyciągnęła z płomieni częściowo zwęglony egzemplarz *Enciclopedia taurina* autorstwa don Josego Marii de Cossía. Tom trzeci, rok wydania: 1943.

KUSZNIK (I)

Gordon Cochrane, alias Narváez, patrzył w oczy Damy tak, jakby spodziewał się usłyszeć od niej odpowiedzi na nurtujące go pytania.

Oczywiście nie doczekał się wskazówek. Dama zazdrośnie strzegła swych sekretów, jeśli w ogóle je miała. Narváez zaczynał sądzić, że w tych oczach nie znajdzie krynicy mądrości. Jedynie kamień. Niemy kamień.

Poszukiwacz z czasem staje się coraz bardziej przesądny. Narváez wiedział, że jego agenci mieli w zwyczaju wpatrywać się w oczy Damy, zanim wyruszyli na misję. Przynosi nam szczęście, mówili. Narváez przypuszczał, że Piorun przed wyruszeniem na swoją ostatnią misję też dopełnił rytuału. Niestety Dama odmówiła mu swojej boskiej protekcji.

Narváez starał się nie dopuścić do świadomości wyrzutów sumienia. Upłynął już prawie rok, a on dalej nie znajdował sensu w śmierci Pioruna. Zastanawiał się, czy poczucie straty przestanie kiedyś dręczyć go tak dotkliwie, ale przeczuwał, że nie. Bardzo za nim tęsknił.

Kroki rozlegające się w sali na chwilę odpędziły pokusę, by pogrążyć się we wspomnieniach. Zbliżał się do niego strażnik.

– Przepraszam pana, zaraz otwieramy.

– Dziękuję. Już miałem wychodzić.

Personel muzeum zwracał się do niego „proszę pana”, bo chociaż Narváez pojawiał się codziennie na korytarzach Muzeum Archeologicznego, nikt naprawdę nie wiedział, jak się nazywa. Błękitna przepustka, którą nosił w klapie marynarki, była jak tarcza, skutecznie chroniąca przed wścibskimi pytaniami.

Narváez zszedł do piwnic muzeum. Zagłębił się w labirynt korytarzy i schodów, znanych tylko jemu i nielicznym współpracownikom, które doprowadziły go do naszej siedziby, serca Narodowego Korpusu Poszukiwaczy.

Serce to było mroczne i posepne niczym katakumby. Powietrze pachniało wilgotną ziemią, po ścianach biegały pająki i inne budzące odrazę stworzonka o wielu odnóżach. Miejsce to w żadnym wypadku nie dało się określić jako przyjemne ani przytulne.

Narváez pchnął drewniane drzwi, które jęknęły jak przerażone zwierzę. Znalazł się w pomieszczeniu, którego ściany zapewne kiedyś pomalowano na biało, jednak ich dawny kolor był jedynie niewyraźnym wspomnieniem z zamierzchłych czasów. Teraz farba łuszczyła się wielkimi płatami, a na suficie rozlewały się żółte plamy wilgoci.

Za biurkiem siedziała drobna kobieta w okularach, jej włosy przypominały płataninę miedzianych drutów. Pracowała przy komputerze wyglądającym jak wielki kłoc, przestarzałym modelu 386, który powinien trafić na złom, a jednak zasilił zasoby sprzętu NKP.

– Dzień dobry – odezwała się. – Bardzo ładna kamizelka. Nowa?

Od wielu lat witała go codziennie tym samym żartem, Narváez nosił bowiem kamizelki w identyczny wzór: szkocką kratę, taką samą jak jego nieodłączna muszka. Stroju

dopelniał zawsze ciemny garnitur.

– Dzień dobry, Almo. Jakież nowości?

Kobieta naprawdę nie miała na imię Alma, lecz nosiła taki pseudonim.

– Nie. Poza tym, że wentylacja się popsula.

– Tak myślałem. Panuje tu dziś nieznośny zaduch.

– I upał. Czuję się, jakby ktoś mnie zamknął w piekarniku – żaliła się. – Proszę mi powiedzieć, czy plotki, które słyszałam, są prawdziwe. Odnowią nam wreszcie tę ruderę?

– Te plotki krążą od czasu, kiedy wstąpiłem do Korpusu. Nie robiłbym sobie zbyt wielkich nadziei.

– Tak, zbyt piękne, żeby były prawdziwe.

– Nie zmieniliśmy siedziby od ponad stu lat i nie wpłynęło to na naszą skuteczność. Proszę pomyśleć, że pierwsi Kawalerowie Poszukiwacze musieli się obyć bez klimatyzacji.

– Na wypadek gdyby pan jeszcze nie zauważył, informuję, że nie jestem kawalerem.

– Gdyby ktoś mnie szukał, będę u siebie. Czy pozostali agenci są na stanowiskach?

– Prawie. Kuznik jeszcze nie przyszedł. Za to Skrzydłowy zjawił się wcześniej niż zwykle. Szukał pana, chyba chce z panem o czymś porozmawiać.

– Wiesz o czym?

– Nie chciał puścić pary z gęby. Ale prawdę mówiąc, mam wrażenie, że coś go dręczy. Wie pan, jaki on jest...

Narváez udał się do kanciapy Skrzydłowego, wielkością przypominającej kajutę. Drewniane biurko, metalowe krzesło i półka uginająca się pod ciężarem pękatych segregatorów służyły za całą technologię, jaką kiedyś dysponowali Kawalerowie Poszukiwacze.

Skrzydłowy siedział przy biurku i palił krótkiego, śmierdzącego papierosa bez filtra. Lubił mocny, ciemny tytoń. Był niski, ale dobrze zbudowany, głowę miał kwadratową, a włosy gęste i zmierzwione. Nosił sumiastego wąsa, który sprawiał, że wyglądał staro jak na swój wiek – nie skończył jeszcze trzydziestu lat.

Nie był najlepszym Poszukiwaczem, z jakim pracował Narváez, ale nie należał też do najgorszych. Brakowało mu wyobraźni, lecz nadrabiał to sumiennością i systematycznością. Jak nieskomplikowana, godna zaufania maszyna prowadził wszystkie powierzone mu sprawy, czasem odnosił sukcesy. Ale nigdy nie porzucił rozpoczętego dochodzenia.

– Słyszałem, że chciałeś ze mną pomówić – zagaił Narváez od progu.

Skrzydłowy wstał i zamknął drzwi. Ten gest nie umknął uwagi szefa. Potem znów usiadł za biurkiem.

– Gambo nie żyje – wypalił bez ogródek.

Narváez niespiesznie wyciągnął papierosa, zapalił i zaciągnął się głęboko.

– Jesteś pewien?

– Najzupełniej. Wiadomość ukazała się w Tampa Tribune. – Narváez ściągnął brwi i spojrzał pytająco na podwładnego. – Zdaje się, że znaleźli jego zwłoki w Tampie. W składzie mebli. Był podziurawiony jak sito.

– To rzeczywiście on?

– Bez dwóch zdań. Świadek koronny, który przeciwko niemu zeznawał, potwierdził tożsamość ofiary. Policja z Florydy sądzi, że to wojna między kartelami.

– Rozumiem – mruknął Narváez. I pomyślał: „Mam nadzieję, że zgnije w piekle”.

Staruszek zawsze sądził, że w dniu, kiedy dowie się o śmierci Alexandra Fiallo Gamboi, alias Gamby, będzie skakał z radości. A jednak w tej chwili nie czuł radości, tylko żądzę zemsty i nienawiść.

Za życia Gambo był szefem kartelu Valcabado, mającego centrum operacyjne w kolumbijskim mieście Bucaramanga. Jego perfidia i sadyzm sprawiały, że wielu uważało go za świra, chociaż starał się sprawiać pozory wykształconego i wyrafinowanego sybaryty. Wspecjalizował się w praniu brudnych pieniędzy poprzez nabywanie dzieł sztuki. Uważał się za znawcę w tej dziedzinie.

W 1995 roku Gambo kupił Wygnanie Morysków, jedno z najszlachetniejszych dzieł Velazqueza, które, jak mylnie sądzono, spłonęło w pożarze Królewskiego Alkazaru w 1734 roku. Kiedy po kilkuset latach od pożaru okazało się, że obraz przetrwał do naszych czasów, ekscytacja opanowała cały świat akademicki, a Gambo szykował swoje macki, by przejść dzieło. Nikt nie wiedział, jak właściciel obrazu go nabył, ale nie zdołano udowodnić, że wszedł w jego posiadanie nielegalnie.

Narodowy Korpus Poszukiwaczy podjął się misji odzyskania obrazu. Zadanie okazało się skomplikowane – nielato okraść barona narkotykowego. Dla uczestniczących w nim agentów stawką było coś więcej niż prestiż. Narváez zlecił to swoim najlepszym Poszukiwaczom – Piorunowi i Kusznirowi.

Wrócił tylko jeden.

Ktoś ich wsypał. Ktoś z otoczenia Gamby zdradził mu solidną na pozór przykrywkę, pod którą działali Poszukiwacze, poinformował go o ich prawdziwej tożsamości. Płótna Velazqueza nigdy nie odzyskano. Kuznik zdołał uciec i ocalić skórę. Piorun nie miał szczęścia.

Zaledwie rok po tym zdarzeniu mężczyzna, który zlecił egzekucję Pioruna, sam był martwy. W tej wiadomości martwiło Narvaeza tylko jedno: że Gambo miał szybką śmierć. Wolalby, żeby bardziej cierpiał. Piorun był nie tylko najlepszym agentem, jakiego Staruszek kiedykolwiek miał, należał też do grona jego najbliższych przyjaciół. A grono to nie było liczne.

– Kuznik wie, że Gambo nie żyje? – zapytał Narváez.

– Jeszcze mu nie mówiłem. Najpierw chciałem pogadać z tobą.

– Dlaczego?

– Rozmawiałem ze znajomymi z policji. Jak wiesz, jeden z naszych sędziów prowadził dochodzenie przeciwko Gambie.

– Nie miałem pojęcia.

– No to już wiesz. Niejaki Benito Pozuelo z Krajowego Sądu Karnego. Gromadził dowody przeciwko temu bucowi od pięciu lat, idąc tropem jego powiązań z narcos działającymi w Galisji. Przyjaciel mojego przyjaciela siedzi w tym po uszy. Powiedział mi, że śmierć Gamby otwiera wiele nowych możliwości. Doszły nowe dowody.

– W jakim sensie?

– Przy zwłokach Gamby znaleziono notesik z nazwiskami, osobiste kontakty, osoby,

z którymi Gambo zawierał umowy i przeprowadzał transakcje, czasem często, czasem okazjonalnie. Co ciekawe, wiele z tych osób nie należy do narkotykowego półświatka, są wśród nich politycy, biznesmeni, sędziowie... Ludzie, którzy nie byliby zadowoleni, gdyby ujawniono ich powiązania ze słynnym gangsterem. Policja sądzi, że była to swego rodzaju lista zakładników, rozumiesz?

– Tak, grono osób, które są mu coś winne.

– Zdaje się, że działało to w obie strony, Gambo mógł naciskać na osoby z tej listy, prosząc o przysługi, ale też się im odwzajemniał. Wierzyście i dłużnicy, jedna wielka rodzina.

– Rozumiem. – Narváez zgasił papierosa i przenikliwie spojrział na Skrzydłowego. – Nie wiem tylko, czemu mi o tym opowiadasz. Do czego właściwie zmierzasz?

– Mój znajomy policjant dał mi kopię tej listy. Figuruje na niej nazwisko Carlosa Nassera Batalli.

Twarz Narvaeza posmutniała. Powoli pogładził się po wąsach palcem wskazującym. Jego zimne niebieskie oczy odwróciły się od Poszukiwacza i zapatrzyły w przestrzeń.

Po długiej chwili milczenia Skrzydłowy zapytał:

– Pamiętasz to nazwisko, prawda?

– Może to zbieg okoliczności.

– Nie sądzę, żeby wielu ludzi na świecie nosiło nazwisko Carlos Nasser Batalla, a ty?

– Masz rację – przyznał Staruszek niechętnie. – Nad czym się teraz zastanawiasz?

– Zastanawiam się nad tym, jak bardzo prawdopodobne jest, że fałszywe nazwisko, pod którym działał jeden z naszych agentów, znajdzie się na liście kontaktów VIP barona narkotykowego z Karaibów.

Ta gra insynuacji zaczynała już irytować Narvaeza, postanowił więc wypowiedzieć słowa, których oczekiwał Poszukiwacz.

– Prawdopodobieństwo jest równe zeru, chyba że w przeszłości poszli na jakiś układ.

– No właśnie. Zastanawiam się też, co to mógł być za układ. – Narváez milczał. Skrzydłowy nachylił się ku niemu i ściszył głos: – Carlos Nasser Batalla, pod tym nazwiskiem działał Kuszniak podczas operacji w Valcabado. A teraz pojawia się na liście Gamby. A nazwisko Pioruna nie. Pioruna ktoś zdradził, Piorun został zabity. Kuszniak wrócił do Madrytu cały i zdrowy. Im dłużej powtarzam to działanie, tym bardziej wynik wydaje mi się obrzydliwy. Ale choćbym nie wiem jak się starał przestawiać kawałki układanki, cały czas składają się w ten sam obrazek. – Ręce Poszukiwacza się trzęsły. Chciał zapalić papierosa, ale poczuł, że nie zdoła opanować drżenia. – Kurwa, nie dam rady.

– Kuszniak nie zdradził Pioruna – powiedział Narváez.

– Jesteś pewien? Wiesz, kto go wsypał? Bo ja nie mam pojęcia. Wiem tylko jedno: nazwisko jednego z naszych agentów jest na tej pieprzonej liście.

Narváez wolałby być przypiekany żywcem, niż ciągnąć tę rozmowę. Sam pomysł, że jakiś Poszukiwacz mógłby zdradzić innego, wydawał mu się chory. Nie potrafił się zmierzyć z prawdą.

– Żaden z moich agentów nie jest zdrajcą.

– Świat jest pełen mend, to czysta statystyka, prędzej czy później jakaś musiała trafić

do Piwnicy.

– Nie masz na to dowodów. To tylko nazwisko na liście.

– Pozwól mi więc zbadać tę sprawę. Obiecuję, że będę działał dyskretnie, nikt się o niczym nie dowie. Potrzebuję tylko trochę czasu, a znajdę odpowiedź, której szukamy.

Narváez był pewien, że jego podwładny dotrzyma słowa, jednak chyba nie zależało mu, żeby poznać prawdę.

– Nie mogę, przykro mi – powiedział, starając się nie patrzeć agentowi w oczy.

– Dlaczego?

– Kuznik chce odejść. Opuszcza Korpus.

– Kiedy ci o tym powiedział?

– Kilka dni temu. Ale prosił, żebyśmy zachowali to w tajemnicy do przyszłego tygodnia. Chce zrobić karierę w polityce. Teraz zmienia się rząd, mówi, że to jego szansa. Twierdzi, że ma kontakty.

– W to akurat nie wątpię – Skrzydłowy nawet nie starał się ukrywać sarkazmu.

– Posłuchaj, nie mogę prowadzić dochodzenia w sprawie Poszukiwacza, który już nim nie jest. Jeśli działanie Korpusu rzeczywiście wymyka się nam spod kontroli, przysporzy nam to złej sławy, a tego staramy się unikać za wszelką cenę. Kiedy Poszukiwacz opuszcza Korpus, jego działalność na zawsze okrywa się tajemnicą. Sam dobrze o tym wiesz.

– Nie możesz mnie prosić, żebym tak po prostu o tym zapomniał. To zbyt poważne. Jeśli naprawdę sprzedał Pioruna...

– Kuznik nie sprzedał Pioruna. Jestem tego zupełnie pewien. W Korpusie nie ma zdrajców, nie ma i nie będzie, póki ja nim kieruję.

Staruszek się odwrócił. Chciał pokazać, że uznaje temat za zamknięty. Wiedział, że Skrzydłowy nie będzie się buntował. Był równie posłuszny, jak zdyscyplinowany.

– Czy to twoje ostatnie słowo?

– Na razie tak.

Poszukiwacz westchnął głęboko.

– Sądzisz, że wszyscy, którzy cię otaczają, podzielają twoje wartości. Nie wiesz nawet, do czego zdolny jest człowiek, kiedy znajdzie się w niebezpieczeństwie.

– Za to wiem, do czego są zdolni ludzie, z którymi pracuję.

Narváez wyszedł, nie czekając na odpowiedź. Skrzydłowy został sam, z poczuciem druzgocącej porażki.

„Nie, Staruszkule, niestety – nie masz o tym pojęcia”.

Wówczas nie mógł przypuszczać, jak bardzo prawdziwe okażą się jego domysły.

CZEŚĆ DRUGA

STER MARSZAŁKA GALLIENIEGO

Musa i Zielony Prorok ruszyli dalej i postanowili przekroczyć wypływającą z Nilu Isa Ber, nazywaną przez Tuaregów Egerew n-igerewen, czyli Wielką Rzeką.

Musa rzekł: „Widzę tam statek ludzi pustyni. To zapewne bogaci rybacy – spójrz, ster ich łodzi jest ze szczerego złota. Może wsiądziemy na statek i przeprawimy się przez Wielką Rzekę?”

Zielony Prorok odparł: „Ludzie pustyni są dobrzy: wierzą w znaki Allacha, a w dniu Zmartwychwstania trafią do Rajskich Ogrodów. Dołączmy zatem do nich, bo to nasi bracia”

Wsiedli więc na statek. Jednak po długiej podróży na drugi brzeg Wielkiej Rzeki Zielony Prorok wydrążył wielką dziurę w kadłubie. Łódź zaczęła tonąć, a on ukradł ster.

Musa rzekł: „Zatopiłeś łódź i skradłeś ster, tak że załoga nie będzie mogła dalej płynąć. To poważny występki! Czyż ludzie pustyni to nie nasi bracia? Sam mówiłeś, że Allach przyjmie ich do Rajskich Ogrodów. Zniszczyłeś im statek, przez co pozbawiłeś ich możliwości łowienia ryb, a ci, którzy nie umrą z głodu, spoczną martwi na dnie rzeki”

Zielony Prorok odpowiedział: „Czyż nie prosiłem, żebyś uzbroił się w cierpliwość? Pilnuj więc dobrze steru, dopóki cię o niego nie poproszę, i pamiętaj, że obiecałeś nie zadawać pytań. Wiele jeszcze musisz się nauczyć”

Musa pokornie spuścił głowę i rzekł: „Nie miej mi za złe mojego potknięcia i nie wystawiaj mnie na zbyt ciężkie próby”

Potem podjęli marsz.

*Mardud z Sewilli,
sura 18*

MARGINALIA

Dawno już nie miałem okazji odwiedzić Alfę i Omęgi w ich malutkim zakładzie przy ulicy Postas, tuż przy plaza Mayor.

Ekscentryczni bliźniacy również narzekali na brak zleceń w ostatnich czasach. Dlatego gdy zjawiliśmy się w ich sklepie z *Mardudem* z Sewilli w ręku, ucieszyli się na nasz widok jak mali chłopcy po wizycie Świętego Mikołaja.

Zabrali księgę do warsztatu i umieścili na pulpicie, wyższym niemal od nich samych. Przez dłuższą chwilę tłoczyli się nad kodeksem niczym dwa głodne kurczaki nad świeżym ziarnem. Tymczasem ja z Danny i Cesarem czekaliśmy na wnioski z ich analizy, racząc się przy tym wyborną kawą – bliźniacy parzyli najlepszą, jaką w życiu piłem. Jej sekret przekazywano z pokolenia na pokolenie, podobnie jak tajniki jubilerskiego fachu i reprodukcji dzieł sztuki.

Uzbrojeni w olbrzymie lupy Alfa i Omega delikatnie przewracali karty kodeksu palcem wskazującym i kciukiem, wydając od czasu do czasu okrzyki zaskoczenia i przerzucając się łacińskimi sentencjami i cytatami z poezji. Przy każdym kolejnym odkryciu ich białe wąsy, podobne do kłębków waty, poruszały się na znak entuzjazmu.

– Niewiarygodne, niewiarygodne... Jak mówił poeta: „Niezwykłe księgi, miłe jesteście umysłowi, z tym niebywałym, niezwykłym językiem...” – rzucił jeden.

– Bez dwóch zdań, *carissimi frater*. Pokusiłbym się nawet o parafrazę Horacego, gdyż sądzę, że mamy przed sobą prawdziwy *monumentum aere perennius* ¹ – dodał drugi.

César, nieprzyzwyczajony do dziwactw braci, słuchał tych popisów erudycji w lekkim osłupieniu.

Towarzyszył nam w ramach umowy, którą z nim zawarliśmy: on pomógł nam odnaleźć *Mardud*, więc teraz my musieliśmy pozwolić mu rzucić na niego okiem, tak jak nas prosił. Danny uznała, że najlepiej będzie, jeśli César obejrzy wolumin w warsztacie Alfę i Omęgi, pod nadzorem naszym i bliźniaków.

Kiedy bliźniacy już dokładnie obwąchali kodeks, przypomnieli sobie o naszej obecności.

– To wspaniałe dzieło – powiedział jeden z nich, czule gładząc strony. Miał na sobie bladożółty krawat, musiał więc być Omęgą – w przeciwieństwie do brata zawsze nosił dodatki w jasnych kolorach. Dzięki temu można było łatwo ich rozróżnić, sami zresztą zdradzali tę sztuczkę znajomym.

– Skoro to Poszukiwacze przywieźli kodeks z Timbaktu, jak to możliwe, że do tej pory go nie widzieliście? – zapytałem.

– Narváez nie przyniósł nam go wtedy, oddał bezpośrednio do Centrum Kultury Islamskiej – odparł Omega. – Nie zawsze mamy okazję zobaczyć zabytki, które odzyskujecie. To dla nas wielki zaszczyt, że tym razem zdecydowaliście podzielić się

z nami swoim znaleziskiem.

– Jest cenne?

– Och, tak, Faro. Niezmiernie. Szacujemy, że księga musiała powstać około dwunastego–trzynastego wieku – stwierdził Alfa. – Kaligrafia *maghrebi* zdaje się świadczyć o hiszpańskim pochodzeniu dzieła. Zgodnie z podaniami powstało prawdopodobnie w Sewilli. Największą uwagę zwraca jednak materiał, z którego wykonano kodeks.

– A co w nim wyjątkowego? – zapytała Danny. – Zwyczajny pergamin, rozpowszechniony w tamtych czasach.

– *Philosophum non facit barba*², moja droga. Islamscy kopiści w Samarkandzie już w dziewiątym wieku używali papieru, a w Al-Andalus – w wieku dziesiątym. Większość powstałych później ksiąg hispanoarabskich została spisana na papierze, poza tymi najcenniejszymi, które wytwarzano z pergaminu ze względu na jego większą trwałość.

– Po tym właśnie wnosimy, że *Mardud* musiał być przez współczesnych uważany za niezwykle ważny dokument – odpowiedział Omega.

– A co z samym tekstem? – zapytałem.

– Oczywiście nie zdążyliśmy jeszcze się z nim zapoznać – odparł Alfa – ale, ogólnie rzecz biorąc, mamy tu do czynienia z transkrypcją Koranu, w klasycznym arabskim, z licznymi hadisami.

– Apokryficznymi – wyjaśnił jego brat. – Typowy *mardud*, jeśli mogę tak powiedzieć.

– Nie taki typowy – zaproponował Alfa. – Z tego, co zdążyliśmy się zorientować, większość sur znacznie się różni od kanonicznego Koranu. To zaskakujące, że Almorawidzi nie zniszczyli tej księgi, kiedy w dwunastym wieku przybyli na półwysep. Wiadomo, że niestrudzenie polowali na apokryfy, żeby je potem palić.

Podszedłem i z bliska przyjrzałem się księdze. Może i była arcykosztowna, ale wyglądała całkiem niepozornie. W odróżnieniu od innych kodeksów z epoki nie miała żadnych zdobień, jeśli nie liczyć złoconych inicjałów na początku rozdziałów. Poza tym składała się wyłącznie z ciasno zapisanych arkuszy pergaminu, pożółkłych i pomarszczonych.

Księga zachowała się w dość dobrym stanie, choć bliźniacy twierdzili, że na początku brakuje kilku stron. Okładki z surowego drewna przypominały zwykłe deski o rogach okutych metalem. Przypuszczałem, że to zapewne późniejszy dodatek, a Omega potwierdził moją hipotezę: pochodziły z piętnastego, a może nawet szesnastego wieku. Niewątpliwie mieliśmy do czynienia z dziełem, którego wartość bibliofilska znacznie przewyższała walory artystyczne.

Danny podeszła do mnie i znad mojego ramienia przyglądała się księdze.

– A co sądzicie o tych marginaliach? – zapytała bliźniaków i wskazała palcem jeden z dopisków na brzegu strony.

W całym tomie aż się roiło od takich notatek.

Alfa podeszedł bliżej, uzbrojony w lupę, i przyjrzał się zapiskom na marginesach. Czubki wąsów drżały mu jak czułki zaciekawionego owada.

– Zaraz, zaraz... „Cóż to za świętość czy cnota chwalebna, cóż to za bóstwo, które wielbią same niebiosy”?³ Do licha! Czuję się zagubiony jak Hajmon przed obliczem

Sfinksa. – Podał lupę bratu. – Lepiej niż ja znasz się na arabskim, rzuć na to okiem.

Omega przejął pałeczkę i teraz to on pochylił się nad adnotacjami.

– Możesz to przetłumaczyć? – zapytał brata.

– Alfabet wygląda na arabski – zauważyłem.

– Nie tylko wygląda, to jest pismo arabskie, na bazie starożytnego *kufi*, ale powiedziałbym, że nieco późniejsze niż tekst kodeksu. Potrafię odczytać znaki, ale nie rozumiem treści. Nie wiem, w jakim języku sporządzono te dopiski.

– Pełno tu takich tekstów pobocznych – zauważyła Danny. – Dobrze by było się dowiedzieć, o czym w nich mowa.

– „Dlaczego powieki najeżone są obnażonymi strzałami/Gdzie tysiąc wojowników leży zaczajonych w zasadzce?”⁴ – wyrecytował Omega. – Moja droga Danny, tak jak William Blake nie znał odpowiedzi na to pytanie, tak i my nie możemy zaspokoić twojej ciekawości.

Danny westchnęła, ale odpowiedziała cierpliwie:

– Wystarczyłoby zwykłe „nie wiem”, naprawdę...

– Dobrze, w takim razie: nie wiem – odparł jubiler. – Ale nie martwcie się, zeskanujemy rękopis i prześlemy znajomemu, który biegle włada dialektami arabskimi. Co poza tym mamy zrobić z tym woluminem?

– Na razie przechowajcie u siebie, jeśli nie będzie to problem. Przynajmniej do czasu, aż wymyślimy coś lepszego.

– Z chęcią to zrobimy, dzięki temu będziemy mieli okazję bliżej go zbadać.

– Doskonale. Z naszej strony to wszystko – powiedziała Danny. Potem zwróciła się do Cesara: – Wywiązałeś się ze swojej części umowy, teraz kolej na nas. Możesz obejrzeć księgę.

César podziękował skinieniem głowy. Bez słowa usiadł za pulpitem, wziął do ręki lupę jubilerów i zaczął studiować kolejne strony kodeksu.

W warsztacie zrobiło się gorąco, więc Alfa zaproponował, żebyśmy przeszli do części sklepowej napić się czegoś zimnego. Zostawiliśmy Cesara, żeby mógł zaspokoić swoją ciekawość, i weszliśmy na górę. Tam zdradziliśmy bliźniakom wstępny plan działania: chcieliśmy zamówić kopię kodeksu i podrzucić ją gdzieś, gdzie policja szybko ją znajdzie. Dzięki temu przestano by szukać woluminu i mielibyśmy problem z głową.

Jubilerzy ostudzili jednak nasz zapal – na wykonanie tak skomplikowanego zlecenia potrzebowaliby przynajmniej paru miesięcy. Zaraz też zaczęli ze szczegółami tłumaczyć, na czym polegała trudność zadania. Zachciało mi się palić, a że zostawiłem papierosy na dole, postanowiłem po nie zejść.

César nadal siedział w warsztacie, z głową pochyloną nad księgą i z wyrazem głębokiego skupienia na twarzy. Zdawał się nawet nie zauważać mojej obecności. Nie chciałem mu przeszkadzać, więc dyskretnie skierowałem się tam, gdzie zostawiłem papierosy.

Kątem oka obserwowałem Cesara, który bezgłośnie poruszał ustami, jakby się modlił.

Coś w jego zachowaniu przykuło moją uwagę. Zbliżyłem się ostrożnie. Przeczytał jeden z zapisków na marginesie, po czym zanotował coś w zeszycie, cały czas poruszając wargami.

Od razu zrozumiałem, co robi.

– Wiesz, co tu jest napisane! – zawołałem. César aż podskoczył. Odwrócił się w moją stronę, próbując pośpiesznie ukryć notatki. – Tłumaczysz marginalia!

Chłopak wyraźnie unikał mojego wzroku i nie raczył odpowiedzieć.

– Pokaż ten zeszyt.

– A niby dlaczego?

– W takim razie powiedz, czy tłumaczysz dopiski z marginesów. Tak czy nie?

Spojrzał na mnie wyzywająco.

– Nie wiedziałem, że to zabronione.

– Nikt tak nie twierdzi, ale skoro rozumiesz, co tu jest napisane, dlaczego nic nie powiedziałeś?

– Nikt nie pytał – odparł buńczucznie.

W tej chwili do piwnicy wrócili Danny i bliźniacy. Wy tłumaczyłem im sytuację. César milczał, ukrywając notatnik. Patrzył na nas wzrokiem osaczonego zwierzęcia, jakbyśmy przyłapali go na kradzieży pieniędzy z kasy.

– Ach, to nic takiego. Nie sądzę, żebyśmy mieli się czym przejmować – stwierdził Omega. – To oczywiste, że chłopak nieco... koloryzuje. Bez urazy, chłopcze, ale miałem okazję pobierać nauki u największych ekspertów w dziedzinie arabistyki, a ty, drogi *sapientum octavo*⁵, nie wyglądasz mi na kogoś, kto potrafiłby ze zrozumieniem przeczytać tekst w języku, którego ja nie jestem w stanie rozpoznać.

– A co ty wiesz? – rzucił César z głęboką pogardą w głosie. – To nie żadna potoczna odmiana arabskiego, to język songhajski.

Twarz Omegi oblała się szkarłatem, mocno kontrastującym z białymi włosami i wąsem. Jubiler przypominał teraz truskawkę w śmietanie.

– Songhajski? Tak, oczywiście... ja... mówiłem, że coś mi się kojarzy.

– Wybacz, kochany bracie – wtrącił się Alfa – ale nic nie mogło ci się kojarzyć. Nie znasz języków songhajskich. Nie posługuje się nimi nikt na północ od pasa Sahelu... Nikt poza tym chłopakiem. – Jubiler przyglądał się Cesarowi uważnie i w zamyśleniu gładził wąsa, jakby pierwszy raz widział chłopaka na oczy. – Niech muzy Apollina mają mnie w swojej opiece... Skąd ty się wzięłeś?

Sam zacząłem się nad tym zastanawiać.

– Co to w ogóle za język? – zapytałem.

– Mówiono nim w malijskim imperium Songhaju – wyjaśnił Alfa. – To dawny kraj w Afryce Zachodniej, jedno z największych imperiów w dziejach islamu. Nazwa pochodzi od kasty, z której wywodzili się jego władcy. Choć państwa już dawno nie ma, w niektórych rejonach Mali nadal mówi się językami z tej grupy.

– Rozumiem, że to stamtąd pochodzisz? – zapytała Danny Cesara.

Chłopak wskazał głową Alfę.

– Ci dwaj ciągle gadają po łacinie, a nie urodzili się w starożytnym Rzymie – odparł.

Uznałem to za całkiem rozsądny argument.

– W takim razie gdzie nauczyłeś się języka songhajskiego, chłopcze? – zapytał Omega.

– A czy to ważne?

– Na razie nie – powiedziała Danny. – Teraz przynajmniej rozumiem, czemu tak ci

zależało na przeczytaniu *Mardudu*. Skąd wiedziałeś, że znajdziesz notatki na marginesach?

– Nie wiedziałem, ale domyślałem się, że w księdze mogły znaleźć się zapiski w tym języku, i chciałem się przekonać. Dlatego zgodziłem się ukraść ją z muzeum dla tamtych ludzi.

– Ktoś mówił ci wcześniej o tym kodeksie?

– To bardzo słynne dzieło – odpowiedział César krótko.

Danny spojrzała na niego nieufnie.

– No dobrze, Cesarze – powiedziałem. „Jeśli naprawdę masz tak na imię”, dodałem w myślach. – Pora, żebyś odpowiedział na parę pytań. Byłbym wdzięczny, gdybyś tym razem nie ograniczał się do trzech słów.

– A niby czemu mam to zrobić?

– Jeśli chcesz przejrzeć *Mardud* do końca, radzę zacząć z nami współpracować. – Na poparcie mojej groźby Alfa zatrzasnął tom tuż przed nosem Cesara i zabrał go z zasięgu jego rąk. – Przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, dlaczego tak interesują cię te dopiski.

César rozejrzał się wokół, jakby szukał drogi ucieczki. Zobaczył jednak tylko wrogie, podejrzliwe spojrzenia, otaczające go niczym wysoki płot. Zwiesił ramiona i westchnął ciężko z rezygnacją.

– Mają rację – stwierdził w końcu i wskazał na bliźniaków. – *Mardud* pochodzi z dwunastego wieku, ale marginalia są późniejsze, z szesnastego.

– Skąd wiesz? – zapytałem.

– Bo wiem, to ci nie wystarczy? W 1468 roku muzułmański sędzia z Toledo, Ali bin Zijad Al-Kuti, uciekł z miasta przed prześladowaniem Inkwizycji i osiedlił się w Mali. Zabrał ze sobą *Mardud*. W drodze do Afryki zatrzymał się u mauryjskiej rodziny Guevarów. Dzięki temu uszedł z życiem i mógł cały i zdrowy wyjechać z Hiszpanii – opowiadał. – Al-Kuti chciał odwdziaczyć się Guevarom za pomoc. Ci upierali się, że to niepotrzebne, że ich obowiązkiem było udzielić wsparcia prześladowanemu bratu w wierze. Odmówili przyjęcia pieniędzy. Al-Kuti jednak nalegał: skoro nie chcą złota, to niech w ramach wdzięczności przyjmą chociaż *Mardud*.

– Chwileczkę – przerwała Danny. – Skoro księga została u Guevarów, to skąd kilka wieków później wzięła się w Bibliotece Andaluzyjskiej w Timbuktu?

– Kodeks dotarł do Mali, ale nie za sprawą Al-Kutiego ani żadnego z jego potomków. Zawiózł go tam jeden z członków rodziny, która ukryła sędziego przed Inkwizycją, niejaki Diego de Guevara.

– No tak! – zawołał nagle Alfa. – Dżaudar Pasza, zdobywca, zgadza się?

César przytaknął.

– Tak się mówi. Uważa się też, że marginalia w *Mardudzie* zostały zapisane jego ręką.

– A to prawda? – zapytał bliźniak z błyskiem w oku.

– To właśnie próbowałem ustalić, kiedy ten tutaj zakradł się i mi przeszkodził.

– Ależ to niezwykle, drogi chłopcze! – wykrzyknął Alfa. – Jeśli to prawda, wartość tego dzieła znacznie wzrasta! Byłoby niewyobrażalnie cenne!

– Ta księga jest warta znacznie więcej, niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić, ale nie tylko z tego powodu – mruknął César. – Za pomocą *Mardudu* Dżaudar Pasza odnalazł

w Mali coś niezwykle cennego. Możliwe, że jego zapiski dotyczą sposobu, w jaki tego dokonał.

– A czego szukał? – zapytałem.

– Skarbu... – César nie chciał spojrzeć mi w oczy. – Relikwii władców Songhaju czy czegoś w tym rodzaju. Nic więcej nie wiem.

Kłamał jak z nut. Zdradzało go to, że uparcie unikał naszego wzroku. W tej historii było coś jeszcze, coś, czego nie chciał wyznać obcym.

– Jesteś pewny? – naciskałem.

– Miałem nadzieję dowiedzieć się więcej po przekładzie marginaliów – odparł cicho.

– Jak myślisz, ile czasu ci to zajmie?

– Wystarczy mi parę godzin. Dwie, może trzy, jeśli tekstu nie będzie dużo i nikt nie będzie mi przeszkadzał.

– No dobrze, to do roboty. Możesz poświęcić na to nawet całe popołudnie, pod warunkiem że nie wyjdiesz stąd, dopóki nie skończysz.

Danny spojrzała na mnie i zmarszczyła czoło. Ewidentnie miała coś na końcu języka – zapewne sprzeciw wobec mojej decyzji – ale gestem dałem jej do zrozumienia, że lepiej będzie omówić to na osobności.

Zostawiliśmy Cesara przy pracy i wróciliśmy po schodach do sklepu. Bliźniacy poszli w nasze ślady. Danny natychmiast wyciągnęła mnie na ulicę i zaatakowała:

– Co ty wyprawiasz, do jasnej cholery?

– Chcę mu dać szansę, to wszystko. Jestem ciekawy, co wyczyta z tego tekstu. Nie martw się: bliźniacy go przypilnują, nie wytnie żadnego numeru.

– Jak możesz ufać temu człowiekowi? Kłamię nawet wtedy, kiedy nie otwiera ust. Ślepy by to zauważył.

– Spokojnie. Nie kłamię, po prostu nie mówi nam wszystkiego. Chciałbym lepiej poznać tę historię o skarbie z Songhaju, a on jako jedyny może nam ją opowiedzieć. Trzeba go tylko trochę docisnąć.

– Nie.

– Co „nie”?

– Znowu to robisz, widzę to w twoich oczach... Znowu ciągnie cię do poszukiwań magicznych stołów.

– Co? No coś ty! To zupełnie... to zupełnie inna sytuacja.

– Wcale nie. Nie oszukasz mnie, Tirso Alfaro, zbyt dobrze cię znam. Posłuchaj: mamy *Mardud*, o to nam chodziło. Tylko i wyłącznie o ten kodeks. Misja zakończona sukcesem.

– Ej, no weź... Co w tym złego, że jeszcze trochę pogrzebiemy w tej sprawie? Tak bardzo się boisz tego, co możemy znaleźć?

– Tak, boję się, Tirso, ale wcale nie tego, co może tkwić w tej księdze. To o ciebie się boję.

– O mnie? Ale czemu?

– Tak, o ciebie, ty... ty głupi chojraku! Nie potrafisz wyczuć niebezpieczeństwa, aż jest już za późno.

– Jakiego znowu niebezpieczeństwa? Przecież chodzi tylko o przeczytanie jakiejś starej książki, tyle.

Danny pokręciła głową z politowaniem, jakby patrzyła na największego kretyna na świecie.

– Wiesz co? – spytała w końcu, już nieco spokojniej. Nie zamierzała ze mną dłużej dyskutować. – Szkoda, że nie mogę... Sama nie wiem. Chciałabym wsadzić cię do jakiejś skrzyni, zamknąć na klucz i zostawić tam tak długo, aż miałabym pewność, że nie rzucisz się znowu na łeb na szyję w kolejną bezsensowną aferę z poszukiwaniem skarbów.

Zauważyłem, że autentycznie się o mnie martwi. Może rzeczywiście potrafiła przewidzieć przyszłość, która pozostawała poza zasięgiem mojej wyobraźni. Zawsze odznaczała się lepszą intuicją.

– Każde poszukiwanie ma jakiś sens, Danny.

– Naprawdę tak uważasz, co? – Westchnęła. – Tylu jest facetów na świecie... Czemu muszę się martwić akurat o tego najbardziej stukniętego? Moje życie było dużo spokojniejsze, zanim cię poznałam.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie do końca byłem też pewien, jak mam rozumieć jej słowa.

– No, wiesz... W sumie mógłbym powiedzieć to samo.

Próbowała się powstrzymać, ale w końcu się uśmiechnęła, choć nieco smutno. Spojrzała na mnie, a jej wzrok zatrzymał się na bliźnie na moim czole.

– Tylko uważaj na siebie tym razem, dobrze? – poprosiła. – Z większą raną nie będzie ci już tak do twarzy. A lubię tę twarz.

Odwróciła się na pięcie i wróciła do zakładu jubilerskiego.

Treść marginaliów z kodeksu w przekładzie Cesara wprawiała nas w osłupienie. Byliśmy przygotowani na zaskoczenie, ale nie aż takie. Dżaudar Pasza opisywał, jak poszukiwał skarbu władców Songhaju na podstawie wskazówek zamieszczonych w *Mardudzie*. Relacja urywała się jednak w momencie, kiedy – już bardzo blisko celu – zrobił w tył zwrot i zostawił skarb za plecami, powodowany przerażeniem tak wielkim, że nie potrafił nawet ubrać go w słowa.

Zadawaliśmy sobie wiele pytań. Najważniejsze z nich brzmiało: co to za skarb „nie dla ludzi przeznaczony”, o którym wspominał Dżaudar Pasza? I gdzie znajdowały się te wszystkie miejsca przez niego opisywane? Strome Miasto, Nieprzemijalna Oaza, Miasto Umarłych... Nawet bliźniacy, choć zamiast mózgów mieli chyba encyklopedie, nie potrafili określić położenia tych punktów na mapie ani stwierdzić, czy w ogóle istniały.

Siedzieliśmy długo w noc przy dzbanku wybornej kawy zaparzonej przez jubilerów, dzieląc się wrażeniami i opiniami o tej zadziwiającej historii. Wtedy jeszcze nikt nie traktował poważnie pomysłu odtworzenia trasy Dżaudara Paszy, ale świetnie się bawiliśmy rozmową o jego przygodach.

– Przynajmniej jedno wiemy na pewno – stwierdziłem. – Diego de Guevara rozpoczął poszukiwania nad Nigrem. Nigdzie nie pada ta nazwa, ale musi chodzić o tę rzekę.

– Nie byłabym taka pewna – zaoponowała Danny. – Mowa o dopływie Nilu, a Niger nim nie jest.

– Owszem, ale Dżaudar Pasza nie mógł o tym wiedzieć – odparł Alfa, który lepiej od brata znał się na historii Afryki. – Geografowie ze starożytnego Rzymu sądzili, że Niger

wpada do Nilu. Dopóki Europejczycy nie przeszledzili całego biegu rzeki kilkanaście wieków później, nikt nie zdawał sobie sprawy z tego błędu.

– To wszystko bardzo działa na wyobraźnię: Złota Ryba, ukryty skarb... – oznajmił Omega i rzucił mi szelmowskie spojrzenie. – Przypomina mi to historię pewnego stołu.

Danny popatrzyła na mnie groźnie, ale udałem, że tego nie zauważyłem.

Zrobiło się późno i zmęczenie zaczęło dawać nam się we znaki, więc uznaliśmy, że pora kończyć spotkanie. Bliźniacy obiecali strzec woluminu jak oka w głowie i poświęcić każdą wolną chwilę na uważną lekturę.

Po wyjściu ze sklepu Danny nawet się ze mną nie pożegnała – chyba nadal się złościła. Zostaliśmy z Cesarem sami.

– No dobra. A ty? Co zamierzasz teraz zrobić? – zapytałem.

– Naprawdę cię to obchodzi? – spytał beznamiętnie.

– Nie, w sumie masz rację. Wywiązałeś się z obietnicy, my też. Jesteśmy kwita.

– No właśnie, Poszukiwaczu. A jeśli się obawiasz, że komuś o was opowiem, to możesz spać spokojnie: potrafię dochować sekretu.

– W to akurat nie wątpię.

Umilkłem i próbowałem odpowiednio dobrać słowa, żeby na zawsze pożegnać się z naszym tajemniczym sprzymierzeńcem. César przyglądał mi się i nagle uśmiechnął się dziwnie.

– Nie możesz przestać o tym myśleć, co? – wypalił.

– O czym?

– O skarbie. Wciąż nie daje ci spokoju.

Poczułem się nieprzyjemnie, jakby ktoś grzebał mi w głowie.

– Pewnie. Wszyscy o tym myślimy, to ogromnie ciekawa historia.

– Nie... Dla ciebie to coś więcej niż historia. To wezwanie. Rozejdziemy się, a ty nadal będziesz o tym myślał, przez całą noc, dopóki nie zaśniesz, a potem będziesz śnił o skarbie i rano obudzisz się z jego wspomnieniem. Będzie cię prześladował jak cień.

– Obawiam się, że nie masz racji. Nie interesują mnie skarby.

– Nie. Interesuje cię poszukiwanie. To zew, którego nie potrafisz zignorować. – César przez chwilę wpatrywał się w półmrok ulicy. – Może mógłbym ci pomóc odnaleźć to, czego szukasz.

– Jak?

– Będziesz tam pewnie potrzebował przewodnika. W Mali.

– Czeka, czekaj... Nie mam najmniejszego zamiaru jechać do Mali.

– Arabowie mawiają, że nie wiemy, co nas czeka, jeśli nasz los został już przesądzony.

– César wyrwał kartkę z zeszytu i zapisał numer telefonu komórkowego. – Zadzwoń, kiedy podejmiesz już decyzję. Jestem pewny, że możemy sobie wzajemnie pomóc.

Skinął głową na pożegnanie. Patrzyłem, jak przecina plaza Mayor, zupełnie o tej porze pusty. Obraz ten wydał mi się jakoś nie na miejscu, niczym wizja wielbłąda wspinającego się na lodowiec.

Z uczuciem zagubienia schowałem do kieszeni kartkę z numerem i poszedłem do domu. Wkrótce się przekonałem, że César miał rację.

Ciągle myślałem o skarbie.

1. Pomnik trwalszy niż ze spiżu (łac.). ↵
2. Broda nie czyni filozofa (łac.). ↵
3. Pierwsze wersy *A todos los Santos* Fraya Luisa de Leona. ↵
4. William Blake, *Księga Theł* w: *Poezje wybrane*, tłum. Zygmunt Kubiak, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1972. ↵
5. Ósmy mędrzec (łac.) – ironiczne określenie kogoś, kto bezpodstawnie uważa się za mądrego. ↵

MARSZAŁEK

Następny dzień zaczął się od nieoczekiwanego spotkania w Piwnicy. Alzaga zwołał wszystkich do sali konferencyjnej, gdzie czekał już na nas Urquijo. Adwokat rzadko pojawiał się u nas, a jego wizyty zazwyczaj nie zapowiadały niczego dobrego.

Choć obecność prawnika zepsuła mi humor niczym widok gradowej chmury na błękitnym niebie, Alzaga na samym początku pogratulował nam zakończonej sukcesem akcji odzyskania *Mardudu*. Poinformowali go o tym Alfa i Omega, co szczególnie mnie nie zaskoczyło – mali jubilerzy zawsze rygorystycznie przestrzegali zasad i nigdy nie zgodziliby się przechować tak cennego dzieła bez oficjalnego polecenia dyrektora NKP.

Wbrew naszym obawom Alzaga nie przyjął tak źle faktu, że działaliśmy za jego plecami, ale oczywiście nie omieszkał ostrzec nas – bardzo uprzejmie i w ostrożnych słowach – żebyśmy już nigdy nie przeprowadzali operacji podobnego kalibru bez porozumienia z nim. Dodał też, ku naszemu jeszcze większemu zaskoczeniu, że najwyraźniej nie docenił naszych umiejętności i że być może zastanowi się nad zmianą dotychczasowego sposobu działania. Zapowiadał się rychły koniec papierkowej roboty. Alzaga zawsze jednak pozostawał wierny swojej duszy biurokraty, więc zlecił Danny sporządzenie szczegółowego raportu z misji, a także dokładną transkrypcję treści marginaliów z kodeksu. Zapytał, czy zdąży z tym do końca dnia pracy, a ona potwierdziła.

Wszystko zdawało się wskazywać na to, że spotkanie upłynie w przyjaznej atmosferze, ja jednak nie zapomniałem o obecności Urquija, który wodził wokół swoimi rybimi oczami i milczał jak zaklęty. Miałem pewność, że kiedy adwokat w końcu otworzy usta, padną z nich słowa, których żadne z nas nie będzie chciało słyszeć.

– Zanim skończymy – powiedział Alzaga – muszę przekazać wam pewną wiadomość. Właściwie Urquijo chce to zrobić, więc oddaję mu głos. Proszę, żebyście słuchali uważnie.

Prawnik odchrząknął i zaczął mówić ze wzrokiem utkwionym w bliżej nieokreślonym punkcie przestrzeni, gdzieś za naszymi plecami.

– W zasadzie mam dla was dwie wiadomości – oznajmił. – Dobrą i złą. Dobra brzmi tak, że Julianne Lacombe, agentka Interpolu, nie zajmuje się już sprawą *Mardudu*.

– Dlaczego? Zamknęli śledztwo? – zapytała Danny.

– Nie, jest nadal otwarte, ale udało nam się znaleźć ze Skrzydłowym sposób, żeby odsunąć ją od sprawy. To kwestia drobnych kruczków prawnych: całe to zamieszanie w Ritzu, a do tego nieuprawnione przesłuchanie Fara pozwoliły nam zarzucić Lacombe, że przekroczyła uprawnienia zwykłej agentki łącznikowej. Hiszpański oddział Interpolu wziął pod uwagę nasze obiekcje i zlecił jej coś innego. Ktoś ma ją zastąpić.

– Świetnie – powiedziałem. – Czyli przestanie mnie prześladować, tak?

– To nie takie proste, Faro. Jak mówiłem, mam też złą wiadomość.

Zapadła grobowa cisza.

– No dalej, wyrzuć to z siebie – powiedział Bańka.

Urquijo westchnął ciężko.

– Lacombe widziała, że Faro zabrał kodeks.

– To nie był przecież naprawdę *Mardud* – odparłem. – To tylko...

– Nieważne – przerwał adwokat. – Zabrałeś autentyczny kodeks czy nie, trudno uznać twoje postępowanie za zgodne z prawem. Przykro mi, Faro, ale Interpol ogłosił w związku z tym czerwony alert.

Z zaskoczenia dosłownie opadła mi szczęka. Interpol prowadzi obszerny katalog przestępców, za którymi wysyła listy gończe. Poszukiwani są podzieleni na grupy oznaczone kolorami, a czerwony przypada najgorszym i najbardziej niebezpiecznym. Oznacza to, że policja każdego z niemal dwustu krajów, na których terenie działa Interpol, może takiego delikwenta zatrzymać i automatycznie poddać ekstradycji. Słowem – to coś w rodzaju plakatu z napisem „POSZUKIWANY” rozklejonego na ścianach całego świata. Z trudem przyjmowałem do wiadomości, że wrzucono mnie do jednego worka z zabójcami, terrorystami, kidnaperami i innymi równie sympatycznymi typami.

– Powinieneś bardziej uważać. Zdaje się, że cię ostrzegalem – stwierdził Alzaga.

– Chwileczkę! – zaprotestowała Enigma. – Ona nie może tego zrobić, nie ma takich kompetencji. Czerwony alert można ogłosić tylko w przypadku, gdy organy ścigania z jakiegoś kraju zwrócą się z prośbą o pomoc do Interpolu, a Skrzydłowy przecież nigdy by nie...

– To nie Skrzydłowy, tylko OCBC – przerwał jej Alzaga. – Wygląda na to, że Lacombe złożyła wniosek nie jako agentka Interpolu, ale jako funkcjonariuszka policji francuskiej, którą też przecież jest.

Urquijo znowu zabrał głos:

– Dla Fara to w pewnym sensie nawet lepiej, bo skoro policja hiszpańska nic do niego nie ma, to przynajmniej na razie chłopak może sobie spokojnie chodzić po ulicy, nie ryzykując zatrzymania i ekstradycji do Francji. Gorzej jednak, że nie wiem, jak długo może potrwać ta sytuacja. Na twoim miejscu, Faro, na wszelki wypadek odwołałbym plany na najbliższe dni.

– Ale zajmiesz się tym, prawda? – zapytałem beznadziejnie. – To znaczy... Możesz to naprawić...

Urquijo otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale Alzaga go ubiegł.

– Zrobi wszystko, co w jego mocy, ale jest tylko prawnikiem, nie cudotwórcą. – Szef spojrział na mnie ponuro. – List gończy Interpolu stawia w trudnej sytuacji nie tylko ciebie, ale i cały Korpus. W takich okolicznościach uważam, że najlepiej będzie zawiesić jakąkolwiek działalność do czasu rozwiązania problemu.

– Czyli mamy iść do domu i siedzieć tam do odwołania – podsumowała Danny.

– To może nadmierne uproszczenie, ale faktycznie, o to mniej więcej chodzi.

– Też uważasz, że właśnie to powinniśmy zrobić? – zapytał Bańka adwokata.

Ten spuścił wzrok i odparł wymijająco:

– Nie mogę się wypowiadać na ten temat. Decyzja należy do waszego szefa.

– Urquijo radził, żeby tylko Tirsa poddać kwarantannie – wyjaśnił Alzaga. – Ja jednak

uznałem, że ten problem dotyczy całego Korpusu Poszukiwaczy, i dlatego uważam, że lepiej zastosować bardziej radykalne rozwiązanie. – Wybuchł rozgardiasz, wszyscy zaczęli zadawać pytania jeden przez drugiego. Alzaga zarządził ciszę. – Będziecie nadal dostawać całą pensję, ale od jutra nie możecie pojawiać się w Piwnicy, dopóki nie powiem inaczej. Zawieszam wszelką działalność Korpusu. Jeśli macie jeszcze jakieś pytania, zapraszam do mojego gabinetu, ale pojedynczo. To wszystko.

Alzaga wyszedł z sali i zostawił mnie samego pod ostrzałem wrogich spojrzeń.

Po pracy wybraliśmy się na drinka do przeszklonego pawilonu restauracji El Espejo, naprzeciwko Muzeum Archeologicznego. Chadzaliśmy tam od czasu do czasu, ale tym razem panowała dość przygnębiająca atmosfera pożegnania.

Zasiedliśmy z Enigmą, Danny i Bańką przy jednym ze stołów i próbowaliśmy wzajemnie pocieszać się nad kuflami piwa (z wyjątkiem Enigmy, która piła białe wino). Nie przychodziło nam to jednak łatwo – jakoś straciliśmy umiejętność dostrzegania jasnych stron sytuacji.

– Zrobili już kiedyś coś takiego? – rzuciła Danny w przestrzeń. – Zawiesili działalność Korpusu?

– Nie, przynajmniej z tego, co pamiętam – odparł Bańka, z chmurnym wzrokiem utkwionym w kuflu.

– Czuję się odpowiedzialny – mruknąłem.

– No cóż, złotko, prawda jest taka, że jesteś za to odpowiedzialny – powiedziała Enigma, ale bez cienia wyrzutu w głosie. – Inna sprawa, że Alzaga przesadził. Zareagował zupełnie nieadekwatnie do sytuacji. Zdarzało się czasem, że trzeba było odsunąć na jakiś czas jednego z Poszukiwaczy... Ale nie cały Korpus!

– Głupia żabojadka – rzucił Bańka pogardliwie. – Nie rozumiem, czemu się tak na ciebie uwzięła: to mnie dorwała w Ritzu, a tamtej nocy w Centrum Kultury Islamskiej była przecież z tobą Danny.

– No tak, ale zidentyfikowała tylko Tirsę – odparła Danny. – Te pieprzone akta z Lizbony... Trzeba było pozbyć się tego wpisu, kiedy mieliśmy okazję.

– A dało się to zrobić? – zapytałem.

– Pewnie – odpowiedziała Enigma. – Tesla na pewno mógłby to zrobić. Był naprawdę niezły w te klocki. Pomijając fakt, że był zdrajcą, nie można chłopakowi odmówić talentu. Szkoda, że go tu nie ma. To znaczy nie jego konkretnie, oczywiście, ale kogoś takiego... – Nagle urwała i zaczęła w zamyśleniu wodzić palcem po brzegu kieliszka.

– Jakiego? Co chciałaś powiedzieć? – drążyłem.

– Miałam na myśli Tesłę, który nie byłby Tesłą. Kogoś takiego samego, ale nieco innego, jeśli ktoś taki w ogóle istnieje. Wziąć to, co dobre, bez złych cech. W pewnym sensie dopełnić krąg. Najważniejsze, żeby koło się zamknęło.

– Co? – zapytał Bańka.

Enigma spojrzała na nas ze zdziwieniem.

– Przepraszam... Mówiłam na głos? Nie wiedziałam.

Przez następne kilka minut narzekaliśmy na nasz marny los, aż w końcu Enigma oznajmiła, że ma dość tego marudzenia, i wyszła. Bańka wkrótce poszedł w jej ślady.

Wstał i położył mi rękę na ramieniu.

– Nie obwiniaj się tak bardzo, Faro. Świetnie sobie poradziłeś z *Mardudem*. W sumie... Sam wiesz: lepiej dostać w dupę za to, że się coś zrobiło, niż za to, że się nic nie zrobiło. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, wal do mnie jak w dym.

Skrzywił się smutno i zostawił mnie z Danny. Wyraźnie rozbawiona, uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Piękna przemowa – stwierdziła i spojrzała na swoje piwo. – Z jego ust to jak wyznanie miłości.

– Prędzej czy później musiałem w końcu uwieść jedno z Baileyów. Szkoda tylko, że nie to, na którym mi zależało.

Danny znów się uśmiechnęła.

– Chyba nie doceniasz swojego uroku. – Milczała przez chwilę, unikając mojego wzroku, a potem zapytała: – Chcesz usłyszeć coś śmiesznego?

– Bardzo by mi się to teraz przydało.

– Przez ciebie całą noc nie zmrużyłam oka.

– To świetnie, ale mam nadzieję, że następnym razem będę przy tym osobiście.

– No dobrze, może wyjaśnię, o co chodzi: nie mogłam przestać myśleć o czymś, co powiedziałeś... Żeby pogrzebać trochę w historii tej książki i zobaczyć, dokąd nas to zaprowadzi. Znalazłam chyba coś, co mogłoby cię zainteresować.

– O co chodzi?

Danny nie odpowiedziała od razu.

– Nie wiem, czy powinnam ci to mówić. – Spojrzałam jej w oczy, ale natychmiast odwróciła wzrok. – Ciągłe się boję, że jesteś gotów zbyt wiele poświęcić dla tej sprawy.

– W takim razie nie powinnaś mnie kusić nowymi informacjami – stwierdziłam. – No weź, co takiego mogę niby zrobić? Już nawet nie jestem Poszukiwaczem, tylko urzędnikiem na przymusowym urlopie.

– Bardzo zabawne, nie jesteś Poszukiwaczem... Nigdy nie potrzebowałeś do tego Korpusu, nieważne, co powie czy robi Alzaga. Mogłby choćby jutro wywalić cię z hukiem, a ty nadal byłbyś Poszukiwaczem. Ludzie, którzy sto lat temu założyli cały ten interes, zrobili to chyba tylko po to, żebyś miał gdzie pracować.

– Chciałbym myśleć, że o tobie można powiedzieć to samo.

Danny uśmiechnęła się, ale bez cienia radości.

– Zanim powiem ci, czego się dowiedziałam, odpowiedz mi szczerze na jedno pytanie: myślałeś o tym skarbie opisanym w *Mardudzie*?

– Tak – odparłem bez namysłu. Chciała przecież poznać prawdę. – Odkąd dowiedziałem się o jego istnieniu, nie myślę o niczym innym.

– Tego się obawiałam. A zresztą... Mogę przynajmniej iść z tobą i ubezpieczać tyły, kiedy już popełnisz jakieś głupstwo.

– Miło mi to słyszeć, ale nie potrzebuję ochrony, sam się pilnuję.

Danny pokręciła głową.

– Pewnie, że potrzebujesz. Ktoś musi stać u twojego boku i tłumaczyć, że nie zawsze warto skakać na główkę w ciemną przepaść tylko po to, żeby się dowiedzieć, co czeka na dnie.

– I ty jesteś tą osobą?

– Obawiam się, że tak. Tylko w ten sposób mogę być pewna, że jesteś w dobrych rękach. To co, powiedzcie ci, czego się dowiedziałam? – wypaliła.

– Jasne. Dawaj.

– Słyszałeś kiedyś o marszałku Gallienim?

– Wygląda mi na Włocha.

– Faktycznie, ale to Francuz. Generał Joseph Gallieni wsławił się podczas obrony Paryża w pierwszej wojnie światowej. W ogniu bitwy nad Marną wzmocnił wojska francuskie dzięki przerzucaniu żołnierzy z miasta na linię frontu. Z braku wystarczającej liczby pojazdów nakazał konfiskatę paryskich taksówek i to nimi przewoził żołnierzy. Dzięki temu udało się powstrzymać armię niemiecką, a Gallieni został okrzyknięty bohaterem narodowym.

– Bardzo się cieszę z jego sukcesu, ale co to ma wspólnego ze skarbem z *Mardudu*?

Danny wzruszyła ramionami i upiła łyk piwa.

– Nic, to tylko taka ciekawostka biograficzna. Wizja dowożenia żołnierzy taksówkami wydała mi się bardzo malownicza. Przed wielką wojną Gallieni zrobił karierę we francuskich koloniach: był w Indochinach, pełnił funkcję generalnego gubernatora Madagaskaru... A co najważniejsze, w 1880 roku walczył w Mali.

Danny streściła mi losy Gallieniego w kolonialnym Mali, uzupełniając tym samym historię Dżaudara Paszy i podboju Songhaju.

Po tym, jak Andaluzyjczyk opanował imperium w imieniu sułtana Maroka, kraj rozpadł się na malutkie, pozbawione większego znaczenia państewka rządzone przez rozmaite lokalne plemiona: Fulbe, Tukulerów, Kenedugu, Bambarów z Segu i Kaarty... Wymienienie wszystkich tych egzotycznych nazw zajmowało więcej czasu niż opowiedzenie ich dziejów.

Na początku dziewiętnastego wieku pewien oświecony kalif zwany Umarem al-Hadźdem wypowiedział świętą wojnę malijskim plemionom Bambarów i Dogonów, które nie przyjęły islamu. Jak każda święta wojna, i ta była brutalna i krwawa. Francuzi obawiali się destabilizacji swoich północnoafrykańskich kolonii, więc wysłali do Mali węsatek generałów, żeby ci ugasili pożar.

Joseph Gallieni, wówczas kapitan, który odniósł liczne sukcesy na Reunion, przybył do miasta Bafoulabé w marcu 1880 roku. Dzięki połączeniu siły wojskowej z umiejętnością prowadzenia dyplomatycznych negocjacji z wodzami poszczególnych plemion Gallieni zdołał położyć kres świętej wojnie Umara al-Hadźdża i spacyfikować Mali. W wyniku zakończonej sukcesem misji włączono do francuskiego imperium kolonialnego nowe terytoria, znane od tej pory jako Górny Senegal (dzisiejsze tereny Mali, Nigru i Burkina Faso). Kilkadziesiąt lat później przekształcono kolonię w Sudan Francuski.

Gallieni zajmował stanowisko głównego dowódcy wojsk francuskich w latach 1886–1891. W tym czasie podporządkował sobie tubylców i wpajał im cnoty Kodeksu Napoleona, wina burgundzkiego i systemu metrycznego.

Gubernator Gallieni nie tylko usilnie cywilizował rdzennych mieszkańców na modłę francuską, lecz także wykorzystał ten czas na podróże po dawnym terytorium Songhaju. Kolekcjonował lokalną sztukę i drobiazgi z wykopalisk archeologicznych, które zabrał ze

sobą do Francji, gdzie wrócił około 1905 roku, już jako generał.

– Dowiedziałam się czegoś ciekawego – powiedziała Danny. – Kiedy Gallieni był w Timbuktu, podobno bardzo mu zależało na odnalezieniu grobowca Dżaudara Paszy. Zatrudnił nawet przewodnika z plemienia Arma.

– Znalazł grób?

– Tego nie wiem, ale słuchaj dalej: w 1916 roku Gallieni zmarł bezpotomnie, więc całą swoją kolekcję staroci zapisał różnym muzeom we Francji. To całkiem niezłe zbiory, z Afryki, Indochin i Madagaskaru. Większość jest obecnie w Tuluzie, ale znaczną część Gallieni zostawił swojej rodzinnej wiosce Saint-Béat w Pirenejach.

– I co się z nimi stało?

– Wystawiają je w muzeum, tuż przy romańskim kościele Saint-Privat.

Danny wyjaśniła, że trafiła na listę dzieł, które Gallieni zapisał Saint-Béat. Zrobiła kopię i pozwoliła mi rzucić okiem. Spis nie był długi, liczył może kilkanaście pozycji.

– Zwróć uwagę na dwie pierwsze rzeczy – poleciła. – Gallieni przywiózł je z Timbuktu, tak przynajmniej jest tu napisane. – Wskazała nagłówek. – Frontale ołtarza i... złoty ster. Wyobrażasz sobie? Ster ze złota.

– Wydaje się czymś cennym, rzeczywiście, ale nie rozumiem, czemu to takie ważne.

– Pamiętaj, co Dżaudar Pasza zapisał w *Mardudzie*. Dopiero co robiłam transkrypcję do tego cholernego raportu dla Alzagi, więc mam to na świeżo. Dżaudar Pasza wspomina o trzech złotych relikwiach związanych ze skarbem, którego szukał: Czaszce, Cegle i Sterze. Chciał, żeby pochowano go z tymi relikwiami.

W zamyśleniu przygryzłem dolną wargę.

– Rozumiem: Dżaudar Pasza napisał o złotym sterze, a kilka wieków później marszałek Gallieni wyruszył do Timbuktu w poszukiwaniu jego grobu... Nie wiemy, czy go znalazł czy nie, ale po śmierci zapisał w spadku miasteczku Saint-Béat ster ze złota. To albo nieprawdopodobny przypadek, albo marszałek znalazł to, czego szukał.

– Dokładnie to samo sobie pomyślałam. Ile złotych sterów mogło czekać w Mali, aż Gallieni je znajdzie?

Chętnie obejrzałabym zdjęcie relikwii, ale Danny żadnego nie znalazła. Zobaczyć można ją było tylko w Saint-Béat.

Zapytałem, gdzie dokładnie znajduje się to miejsce.

– To górka wioska nad Garonną, rzut beretem od granicy z Hiszpanią.

Tyle mi wystarczyło. Porozmawialiśmy jeszcze chwilę o znaleziskach Gallieniego, a potem zapłaciliśmy za piwo i wyszliśmy z knajpy.

Na ulicy było zimno, a niebo zasnuwała warstwa chmur zwiastujących deszcz. Zapiąłem płaszcz pod szyję i zerknąłem w górę. Zastanawiałem się, jaka pogoda jest teraz w Pirenejach. Danny coś mówiła, ale nie dosłyszałem.

– Przepraszam, co powiedziałaś?

– Pytałam, jakie masz plany na przymusowe wakacje.

– A, to... Nic szczególnego, będę pewnie siedział w domu. Biorąc pod uwagę, że poluje na mnie Interpol, wolę nie kusić losu.

– Czyli jeśli w ciągu kilku najbliższych dni wpadnie mi do głowy, żeby cię odwiedzić, to zastanę cię w domu, prawda? – Wymamrotałem coś niewyraźnie w odpowiedzi.

Pokręciła głową. – Niech cię szlag, Tirso. Jak już mnie oszukujesz, to przynajmniej trochę bardziej się postaraj.

– Nie kłamie, po prostu nie mam jeszcze konkretnych planów. Raczej tu zostanę, ale... kto wie, może znudzi mi się miasto i postanowię wybrać się na jakąś wycieczkę? Nie mogę cały dzień tkwić na kanapie w czterech ścianach.

– Wycieczkę? Może gdzieś w Pireneje?

– Nie wiem, jak mam na to odpowiedzieć.

– Zgodnie z prawdą. Zamierzasz jechać do Saint-Béat?

– Nie wykluczam – odparłem niechętnie. Spodziewałem się kazania, ale ona tylko na mnie popatrzyła. – No dalej, powiedz, że jestem stuknięty.

– Nieważne, co ci powiem, ale uważam, że nierozsądnie byłoby jechać tam w pojedynkę. – Danny wbiła ręce w kieszenie i wzięła głęboki oddech. Powoli wypuściła powietrze i powiedziała: – Może mogłabym ci towarzyszyć. W końcu to ja trafiłam na trop Steru Gallieniego.

– No ładnie... To dopiero niespodzianka, dałbym sobie głowę uciąć, że będziesz próbowała mnie namówić, żebym został w domu.

– Kiepsko mi idzie udzielanie rad. – Wyjęła z kurtki paczkę papierosów i zapaliła jednego. – Przyjadę po ciebie jutro o siódmej, weźmiemy mój samochód. I spakuj ciepły płaszcz, w górach na pewno będzie zimno jak cholera.

FRANCJA

Cała podróż zajęła nam siedem godzin. Po dwóch wyrósł przed nami łańcuch Pirenejów i wjechaliśmy na krętą drogę wijącą się do serca gór.

Saint-Béat okazało się malutkim, malowniczym miasteczkiem na ziemi niczyjej. Dla średniowiecznych seniorów feudalnych stanowiło bramę do posiadłości króla Francji. Mimo upływu wieków nadal panowała tu atmosfera stancy granicznej porzuconej w środku bezludnej leśnej gęstwiny.

Dość prosty układ urbanistyczny przywodził na myśl miasteczka Dzikiego Zachodu, gdzie kolejne fasady budynków następowały jedna po drugiej po obu stronach jedynej drogi. Tyle że środkiem Saint-Béat – zamiast zakurzonej ulicy, po której wiatr przeganiałby kłęby biegaczy pustynnych – płynęła wartka odnoga Garonny. Również domy zbudowano nie z drewna, a z solidnego szarego kamienia, przysadziste i zwieńczone spiczastymi łupkowymi dachami. Zabudowania przypominały szeregi głazów ustawionych w równych rzędach na brzegach rzeki.

Miasteczka strzegła twierdza z dwunastego wieku, siedziba dawnych władców marchii, stercząca jak latarnia morska na szczycie lodowca. Zamek był skromny: sześcienna konstrukcja ze zwietrzałych cegieł, z basztą, która wyglądała na najlepiej zachowaną część budowli. Słowo „zamek” chyba nieco na wyrost opisywało tę wieżę strażniczą z ambicjami. Malutka kapliczka doklejona do jednej ze ścian budziła dużo większy szacunek niż sama forteca.

Na wysokości Saint-Béat rzeka Garonna torowała sobie drogę między górami niczym nóż tnący skórę lasów i skał. Całość składała się na pejzaż w odcieniach zieleni, błękitu, bieli i szarości, a na sam jego widok robiło się zimno. Nurt wzbierał dzięki zasilającym rzekę topniejącym lodowcom. Szmer wody płynącej tuż przy najważniejszej ulicy miasteczka (nazwanej na cześć generała Gallieniego, a jakże) stanowił jedyny dźwięk słyszalny w okolicy.

Ta typowa urokliwa wioska w Pirenejach sprawiała jednak dość przygnębiające wrażenie miejsca, gdzie zatrzymał się czas, jakby wszyscy mieszkańcy zapadli w długi sen zimowy za oknami swoich szarych domów. Może wiosną było tu przyjemniej, ale w środku zimy, pod niebem zasnutym ciężkimi chmurami, odwiedzający musieli czuć się jak zagubieni w oparach gęstej mgły.

Byliśmy z Danny wykończeni po długich godzinach za kierownicą, ale żeby nie tracić czasu, poszliśmy prosto do Muzeum Skarbu. Znajdowało się ono w starej zakrystii kościoła Saint-Privat, dwunastowiecznej świątyni, w której zachowały się niemal nienaruszone elementy oryginalnej architektury romańskiej.

Zaparkowaliśmy tuż przed południową bramą kościoła. Każdy nasz krok śledziły uważnie demoniczne, groteskowe oblicza zdobiące rząd rzeźbionych modylionów.

W otwartym kościele było niemal zupełnie pusto, jeśli nie liczyć kobiety siedzącej w kącie przy współczesnej ławce szkolnej, która rażąco odstawała od reszty wystroju. Na nasz widok kobieta podniosła wzrok znad czytanej książki i uśmiechnęła się sympatycznie.

– Dzień dobry, chcą państwo zwiedzić kościół?

Moja znajomość francuskiego pozwalała mi się jako tako porozumieć i nie gubić wątku rozmowy, ale Danny mówiła dużo lepiej ode mnie, więc to ona odpowiedziała:

– Chcielibyśmy obejrzeć Muzeum Skarbu.

– Proszę bardzo, wchodzi się przez te drzwi za mną. Będzie otwarte jeszcze przez godzinę. Mogą państwo swobodnie zwiedzać, nie mamy dziś innych gości.

Kobieta sprzedała nam dwa bilety i zostawiła samym sobie.

Muzeum Skarbu było niewielkie, ale wyglądało na nowoczesne i zadbane. W ulotce wyczytaliśmy, że niedawno przeszło remont – w 2013 roku region zalała powódź i zbiory, żeby nie ulec zniszczeniu, musiały na jakiś czas trafić do Muzeum Masseya w pobliskim Tarbes.

Większość eksponatów stanowiły drewniane rzeźby polichromowane służące za relikwiarze: liczne popiersia świętych w spiczastych mitrach biskupich i z oczami wzniesionymi ku niebu, skrzynie, średniowieczne figury Maryi – surowe i sztywno wyprostowane... Do tego rozmaite naczynia liturgiczne, wykonane ze srebra i dość cenne. Kolekcja skromna, ale ciekawa.

Przy przebudowie muzeum postanowiono przeznaczyć niewielkie osobne pomieszczenie na ekspozycję zbiorów ofiarowanych miasteczku przez Josepha Gallieniego. Zwiedzających witała fotografia samego marszałka. Patrzył na nas dumny człowiek w sile wieku, który już wkrótce miał ocalić Paryż przed inwazją brutalnych barbarzyńców kajzera. Jego twarz zdobił siwy pański wąs, na długim i wąskim nosie tkwiło pince-nez, a całość wieńczyła czerwono-złota generalska czapka. Marszałek wyglądał tak elegancko, dziewiętnastowiecznie i na wskroś francusko, że trudno mi było wyobrazić sobie, jak przemierza spaloną słońcem ziemię Mali w poszukiwaniu skarbów.

W jednej witrynie zgromadzono zbiory Gallieniego – przeważnie bibeloty, drobiazgi raczej egzotyczne niż w jakimkolwiek stopniu cenne. Tablica informacyjna głosiła, że lwia część schedy po marszałku trafiła do Tuluzy.

W osobnej gablocie, ustawionej na honorowym miejscu, wystawiono tylko jedno, najbardziej wartościowe dzieło: złoty ster przywieziony z Timbaktu.

Nieduży przedmiot, mniej więcej wielkości dłoni, wyglądał na wykonany z jednego kawałka szczerego złota, błyszczącego jasno na przezroczystym stojaku. Zwykły kształt okrętowego steru pozbawiony był jakichkolwiek ozdób. Bardziej niż zabytek przypominał bibelot, który mógłby zawisnąć na ścianie jachtu milionera obdarzonego niezbyt wyrafinowanym gustem. Poczujęm lekki zawód.

– To wszystko? – zapytałem na głos.

Stojąca u mojego boku Danny odparła:

– A czego się spodziewałeś?

– Przejechaliśmy sześćset kilometrów tylko po to, żeby to zobaczyć... Wyobrażałem sobie coś większego.

Poszukiwaczka obeszła witrynę dookoła, żeby dokładnie przyjrzeć się eksponatowi.

– Żadnych ozdób. Żadnych napisów. Żadnych wskazówek. Obawiam się, że ten ster zawiedzie nas na mieliznę, wybacz grę słów... – Umilkła i wpatrywała się w zabytek. Przekrzywiła nieco głowę i zrobiła kilka kroków do tyłu. – Wiesz co? Gdybym nie wiedziała, że to ster, uznałabym to za coś zupełnie innego. Może koło zębate?

– Część jakiegoś mechanizmu?

– Może... – mruknęła bez większego przekonania.

Zaproponowałem, że porozmawiam z kobietą sprzedającą bilety – może ona mogłaby powiedzieć nam coś więcej o przedmiocie. Danny wyraziła wątpliwość, ale poszła ze mną, chyba głównie po to, żeby nie pozbawiać mnie resztek nadziei.

Kobieta rzeczywiście niewiele wiedziała o zbiorach muzeum. Nie była żadną ekspertką, tylko zwykłą mieszkanką miasteczka, która w wolnych chwilach dorabiała sobie jako kasjerka. Powiedziała, że jeden z domów koło kościoła należy co prawda do profesora z Uniwersytetu w Tuluzie, jednego z twórców ekspozycji, ale przyjeżdża on do Saint-Béat wyłącznie na wakacje.

– Nie ma pani jakiejś książki albo przewodnika? – zapytałem bez większej nadziei.

– Tu nie, sprzedają je na zamku. Ale proszę się nawet nie fatygować, jest zamknięty dla zwiedzających. Jacyś Amerykanie wynajęli budynek na cały tydzień, organizują tam konferencję naukową czy kongres.

– Można to zrobić? – zapytała Danny.

– Jeśli się zapłaci tyle co oni, to owszem.

Rozczarowany podziękowałem kobiecie i pożegnaliśmy się z nią.

– Proszę poczekać – powiedziała. – Jeśli tak państwa interesują zbiory Gallieniego, to muszą państwo zobaczyć jeszcze frontale ołtarza w kościele. Jest piękne.

– To bardzo miło z pani strony, ale nam zależy tylko na kolekcji z Afryki.

– Ach, ale antepedium jest właśnie stamtąd! Zdaje się, że z Timbuktu, tak jak ster. Proszę, pokażę państwu. To tutaj, zaraz.

Nalegała usilnie, więc wydawało nam się nieuprzejme choćby nie rzucić okiem na ewidentnie jej ulubiony zabytek, wychwalany tak, jakby sama go wykonała albo przynajmniej przywozła z Mali.

Przeszliśmy za nią główną nawą. Z przodu, pod półkopiłą z cegieł, stał nowoczesny ołtarz z marmuru białego jak cukier. Kobieta powiedziała, że materiał pozyskano z kamieniołomów w Saint-Béat, najwyraźniej słynnych. Wykuto go tylko i wyłącznie jako tło dla antepedium znalezionej przez Gallieniego w Afryce.

Nasza przewodniczka zapaliła światło, żebyśmy mogli podziwiać zabytek. Frontale było niewielkie: drewniana tablica szeroka może na pół długości ramienia i tak samo wysoka. Na pierwszy rzut oka zdała mi się chaotyczną zbieraniną kamieni osadzonych w powłoce z brązu, z wygrawerowanymi zdobieniami, trudnymi do zidentyfikowania w skąnym oświetleniu. Po bokach umieszczono metalowe płyty z wrytymi postaciami dwóch mężczyzn o długich brodach – jeden miał na głowie turban i wyciągał dłonie w geście modlitwy, z pleców drugiego zaś wyrastały skrzydła, a wokół głowy płonął mu ogień. Zdawali się pogrążeni w bardzo zajmującej rozmowie.

– Piękne, prawda? – zapytała kobieta. – Ksiądz proboszcz mówi, że ten po prawej to święty, a po lewej – anioł. Trudno uwierzyć, że coś takiego powstało w tej pogańskiej

ziemi, prawda?

– Bardzo piękne – odparła Danny, raczej z uprzejmości niż faktycznego zainteresowania.
– I bardzo dobrze zachowane.

– Tak, gdyby tylko nie ta dziura w rogu. – Kobieta wskazała na otwór wielkości monety.
– Ksiądz twierdzi, że to dziura po kuli z muszkietu. Podobno kiedy Gallieni znalazł frontale, napadli go muzułmańscy bandyci i wybuchła strzelanina. Marszałek użył antepedium jako tarczy.

Z ożywieniem relacjonowała przygody Gallieniego, a ja tymczasem uważnie przyglądałem się ołtarzowi. Zauważyłem, że z pozoru wytarte kamienie to w rzeczywistości kryształowe kuleczki. Całe antepedium było naszpikowane dziesiątkami takich kapsulek. Chętnie dokładniej zbadałbym wyryte znaki. Z początku wziąłem je za esy-floresy, ale teraz zaczynałem się zastanawiać, czy to aby nie arabskie napisy.

Zapytałem kobietę o wzory.

– Litery? – spytała. – Możliwe... Ksiądz proboszcz mówi, że być może zasłonę zrobili arabscy chrześcijanie i zapisali swoim alfabetem litanie czy modlitwy. Proszę podejść, widzi pan? Wzdłuż krawędzi pełno jest takich znaczków.

Zbliżyłem się. Frontale było bardzo grube, jak pół długości dłoni. Na okalającej je złoconej metalowej listwie wyryto więcej napisów. Kobieta opowiadała coś Danny, a ja omiotłem wzrokiem całą krawędź antepedium.

Nagle zauważyłem coś znajomego.

Nie litery. Obrazek.

Ktoś wszedł do kościoła i kobieta zostawiła nas samych, żeby zająć się nowym gościem.

– Danny, popatrz no tu – powiedziałem i wskazałem jej palcem rysunek.

Podeszła bliżej, żeby się przyjrzeć.

Przedstawiał widzianą z boku rybę. W miejscu oka umieszczono malutki zielony kamyczek. Na grzbiecie wyryto miniaturowe łuski, których charakterystyczny kształt i rozmieszczenie rozpoznałbym nawet na końcu świata.

– Tak, widzę, ryba... Co w tym szczególnego?

– Widziałem już kiedyś tę rybę. Ty zresztą też.

– Serio? Gdzie?

– Zabraliśmy ją Acoście, kiedy pojechaliśmy do Lizbony po Maskę Musy. Joos Gelderohe próbował mi ją potem odebrać w moim własnym domu. Miałem... – Przełknąłem ślinę. Wspomnienia załały mnie wielką falą i lada chwila mogły odebrać mi głos. – Miałem ją przy sobie, kiedy walczyłem z Teslą w Jaskiniach Heraklesa.

– Jesteś pewny?

– Na sto procent. Przyjrzyj się tym łuskom, kształtowi ogona, zielonemu oku... – wymieniałem z coraz większym podnieceniem. – To nie jest zwykła ryba. To Bateria z Karbali.

Danny spojrzała na mnie i zapytała:

– Ale skąd ona się wzięła na tym ołtarzu?

– Nie wiem. – Nie udało mi się powstrzymać uśmiechu. – Ale zaczynam myśleć, że ta podróż miała sens.

Szybko zrobiliśmy telefonem parę zdjęć wygrawerowanej rybie. Zdążyliśmy akurat w samą porę – przewodniczka wróciła i oznajmiła, że zamykają.

Gdy tylko wyszliśmy na ulicę, wysłałem fotografie bliźniakom, żeby porównali je z Baterią, którą przechowywali w warsztacie. Już po dwudziestu minutach dostaliśmy odpowiedź:

Potwierdzamy. To Bateria. Kształt i zdobienia się zgadzają. Wśród inskrypcji wokół ryby umieszczono słowa „Karbala” i „Złota Ryba” zapisane w klasycznym arabskim. Niezwykle ciekawe znalezisko. Wyślijcie więcej zdjęć.

OMEGA

Żeby spełnić prośbę jubilera, musieliśmy poczekać do następnego dnia, kiedy kościół miano ponownie otworzyć. Jak na razie jedyne, co nam pozostało, to poszukać noclegu.

Znaleźliśmy mały hostel zwany L'Anglade, tuż nad rzeką, na samym końcu alei Marszałka Gallieniego. Zarezerwowaliśmy dwa pokoje i postanowiliśmy trochę odpocząć. Po siódmej wieczorem wyruszyliśmy na poszukiwania miejsca, gdzie moglibyśmy zjeść kolację. Zgodnie z naszym madryckim rozkładem dnia było jeszcze za wcześnie nawet na obiad, ale głód i zmęczenie dawały nam się we znaki, a zmrok zapadał w górach tak szybko, że mieliśmy wrażenie, jakby nagle zrobił się środek nocy.

Trafiliśmy na restaurację Géry – przypominała raczej prywatny dom, w którym niejako przy okazji wydawano posiłki. Stanowiliśmy całą klientelę lokalu, jeśli nie liczyć wychudzonego psa w kącie, przeżuwającego resztki z miski. Z kuchni dochodziły jednak całkiem apetyczne zapachy.

Menu wyrecytował nam jedyny kelner i prawdopodobnie również właściciel knajpy. Danny zamówiła omlet z suszoną kielbasą i *fritons*, a do tego skromną sałatkę z liści mlecza. Ja z głodu gotów byłbym nawet podebrać jedzenie z miski kundla, zdecydowałem się więc na słuszną porcję fasoli z boczkiem, kielbasą i *confit* z kaczki – potrawy, którą kelner określił jako *cassoulet*. Kiedy przed moim nosem wylądowała góra mięsa i fasoli, poczułem aromat zdolny wyciągnąć dusze z czyścica. Danny z przerażeniem patrzyła na *cassoulet*.

– Zamierzasz zjeść to wszystko tuż przed snem?

– Jestem głodny jak wilk – odparłem, z ustami pełnymi pysznego mięsa kaczki. Smakowało tak cudownie, że chciało mi się płakać z rozkoszy. – Twój biedny omlecik nie dorasta do pięt mojemu daniu.

– Po tym biednym omleciku mojego układu pokarmowego nie czekają przynajmniej wybuchowe atrakcje... – Zerknęła ukradkiem na *cassoulet*, którym zajadałem się ze smakiem. – Dasz spróbować?

– Nie. Trzeba było pomyśleć, zanim zaczęłaś się czepiać mojego zamówienia. – Uśmiechnąłem się. – Ech, no dobrze. To w sumie gorsza kara, jeśli dowiesz się, co tracisz.

Danny nabrała trochę na łyżkę. Spróbowała i jęknęła cicho z zachwytem.

– Wiesz co? – powiedziałem. – Gdybyśmy byli parą, oddałbym ci połowę mojego dania, a ty mnie swojego...

– No i pewnie zaoszczędzilibyśmy trochę na noclegu.

– To też. Widzisz? Same zalety. Powinnaś to przemyśleć.

Danny z uśmiechem pokręciła głową.

– Nigdy nie przestaniesz próbować, co?

– Nie pochlebiaj sobie, wyzwania już mnie tak nie pociągają. Kiedyś dam sobie spokój i poszukam innej, która nie będzie mnie olewać. To będzie świetna dziewczyna, i na pewno bardzo ładna. A tymczasem ty będziesz musiała zadowolić się nijakim omletem i do końca życia żałować, że nie zdecydowałaś się na tę atrakcyjną porcję *cassoulet*.

– Przynajmniej ten mój nudny omlet ma trochę oleju w głowie.

– Przyznaj, że tak naprawdę ten brak oleju cię we mnie pociąga.

Danny znów się roześmiała. Tego wieczoru wydawała się wyjątkowo zadowolona, może dlatego że znaleźliśmy ważną wskazówkę na frontale Gallieniego. A może dzięki butelce taniego czerwonego wina, które piliśmy do kolacji.

Oparła podbródek na dłoni i spojrzała na mnie z zaciekawieniem, tak jak kot wpatruje się w dziwny, błyszczący przedmiot.

– Czasem się zastanawiam, skąd u ciebie taki upór – oznajmiła. – Zraniłam twoją męską dumę czy coś w tym rodzaju? Bilans ci się przeze mnie nie zgadza? Naprawdę mnie to interesuje.

– To nic skomplikowanego: podobasz mi się i tyle.

– Ale dlaczego? – naciskała.

– Skoro naprawdę chcesz wiedzieć... – Odsunąłem talerz i spojrzałem na nią. – Bo nic o tobie nie wiem. Nie wiem, co myślisz, kiedy na ciebie patrzę, nie mam pojęcia, co znaczą te twoje półuśmiechy, poza tym, że doprowadzają mnie do szaleństwa. Nie znam twojej przeszłości, zainteresowań, trybu życia. Nie wiem, czego szukasz, czy w ogóle czegoś szukasz. Próbowałem się tego dowiedzieć, odkąd cię poznałem, ale nie potrafię. Pozostajesz dla mnie zagadką. Właśnie to tak mi się w tobie podoba.

Poczułem się nieco zawstydzony tą przemową. Uśmiechnąłem się przeproszająco i pociągnąłem długi łyk wina, jakbym próbował ukryć się za kieliszkiem.

– No proszę – mruknęła po chwili. – A gdybym ci powiedziała, że nie ma we mnie nic tajemniczego? Przestałbyś wreszcie próbować zmienić to, jak jest między nami?

– Posłuchaj, Danny. Ostatnie, czego chcę, to ci się naprzykrzać. Ta zabawa będzie fajna tak długo, jak długo oboje będziemy wiedzieć, że to tylko gra. Jeśli kiedykolwiek będziesz miała tego dość, po prostu mi powiedz. Daj znać, a zostawię cię w spokoju, obiecuję.

– Nie o to mi chodzi – odpowiedziała pośpiesznie. – Naprawdę zależało mi na odpowiedzi. Bo skoro pociąga cię we mnie to, czego nie wiesz, to co się stanie, kiedy mnie poznasz?

– To już nie będzie dla mnie takie ważne. Nie chodzi mi o to, że chciałbym cię rozszyfrować jak jakąś zagadkę... Niektórzy lubią znajdować odpowiedzi, ale nie ja. Ja wolę mieć pytania.

Danny spojrzała na mnie z uśmiechem. Sympatycznym. Potem jednak spuściła wzrok na kieliszek.

Wkrótce kelner zabrał talerze i zaproponował deser. Pojawił się niczym statysta w filmie sygnalizujący koniec sceny. Wątek naszej rozmowy został ucięty jak nożem i potem nie udało nam się już go podjąć.

Aby uniknąć niezręcznej ciszy, postanowiłem wrócić na mniej grząski teren i znów wspomniałem o naszym odkryciu związanym z frontalem. Stamtąd blisko już było do Baterii z Karbali, złotego Steru, *Mardudu*... Tematów dobrze znanych, w których oboje czuliśmy się bezpiecznie, choć muszę przyznać, że to ja dźwigałem na barkach niemal cały ciężar rozmowy. Danny stała się nagle jakby nieobecna i zauważyłem, że z wyraźnym trudem przychodzi jej skupić uwagę na moich słowach i nie pograć się zupełnie w rozmyślaniach.

Zjedliśmy deser, zapłaciliśmy rachunek po połowie i wyszliśmy z restauracji. Na zewnątrz zimno cięło mroźnym ostrzem. Cała okolica tonęła w niebieskawej ciemności, a ciszę zakłócały wyłącznie odgłosy naszych kroków i szum płynącej rzeki. Miałem wrażenie, jakbyśmy znaleźli się zupełnie sami w otoczonym przez góry miasteczku widmie.

Próbowałem podtrzymać rozmowę, ale Danny odpowiadała monosylabami albo wcale. W końcu drogę do hostelu spędziliśmy w zupełnej ciszy, paląc papierosy. O dziwo, nie była to jednak cisza niezręczna.

Weszliśmy na górę do swoich pokoi. Hostel sprawiał wrażenie równie opuszczonego i zapomnianego jak reszta wioski. Mieliśmy mieszkać przez ścianę i zatrzymaliśmy się przed drzwiami Danny.

Z jakiegoś powodu stanęliśmy tam i czekaliśmy, jakby coś miało się wydarzyć.

– To był długi dzień – powiedziałem, ale dźwięk własnego głosu nagle mnie zirytował, jak coś nieproszonego. Urwałem, czując się głupio.

Danny na mnie spojrzała i wtedy domyśliłem się, co się zaraz stanie.

Położyła mi dłoń na karku i przyciągnęła moją twarz ku sobie, żeby mnie pocałować. Zamknąłem oczy i dotknąłem wargami jej ust, ostrożnie, jakbym bał się je uszkodzić. Czuję się jak ktoś, kto umiera z pragnienia, ale całą siłą woli zmusza się, żeby sączyć wodę małymi łydkami.

Danny wzięła mnie za rękę i weszliśmy do jej pokoju. Znów się pocałowaliśmy: kolejny raz, dziesiątki razy... Coraz słabiej nad sobą panowałem, a kiedy niechcący ugryzła mnie w dolną wargę, zrozumiałem, że i jej trudno się powstrzymać. Odszukałem ustami jej szyję, a ona zaczęła szybko mnie rozbierać.

Zatrzymaliśmy się nagle, jak dwaj biegacze dla złapania oddechu, i spojrzeliśmy po sobie. Nie widziałem jej oczu, zaledwie dwa błyski w ciemności.

– Dlaczego...? – zapytałem.

Położyła mi palec na ustach.

– To tylko jedna noc bez odpowiedzi. – Zbliżyła usta do mojego ucha, ugryzła mnie delikatnie w małżowinę i szepnęła: – Zależy ci na nich?

„Nie. Nie chcę odpowiedzi. Nie na nich mi zależy”, pomyślałem oszołomiony. Może nawet powiedziałem to na głos, nie wiem. W tamtej chwili nie chciałem jasno myśleć, a tylko dać się ponieść.

Danny prowadziła mnie w stronę łóżka, z każdym kolejnym krokiem pozbawiając mnie kolejnych sztuk odzieży. Położyłem dłonie na jej plecach i przesunąłem po nich delikatnie, rysując na jej skórze kształt znaku zapytania.

To była moja ostatnia myśl, nim rzuciłem się w nieznane.

„To tylko jedna noc...” – słowa przysły do mnie w półśnie.

„To tylko jedna noc bez odpowiedzi”.

Dobiegały z miejsca, którego nie potrafiłem nazwać. Gdzieś zza pleców, znad głowy, z głowy. Wokół panowała całkowita ciemność i czułem się zagubiony. Sen zmienił się w koszmar.

Obudziłem się i otworzyłem oczy.

Nadal otaczała mnie ciemność, ale teraz dostrzegałem cienie i kształty w słabym świetle przenikającym do pokoju. Rozejrzałem się: Danny spała u mojego boku i poczułem ulgę, że nie wszystko okazało się snem.

Zegarek na stoliku nocnym wskazywał trzecią nad ranem. Oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności i zobaczyłem swoje ubrania porzucone na podłodze – tworzyły szlak od drzwi do łóżka, jakby wskazywały mi wyjście.

W końcu to tylko noc bez odpowiedzi.

Nie zastanawiałem się, dlaczego do niej doszło, nie chciałem pytać. Nagle zacząłem obawiać się chwili, gdy nadejdzie dzień, a Danny obudzi się i zobaczy mnie obok siebie. Bałem się, że będzie próbowała się tłumaczyć, a tego nie chciałem. Przekonywałem się, że żadnemu z nas taka rozmowa nie zrobi dobrze. Za wcześnie na to.

Ostrożnie, żeby jej nie obudzić, wstałem z łóżka i się ubrałem. Nigdy nie przepadałem za porzucaniem w środku nocy kobiety, z którą właśnie się przespałem, ale pocieszałem się myślą, że to nie ucieczka. W końcu i tak mieliśmy się spotkać następnego dnia. Wolałem zobaczyć się z nią ubrany i z jasnym umysłem. Jeśli zamierzała mi powiedzieć, że to pomyłka, skutek nadmiaru wina czy coś podobnego, wolałem nie słuchać tego w jej łóżku, nagi jak bezbronny robak.

Na palcach wymknąłem się z pokoju. Kiedy jednak znalazłem się na korytarzu, wizja położenia się w innym łóżku w ciemnym pomieszczeniu wywołała u mnie uczucie klaustrofobii. Musiałem wyjść na ulicę, zapalić papierosa i pozwolić mroźnemu nocnemu powietrzu schłodzić nieco umysł.

Wyszedłem z hostelu i ruszyłem przed siebie bez celu, dróżką wzdłuż brzegu rzeki. Wkrótce znalazłem się przy kościele Saint-Privat, gdzie dzień wcześniej oglądaliśmy antepedium.

Przed świątynią stała furgonetka. Natychmiast zwróciła moją uwagę jako jedyny pojazd zaparkowany na ulicy. Nie było jej tam przed kilkoma godzinami, gdy z Danny zwiedzaliśmy muzeum. Na boku białego samochodu widniało spore logo – spłaszczona gwiazda o czerwono-niebieskich ramionach, a pod nią napis: „Voynich Inc. Secrets from Future”.

Może i zaczynała się u mnie rozwijać lekka paranoja, ale na widok tej furgonetki ogarnęły mnie złe przeczucia.

Jak zwykle zacząłem działać bez namysłu, pod wpływem impulsu, co z reguły nie skłaniało mnie do rozsądnego zachowania. Podkradłem się do kościoła i odkryłem, że drzwi stoją otworem. Z wnętrza dobiegały błyski – ktoś świecił sobie latarką.

Z najwyższą ostrożnością, starając się zachowywać jak najciszej, wśliznąłem się do środka i przywarłem plecami do ściany.

W północnej nawie stało dwóch mężczyzn ubranych na czarno. Jeden z nich oświetlał

latarką marmurowy ołtarz, a drugi za pomocą ciężkich narzędzi demontował właśnie antepedium Gallieniego.

Z drugiego końca kościoła dobiegł dźwięk otwieranych drzwi. Kolejny mężczyzna w czerni wyszedł z zakrystii, gdzie znajdowało się Muzeum Skarbu. W ręku niósł zawiniątko w ciemnym materiale. Podszedł do tych pod ołtarzem i powiedział coś cicho. Ponieważ jednak w świątyni była świetna akustyka, typowa dla tego typu obiektów w stylu romańskim, dosłyszałem jego słowa.

– Mam ster – powiedział po angielsku.

Ten z latarką wskazał ręką na drzwi wejściowe i ty z pakunkiem poszedł w tamtą stronę. Pośpiesznie ukryłem się za grubą kolumną i zacząłem modlić, żeby mnie nie zauważył. Miałem szczęście – facet wyszedł z kościoła, nawet nie obróciwszy głowy w kierunku mojej kryjówki.

Usłyszałem głośny zgrzyt metalu: pozostała dwójka zdołała wyrwać antepedium z ołtarza. Ostrożnie ułożyli je na podłodze i spakowali do wąskiej metalowej skrzyni, jak te używane przez muzea do transportu obrazów. Potem dźwignęli pudło i wyszli na zewnątrz. Oni też mnie nie zauważyli.

Nie zamknęli za sobą drzwi. Odważyłem się wyjrzeć na ulicę i zobaczyłem, że pakują frontale do furgonetki. Trzeci mężczyzna siedział za kierownicą.

Odpalił silnik i cała grupa odjechała w stronę drogi prowadzącej do twierdzy. Dopiero wtedy zauważyłem płynące z góry światło: nad wejściem do zamku zamontowano coś w rodzaju reflektora.

Ci Amerykanie, którzy wynajęli budynek na konferencję naukową, obradowali w dość nietypowych godzinach.

Mogłem dojść do zamku pieszo, ale bałem się, że kiedy dotrę na miejsce, po furgonetcie Voynicha nie będzie już śladu. Jeśli chciałem mieć pewność, że nie zgubię złodziei, potrzebowałem samochodu.

Wyjąłem z kieszeni telefon i wykręciłem numer Danny. Nie było czasu na skrupuły. Odebrała po dłuższej chwili, zaspanym i zaskoczonym głosem.

– Danny, przyjeźdź zaraz pod wejście do kościoła – rzuciłem bez wstępów. – Potrzebuję samochodu, jak najszybciej. Wytłumaczę ci wszystko na miejscu.

– Ale co ty robisz w...

– Jak najszybciej – powtórzyłem. – Właśnie ukradli Ster Gallieniego. I frontale ołtarza!

To wystarczyło, nie musiałem nic więcej wyjaśniać. Danny się rozłączyła, a pięć minut później zobaczyłem jej samochód. Nie czekałem nawet, aż wyłączy silnik – w biegu wskoczyłem na fotel pasażera.

UPADEK

Twierdzę w Saint-Béat wzniesiono na szczycie wzgórza, na północnym brzegu rzeki. Z miasteczka można było dostać się do niej albo ścieżką dla pieszych, wijącą się zygzakiem po zboczu, albo asfaltową drogą biegnącą po drugiej stronie góry.

Dojechaliśmy z Danny na tyle daleko, na ile pozwoliła nam konieczność zachowania dyskrecji. Potem zostawiliśmy samochód i ruszyliśmy pieszo. Na szczęście sprzyjały nam panujące ciemności – pod osłoną nocy bez trudu mogliśmy się ukryć.

Kiedy znaleźliśmy się wystarczająco blisko, zobaczyłem samochód Voynicha zaparkowany przed wejściem do zamku, w kręgu światła rzucanego przez reflektor. Schowaliśmy się między oddalonymi o kilkanaście metrów drzewami.

Przy furgonetce stało trzech złodziei z kościoła. Towarzyszył im czwarty mężczyzna, o azjatyckich rysach, ubrany w elegancki garnitur.

Azjata stanął przed drzwiami i oświetliła go zamontowana powyżej lampa. Twarzą zwracał się w kierunku naszej kryjówki, więc mogłem mu się przyjrzeć. Moją uwagę przykuły bardzo charakterystyczne oczy o intensywnie niebieskiej barwie.

Mężczyźni dyskutowali na jakiś temat, ale nie słyszeliśmy słów. Błękitnooki poszedł na tył furgonetki i otworzył bagażnik, z którego dwaj ubrani na czarno wyjęli metalową skrzynię z antepedium, a trzeci zaprezentował Ster. Azjata pokiwał głową z aprobatą, po czym oba zabytki trafiły z powrotem do samochodu. Jeden z mężczyzn usiadł za kierownicą, a pozostali zniknęli we wnętrzu zamku.

– To ewidentnie nie jest żadna konferencja – szepnąłem do Danny. – Co teraz robimy?

– Na pewno odpada zawiadomienie policji. Prędzej to ciebie aresztują przez ten pieprzony list gończy Interpolu.

– Poszukiwacze zgłaszający kradzież policji? Splamilibyśmy dobre imię Korpusu.

– Frontale i Ster nadal są w aucie, ale w środku siedzi też jeden ze złodziei – stwierdziła Danny. – Jesteś gotów zaryzykować?

– Tej nocy niczego nie potrafię ci odmówić, więc... – Urwałem wymownie. W ciemności nie mogłem jednak dostrzec, czy na jej twarzy odmalowała się jakaś reakcja na moje słowa.

– Chodź za mną. Tylko cicho.

Szum rwącej rzeki odbijał się echem od gór, tłumiąc nasze kroki. Razem podeszliśmy do furgonetki i Danny gestem nakazała mi zostać, a sama ruszyła w stronę kierowcy.

Człowiek w czerni zobaczył ją, natychmiast wyskoczył zza kierownicy i szedł ku niej z nieprzyjaznym wyrazem twarzy. Zobaczyłem, że sięga ręką do tylnej kieszeni spodni. Danny schyliła się nieznacznie, chwyciła z ziemi wielki kamień i zdzieliła nim mężczyznę w dolną szczękę. Ten cofnął się o kilka kroków, wyraźnie oszołomiony. Z zawrotną prędkością Danny wymierzyła mu jeszcze dwa ciosy: jeden łokciem w szyję, a drugi –

pięścią w prawe ucho. Usłyszałem trzask podobny do pękającej suchej gałęzi. Mężczyzna ubrany na czarno zachwiał się, po czym runął na ziemię.

– Chodź! – zawołała mnie Danny.

Biegiem wypadłem zza furgonetki. Danny przeszukiwała kieszenie swojej ofiary.

– Wsiadaj na fotel pasażera – zarządziła.

– Kto cię tego nauczył?

– Bańka. Tylko nie mów mu, że potrzebowałam aż trzech ciosów, żeby pozbawić przytomności tego faceta. Jemu wystarczyłyby dwa. – Tryumfalnym gestem wyciągnęła coś z kieszeni pobitego: znalazła kluczyki do samochodu. Potem zabrała facetowi jeszcze pistolet, zatknięty z tyłu za pasek spodni.

Nagle otworzyły się drzwi twierdzy i stanęli w nich towarzysze unieszkodliwionego bandyty. Danny zaklęła i wskoczyła za kierownicę. Wepchnęła kluczyk do stacyjki i odpaliła silnik. Jeden z facetów spod zamku strzelił z pistoletu.

– Wystaw rękę przez okno i strzelaj! – wrzasnęła Danny i wcisnęła mi zdobytą przed chwilą broń.

– Do którego?

– Do żadnego! Po prostu strzelaj! Nastraszyć ich trochę!

Danny skręciła z piskiem opon, a ja próbowałem zastosować się do instrukcji. Wolałbym, żeby ręce mi się tak nie trzęsły, bo bardziej się bałem, że niechcący kogoś trafię, niż że chybię. Jeszcze nigdy w życiu do nikogo nie strzelałem.

Dźwięk wystrzału rozległ się echem w nocnej ciszy. Danny znów gwałtownie skręciła, a mną zarzuciło z jednej strony na drugą, jak małą piłką obijającą się we wnętrzu beczki. Zauważyłem, że nasi prześladowcy uciekli do zamku. Azjata chyba rozmawiał z kimś przez krótkofalówkę.

Danny dodała gazu i wyjechała na drogę. Silnik zawył, kiedy koła dotknęły asfaltu, a furgonetka przechylała się okropnie na każdym zakręcie. Zacisnąłem powieki, czekając już tylko na chwilę, gdy się rozbijemy, a jednocześnie kurczowo dzierżyłem w dłoni pistolet, w obawie, że spadnie na podłogę i wystrzeli.

Danny zdołała zapanować nad pojazdem. Nie potrafiła mi wytłumaczyć, jak udaje jej się prowadzić w takich ciemnościach – reflektory samochodu oświetlały tylko od czasu do czasu drzewa, o które lada chwila mogliśmy się roztrzaskać.

Dojechaliśmy do skrzyżowania z drogą prowadzącą do miasteczka. Nagle zauważyłem wyłaniający się pomiędzy zabudowań czarny samochód – próbował zablokować nam przejazd. Wrzasnąłem ostrzegawczo i Danny gwałtownie skręciła kierownicą, a ja znów wyrznąłem głową w okno.

Minęliśmy maskę czarnego auta o milimetry, usłyszałem zgrzyt zderzaków na karoserii furgonetki. Poczulem go niemal na własnej skórze. Samochód skręcił za nami, przyśpieszył i ruszył w pościg. Usłyszałem strzał i tuż za moim oknem świsnęła kula. Wychyliłem się na tyle, na ile mogłem, i zacząłem strzelać na oślep. Miałem płonną nadzieję, że przebiję im przynajmniej oponę, ale równie dobrze mógłbym próbować trafić w dziesiątkę na tarczy w ciemnym pokoju. Kolejny strzał z tyłu. Danny złapała mnie za kołnierz i z całej siły pociągnęła do środka.

– Nie bądź głupi! Chcesz, żeby ci odstrzelili głowę?

– Próbowałem tylko...

– Już ja wiem, co próbowałaś. Byłby to niegłupi pomysł, gdybyś tylko umiał posługiwać się bronią! Siedź spokojnie, a ja spróbuję ich zgubić.

Wcisnęła gaz do dechy. Coraz bardziej oddalaliśmy się od miasteczka, ale czarny samochód szybko nadrabiał stratę. Danny skręciła i wylądowaliśmy na wąskiej drodze, wijącej się jak wąż. Pościg nie dawał za wygraną.

Reflektory oświetlały niepokojący widok. Serpentina wspinała się po stromym zboczu wzgórza. Po lewej miałem skalną ścianę upstrzoną łatami śniegu, po prawej – niską kamienną balustradę, a za nią bezdenną czarną otchłań. Z głębi ciemności dobiegał szum rzeki.

Każdy zakręt był koszmarem, a ewentualny poślizg groził tragiczną w skutkach katastrofą. Danny niezwykle sprawnie manewrowała furgonetką, ale na jej twarzy malowało się napięcie. Tymczasem czarny samochód, dużo szybszy od naszego, z każdą chwilą się przybliżał.

Coś uderzyło w tył furgonetki. Danny zagryzła wargi i z całej siły zacisnęła dłonie na kierownicy, żeby odzyskać kontrolę nad pojazdem. Przed nami zobaczyłem wyjątkowo ostry zakręt i poczułem kolejne uderzenie – czarny samochód najwyraźniej próbował zepchnąć nas w przepaść. Przez jedną okropną sekundę byłem pewny, że mu się to uda, ale Danny cudem zdołała utrzymać nas na jezdni.

Nie miałem jednak czasu odetchnąć z ulgą: ścigający wykorzystali minimalnie szerszy odcinek drogi i wcisnęli się między skalną ścianę a lewy bok furgonetki, po czym z całej siły na nas natarli. Prawą stroną uderzyliśmy w kamienną poręcz, aż poszły iskry. Danny jeszcze przyspieszyła, próbując zostawić pościg w tyle.

Pojawił się przed nami kolejny morderczy zakręt. Czarny samochód znowu przypuścił szturm. Rozległ się ogłuszający huk, po czym rozpętał się chaos.

Danny straciła panowanie nad kierownicą, a furgonetka zatańczyła, jakby wjechała na tafłę lodu. Wszystko zaczęło się kręcić w kółko. Poczułem silne uderzenie w prawy bok pojazdu: znów wpadliśmy na jeden z kamiennych słupków balustrady. Samochód zaczął niepokojąco się przechylać, aż w końcu zawisłem niemal do góry nogami.

Zaczęliśmy zsuwać się po zboczu, ale do mnie to już prawie nie docierało. Zamknąłem oczy i wrzeszczałem. Moim ciałem rzucało z jednej strony na drugą: uderzenie w głowę, cios w żebra, dźwięk tłuczonych szyb i zgrzyt metalu o kamienie i drewno. Jak skok na główkę prosto do piekła.

Poczułem w ustach intensywnie miedziany posmak. Zapomniałem już, jak smakuje strach przed śmiercią.

Już po raz drugi tej nocy otworzyłem oczy, żeby wybudzić się ze złego snu, ale tym razem koszmar nie zniknął.

W końcu udało mi się odzyskać kontakt z rzeczywistością. Znajdowałem się w furgonetce, wcisnięty w okno po stronie pasażera. Spękana szyba przypominała pajęczynę albo puzzle z kilkuset elementów. Nienaturalnie wykręcone ramię opierałem o drzwi. Poczułem ulgę, kiedy się okazało, że mogę nim poruszać bez większego bólu. Postanowiłem sprawdzić pozostałe części ciała. Wyglądało na to, że nic sobie nie zламаłem ani nawet nie skręciłem. Nad Kawalerami Poszukiwaczami czuwał chyba jednak

bardzo skuteczny anioł stróż.

Danny nadal tkwiła na siedzeniu kierowcy, podtrzymywana pasem bezpieczeństwa, zupełnie nieruchoma.

– Danny... Danny!

Poruszyła głową i skrzywiła się z bólu. Wyprostowałem się na tyle, na ile było to możliwe w ciasnej przestrzeni, i zbliżyłem do niej. Na jej kości policzkowej widniała paskudna, obficie krwawiąca rana cięta.

– Musimy wyjść z samochodu – powiedziałem niespokojnie. – Możesz się ruszać?

– Tak... chyba tak... – odparła bez większego przekonania, a przez jej twarz przebiegł spazm bólu.

– Pomogę ci. Oprzyj się o mnie.

Odpiąłem pas i jej ciało spadło na mnie. Nie mogłem się powstrzymać, żeby jej nie przytulić, przyłgnąć policzkiem do jej twarzy i poczuć, że żyje, choćby na sekundę. Z wdzięcznością odwzajemniła uścisk.

– Jesteś cała? – zapytałem.

Skinęła głową.

Wydostaliśmy się z furgonetki przez okno po stronie kierowcy, pomagając sobie wzajemnie. Moja pokiereszowana twarz odbierała lodowaty chłód nocy jak najwspanialszą pieśczętę. Wzięłem głęboki wdech, jakbym chciał wchłonąć całe to ożywcze powietrze.

Odwróciłem się w stronę samochodu – leżał na prawym boku z otwartymi na oścież tylnymi drzwiami i zmasakrowaną karoserią. Nie potrafiłem nawet oszacować, z jakiej wysokości spadliśmy. Przód auta tkwił wbity w drzewo rosnące na skraju zbocza, opadającego stromo do koryta rzeki. Ten pień niewątpliwie uratował nas przed upadkiem do wzburzonej wody. To cud, że wyszliśmy z tego cali i nawet względnie zdrowi.

Danny poruszała się, ale kuliła nieco i przyciskała ramię do klatki piersiowej. Zrozumiałem, że musiała ucierpieć dużo poważniej niż ja, i nagle się przestraszyłem.

– Błagam, powiedz, że nic ci nie jest.

– Nic, nic, spokojnie. – Wyprostowała się i spojrzała mi w oczy. Udało jej się nawet zmusić do bladego uśmiechu. – Bogowie chyba naprawdę nad tobą czuwają, Tirso Alfaro. Mogliśmy zginąć.

– Noc pełna niespodzianek, co? – próbowałem żartować.

– Tak... Miałam nieco inne plany. – Pogłaskała mnie po policzku, a potem spojrzała na dłoń. – Masz krew na twarzy, jesteś ranny?

Wytarłem się rękawem płaszcza.

– To chyba twoja krew, musiałem się pobrudzić. Skaleczyłaś się tu, na policzku.

Dotknęła rany opuszkami palców i syknęła z bólu. Potem dostała ataku kaszlu i znowu się skuliła, obejmując ramieniem żebra.

Z góry dobiegły nas jakieś głosy i szelest rozchylanych gałęzi.

– Niech to szlag – mruknęła Danny półgłosem. – Przyszli po nas. Trzeba się schować.

Ruszyliśmy w stronę gęstych krzaków, starając się zachowywać jak najciszej. Chciałem rozejrzeć się po okolicy, ale panowała nieprzenikniona ciemność. Choć dobrze słyszałem naszych prześladowców, nie mogłem ich dostrzec.

Zauważyłem jednak, że coś porusza się w pewnej odległości od naszej kryjówki. Niebo na chwilę się przetarło i w bladym świetle księżyca zobaczyłem sylwetkę jednego z mężczyzn z zamku. Domyśliłem się, że ścigający nas w czarnym samochodzie musieli widzieć nasz wypadek, a teraz chcieli sprawdzić, czy przeżyliśmy.

Księżyc znów zasnuły chmury, ale widziałem, jak mężczyzna podchodzi do furgonetki i zagląda do części bagażowej. Potem zwrócił się po angielsku do kogoś, kto musiał znajdować się dość daleko, może nawet na drodze, bo mówił głośno, niemal krzyczał.

– Ster ciągle tu jest, skrzynka też. Wyglądają na nietknięte.

– A oni? – usłyszałem chyba.

– Nie widzę ich.

– Cholera. Czyli przeżyli. Musimy ich znaleźć, nie mogli daleko odejść.

Ten, którego widziałem, ostrożnie obszedł furgonetkę. Chociaż tylne reflektory się rozbiły, jeden nadal się palił i w jego świetle dostrzegłem, że facet trzyma pistolet. Ich zamiary w stosunku do nas wydawały się jednoznaczne.

– Tirso – szepnęła Danny. – Masz jeszcze pistolet?

Skinąłem głową i podałem jej broń. Danny wycelowała w faceta przy furgonetce.

– Czekaj... Naprawdę zamierzasz...?

– Wolisz sam to zrobić?

Nie odpowiedziałem.

Mężczyzna zaczął oddalać się od źródła światła. Danny rzuciła coś półgłosem, wyraźnie wściekła, a potem syknęła głośno. Już miałem powiedzieć, że jeśli będzie tak hałasować, to facet nas usłyszy, ale zrozumiałem, że właśnie o to jej chodziło.

Mężczyzna zamarł nieruchomo na tle reflektora, idealnie wystawiając się na strzał. Podniósł pistolet i zaczął wolno iść w naszą stronę.

Danny pociągnęła za spust i trafiła prosto w cel. Facet zatrzęsł się spazmatycznie, jakby przeszedł go nagły dreszcz, po czym upadł na ziemię. Żadnej krwi. Żadnych krzyków. Tylko znieruchomiałe ciało.

Chciałbym powiedzieć, że bardziej mną to wstrząsnęło, ale nie byłem w stanie poczuć nic więcej. Nie pierwszy raz ktoś zginął tragicznie na moich oczach, widywałem też dużo straszniejszą śmierć. Kiedy przeciwnik osunął się bezwładnie, ogarnęła mnie bezbrzeżna ulga, że to on, a nie żadne z nas.

Danny oddała mi pistolet, ale nie chciałem go przyjąć.

– Został jeszcze jeden – powiedziałem. – Ja... nie mógłbym tego zrobić.

Danny skinęła głową.

– Zrobisz, co będzie trzeba, kiedy nie będziesz miał wyjścia.

Usłyszeliśmy, że tamten drugi schodzi pośpiesznie po zboczu – pewnie przyciągnął go huk wystrzału. Zobaczyliśmy go, dopiero kiedy podszedł do ciała swojego towarzysza. Dobył broni i zaczął niespokojnie celować we wszystkie strony. Danny wzięła go na muszkę.

Podniosła ramię i w tej samej chwili dostała nagłego ataku kaszlu. Wypaliła, ale kula poleciała gdzieś w mrok. Danny zmełała w ustach przekleństwo, próbując ukryć grymas bólu. Pozbierała się jak najszybciej i zaczęliśmy na oślep szukać nowej kryjówki, nie wiedząc, z której strony pojawi się wróg.

Nagle rzucił się na mnie jakiś ciężar. Ktoś wymierzył mi cios w szczękę i poczułem obezwładniający ból, a potem tak zakręciło mi się w głowie, że ledwie trzymałem się na nogach. Nie nadawałem się do walki. Musiałem dojść do siebie, a tymczasem patrzyłem, jak Danny bije się z napastnikiem.

Nie poruszała się już tak zwinnie jak wtedy, kiedy załatwiła kierowcę furgonetki – wypadek mocno dał jej się we znaki. Próbowwała walnąć przeciwnika w brzuch, ale on złapał ją za kark i cisnął na ziemię. Danny celnym kopniakiem zdołała mu wytrącić pistolet z ręki, ale zaraz potem wrzasnęła z bólu i zwinęła się w kłębek. Próbowiałem się ruszyć, ale ciągle czułem się paskudnie otumaniony po ciosie w szczękę i zataczałem się jak pijany.

Facet zdzielił Danny pięścią w twarz i podniósł pistolet. Krzyknąłem i rzuciłem się na drania, a właściwie spadłem na niego jak kamień, bo na nic więcej nie starczyło mi sił.

Wyrznąłem go głową prosto w żołądek. Potknąłem się i upadłem na twarz. Mężczyzna poleciał do tyłu i usłyszałem przeraźliwy krzyk, cichnący stopniowo, aż urwał się nagle wśród huku rwącego potoku.

Podczołgałem się kawałek i odkryłem, że leżę na skraju przepaści nad Garonną. Zza krawędzi dojrzałem w głębi jedynie spienione wody rzeki na dnie wąwozu przecinającego góry.

Pomyślałem, że ten bydlak zdecydowanie nie zasługiwał na tak malownicze miejsce pochówku.

Pomogłem Danny wstać – walka pozbawiła ją sił. Zauważyłem, że z trudem trzyma się na nogach i wyraźnie coś ją boli, chyba po prawej stronie.

Długo nalegałem, aż w końcu pozwoliła mi obejrzeć sobie brzuch. Nie było żadnej rany, ale zobaczyłem ślad po silnym uderzeniu.

– To tylko stłuczenie. Przejdzie mi, muszę po prostu wziąć aspirynę i trochę poleżeć – powiedziała.

– Powinien to zobaczyć lekarz.

– Tak, to świetny pomysł. Jedźmy na pogotowie i opowiedzmy, jak wzięliśmy udział w kradzieży, wypadku samochodowym i zabójstwie dwóch osób. Jeśli nie będą zadawać niedyskretnych pytań i nie odkrywają, że jesteś notowany, to może przepiszą mi aspirynę i każą leżeć w łóżku – odparła i odsunęła się ode mnie z irytacją. – Powtarzam: nic mi nie jest.

Wyraźnie chciała zmienić temat. Podeszła na tył furgonetki.

– Myślisz, że uda nam się ją przepchnąć? – zapytała. – Tylko tyle, żeby wpadła do rzeki.

– To raczej nie będzie wymagać wielkiego wysiłku. Ale po co chcesz to zrobić?

– Mogą nas szukać. Jeśli znajdą furgonetkę w rzece, może uznają, że zginęliśmy...

A przynajmniej czymś się zajmą: będą próbowali ją wyłowić, żeby odzyskać Ster i frontale.

– A my co zrobimy?

– Samochód tych dwóch musi być gdzieś na górze, na drodze. Odjedziemy z antepedium i Sterem. Mam tylko nadzieję, że kluczyki są w stacyjce, a przynajmniej że nie miał ich przy sobie ten typ, którego zepchnąłeś w przepaść. Dzięki, tak przy okazji.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Westchnąłem.

Wzięliśmy się do roboty. Wspólnymi siłami opróżniliśmy bagażnik i zepchnęliśmy furgonetkę. Pchałem głównie ja, bo Danny coraz bardziej opadała z sił. Na szczęście pojazd i tak ledwie się trzymał na skraju przepaści. Znalazłem grubego konara i użyliśmy go jako dźwigni, żeby strącić samochód ze zbocza. Po wszystkim Danny wstrząsnęła dreszcz. Oczy zaszyły jej łzami z wysiłku i zaczęła paskudnie kaszleć.

– Myślisz, że zabierzesz się sam z tą skrzynią? – zapytała.

– Pewnie. Ty weź Ster.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Szarpiąc za rączkę umieszczoną z jednej strony metalowego pudła i idąc tyłem, z najwyższym trudem udało mi się je ciągnąć. Przeklęta skrzynia ważyła tyle co nieboszczyk, a po drodze zahaczała o każdy kamień i gałąź. Co kilka kroków musiałem się zatrzymywać, żeby odpocząć. Tymczasem Danny przeszukała zwłoki napastnika, ale nie znalazła kluczyków.

Jakieś dwadzieścia minut później udało mi się wtaszczyć pudło na górę. Na drodze stał czarny samochód, na światłach i z otwartymi drzwiczkami. Ucieszyłem się, kiedy moich uszu dobiegł szum silnika – to oznaczało, że kluczyki tkwią w stacyjce.

Po wdrapaniu się na zbocze Danny wyglądała jak siedem nieszczęść, więc musiałem sam załadować skrzynię do samochodu. Uparłem się też, że będę prowadził. To, że nie wyraziła nawet cienia sprzeciwu, udowodniło mi dobitnie, że musiała czuć się znacznie gorzej, niż chciała przyznać.

Wsunęła się na siedzenie pasażera, opadła na oparcie i zamknęła oczy z grymasem bólu.

– Spróbuj odpocząć – powiedziałem. – Kiepsko wyglądasz.

– Dokąd jedziemy?

– Musimy wrócić po twoje auto.

– Nie, powrót do miasteczka byłby zbyt ryzykowny. Nic się nie stanie, jeśli je tam zostawimy. Przynajmniej na razie. To samochód Korpusu, ma fałszywe blachy.

– No dobrze. W takim razie uciekajmy jak najdalej stąd, jeśli nie zostawiłaś w hostelu niczego ważnego. – Pokręciła głową. – Dobra. Jeśli mi się uda, dojadę do Madrytu jednym ciągiem. Po drodze zadzwonię do Bańki i zdam mu relację.

– To kawał drogi – powiedziała. Każde słowo kosztowało ją wiele wysiłku. – Wytrzymasz tyle za kierownicą? Wyglądasz na wykończonego.

– Nie tak jak ty.

Uśmiechnęła się blado. Poruszała ustami, ale nie słyszałem słów. Oparła się o fotel i zamknęła oczy. Chwilę później już spała. Spojrzałem na jej twarz, pokrytą krwią i smugami ziemi, i ogarnął mnie niepokój.

– Wytrzymaj, Danny, błagam – mruknąłem zmartwiony.

Ruszyłem w drogę. Niebo nad naszymi głowami zaczynał rozjaśniać brzask.

ŚWIATŁO

Zaraz po moim telefonie Bańka wyjechał nam z Madrytu na spotkanie. Chyba jeszcze nigdy tak się nie ucieszyłem jak na jego widok w Saragossie. Ostatnie kilometry były dla mnie torturą, kilka razy nawet zasnąłem za kółkiem. Gdybym musiał prowadzić do samego Madrytu, pewnie zapisałbym się w statystykach wypadków drogowych.

W Saragossie przepakowaliśmy frontale i Ster do auta Bańki, a ukradziony samochód porzuciliśmy na jakimś nieużytku na peryferiach. Poszukiwacz siadł za kierownicą i ruszył do Madrytu, a ja i Danny zalegliśmy na tylnym siedzeniu, pogrążeni w głębokim letargu. Pamiętam tę podróż jak przez mgłę.

Gdy Bańka odwiózł mnie do domu, Danny ciągle spała. Kupiliśmy w Saragossie silne leki przeciwbólowe i nafaszerowaliśmy nimi dziewczynę, nie bacząc na możliwe skutki uboczne.

– Co zrobisz z tymi... zabytkami? – zapytałem Bańkę, zanim wysiadłem z samochodu.

Mój głos brzmiał niewyraźnie, jakbym mówił przez sen, i z początku musiałem mocno się skupić, żeby zrozumieć jego odpowiedź.

– Rozmawiałem z bliźniakami. Chcą je wziąć do swojego zakładu.

– Dobrze... dobrze – mruknąłem. – Spotkamy się tam za parę godzin i...

– Nic z tych rzeczy, młody. Masz iść prosto do łóżka i odpoczywać, dopóki nie zaczniesz znowu wyglądać jak człowiek. Zadzwoń do mnie, jak już dojdiesz do siebie, to się umówimy.

– Zgoda – skapitulowałem. Prawdę mówiąc, jego rada brzmiała bardzo kusząco. Głową wskazałem na Danny. – Kiedy już się obudzi, spróbuj ją przekonać, żeby poszła do lekarza. Obawiam się, że jest w dużo gorszym stanie niż ja.

– Spróbuję, ale nic nie mogę obiecać. Jest uparta jak osioł. Dzięki, że się nią zaopiekowałeś. Nadal uważam, że zachowaliście się jak ostatni idioci: pojechać tam, nie mówiąc nic pozostałym. Ale cieszę się, że przynajmniej byliście razem.

– Uważaliśmy na siebie. Twoja siostra nie potrzebuje opieki żadnego nowicjusza.

Bańka uśmiechnął się kącikiem ust, identycznie jak Danny. Pożegnaliśmy się i wszedłem do domu. Nie pamiętam nawet, jak dotarłem do łóżka, na które padłem bezwładnie niczym szmaciana lalka.

Kiedy się obudziłem, postanowiłem zastosować się do zalecenia Bańki i spędzić dzień w domu, snując się między łóżkiem a kanapą. Odpoczynek dobrze zrobił nie tylko mojemu ciału, lecz przede wszystkim psychice – umysł głośno domagał się wytchnienia. Udało mi się wyłączyć niemal na cały dzień. Dopiero późnym popołudniem zadzwonili do mnie Alfa i Omega. Kusiło mnie, żeby nie odbierać, bo nie miałem najmniejszej ochoty na wysłuchiwanie barokowych wywodów jubilerów.

– Faro! Mój drogi, mężny druhu – powitał mnie głos jednego z bliźniaków, ale nie

potrafiłem określić którego. – Z największą przykrością przerywamy twój zasłużony wypoczynek na cienistym brzegu rzeki. Bańka prosił, żebyśmy tego nie robili, ale...

– Nie szkodzi, nic mi nie jest – przerwałem. – Po co dzwonicz?

– Musimy z tobą porozmawiać o tym antepedium, które przywieźliście z Danny z Francji! Badamy je i nie możemy wyjść z podziwu... Gdybyśmy tylko mogli to wyjaśnić... Ale nie, nie przez telefon. Sprawa wymaga czasu.

– Też tak sędzę. Spotkajmy się jutro w waszym sklepie, jeśli wam to odpowiada.

– Ależ tak, doskonale! Spodziewaliśmy się takiej odpowiedzi, stąd nasz telefon. Na pewno pamiętasz, drogi przyjacielu, że na frontale umieszczono liczne inskrypcje.

– Tak, coś w klasycznym arabskim, pisałeś mi w esemesie. Przetłumaczyliście tekst?

– Niestety nie. *Non omnia possumus omnes*¹... Owszem, część jest po arabsku, ale większość słów zapisano w języku songhajskim. Z początku nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy i wzięliśmy to za jakiś niezrozumiały dialekt, ale Alfa zwrócił uwagę, że wygląda to podobnie do tekstów z *Mardudu*.

Nareszcie się dowiedziałem, z którym bratem rozmawiam.

– Na tym gracie są napisy w songhajskim?

– Dziesiątki! Dlatego potrzebujemy twojej pomocy. A raczej tego lakonicznego indywiduum, Cesara, bo to on zna ten język. Koniecznie musimy się z nim skontaktować. *Tempus fugit*. Pomyśleliśmy, że może ty będziesz mógł nam pomóc.

Owszem, mogłem, ale nie przekonywał mnie ten pomysł. Nadal nie ufałem Cesarowi.

– Gdzieś musi być ktoś jeszcze, kto zna ten przekłety język. Nie możecie poszukać?

– Oczywiście, ale to wymagałoby czasu, dużo czasu. *Poza tym in dubiis abstinere*: nierozsądnie byłoby rozgłaszać, że jesteśmy w posiadaniu tego antepedium. Mamy przecucie, że twój przyjaciel César potrafi zachować dyskrecję. Jak powiedział Cynceron: *de duobus malis minus est semper eligendum*, co znaczy...

– Tak, tak, wiem: lepiej wybrać mniejsze zło – przerwałem. Bliźniacy zwykli zapominać, że równie biegle posługuję się łaciną, pewnie dlatego że w przeciwieństwie do nich nie prześladowałem nią bliźnich. – Niech będzie, spróbuję się skontaktować z Cesarem. Chciałbym tylko podkreślić, że nie jest moim przyjacielem.

– Wspaniale! Zrób to natychmiast, a jeśli ci się uda, przyprowadź go jutro do nas.

Znalazłem kartkę z zapisanym przez Cesara numerem telefonu i zadzwoniłem. Za pierwszym razem zgłosiła się poczta głosowa, za drugim również mi się nie poszczęściło. Zastanawiałem się właśnie, czy próbować trzeci raz, kiedy César oddzwonił.

Nie wydawał się w najmniejszym stopniu zaskoczony moimi telefonami. Wręcz przeciwnie: sprawiał wrażenie, jakby się ich spodziewał, przez co poczułem się nieco nieswojo. Zapytałem, czy jutro z samego rana może przyjść do warsztatu Alfy i Omegi. Odparł, że jak najbardziej, i nawet nie zwracał sobie głowy pytaniem, po co go potrzebujemy.

– Do zobaczenia jutro, Poszukiwaczu – powiedział po prostu. Potem dodał: – Wiedziałem, że jeszcze będziemy mogli sobie wzajemnie pomóc.

Uznałem za słuszne dać mu do zrozumienia, że jesteśmy gotowi zaoferować mu jakieś wynagrodzenie w zamian za współpracę.

– Nie zależy mi na pieniądzach – odparł. – Jestem pewny, że będziecie mogli lepiej mi

się odwdziżyć. Zobaczymy.

Rozłączył się. Nie podobała mi się ta rozmowa. Odniosłem nieprzyjemne wrażenie, że zawarłem pakt z kimś, z kim zdecydowanie nie powinienem zawiązywać sojuszu.

Enigma, Bańka i Danny czekali w zakładzie jubilerskim na mnie i Cesara. Bliźniacy zamknęli sklep dla klientów i przygotowali lokal na potrzeby narady Poszukiwaczy.

Zniknęły wszystkie graty i bibeloty, które zwykle zawały warsztat. Na dużym biurku bracia umieścili zasłonę ołtarza, a na ustawionym obok małym stoliku – dzbanki swojej słynnej kawy i koszyk z ciastkami, co uznałem za gest sympatyczny, choć nieco nie na miejscu. Widocznie Alfa i Omega potraktowali nasze zebranie jak spotkanie towarzyskie i dlatego uznali za słuszne podać śniadanie.

Od razu zauważyłem, że Danny wygląda dużo lepiej, niż kiedy widziałem ją ostatnim razem. Kiedy jednak zapytałem, czy poszła do lekarza, zaprzeczyła.

– Potrzebowałam tylko odpoczynku i czegoś przeciwbólowego – zapewniała, nalewając sobie filiżankę kawy.

Zauważyłem, że odstawiając dzbanek, pochylała się nad stołem z wyraźnym wysiłkiem.

Później, podczas gdy Danny zdawała Enigmie i bliźniakom szczegółową relację z naszej podróży do Saint-Béat, wykorzystałem sytuację i dyskretnie poprosiłem Bańkę na stronę.

– Przecież miałaś ją namówić na wizytę u lekarza – powiedziałem z wyrzutem.

– Myślisz, że nie próbowałem? Jedyne, co jeszcze mógłbym zrobić, to walnąć ją w głowę, obezwładnić i siłą zaciągnąć do szpitala. Nie dało się z nią w ogóle rozmawiać na ten temat. – Upił łyk kawy z filiżanki. – Odwiedziłem ją wczoraj wieczorem i wyglądała na zdrową, więc przestałem nalegać.

Miałem coś odpowiedzieć, ale Omega nas zawołał i kazał wszystkim zebrać się wokół antepedium.

– Drodzy Poszukiwacze, jak powiedział poeta, czuję, że coś wisi w powietrzu... Wczoraj przez cały dzień uważnie badaliśmy to wspaniałe frontale i możemy oznajmić, że to nie jest zwykła zasłona ołtarza.

– W jakim sensie?

– Pod wieloma względami, drogi Faro. Pozwólcie, że przedstawimy wam nieco szczegółów technicznych: obiekt wykonano z desek z drewna akacjowego pokrytych werniksem sandarakowym, bez domieszki żadnych współczesnych substancji chemicznych. Jak widzicie, na całej powierzchni umieszczono liczne nity i płytki z metalu, a konkretnie z brązu z dodatkiem dużych ilości arsenu: stąd ta biaława patyna. Wskazuje to na bardzo dawną technikę wykonania, zresztą świadczą o tym też drewno i sandarak... Gwoli ścisłości, szacujemy czas powstania tego dzieła na ósmy–dziesiąty wiek.

– Dość szerokie widełki – skwitowałem.

– Proszę bardzo, możesz spróbować ustalić dokładniejszą datę, synu, nie mamy nic przeciwko – odparł wyraźnie urażony Omega.

– A te kamienie? – zapytała Danny, żeby wybawić mnie z opresji.

Alfa przejął pałeczkę.

– Kryształy górskie. Malutkie kapsułki z kryształu.

– Kapsułki?

– Tak, są puste. Naliczyliśmy w sumie dwadzieścia siedem. Podejdźcie bliżej, to niezwykle ciekawe. – Nasze głowy utworzyły krąg nad antepedium. Alfa wyjął zza pazuchy kieszonkową latarkę i oświetlił nią kamienie. – Jak widzicie, przy każdej z kwarcowych kapsulek wyryto jakieś słowo. Spójrzcie też na te proste linie i tę krętą, zygzakowatą, która przecina tablicę. Przyjrzyjcie się dokładnie temu kształtowi, nie przypomina wam czegoś? Na przykład... rzeki?

– To rzeka? – zapytałem.

– W rzeczy samej! – zawołał Omega. – A nazwy umieszczone przy kryształkach to Kolodugu, Dżenne, Bamako, Walata, Gao... To wszystko miasta w Mali.

Zza pleców dobiegł mnie głos Cesara, który odsunął się nieco od grupy.

– To nie jest zwykła zasłona ołtarza, tylko mapa.

– Zgadza się – przytaknął Omega. – Mapa Mali w czasach imperium. Ta rzeka to Niger, a kryształy odpowiadają poszczególnym miastom.

Mapa. Wszystko się zgadzało – w każdej historii o poszukiwaniu skarbu powinna znaleźć się mapa i chyba właśnie na nią trafiliśmy.

– Ta mapa wskazuje drogę do jakiegoś konkretnego miejsca? – zapytałem.

Bliźniacy identycznie pokręcili głowami.

– Niestety, obawiamy się, że to zwykła mapa – odparł Alfa.

– Może jednak w arabskich inskrypcjach zawarto jakieś informacje – upierałem się.

– Z tego, co udało nam się przetłumaczyć, nic na to nie wskazuje, chociaż przełożyliśmy tylko pojedyncze słowa: „Allah”, „Złota Ryba”, „Karbala”. Większość zapisano w języku songhajskim.

– Na szczęście jest z nami ktoś, kto potrafi wskrzesić martwą doktrynę i zapomniany język, jak powiedziała by Quevedo.

Omega uroczystym gestem wskazał na Cesara. Ten podszedł do frontale, ignorując nasze zaciekawione, wyczekujące spojrzenia. Przyglądał mu się przez chwilę tak obojętnie, jakby patrzył na kamyk na drodze. Potem palcem wskazującym dotknął brzegu zasłony ołtarza.

– Tu jest początek tekstu – powiedział. Potem zaczął tłumaczyć kolejne napisy: – Inwokacja do Allacha Miłosiernego i Litościwego... Tu coś o podążaniu drogą... Nie, nie drogą, szlakiem... Łańcuchem? „Podążać Łańcuchem Proroka aż do Oazy”... Nieprzemijalnej Oazy. „Przez Miasto Umarłych, Strome Miasto, ziemie Zielonego Proroka... To tam Askiowie ukrywają”... Wiedzę, mądrość... Tak, coś takiego. „Tam Askiowie ukrywają naszą Mądrość, tam Mansowie ukrywają naszą Mądrość, tam Tunkowie ukrywają naszą Mądrość. Klucz do naszej”... *Fankama*, to nie w songhajskim, zdaje się, że w mande. Oznacza chyba „potęgę” czy „siłę”. „Klucz do naszej potęgi”... Kilkakrotnie powtarza się zwrot „Złoty Łańcuch Mądrości” w formie inwokacji. O, tu jest coś ważnego: „Złota Ryba wyznacza drogę, relikwia z Karbali władców Mansa. Ciśnij ją do jeziora, podróżny, i niech Miłosierny czuwa nad twoimi krokami, abys stał się godny Zielonego Proroka. Niech będzie pochwalony Allah, Pan Światów, Władca Wszystkich Stworzeń. Jego światło wskazuje początek drogi”. – César odsunął się od frontale i spojrzał na nas. – To wszystko.

Enigma przez cały czas zapisywała jego słowa w zeszycie. Kiedy César skończył, odczytała je na głos, obgryzając przy tym końcówkę długopisu.

– Ciekawe – mruknęła. – Ale nie rozumiem części słów: co to znaczy Askiowie, Mansowie i Tunkowie? Podoba mi się ich brzmienie, to nazwy własne?

– Można tak powiedzieć – odparł César. – Askiowie byli władcami imperium Songhaju. Mansowie i Tunkowie to również dynastie królewskie, tyle że ci pierwsi rządili imperium Mali, a drudzy – imperium Ghany, a więc i jedni, i drudzy sprawowali władzę przed epoką Songhaju. Królowie z dynastii Tunków zasiadali na tronie przez ponad tysiąc lat.

– A jaki sekret ukrywają wszystkie te dynastie? – zapytałem.

– Nie wiem, ale musi chodzić o tajemnicę sprzed wielu wieków. Może o ten skarb, o którym pisał Dżaudar Pasza.

Znowu odniosłem wrażenie, że César coś przed nami ukrywa i że zrozumiał z tekstu znacznie więcej, niż chciał przyznać.

– A co to jest Złoty Łańcuch Mądrości? – dopytywałem.

– Nie mam pojęcia – odparł, ale unikał mojego wzroku.

– A Zielony Prorok? Kilka razy się o nim wspomina.

– Też nie wiem. Żaden ze mnie ekspert. Nie znam się na tych sprawach.

Jak na laika cechował się wyjątkową znajomością historii i egzotycznych języków obcych. Niezbyt to pasowało do wizerunku pospolitego złodziejaska, jaki próbował podtrzymywać. Już zamierzałem powiedzieć coś na ten temat, ale wtrącił się Alfa:

– Akurat jeśli o to chodzi, może ja mógłbym nieco pomóc. W pewnej pradawnej legendzie sufickiej mowa o tajemniczej postaci, wcześniejszej jeszcze od Mahometa, o imieniu Khidr. Uważa się go za mistyka, świętego czy nawet anioła. Istnieje wiele podań i wierzeń związanych z tą osobą, ale we wszystkich określa się ją jako „Zielonego Proroka”.

– Czemu Zielonego? – zapytała Danny.

– Nie wiadomo. Zgodnie z jedną z legend miał się kiedyś położyć dla odpoczynku na skrawku jałowej ziemi pustynnej, a wtedy zaczęły rosnać na niej drzewa i kwitnąć kwiaty, aż miejsce zmieniło się we wspaniały ogród. Inne wierzenia wskazują raczej na fakt, że w islamie kolor zielony symbolizuje wiedzę i poznanie, mądrość Boga. Khidr ma być strażnikiem tej mądrości i trwać, nieśmiertelny, aby szerzyć ją na ziemi wśród tych, którzy na to zasłużą. Wcześni chrześcijanie w Armenii utożsamiali Khidra z prorokiem Henochem, w Palestynie zaś uważano go za świętego Jerzego. Istnieją jeszcze starsze legendy, zgodnie z którymi Zielony Prorok obdarzył Mojżesza mocą niezbędną do rozpętania plag egipskich, przekazał Noemu wymiary arki, a nawet zdradził Aleksandrowi Wielkiemu sekret Wiecznej Młodości... – Alfa urwał, odkaszlnął i spojrzał mi w oczy. – Mówi się też, że to Khidr pokazał Salomonowi, jak wykuć Stół, na którym umieszczone zostanie prawdziwe imię Boga.

Nie wiedziałem, jak na to zareagować. Bańka sapnął i skrzywił się niechętnie.

– Nie, błagam... tylko nie to – wymamrotał.

– I tak koło się zamyka – mruknęła Enigma. – No dobra, tym ostatnim chyba nie musimy się przejmować, tę lekcję już odrobiliśmy. Myślę jednak – i poprawcie mnie, jeśli się mylę – że skarb, którego Dżaudar Pasza szukał w Mali, miał jakiś związek z tym całym Zielonym Prorokiem. A przynajmniej Pasza w to wierzył. I gotowa jestem postawić cały swój urok osobisty, że ta mapa wskazuje, jak dotrzeć do skarbu.

Przyznałem jej rację. Uważałem też, że nie powinniśmy zapominać o jeszcze jednym: o *Mardudzie* z Sewilli. Z tego, co wiedzieliśmy, to właśnie w tym kodeksie Dżaudar Pasza trafił na pierwszą wskazówkę.

– Niewątpliwie powinniśmy bliżej przyjrzeć się *Mardudowi* – oświadczył Omega, kiedy przedstawiłem swoją opinię. – Niestety, obecnie nie mamy do niego dostępu.

– Jak to? – zdziwiłem się. – Przecież został u was.

– Ach, nie, już go tu nie ma. Alzaga kazał nam go oddać. Uznał, że zabytek będzie bezpieczniejszy w magazynie Muzeum Archeologicznego.

To nie była dobra wiadomość. Oznaczała, że jeśli chcemy jeszcze raz przejrzeć *Mardud*, musimy poprosić Alzagę o zgodę, a on na pewno nam jej nie udzieli, dopóki działalność Korpusu pozostaje zawieszona. Na razie za jedyną wskazówkę służyła nam więc mapa z antepedium, tyle że nie mieliśmy pojęcia, jak ją odczytać.

– A co z Baterią z Karbali? – zapytała Enigma. – W tekście wyraźnie napisano: „Złota Ryba wyznacza drogę, relikwia z Karbali władców Mansa”. To też jakaś podpowiedź.

Bliźniacy ostrożnie wyjęli Baterię i ułożyli ją przy frontalu. Na jej widok wróciły nieprzyjemne wspomnienia, poza tym jednak nic nie przychodziło mi do głowy. Wciąż była tym samym metalowym walcem w kształcie ryby, niewiadomego pochodzenia, a przy odpowiednim potraktowaniu mogła wytwarzać impulsy elektryczne.

– „Ciśnij ją do jeziora, podróżny, i niech Miłosierny czuwa nad twoimi krokami” – wyrecytowałem tekst umieszczony na mapie.

– Może trzeba ją wrzucić do wody – zasugerowała Enigma.

– Równie dobrze moglibyśmy wetknąć palec do kontaktu. To niebezpieczna zabawka – rzuciłem, a potem zwróciłem się do Alfy: – Jest pusta?

– Oczywiście. Ale w razie potrzeby mamy tu trochę sherry.

Aby uruchomić Baterię z Karbali, należało wlać do środka płyn, który mógłby pełnić funkcję elektrolitu – druciki umieszczone na jednym końcu przewodziły prąd. Kiedy za pierwszym razem bliźniacy chcieli zademonstrować mi działanie baterii, użyli w tym celu właśnie sherry. Jakiś czas później udało mi się uzyskać ten sam rezultat za pomocą soku z winogron – skończyło się to tragicznie dla nieboszczyka Tesli. Ale to inna historia.

Z Baterią w dłoni podszedłem do antepedium i jeszcze raz dokładnie przyjrzałem się mapie. Skupiłem się zwłaszcza na dziurze umieszczonej w rogu – według słów kobiety z muzeum w Saint-Béat miała ona zostać wybita przez kulę z muszkietu.

Po chwili zauważyłem, że wokół otworu widać resztki niebieskiego barwnika.

Okrągły, niebieski otwór...

– Alfo, mam pytanie o tę dziurę – powiedziałem i wskazałem palcem. – To może być ślad po pocisku? Kuli z muszkietu?

– Oczywiście, że nie – Bańka uprzedził jubilera. – Co to za absurdalne pytanie? Masz pojęcie, co by się stało, gdyby ktoś strzelił w taki kawałek drewna? Rozwaliłby go w drzazgi. Ta dziura jest zbyt równa, idealnie okrągła.

Zmierzyłem na oko średnicę otworu i porównałem z rozmiarem Baterii. Pasowały. A dziura była kiedyś niebieska. Błękitna jak woda w jeziorze.

– A niech tam... – mruknąłem, uznawszy, że nic nie stracę, jeśli spróbuję. – Wiecie co, chyba jednak przyda mi się trochę sherry.

Za pomocą niewielkiego lejka napełniłem Baterię alkoholem, a potem zakleiłem otwór odrobiną plasteliny, którą jubilerzy mieli w warsztacie. Wolałem nie zastanawiać się zbyt długo nad tym, czy mój pomysł ma ręce i nogi. Po prostu odwróciłem Baterię i wetknąłem ją w otwór.

Próbowałem wyobrazić sobie rybę nurkującą w jeziorze.

Zanim zdążyłem sprawdzić, czy to, co zrobiłem, przyniosło jakiś efekt, usłyszałem za plecami okrzyki zaskoczenia. Wyjąłem Baterię z antepedium i się odwróciłem.

– Nie, nie, nie! – zawołała Enigma, gestykulując żywo. – Wsadź to z powrotem!

– Co?

– Zrób, co mówię, i sam popatrz!

Enigma wskazała na jedną z kapsulek. Ponownie wcisnąłem Baterię w otwór i natychmiast zobaczyłem, że kryształek rozżarzył się słabym, bladym światłem. Dostałem gęsiej skórki. Poruszyłem Baterią i blask zamigotał, jak żarówka, która lada moment się przepali.

Bo rzeczywiście była to po prostu żarówka. Miejsce na mapie wskazywał nie symbol X, a znak świetlny.

Enigma uśmiechnęła się do mnie promiennie. Powiedziała coś o tym, jaką to mam smykałkę do podobnych odkryć.

– Cóż, to wszystko zasługa jego pseudonimu – stwierdził Bańka z szelmowskim uśmiechem. – Tak jak latarnia morska swoim blaskiem wskazuje właściwą drogę, tak Faro rozświetlił nam trasę do celu.

– Jakiemu miastu odpowiada zapalona kapsułka? – zapytałem.

Omega odczytał na głos:

– Kolodugu. Dlaczego pytasz?

– Kolodugu – powtórzyłem i wyryłem sobie tę nazwę w pamięci, żeby nigdy jej nie zapomnieć. – „Niech będzie pochwalony Allah. Jego światło wskazuje początek drogi”. No to macie ten początek. To stamtąd należy rozpocząć poszukiwania.

Spojrzałem na nikle światełko i poczułem, że mnie wzywa.

Kiedy postanowiłem wyruszyć do Mali śladami Dżaudara Paszy? Nie potrafię sobie przypomnieć. Możliwe jednak, że tak naprawdę nie było jednego konkretnego momentu. Nie umiem dostrzec wyraźnej granicy między czasem przed podjęciem decyzji i po nim. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Nie zrobiłem listy za i przeciw. Zobaczyłem światło i za nim podążyłem. Znalazłem drogę, więc nią ruszyłem – zupełnie bezwiednie, tak jak odwracamy głowę, kiedy usłyszymy hałas za plecami, albo podnosimy wzrok na dźwięk swojego imienia. To impuls, niekontrolowany odruch.

Kiedy nastąpił przełom? Gdy rozszyfrowałem mapę Gallieniego? Gdy César przetłumaczył tekst Dżaudara Paszy? A może jeszcze wcześniej, kiedy po raz pierwszy usłyszałem o kodeksie zwanym *Mardudem* z Sewilli?

Nie, myślę, że tak naprawdę nie istniał jeden konkretny moment przełomowy, w którym mogłem jeszcze się cofnąć, zawrócić. Nigdy nie miałem takiej możliwości, bo decyzja nie należała do mnie. Poszukiwacz nie wybiera sobie misji. To one go wciągają jak wir, unoszą jak fala.

Kiedy próbowałem wytłumaczyć to przyjaciołom, żeby jakoś uzasadnić absurdalny plan wyprawy po nienazwany skarb do kraju, o którym nic nie wiedziałem, spotkałem się, o dziwo, z dużo większym zrozumieniem, niż mogłem się spodziewać. Odniosłem wrażenie, że oni dużo wcześniej niż ja wiedzieli, że prędzej czy później wyląduję w Mali. Nikt nie próbował wyperswadować mi tego pomysłu, nikt nie powiedział, że zwariowałem, ani nie prosił, żebym zastanowił się chwilę nad tym, co właściwie zamierzam. Po prostu mnie wysłuchali.

Zapłatałem się w zawile i niezbyt przekonujące wyjaśnienia, powołując się na misję Korpusu. Podkreślałem, że naszym obowiązkiem jest odzyskiwanie utraconego dziedzictwa narodowego, a to dotyczy również skarbu poszukiwanego przed wiekami w Afryce przez zapomnianego władcę z domieszką hiszpańskiej krwi. Dżaudar Pasza to też część naszego dziedzictwa i zasługuje na to, by Narodowy Korpus Poszukiwaczy spróbował odnaleźć to, czego on nie zdołał przywieźć do kraju.

Danny, Bańka i Enigma byli na tyle mili, że wzięli mój dość słaby pretekst na serio albo przynajmniej dobrze udawali. Bańka tylko raz spojrział na mnie i zapytał, co konkretnie zamierzam znaleźć w Mali.

– Nie mamy pojęcia, o co chodzi – oświadczył. – Mowa o jakimś skarbie, o sekrecie strzeżonym przez pradawnych władców. O jakimś Złotym Łańcuchu czy Łańcuchu Proroka... Żadnych konkretów.

To Enigma odpowiedziała na ten zarzut i zrobiła to w jakże typowy dla siebie sposób – sama zadała pytanie:

– To naprawdę takie ważne?

Odpowiedź wydała się nam jasna jak słońce. Nie byliśmy łowcami skarbów, byliśmy Poszukiwaczami. Wszyscy świetnie rozumieliśmy różnicę między tymi dwiema kategoriami.

Jak wyjaśnić, że to, co innym wydaje się kompletnym szaleństwem, dla nas jest sposobem na życie? Nie da się rozsądnie uzasadnić decyzji o wyprawie do kraju, w którego ziemię nie wsiąkła jeszcze krew przelana podczas niedawnej wojny domowej, w poszukiwaniu czegoś, co nie ma nazwy ani konkretnego kształtu. Jednak ani ja, ani moi przyjaciele nie potrzebowaliśmy takiego uzasadnienia.

Ojciec opowiedział mi kiedyś pewną historię – tym razem nie chodziło o magiczne stoły ani legendarnych władców. To była historia prawdziwa. Historia George'a Leigh Mallory'ego, który trzykrotnie próbował wspiąć się na Mount Everest. Przy trzeciej próbie stracił życie i do dziś nie wiadomo, czy udało mu się osiągnąć cel.

Kiedy po drugiej porażce Mallory ogłosił, że zamierza spróbować jeszcze raz, ktoś go zapytał, czemu tak mu zależy na dotarciu na ten szczyt. Odpowiedział po prostu: „Bo jest”.

Osobiście nie mam nic do dodania.

GAETANO

Kiedy spojrzymy na mapę, zobaczymy, że Republika Mali rozciąga się na sporym terytorium w samym sercu Afryki Zachodniej. Dzieli się Saharą z sąsiednimi Mauretanią, Algierią i Nigrem, a pustynnych piasków wystarcza jeszcze dla pozostałych krajów Sahelu, w tym Czadu i Sudanu, aż do Morza Czerwonego.

Mali można zasadniczo podzielić na dwie części. Na północy leży ogromny, pustynny region Azawadu, kształtem przypominający trójkąt prostokątny, a z jego wierzchołka wyrasta część południowa, mniejsza, ale dużo żyzniejsza. To tutaj w przeszłości powstawały wielkie imperia, od pierwszego imperium Ghany w ósmym wieku po ostatnie, efemeryczne imperium Massina, które upadło w roku 1865.

Rozległe złociste przestrzenie północy i niewielkie zielone południe – tak można podsumować Mali. Złoto i szmaragd.

Położony na północy Azawad uważa się za odwieczne terytorium Tuaregów. Zgodnie z ich podaniami już w czasach imperium Ghany przemierzali oni te ziemie na wielbłądach. Słowo Azawad oznacza „ziemię wędrownych pasterzy” – to tędy przejeżdżały karawany niebieskich ludzi pustyni (jak nazywa się czasem Tuaregów), jak krople wody toczące się po morzu piasku.

W epoce wielkich imperiów Tuaregowie bez większych problemów koegzystowali z plemionami południowymi. Dopiero w dwudziestym wieku, gdy Mali wyzwoliło się spod kolonialnej władzy Francji, zaczęły się pierwsze tarcia. Przez lata przybierały na sile i w końcu w 2012 roku Tuaregowie powstali zbrojnie przeciwko rządowi Mali i zażądali niepodległości Azawadu.

Różne frakcje Tuaregów, które dotychczas dążyły do własnych celów – każda z osobna i w sposób raczej nieskoordynowany – zjednoczyły siły pod sztandarem organizacji zbrojnej zwanej Narodowym Ruchem Wyzwolenia Azawadu, znanej też jako MNLA (skrót od francuskiej nazwy).

Tuaregowie z MNLA gotowi byli zawrzeć pakt z samym diabłem, byle osiągnąć swój cel, i właśnie coś takiego zrobili: zdecydowali się na współpracę z szemranymi grupami powiązаныmi z terroryzmem islamskiego Maghrebu. Dzięki tak doborowemu towarzystwu udało im się pogrążyć kraj w chaosie.

Skorumpowany (ale jednak wybrany w demokratycznych wyborach) rząd generała Amadou Toumaniego Tourégo z dnia na dzień przestał istnieć, a jego miejsce zajęła zbieranina organizacji terrorystycznych, niepodległościowych i nacjonalistycznych. Natychmiast rozpętała się walka o władzę, a w przepychankach trudno było odróżnić wrogów od sprzymierzeńców. Najbardziej aktywną grupę dżihadystów stanowili fanatycy z Ansar ad-Din¹, najważniejsi sojusznicy Tuaregów. Poza nimi istniało jednak jeszcze zatrzęsienie grup i grupki, a łączyło je tylko jedno: głęboka nienawiść do wszystkiego, co

zachodnie. Byli uzbrojeni po zęby dzięki dostawom broni z Libii po obaleniu Muammara al-Kaddafiego i sownie opłacani przez bogate emiraty, które reklamowały się na koszulkach najważniejszych drużyn futbolowych.

Miasta z wielowiekową historią – takie jak Timbuktu, Gao, Dżenne i wiele innych – kolejno przechodziły z rąk do rąk, od ekstremistów islamskich do tuareckich nacjonalistów. Dokonano zniszczeń większych nawet niż w czasach krucjat.

W tej sytuacji nieliczne siły rządowe zwróciły się o pomoc do Francji – dawnych kolonizatorów. Rozwiązanie, choć nieco desperackie, zdawało się w dużym stopniu logiczne: armia francuska cechowała się sporym doświadczeniem i znajomością regionu, mogła więc szybko zorganizować operację reagowania kryzysowego. Organizacje międzynarodowe wyraziły zgodę na interwencję Francji, gdyż obawiały się, że przejęcie kontroli nad państwem przez Tuaregów i islamskich radykałów otworzy drogę na Zachód innym grupom terrorystycznym.

Interwencję ochrzczono mianem operacji Serwal. W 2014 roku, dwa lata po powstaniu Tuaregów, wojska francuskie wkroczyły do Mali pod sztandarami ONZ i zdołały odbić większość miast z rąk terrorystów. Sprawnej maszynie wojskowej udało się ograniczyć konflikt do regionu Azawadu i zaprowadzić względny spokój na południu Mali. W maju Tuaregowie zgodzili się podpisać zawieszenie broni, ale że nie reprezentowali nawet ułamka sił toczących walki w kraju, trudno było mówić o zakończeniu wojny. Azawad pozostawał w rękach najrozmaitszych grup zbrojnych, a pokój na południu zależał bezpośrednio od obecności armii francuskiej i błękitnych hełmów ONZ. Wkrótce Unia Europejska wysłała własny kontyngent, aby pomóc zażegnać konflikt.

Władze niemal wszystkich państw odradzały swoim obywatelom wyjazdy do Mali, jeśli nie było to absolutnie konieczne, a nawet w takich wypadkach zalecały głęboki namysł i rozważenie innych możliwości. Podróż do tego kraju wiązała się z ryzykiem zakrawającym na szaleństwo. Kto przy zdrowych zmysłach zdecydowałby się z własnej woli pchać w takie miejsce?

Oczywiście Narodowy Korpus Poszukiwaczy. Przyznaję, że w pełni uzasadnione są wątpliwości co do zdrowego rozsądku jego członków, ze mną na czele.

W takich okolicznościach fakt, że Interpol nadal ścigał mnie listem gończym, zdawał się najmniejszym z naszych problemów, ale nadal utrudniał nam życie i musieliśmy znaleźć jakieś rozwiązanie.

Z tą myślą postanowiliśmy z Danny umówić się ze Skrzydłowym, żeby dowiedzieć się, czy może on jakoś zmienić mój status poszukiwanego kryminalisty. Danny skontaktowała się z policjantem i namówiła go na spotkanie w tej samej kawiarni w centrum handlowym na przedmieściach, co wcześniej.

Eks-Poszukiwacz wysłuchał nas tak samo jak zawsze: o nic nie pytał i nie chciał wiedzieć zbyt wiele o szczegółach naszej akcji. Niestety, moje obawy się potwierdziły: Skrzydłowy oznajmił, że rozwiązanie problemu nie należy do łatwych.

– Czerwony alert ogłoszono na wniosek francuskiego OCBC – wyjaśnił. – Możesz poruszać się po terytorium Hiszpanii, z zachowaniem ostrożności, dopóki nasza policja nie wyda nakazu aresztowania. Ja nie mam najmniejszego zamiaru go wydawać, ale nic więcej nie mogę zrobić. Kiedy tylko wyściubisz nos za granicę, koniec. Namierzą cię

i poinformują Interpol, a oni OCBC. Mogą nawet zażądać ekstradycji.

Upiłem łyk kawy – nagle zaczęła smakować wyjątkowo gorzko.

– Tak... Właśnie tego się obawiałem.

– W takim razie nie zrobi ci pewnie większej różnicy, jeśli przekażę ci jeszcze kilka złych wieści.

– Jakich?

– Chodzi o tę sprawę we Francji, całe to zamieszanie w wiosce w Pirenejach.

– Mieliśmy powód – wtrąciła się Danny. – Próbowaliśmy...

Skrzydłowy lekceważąco machnął ręką.

– Nieważne, to sprawy Korpusu – przerwał jej. – Nic mi do tego. Chcę wam tylko powiedzieć, że doszły mnie słuchy, jakoby to OCBC postanowiło zająć się kradzieżą eksponatów z muzeum, które odwiedziliście. Zgadnijcie, kogo konkretnie przydzielono do sprawy.

– Nie wierzę – powiedziałem. – Lacombe?

– Na to wygląda.

– Na miłość boską, to jakiś koszmar. – Westchnąłem.

– Co udało jej się dotychczas ustalić? – spytała Danny.

– Nie wiem, ale postaram się zorientować. Pamiętajcie, że jędza jest sprytna. Jeśli ktokolwiek widział ciebie albo Fara w okolicy muzeum, to idę o zakład, że Lacombe się o tym dowie, a wtedy rzuci się na niego jak wygłodniały lew na antylopę.

– Niech to diabli.

– Przykro mi, chłopcze – rzucił Skrzydłowy. – Chętnie bym ci pomógł, ale mogę jedynie udzielić rady: zadekuj się gdzieś na jakiś czas. Prędzej czy później dadzą ci spokój. Nie pierwszy raz Interpol wziął się na Poszukiwacza. Za moich czasów przydarzyło się to paru kolegom, ale temat zawsze w końcu umierał śmiercią naturalną.

– Już go zadekowali – powiedziała Danny. – A raczej wszystkich Poszukiwaczy. Alzaga nas zawiesił.

Skrzydłowy uniósł brew.

– Wszystkich? Jak to?

Danny wytłumaczyła, jak stoją sprawy. Inspektor słuchał z poważnym wyrazem twarzy.

– To chyba nieco przesadzona reakcja, nie słyszałem jeszcze nigdy o takiej sytuacji w całej historii Korpusu. Dlaczego zrobił coś takiego?

– Podejrzewam, że ze strachu – odpowiedziałem.

Skrzydłowy wolno pokręcił głową.

– Strach nie jest dobrym doradcą szefa Korpusu – mruknął. Potem napił się kawy ze zmarszczonym czołem.

Odniosłem wrażenie, że zaczął coś podejrzewać.

– Faro nie może czekać, aż Interpol o nim zapomni. – Danny wróciła do tematu. – To może trwać miesiącami.

– W takim wypadku będziecie musieli zdać się na wyobraźnię. Jako Poszukiwacze na pewno dobrze wiecie, że istnieją dwa sposoby przekroczenia granicy: legalny i nielegalny. Za moich czasów w Piwnicy zawsze mieliśmy w zanadrzu plany awaryjne na takie właśnie sytuacje. Korzystaliśmy z nich tylko w ostateczności, ale były bardzo skuteczne.

– Co konkretnie masz na myśli? – zapytałem.

– Nic. Teraz jestem policjantem, więc nie mogę powiedzieć wam już nic więcej.

Z milczenia Danny wywnioskowałem, że lepiej niż ja zrozumiała Skrzydłowego. Skoro żadne z nich najwyraźniej nie zamierzało jednak podzielić się ze mną swoimi pomysłami, postanowiłem poruszyć inny dręczący mnie temat.

– No dobrze – odezwałem się. – W takim razie mam do ciebie prośbę jako do policjanta.

– Słucham. Jeśli mogę ci jakoś pomóc... O co chodzi?

– O Voynicha. Słyszałeś o tej firmie? Sekrety Przyszłości, programy komputerowe, wiesz, te sprawy.

– Znam ich, tak jak wszyscy, którzy kiedykolwiek musieli użerać się z tym ich cholernym systemem operacyjnym. I co z nimi?

– Potrzebuję informacji na temat ich działalności.

– Zdaje się, że mają całkiem niezłą stronę internetową. No i sklep na samym środku Gran Vii, z sympatycznymi sprzedawcami w białych koszulkach i hipsterskich okularach.

– Nie o takie informacje mi chodzi. Mam na myśli nielegalną działalność. Podejrzewam, że to Voynich stał za ucieczką Joosa Gelderohdego z więzienia w zeszłym roku, że on pracował dla nich. Wśród różnych zadań zleconych mu przez Voynicha było też odnalezienie Baterii z Karbali.

Skrzydłowy w zamyśleniu otarł resztki kawy z wąsów.

– Masz jakieś dowody?

– Nie, to tylko teoria, ale ma solidne podstawy. Jeśli chcesz, mogę ci wytłumaczyć, jak...

– Nie, nie. Już mówiłem, nie chcę nic wiedzieć o Korpusie. Jeśli jesteś przekonany, wierzę ci, ale nie interesuje mnie, jak do tego doszedłeś. – Odsunął na bok pustą filiżankę i zaczął bawić się saszetką z cukrem. – Mogę zbadać ich powiązania z handlem kradzionymi dziełami sztuki, jeśli takowe istnieją, ale musisz powiedzieć mi coś bardziej konkretnego, nie chcę strzelać na ślepo.

– Zgoda. Chcę dowiedzieć się wszystkiego, co znajdziesz na temat tak zwanego Projektu Lilith. Nie wiem, o co w tym chodzi, poza tym, że otaczają go wielką tajemnicą i że sprawia wrażenie ciemnych interesów.

Skrzydłowy zanotował coś na serwetce i schował ją do kieszeni. Zerknął na zegarek i zapytał, czy chcemy jeszcze o czymś porozmawiać. Odpowiedzieliśmy przecząco.

– W takim razie wracam do biura, mam masę zaległej roboty – oznajmił. – Życzę wam powodzenia z całym tym bajzlem. Co do tego Voynicha, to rzucę okiem na sprawę i dam ci znać, jeśli czegoś się dowiem.

– Dzięki.

– Na razie jeszcze nic nie zrobiłem, więc nie dziękuj. Aha, i pamiętaj, co ci powiedziałem ostatnio: chciałbym kiedyś pogadać z tobą w cztery oczy, Faro, jeśli będziesz miał wolną chwilę.

– Pamiętam i obiecuję, że wpadnę się z tobą spotkać, gdy tylko będę mógł.

– Nie przejmuj się tym tak bardzo, chłopcze. Po prostu kiedyś... w wolnej chwili.

Skrzydłowy pożegnał się z nami, machając niedbale ręką, i wyszedł z kawiarni.

Zostaliśmy przy stoliku, żeby dojeść i dopić to, co zamówiliśmy.

Danny wyprostowała się na krześle i przez jej twarz przebiegł lekki grymas bólu. Wygrzebała z torebki jakąś tabletkę i połknęła.

– Co to? – zapytałem.

– Nic. Zwykły ibuprofen, jeszcze trochę męczy mnie to po Francji. – Chciałem coś powiedzieć, ale nie dopuściła mnie do głosu. – O czym Skrzydłowy chce z tobą porozmawiać?

– Nie wiem, ale cokolwiek to jest, będzie musiało poczekać. Mam teraz pilniejsze sprawy na głowie. Jeśli nie pozbędziemy się tego pieprzonego czerwonego alertu, to nie dostanę się do Mali.

– No to nie jedź. Pozwól zająć się tą sprawą mnie i Bańce.

Westchnąłem ciężko. Odbyliśmy już wcześniej tę rozmowę.

– Wiesz przecież, że nigdy się na to nie zgodzę, więc po co nalegasz?

Nachmurzyła się.

– Bo wystarczy mi, że będę musiała martwić się o Bańkę w tej przeklętej dziurze na końcu świata. Nie zdołam upilnować was obu, żebyście nie narobili jakichś głupstw.

– Wolałbym, żebyś to ze mnie nie spuszczała wzroku – stwierdziłem z uśmiechem. Miałem nadzieję, że żartem rozładuję nieco napiętą atmosferę i wprawię Danny w lepszy nastrój. Jej usta jednak tylko na ułamek sekundy wykrzywiły się w nieprzyjemnym uśmiešku. – Hej, już o tym rozmawialiśmy: pojedę, a wy razem ze mną. Wszyscy się zgodziliśmy, nawet Alfa i Omega uznali, że to niezły pomysł.

– Tym pretensjonalnym kurdupłom wszystko wydaje się proste, kiedy tak siedzą sobie w swoim warsztacie.

– Danny...

– Och, no dobra, nie patrz tak na mnie. Też chciałabym pojechać szukać tego... czegoś, czego szukamy. Zawsze to lepiej niż tkwić w Madrycie i czekać, aż Alzaga wezwie mnie do Piwnicy i każe sporządzać raporty. Chodzi mi tylko o to, że naprawdę nie ma potrzeby, żebyśmy wszyscy ryzykowali.

– Jeśli tak uważasz, możesz zostać z Enigmą i wspierać nas stąd.

– Nie chcę zostawać. Chcę, żebyś to ty został.

Moglibyśmy tak w kółko. Postanowiłem uciąć dyskusję, zanim znów wymienimy te same argumenty.

– Interpol i agentka Lacombe mogą pomóc spełnić twoje marzenia. Musi być jakiś sposób, żebym mógł wyjechać i nie ściągnąć sobie przy tym na kark organów ścigania z całego świata.

Danny westchnęła ciężko.

– Może i jest – powiedziała, unikając mojego wzroku.

– Serio?

– Tak. Skrzydłowy ma rację: Poszukiwacze mają sposoby, żeby wybrnąć z takiej sytuacji, choć faktycznie nie należą one do najprzyjemniejszych. Trzeba tylko mieć dobre kontakty.

– A ty znasz kogoś takiego?

– Trudne sytuacje wymagają zastosowania radykalnych środków. Bardzo nie chciałabym

tego robić, ale skoro najwyraźniej nie da się wybić ci z głowy wyjazdu do Mali, wolę ci pomóc, zanim na przykład spróbujesz dostać się na pokład samolotu z przyprawionym nosem i fałszywym paszportem. Porozmawiam z Gaetanem Rosą. – Wzdrygnęła się z odrazą, jakby znalazła martwego pajaka na dnie filiżanki.

– Nie, tylko nie to. Musi być jakiś inny sposób, nie mieszajmy tego typu w nasze sprawy. To alfons.

– Wiem, a do tego obleśny, paskudny typ, ale jeśli zależy ci na podróży do piekła, musisz zawrzeć pakt z diabłem. – Chciałem dalej protestować, ale ona szybko zmieniła temat: – A skoro już mowa o nieprzyjemnych facetach, pamiętasz tamtego Azjatę o niebieskich oczach, którego widzieliśmy w Saint-Béat z ludźmi Voynicha?

– Tak, co z nim?

– Chyba udało mi się dowiedzieć, kto to jest.

Spojrzałem na nią ze zdumieniem.

– Tak szybko?

– Co się tak dziwisz? Świetnie się znam na tej robocie, myślałam, że już o tym wiesz. – Wyjęła komórkę i pokazała mi zdjęcie zapisane na karcie pamięci. Znalazła je w jakimś artykule. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że przedstawia tamtego gościa z Francji, wszędzie poznałbym te oczy. – Proszę, oto David Yoonah. Doktor David Yoonah.

– Doktor? Jak ci geniusze zła z komiksów? Bardzo adekwatnie.

– Ten akurat naprawdę jest naukowcem. To matematyk z Caltechu², wybitny autorytet w swojej dziedzinie.

– Amerykanin?

– Tak, pochodzenia koreańskiego. Ale posłuchaj: najciekawsze, że nasz matematyk jest jednym z akcjonariuszy najbardziej dynamicznie rozwijającej się spółki z Doliny Krzemowej...

– Domyślam się której.

– Właśnie. Voynich Inc. – Danny uśmiechnęła się gorzko. – Jak by to powiedziała Enigma: „I tak koło się zamyka”.

Często musiałem brać udział w nie do końca legalnych działaniach Korpusu Poszukiwaczy, ale żadne nie wywoływało u mnie takiego dyskomfortu, jak współpraca z typami pokroju Gaetana Rosy.

Ten pół Włoch, pół Portugalczyk, oficjalnie szanowany członek zarządu lizbońskiej Fundacji Gulbenkiana, był mężczyzną eleganckim, kulturalnym i atrakcyjnym, choć nieco zniewieściałym. Ten rodzaj urody krępuje większość facetów, a i niejednej kobiecie zdaje się nieprzyjemny.

Starannie pielęgnowany wizerunek dandysa o wrażliwej duszy stanowił jednak wyłącznie fasadę. W rzeczywistości Rosa stał na czele rozległej sieci domów publicznych działających w całej Europie i nie stronił od najbardziej paskudnych praktyk. Handlarze żywym towarem porywali kobiety w Europie Wschodniej, Afryce i Ameryce Południowej albo zwabiali je podstępem, a następnie sprzedawali jako pracownice do lokali zwanych eufemistycznie „ekskluzywnymi klubami dla panów”. Jakimś cudem Rosa zdołał czerpać niezłe zyski z tego interesu i zachować przy tym zupełnie czyste ręce.

Dzięki związkom z mafią Gaetano Rosa dysponował jednak najświeższymi informacjami o kradzieżach i przemyśle dzieł sztuki, więc Narodowemu Korpusowi Poszukiwaczy zdarzało się korzystać z jego pomocy. Na mocy niepisanej umowy Rosa dawał nam czasem cynk, a my nie puszczaliśmy pary z ust o prawdziwych źródłach jego dochodów. Z całego serca sprzeciwiałem się układom z tak odrażającym indywiduum, a jedyną – choć marną – pociechę mógł stanowić dla mnie fakt, że i Rosie niezbyt odpowiadało nasze partnerstwo.

Spośród wszystkich Poszukiwaczy to Danny najlepiej wychodziło nawiązywanie i podtrzymywanie relacji ze współpracownikami, a że miała też najmniej skrupułów, to zawsze za jej pośrednictwem kontaktowaliśmy się z ludźmi pokroju Rosy.

Już samo namierzenie stręczyciela nie przyszło nam łatwo, bo zwykle starał się nas unikać. Po długich i żmudnych poszukiwaniach Danny znalazła go w końcu w Londynie. Przesłała mu wiadomość przez odpowiednią osobę i Rosa wkrótce do niej oddzwonił.

Nie wiem, co dokładnie ustalili (i szczerze mówiąc, chyba nie chcę wiedzieć), ale Rosa zgodził się w drodze powrotnej do Lizbony zatrzymać w Madrycie i spotkać ze mną i Danny.

Wcześniej podjęliśmy z przyjaciółmi ważną decyzję: César miał jechać z nami do Mali. Sam się zaoferował, a my przemyśleliśmy jego propozycję i postanowiliśmy ją przyjąć. Chłopak znał język i region, a z drugiej strony ewidentnie wiedział dużo więcej o tym całym Łańcuchu Proroka, niż chciał przyznać. Uznałem więc, że łatwiej będzie nam go kontrolować, kiedy będzie pod ręką.

Musieliśmy zdać się na dobrą wolę Gaetana Rosy, żeby jak najdyskretniej dostać się do Mali. Kobieta i trzech mężczyzn, w tym jeden poszukiwany przez policję hiszpańską, a drugi ścigany międzynarodowym listem gończym – zastanawiałem się, czy nawet Rosa zdoła zgryźć tak twardy orzech.

Po przylocie do Madrytu Portugalczyk umówił się z nami w miejscu bardzo adekwatnym do swojej osobowości: Café de Palacio w Teatrze Królewskim. Kiedy przyszedliśmy na spotkanie, wyznaczone na późny poranek, czekał już na nas przy stoliku z widokiem na fasadę Pałacu Królewskiego. W tle leciały co bardziej ckliwe fragmenty *La Bohème*.

Rosa wystroił się w kremowy garnitur, błękitną kamizelkę, a pod szyją zamiast krawata zawiązał fular. Gdy Danny zajęła miejsce, wyszczerzył w szerokim uśmiechu białe, kwadratowe zęby, przypominające plastikowe płytki.

– Daniela... Co za przyjemność spotkać się z tobą osobiście. Zamówić ci lampkę białego wina? A może nieco orzeźwiającego armaniaku? Niby to nie pora na takie napoje, ale czuję się dziś wyjątkowo swawolnie.

– Dla mnie tylko mrożona herbata, dziękuję – odparła Danny.

Od wypadku w Saint-Béat minęły już trzy dni, ale zauważyłem, że siadając, z trudem ukryła grymas bólu i złapała się za żebra.

– *O que qui ser*³... Widzę, że przyprowadziłaś kolegę. – Na mój widok jego uśmiech nieco zbladł. Słowo „kolega” wymówił tonem niemal obraźliwym.

– Gaetano, pozwól, to Faro.

– Rozumiem. *Outro pesquisador*⁴. Niech mnie diabli! Można by pomyśleć, że rozmnażacie się przez pączkowanie... Chyba cię skądś znam, kolego, to możliwe?

– Widzieliśmy się kiedyś w Lizbonie, dawno temu – odparłem lakonicznie.

– *As minhas desculpas*⁵, ale obawiam się, że nie pamiętam. Tak czy inaczej mam nadzieję, że było to spotkanie przyjemne dla obu stron.

Wymamrotałem coś w odpowiedzi. Ja za to świetnie pamiętałem, że na koniec naszego ostatniego spotkania ochroniarz Rosy walnął mnie pięścią w żołądek.

– Faro jest tą osobą, o której ci mówiłam. To właśnie jego ściga Interpol – wyjaśniła Danny.

– Ach, czyli to ty. *Bom*⁶, cieszę się, że Interpol podnosi standardy. – Rosa upił maleńki łyżeczek z kryształowego kieliszeczka pełnego płynu o barwie miodu. Potem zwrócił się do Danny: – *Minha bela*⁷, porządnie przemyślałem ten problem i doszedłem do wniosku, że znalazłem rozwiązanie. Ciągle jednak się zastanawiam, dlaczego Gaetano Rosa ma wam w ogóle pomagać w tej sprawie.

– Nie wiem – odparła Danny ze znudzonym wyrazem twarzy, jakby wcale nie interesowała jej ta rozmowa. – Może zaapeluję do twojej rycerskości?

– Możesz spróbować. Ostatnio chodzi po całkiem niezłych stawkach.

– Tak przypuszczałam.

– Nie zrozum mnie źle, *minha bela*. Chcę się tylko upewnić, że dostanę to, co mi obiecano.

Danny położyła na stoliku kopertę. Rosa otworzył ją chciwie i zlustrował zawartość. Potem skinął głową i schował kopertę do kieszeni.

– *Muito obrigado, bela*⁸. Informacja o lokalizacji tych dzieł jest dla mnie bardzo cenna. Kupiłem właśnie nową willę w Estorilu i chciałbym udekorować przestrzeń wokół basenu czymś... klasycznym. – Uczynił teatralny gest dłonią. – *Bom*, na słowie Gaetana Rosy można polegać: za dwa dni z Lizbony wylatuje awionetka na Wyspy Zielonego Przylądka, a tam, w porcie w Prai, możecie przesiąść się na statek. Należy on do mojego znajomego, który kontroluje trasę z Kolumbii do Konakry w Gwinei. Zgodził się przyjąć na pokład czworo pasażerów: trzech mężczyzn i kobietę. Tak się chyba umawialiśmy, prawda?

– Nie. Umawialiśmy się na podróż do Mali, nie mówiłam nic o Gwinei.

– *Minha bela*, daj mi skończyć. Ładunek statku ma trafić do Europy. Biorąc jednak pod uwagę jego dość... specyficzny charakter, musi dotrzeć na kontynent okreśną drogą, przez Mali. Towary zostaną wyładowane w porcie w Konakry, a stamtąd pojedą do Bamako ciężarówkami. Zapewniłem wam miejsce także w tamtym transporcie.

– Nie będziemy mieli problemów z przekroczeniem granicy między Gwineą a Mali?

– Ze względu na mojego znajomego mam nadzieję, że nie. Towaru, który przewozi, nie może zgłosić do oclenia, więc jak zarazy będzie unikał straży granicznej. Również przed władzami portu w Konakry postara się ukryć ładunek, zatem i was przy okazji.

– O jakim towarze mowa? – zapytałem.

Rosa uniósł wysoko brew.

– Bardzo ciekawski ten twój kolega, Danielo.

– Pewnie się boi, że trafi do jednego z twoich ekskluzywnych klubów – odparła Danny.

Rosa z klasą przyjął docinek.

– *Ai, meu Deus!*⁹ Obawiam się, że jestem zbyt konserwatywny, żeby oferować tego typu

usługi. Tak czy inaczej, możesz uspokoić kolegę. Towary przewożone przez tego znajomego nie mają nic wspólnego z moimi sprawami. To zupełnie niewinny ładunek, coś jak... – Rosa popatrzył na mnie z wilczym uśmiechem. – *Não sei* ¹⁰... Parę worków mąki?

– Nie wydaje mi się, żeby podróż z takim towarem należała do najbezpieczniejszych – stwierdziła Danny.

– A czego się spodziewałaś, *minha bela*? Jeśli chcesz się wybrać do Mali zupełnie legalnie, to proponuję udać się do biura podróży. Najlepiej takiego, które oferuje porządne ubezpieczenie. Ale jeśli zależy ci na ominięciu kontroli granicznych, to tak będzie dużo lepiej.

– A co z odprawą na lotnisku w Lizbonie?

– Tym się nie martw. Awionetka, którą polecicie na Wyspy Zielonego Przylądka, należy do mnie. Daję ci słowo honoru, że na lotnisku nikt nie poprosi was o żaden dokument.

Nie ceniłem zbyt wysoko honoru Gaetana Rosy, ale nie mieliśmy wyjścia – musieliśmy przystać na jego propozycję. Danny powiedziała więc, że stawimy się w Lizbonie w wyznaczonym terminie i skorzystamy z awionetki.

– *Bom* – odparł zadowolony Rosa. Wyjął z kieszeni iPhone'a i podłączył się do internetu. – Wysłałam ci mejlem wszystkie informacje, żebyście mogli bez problemu znaleźć samolot i skontaktować się z kapitanem statku.

– Co to za statek?

– Masowiec. Nazywa się *Buenaventura*, czyli „szczęście”.

– Mam nadzieję, że ta nazwa okaże się prorocza.

– Ja też, *minha bela*, ja też. – Rosa schował smartfon. – Masz już wszystkie niezbędne informacje. Jeszcze dziś potwierdzę znajomemu, żeby mógł zawiadomić kapitana. Wystarczy, że podacie mu moje nazwisko, a wpuści was na pokład.

– Nie musisz wysyłać mu naszych zdjęć?

– Nie. Żadnych nazwisk, żadnych zdjęć. Musi mu wystarczyć, że ma być was czwórka. Trzech facetów i dziewczyna.

– Skąd będzie wiedział, że to na nas czeka?

– Bo nie spodziewa się innych pasażerów. – Rosa spojrział na nas twardo. – To bardzo ważne, *minha bela*. Jeśli mój znajomy każe kapitanowi wpuścić na statek trzech mężczyzn i kobietę, to on będzie czekał na trzech mężczyzn i kobietę. Żaden inny wariant nie wchodzi w grę, inaczej nie wejdziecie na pokład. To wszystko bardzo nieufni ludzie. Nie lubią zmian w ostatniej chwili, bez uprzedzenia. Mogą się zdenerwować, jeśli uznają, że ktoś próbuje ich oszukać. Bardzo zdenerwować.

Uspokoił mi Rose, że nie mamy najmniejszego zamiaru zmieniać planów. Potem wyjaśnił nam jeszcze, nieco bardziej szczegółowo, co powinniśmy zrobić po przybyciu do Prai. *Buenaventura* miał stać w porcie zaledwie przez dwadzieścia cztery godziny, a potem odpłynąć, z nami czy bez nas. Musieliśmy więc poruszać się sprawnie, żeby nie tracić czasu.

Po upływie jakiejś godziny Rosa oznajmił, że musi złapać samolot do Lizbony. Przyszedł moment pożegnania. Osobiście miałem nadzieję, że na bardzo długo.

Rosa wstał i uniósł dłoń Danny do ust.

– *Adeus, minha bela. Muito sorte e tenha uma boa viagem* ¹¹. Od tej pory będę odliczał

każdą minutę do naszego ponownego spotkania. – Wyprostował się, a potem lekko skinął mi głową. – *E também boa sorte para você* ¹², panie Faro. Z chęcią poznałbym zakończenie waszej przygody, ale obawiam się, że nie będzie mi to dane.

Jeszcze raz skłonił się nam na pożegnanie i wyszedł. Ciężka woń wody kolońskiej unosiła się w powietrzu jeszcze długo po tym, jak jej właściciel zniknął nam z pola widzenia.

– Co on chciał przez to powiedzieć? – zapytałem.

– Nie wiem. Nigdy nie zwracam uwagi na to, co mówi, słucham piąte przez dziesiąte. – Danny nagle się skrzywiła. Objęła się w pół, jakby dokuczał jej żołądek. – Możesz sam zdać relację Bańce i Enigmie? Nie czuję się najlepiej. Pójdę chyba do domu trochę odpocząć.

– Co się dzieje?

– Nic takiego. Widocznie rozmowa z tym wieprzem mi zaszkodziła.

– Mogę cię odprowadzić.

– Nie trzeba, wezmę taksówkę. Skontaktuj się z resztą, na pewno czekają na wieści.

Nalegałem, ale bez skutku. Najwyraźniej bardzo jej zależało, żeby zostać samej. Zgodziła się przynajmniej na pomoc w znalezieniu taksówki. Kiedy wsiadła do samochodu, zauważyłem, że jej twarz stężała z bólu. Z trudem dawała radę utrzymać się prosto.

Ten widok długo nie dawał mi spokoju. Powinienem przewidzieć, że nie zwiastuje to niczego dobrego.

Nie udało mi się znaleźć Bańki, ale z Enigmą mi się poszczęściło. Przez telefon streściłem jej naszą rozmowę z Gaetanem Rosą.

– Niezły plan – stwierdziła. – A przynajmniej najlepszy, na jaki mogliśmy liczyć w tak krótkim czasie. Mam tylko jedno pytanie: często się uśmiechał?

– Co? Kto?

– Gaetano. Uśmiechał się, kiedy przedstawiał wam szczegóły planu?

– Nie wiem... Szczerze mówiąc, ten facet ma chyba na stałe przyklejony do ust paskudny uśmiezek. Skąd to pytanie?

– Ludzie pokroju Gaetana zawsze umieszczają w swoich umowach jakieś kruczki. Jeśli wyglądał na przesadnie uradowanego, to pewnie myślał, że zrobił was w konia. To dlatego tak ważna jest znajomość mowy ciała. Ech, szkoda, że mnie tam nie było!

Westchnąłem w duchu. Do jednej z wielu dziedzin, w których Enigma uważała się za ekspertkę, należała tak zwana kinezyka. Twierdziła, że potrafi czytać z gestów jak z otwartej książki. Ot, kolejne dziwactwo Enigmy.

– Obawiam się, że na tym etapie nie mamy już wyboru. Musimy mu zaufać – powiedziałem.

– Mama cię nie nauczyła, żeby nigdy nie stawiać wszystkiego na jednego konia?

– Moja matka chyba nigdy w życiu nie użyła takiego sformułowania.

– No tak. Na szczęście masz jeszcze mnie. Muszę wykonać parę telefonów i pójść do kilku miejsc. Jesteś wolny dziś wieczorem?

– Tak, ale nie wiem, o co ci...

– Nie przerywaj mi, złotko. Mam wene i nie chcę zgubić wątku. Myślę sobie... tak! To genialny pomysł... Oczywiście... Cudownie! Tak! Tak zróbmy: spotkajmy się wieczorem.

O ósmej. Kojarzysz tego McDonalda przy Gran Vii?

– Nie, w życiu nie słyszałem o tym miejscu.

– Serio? Jest bardzo znane. – Przewróciłem oczami i poczekałem, aż załapie. – Aha, rozumiem. To był sarkazm. Wybacz, myślami jestem zupełnie gdzie indziej. Spotkamy się tam o ósmej, zgoda? Bądź punktualnie.

– Ale po co?

– Nie teraz! Mam masę spraw do załatwienia. O ósmej. Nie zapomnij. *Ciao!*

Rozłączyła się bez dalszych wyjaśnień, czym całkowicie wytrąciła mnie z równowagi.

Moja późniejsza rozmowa z Bańką okazała się na szczęście bardziej zrozumiała. Poszukiwacz obawiał się, podobnie jak Enigma, że Gaetano coś przed nami ukrywa. Uznał jednak, że musimy podjąć ryzyko, bo nie uda nam się go uniknąć.

Przez telefon wyczułem, że jest nie w humorze. Podejrzewałem, że miało to coś wspólnego z Cesarem. Kiedy postanowiliśmy włączyć go do grupy, zdecydowaliśmy też, że najlepiej będzie nie spuszczać z niego oka aż do wylotu do Mali. Uznaliśmy, że najwygodniej będzie zakwaterować go tymczasowo u Bańki, któremu zleciliśmy pilnowanie chłopaka. Chociaż Poszukiwacz się zgodził, to musiał czuć się dość nieswojo z niespodziewanym i niezbyt godnym zaufania gościem.

Kiedy jednak zapytałem, jak mu idzie niańczenie Cesara, odpowiedział, że nie najgorzej. Tymczasowy współlokator siedział godzinami zamknięty w swoim pokoju i wychodził tylko po to, żeby coś zjeść. Bańka porównał go do bardzo cichego kota, ale mimo wszystko miał nadzieję, że to już długo nie potrwa. Z jakiegoś powodu, którego nie potrafił mi wytłumaczyć, obecność Cesara w mieszkaniu bardzo mu przeszkadzała.

– Myślisz, że mógłbyś zostawić go na jakiś czas samego? – zapytałem.

– Mogę zaryzykować. Nie sprawia wrażenia, jakby się miał ulotnić. A czemu pytasz?

– Dobrze by było, żebyś zajrzał wieczorem do Danny, sprawdził, jak się miewa. Nie wyglądała dobrze, kiedy ją dziś widziałem. Martwię się o nią.

– Nie ma sprawy, wpadnę do niej.

Pożegnałem się z nim, nieco uspokojony. Pozostało mi tylko znaleźć sobie jakieś zajęcie do ósmej, kiedy to miałem spotkać się z Enigmą. Przegryzłem coś, zdrzemnąłem się chwilę i spędziłem resztę popołudnia na czytaniu o Mali. O wpół do ósmej wyszedłem z domu i ruszyłem w stronę McDonalda przy Gran Vii.

Nie mogłem się nadziwić, że Poszukiwaczka wybrała takie miejsce. Nie należała do klientek restauracji, w których nad kasami wywiesza się menu ze zdjęciami jedzenia. Uznałem, że musiała potraktować ten lokal jako charakterystyczny punkt, po prostu miejsce spotkania.

Okazało się, że wewnątrz jest prawie pełno. Nawet nie przyszło mi do głowy szukać jej w środku – rozejrzałem się po ulicy przed barem i postanowiłem poczekać. Po chwili jednak usłyszałem stukanie w okno za plecami: to Enigma próbowała zwrócić moją uwagę.

Uśmiechnęła się uroczo i na migi kazała mi wejść. Czekwała na mnie przy drzwiach. Włosy związała w koński ogon, miała na sobie zwykłe dżinsy i białą koszulkę. Nigdy jeszcze nie widziałem jej w tak nieformalnym stroju – wyglądała, jakby przebrała się za studentkę. Chociaż muszę przyznać, że moje koleżanki z wydziału tak nie wyglądały. W przeciwnym razie chyba zapłakałbym się na śmierć w dniu ukończenia studiów.

- Czemu tam stałeś? – zapytała. – Myślałam, że umówiliśmy się w McDonalddie.
 - Wyglądasz... inaczej.
 - Jak siódme dziecko stróża, ale postanowiłam dopasować strój do charakteru misji. Ja też potrafię działać w terenie, wiesz? Nie jestem tylko ładną panią z biura.
 - Więc teraz to jakaś misja?
 - No pewnie, nie powiedziałam ci przez telefon? Pewnie zapomniałam z tych emocji! – Wzięła mnie pod ramię i zaprowadziła na piętro.
 - Co to za praca w terenie, która wymaga wizyty w barze z fast foodem?
 - Rozwiążemy twój problem z Interpolem.
 - Serio? Jak?
 - Odpowiedź jest przed tobą. Siedzi tam, przy stoliku pod oknem.
- Kiedy podążyłem wzrokiem za jej palcem wskazującym, stanąłem jak wryty.
- Nie, niech to szlag – mruknąłem, nie wierząc własnym oczom. – To chyba jakiś żart.

1. Obrońcy Wiary. [↵](#)
2. Kalifornijski Instytut Technologiczny. [↵](#)
3. Jak tam chcesz (port.). [↵](#)
4. Następny Poszukiwacz. [↵](#)
5. Najmocniej przepraszam. [↵](#)
6. Dobrze. [↵](#)
7. Ślicznotko. [↵](#)
8. Bardzo dziękuję, ślicznotko. [↵](#)
9. Mój Boże. [↵](#)
10. Nie wiem. [↵](#)
11. Do widzenia, ślicznotko. Powodzenia i udanej podróży. [↵](#)
12. Panu też życzę powodzenia. [↵](#)

GRANICA

Przy stoliku wskazanym przez Enigmę siedział Nicolás, mały haker podszywający się pod Yokaiego. Za jedyne towarzystwo miał olbrzymiego hamburgera, któremu spokojnie należało się osobne krzesło. Chłopak pochłaniał kanapkę żarłocznymi kęsami.

Na tacy przed nim czekał jeszcze wielki kubek z napojem, dwa mniejsze hamburgery zawinięte w papier, porcja frytek i pudełko skrzydełek kurczaka. Z nagłą nostalgią pomyślałem o wspaniałych czasach młodości, kiedy to metabolizm sprawiał, że każda ilość jedzenia znikła we mnie jak zaczarowana, nie zostawiając po sobie śladu.

– Co on tu robi? – zapytałem.

– To ja go tu ściągnęłam – odparła Enigma. – Z przyjemnością przyjął moje zaproszenie. Wiem, chłopak żre, jakby od miesiąca nie widział jedzenia, ale nie martw się, nie wrzucę tego w koszy. Zapłacę z własnej kieszeni.

– Nie powinnaś tego robić. To nie jest dobry pomysł.

– Ja mam wyłącznie dobre pomysły. No chodź, siądźmy z nim. Lepiej zajmijmy go rozmową, zanim zacznie pochłaniać tacę.

Enigma praktycznie zaciągnęła mnie do stolika. Usiadłem naprzeciwko Nicolasa i patrzyłem na niego niezbyt przyjaźnie. On uraczył mnie tylko przelotnym spojrzeniem znad hamburgera. Wybełkotał coś z pełnymi ustami, ale mogło to być zarówno powitanie, jak i obelga.

– No dobra, skoro już jesteśmy tu wszyscy, możemy porozmawiać o interesach – oznajmiła Enigma. – Błagam, Nicolasie, przełknijże wreszcie. Musisz się skupić.

– Nico – powiedział, wciąż przeżuając. Otarł usta wierzchem dłoni i hałaśliwie pociągnął łyk napoju przez słomkę. – Kumple mówią mi Nico.

– Nie jesteśmy twoimi kumplami – zaprotestowałem, ale on tylko wzruszył ramionami. – Posłuchaj, nie wiem, co ona ci naopowiadała, ale nie podoba mi się, że tu jesteś. Nie chcę, żebyś miał z nami cokolwiek do czynienia, a tym bardziej nie potrzebuję twojej pomocy. Więc jak już skończysz pochłaniać cały ten... syf, odwiozę cię do domu, jasne?

Moje słowa nie zrobiły na nim najmniejszego wrażenia. Ze zblazowaną miną pożarł kolejną frytkę, po czym wskazał na Enigmę i powiedział:

– Jak sobie chcesz, ale ona mówiła, że masz przesrane.

– To nie twoja sprawa.

– Widzisz, a ja uważam, że moja. Podobno masz problem z glinami. Jeśli mnie wkurzysz, to kto wie... Może pójde do nich i powiem, że cię widziałem i wiem, co robisz?

– Na miłość boską. – Westchnąłem. – Naprawdę mi grozisz?

– Możliwe.

– Po pierwsze: zanim zaczniesz komuś grozić, obetrzyj sobie keczup z brody, ty gangsterzynie za dychę. A po drugie... Jezu! Po co ja w ogóle z tobą gadam? Spadam, mam

tego dość.

Zacząłem wstawać, ale Enigma złapała mnie za ramię i pociągnęła z powrotem na krzesło.

– Zachowujmy się jak dorośli ludzie i nie róbmy z tego kłótni w piaskownicy, dobrze?

– To on zaczął mnie obrażać i... i w ogóle – wyrwał się urażony Nicolás. – Przyjechałem, bo mówiłaś, że mogę wam pomóc, zgadza się? Nie będę tu siedział, jeśli ten koleś będzie dalej zachowywał się jak buc. To ja powinienem być wkurwiony, zbajerowałaś mnie, a potem o mnie zapomniałaś. Pieprzony kłamca.

– O czym ty mówisz, do cholery? – rzuciłem.

– Jak to o czym? Tak, jasne, teraz udajesz, że nie wiesz, o co chodzi. A co z tą całą ściemą o „Poszukiwaczu na stażu”? „Odezwę się, kiedy będę potrzebował pomocy”? Myślałem, że mówisz poważnie, koleś. Oszukałeś mnie jak pierwszego naiwnego, żebym nie puszczał pary z gęby, i tyle. Jesteś pieprzonym... pieprzonym... kłamcą i bucem.

– Jak to możliwe, żeby ktoś, kto podobno czyta tyle książek, miał tak ograniczone słownictwo? – zawołałem ze złością.

Nicolás zmarszczył czoło, pochylił głowę i zaczął jeść frytki.

– Chuj ci w dupę – wymamrotał pod nosem.

– No dobrze – wtrąciła się Enigma. – Uważam, że ktoś tu jest winny komuś przeprosiny.

– Też tak sędzę – zgodziłem się.

Poszukiwaczka spojrzała na mnie dziwnie.

– Miałam na myśli ciebie.

– Co? Zwariowałaś?

– Nico ma rację. Obiecałeś mu ten staż, więc nie traktuj go teraz jak upierdliwego bachora.

Spojrzałem na Nicolasa, który z ponurym wyrazem twarzy grzebał we frytkach. Nagle ogarnęło mnie nieprzyjemne uczucie, że patrzę w lustro ukazujące przeszłość. Nawet sposób, w jaki ciskał te złowrogie spojrzenia spode łba, przypominał mi moje zachowanie w jego wieku, kiedy czułem się oszukany przez kogoś bliskiego – co zdarzało się całkiem często.

Po drugiej stronie stołu siedział osierocony chłopak, kiedyś na pewno był bardzo blisko związany z rodzicami. Mieszkał z kimś, kogo najwyraźniej nie obchodziło, co robi czy czego nie robi (jemu trafiła się dalsza krewna, mnie – obojętna, nieczuła matka... Ale co za różnica? To tylko szczegóły). Brakowało mu autorytetów czy choćby wzorów do naśladowania. Młodość może być bardzo przygnębiającym okresem, gdy odchodzą jedyne osoby, którym na nas zależało.

Kiedy postawiłem się na jego miejscu, od razu zrozumiałem, jak musiał postrzegać mnie i Enigmę: jako coś nowego, ekscytującego, co ożywiło nagle jego szarą egzystencję. Dwójka dorosłych zajmujących się czymś niezwykle interesującym, czymś, w czym chciałby wziąć udział. Najpierw go wykorzystaliśmy, potem skłoniliśmy do milczenia obietnicami bez pokrycia, a w końcu zupełnie o nim zapomnieliśmy. Dwie kolejne osoby, które go porzuciły. Nie wiem dlaczego, ale podejrzewałem, że ich lista musi być dość długa.

Może dlatego, że moja właśnie taka była.

W okresie dojrzewania łatwo też uwierzyć, że zawadza się całemu światu jak irytujące dziecko. Świetnie to rozumiałem. Przekonałem się o tym na własnej skórze.

– W porządku – powiedziałem, próbując nieco powściągnąć irytację. – Przepraszam. Nie chciałem cię urazić.

Nicolás spojrział na mnie nieufnie.

– Spoko, nie ma sprawy – mruknął.

Spróbowałem przemówić mu do rozsądku:

– Wiem, że obiecałem zwrócić się do ciebie o pomoc, ale musisz zrozumieć, że to nie jest odpowiedni moment. Ta sytuacja cię przerasta.

– Może to jemu powinniśmy pozostawić ocenę? – wtrąciła się Enigma. – Słuchaj, Nico: jesteś tym Yokaim czy nie, wydaje mi się, że całkiem nieźle sobie radzisz jako haker. Mam rację?

– To mało powiedziane. Jestem w tym zajebisty.

– Ale będziesz musiał być jeszcze lepszy, jeśli chcesz nam się przydać. I będziesz musiał nam udowodnić swoje umiejętności. Tutaj nie chodzi o włamanie się do bazy danych szkoły i zmianę paru ocen.

Nicolás prychnął z wyższością.

– Obszedłem wasze zabezpieczenia, no nie? To chyba wystarczający dowód moich umiejętności.

– Mogłeś po prostu mieć szczęście – powiedziałem.

– Szczęście? Ha! Byliście przecież u mnie, widzieliście mój pokój... Wiesz, ile mam komputerów? Trzy. W tym maca pro najnowszej generacji, którego tak odpicowałem, że mógłbym go teraz sprzedać za dziesięć razy więcej, niż zapłaciłem, a tani to on nie był.

– Dobra, masz niezły sprzęt, ale to o niczym nie świadczy.

– Nic nie rozumiesz. Myślisz, że to za kieszonkowe od ciotki? Ona sama w życiu nie widziała na oczy takiej forsy. A moi starzy... Cóż... – Nicolás otarł nos wierzchem dłoni.

– Nie spali na kasie. Zostawili mi trochę pieniędzy na studia, ale na razie nie mam do nich dostępu. A mimo to wydaję fortunę na sprzęt, do tego kupę kasy na oprogramowanie i materiały do makiet. Nic ci to nie mówi, bystrzaku?

– Do czego właściwie zmierzasz? – zapytała Enigma.

Rozejrzał się nerwowo dookoła. Nachylił się do nas, zniżył głos i odpowiedział:

– Mam taki sposób... Potrafię stworzyć konto bankowe i zmienić ilość dostępnych środków, zwiększyć saldo. Wiem, jak oszukać bazy danych banku, żeby uznały kwotę za poprawną. Mają swoje systemy bezpieczeństwa, które powinny chronić przed takimi numerami, ale ja potrafię je obejść. Jeśli zachowuje się ostrożność i nie przesadza z kwotami, nikt się nie zorientuje.

– Jezus Maria... Okradasz ludzi?

– Nie ludzi, banki – sprecyzował z urazą. – Oni mają tyle kasy, że nie zaszkodzi im, jeśli raz na jakiś czas podbiorę im parę stów. Przecież to pieprzeni złodzieje. Wiadomości nie oglądacie? Jak oszukują ludzi, a potem zostawiają ich na lodzie i z kredytem?

– Wspaniale. Mały antysystemowiec – mruknąłem.

– Nie wyskakuj mi tu z kazaniami, koleś. Nie zapominaj, że wiem, czym wy się zajmujecie.

Enigma się uśmiechnęła.

– Dobrze powiedziane – stwierdziła. – Myślę sobie, Faro, że on może nam się przydać: nie ma skrupułów, potrafi obejść zabezpieczenia bankowych systemów informatycznych. A sądząc z tego, co nam właśnie powiedział, nawet nie będziemy musieli mu płacić: sam przeleje sobie kasę z naszych rachunków.

Musiałem przyznać, że jeśli Nicolás mówił prawdę, to jego umiejętności robiły wrażenie. Może ten John Dillinger dwudziestego pierwszego wieku rzeczywiście mógł pomóc nam wybrnąć z beznadziejnej sytuacji. Uznałem, że współpraca z nim nie wiąże się z większym ryzykiem niż układy z Gaetanem Rosą.

– W porządku – powiedziałem. – Wierzę, że umiesz złamać zabezpieczenia nie tylko Narodowego Korpusu Poszukiwaczy, ale też banków. Tyle że nasz problem jest bardziej skomplikowany. Wiesz, co to Interpol?

– A ty wiesz, co to straż miejska? Masz mnie za kretyna, bucu?

– Proszę wybaczyć, panie ekspercie od przestępczości międzynarodowej. Nie ma o co się obrażać. Powiedzmy, że ktoś, kogo znasz, figuruje na liście czerwonych alertów Interpolu. Mógłbyś go usunąć z systemu?

– Interpol ściga was listem gończym?

– Tylko jego, mnie nie – odparła Enigma.

Nicolás uśmiechnął się złośliwie.

– No proszę, i kto tu jest antysystemowcem?

– Wystarczy, że odpowiesz na moje pytanie.

Nicolás sięgnął po napój i pociągnął długi łyk. Potem odstawił kubek i dyskretnie beknął.

– W porządku. Zrobione.

– Wydajesz się bardzo pewny siebie. Nie wiem, czy mnie to przekonuje.

– A czemu? System to system, większość opiera się na tych samych szablonach. Skoro dałem sobie radę z waszym, całkiem skomplikowanym, to poradzę sobie i z Interpolem. Wystarczy tylko usunąć nazwisko z listy. Uwierz mi, dużo trudniej zmienić saldo rachunku, tak żeby bank się nie pokapował.

– Byłbym spokojniejszy, gdybyś mi wytłumaczył, jak zamierzasz to zrobić.

– Wiesz, co to DDoS? *Keylogger, binder, sniffer, atak brute force?*

– Nie.

– No to szkoda mojego czasu na tłumaczenie, i tak gównie zrozumiesz. Powiedz tylko, kiedy masz zniknąć z systemu, to wszystko.

Z dużą nieufnością podałem Nicolasowi datę naszego wylotu awionetką z Lizbony na Wyspy Zielonego Przylądka. Skinął tylko spokojnie głową.

– Zdążę, ale będę musiał się sprężyć. Wisisz mi przysługę.

Miałem złe przeczucia.

– Posłuchaj mnie uważnie: to nie zabawa, rozumiesz? Jeśli ci zaufam, wszystko będzie w twoich rękach. Wystarczy, że zmienisz zdanie albo okaże się, że żartowałeś, a mogę wylądować w więzieniu. Masz moje słowo, że w takim przypadku poniesiesz konsekwencje.

– Spoko, koleś, nie denerwuj się. Mówię przecież, że to zrobię – powiedział z lekkim

przestrachem. – Czego jeszcze chcesz? Mam podpisać oświadczenie własną krwią?

– Lepiej nie podsuwaj mi pomysłów.

– Ja ci ufam, Nico – pośpieszyła z zapewnieniem Enigma. – Jeśli mówisz, że dasz radę, to ci wierzę. Wiem, że jesteś inteligentny.

Chłopak się zarumienił, a potem spojrział na mnie i powiedział:

– Widzisz? Ona wie, jak się powinno o coś prosić. Chcę wam pomóc, mówiłem już, że jestem po waszej stronie. Czemu ciągle jesteś dla mnie takim bucem? – Ostatnie słowa wypowiedział płaczliwym tonem.

– Już dobrze, w porządku, w porządku... gdybym ci nie ufał, nie powierzałbym ci swojego losu, a właśnie to zrobiłem.

– No to bądź trochę miłszy, ja pierdolę – warknął. – Dobra. Musisz wiedzieć jedno: mogę cię usunąć z tej bazy danych, ale nie na stałe. Nie da się tego zrobić tak, żeby nikt nie zauważył, więc prędzej czy później ktoś w Interpolu zauważy pomyłkę i wciągnie cię z powrotem na listę.

– Na jak długo możesz mnie stamtąd wyciągnąć?

– Nie jestem pewny. Może na dobę, raczej nie dłużej.

– W porządku, to będzie musiało mi wystarczyć, ale musisz obiecać, że...

– Tak, cholera, tak. Traktuję to poważnie, ile razy mam ci to jeszcze powtórzyć?

Obrzuciłem Nicolasa podejrzliwym spojrzeniem. Wolałbym móc liczyć na głejt nieco pewniejszy niż ten, który mógł mi zaoferować chłopak w koszulce z *Gry o tron*. Niestety, nie miałem wyboru.

– Jeśli to dla nas zrobisz, możemy ci dobrze zapłacić – powiedziała Enigma.

– Nie chcę waszej kasy. – Chłopak niespodziewanie uniósł się honorem. – Powtarzam: chcę wam pomóc. Podoba mi się to, co robicie.

– W takim razie mam chyba pomysł na bardziej odpowiednie wynagrodzenie za twoją pomoc: imię Poszukiwacza. Chciałbyś dostać pseudonim, Nico?

Oczy chłopaka zalśniły, jakby zobaczył właśnie najcenniejszą rzecz na świecie.

– Cholera... Pewnie, że tak.

Enigma się uśmiechnęła.

– To może Yokai? Poszukiwacz Yokai.

Nawet gdyby pocałowała go w tej chwili w same usta, chyba nie wzbudziłaby w nim takiego entuzjazmu.

– Zajebicie – wyjąkał. – Tak, zajebicie. To... to jest... rany! Tak! To teraz jesteśmy w tej samej drużynie, co? To... – Słowa uwięzły mu w gardle, co chwilę podnosił ręce i nerwowo poprawiał sobie włosy nad czołem. – Ja pierdolę... Dzięki, naprawdę... Dziękuję. Przysięgam, że nie będziecie żałować. – Wycelował we mnie palce wskazujące obu dłoni. – Nie będzie cię na tej liście, stary, obiecuję. Możesz postawić własne jaja, że tak będzie. Odwalę taką robotę, jak jeszcze nigdy w życiu. Już, zaraz się do tego biorę. Będziecie, kurwa, ze mnie dumni!

Wstał, wyrzucając z siebie potok luźno powiązanych słów, które można było wziąć za pożegnanie, i wyszedł, nawet nie skończywszy jedzenia. Zacząłem się obawiać, że Enigma stworzyła potwora, ale to od tego potwora zależało moje bezpieczeństwo.

– Czyli Poszukiwacz Yokai? – spytałem z przyganą.

Rozłożyła bezradnie ręce.

– To tylko imię. Nic poważniejszego niż obietnica stażu w Korpusie.

– Żeby tylko nie zrobił nas w konia.

– Zaręczam, że ten chłopak ma łeb jak sklep, nie mam żadnych wątpliwości co do jego potencjału. Następcą Tesli – oznajmiła z takim przekonaniem, że aż miałem ochotę jej uwierzyć. – A zresztą, nie zauważyłeś?

– Czego?

– Ten chłopak jest w ciebie wpatrzony jak w obrazek, Faro.

– Nie gadaj głupot.

– Naprawdę tego nie widzisz? Można to jasno wyczytać z jego mowy ciała: zrobiłby wszystko dla twojej aprobaty, chyba jesteś dla niego kimś w rodzaju fajnego starszego brata czy coś... Może zrobiły na nim wrażenie rzeczy, które wyczytał w twoich aktach.

Już miałem jej odpowiedzieć, że to stek bzdur, ale w tej samej chwili zadzwonił mój telefon i musiałem odebrać.

Rozmowa trwała jakieś dwie minuty. Kiedy się rozłączyłem, Enigma od razu domyśliła się, że coś jest nie w porządku.

– Co się stało? – zapytała.

– To Bańka – odparłem. – Jest w szpitalu z Danny.

Złamanie dwóch żeber – tak brzmiała diagnoza. W szpitalu zrugali Danny, że tak długo zwlekała z wizytą u lekarza. Powiedzieli jej podobno, że nasz organizm sygnalizuje bólem, kiedy coś jest nie tak. Bardzo silny ból oznacza więc, że coś jest bardzo nie tak. To jeden z najbardziej pierwotnych bodźców i nie wolno go lekceważyć.

Bańka opowiedział mi, że gdy przyszedł do Danny, zastał ją w fatalnym stanie. Praktycznie nie mogła się wyprostować, każdy oddech wykrzywił jej twarz grymasem, a do tego miała gorączkę. Mimo to oczywiście nadal się upierała, że wszystko jest w porządku. Bańka użył całej mocy autorytetu starszego brata, a w końcu i tak musiał siłą zaciągnąć ją na izbę przyjęć.

Na szczęście złamania nie okazały się poważne. Pacjentka dostała leki przeciwbólowe i całkowity zakaz poruszania się. Lekarze zalecali trzy–cztery tygodnie wypoczynku i regularne kontrole przez pierwsze siedem dni, dla upewnienia się, że stan się nie pogarsza.

Po wyjściu ze szpitala Bańka odwiózł Danny do domu, gdzie dołączyliśmy do nich, na wniosek poszkodowanej.

Poszukiwaczka wynajmowała małe mieszkanie w centrum, niedaleko mnie. Nigdy wcześniej u niej nie byłem i pierwsze, co mnie uderzyło, to całkowicie bezosobowy wystrój. Mieszkanie urządzono funkcjonalnie, surowo, z meblami prostymi, choć dobrej jakości, i nijakimi ozdobami. Sprawiało wrażenie, jakby nikt jeszcze na dobre się nie wprowadził. Żadnych fotografii na ścianach, zero bibelotów – niczego, co mogłoby świadczyć o charakterze lokatorki.

Nieco inaczej wyglądała sytuacja w maleńkim salonie: tutaj dominowały wypełnione książkami regały, które szczelnie zasłaniały dwie ściany. Dostrzegłem najrozmaitsze tytuły, chociaż większość stanowiły obcojęzyczne eseje i albumy z dziedziny historii i sztuki.

Moją uwagę przykuł jednak niewielki zbiór książeczek dla dzieci, upchniętych na wysokiej półce i wyraźnie zaczytanych. Pokrywająca je gruba warstwa kurzu świadczyła o tym, że dawno nikt do nich nie zaglądał. Naliczyłem kilkanaście tomów: dzieła Michaela Ende, Roalda Dahla, Enid Blyton... Nawet kilka powieściątek Eleny Fortún. Fakt, że Danny zachowała te książki, uznałem za niezwykle znaczący, nawet jeśli tkwiły zapomniane w najdalszym kącie biblioteki.

To w tym pokoju Bańka zdał nam relację z wizyty w szpitalu, raz po raz czyniąc wyrzuty siostrze, która ze stoickim spokojem paliła papierosa. Poczuliśmy wielką ulgę na wieść, że obrażenia nie są poważne, ale wkrótce zastąpił ją niepokój: stan zdrowia Danny mógł pokrzyżować nam plany.

– Nigdzie nie pojedziesz z połamanymi żebrami – oświadczył kategorycznie jej brat.

Danny próbowała protestować:

– Lekarz powiedział tylko, że...

– Lekarz kazał ci odpoczywać. Nie sądzę, żeby miał na myśli ponieważ po afrykańskich krajach zagrożonych wojną domową w poszukiwaniu skarbów ukrytych na pustyni.

– Poradzimy sobie sami z Cesarem i Bańką – wtrąciłem.

– Wątpię – odparła Danny. – Zresztą nie to jest największym problemem. Pamiętaj, co powiedział Gaetano: kapitan Buenaventury oczekuje trzech mężczyzn i kobiety. Jeśli mnie z wami nie będzie, nie wpuści was na pokład statku.

– Co w takim razie proponujesz?

– Obawiam się, że nie mamy wyjścia, musimy przełożyć całą akcję – stwierdził Bańka.

– Przynajmniej dopóki Danny nie dojdzie do siebie.

– To może potrwać nawet miesiąc!

– Masz lepszy pomysł, Faro? Zresztą, może to i dobrze. Wykorzystamy ten czas, żeby lepiej się przygotować, wszystko na spokojnie przemyśleć. Od początku uważałem, że to za szybko się potoczyło.

– Bo nie mamy innego wyjścia! Przypominam wam, że to Voynich stoi za kradzieżą Mardudu, a pewnie i za rabunkiem w muzeum w Saint-Béat. To oni też w zeszłym roku zlecili Gelderohdemu odnalezienie Baterii z Karbali, co oznacza, że już od dłuższego czasu dobrze wiedzą, czego szukają. Ewidentnie nie tylko my chcemy odnaleźć Łańcuch Proroka, czymkolwiek on jest. – Spojrzałem kolejno na towarzyszy. – Bierzemy udział w wyścigu, a nasi przeciwnicy są lepiej przygotowani i bardziej mobilni, a do tego mogą działać za naszymi plecami. Jeśli damy im miesiąc przewagi, potem możemy ich już nie dogonić.

– Nie wiem, czym się tak przejmujecie – powiedziała Enigma, która do tej pory przeglądała książki Danny i sprawiała wrażenie, jakby nasza rozmowa w ogóle jej nie interesowała. – Rozwiązanie jest przecież banalne.

– Tak? A cóż to za rozwiązanie? – zapytał Bańka.

– Ja mogę z wami jechać.

Na chwilę zapadła cisza. Nikt nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Skąd takie miny? – spytała Enigma. – Potrzebna wam kobieta, tak? Uwaga, wiadomość z ostatniej chwili: ja też jestem kobietą! Danny będzie nas wspierać z Hiszpanii, a ja ją zastąpię.

Postanowiłem w końcu przerwać przedłużającą się ciszę, zanim stanie się zupełnie nieznośna.

– To... ciekawy pomysł, ale... – Nie wiedziałem, jak skończyć.

– Zardzewiałaś – dokończył Bańka mniej dyplomatycznie. – Przykro mi, ale taka jest prawda. Kiedy ostatnio brałaś udział w jakiejś misji w terenie?

– Powinieneś to wiedzieć, Bańko, bo odbyliśmy ją razem – odrzekła. – No dobrze, przyznaję, że ostatnimi czasy przywykłam raczej do pracy umysłowej, ale to jeszcze nie czyni ze mnie agentki drugiego sortu.

– Nikt tak nie twierdzi – zastrzegł Bańka – ale... psiakrew... nie chciałbym, żebyś znowu narażała się na niebezpieczeństwo.

– Ale Faro może to robić i jakoś ci to nie przeszkadza?

– To co innego: jego mogę kontrolować, przynajmniej w jakimś stopniu. Jeśli będzie trzeba, potrafię go zmusić, żeby trzymał się za moimi plecami i nie pchał w tarapaty. Ale ty... Przepraszam, nie chcę cię urazić, ale sama dobrze wiesz, że nigdy nie szła ci za dobrze praca zespołowa, ani też za nią nie przepadałaś. Dlatego Narváez wolał trzymać cię z dala od misji. Jesteś nieco zbyt... nieprzewidywalna.

– Czyli co, w Mali będziesz bez przerwy pilnował Fara i Cesara? Ty sam? Już to widzę! Przyznaj, że mnie potrzebujesz. Mama i tata muszą na zmianę opiekować się kurczaczkami.

– Enigma usiadła na poręczy fotela zajmowanego przez Bańkę i powiedziała porozumiewawczo: – Jak za starych dobrych czasów: ty i ja, ramię w ramię. Już nie mogę się doczekać. Naprawdę nie chcesz do tego wrócić?

Cisnęło mi się na usta, że nie jestem żadnym kurczaczkiem i nie potrzebuję opieki „mamy i taty”. Bańka dawał się chyba jednak powoli przekonać, więc wolałem nie przeszkadzać.

Nie potrafiłem wyobrazić sobie Enigmy na miejscu Danny, ale przyznaję, że w grę wchodziły osobiste sympatie. Kiedy już zaczęło do mnie docierać, że to na poważnie, zacząłem jak głupi cieszyć się na myśl o towarzystwie Poszukiwaczki. Jakbym znalazł nagle czterolistną koniczynę i mógł spakować ją do walizki na szczęście.

Enigma zdołała jakimś cudem wytłumaczyć Danny i Bańce, że jej propozycja stanowi najlepsze wyjście z naszej sytuacji. Decyzję podjęła trójka starych wyjadaczy, nawet nie udzielili mi głosu.

Zebranie potrwało jeszcze parę godzin, podczas których ustaliliśmy szczegóły zbliżającej się akcji. W końcu uznaliśmy, że czas kończyć, bo Danny zaczęła zdradzać oznaki zmęczenia.

Enigma i Bańka wyszli razem i niepostrzeżenie zostaliśmy z Danny sami.

– Też już pójdę – powiedziałem, kiedy już pomogłem jej trochę ogarnąć w pokoju. – Późno, musisz odpocząć.

Wyczułem zmianę nastroju. Nic dziwnego, skoro po raz pierwszy od tamtej nocy w Saint-Béat zostaliśmy sami we w miarę spokojnych okolicznościach. Nie zdążyliśmy porozmawiać o tym, co zaszło, zanim rzuciliśmy się w pogoń za złodziejami. Można było odnieść wrażenie, że oboje tego unikaliśmy.

– Rozumiem, że już oficjalnie zostałam Poszukiwaczką inwalidką – stwierdziła i uśmiechnęła się po swojemu, połową ust. Potem popatrzyła na mnie i dodała: – Nie

musisz sobie iść.

To zdanie dało się zinterpretować na tyle różnych sposobów, że nie odważyłem się nawet próbować.

– Chcesz... chcesz, żebym został?

Milczała długo, jakbym zadał jej najtrudniejsze pytanie świata. W końcu cicho westchnęła.

– Po namyśle stwierdzam, że... lepiej, żebyś jednak poszedł.

– Rozumiem.

– Serio? W takim razie masz nade mną przewagę, Tirso Alfaro, bo ja nic z tego nie rozumiem. – Podeszła do mnie, zawahała się na chwilę, a potem mnie pocałowała. Później odsunęła się, jakby zrobiła coś bardzo niestosownego. – Nie masz ostatnio wrażenia, że dzieje się więcej, niż jesteśmy w stanie udźwignąć? Zawieszenie działalności Korpusu, twoje problemy z Interpolem, cała ta historia z Łańcuchem Proroka, podróż do Mali.

– Zbyt wiele kłopotów, żeby dodawać do nich kolejny, o to ci chodzi?

– Tak... Nie wiem. Próbuję przemyśleć to wszystko na spokojnie, ale nie potrafię. Chcę tylko, żebyś jechał do Mali, znalazł tam to, czego szukasz, a potem wrócił cały i zdrowy, żebym mogła w końcu spojrzeć ci w oczy i nie myśleć o niczym poza nami. Naprawdę tego potrzebuję.

– Spokojnie. Zaczekam. Nie będziemy się śpieszyć, zgoda?

– Nie jest mi łatwo prosić cię o coś takiego, ale muszę poukładać sobie różne rzeczy w głowie, a dopóki to wszystko się nie skończy, nie uda mi się tego zrobić.

– To nie takie złe. Będę miał świetną motywację.

Odprowadziła mnie do drzwi. Zanim wyszedłem, spojrzała mi w oczy i uśmiechnęła się smutno.

– Uważaj, kiedy będziesz szukał swojego skarbu. Teraz oczekuję od ciebie tylko tego, żebyś wrócił.

Na ułamek sekundy musnęła wargami moje usta. Poczułem, że przypieczętowaliśmy jakąś obietnicę.

Pojechaliśmy do Lizbony dzień przed umówionym terminem wylotu awionetki Gaetana Rosy. Jak zwykle podróżowaliśmy osobno i mieliśmy się spotkać dopiero na lotnisku, ale nie mogłem się powstrzymać przed złożeniem wizyty w naszej bazie, gdzie zatrzymali się Bańka z Cesarem.

Bazy to specjalne mieszkania wynajmowane przez Narodowy Korpus Poszukiwaczy w miastach, w których jego członkowie najczęściej odbywają misje. Kryjówka w Lizbonie znajdowała się w samym sercu Barrio Alto i nie należała do najprzyjemniejszych lokali: w zatęchłej kawalerce z trudem mieściła się dwójka agentów. Mimo to miałem dobre wspomnienia związane z tą klitką, bo to właśnie w stolicy Portugalii pierwszy raz wziąłem udział w akcji Poszukiwaczy.

Bańka nie miał nic przeciwko mojej niespodziewanej wizycie, a wręcz się ucieszył, że przynajmniej przez jakiś czas nie będzie musiał sam pilnować Cesara. Poszliśmy we trójkę na kolację do pobliskiej knajpki. Posiłek upłynął w milczeniu i dość ponurej atmosferze. Przez większość czasu César otwierał usta tylko wtedy, kiedy wkładał do nich kolejne

kawałki dorsza, ale w końcu zadał jedno jedyne pytanie:

- Mamy przy sobie Ster Gallieniego i Złotą Rybę?
- Tak, wzięłem je ze sobą – odparłem. – Dlaczego pytasz?
- Mogą się nam przydać.

W drodze powrotnej do bazy zamieniliśmy z Bańką kilka słów na osobności.

- Mam złe przecucia, młody. Zbyt wiele rzeczy może pójść nie tak.
- Teraz już za późno, żeby się wycofać.

– Wiem. No nic, nie zwracaj na mnie uwagi. Ogarnął mnie dziś jakiś ponury nastrój.

Dzięki, że przyjechałeś dotrzymać mi towarzystwa. Tyle czasu sam na sam z Cesarem to nie przyjemnego. Serio, ten koleś sprawia, że czuję się nieswojo. Mam nadzieję, że wciągnięcie go w tę sprawę nie okaże się pomyłką.

– Wiesz co? Szczerze mówiąc, czasem się zastanawiam, kto tu kogo wciągnął...

Pożegnaliśmy się. Bańka zaraził mnie pesymizmem i w rezultacie kiepsko spałem, męczyły mnie koszmary, których po przebudzeniu nie pamiętałem.

Pojechałem taksówką na lotnisko i poszedłem na umówione miejsce zbiórki w terminalu przylotów międzynarodowych. Zgodnie z instrukcjami Gaetana mieliśmy szukać człowieka z tabliczką „WYSPY ZIELONEGO PRZYŁĄDKA”.

Wypatrzyliśmy mężczyznę w grupie szoferów i przewodników turystycznych – wszyscy trzymali podobne kartki z nazwiskami pasażerów. Przeszliśmy za nim przez cały terminal aż do nieoznakowanych drzwi z przyciemnianego szkła. Człowiek z tabliczką otworzył je za pomocą karty magnetycznej. Po wejściu znaleźliśmy się w niewielkiej, ale luksusowej poczekalni, takiej jak te przeznaczane przez linie lotnicze dla pasażerów pierwszej klasy.

Oprócz nas w pomieszczeniu znajdowało się jeszcze trzech podróżnych. Wyglądali na ważnych biznesmenów i nawet na chwilę nie oderwali oczu od ekranów laptopów, żeby zarejestrować nasze przyjście. W jednym kącie stał bar. Kelner zapytał, czy życzymy sobie czegoś do jedzenia albo picia, a potem zaoferował rozmaite gazety i czasopisma zagraniczne.

Po jakichś dwudziestu minutach w sali pojawił się młody mężczyzna w mundurze pilota i zwrócił się do wszystkich obecnych.

– Dzień dobry – powiedział po angielsku. – Mam na imię Allan. Proszę pozwolić za mną, zaprowadzę państwa na płytę lotniska, gdzie czeka już samolot pana Rosy.

Jak na razie wszystko toczyło się zgodnie z obietnicą Gaetana: nikt nie prosił o żadne dokumenty, nie kazano nam odbywać odprawy celnej. Nieco się uspokoiłem.

Allan poprowadził nas w kierunku krótkiego pasa startowego, obok którego stało kilka prywatnych odrzutowców. Drzwi naszego były już otwarte i cała siódemka pasażerów w milczeniu wspięła się po schodach na pokład.

W środku czekał nas prawdziwy pokaz luksusu: ściany wyłożono drewnianymi panelami, a siedzenia – duże i wygodne jak kanapy – obito skórą o barwie melasy. Odniosłem też wrażenie, że ze wszystkich stron otaczają mnie ekrany plazmowe.

Atrakcyjna stewardesa powitała nas i zachęciła, żeby się rozgościć, a tymczasem jej koleżanka krążyła między nami z tacą pełną kieliszków szampana i soków owocowych. Wkrótce dobiegł nas głos Allana, który udzielił nam kilku informacji o locie i oznajmił, że wylot nastąpi za kilka minut. Potem z głośników zaczęła sączyć się delikatna muzyka.

Nie zdążyłem jednak w pełni nacieszyć się wszystkimi wygodami sponsorowanymi przez Gaetana Rosę, bo nagle znów rozległ się głos Allana.

– Przepraszam za trudnienia, ale będziemy musieli jeszcze chwilę poczekać z powodu rutynowej kontroli bezpieczeństwa. Proszę zostać na swoich miejscach.

Wymieniłem niespokojne spojrzenia z towarzyszami. Stewardesa ponownie otworzyła drzwi i do samolotu wsiadło dwóch mężczyzn w policyjnych mundurach. Zaczęły pocić mi się dłonie.

Próbowałem sprawiać wrażenie opanowanego, kiedy funkcjonariusze szli przejściem między fotelami i uważnie przyglądali się wszystkim pasażerom. Serce zaczęło mi walić jak młotem. Jeden z policjantów podszedł do mnie i spojrzał mi w twarz.

– Czy będzie pan uprzejmy pozwolić z nami na chwilę? – odezwał się po portugalsku. Z braku mojej reakcji powtórzył pytanie po angielsku – pewnie uznał, że nie zrozumiałem.

Rozejrzałem się po przyjaciołach. Enigma nerwowo przygryzała wargę, a Bańka wyglądał, jakby lada moment miał się zerwać z fotela. Tylko César patrzył przed siebie niewzruszony.

Próbowałem zmusić się do uprzejmego uśmiechu.

– Jakiś problem?

– Pozwoli pan z nami. I proszę wziąć paszport.

Wyraz jego twarzy nie pasował do pozornie uprzejmych słów. Nie miałem wyjścia – musiałem posłusznie wykonać polecenie.

Wstałem. Funkcjonariusze wyprowadzili mnie z odrzutowca bez choćby słowa wyjaśnienia. Kazali mi wsiąść do małego samochodziku, jakie jeżdżą po płycie lotniska, i zawieźli z powrotem do terminalu.

Zaprowadzili mnie do pomieszczenia ochrony, niewiele większego od spiżarki. Pod sufitem migąła jarzeniówka, a na ścianach wisiały rozmaite plakaty z instrukcjami bezpieczeństwa oraz zdjęciami poszukiwanych przestępców.

Powoli zaczęło do mnie docierać, że moja podróż do Mali dobiegła właśnie końca.

Jeden z policjantów poprosił mnie o paszport. Wręczyłem mu go, z całych sił starając się powstrzymać drżenie rąk. Funkcjonariusz kazał mi usiąść na jednym z plastikowych krzesełek przymocowanych do ściany. Przez chwilę miałem ochotę zaprotestować, ale uznałem, że rozsądniej będzie w milczeniu wypełniać polecenia.

Ten z moim paszportem wszedł za ladę, na której stał komputer obsługiwany właśnie przez innego policjanta. W małej sali bez trudu mogłem podsłuchać ich rozmowę – mówili po portugalsku, przekonani pewnie, że ich nie rozumiem.

Jeden z nich otworzył mój paszport i odczytał nazwisko.

– Tirso Alfaro – powiedział. – To ten.

– Jesteś pewny?

– To o nim pisali w zawiadomieniu. Sprawdź w bazie czerwonych alertów Interpolu.

Przekląłem w myślach puste obietnice Gaetana Rosy. Spośród wszystkich pasażerów to właśnie mnie poprosili o paszport – ewidentnie wiedzieli, kogo szukać. Alfons zawiódł mnie prosto w pułapkę.

Policjant wklepywał dane do komputera i sprawdzał coś na ekranie, a mnie zrobiło się słabo. Mijały długie sekundy, a potem minuty. Zmuszałem się, by nie zapomnieć

o oddychaniu.

Funkcjonariusze wpatrywali się w ekran.

Zamknąłem oczy i wziąłem głęboki wdech. Ręce mi się trzęsły.

– Nie widzę go.

Otworzyłem oczy i przyjrzałem się uważnie policjantom.

– Sprawdź jeszcze raz. Powinien tu być.

– Mówię ci przecież, że nie ma. Sam zobacz: takie nazwisko nie figuruje na liście czerwonych alertów.

Policjanci zmarszczyli brwi i zaczęli się wyraźnie denerwować, a tymczasem ja stopniowo dochodziłem do siebie. Jeden z nich zasugerował, żeby sprawdzić całą bazę listów gończych.

– Nic – stwierdził ten od komputera. – Ani w pomarańczowych alertach, ani w niebieskich, ani w zielonych. Nikt tego gościa nie szuka.

– Cholera – mruknął jego kolega. – Spróbuj jeszcze w systemie policji hiszpańskiej.

– Już sprawdzałem. Tam też nie ma żadnego nakazu zatrzymania. Fałszywe ostrzeżenie: albo ktoś robił sobie żarty, albo się pomylił.

W duchu zacząłem już dziękować swojemu niezemiemu fartowi, aniołowi stróżowi czy innym niepojętym mistycznym siłom, kiedy nagle umysł podsunął mi obraz Nicolasa z ogromnym kubkiem coli w ręku. Usłyszałem nawet jego głos („W porządku. Zrobione”). Nie do wiary – ten pryszczaty worek hormonów naprawdę dotrzymał słowa!

Yokai wyciągnął mnie z bazy danych Interpolu.

Jeden z policjantów podszedł do mnie i oddał paszport.

– Dziękuję – powiedział, tym razem po hiszpańsku. – Przepraszamy za zamieszanie, wszystko jest w porządku.

Miałem ochotę wybuchnąć głośnym śmiechem, jakbym usłyszał właśnie najśmieszniejszy dowcip świata.

(„Nic nie szkodzi, panie władzo. A właśnie, zna pan może ten kawał o młodym modelarzu, który wydymał cały system informatyczny Interpolu?”).

Uśmiechnąłem się jednak tylko nerwowo i podziękowałem policjantowi. Ten, teraz już dużo uprzejmiej, zaproponował, że odwiezie mnie do samolotu. Wysadził mnie pod samym wejściem, a wcześniej jeszcze raz przeprosił za kłopot i życzył udanego lotu. Bałem się, że jeśli lada chwila sobie nie pójdzie, to parsknę mu w twarz histerycznym śmiechem, mieszanką nerwów i ulgi.

Warto było zobaczyć zaskoczone spojrzenia Bańki i Enigmy, kiedy zobaczyli, jak wkraczam z powrotem na pokład.

Opadłem na fotel i drżącymi rękami zapiąłem pas bezpieczeństwa. Gdy samolot ruszył po pasie startowym i zaczął się wznosić, ogarnęło mnie cudowne uczucie euforii.

Koła oderwały się od asfaltu i po chwili Lizbona leżała nam u stóp.

Ledwo znaleźliśmy się w powietrzu, Bańka wstał z fotela i podszedł do mnie. Usiadł na wolnym siedzeniu obok, a ja zwięźle wytłumaczyłem mu, co zaszło.

– Rosa. Ten pieprzony sukinsyn – wycedził przez zęby. – Zdradził cię.

– Na to wygląda. Nie rozumiem tylko, co mógł na tym zyskać.

– Kto go tam wie? Tak to jest, jak się idzie na układy z ludźmi jego pokroju: są winni

tyle różnych przysług, że nigdy nie wiesz, czy akurat ciebie nie wykorzystają, żeby którąś z nich spłacić.

– Myślisz, że będziemy mieć jakieś problemy z tym statkiem w Prai?

– Prawdę mówiąc, w tej chwili wątpię, czy ten statek w ogóle istnieje. Tak czy inaczej, sam wczoraj powiedziałeś: nie możemy się już cofnąć. Musimy więc realizować dalej plan i przygotować się na każdą ewentualność i najbardziej nieprzyjemne niespodzianki.

Ja jednak wciąż byłem zadowolony, że udało mi się wykiwać strażników z lotniska, więc pozwoliłem sobie na nieco optymizmu.

– Byle niespodzianka nie da rady Poszukiwaczowi. My nie wpadamy w pułapki, sami je zastawiamy.

– Niech tak będzie, Faro. Ale nie traćmy czujności – to dopiero początek.

KUSZNIK (II)

Poszukiwacze się nie starzeją – te słowa często słyszało się w Piwnicy. Jak każde powiedzenie, i to było w dużym stopniu uogólnieniem, tkwiło w nim jednak spore ziarno prawdy.

Praca Poszukiwacza była niezwykle absorbująca i praktycznie nie zostawiała czasu na wypoczynek czy hobby, ale większości członków Korpusu zupełnie to nie przeszkadzało, bo robili to, co kochali. Nie wyobrażali sobie, że mogliby się zajmować czymś innym, a w każdą misję wkładali całe serce i duszę. Ten fach wymagał zapału i wyjątkowej pasji, ale też nieprzywiązywania szczególnej wagi do przyszłości.

To typowe cechy ludzi młodych i stąd utarta opinia, że Poszukiwacze się nie starzeją. Stwierdzenie to nie miało brzmieć ponuro, a jedynie zwracać uwagę na to, że z wiekiem powoli przestaje się być Poszukiwaczem, że nie chce się już nim być. Po prostu.

Narváez stanowił rzadki wyjątek i dlatego tak wielu go podziwiała. Korpus był dla niego wszystkim. Zdecydowana większość jego podwładnych prędzej czy później decydowała się na zbudowanie własnego życia, z dala od Piwnicy. Żaden Poszukiwacz nie miał siwych włosów w chwili oddawania przepustki. Żaden się tu nie zestarzał.

Skrzydłowy został w Korpusie, dopóki pozwalała mu na to sytuacja życiowa. Nie odszedł wcześniej przez wzgląd na lojalność wobec Narvaeza, owszem, ale musiał też przyznać, że uwielbiał to, co robił, i wiedział, że będzie mu tego brakowało.

Anę Marię poznał jeszcze jako aktywny agent. Kobieta pracowała w bibliotece publicznej niedaleko mieszkania Skrzydłowego – spartańskiej i niezbyt czystej dziupli kawalera. Nie należała do najpiękniejszych kobiet na świecie, ale miłe i sympatyczne usposobienie z nawiązką rekompensowało jej niedostatki urody. Zdawała się też przepadać za tym krępy męczyzną pod czterdziestkę, który podawał się za przewodnika turystycznego.

Pobrali się. Ślub i wesele nie wyróżniały się niczym szczególnym, może poza tym, że liczba gości panny młodej dwukrotnie przewyższała tych zaproszonych przez pana młodego, zresztą wyłącznie krewnych.

Przez jakiś czas Skrzydłowemu udawało się godzić małżeństwo z pracą Poszukiwacza. Anie Marii nie przeszkadzało, że jej mąż – rzekomo przewodnik – spędza dużo czasu poza domem. Zawsze zresztą przywoził jej piękne prezenty z podróży, choć nie chciał zbyt wiele opowiadać o oprowadzaniu turystów.

Rok po ślubie zaszła w ciążę, czego oboje bardzo pragnęli. Wkrótce, podczas badania USG, lekarka oznajmiła, że Ana María spodziewa się bliźniaków. To wtedy do Skrzydłowego dotarło, że nie zdoła już dłużej łączyć pracy w Korpusie z małżeństwem i wychowywaniem dwójki dzieci. Silnej i upartej Anie Marii nie przyszłoby nawet do głowy narzekać, że musi zastępować dzieciom ojca podczas jego długich wyjazdów służbowych, ale Skrzydłowy uznał, że byłoby to niesprawiedliwe.

Tak więc i on nie zestarzał się jako Poszukiwacz.

Oddał niebieską przepustkę i pożegnał się z Piwnicą. Z pewnym żalem myślał o wszystkim, co za sobą zostawia, ale pocieszał się, że robi to z własnej woli.

Zawsze spostrzegawczy Narváez wiedział jednak, że odejście z Korpusu jest dla Skrzydłowego dużo trudniejsze, niż chciałby przyznać.

– Wiesz, gdzie nas szukać – powiedział mu ostatniego dnia. – Nie musimy palić mostów. Byłeś jednym z najwierniejszych agentów i bardzo bym nie chciał stracić z tobą kontaktu. Odzywaj się czasem i dawaj znać, co u ciebie słychać.

Skrzydłowy obiecał, że tak będzie.

Wielu eks-Poszukiwaczy trafiło do służb wywiadowczych. W czasach, kiedy Skrzydłowy odchodził z Korpusu, nazywały się jeszcze NCWO¹, ale po niespełna roku przemianowano je na NCW.

Ten były Poszukiwacz nie chciał jednak zostać szpiegiem. Miał dość ciągłych tajemnic. Potrzebował normalnej pracy, o której mógłby porozmawiać wieczorem z rodziną. Narváez zaproponował mu więc coś lepiej spełniającego jego oczekiwania: „A może Brygada ds. Dziedzictwa Historycznego?” – zapytał.

Staruszek pociągnął za sznurki i Skrzydłowy trafił do policji, gdzie zaczął od stanowiska podinspektora. Ana María nie zdawała się zbyt zaskoczona tak radykalnym zwrotem w karierze męża, jakby przejście z biura turystycznego do organów ścigania uważała za najzwyklejszą rzecz pod słońcem. Jak podejrzewał Skrzydłowy, żona po prostu bardzo cieszyła się z tego, że od tej pory będzie spędzał więcej czasu w domu, i nawet się nie zastanawiała, czy taka zmiana to coś normalnego. Nie pamiętał już nawet, jaką bajeczką to uzasadnił, szczęśliwy, że to pewnie ostatni raz, kiedy musi kłamać na tematy zawodowe.

Czas płynął spokojnie, nawet nieco nudno. Bliźnięta przyszły na świat (chłopiec i dziewczynka – zdrowi, rozwrzeszczani i w niezrozumiały sposób uroczy, jak wszystkie niemowlęta), Skrzydłowy dość szybko zaaklimatyzował się w nowej pracy, od czasu do czasu spotykał się z Narvaezem, ale poza tym zmienił się w typową głowę rodziny.

Tylko jedno wspomnienie z Korpusu spędzało mu niekiedy sen z powiek: Piorun.

Był dobrym człowiekiem. Gdy pojawiał się w Piwnicy, wszystko zaczynało się kręcić wokół niego. Biła od niego charyzma i naturalny urok. Skrzydłowy bardzo go polubił, może właśnie dlatego, że tak wiele ich różniło. Z czasem stali się bardzo bliskimi przyjaciółmi, więc śmierć Pioruna dotknęła go tak mocno, jakby chodziło o rodzzonego brata.

Od Narvaeza dowiedział się, że Piorun osierocił syna. Syna, dla którego podjął zaskakującą decyzję o odejściu z Korpusu – chciał się nim opiekować.

Został jednak zamordowany i nie mógł spełnić swojego marzenia.

Narváez mawiał, że Piorun nigdy nie mógłby być szczęśliwy poza Korpusem. Według Staruszka należał do tych, którzy czują się spełnieni tylko wtedy, kiedy podążają za jakąś tajemnicą. Skrzydłowy nie rozumiał tej opinii ani się z nią nie zgadzał. Uważał, że nawet gdyby Piorun nie znalazł szczęścia, to miał prawo przekonać się o tym na własnej skórze.

Umrzeć na obczyźnie, w wyniku zdrady – to nie była śmierć godna kogoś takiego jak Piorun. Skrzydłowy nie znał nikogo tak radosnego, odważnego i lojalnego zarazem.

Nieważne, co na ten temat sądził Narváez – Skrzydłowy głęboko wierzył, że Piorun równie dobrze sprawdziłby się w roli ojca jak przyjaciela. Niestety, ktoś odebrał jego synowi szansę, by mógł się o tym przekonać. Karygodna niesprawiedliwość.

Skrzydłowy był prostym człowiekiem, więc miał prosty obraz świata: dzielił rzeczy na dobre i złe, sprawiedliwe i niesprawiedliwe, prostolinijne i pokrętne... A kiedy coś było pokrętne, to on musiał to wyprostować.

Nic nie mogło przywrócić Piorunowi życia, ale nikt nie powiedział, że morderców nie powinna spotkać kara za to, co zrobili.

Sprawca zabójstwa, narkotykowy boss znany pod pseudonimem Gambo, wyrównywał już rachunki z bogiem, jeśli w jakiegoś wierzył. Jednak osoba, która wydała Pioruna kartelowi i miała jego krew nie tyle na rękach, ile na języku, pozostawała na wolności, cieszyła się dobrym zdrowiem i licznymi sukcesami.

Gdyby Skrzydłowy nie był przekonany, że zna imię zdrajcy, wspomnienie Pioruna nie prześladowałoby go pewnie w koszmarach.

Kusznik – tak brzmiało to imię.

Kusznik.

Imię i podejrzenie – Skrzydłowy nie miał nic więcej. Narvaezowi to nie wystarczyło, więc uciął jego dochodzenie. Eks-Poszukiwacz nie żywił do niego urazy – Staruszek traktował Korpus jak największą świętość i nigdy by nie przyznał, że którykolwiek element może szwankować. Tak jak kobieta, która odkrywa guzek w piersi i nie idzie do lekarza ze strachu, że może się to okazać czymś poważnym.

Po odejściu z Korpusu i wstąpieniu do policji Skrzydłowego nie obowiązywały już jednak polecenia Staruszka. Mógł wziąć Kusznika pod lupę i podążyć tropem, dopóki starczy mu sprytu. Wiecznie miał tę sprawę z tyłu głowy i nie dawała mu spokoju.

Jako podinspektor starał się być na bieżąco ze wszystkim, co mogło mieć jakiś związek ze śmiercią Pioruna. Z czasem awansował na stanowisko inspektora, ale zachował duszę Poszukiwacza. Zawsze czujny. Bezustannie wypatrywał brakujących elementów układanki.

W końcu, prawie dziesięć lat po odejściu z Korpusu, kiedy niemal nikt już nie pamiętał ani o Kuszniku, ani o Piorunie (ani o jego synu, który musiał mieć teraz koło dwudziestki), Skrzydłowy trafił na nowy ślad.

W marcu 2009 roku policja przechwyciła 350 kilogramów kokainy z kontenera w porcie w Walencji. Doszło do tego w ramach drugiej fazy zakrojonej na szeroką skalę akcji pod kryptonimem „Cyklon”, wymierzonej w handlarzy narkotyków. Kokaina przyłynęła z Argentyny, ukryta w ładunku części do wiatraków. Zatrzymano wielu podejrzanych z Hiszpanii i Ameryki Południowej. Wśród tych ostatnich znalazło się kilku członków karteli z Karaibów.

Jednym z nich był Kolumbijczyk nazwiskiem Jairo Salazar Batalla, alias Zadymiarz. Z akt wynikało, że Zadymiarz swoją karierę dilera zaczynał w kartelu Valcabado, w kręgach powiązanych z Gambą.

Skrzydłowy miał wiele kontaktów, również w OPSNPZ², odpowiedzialnym za operację Cyklon. Dzięki nim udało mu się załatwić spotkanie z Zadymiarzem pod pretekstem próby uzyskania od handlarza informacji związanych z przemytem dzieł sztuki. W jakimś

stopniu miało to oparcie w rzeczywistości.

Przesłuchanie odbyło się w więzieniu w Walencji. Skrzydłowemu udało się zostać sam na sam z podejrzanym. Zadymiarz był Metysem o groźnym wyglądzie. Z tyłu jego gładko wygolonej czaszki widniał tatuaż w kształcie serca przebitego mieczami.

– Nie interesuje mnie, dlaczego pan się tu znalazł – oświadczył Skrzydłowy z nadzieją, że uda mu się w ten sposób skłonić przestępcę do mówienia. – Nie chcę też rozmawiać o niczym, co mogłoby pogorszyć pana obecną sytuację, mogę to panu zagwarantować.

– Już mi mówili – odparł Zadymiarz. Zachowywał się demonstracyjnie spokojnie i uprzejmie. – Chodzi o jakieś starocie, tak? Proszę bardzo, mam teraz dużo wolnego czasu.

– Jestem panu bardzo wdzięczny.

– Nie ma za co, dziadku. Powiem, co będę chciał, a jak jakieś pytanie mi się nie spodoba, to nie odpowiem i tyle. To wszystko. Co chcesz wiedzieć?

– Dziesięć lat temu był pan członkiem grupy Alexandra Fialla Gamboi, zgadza się?

– Gamby? Zgadza się. Ukatrupili go na Florydzie czy gdzieś tam, biednego sukinsyna. Ale odsiedziałem już pięć lat w pierdlu za układy z gościem. Nie mam na ten temat nic do gadania. Psiarnia już wszystko wie.

– Psiarnia?

– Policja, koleś. Policja, sąd i tak dalej.

– Rozumiem. Jak już mówiłem, nie interesują mnie pańskie poczynania. Jestem z Brygady ds. Dziedzictwa Historycznego, nie z wydziału narkotyków.

Zadymiarz uśmiechnął się kpiąco.

– To od razu widać, dziadku. Ale co ja mam niby wspólnego z jakimiś obrazami? Nie wiem, czy zauważyłeś, ale nie interesuję się sztuką.

– Mówi ci coś nazwisko Andrés Castro Elías?

Skrzydłowy bacznie przyglądał się reakcji Zadymiarza. To pod tym pseudonimem Piorun zginął w Valcabado.

Przesłuchiwany w zamyśleniu pocierał podbródek. Po kilku minutach coś sobie chyba przypomniał.

– A, tak... Tamten blondas. Przystojniak, nie ma co: wszystkie laski szefa na niego leciały. Mówił niby, że handluje drogimi obrazkami i innymi pierdołami, ale to ściema, był zwykłą mendą i szef go sprzątnął, tak przynajmniej słyszałem.

– Mendą?

– Policjantem. Skąd ty się urwałeś, dziadku?

– No dobrze. Czyli Gambo odkrył, że Castro Elías nie był tym, za kogo się podawał, i go zabił – powiedział Skrzydłowy, żeby się upewnić, czy dobrze zrozumiał słowa Zadymiarza.

– Zgadza się. Ale ja nie wiem dokładnie, co tam się działo, bo byłem wtedy tylko płotką. Zdaje się, że szef kazał dwóm ziomkom załatwić blondasa. Zabrali go do dżungli i ukatrupili. Tak się załatwiała takie sprawy.

– Pamiętasz, jak się nazywali?

– Nie. Chociaż jeden miał chyba ksywę Tygrys, ale drugiego nie znałem. Co to zresztą za różnica, dziadku? Obu ich już zrobili na cacy. Kaput.

– Nie żyją?

– No, mówię przecież.

– Kto ich zabił?

– Nie mam pojęcia, dziadku. Tak tylko słyszałem. Pewnie wykończyli ich razem z szefem, tam na Florydzie. Zabójstwo na zlecenie czy coś.

– Jeszcze jedno – powiedział Skrzydłowy. – Ktoś zdradził Castra Eliasa. Wiesz kto?

– Pewnie. Jakiś typ, co zawsze się włóczył za tym blondasem, jakby był jego kumplem. Nie pamiętam, jak się zwał.

– Może Carlos Nasser Batalla? – zapytał policjant. To pod tym pseudonimem ukrywał się Kuznik podczas tamtej misji.

Zadymiarz pstryknął palcami.

– Tak, tak mu było! Szef mówił na niego Carlitos. To w ogóle śmieszna historia, bo z początku szef myślał, że to Carlitos jest mendą, ale potem tamten wyśpiewał wszystko o blondasie i nawet się zakumplowali. Szef bardzo polubił tego Carlitosa.

– A ty go znałeś?

– Parę razy z nim gadałem. Całkiem równy gość.

– Poznałbyś go, gdybyś go teraz zobaczył?

– Możliwe.

Skrzydłowy położył na stole fotografie trzech bardzo podobnych mężczyzn i poprosił Zadymiarza, żeby ten wskazał wśród nich Carlosa Nassera. Po kilku sekundach namysłu handlarz wybrał środkowe zdjęcie.

Policjant skinął głową – Zadymiarz wskazał Kuznika.

– Jesteś pewny, że to on?

– Tak, pamiętam jego oczy. To ten koleś.

– Mógłbyś poświadczyć to na piśmie, gdybym cię o to poprosił?

– Nie tak szybko, dziadku. Co ja będę z tego miał?

– Nie mogę ci nic zaoferować – przyznał eks-Poszukiwacz. – Jak już mówiłem, nie mam nic wspólnego z twoją obecną sytuacją. Jeśli jednak mi pomożesz, obiecuję, że porozmawiam z ludźmi, którzy będą mogli jakoś wynagrodzić cię za współpracę.

– Tyle?

– Przykro mi.

– Chuj ci w dupę, stary dziadzie. Nie będę się pchał w jakieś twoje sprawy za nic.

– Posłuchaj: to dla mnie bardzo ważne. Tamten zamordowany mężczyzna nie był policjantem, mogę ci to przysiąc. Ale to prawda, że Carlos Nasser oszukał Gambę: chciał go obrabować. Chcę tylko, żeby dostał to, co mu się należy. Oko za oko, rozumiesz? Nie proszę cię jako policjant... – Skrzydłowy nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć, żeby przekonać Zadymiarza. Ten z kolei chyba zupełnie stracił zainteresowanie rozmową. Policjant westchnął ciężko w poczuciu beznadziei. – Przemyśl to, dobrze? Zawsze dotrzymuję słowa. Jeśli obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wynagrodzić ci twoją pomoc, to nie kłamię.

Zadymiarz nie raczył odpowiedzieć. W końcu Skrzydłowy uznał swoją porażkę i wstał. Już otwierał drzwi, kiedy dobiegł go głos dilera:

– Zastanowię się, dziadku. Nic więcej nie obiecuję.

Po spotkaniu policjant poczuł umiarkowany optymizm. Postanowił odezwać się do znajomych śledczych i spróbować załatwić sobie jakąś kartę przetargową w negocjacjach ze świadkiem. Był pewny, że jeśli będzie nalegał wystarczająco mocno, uda mu się coś ugrać.

Niestety, Skrzydłowy nie miał już okazji wcielić swojego planu w życie. Kilka dni później Zadymiarzowi ktoś poderżnął gardło w więzieniu. Policja mówiła o porachunkach między członkami rywalizujących karteli. Tak czy inaczej, Skrzydłowy stracił pierwszy od lat wyraźny ślad.

Przynajmniej jedno udało mu się jednak wyjaśnić: bez dwóch zdań to Kuszniak doniósł na Pioruna. Potrzebował teraz tylko jakiegoś sposobu, żeby to udowodnić.

Postanowił, że prędzej czy później go znajdzie, nawet jeśli miałoby mu to zająć kolejne dziesięć lat.

Nigdy nie porzucił tropu w pół drogi.

1. Najwyższe Centrum Wywiadu Obronnego, Centro Superior de Información de la Defensa (CESID) (przyp. tłum.).
[↵](#)
2. Oddział Policji Sądowej ds. Narkotyków i Przeszłości Zorganizowanej (UDYCO – Unidad de Drogas y Crimen Organizado de la Policía Judicial). [↵](#)

CZEŚĆ TRZECIA

SKARB ARMÓW

Musa i Zielony Prorok kontynuowali marsz od Wielkiej Rzeki w stronę Miasta Umarłych. Gdy tylko Musa postawił stopę na tej ziemi zła, zadrżał ze strachu i zawołał: „Ach, biada nam! Niech Allah ma nas w opiece! Czy to nie tutaj gnieździ się Bida, demon w ciele węża o siedmiu łbach? Oddalmy się stąd, zanim nas pożre”.

Zielony Prorok odparł: „Głupcem jesteś, jeśli się lękasz. To prawda, że tutaj właśnie żyje Groźny Wąż, ale nasz Pan jest potężniejszy niż wszystkie demony. Powiadam ci: pewnego dnia przybędzie tu z ziemi Firauna król, którego zwać będą Igo Khasse Dingka, co znaczy Wielki Stary Człowiek. Allah obdarzy go siłą, aby zwyciężył siedmiogłowego węża i założył imperium tak wielkie jak sama Sahara, gdzie Imię Allacha sławione będzie przez wieki. Nie obawiaj się więc demona, bo ani jego, ani nasz czas jeszcze nie nadszedł”.

Musa, pod wielkim wrażeniem mądrych słów Zielonego Proroka, ruszył za nim bez strachu.

Gdy zbliżali się do Miasta Umarłych, zobaczyli bawiące się dziecko. Zielony Prorok podszedł do niego i ściął mu głowę. Musa powiedział: „Zabiłeś niewinne dziecko! Dopuszciliście się strasznego czynu!”.

Zielony Prorok zapytał: „Czy nie mówiłem ci, żebyś zachował cierpliwość?”. Musa odparł: „Od tej pory, jeśli kiedykolwiek w ciebie zwątpię, możesz odrzucić moje towarzystwo. Przyjmij moje przeprosiny”.

I ruszyli w dalszą drogę, aż dotarli do miasta. Błagali mieszkańców o pożywienie, ale tamci odmówili im gościny i przepędzili kijami i kamieniami. Zielony Prorok zauważył grożący zawaleniem fragment murów miejskich i załatał dziurę. Musa powiedział: „Jeślibyś zechciał, mógłbyś zmusić tych niewdzięczników, żeby nakarmili nas i dali nam dach nad głową w zamian za naprawę muru”.

Zielony Prorok wyjął ze ściany jeden z kamieni i dotknięciem zamienił go w złoto. Schował cegłę w swojej skórzanej sakwie razem ze sterem i głową dziecka, po czym wręczył worek Musie.

I powiedział: „Weź to i podążaj za mną w milczeniu. Zbliża się chwila, w której poznasz znaczenie tego, do czego zabrakło ci cierpliwości”.

*Mardud z Sewilli,
sura 18*

PAKT

Odrzutowiec Gaetana Rosy dotarł do Prai o zachodzie słońca. Przez trzy godziny przyjemnego lotu zdołaliśmy niemal zapomnieć o czekającej nas niepewnej przyszłości – siedzieliśmy wygodnie rozparci w skórzanych fotelach, obsługiwani przez uprzejme i atrakcyjne stewardesy. Doceniałem komfortowe warunki bardziej niż zwykle, bo miał to być nasz ostatni kontakt z cywilizacyjnymi wygodami w bliżej nieokreślonym czasie.

Samolot wylądował na prywatnym lotnisku. Trzej milczący biznesmeni, nasi towarzysze podróży, natychmiast po zejściu z pokładu zniknęli we wnętrzach luksusowych samochodów. Zostawili nas za sobą jak zbędne bagaże i nie zaszczycili nawet pożegnaniem, nie mówiąc o udzieleniu jakichkolwiek wskazówek.

Zgodnie z instrukcjami przekazanymi Danny przez Gaetana mieliśmy spotkać się z jakimś mężczyzną w pewnym lokalu w Cidade Velha, około piętnastu kilometrów na zachód od Prai.

Wulkaniczne góry wyspy Santiago twardym konturem otaczały stolicę Republiki Zielonego Przylądka. Panował wilgotny, przytłaczający upał. Mój pierwszy kontakt z Afryką: niewielkie miasteczko o szerokich drogach gruntowych, przy których stały przysadziste domy z fasadami pomalowanymi na żywe kolory. Ludzie o czarnej, błyszczącej skórze przechadzali się nieśpiesznie lub siedzieli w bramach i przyglądali się światu. Mężczyźni nosili koszulki i bermudy, kobiety – krótkie spódniczki i bluzki na ramiączkach, a na głowach kolorowe chustki. Nie rościli sobie pretensji do mody, zdawało się zależeć im tylko na tym, żeby nie chodzić nago po ulicy. Nie sposób było dostrzec żadnych elementów afrykańskiej egzotyki – wszyscy sprawiali raczej wrażenie osób ubranych po domowemu, przez co całe miasto przypominało swego rodzaju podwórko.

Złapaliśmy taksówkę do Cidade Velha. Dochodziła dziewiętnasta i na wyspie zapadł już zmrok. Nieliczne latarnie ledwie oświetlały coraz bardziej opustoszałe ulice.

Cidade Velha powstało jako pierwsza portugalska enklawa na Wyspach Zielonego Przylądka, a zarazem pierwsze europejskie miasto założone w afrykańskich tropikach. Taksówkarz – gadatliwy właściciel samochodu błyszczącego tak, jakby wyjechał prosto z salonu – zasypywał nas anegdotami o tej historycznej miejscowości. Wyglądaliśmy prawdopodobnie na podróżników w rodzaju tych, co zawsze mają w plecaku przewodnik *Lonely Planet* i polują na niezapomniane doświadczenia.

Spodziewaliśmy się, że cel naszej podróży będzie równie opuszczony jak pozostałe miejsca mijane po drodze, ale nie mieliśmy racji. Kiedy taksówka zajechała na jedyny plac w mieście, okazało się, że trafiliśmy na jakieś święto.

Na brukowanym rynku – przywodzącym na myśl te w starych kastylijskich miasteczkach – ustawiono scenę oświetloną reflektorami. Grupa młodych mężczyzn grała na bębnach, gwizdkach i djembe, a wpadające w ucho dźwięki odbijały się echem po całym placu.

Wszyscy muzycy mieli na sobie żółte koszulki i jak sprężyny podrygiwali w rytm instrumentów.

Wokół sceny kobiety i mężczyźni, ubrani w identyczne koszulki, tańczyli, podskakiwali, klaskali i rozmawiali z ożywieniem. Niektórzy wymachiwali biało-żółtymi flagami i wznosili entuzjastyczne okrzyki. Rynek przypominał dyskotekę na świeżym powietrzu.

W naszej taksówce Enigma zaczęła poruszać ramionami w takt muzyki. Jej dobry humor zdawał się odporny na jakiegokolwiek zmartwienia związane z czekającym nas niebezpieczeństwem.

– Nieźle brzmi, prawda? – spytała z uśmiechem. Potem zwróciła się po portugalsku do kierowcy: – Co to za impreza?

– To mityng, proszę pani.

– Mityng? Ma pan na myśli wiec polityczny?

– Dokładnie tak. Organizują to *tambarinas*, zwolennicy PAICV¹. Za tydzień mamy tu wybory.

– Świetnie – mruknął Bańka z irytacją.

Wysiedliśmy z taksówki wprost w tłum bawiących się działaczy, którzy tańczyli wokół nas i wręczali nam kolorowe naklejki. Czym prędzej wypłataliśmy się z tłuszczy i skierowaliśmy kroki na drugi koniec placu. Stał tam rząd chałup przypominających plażowe bary, tyle że zbudowane z gliny.

Szukaliśmy lokalu zwanego Pelourinho. Według Gaetana Rosy to tam mieliśmy spotkać kapitana statku *Buenaventura*.

Znaleźliśmy bar bez najmniejszego problemu. W środku kilku *tambarinas* piło piwo przy bufecie. Pozostali goście siedzieli w grupkach przy nielicznych stolikach i zabijali czas zamawianiem kolejnych dań i napojów, wyglądali na rynek albo grali w domino. Apatyczna atmosfera lokalu silnie kontrastowała z szaleńczym ożywieniem panującym na zewnątrz. Bańka podszedł do stojącej za barem Mulatki.

– Dobry wieczór – przywitał się po portugalsku. – Szukam mężczyzny nazwiskiem Freddy Santos. Podobno można go tu spotkać.

Kobieta obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

– A kto go szuka?

– Jesteśmy znajomymi Gaetana Rosy.

Twarz kelnerki nie zdradziła żadnych emocji. Kobieta wskazała dłonią drzwi za zasłoną z plastikowych koralików.

– Tam. Od razu go poznacie, to jedyny biały w całym salonie.

Weszliśmy do wskazanego pomieszczenia. Słowo „salon” dość na wyrost opisywało pokój na zapleczu, do którego ktoś wstawił kilka plastikowych stolików. Przy jednym z nich siedział biały mężczyzna i samotnie pił piwo z małej butelki.

Miał koło pięćdziesiątki. Był ubrany w wygniecione niebieskie spodnie i szarą koszulę, rozpiętą aż do pępka. Siwe włosy sterczały w nieładzie, a twarz pokrywał mu cień niedogolonej brody, wyglądem i kolorem przypominającej raczej zawartość popielniczki niż zarost.

Bańka podszedł do mężczyzny.

– Pan Freddy Santos?

Oderwał wzrok od piwa. Nasz widok wyraźnie go zaskoczył.

– Ojacie! – zawołał po hiszpańsku. – Trzech mężczyzn i kobieta! Nawet mi nie mówcie, że wy od Gaetana Rosy...

– Odnoszę wrażenie, że nie spodziewał się pan naszego przyjazdu – stwierdził Bańka.

– A skąd! Myślałem, że jednego zatrzymała w Lizbonie portugalska policja. – Lekko wstawiony Santos zachichotał. – Tak mi przynajmniej powiedział szef.

– Rosa powiedział, że jednego z nas zatrzymają?

– Rosa nie jest moim szefem, mam go gdzieś. Ale siadajcie, siadajcie. Wypijemy parę piwek – powiedział, podnosząc butelkę. – Ta murzyńska speluna jest do dupy, ale browary mają nie najgorsze.

Zajęliśmy krzesła wokół Santosa, który uparł się, żeby postawić każdemu z nas po piwie. Kiedy napoje wylądowały już na stole, Santos zdradził nam kilka niezwykle ciekawych szczegółów dotyczących przekrętów Rosy. Alkohol rozwiązał kapitanowi język i wymusnęło mu się kilka niedyskretnych uwag.

– Mój szef jest z Wenezueli – wyjaśnił. – To on jest właścicielem statku. Czasem robi jakieś interesy z tym dupkiem Rosą, ale ja nie mam z nim nic wspólnego. Parę dni temu zaczęli mi coś nawijać, że mam was zgarnąć z Prai, chociaż szefowi wcale się to nie uśmiechało.

– To czemu się zgodził? – zapytała Enigma.

– Chodzi o kasę, nie? Rosa nieźle zapłacił, żebym was zabrał. Ale kutas wygadał się, że jeden z was ma na pieńku z Interpolem, podał nawet nazwisko i w ogóle. „Uważajcie na niego”, powiedział. „Trzymajcie go z dala od celników, bo będą kłopoty”.

– Nie rozumiem – wtrąciłem. – Skoro Rosa uprzedził pańskiego szefa, to czemu doniósł na mnie Interpolowi w Lizbonie?

– Nic nie rozumiesz, człowieku: to nie Rosa cię podkablował, tylko szef. Chciał zatrzymać kasę i oszczędzić sobie problemu z dodatkowymi pasażerami. Powiedział, że jeśli nie zjawi się trzech facetów i babka, mam was nie zabierać na statek. Ale zdziwko! W końcu się zjawili, nie? – Santos roześmiał się, jakby powiedział coś bardzo zabawnego. Jego oddech cuchnął tytoniem i przetrawionym piwem.

Zdziwiłem się, że Rosa mimo wszystko dotrzymał słowa. Okazało się, że i w paskudnym świecie przemytników i sutenerów zdarzają się lepsi i gorsi. Czułem coraz większy niepokój na myśl o towarzystwie, z jakim mieliśmy do czynienia.

Santos zamówił następne piwo, pił i dalej się rozwodził. Stwierdziłem, że kapitan *Buenaventury* to jednak nie gruboskórny wilk morski, za jakiego z początku go wziąłem, a zwykły menel.

– No dobrze, proszę pana... – wtrącił się Bańka.

– Kapitanie – poprawił marynarz.

– Tak, kapitanie. A pan? Chce pan nas na statku czy nie?

– Czemu nie? Mnie już odpalili moją dolę. Nic mi do układów Rosy z moim szefem. Mieliście przyjechać, no i jesteście. Ja miałem was zabrać i zamierzam to zrobić.

Poczułem wielką ulgę.

– Jesteśmy panu wdzięczni – powiedziałem.

– Nie ma za co, wielkie mecyje: jak ktoś zapłaci, ma prawo wsiąść na mój statek.

A zresztą, co mi za różnica, czterech nieznanomych więcej? Cała moja załoga to czarnuchy z wytrzeszczonymi oczami, nie wiadomo skąd... – Santos odchrząknął i splunął gęstą flegmą na podłogę. – Pieprzona wyprawa. Jak zaczynałem ten interes, to przynajmniej mogłem wybierać sobie ludzi, teraz jestem zwykłym pionkiem i mam tylko dopłynąć, gdzie trzeba. – Utkwił melancholijne spojrzenie w butelce. Potem, nie wiedzieć czemu, zaśmiał się pod nosem.

– Jest jakiś problem z załogą? – zapytała Enigma.

– Mówiłem, że to zły pomysł – wymamrotał Santos niewyraźnie. – Łódka pełna Murzynów... Pieprzone karaluchy...

Znów zaczął snuć swoje opowieści dziwnej treści. Z niezbyt składowego monologu udało nam się jednak wywnioskować, że Santos mocno wkurzył się na szefa.

Buenaventura rzuciła kotwicę w Prai trzy dni przed naszym przyjazdem. Wtedy szef poinformował Santosa – za pośrednictwem pierwszego oficera – że musi on wymienić większość załogi. Powoływał się na względy bezpieczeństwa, ale Santos albo nie chciał nam wytłumaczyć, o co właściwie chodziło, albo zrobił to tak zawile, że nic nie zrozumiałem.

Ponad połowa marynarzy z *Buenaventury* przybyłych z Ameryki Południowej została przeniesiona na inny statek, należący do tego samego właściciela, ale płynący inną trasą. Drugi oficer *Buenaventury*, o którym Santos nie miał najlepszego zdania, skompletował nową załogę z samych „czarnuchów” – tak Santos określał mieszkańców Afryki.

Pijany kapitan narzekał, że większość z nich nie potrafi nawet posługiwać się żadnym zrozumiałym dla niego językiem. Drugi oficer jako jedyny mógł się dogadać z nową załogą. To w znacznym stopniu ograniczyło władzę Santosa, który uważał się za ofiarę zakamuflowanego buntu.

Nam ta sytuacja całkiem odpowiadała – frustracja kapitana kazała mu przyjąć nas na pokład tylko po to, żeby odzyskać utracony autorytet. Gdyby nie to, pewnie zostawiłby nas na lądzie.

Bańka chciał wiedzieć, czy drugi oficer nie będzie nam robił problemów.

– Niech mnie pocałuje w dupę – rzucił Santos. – Statek ciągle jest mój, nie? Mogę robić, co mi się podoba. – Jednym łykiem osuszył entą butelką piwa i otarł usta wierzchem dłoni. – Ale tak czy inaczej musimy uważać. Nie podobają mi się te jego konszachty z czarnuchami, ciągle tylko mamrocą coś po kątach. Prędzej zaufałbym kobrze niż tej zgrai małp. Lepiej, żebyście za bardzo nie rzucali się w oczy. Chodzi mi głównie o nią.

– Na statku nie ma innych kobiet? – spytała Enigma.

– Nie, więc wywęszą cię jak sukę w rui. Musicie dyskretnie wsiąść na statek i nie wychylać się przez całą podróż.

– Jak mamy wsiąść? – zapytałem.

– Mam pomysł, może się udać. – Santos wyciągnął z kieszeni wymiętolony karteluszek, który sprawiał wrażenie, jakby ktoś długo ścisnął go w spoczonej dłoni. – Bądźcie o piątej w tym miejscu, to wam wytłumaczę. Jeśli chcecie wypić ze mną jeszcze kolejkę, to możecie trochę zostać. Jak nie, to spierdalajcie i zostawcie mnie w spokoju.

Znaleźliśmy w Prai skromny hotel, w którym mogliśmy spędzić kilka godzin do

umówionego spotkania z Santosem. Wynajęliśmy czteroosobowy pokój, wzięliśmy prysznic i zdrzemnęliśmy się na łóżkach i kanapach.

O świcie, praktycznie jeszcze nocą, wymknęliśmy się z hotelu i udaliśmy pod adres z kartki wręczonej nam przez Santosa. Miejsce spotkania okazało się zdewastowanym budynkiem w stylu kolonialnym, siedzibą spółki ENACOL – państwowego przedsiębiorstwa paliwowego.

Miałem poważne wątpliwości, czy kapitan w ogóle tam będzie. Wyobrażałem sobie, że zasnął pijany na plastikowym stole w tamtym barze w Cidade Velha, zapomniawszy o nas w oparach alkoholu.

Ku mojemu zaskoczeniu Santos już na nas czekał. Oczy miał przekrwione i wyglądał, jakby noc spędził w rynsztoku, ale mimo to sprawiał wrażenie trzeźwiejszego niż przy naszym poprzednim spotkaniu.

– A jednak przyleźli – wymamrotał na nasz widok. – Ja pierdołę, chyba faktycznie wam zależy, żeby dostać się do tamtej dziury. Szczerze mówiąc, zastanawiam się po co?

Pytanie było jednak czysto retoryczne. Nie miał najmniejszego zamiaru z nami rozmawiać – zresztą nieziemski kac i tak mu na to nie pozwalał.

Z biura wyszedł mężczyzna w zielonym kombinezonie i serdecznie przywitał się z Santosem – najwyraźniej dobrze się znali. Odeszli na bok i rozmawiali półgłosem, niewątpliwie na nasz temat. Człowiek w kombinezonie raz po raz zerkał na nas i potakiwał. W końcu kapitan podszedł i zwrócił się do Bańki:

– Ile masz w kieszeni, mądralo?

Poszukiwacz wyjął kilka banknotów. Santos wyrwał mu je z dłoni i przeliczył.

– Będzie musiało wystarczyć – wymruczał. Wrócił do mężczyzny i wręczył mu pieniądze.

Tamten skinął głową i schował je do kieszeni. Kapitan gestem przywołał nas do siebie.

Mężczyzna w kombinezonie został nam przedstawiony jako Pedro. Bez żadnych wyjaśnień kazał nam wejść za sobą do budynku biurowego, a stamtąd wyprowadził nas na znajdujący się na tyłach wielki plac, pełny zbiorników z paliwem. Z boku stało parę budek dla robotników. Pedro otworzył drzwi jednej z nich.

– Dwóch do środka – zarządził. – Na wieszakach wiszą kombinezony, takie jak mój. Znajdźcie takie, co wam pasują, i włóżcie.

Bańka ruchem głowy dał znać mnie i Cesarowi, żebyśmy weszli. Pedro zamknął drzwi.

Znaleźliśmy się w czymś w rodzaju szatni dla robotników. Zgodnie ze słowami Pedra zobaczyliśmy zielone kombinezony z logo ENACOL-u na plecach. Wybraliśmy z Cesarem dwa w odpowiednich rozmiarach i zaczęliśmy w milczeniu się przebierać.

César odwrócił się do mnie plecami. Kiedy zdjął koszulkę, zauważyłem dziwny tatuaż na jego plecach. Właściwie wyglądał raczej jak blizna, odcinająca się czerwienią od miedzianej skóry. Na jej widok przeszedł mnie dreszcz: była wielkości dłoni i miała kształt koła, w którego wnętrzu widniała pionowa linia, potrójnie rozwidlona na górze i na dole. Nad górnym środkowym „zębem” umieszczono małą czerwoną kropkę, przez co całość przypominała dziecięcy rysunek ludzika.

Chciałem zapytać Cesara o ten tatuaż, ale ktoś załomotał do drzwi.

– Gotowi? – usłyszałem głos Pedra.

Kiedy wyszliśmy, zobaczyłem Bańkę i Enigmę przebranych za pracowników ENACOL-u, w identycznych kombinezonach. Bańka niósł na ramieniu tobolek z naszym skromnym dobytkiem.

Pedro obrzucił nas krytycznym spojrzeniem.

– Co myślisz? – zapytał Santosa.

– Dziewczynie trzeba dać czapkę, żeby schowała włosy. I nie zaszkodziłoby trochę wysmarować im gęby, bo są biali jak tyłek zakonnicy.

Pedro wręczył nam przesiąkniętą olejem szmatę, żebyśmy nieco przybrudzili nasze białe twarze mieszczuchów. Enigma zawiązała na głowie chustkę i założyła czapkę, taką jaką nosił Santos. W końcu udało nam się osiągnąć jako tako siermiężny wygląd, ale dwaj przyglądający się nam mężczyźni nadal krzywili się z niezadowoleniem.

– Nie podnoście za wysoko głowy – zarządził kapitan. – I nie patrzcie nikomu w oczy. Oby czarnuchy były jeszcze zaspane albo skacowane.

Nasza czwórka wsiadła wraz z Santosem i Pedrem do furgonetki ENACOL-u i udaliśmy się do portu. Tam czekał już zacumowany statek o płytkim zanurzeniu, właściwie większa barka, oporzadzany przez niewielką grupkę mężczyzn w zielonych kombinezonach. Pedro wskoczył na pokład, a Santos odciągnął nas na bok.

– Taka łódka nazywa się *batelão* – wyjaśnił, wskazując na barkę. – Używa się jej do transportu paliwa na okręty, które są zbyt duże, żeby zacumować w porcie. Wsiadajcie i spróbujcie wmieszać się w załogę. Zawsze róbcie to, co Pedro i ja wam powiemy, i nie otwierajcie dziobów.

Nie było trapu, więc żeby dostać się na pokład, musiałem wykonać dość duży skok z nabrzeża. Po zaokrętowaniu dyskretnie stanęliśmy w kącie. Reszta załogi – wychudzeni i zaspani czarnoskórzy robotnicy – robili swoje i nie zwracali uwagi na to, co działo się wokół. Pedro wykrzykiwał rozkazy z dziobu statku, starając się utrzymać marynarzy z dala od nas.

Zobaczyłem, że na brzegu pojawił się jakiś mężczyzna – Metys z gładko wygoloną głową, ubrany w granatową kurtkę. Santos zaczął z nim rozmawiać, a potem razem wsiadli na *batelão*.

– Pedro – powiedział Santos podniesionym głosem, żebyśmy wyraźnie go słyszeli. – Pamiętasz Reného, mojego drugiego oficera?

Pedro uścisnął rękę mężczyzny w kurtce. Kapitan właśnie nam wskazał, od kogo powinniśmy trzymać się z daleka.

Zwróciłem twarz w stronę morza, żeby uniknąć wzroku drugiego oficera. Nasza barka płynęła do *Buenaventury*. Okręt, choć niewielki w swojej klasie, mnie i tak wydawał się ogromny. Unosił się na morzu niczym żelazna wyspa, płaska i rozległa, z kadłubem w kolorze brudnej ziemi. Im bardziej się zbliżaliśmy, tym większa się zdawała, jak morski potwór stopniowo wynurzający się na powierzchnię. Ścisnęło mnie w żołądku – okręt sprawiał naprawdę złowieszcze wrażenie.

Enigma stała obok mnie – z twarzą dokładnie wysmarowaną olejem i z włosami ukrytymi pod czapką przypominała ulicznika. Spojrzała na mnie i ukradkiem puściła oko. Ta dziewczyna chyba niczego się nie bała.

Barka zatrzymała się przy *Buenaventurze*. Pracownicy ENACOL-u zaczęli wykonywać

swoje zadania, a Santos i drugi oficer wspięli się na masowiec po rozchybotanej drabinie.

– Pedro! – zawołał kapitan przed wejściem na pokład. – Weź paru ludzi i rzućcie okiem na zbiorniki paliwa. Upewnijcie się, że są w dobrym stanie, zanim odpłyniemy.

Adresat polecenia przywołał gestem mnie i moich towarzyszy, po czym weszliśmy po drabinie na okręt.

Na rozległym pokładzie *Buenaventury* stały wielkie białe kontenery. Pachniało benzyną i słoną wodą. Wszędzie kręcili się patykowaci marynarze ubrani w brudne szmaty. Wielu miało skórę czarną jak smoła.

Pedro kazał nam iść za sobą. Na rufie umieszczono ogromną konstrukcję przypominającą trzypiętrowy budynek. Dotarliśmy do niej, slalomem wyminąwszy kontenery, i zeszliśmy pod pokład po znajdującej się za drzwiami drabinie.

W kadłubie smród benzyny był jeszcze bardziej nieznośny. Pedro w milczeniu prowadził nas kolejnymi klaustrofobicznie wąskimi korytarzykami. Potem zeszliśmy jeszcze niżej, do czegoś w rodzaju ładowni. Tam już czekał na nas kapitan Santos.

– Witajcie na pokładzie – powiedział. – Możesz już iść, Pedro. Ja się nimi zajmę. Dzięki za pomoc.

– Nie ma za co. Udanego rejsu. I uważajcie na czarnych, dziwnie się patrzą.

Wyszedł, zostawiając nas sam na sam z kapitanem.

– Jak na razie przedstawienie chyba się udało – oznajmił Santos. – Drugi oficer jest zajęty w maszynowni, a reszta załogi kręci się po pokładzie. Chodźcie ze mną.

Zeszliśmy na niższy poziom. Kapitan poprowadził nas korytarzem aż do najdalszego kąta statku. Panował tam morderczy upał, powietrze było gęste jak olej, a maszyny hałasowały tak, jakby znajdowały się tuż za naszymi plecami.

Santos otworzył drzwi pustej klitki z kałużą na podłodze.

– Oto kajuta numer jeden – wskazał, po czym otworzył identyczne drzwi tuż obok – a to numer dwa. Tutaj będziecie mieszkać przez cały rejs. Bardzo mi przykro, ale wszystkie apartamenty są obecnie zajęte.

– Nie szkodzi. To bardzo... autentyczne – stwierdziła Enigma. – Co to? Schowki na miotły?

– Nie mam pojęcia – odparł Santos. – Tak czy inaczej, są puste i nikt tu nie zagląda, więc dla was to idealnie.

– A jest tu coś w rodzaju łazienki? – zapytałem.

Santos uśmiechnął się złośliwie.

– Tutaj masz wiadro, a tam luk. Użyj wyobraźni.

Zapadła niezręczna cisza i wszyscy ukradkiem zerknęliśmy na Enigmę.

– Urocz... – Westchnęła.

– Zdaję sobie sprawę, że ulokowałem was w szafie – powiedział Santos, choć nie sprawiał wrażenia, jakby mu było z tego powodu przykro – ale co mam zrobić? Jesteście gapowiczami.

– Jak na gapowiczów to całkiem sporo zapłaciliśmy za podróż – zauważył Bańka.

– Chcecie się tłumaczyć przed drugim oficerem? Zrobi dokładnie to, co chciał zrobić mój szef: z przyjemnością wyrzuci was za burtę, a wcześniej zabierze wam cały dobytek. Nie wiem, czy do was dotarło, że to nie jest rejs wycieczkowy.

– Sądziliśmy, że to pan jest kapitanem.

– Wiecie co? Też tak myślałem – stwierdził Santos z ledwie ukrywaną goryczą. – Będziemy płynąć dwa dni. Za chwilę podnosimy kotwicę i pojutrze powinniśmy dopłynąć do Konakry, jak Bóg da. Radzę, żebyście do tego czasu nie wyściubiali stąd nosa. Tu jest kran z wodą pitną, za parę godzin przyniosę wam jakieś konserwy. Zresztą warto pamiętać, że nikt nie umarł z głodu przez dwa dni.

– A co po dopłynięciu do portu?

– Później będziemy się o to martwić.

Santos bez dalszych wyjaśnień zostawił nas w tymczasowej kwaterze. Ja i César zajęliśmy jedną „kajutę”, Enigma i Bańka – drugą. Poszukiwacz sprawiał wrażenie niespokojnego.

– Chujowa sytuacja – wymamrotał. – To mi nie przypomina żadnej dotychczasowej roboty. Nie wiem, co robić, wszystko jest jakieś dziwne.

– To, czego szukacie, też nie przypomina niczego, co kiedykolwiek znaleźliście – stwierdził César.

Wszedł do naszego „pokoju” i zaczął w milczeniu ściągać kombinezon.

Buenaventura podniosła kotwicę i rozpoczęła rejs, ze mną i moimi towarzyszami ukrytymi w mrocznych wnętrznościach. Staraliśmy się nastawić na to, by jak najbardziej bezboleśnie przetrwać długie godziny oczekującej nas bezczynności.

Z perspektywy naszych ciasnych i głośnych pokoików morze zdawało się tak odległe, jak z podziemnego bunkra. Nieustanny, ogłuszający hałas maszyn w połączeniu z intensywną wonią benzyny wystawiała na trudną próbę moją odporność na chorobę morską.

Za pomocą kombinezonów ENACOL-u i resztek folii znalezionych na podłodze przez Bańkę próbowaliśmy doprowadzić kajuty do stanu jako takiej używalności, ale nie było to łatwe zadanie. Pomyślałem, że żadne z nas nie będzie spało tej nocy zbyt smacznie.

Na szczęście stoicyzm to typowa postawa Poszukiwacza. Cierpliwie znosiliśmy więc trudną sytuację i nie naprzykrzaliśmy się towarzyszom bezsensownym uskarżaniem.

César nadal nie był zbyt gadatliwy. Znalazł sobie kątek w naszej prowizorycznej kajucie i siedział tam po turecku, z zamkniętymi oczami, plecami wsparty o ścianę. Próbowałem nawiązać rozmowę.

– Twarda ta podłoga – zagailem. – Może powinniśmy rozłożyć ciuchy, będzie wygodniej... To znaczy do spania.

– Nieważne – odparł, nie otwierając nawet oczu. – Przywykłem do gorszych warunków. Znowu zapanowała cisza.

– Gorąco tu, prawda? Pocę się jak świnia – nie poddawałem się. César nic nie odpowiedział, zdawał się w ogóle mnie nie słyszeć. Zacząłem czuć się nieco niezręcznie.

– Widziałem twój tatuaż, na plecach. Jest bardzo... oryginalny. Co przedstawia?

César odpowiedział dopiero po kilku długich sekundach:

– *Waafakay*.

– Co to znaczy?

– To w języku songhajskim. Oznacza „pakt”.

- Dlaczego masz ten znak na plecach? Mówiłeś, że nie jesteś Songhajem.
- Znasz kogoś, kto ma gdzieś wytatuowane chińskie albo japońskie litery? – zapytał.
- Tak, parę osób, ale...
- A ile z nich to Chińczycy albo Japończycy?
- Ani jedna – przyznałem niechętnie.

César otworzył oczy i spojrzał na mnie protekcyjnie. Potem zamknął je z powrotem i oparł głowę o ścianę. Z jakiegoś powodu zrobiło mi się głupio.

Odechciało mi się silić na pogawędki z kimś, kto najwyraźniej sobie tego nie życzył. Mała powierzchnia i duszący upał coraz bardziej mnie przytłaczały, wyszedłem więc z kajuty z nadzieją, że uda mi się nieco ochłonać. Tamto miejsce coraz bardziej zaczynało mi przypominać celę.

Kiedy mijiałem drzwi pokoiku Bańki i Enigmy, usłyszałem strzępki rozmowy. Zajrzałem do środka, licząc na towarzystwo, i moim oczom ukazała się dosyć surrealistyczna scena.

Oboje siedzieli na podłodze w samej bieliźnie i grali w karty. Już chciałem wyjąkać „przepraszam” i sobie iść, ale Enigma zaprosiła mnie do środka.

– O, proszę, mamy gościa – powiedziała. – Nie stój tak, Faro, zdejmuj ciuchy i dołącz do zabawy.

– O jakiej zabawie mowa?

– Nie mam na myśli nic zdrożnego, niech cię nie zwiedzie nasz nieformalny strój. Po prostu próbujemy jakoś znieść ten koszmarny upał.

– No dobra, zróbcie mi miejsce, ale mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko, że jednak zostanę w spodniach.

– Czy to nie urocze? Młody jest taki nieśmiały! – zawołała Enigma. – Chciałabym cię zobaczyć podczas tamtej misji w Maroku, pamiętasz, Bańko? Tamtej nocy, kiedy ten okropny hotel zaczął się palić ze wszystkich stron i musieliśmy uciekać na zewnątrz.

Bańka uśmiechnął się pod nosem.

– Co się stało? – zapytałem.

– Wolałbym o tym nie mówić – odparł Poszukiwacz. – Powiedzmy tylko, że tamtej nocy cała Casablanca się dowiedziała, że zwykle śpię dość lekko ubrany. Bardzo lekko.

Enigma wybuchnęła śmiechem.

– Tak, to był początek pięknej przyjaźni.

Usiadłem obok nich. Spływałem potem, jakbym dopiero co wyszedł z wanny. Mimo to skromność nie pozwoliła mi pójść w ślady tamtej dwójki i rozebrać się do rosołu. Bańka rozdał karty.

– W co gramy?

– W pokera – odrzekł. – Zanim zapytasz: na pieniądze, nie w rozbieranego.

– Jakie pieniądze? Tu są tylko jakieś papierowe kulki.

– Potraktuj je jak weksle. Rozliczymy się, jak już zejdziemy z tej łajby.

– A skąd wzięliście karty?

– Nie ruszam się z domu bez talii – odparła Enigma. – Karty, broń i *bump key* to wszystko, czego potrzebuje Poszukiwacz wyruszający na misję.

– Nosisz broń?

Bańka sięgnął po torbę i pokazał mi zawartość. Między ubraniami i przedmiotami

osobistymi zobaczyłem dwa pistolety HK, kaliber 9 mm – przydzieloną broń członków Korpusu.

– Nie wspominaliście, że będziecie uzbrojeni – powiedziałem.

– O kartach też nic nie mówiliśmy, i co z tego? – odpowiedział Bańka. – Stresuje cię broń?

– Nie, ale może mnie też by się przydała.

– Nie rozśmieszaj mnie, młody. Widziałem, jak strzelasz.

Bańka położył na podłodze małą papierową kulkę, czyli postawił zakład.

– Gdzie César? – zapytała Enigma. – Przydałby się czwarty. Poza tym chciałabym zobaczyć go w majtkach.

– On raczej nie przepada za kartami – stwierdziłem. – W ogóle chyba za niczym nie przepada, siedzi tylko i nic nie mówi, jak element wyposażenia kajuty.

– No tak... – zamyślił się Bańka. – Milczący z niego typ, co? Kiedy był u mnie, powiedział może ze trzy słowa na krzyż. Za to w nocy słyszałem, że mówił do siebie w swoim pokoju. Czubek.

– Nie każdy, kto mówi do siebie, musi od razu być stuknięty – zaproponowała Enigma, co wcale mnie nie zdziwiło. Podejrzewam, że i jej często się to zdarzało. – A tak z ciekawości, co mówił?

– Nie wiem, coś niezrozumiałego. Brzmiało to jak jakieś zaklęcia, może się modlił czy coś w tym stylu. Trochę złowrogie.

Pograliśmy jakiś czas, wymieniając się uwagami na temat przebiegu akcji. Wkrótce straciłem wszystkie papierowe kulki, a także spodnie (piekielny upał pozbawił mnie skromności). Musieliśmy stanowić malowniczą grupkę, kiedy tak półnaczy graliśmy w karty i stawialiśmy pieniądze na niby. Cóż, życie Poszukiwacza jest pełne niespodzianek.

Najciekawszym wydarzeniem tego dnia okazała się wizyta kapitana Santosa, który zjawił się kilka godzin później. Na szczęście do tego czasu postanowiliśmy włożyć z powrotem przynajmniej część ubrań.

Santos przyniósł nam koce cienkie jak papier, puszki z mięsem i nieco wieści z góry.

– Podróż upływa bez zakłóceń, poza tym że połowa załogi ma mnie w dupie, a reszta do niczego się nie nadaje – oznajmił wkurzony. – O świcie powinniśmy opłynąć wybrzeże Senegalu.

– A kiedy będziemy mogli wyjść na powietrze? – zapytał Bańka z twarzą lśniącą od potu. – Podusimy się tutaj.

– To nie jest najlepszy pomysł, chociaż... Faktycznie, cholernie tu gorąco! No dobra, nie chcę dotrzeć do Konakry z czterema frajerami ugotowanymi na miękko. Poczekajcie, aż zrobi się ciemno, wtedy prawie cała załoga pójdzie spać i będziecie mogli przejść się po pokładzie. Wychodźcie najwyżej dwójkami. Jeśli ktoś was zobaczy, wyprę się znajomości z wami i pierwszy zgłoszę się na ochotnika, żeby wyrzucić was za burtę.

Zostawił nas samych. Następne godziny mijały nam powoli w morderczej nudzie i przy akompaniamencie ciągłego huku maszyn. Było ciężko, ale próbowałem się pocieszać, że jeśli to najgorsze, co czeka nas na tej wyprawie, powinienem znieść to cierpliwie.

W końcu zwinąłem się w kłębek w swoim kącie i próbowałem zasnąć, licząc na to, że może uda mi się przespać nudo. Tęskniłem do łóżka w cichej sypialni, gdzie nie

śmierdziałoby benzyną, posiłku w ludzkich warunkach i temperatury choć trochę niższej niż latem w piekle.

Zmęczony i zlany potem zdołałem zapaść w płytki sen, z którego co jakiś czas wybudzał mnie ból zeszywniałych kończyn i ciężkiej głowy. Zmieniałem pozycję i próbowałem wypoczywać. Możliwe, że spędziłem tak wiele godzin, nie jestem pewny – nie chciałem patrzeć na zegarek, żeby nie dobijać się powolnym upływem czasu.

Kiedy po raz setny obudziłem się z drzemki, miałem już dość i byłem zbyt zdrętwiały, żeby próbować zasnąć. Sprawdziłem czas: minęła trzecia nad ranem. Według słów Santosa to najlepszy moment, żeby zaryzykować wypad na pokład. Potrzebowałem świeżego powietrza jak wędrowiec na pustyni łyka wody.

César spał w drugim kącie, a przynajmniej sprawiał takie wrażenie. Wyszedłem z kajuty, starając się zbytnio nie hałasować. Pod pokładem panowały nieprzeniknione ciemności. Przedarłem się przez labirynt ponurych korytarzy, aż znalazłem wyjście na górę. Gdy tylko wystawiłem głowę na zewnątrz, ożywczy powiew morskiej bryzy zadziałał jak balsam dla mojego sponiewieranego organizmu.

Jak lunatyk przemieszczałem się między ogromnymi kontenerami na pokładzie, próbując znaleźć burtę. Na niebie wisiał niemal idealnie okrągły księżyc, niczym plama rdzy nad smolistą powierzchnią oceanu. W jego bladym świetle zdołałem dotrzeć do relingu na sterburcie. Oparłem się i wdychałem każdą cząsteczkę powietrza tak zachłannie, jakbym chciał się nim upić.

W ciemnej, pomarszczonej toni widać było jedynie odbicie księżyca. Słyszałem dźwięk kadłuba okrętu, który zostawiał za sobą pienisty szlak, a w tle nieustanny pomruk silnika. Nad moją głową nie świeciły prawie żadne gwiazdy – woda i niebo tworzyły jedną ciemną, nieskończoną całość. Przez chwilę wyobraziłem sobie, że jestem sam na całym świecie, i – o dziwo – okazało się to całkiem przyjemnym uczuciem.

Nagle poczułem czyjąś dłoń na ramieniu. Podskoczyłem tak wysoko, że niemal wypadłem za burtę.

– Spokojnie, młody. To ja.

Odwróciłem się i stanąłem twarzą w twarz z Bańką.

– Niech cię szlag! Zwariowałeś? Skradać się tak po cichu?

– A czego się spodziewałeś, sygnałów świetlnych? Żadnego z nas nie powinno tu być.

– Widziałeś kogoś z załogi?

– Nie, pewnie śpią gdzieś indziej. Uspokój się i zapal ze mną papierosa, dobrze nam to zrobi.

Zainstalowaliśmy się za kontenerem, ukryci przed wiatrem i niepożądanymi spojrzeniami. Bańka włożył do ust papierosa i schował głowę za połę kurtki, żeby go zapalić.

– Co ty robisz? – zapytałem.

– Sztuczka marynarzy. Dzięki temu wiatr nie zgasi płomienia.

– Rozumiem. Poczęstuj mnie fajką, kapitanie Haku, nie wzięłem swoich.

Bańka podał mi paczkę cameli i pomógł zapalić. Przez chwilę skupiałem się tylko na zaciąganiu dymem i wydmuchiwaniu gęstych obłoków w stronę nieba. Dobrze wiem, że palenie zabija, ale w tamtej chwili czułem się, jakbym pił eliksir życia.

– Cholera – mruknąłem, w pełni zrelaksowany.

– Fajne uczucie, co?

– Bez dwóch zdań.

Przez jakiś czas nic nie mówiliśmy, ciesząc się smakiem tytoniu.

– Czasem sobie mówię, że powinienem rzucić – powiedział Bańka. – Ale wtedy myślę o takich momentach jak ten i zmieniam zdanie.

– Ja na jakiś czas przestałem, ale potem zacząłem na nowo. Głupio zrobiłem.

– Jak ci się udało rzucić?

– Najbardziej skuteczną metodą: dla dziewczyny.

Wyczułem, że w ciemności Bańka pokiwał głową w zamyśleniu.

– Dobra była?

– Owszem, niezła.

– Słusznie zrobiłeś. Gdybym miał wybierać między tytoniem a seksem, nie wahałbym się ani chwili... – Zawiesił głos i przyjrzał się rozzarzonemu ognikowi. – Chyba.

– Chyba?

– Od tak dawna jaram to gówno, że już nie jestem pewien, czy nawet najlepsze bzykanko świata skłoniłoby mnie do rzucenia.

– Ja zacząłem palić w wieku osiemnastu lat, na studiach.

– Próbujesz mi zaimponować, młody? Ja miałem dwanaście, kiedy zapaliłem pierwszego papierosa. Rzygałem jak kot.

– Dwanaście? Kurde, faktycznie wcześniej.

– Taaa... To nie były dobre czasy: matka odeszła, a ojciec... Tak czy inaczej, nie miał kto spuścić mi lania za popalenie fajek.

Bańka zwykle nie mówił o niewesołej historii swojej rodziny, znałem ją tylko z enigmatycznych uwag. Panująca ciemność musiała i u niego wywołać wrażenie, że jest sam, a przez to skłonić do opuszczenia gardy.

Byłem ciekawy szczegółów przeszłości, która w końcu dotyczyła też Danny, jego siostry. Odważyłem się więc nieco podrażnić temat.

– Miałeś dwanaście lat, kiedy zmarł wasz ojciec?

Bańka zaciągnął się głęboko, zanim odpowiedział:

– Jedenaście. Miałem jedenaście lat, kiedy tchórz się odmeldował.

– Dlaczego tchórz?

– Tylko tchórze odbierają sobie życie – odparł stanowczo.

– Nie sądzisz, że jesteś trochę niesprawiedliwy?

– Bez urazy, Faro, ale nie masz zielonego pojęcia, o czym gadasz. Ciebie nikt nie zostawił.

– Słuchaj... – zacząłem i zawahałem się. – Wiesz, nie chcę urządzać zawodów na najbardziej dramatyczną historię rodzinną, więc powiem tylko, że wiem coś o ojcach unikających odpowiedzialności.

– Masz na myśli swojego?

– Owszem, to niezły przykład.

– Twój ojciec nie był tchórzem.

Zaskoczyło mnie, jak kategorycznie to oznajmił.

– Teraz to ty nie wiesz, o czym mówisz.

– Może. Ale tak czy inaczej, nie masz racji. – Rzucił niedopałek i zapalił następnego papierosa. Faktycznie za dużo palił. – Zresztą ojciec nie zostawił cię samego, miałeś matkę.

– Też mi pociecha – wypaliłem. – Romulus i Remus mieli bardziej troskliwą matkę niż ja. – Bańka zaśmiał się pod nosem. – Co cię tak bawi?

– Wybacz, ale ta uwaga o Remusie i Romulusie przypomniła mi o Alfie i Omedze. Jakbym ich słyszał.

Chcąc nie chcąc, uśmiechnąłem się. Coś w tym było.

– Nie zmienia to faktu, że mam rację – stwierdziłem.

– Słuchaj, Faro, nie chcę się wypowiadać na temat, na którym się nie znam. Nie wiem o twojej matce nic poza tym, jak się nazywa. Może rzeczywiście jest wiedźmą, może nie, ty to wiesz najlepiej, ale przynajmniej była przy tobie i poświęciła ci choćby minimum uwagi. Ja nie miałem nawet tego: moja matka uciekła. To dopiero jest chujnia.

W duchu przyznałem mu słuszność, ale nie chciałem powiedzieć tego na głos.

– Nie miałeś już z nią żadnego kontaktu? Ani ty, ani twoja siostra?

– Zero. Po prostu zniknęła, jakby nigdy nie istniała. Nie odezwała się do nas nawet wtedy, kiedy ojciec podciął sobie żyły.

– I przez cały ten czas nie chciałeś się dowiedzieć, co się z nią dzieje?

– A po co? Ona miała nas w dupie i vice versa. Pewnie mieszka w innym kraju, może nawet na innym kontynencie. Może ma nową rodzinę, a może nie żyje. Wszystko mi jedno, nie spędza mi to snu z powiek.

– A Danny? Też ma takie podejście?

– Ona chyba ją idealizuje, pewnie dlatego, że prawie jej nie pamięta i woli zachować w pamięci nieco bardziej sympatyczny wizerunek.

– Kiedy tak mówisz, mam wrażenie, że to była okropna kobieta.

Bańka przez chwilę nie odpowiadał.

– Właśnie wcale nie – powiedział w końcu powoli. – Przynajmniej ja jej tak nie zapamiętałem. Ale była zimna... I trzymała się na dystans. Wiem, że ojciec uwielbiał ją do szaleństwa, ale nigdy nie rozumiałem dlaczego. Pewnie, była śliczna, klasyczna piękność, ale nie potrafię przypomnieć sobie niczego, co świadczyłoby o... bliskości. Trudno to wytłumaczyć. – Bańka westchnął ciężko. – To była dziwna kobieta.

– W jakim sensie?

– Nie wiem, może w takim, jak może to postrzegać dziecko, którym przecież wtedy byłem. Ale dzieci mają czasem niezłą intuicję, nie? Mówi się, że potrafią instynktownie wyczuć, kiedy ktoś... nie jest dobrym człowiekiem.

Nie potrafiłem na to odpowiedzieć. Mogłem się tylko domyślać, że Bańka pałał do matki tak silną niechęcią, iż nie dopuszczał do siebie żadnej pozytywnej myśli na jej temat. Odejście tej kobiety musiało bardzo silnie dotknąć mojego przyjaciela. Nawet ja żywiłem odrobinę czułości w stosunku do matki, mimo że nie darzyłem jej sympatią.

– Zastanawiałeś się czasem, dlaczego odeszła? – odważyłem się spytać.

– Wiele razy, ale nie znalazłem odpowiedzi. Nikomu nic nie wyjaśniła. Pewnie wróciła do Stanów.

– Stamtąd pochodziła?

– Tak, podobnie jak cała jej rodzina, ale praktycznie ich nie znam.

Znów zapadła cisza. Wzdrygnąłem się od nagłego podmuchu wiatru.

– Zaczyna się robić zimno – powiedziałem.

– Tak, lepiej wracajmy do naszego pieca. Dobrze mi zrobiło świeże powietrze, może nawet uda mi się trochę przespać.

Wstaliśmy i ostrożnie obeszliliśmy kontener, żeby wrócić do drabinki prowadzącej do wnętrza statku. Bańka szedł pierwszy, pilnując, żebyśmy na nikogo nie wpadli, a ja podążałem za nim.

Nagle się zatrzymał. Popchnął mnie, tak że przywarłem plecami do jednego z kontenerów. Sam zrobił to samo. Usłyszałem metaliczny dźwięk kroków na pokładzie, bardzo blisko naszej kryjówki. Brzmiało mi to na więcej niż jedną osobę.

Kroki oddalały się, aż przestałem je słyszeć.

– Psiakrew – zaklął Bańka.

– Co się dzieje?

– Widziałeś?

– Nic stąd nie widać. To była załoga?

– Tak myślę. Cztery czy pięć osób. Ale typy były uzbrojone.

– Jesteś pewny?

– Tak. Dwóch niosło karabiny, a reszta chyba maczety. – Bańka oparł głowę o kontener i zacisnął zęby. – Kurwa... Dzieje się tu coś dziwnego, młody. Sprawiali wrażenie, jakby nie chcieli, żeby ktoś ich zauważył, tak jak my.

Ścisnęło mnie w żołądku, jakby włączył mi się jakiś specjalny alarm Poszukiwacza, ostrzegający przed niebezpieczeństwem.

– Co robimy? – zapytałem.

– Schodzimy pod pokład. Cokolwiek się stanie, wolę mieć pod ręką pistolet.

Bańka zaczął pośpiesznie przemykać wśród cieni, a ja poszedłem w jego ślady.

1. Partido Africano da Independência de Cabo Verde – Afrykańska Partia na rzecz Niepodległości Zielonego Przylądka (przyp. tłum.). ↵

WYSIADKA

Czułem się niepewnie. Choć sam nie zauważyłem żadnego zagrożenia w naszym bezpośrednim otoczeniu, udzielił mi się strach Bańki. Kiedy zaczynał tak marszczyć czoło, należało jak najszybciej zacząć szukać drogi ucieczki.

Ponownie zanurzyliśmy się w czeluściach statku, starając się zachowywać jak najdyskretniej.

Bańka stanął na pierwszym poziomie pod pokładem i znowu popchnął mnie pod ścianę. Tym razem nie potrzebowałem wyjaśnień: na końcu korytarza zobaczyłem grupkę czterech marynarzy. Trzech miało lśniąco czarną skórę – to na nich tak narzekał Santos, bo nie mógł się z nimi dogadać. Czwarty był białym brzuchaczem ubranym tylko w podkoszulek i slipy.

Ten ostatni nie miał broni, ale pozostali owszem: dwóch dzierżyło maczety, a trzeci karabin maszynowy, z którego celował w grubego marynarza. Dyskutowali podniesionymi głosami, przy czym grubas mówił po portugalsku, a pozostali w języku, którego nie potrafiłem rozpoznać.

Wkrótce ten z karabinem zdzielił białego w twarz kolbą. Z nosa marynarza zaczęły wypływać krwawe bańki i mężczyzna upadł na kolana. Jeden z pozostałych uniósł maczetę i kilkakrotnie uderzył grubego w szyję. Ofiara kwiczała jak zarzynane prosię, ale napastnik zadawał kolejne ciosy. Brudna, powolna i głośna śmierć. W końcu grubas padł na podłogę z nieprzyjemnym plaskiem, niczym worek surowego mięsa.

Afrykańczycy zaczęli się kłócić. Ten z karabinem beształ za coś tego z maczetą, którego przedramiona zbryzgane były krwią. Po chwili ruszyli dalej korytarzem w kierunku przeciwnym do miejsca naszego ukrycia.

Serce waliło mi w piersi. Bańka zbladł jak ściana.

Na kilka długich sekund zamarliśmy bez ruchu. W końcu mój towarzysz dał mi znać, żebym za nim poszedł.

Minęliśmy zwłoki nieszczęsnego członka załogi, zostawiając za sobą ślady stóp w lepkiej krwi zbierającej się wokół ciała. Z całych sił starałem się na to nie patrzeć.

Wreszcie dotarliśmy do drabinki prowadzącej na kolejny poziom i zesliśmy. Po drodze nie przydarzyło nam się już żadne nieprzyjemne spotkanie, ale usłyszeliśmy głośny terkot serii z karabinu, który odbił się echem po całym statku. Stanęliśmy jak wmurowani w ziemię.

Dobiegł nas krzyk.

– Co, do jasnej... – mruknął Bańka.

Znowu strzały. Bańka ruszył w dalszą drogę, tym razem niemal biegiem, a ja rzuciłem się za nim.

Dotarliśmy na korytarz prowadzący do naszych kajut. Drzwi mojej stały otworem, ale Cesara nie było w środku. Drugie pomieszczenie pozostawało zamknięte. Bańka załomotał

pięścią w metalowe drzwi.

– Enigmo, otwieraj, to ja! – powiedział.

Drzwi uchyliły się nieco i w szparze pojawiło się oko dziewczyny. Na mój widok wpuściła nas do środka.

Był z nią César.

– Co się dzieje? Słyszeliśmy strzały – powiedziała.

– Nie wiemy – odparł Bańka. – Wszystko w porządku?

– Tak. César mnie obudził, kiedy tylko zaczęły się strzały. Postanowiliśmy schować się tu i na was poczekać.

– Obawiam się, że będziemy musieli użyć broni. Nie mam pojęcia, co się dzieje. To pewnie jakiś cholerny bunt czy coś takiego, tak czy inaczej – strzelają i mordują.

– Mogę iść się zorientować – zaofiarował się César. – Potrafię się skradać, nikt mnie nie zauważy.

– Nie ma mowy, nie rozdzielajmy się. Trzymajcie się z Farem blisko nas. Mamy broń tylko dla dwojga – zarządził Bańka.

Złapał torbę i wyjął pistolety HK. Jeden podał Enigmie, a drugi zostawił sobie.

– I co teraz? – zapytała Poszukiwaczka. – Jaki jest plan, Bańko? Bronimy tej twierdzy jak Alamo?

– A masz lepszy pomysł? Teoretycznie nikt nie wie, że tu jesteśmy, możemy to wykorzystać.

Enigma skrzywiła się w grymasie, ale odbezpieczyła pistolet.

– Niech ci będzie, ale ja zamawiam Davy’ego Crocketta.

Podczas gdy Bańka i Enigma zajmowali stanowiska za drzwiami, ja przetrząsnąłem zawartość tobołka, aż znalazłem Ster Gallieniego i Baterię z Karbali. Wręczyłem Ster Cesarowi.

– Trzymaj. Schowaj gdzieś, gdzie nikt go nie znajdzie.

W milczeniu skinął głową. Odczepiłem pasek od torby i szybko spuściłem spodnie. Paskiem przywiązałem sobie Baterię do uda i z powrotem się ubrałem. Nie miałem pewności, czy to najlepszy sposób, żeby ją ukryć, ale nic innego nie przyszło mi w tamtej chwili do głowy. Kiedy spojrzałem na Cesara, okazało się, że po Sterze też nie było już śladu.

Nagle dobiegł nas tak głośny wystrzał, że aż zadzwoniło mi w uszach – ktoś odstrzelił zamek. Zanim zdążyliśmy zareagować, drzwi otworzyły się z impetem. Niewielki pluton egzekucyjny stał na korytarzu i celował w nas z obrzynów.

Bańka i Enigma dobyli broni, mimo że nasi przeciwnicy mieli wyraźną przewagę liczebną.

Na muszce trzymała nas grupa pięciu czy sześciu czarnoskórych marynarzy. Dwóch stojących z przodu rozsunęło się nieco i zobaczyliśmy kapitana Santosa.

– Przykro mi – powiedział. – Nie miałem wyjścia. Lepiej opuście broń, te czarnuchy strzelają bez namysłu.

Bańka i Enigma rzucili pistolety i podnieśli ręce. Do środka wszedł marynarz z maczetą i uderzył mnie w twarz kolbą karabinu.

Osunąłem się na ziemię bezwładnie jak worek.

Byłem oszołomiony, a na policzku miałem bolesną ranę, która nie przestawała krwawić. Praktycznie nie stawiałem więc oporu, kiedy uzbrojeni mężczyźni ciągnęli mnie i moich towarzyszy przez cały statek.

Kablem związali nam ręce za plecami. Zauważyłem, że uderzyli tylko mnie. Cóż, zawsze miałem szczęście.

Z ulgą poczułem ucisk Baterii z Karbali na wewnętrznej stronie uda. Przynajmniej na razie mnie nie przeszukali. Miałem nadzieję, że również César nie zgubił Steru.

Napastnicy poprowadzili nas na mostek kapitański. Po drodze minęliśmy dwóch zamordowanych marynarzy: jednemu podcięto gardło, drugiego zmasakrowano kulami. Krzepnąca krew z tego, co zostało po jego głowie, plamiła podłogę i ścianę korytarza.

Mostek okazał się sporym pomieszczeniem z bulajami, przez które widać było tylko ciemną panoramę. Na licznych konsolach umieszczono rozmaite urządzenia do nawigacji, ale ich działanie stanowiło dla mnie zagadkę. Obsługiwało je kilkunastu marynarzy, niektórzy z karabinem na ramieniu, a wszyscy czarnoskórzy i wychudzeni, jak nasi napastnicy. Nieco jaśniejszą skórę miał jedynie René, drugi oficer *Buenaventury*. Pochylał się nad jednym z paneli sterowania i przyglądał jakiemuś ekranowi, zdaje się, że radaru.

Marynarze, którzy nas pojмали, kazali całej naszej czwórce usiąść razem na podłodze. Jeden z nich wycelował w nas karabin. Ostatni do pomieszczenia wszedł kapitan Santos. Dopiero wtedy zauważyłem, że i jemu związano ręce za plecami.

Drugi oficer popatrzył na nas.

– Trzech mężczyzn i kobieta – powiedział po hiszpańsku. – Zgadza się, jest komplet. Dziękuję, kapitanie.

Słowo „kapitan” wymówił szyderczym tonem. Santos się postawił:

– Ty skurwysynu! Powiedziałem ci, gdzie ich znajdziesz, teraz ty spełnij swoją obietnicę.

– Słusznie, tak chyba będzie uczciwie.

René powiedział kilka słów w jakimś dziwnym języku do jednego z mężczyzn uzbrojonych w maczety. Ten podszedł od tyłu do kapitana i zbliżył ostrze do jego pleców, żeby przeciąć więzy.

Tak przynajmniej myślałem. Ale się myliłem.

Marynarz zatopił maczetę między żebrami Santosa, aż czubek ostrza wyszedł brzuchem. Kapitan parsknął krwią, a jego twarz wykrzywił grymas bólu. Murzyn wyciągnął maczetę, po czym podciął mu gardło. Martwy kapitan upadł na twarz tuż obok mnie. Widziałem z bliska, jak w kącikach ust tworzyły się jeszcze maleńkie krwawe bańki. Dwóch uzbrojonych mężczyzn złapało zwłoki za nogi i wywlokło z mostka.

René przyglądał się nam z zaciekawieniem.

– Nic was nie rusza – stwierdził. – Można by pomyśleć, że śmierć to dla was chleb powszedni.

– Powinniśmy bardziej to przeżywać? – zapytał zaskakująco opanowany Bańka.

– Nie, chyba nie. W końcu to tylko pijany wieprz. A poza tym debil: kiedy tylko tamten *batelão* wrócił do portu, od razu zauważyłem, że brakuje czterech osób. Nie wiedziałem tylko, gdzie was schował. To duży statek.

– Zapewniam pana, że jeśli cokolwiek nam się stanie, czekają pana poważniejsze kłopoty niż to, co spotkało kapitana – zagroził Bańka. – Nie ma pan pojęcia, kim jesteśmy.

– Ma pan rację, nie wiem tego, ale też niezbyt mnie to interesuje. Myślicie, że to o was tu chodzi? Gratuluję wysokiego mniemania o sobie. Nie, to w ogóle was nie dotyczy. Ten kretyn Santos skończyłby tak samo niezależnie od tego, czy bylibyście na pokładzie, czy nie. Planowałem to już od dłuższego czasu.

– To bunt?

– Nie, kolego, porwanie. Ten okręt przewozi kokainę o wartości wystarczającej, żeby spłacić dług któregoś z krajów trzeciego świata. Mój szef chce ją przejąć.

– Myślałem, że macie z Santosem tego samego szefa.

– Tak, on też tak myślał. Biedaczek.

– Proszę posłuchać, panie...

– Castillo. Teraz kapitanie Castillo.

– No dobrze, kapitanie. Jeśli jest tak, jak pan mówi, i wcale wam na nas nie zależy, to nie ma potrzeby nas więzić ani robić nam krzywdy. Nie obchodzi nas, co się stanie z ładunkiem. Jesteśmy po prostu czterema pasażerami w drodze do Konakry. Nie wiemy nic na temat pańskiego szefa, szefa Santosa czy jakiegokolwiek innego.

– Może i tak, ale naprawdę myśli pan, że odróżnia was to od pozostałych członków załogi zabitych przez moich ludzi? Teraz żrą ich rekiny i tak samo byłoby z wami, gdyby nie to, że chcę was jeszcze wykorzystać.

– Nas? W jaki sposób? – zapytała Enigma.

– Wyglądacie mi na zwykłych Europejczyków, którzy wetknęli nos w nie swoje sprawy. Może któryś rząd będzie chciał zapłacić okup, żebyśmy nie poucinali wam głów.

– Macie już narkotyki, po cholere bezsensownie ryzykować żądaniem okupu? – spytał Bańka.

René uśmiechnął się pod nosem.

– Oczywiście, że nie będę ryzykował, kolego. Nie jestem idiotą. Zostaniecie jako zakładnicy moich ludzi. Oni się tym zajmują. To wszystko Gwinejczycy i Senegalczycy, z którymi się umówiłem, że pomogą mi przejąć statek. W zamian obiecałem im część ładunku, ale może uda mi się nieco zmniejszyć ich działkę, jeśli wcisnę im was. Mnie w końcu nie jesteście do niczego potrzebni.

Zaczynałem rozumieć naszą sytuację, ale nie mogłem uwierzyć, że znaleźliśmy się nagle w opowieści o morskich rozbójnikach. René zamierzał oddać nas w łapy piratów dwudziestego pierwszego wieku, którzy zamiast kordelasów mieli karabiny maszynowe, a zamiast surdutów i żabotów – koszulki z logo napojów gazowanych.

Jeden z piratów znowu zwrócił się do Reného w tym niezrozumiałym języku. Nowy kapitan *Buenaventury* rzucił okiem na radar.

– Sainte-Geneviève – powiedział. – Obawiam się, że dotarliście już do celu, koledzy. Życzę szczęścia. – Obdarzył nas swoim najpaskudniejszym uśmiechem. – Na pewno wam się przyda.

René zamienił kilka słów z jednym z uzbrojonych marynarzy. Potem podeszło do nas trzech mężczyzn i kazali nam wstać. Groźnymi gestami zmusili nas, żebyśmy poszli za nimi.

Wyprowadzili nas na pokład i skierowali na rufę. Tam zobaczyłem coś, co

przypominało wieżę, z której zwisała żółta konstrukcja w kształcie kapsuły, podobna do olbrzymiej tabletki od bólu głowy.

Wchodziło się do niej po metalowej drabince. Z tyłu miała luk, a na drugim końcu – małe szklane panele. Dopiero po dłuższym czasie zorientowałem się, że to szalupa ratunkowa, choć przypominała raczej małą łódź podwodną pomalowaną na niezbyt dyskretny kolor.

Piraci kazali nam się wspiąć po drabince. Kiedy dotarliśmy na górę, jeden z nich – uzbrojony w ogromną maczetę – otworzył luk i gestem dał do zrozumienia, że mamy wejść do środka.

Moim oczom ukazała się klaustrofobiczna przestrzeń o ścianach z włókna szklanego. Po obu stronach wąskiego przejścia stały plastikowe fotele wyposażone w pasy bezpieczeństwa, takie jak na karuzeli w wesołym miasteczku.

Za nami weszło dwóch marynarzy: jeden z maczetą, drugi z karabinem. Ten ostatni kazał nam usiąść, a pierwszy poszedł na dziób, gdzie zasiadł za niewielkim sterem i dość prostym panelem sterowania.

Kiedy usiedliśmy – ciągle ze związanymi rękami – ten z karabinem zapiął nam pasy. Gdy przyszła kolej na mnie, zauważyłem, że mężczyzna ma na grzbiecie dłoni identyczny tatuaż bliznowy jak ten na plecach Cesara, tyle że mniejszy.

Zmarszczyłem brwi, zaskoczony i skonsternowany. Nie mogłem się powstrzymać i spojrzałem na siedzącego obok mnie Cesara. On jednak wytrzymał mój wzrok, a jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

Marynarz skończył nas przypinać i zaczął rozmawiać z tym drugim. Nie rozumiałem ani słowa, ale chyba się kłócili, bo mówili podniesionymi głosami.

Ktoś zamknął luk i zostaliśmy sam na sam z dwoma porywaczami, którzy wciąż burzliwie dyskutowali i wskazywali na ster. Uznałem, że pewnie nie mogą się dogadać, kto ma za nim stanąć.

Wtedy poczułem lekki dotyk na plecach. Odwróciłem głowę do Cesara i zobaczyłem, że uwolnił ręce z więzów. Gestem nakazał mi milczenie.

Porywacze w końcu doszli chyba do porozumienia. Jeden z nich bez uprzedzenia przesunął wielką wajchę umieszczoną obok steru. Usłyszałem donośny zgrzyt metalu i szalupa się zatrzęsła, jakby szturchnął ją jakiś olbrzym.

A potem zaczęła spadać do oceanu.

Mój żołądek postanowił chyba przeprowadzić się do gardła, w sąsiedztwo jabłka Adama. Nigdy nie lubiłem kolejek górskich i podobnych atrakcji, a teraz czułem się dokładnie tak jak na rollercoasterze i wcale mi się to nie podobało.

Szalupa zadrżała przy uderzeniu o taflę wody. Potem nastąpił kolejny wstrząs – z całą mocą odczuły go moje kręgi szyjne – i łódź szybko wróciła na powierzchnię, po czym zaczęła bujać się na wzburzonych falach jak korek. Porywacz z maczetą tkwił za sterem i próbował kierować stateczkiem. Ten z karabinem ustawił się na środku przejścia, twarzą do nas, i patrzył na nas z miną kogoś, kto tylko czeka na pretekst, żeby strzelić.

Szalupa ruszyła. Nie miałem pojęcia, dokąd zmierzamy, i nie chciałem się dowiadywać. Jedyne, na czym mogłem się skupić, to pomysły na wydostanie się z tych tarapatów... No

i choroba morska, która zaczynała mi coraz bardziej dokuczać. Podróż tą łódką przypominała rejs w zamkniętej trumnie.

Spojrzałem po reszcie Poszukiwaczy. Ani Bańka, ani Enigma nie wyglądali lepiej ode mnie. Jedyne César pozostawał niewzruszony. Siedział spokojnie i nie odrywał wzroku od twarzy mężczyzny z karabinem. Na jego ustach dojrzałem chyba nawet cień uśmiechu.

Ten z karabinem odwzajemnił spojrzenie, ale zdawał się czuć nieco niezręcznie. Powiedział coś do Cesara, ale on ani drgnął.

Marynarz zaczął na niego krzyczeć, lecz César zachowywał się, jakby go nie słyszał. Nadal tylko przyglądał mu się tak, jak kot obserwuje mysz, którą lada moment rozszarpie pazurami.

Tamten zaczął się denerwować. Zbliżył twarz do twarzy Cesara na tak niewielką odległość, że kiedy krzyczał, opryskiwał mu policzki śliną. Sternik powiedział coś do swojego towarzysza i ten trochę się uspokoił. Wrócił na środek przejścia i stanął tam z nieprzyjazną miną. W jego spojrzeniu dostrzegłem coś nowego... Strach? Nie byłem pewny.

Wtedy César przemówił:

– *Zanbayan*.

Ten z karabinem próbował udawać, że nie słyszy, ale drgnęły mu powieki.

– *Zanbayan* – powtórzył César, próbując nawiązać z piratem kontakt wzrokowy.
– *Dargayan. Hiilayan*.

Wargi marynarza zadrżały.

– *Hiilayan waafakay. Zanbayan* – wysyczał César przez zęby, jakby rzucał klątwę.

Marynarz wrzasnął z wściekłością. Rzucił się na Cesara i zdzielił go pięścią w twarz. Szybko pożałował swojej decyzji. Rękami wyzwolonymi z więzów César złapał pirata za głowę w momencie, kiedy ten znajdował się blisko, i z całej siły cisnął nim o oparcie najbliższego fotela.

Facet upadł mi pod nogi. Ten przy sterze zobaczył, co się wyprawia, złapał za maczetę i pobiegł do Cesara. Kiedy mijał Bańkę, Poszukiwacz wyciągnął nogę i podciął mu kolana, tak że tamten runął na ziemię jak długi. César odpiął pas bezpieczeństwa i skoczył na niego z góry. Ten z karabinem zaczynał dochodzić do siebie. Zanim zdążył podnieść głowę, z całej siły wcisnąłem mu piętę w żołądek, jakbym próbował rozgnieść obcasem winogrono. Obolały pirat zwinął się w jęczący kłębek.

César walczył w przejściu z drugim porywaczem. Obaj byli szybcy i zwinni, choć niezbyt silni. Na szczęście nasz towarzysz mógł liczyć na pomoc Bańki, który ze swojego miejsca kopał marynarza, kiedy tylko ten wystarczająco się zbliżył.

Silna fala przechyliła łódkę. César i pirat przetoczyli się w stronę rufy. Chłopak uwolnił się od napastnika zaledwie na chwilę, ale to wystarczyło mu, żeby otworzyć luk. Nagle do szalupy wdarł się strumień morskiego powietrza.

Przeciwnicy stanęli na nogi. Nie wiem, co dokładnie działo się później, bo drugi pirat się ocknął i musiałem znów wymierzyć mu kilka kopniaków w głowę, żeby go unieszkodliwić. Nagle usłyszałem za plecami krzyk. Odwróciłem się. César zdzielił napastnika metalową skrzynią. Pirat potknął się, cofnął o kilka kroków i wypadł do morza.

César zamknął luk.

Potem otworzył metalową skrzynię, której użył w obronie własnej. Okazała się czymś w rodzaju zestawu przetrwania. W środku znajdowały się race, apteczka i podstawowe narzędzia. César wyjął nóż i przeciął nam więzy.

Bańka podziękował mu, rozcierając obolałe nadgarstki.

– Co robimy z tym drugim? – zapytał w końcu, wskazując na nieprzytomnego pirata pod moim fotelem.

Enigma podeszła do niego. Przetrzepała mu kieszenie i w jednej z nich znalazła kluczyki jak do samochodu. Potem przytknęła dwa palce do jego szyi.

– Żyje.

– Musisz nauczyć się mocniej kopać, młody – stwierdził Bańka.

– Nie chciałem go zabić!

– Nie? Coś ci powiem: on ciebie owszem.

Bańka wziął pirata i zawlókł pod luk, po czym wyrzucił za burtę jak worek śmieci.

Spojrzał na mnie wyzywająco.

– Ta praca nie polega tylko na rozwiązywaniu zagadek – rzucił. – Jeśli masz jakieś opory, następnym razem może zostać w domu. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

Poszli z Enigmą na dziób, do steru. César usiadł na jednym z foteli i dyszał ciężko – walka kosztowała go wiele wysiłku, a twarz i ramiona pokrywały mu ranki, jakby pirat podrapał go ostrymi pazurami.

– Wszystko w porządku? – zapytałem. Skinął głową. – Sprytnie wyswobodziłeś się z więzów. Jak ci się to udało?

– Potrafię uciekać z różnych miejsc, już ci to chyba mówiłem.

Faktycznie, był w tym niezły, wręcz nadzwyczajny. Pomyślałem, że taka zwinność to cecha przydatna każdemu Poszukiwaczowi.

– Co mu powiedziałeś?

– Komu?

– Temu z karabinem. Rozumiem, że chciałeś go sprowokować, żeby podszedł na tyle blisko, żebyś mógł go unieszkodliwić. Świetnie ci to wyszło, ale chciałbym wiedzieć, czym go tak zdenerwowałeś.

– A, tamto... Nie pamiętam.

– Ja tak. Powtórzyłeś to trzy razy: *zanbayan*. Co to znaczy?

César uciekł spojrzeniem.

– To słowo w języku songhajskim... – Urwał. Przez chwilę myślałem, że wymiga się od odpowiedzi, ale chyba wiedział, że będę nalegać. W końcu niechętnie dodał: – Oznacza zdrajcę.

– Zdrajcę? Dziwne... Dlaczego?

– Bo był zdrajcą. I dobrze o tym wiedział. Dlatego się zdenerwował, kiedy rzuciłem mu to w twarz.

– Mam rozumieć, że go znałeś?

– Nie. Nigdy w życiu go nie widziałem.

– A jednak miał na dłoni taki sam tatuaż jak twój – powiedziałem oskarżycielskim tonem. – Wiesz co? Zaczynam chyba rozumieć...

César mi przerwał:

– Nic nie rozumiesz, więc nawet nie próbuj.

Chciał wstać i odejść, ale go powstrzymałem.

– Chcę wiedzieć, co ukrywasz. I nawet nie waż się unikać odpowiedzi.

– Skąd te nerwy, Poszukiwaczu? Myślałem, że zależy ci tylko na odnalezieniu skarbu.

– Nie lubię podróżować z ludźmi, którzy mają jakieś tajemnice.

– Mnie z kolei wcale to nie przeszkadza... Faro – powiedział, z naciskiem wymawiając ostatnie słowo. – To nie jest twoje prawdziwe imię, mam rację? To samo dotyczy pewnie Bańki i Enigmy, ale nie przypominam sobie, żebym kiedyś pytał, co się kryje za waszymi przydomkami.

– To twoja sprawa. Ja jestem bardziej ciekawski.

– Chcesz mnie przesłuchać, Poszukiwaczu? No proszę, nie krępuj się. Może powiem ci prawdę... A może nie. Nigdy się nie dowiesz. Ja jednak uważam, że milczenie jest zawsze lepsze od kłamstwa. Cisza przynajmniej nie oszukuje.

– Na miłość boską! – zawołałem, z trudem się powstrzymując, żeby celnym ciosem nie zetrzeć mu z gęby tego aroganckiego uśmiechu. – Za kogo ty się uważasz, do jasnej cholery?

– Za kogoś, kto wam pomaga. Na razie powinno ci to wystarczyć.

Zamierzałem powiedzieć mu, co myślę, ale przerwała nam Enigma:

– Chłopaki, na pewno rozmawiacie na niezwykle ciekawe tematy, ale mamy tu coś, co powinniście zobaczyć.

Podeszliśmy na dziób szalupy. Bańka siedział za sterem, a Enigma wyglądała przez szyby.

– Co się dzieje? – zapytałem.

– Łąd – odparła.

Bańka wyłączył silnik i łódź zaczęła dryfować, kołysana falami. Przez okienka dojrzelismy w mroku nocy coś w rodzaju rozgrzebanej budowy, słabo oświetlonej przez kilka reflektorów. Zdewastowany budynek wyrastał samotnie wśród pustki niczym fatamorgana.

– Co to ma być? – spytała Enigma.

– To pewnie wybrzeże Senegalu... Albo Gwinei – odpowiedziałem.

– Nie, wygląda to raczej na jakąś wysepkę – orzekł Bańka. – Wysepkę na środku morza z niedokończonym budynkiem. Cokolwiek to jest, to tutaj zmiierzali porywacze.

– Czekaście – powiedziałem. – Teraz pamiętam. Castillo wspomniał jakąś nazwę. Sainte-Geneviève czy coś takiego.

– Cholera! – zawołała Enigma. – Chyba wiem, co to takiego. To jakaś twierdza z czasów kolonialnych.

– Jesteś pewna? – zapytał Bańka.

– Nie, ale to by miało sens. W dziewiętnastym wieku Francuzi i Anglicy stawiali małe morskie twierdze na wysepkach niedaleko wybrzeża. Zbudowali ich sporo, żeby bronić portów, ale większość z nich popadła w ruinę i stoi teraz opuszczona.

– To niewątpliwie jest ruina – przytaknąłem, patrząc na brzydką, przysadzistą bryłę przypominającą żelbetowy szkielet – ale wcale nie wygląda na opuszczoną. Ktoś musiał zamontować te reflektory.

– Jeśli nasi gospodarze kierowali się na tę wyspę, to prawdopodobnie mamy przed sobą najprawdziwsze gniazdo piratów – stwierdziła Enigma.

Bańka skrzywił się z niezadowoleniem.

– Zajebicie – rzucił z przekąsem. – Skarby i gniazda piratów... Zaczynam odnosić wrażenie, że to nie jest poważna misja, tylko ulotka biura podróży dla amatorów przygód.

– Miejmy nadzieję – odparła Enigma. – Jeśli chodzi o piratów, wolę tych od Stevensona: przynajmniej nie mieli karabinów maszynowych.

Przyływ znosił naszą łódeczkę w stronę wyspy. W miarę jak się zbliżaliśmy, zauważałem między szczątkami budowli ślady ludzi.

César znalazł małą lornetkę i po kolei każde z nas miało okazję przyjrzeć się wyspie. Jak na dłoni zobaczyłem wśród ruin uzbrojonych mężczyzn. Na brzegu, tuż nad wodą, dostrzegłem całkiem sporą grupę. Stali wokół małych ognisk rozpalonych w metalowych kubkach. Wielu z nich miało przy sobie karabiny, ale na szczęście nikt chyba nie zauważył naszej szalupy. Na razie.

Zaczęliśmy dyskutować, jakie powinny być nasze następne kroki. Zasugerowałem opłynięcie wyspy i kurs na wybrzeże, ale Bańka nie uznał tego za dobry pomysł.

– Nie mam pojęcia, gdzie teraz jesteśmy – powiedział. – A nie widzę tu żadnego sprzętu do nawigacji. Możliwe, że będziemy musieli wiosłować przez pół oceanu, zanim dotrzemy do stałego lądu, o ile nie umrzemy wcześniej z głodu i pragnienia.

– A radio? – zapytałem, wskazując na urządzenie koło steru.

– Nie działa, już sprawdzałem. Pewnie zniszczyli je ci dranie, którzy nas tu wpakowali. Albo od początku było zepsute, nie wiadomo. Tak czy inaczej, tkwimy w pieprzonej balii na środku morza. Daleko w niej raczej nie dopłyniemy.

– Wiem, czego nam trzeba – oznajmiła Enigma, obserwując wyspę przez lornetkę. – Potrzebujemy samolotu.

Bańka westchnął i odparł cierpliwie:

– Tak, zdecydowanie bardzo by nam się przydał. Niestety, nie mamy żadnego pod ręką.

– Cessna sto siedemdziesiąt dwa skyhawk – ciągnęła Enigma jakby nigdy nic – to niezła maszyna. Cztery miejsca, zasięg do tysiąca dwustu kilometrów i prędkość wznoszenia trzy przecinek siedem metra na sekundę. Takim samolotem dolecielibyśmy do lądu w godzinę, góra dwie.

– Tak, rozumiemy – rzucił Bańka z irytacją. – Ale powtarzam: widzisz tu jakiś samolot?

– Owszem, skarbie – odparła Enigma z szerokim uśmiechem i podała Bańce lornetkę. – Przyjrzyj się, tam za twierdzą. Wygląda na to, że trafiliśmy na piracką elitę.

– Ja pierdolę – mruknął Bańka. – Awionetka!

– Pewnie, że tak. Spodziewałam się, że znajdziemy tu coś takiego.

– Czemu?

– Znalazłam to w kieszeni tego typu, którego skopał Faro – odpowiedziała i wyjęła z kieszeni pęk kluczy. – To kluczyki do cessny. Dobrze, że mnie ze sobą zabraliście. Przynoszę szczęście, zapomniałeś?

– Chyba nie myślimy poważnie... – Urwałem, bo nawet nie chciałem wypowiadać na głos planu, który wydawał mi się nie tyle absurdalny, ile potencjalnie tragiczny w skutkach.

– Żeby dobić do tej wyspy i uprowadzić samolot?

– Czemu nie? Jest środek nocy, jeszcze nas nawet nie zauważyli. To dar od niebios!
– Dar?! – wrzasnąłem. – Oszalałaś? Ich mogą być tam dziesiątki, a nas jest czworo!
– To akurat zaleta: dzięki temu trudniej im będzie nas wysledzić. Zanim się zorientują, już będziemy lecieć nad ich głowami. I tak koło się zamyka.

Jeśli na wszystkich misjach Enigma miała takie genialne pomysły, to nic dziwnego, że ostatnimi czasy pracowała wyłącznie za biurkiem w Piwnicy.

A jednak ku mojemu zaskoczeniu Bańka potraktował ją poważnie.

Towarzysze nie słuchali moich rozpaczliwych protestów. Domyślam się, że to z takich powodów Korpus Poszukiwaczy uchodzi za bastion lekkomyślności.

Bez żadnego planu ataku, zdając się wyłącznie na żywioł i improwizację, Bańka odpalił silnik i obrał kurs na twierdzę.

Bańka zaproponował rozsądnie, żebyśmy opłynęli wyspę i poszukali dyskretnego miejsca, gdzie moglibyśmy przybić. Wschodnia część zdawała się wyludniona. To tam skierowaliśmy szalupę.

Sprzyjała nam nie tylko ciemna noc, lecz także fakt, że niemal wszyscy piraci zebrali się na drugim końcu wyspy – a przynajmniej chcieliśmy w to wierzyć. Niestety, jaskrawożółta kapsuła to nie najlepszy statek do ukradkowego ataku na twierdzę pełną uzbrojonych mężczyzn.

Im bardziej zbliżaliśmy się do brzegu, tym mocniej łódka chybotwała. Nagle poczuliśmy, że wykonana z włókna szklanego konstrukcja zaczyna silnie drżeć. Uczepiony steru Bańka bluznął stekiem tyleż wulgarnych, co kreatywnych przekleństw. W jednym z boków szalupy dostrzegłem otwór w kształcie rombu, przez który do środka zaczęła się dostawać woda.

– Co się dzieje? – zapytała Enigma.

– Ta pieprzona łajba zaczyna tonąć – odparł Bańka.

Szalupa coraz szybciej się zanurzała. César otworzył luk w rufie. Kiedy wyjrzałem na zewnątrz, przekonałem się, że sytuacja nie jest tak tragiczna, jak można by się spodziewać (może Enigma faktycznie przynosiła szczęście). Łódka uderzyła o skały wystające nad wodę zaledwie kilka metrów od brzegu. Mieliśmy szansę dotrzeć do celu wplaw.

Każdy z nas wziął po kamizelce ratunkowej. Enigma jako pierwsza opuściła statek, zgodnie ze zwyczajową zasadą obowiązującą w przypadku zatonięcia okrętu (nie bez kozery nazywano nas *Kawalerami* Poszukiwaczami). Następny wysiadł César.

– Twoja kolej, młody. Skacz – rozkazał Bańka.

– Chwilkę... zaczekaj.

Złapałem karabin jednego z naszych porywaczy i podałem go Bańce. Skinął głową.

– Dobra myśl. Przyznaję, że sam na to nie wpadłem.

– Szkoda, że nie mamy więcej.

Poszukiwacz spojrział na metalową skrzynkę z artykułami pierwszej potrzeby w sytuacjach awaryjnych.

– Weź jeszcze parę rac – powiedział. – Lepsze to niż nic.

Wyjąłem trzy rurki zapakowane w czerwoną folię i zatknąłem je sobie za pasek. Potem zabrałem kamizelkę i wskoczyłem do morza czarnego jak smoła.

Używając kapoka jako deski, popłynąłem do brzegu śladem Enigmy i Cesara. Mokre

ubranie ciążyło jak ołów i ciągle się bałem, że zarówno race, jak i Bateria z Karbali – nadal przymocowana do uda – wyslizną mi się przez nogawkę i spadną na dno oceanu.

Po jakimś czasie dopłynąłem pieskiem do celu, a moje stopy wreszcie dotknęły stałego lądu. Wyszedłem na kamienistą plażę, gdzie czekali już César i Enigma. Wkrótce dołączył do nas Bańka.

Przemoczeni do suchej nitki rozejrzeliśmy się wokół, żeby się zorientować, dokąd właściwie dopłynęliśmy.

Staliśmy na malutkiej plaży otoczonej skalistą ścianą o wysokości czterech–pięciu metrów. Spojrzałem w górę, żeby dokładniej przyjrzeć się dość szkaradnej twierdzy Sainte-Geneviève: betonowemu sześciannowi z kwadratowymi otworami w ścianach. Budynek sprawiał wrażenie miejsca, gdzie wita się dusze przybywające do czyśćca.

Z tej strony twierdzy, którą widzieliśmy, na pozór nic się nie działo. Z innych okien sączyło się jednak słabe światło elektryczne. Jak na razie nasza obecność pozostała niezauważona.

Bańka zbadał skały otaczające plażę.

– Nie są za wysokie ani szczególnie strome – zauważył. – Możemy się wspiąć, dacie radę?

Niezależnie od odpowiedzi i tak musieliśmy wszyscy to zrobić.

Wspinaczkę ułatwiały liczne występy skalne. Nie brakowało jednak muszli i ostrych kamieni, które porozcinały mi skórę na dłoniach, a rany piekły jak cholera.

Na górę dotarliśmy niewiele suchsi niż na początku drogi. Tuż przed nami wyrastała twierdza. Po prawej zaczynał się kamienny nasyp, na którym zbudowano prymitywny pas startowy. Podejrzewam, że tylko wytrawny pilot albo totalny czubek odważyłby się podjąć choćby próbę startu na tak krótkim odcinku i nie wpadł prosto do morza. W moim towarzystwie nie brakowało czubków, ale nie wiedziałem, czy któryś z nich zna się również na pilotowaniu.

Zanim ruszyliśmy dalej, schowaliśmy się za głazem, żeby zbadać teren. Wtedy zauważyłem, że awionetki nie pozostawiono bez opieki – pilnowało jej dwóch strażników, choć tylko jeden miał przy sobie broń palną. Musieliśmy obmyślić plan, jak się ich stamtąd pozbyć.

– Daj no race, młody – szepnął Bańka. Wyjąłem jedną zza paska i mu podałem. Przyjrzał się uważnie opakowaniu. – Nie, ta jest do niczego. To na sygnały dymne.

– Mam tu inną. Trzymaj.

– O, ta się nada.

– Co chcesz zrobić?

– Uważajcie. Na mój sygnał biegnijcie prosto do cessny.

– Czekaj, jaki sygnał?

Bańka nie odpowiedział. Wylazł schylony zza skały i pobiegł ukradkiem w stronę oświetlonego fragmentu twierdzy.

Po kilkunastu metrach zatrzymał się i schował za głazem. W ciemności zobaczyłem, że odpala race. Nagle dał się słyszeć syk, błysnęło jaskrawoczerwone światło, a iskry zaczęły się sypać jak ze spawarki.

– Co on wyprawia? Zwariował? – zawołałem.

– To sygnał. W nogi! – wrzasnęła Enigma.

Strażnicy awionetki byli chyba równie zdziwieni jak ja. Rzucili się biegiem w kierunku światła racy, krzycząc i chwytając za broń. Usłyszałem więcej głosów z innej części wyspy, ale nie mogłem się zatrzymać i zastanowić, jak wiele ich jest i czy się zbliżają – myślałem tylko o tym, by biec najszybciej, jak potrafię, razem z Enigmą i Cesarem.

Już zbliżałem się do samolotu, kiedy rozległy się pierwsze strzały.

Usłyszałem terkot serii z karabinu. Na sekundę stanąłem jak wryty, ale Enigma złapała mnie za rękę i pociągnęła w kierunku cessny. Dobiegły mnie kolejne głosy, krzyki i strzały. Nie wiedziałem, czym martwić się najpierw – sobą, Bańką czy piratami. Tymczasem los dostarczył mi nowego powodu do obaw: przed Enigmą jak spod ziemi wyrósł nagle mężczyzna uzbrojony w maczetę.

Czarnoskóry chudzielec – ubrany w koszulkę na ramiączkach z logo Lakersów, która sięgała mu do kolan – groteskowo rozdziawił usta, prezentując nam przeżarte próchnicą uzębienie. Wydał urwany wrzask, po czym rzucił się na nas z maczetą uniesioną nad głową.

Odepchnąłem Enigmę akurat w chwili, kiedy pirat już miał rozłupać jej czaszkę na pół. Potknąłem się i upadłem na ziemię. Z ciemności za nami wychynął kolejny napastnik i złapał Cesara za ramiona.

Odwróciłem się na plecy i ujrzałem wściekłego pirata, który trzymał nade mną maczetę niczym rytualny sztylet nad ofiarą dla bogów. Zamarłem sparaliżowany. Tamten podniósł wyżej ostrze i znowu wrzasnął. Nie potrafiłem wyobrazić sobie bardziej groteskowego sposobu odejścia z tego świata.

Usłyszałem strzał i pirat podskoczył. Na jego odzianej w koszulkę Lakersów piersi wykwitła mała czerwona plamka i zaczęła szybko rozlewać się na brzuch. Pirat upuścił maczetę na ziemię i padł na plecy. Spojrzałem za siebie. Bańka wrócił do naszej wcześniejszej kryjówki za głazem i stamtąd mierzył z karabinu zabranego z szalupy. Kolejna kula trafiła prosto w głowę człowieka, który trzymał Cesara.

– Uciekajcie! Biegiem, do jasnej cholery! – wrzasnął Poszukiwacz.

Cała krew odpłynęła mi z twarzy. Wataha piratów rzuciła się z twierdzy w stronę Bańki, dobywając najróżniejszej broni. Ten próbował wyskoczyć zza skały, ale strzał pod nogi zmusił go do powrotu do kryjówki. Dla snajperów z betonowego sześcianu Bańka był widoczny jak tarcza na strzelnicy w wesołym miasteczku.

Za moimi plecami Enigma i César dobiegli do awionetki. Usłyszałem serię strzałów, a spod nóg pryskały mi grudy ziemi. Kule minęły mnie o ułamek milimetra. To poderwało mnie do działania: dobiegłem do moich towarzyszy w chwili, kiedy Enigma otwierała drzwi samolotu. Wskoczyliśmy do środka.

Bańka jednak pozostał na zewnątrz.

Rozległy się kolejne strzały. Dzięki karabinowi Poszukiwacz utrzymywał na dystans zbliżających się piratów, ale z twierdzy nadal leciały w jego stronę kule.

Jego śmierć zdawała się tylko kwestią czasu.

– Nie, nie – wysyczałem przez zaciśnięte zęby. – Cholera, jeszcze za wcześnie na ofiary!

Otworzyłem drzwi i wypadłem na zewnątrz. Enigma chyba coś za mną krzyczała,

a César próbował mnie powstrzymać. Nie wiem. Tak czy inaczej, nie zamierzałem tkwić w metalowej puszcze i patrzeć na rozstrzelanie Bańki.

Nie miałem jednak pomysłu, jak temu zapobiec.

Biegłem pod gradem kul. To cud, że żadna nie trafiła mnie w głowę, choć w pewnym momencie poczułem, jak coś otarło się o moje ucho. Dotarłem do głazu i jednym susem wskoczyłem do kryjówki.

– Co ty wyprawiasz, młody? – rzucił Bańka, nie przestając się ostrzeliwać. – Wracaj do tego pieprzonego samolotu!

– Nie bez ciebie!

– Teraz ci się zebrało na romantyczne gesty? Wypierdalaj stąd, ale już! Nie uda mi się zatrzymać ich na długo!

Popchnął mnie. Na ziemię spadła raca, którą ciągle miałem za paskiem. Wtedy mnie olśniło.

Złapałem ją i zębami rozszarpałem opakowanie. W środku znalazłem plastikową rurkę z czerwonym kablem. Pociągnąłem za niego z całej siły i ze świecy zaczął wydobywać się biały dym, jakbym uwolnił właśnie najgęstszą chmurę.

Kieszonkowy kamuflaż.

Przeturlałem racę na drugą stronę głazu. Zwarty obłok spowił nas, a potem zaczął rozprzestrzeniać się dookoła. Rzuciliśmy się z Bańką biegiem, a z kłębow dymu dobiegały nas zaskoczone okrzyki napastników i serie z karabinów, ale nie byliśmy już łatwym celem. Teraz musieli strzelać na oślep.

W pędzie wpadłem prosto na jednego z piratów – wyglądał na zdezorientowanego. Złapał mnie za kark, uniemożliwiając ucieczkę. W tej samej chwili Bańka zdzielił go kolbą karabinu prosto między oczy. Pirat zawył z bólu i zakrył twarz dłońmi, a po nosie spłynął mu strumień krwi.

Opuściliśmy już ochronny obłok, a do awionetki brakowało ledwie kilku kroków. César trzymał drzwi otwarte i popędzał nas gwałtownymi gestami.

W końcu dotarliśmy do celu. Jednocześnie wskoczyliśmy z Bańką do cessny. Enigma siedziała na fotelu pilota. Ja zająłem miejsce obok niej, a Bańka i César ulokowali się z tyłu.

– Startuj, do cholery, ale już! – wrzasnął Bańka do Enigmy.

Piraci zbliżali się do pasa startowego. Bańka otworzył drzwi i zaczął strzelać, żeby ich zatrzymać. Tymczasem Enigma w zadumie przyglądała się panelowi kontrolnemu.

– Tak... zobaczmy... chyba wszystko pamiętam.

– Potrafisz latać, prawda? – zapytałem przerażony.

– Co za pytanie! Pewnie. Po prostu już dawno nie... Zaraz, zaraz... – Podczas gdy Bańka odstrzeliwał się naszym prześladowcom, Enigma zbliżyła palec do jednego z przycisków, zawiesiła go na chwilę w powietrzu, po czym pokręciła głową i cofnęła. – Nie, jestem pewna, że to nie ten.

– Jakiś problem tam z przodu? – zawołał Bańka. – Gdyby ktoś pytał, to kończą mi się naboje!

– Cierpliwość to cnota – mruknęła Enigma. – Potrzebuję tylko chwili, żeby się skupić...

Z początku myślałem, że mi się zdaje, ale nie – naprawdę zaczęła sobie coś nucić.

Potem zrozumiałem, że podśpiewuje jakąś rymowaną, głową wyznaczając rytm.

– Co ty robisz? – zapytałem.

– Ułożyłam sobie piosenkę, żeby wszystko zapamiętać. Jak to szło? Aha. „Najpierw odblokować stery, żeby nie zaliczyć gleby...”

I dalej, zgodnie z absurdalnym tekstem piosenki, naciskała kolejne przyciski i pociągała za dźwignie. Mógłbym przysiąc, że brzmiało to jak melodia z *99 Red Balloons*. Tak czy inaczej, zdawało się działać. Śmigło zaczęło się kręcić, a maszyna potoczyła się po pasie startowym.

– Super! – zawołała Enigma i uśmiechnęła się promiennie. – Trzymajcie się, bo to nie będzie przyjemny start.

Awionetka ruszyła po nasypie. Koniec pasa coraz bardziej się zbliżał, a machina nie zdawała się bardziej gotowa do lotu niż przyklejona do asfaltu guma do żucia.

– Uważaj, uważaj! – wrzasnąłem. Już prawie czułem morską wodę na stopach.

Enigma szarpnęła sterem, jakby chciała go wyrwać. Cały samolot zadygotał od nagłego wstrząsu i rozległ się straszny huk. Mocno zacisnąłem powieki i nagle poczułem, że żołądek wywraca mi się na lewą stronę. Zza pleców słyszałem okrzyki – nie wiedziałem – radości czy przerażenia.

Ze strachem otworzyłem oczy i zobaczyłem coś niezwykłego: ląd i morze zostawały daleko w dole, awionetka zaś wznosiła się ku niebu. Enigmie się udało.

– Nie mówiłam? Z pilotowaniem jest jak z jazdą na rowerze – powiedziała Poszukiwaczka.

Nigdy nie czułem tak wielkiej ochoty, żeby ją pocałować. Wyobraziłem sobie miny piratów na widok oddalającego się samolotu. Mogli najwyżej pogrozić nam pięścią. Ta wizja wywołała u mnie niekontrolowany atak śmiechu – wynikało to bardziej z długo tłumionego lęku niż z faktu, że rzeczywiście była taka zabawna.

– Brawo, Enigmo! – zawołał z tyłu Bańka. Pochylił się w jej stronę i ucałował w czubek głowy. – Jesteś mistrzynią świata!

– No pewnie, złotko. Ameryki to ty nie odkryłeś – odparła. – Dobra, Mali leży na wschodzie, więc nie będzie problemu: musimy lecieć w stronę słońca.

Przez okienko drugiego pilota widziałem pierwsze światła poranka na horyzoncie, wprost przed nami.

HYDRA

Wyczerpani César i Bańka wkrótce zapadli w głęboki sen. Chętnie poszedłbym w ich ślady, ale skoro zrzędzeniem losu przypadła mi rola drugiego pilota, uznałem, że nie w porządku byłoby iść spać i zostawić Enigmę samą – w końcu to na niej spoczywał cały ciężar odpowiedzialności za to, żebyśmy cali i zdrowi dolecieli do celu.

Enigma ani razu nie poskarżyła się na zmęczenie, choć jej podkrążone oczy mówiły same za siebie. Bałem się, że od trójki śpiących pasażerów i jej w końcu udzieliłaby się senność.

Kiedy na nią spojrzałem, właśnie potężnie ziewała.

– Wszystko w porządku? – zapytałem.

– Tak. Ale mów coś do mnie, błagam. Czuję, że mogłabym zasnąć z otwartymi oczami.

Uśmiechnąłem się, choć kosztowało mnie to sporo wysiłku. Wargi miałem ciężkie jak ołów.

– Gdzie nauczyłaś się latać?

– W samolocie.

Zapadła cisza. Zerknęła na mnie i zaśmiała się pod nosem.

– Chryste, to był żart?

– Przepraszam. Skupiam się teraz tylko na tym, żeby utrzymać to ustrojstwo w powietrzu. – Przeciągnęła się, nie wypuszczając z rąk steru. – Mój ojciec miał jednosilnikową awionetkę, bardzo podobną do tej. Zrobiłam licencję pilota w wieku dwudziestu lat. Umiałam latać, zanim zdałam egzamin na prawo jazdy.

– Twój ojciec miał samolot?

– Tak, a poza tym jacht, konia... Miałam dobre dzieciństwo.

– Właśnie widzę. Mała księżniczka.

– Tak nazywał mnie tata. Jestem jedynaczką, wiesz? Kupiłby mi nawet Księżyc, gdybym tylko poprosiła, no i gdyby był na sprzedaż. Moja rodzina jest dość zamożna.

Zdziwiła mnie ta informacja, chociaż z drugiej strony nigdy nie zastanawiałem się nad pochodzeniem Enigmy.

– W takim razie co tu robisz? Powinnaś szastać kasą na prawo i lewo.

– Mój ojciec też chciałby to wiedzieć. Dostał szału, kiedy wyprowadziłam się z domu tuż po dwudziestych pierwszych urodzinach.

– Zbuntowana córeczka chciała zarobić na życie bez pomocy bogatych krewnych?

– Nie, skąd. Fajnie było mieć pieniądze. Bardzo fajnie. Czemu miałabym się przeciwko temu buntować? Miałam szczęście, od urodzenia mogłam czuć się uprzywilejowana. Moim zdaniem głupotą jest odmawiać czegoś dobrego, jeśli los sam pcha ci to w ręce. To jak wyrzucanie jedzenia.

– Łatwo powiedzieć, kiedy niczego nam nie brakuje.

– Nie będę się kłócić, ale nie uważam, że powinnam czuć się winna: nikogo nie prosiłam o bogatych rodziców.

– No dobra, ale w końcu jednak to wszystko odrzuciłaś.

Zaśmiała się.

– Tak, ale nie dla zasady, tylko przez nieumiejętność oceny sytuacji. Zrobiłam straszną głupotę.

– Jaka? Jeśli można zapytać.

– Uciekłam, żeby wyjść za mąż.

Żałuję, że akurat niczego nie piłem – mógłbym się efektownie zachłysnąć, tak jak w filmach.

– Co? Masz... masz męża?

– Nie, złotko, już nie. W końcu odzyskałam rozum. To był profesor z mojego wydziału, prawie dwadzieścia lat ode mnie starszy. Rozwodnik z dziećmi. Szaleństwo. Sypiasz sobie z wykładowcą, powodowana jakimś cholernym freudowskim kompleksem, i nagle, nie wiedzieć jakim cudem, stoisz w pałacu ślubów i składasz jakąś absurdalną przysięgę. – Enigma zrobiła minę, jakby przełykała coś bardzo zimnego, co na domiar złego utknęło jej w gardle. – Boże... Nie był nawet szczególnie przystojny. Nie wiem, co ja miałam w głowie. Rozwiedliśmy się trzy miesiące później. Byłam wściekła na cały świat i zupełnie zagubiona. Wyjechałam do Rzymu, skończyłam tam studia, a wkrótce zaczęłam pracę w Piwnicy. Teraz, jak o tym mówię, to wydaje mi się, że mogłaby być z tego niezła powieść.

– Eee, wydaje mi się, że ktoś już coś takiego napisał.

W ciszy próbowałam przyswoić sobie tę informację. Może wydać się to dziwne, ale dopiero wtedy dotarło do mnie, że tak naprawdę niewiele wiem o innych Poszukiwaczach. Nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak ciemna i głęboka może być przepaść, dopóki do niej nie zajrzemy.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Ty zawsze, skarbie.

– Po cholerę za niego wyszłaś?

– Miłość to chemia, Faro. Nie pozwól nikomu wmówić sobie, że jest inaczej. Niektórzy twierdzą, że to wyższe uczucia, doznania duchowe. Bzdura. To reakcja hormonalna, której nie możemy w najmniejszym stopniu kontrolować. Dlatego często ciągnie nas nie do tych, którzy byliby dla nas odpowiedni, ale do pierwszego z brzegu idioty, który ma w sobie to coś, co uruchamia reakcję chemiczną.

– Brzmi to dość paskudnie.

– Miłość jest paskudna, złotko.

– Ja tak nie uważam.

– No coś ty, jesteś romantykiem? Jakie to słodkie.

– Nie, nie jestem, tyle że... Trochę mi przykro, że tak to widzisz.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że ktoś taki jak ty powinien wierzyć, że spotka osobę, która będzie kimś więcej niż wyzwalaczem reakcji chemicznej. Jakąś bratnią duszę, rozumiesz.

Enigma się uśmiechnęła.

– Bratnią duszę – powtórzyła z rozbawieniem. – Widzisz, jednak jesteś romantykiem. Nie szkodzi, to urocze. Myśl sobie tak dalej. A jeśli kiedyś spotkam tę bratnią duszę, to obiecuję, że pierwszy się o tym dowiesz. Chciałabym poznać twoją opinię.

– Będę bardzo wymagający. Dla ciebie tylko produkty najwyższej jakości.

– Dziękuję. No to jaki miałby być ten cudowny człowiek? Daj mi jakieś wskazówki, łatwiej będzie mi szukać.

– No więc... Nie wiem. Chyba wysoki i przystojny.

– Z tym drugim się zgadzam. Co do wzrostu, nie mam wielkich wymagań, byle nie wyglądał jak mój młodszy brat. Ale myślałam, że mówimy o duszy.

– Aha, no dobrze... – zająknąłem się. Nie spodziewałem się, że po brawurowej ucieczce od piratów czeka mnie rozmowa z Enigmą na tematy sercowe. Jak już wspominałem, życie Poszukiwacza jest pełne niespodzianek. – Musi o ciebie dbać. I mieć poczucie humoru.

– Mój fryzjer o mnie dba i opowiada świetne dowcipy, ale nie uważam go za bratnią duszę. Musisz znaleźć coś lepszego.

– Z lekką nutką tajemnicy...

– Ciekawe – powiedziała zamyślona. – To mi się podoba. Dlaczego tajemnicy?

– Wydaje mi się, że większość kobiet na to leci.

– Bez urazy, złotko, ale powinieneś już wiedzieć, że nie jestem taka jak większość kobiet. Poszukaj lepszej odpowiedzi.

– No dobrze. Może nie tyle powinien być tajemniczy, ile mieć upodobanie do osobliwości, bo jesteś dość specyficzną osobą... Bez urazy.

– Nie ma się o co obrażać, to dla mnie komplement. Coś jeszcze?

– Musi być odważny, bo... No cóż, jesteś dość trudną kobietą. Mieć wyobraźnię, żeby cię nie znudzić, dorównywać ci intelektem, być elegancki, żebyś nie zamęczała go dzień i noc nauką wiązania krawata i nie czepiała się niemodnych ubrań. Powinien też być cierpliwy. I niezależny, tak jak ty, w przeciwnym razie od razu byście się sobą zmęczyli. Ale co najważniejsze, musi być trochę lekkomyślny.

– Lekkomysłny? Dlaczego?

– W innym wypadku nigdy by się nie odważył z tobą być.

Enigma powoli pokiwała głową.

– No proszę. Podoba mi się to. Bardzo mi się podoba. Coś jeszcze?

Spojrzałem na nią, żeby odpowiedzieć. W tej samej chwili promienie wschodzącego słońca przeniknęły przez okienko pilota i oświetliły ją idealnie łagodnym blaskiem. Na tle nieba i morza wyglądała jak zjawka z pogranicza dwóch nieskończoności.

– Musi kochać piękno.

Nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Wcale tego nie planowałem, słowa same wyszły z moich ust.

Uśmiechnąłem się zawstydzony.

– To bardzo ładne, Tirso. Dziękuję.

Ucieszyłem się, że na mnie nie patrzy, bo policzki oblał mi taki rumieniec, jakbym dostał nagle gorączki. Enigma miała w sobie coś, co sprawiało, że czerwieniłem się bez najmniejszego powodu.

Zapadła między nami cisza.

– Patrz – powiedziała nagle Enigma i gestem głowy wskazała za okno. – Chcesz zobaczyć coś pięknego? Spójrz w dół.

Wyjrzałem przez swoje okno. Czuję się, jakbym przyglądał się mapie. Linia brzegowa dzieliła świat na dwie połowy, jedną intensywnie niebieską, drugą – brązowawo-zieloną. Wśród bujnej roślinności wiała się jak wąż lśniąca srebrna linia, ginąca gdzieś za horyzontem.

– Co to? – zapytałem.

– Rzeka Gambia – odparła Enigma. – A dla nas to wrota Afryki.

Enigma najwyraźniej wiedziała, nad jaką częścią świata właśnie lecimy. Chciałem zapytać ją, jak to robi, ale uznałem, że lepiej zaufać jej zmysłowi orientacji, niż dopuścić myśl, że błąkamy się zagubieni kilka tysięcy metrów nad ziemią.

Kiedy Bańka się obudził, wykazał jednak większą podejrzliwość. Uważał, że pod nami widać nie Gambię, a Gwineę. Zaczęli się kłócić, a ja wykorzystałem sytuację, żeby się trochę przespać.

Ze snu wyrwały mnie jakieś hałasy. Poszukiwacze nadal nie mogli dojść do porozumienia w kwestii naszego położenia.

– Niemożliwe, żebyśmy zbczyli aż tak daleko na południe – twierdziła Enigma. – To na pewno Gambia.

– Skąd możesz wiedzieć? Widzisz tu jakąś tabliczkę z drogowskazem?

– Nie, widzę tylko faceta, który nie potrafi przyznać, że się zgubił, co swoją drogą jest bardzo typowe dla przedstawicieli twojej płci.

– Musimy ustalić położenie. Lecimy na oślep.

– Mów za siebie, ja dokładnie wiem, w którą stronę lecimy: na wschód.

Jeden szczegół zdawał się jednak umykać obojgu moim przyjaciółom: jak poznamy, że właśnie przelatujemy nad Mali? I co ważniejsze – gdzie i jak wylądujemy? Wyraziłem swoje wątpliwości na głos, ale nikt nie potrafił udzielić mi zadowalającej odpowiedzi. Udało mi się osiągnąć tyle, że Bańka i Enigma znowu zaczęli się kłócić.

Próbowałem pociągnąć temat dalej, coś zasugerować, ale dotarłem do kresu wytrzymałości i żadna siła nie potrafiłaby mnie powstrzymać przed zamknięciem oczu. Z powrotem zapadłem w sen, tym razem ciężki i głęboki. Chyba też chrapałem.

Letarg mógł trwać godziny, a nawet dni. Nigdy w życiu nie czułem takiego zmęczenia. Po upływie bliżej nieokreślonego czasu samolotem potężnie szarpnęło i znowu się obudziłem. Spodziewałem się zastać przyjaciół na dokładnie tym samym etapie kłótni co wcześniej, ale zamiast tego zobaczyłem, jak śmiertelnie blada Enigma dźga palcem w panel kontrolny.

– Dalej, dalej... – mruzczała nagłym tonem.

Od razu zrozumiałem, że coś jest nie tak.

– Co się dzieje? – zapytałem.

– Nie wiem – odparła. – Paliwo, silnik, powietrzne chochliki... Cholera wie! Lot taką maszyną bez choćby podstawowego przeglądu to spore ryzyko.

– Tak tylko żebyś niepotrzebnie się nie bał: jak spore?

– Przykro mi, Faro, ale powinieneś się bać.

Spojrzałem do tyłu. Bańka i César kurczowo trzymali się foteli z minami, które nie sugerowały nic dobrego. Nagle usłyszałem hałas, prawie jak wystrzał, a z nosa samolotu zaczęły wydobywać się czarne kłęby dymu i przesłoniły nam widok.

Kiedy maszyna gwałtownie opadła o kilkanaście metrów, żołądek podszedł mi do gardła. Ucieszyłem się, że od dłuższego czasu nic nie jadłem: nie cierpię wymiotować w sytuacjach kryzysowych.

Enigma rozpaczliwie szarpała ster. Skóra na jej zbielejących knykciach była tak napięta, jakby miała lada chwila pęknąć. Dziewczyna mocno zaciskała zęby i patrzyła na nos samolotu z przerażeniem w oczach.

– Załoga! – wrzasnęła. – Mamy problem!

Awionetką zatrzęsło i uderzyłem w szybę. Znowu obniżyliśmy lot z gracją spadającego kamienia. Z tyłu dobiegł mnie odgłos wymiotów, a całą kabinę wypełniła woń żółci.

Nie zaproponowałem pomocy. Natychmiast zacząłem gorączkowo szukać pod fotelem czegoś przypominającego spadochron. Enigma szarpnęła za stery i cessań zarzuciło jak komarem. Usłyszałem dźwięk dogorywającego silnika, a przez przesłaniającą okna chmurę dymu dojrzałem coraz szybciej zbliżającą się ziemię.

Coraz bliżej i bliżej.

Ciśnienie wybuchło mi w uszach wraz z niewyobrażalnym bólem. Awionetka pikowała, tnąc powietrze. Wrzasnąłem. Wszyscy zaczęliśmy wrzeszczeć. Zasłoniłem twarz dłońmi w płonnej nadziei, że uda mi się ochronić przed tym, co musiało lada moment nastąpić.

Poczułem gwałtowny wstrząs gdzieś w podwoziu i moje ciało zaczęło latać po kabinie jak ziarno fasoli w puszcze. Obijałem się w najróżniejszych miejscach, słyszałem trzaski i miałem tylko nadzieję, że to nie moje gruchotane kości. Bałem się jednak otworzyć oczy, żeby to sprawdzić. Wołałem umrzeć w ciemności.

Maszyna zatrzymała się gwałtownie i poleciałem do przodu. Wyrznąłem czołem w panel sterowania i poczułem, jak krew zalewa mi twarz. Na chwilę straciłem kontakt z rzeczywistością. Odzyskałem go, dopiero kiedy ktoś złapał mnie za ramię i szarpnął.

Otworzyłem oczy, ale byłem tak oszołomiony, że nie miałem pojęcia, gdzie się znajduję. Z powodu kilkusekundowej, może nawet kilkuminutowej luki w pamięci nie potrafię powiedzieć, jak z fotela w samolocie trafiłem na ziemię, gdzie leżałem na plecach i wpatrywałem się w niebo.

Szczerze mówiąc, cieszę się, że nie pamiętam. To nie mogło być nic przyjemnego, bo kiedy już udało mi się wstać, zatoczyłem się jak pijany, cała prawa strona ciała bolała mnie niemiłosiernie, a pół twarzy spuchło i pulsowało.

Zamrugalem i poczułem przeszywający ból karku. Rozejrzałem się dookoła. Stałem na środku płaskiego terenu, na gliniastej glebie otoczonej gęstymi zaroślami o wąskich, ostrych liściach. W pewnej odległości widziałem kępę powykręcanych, kolczastych drzew z koronami w kształcie zielonego wachlarza. Równina ciągnęła się ze wszystkich stron aż po horyzont, czasem tylko pojawiały się nieliczne płaskie formacje skalne.

Niebo było cudownie niebieskie. Zresztą wszystkie kolory błyszcząły tak żywo, tak intensywnie, że moja obolała głowa z trudem to znosiła. Moje pierwsze wrażenie z Afryki to myśl, że kolory są tam zbyt czyste dla ludzkiego oka.

W powietrzu unosiły się kłęby pyłu. Nagły atak kaszlu sprawił, że zgąłem się wpół. Kiedy dotknąłem głowy, na dłoniach zostały mi plamy krwi.

Zobaczyłem awionetkę. Nasza nieustraszona cessna leżała jak statek, który osiadł na mieliźnie, z nosem wbitym głęboko w ziemię i ogonem uniesionym dobre kilka metrów nad ziemią. W tej chwili ktoś złapał mnie za ramiona i siłą obrócił.

Bańka przyglądał mi się uważnie. Sprawiał wrażenie przerażonego, choć na pierwszy rzut oka nie był poważnie ranny.

– Wszystko w porządku, młody?

W jego tonie pobrzmiwał niepokój. Musiał kilka razy powtórzyć pytanie, zanim go zrozumiałem – na początku jego głos docierał do mnie jakby z końca długiego tunelu.

Skinąłem głową. W górę. W dół. Powoli. Zakręciło mi się w głowie, a potem zrobiło niedobrze. Schyliłem się i zwymiotowałem powietrzem, a Bańka klepał mnie krzepiąco po plecach.

Kiedy się wyprostowałem, zobaczyłem wychodzących zza wraku Enigmę i Césara. Enigma przyciskała rękę do ciała. Powiedziała, że zwichnęła sobie ramię. César najadł się strachu, ale nic mu nie dolegało, jeśli nie liczyć paru siniaków.

Nad Korpusem Poszukiwaczy niewątpliwie czuwa niezwykle pracowity anioł.

Bańka pomógł Enigmie nastawić ramię. Na dźwięk kości wskakującej z chrupnięciem na swoje miejsce w stawie znowu zrobiło mi się słabo.

Towarzysze opowiedzieli mi, co zaszło: Enigma zdołała posadzić samolot na czymś w rodzaju bardzo prymitywnego lądowiska. Awionetka nie tyle wylądowała, ile uderzyła w podłoże, ale dzięki umiejętnościom Poszukiwaczki (oraz prawdopodobnie cudowi) udało się uniknąć niewyobrażalnej tragedii.

Kiedy samolot wbił się w ziemię, uderzyłem się w głowę i straciłem przytomność. Enigmie udało się mnie wyciągnąć. Podobno przez kilka minut nie było ze mną kontaktu.

– Na pewno dobrze się czujesz? – zapytała Enigma. – Mam nadzieję, że nie masz wstrząsu mózgu albo czegoś gorszego.

– Trochę tylko... kręci mi się w głowie. – Pomacałem się po kończynach, żeby sprawdzić, czy niczego nie złamałem. Wtedy coś mi się przypomniało. – Bateria... Gdzie Bateria z Karbali? I Ster?

César podniósł w ręku mały worek z brązowego płótna.

– Wszystko jest tutaj.

– Dobrze. – Wziąłem od niego worek i zajrzałem do środka, żeby na własne oczy upewnić się, że oba przedmioty są całe. Tylko one nam zostały i tylko one mogły jeszcze uchronić tę misję przed totalną porażką. Nie przesadzę, jeśli powiem, że obawiałem się o ich bezpieczeństwo bardziej niż o nasze. – Teraz pozostaje nam tylko się dowiedzieć, gdzie wylądowaliśmy.

Bańka zrobił daszek z dłoni i rozejrzał się po horyzoncie.

– Wydaje mi się, że tam daleko coś jest. Może jakieś miasteczko albo przynajmniej osada.

Staliśmy przy jezdni, a właściwie szerokiej gruntowej drodze. Nagle na drugą stronę przebiegły dwa jeżozwierze – wyglądały jak małe przerażone krzaki. Zostaliśmy oficjalnie powitani przez lokalną faunę.

Postanowiliśmy iść wzdłuż drogi do miejsca wypatrzonego przez Bańkę. Nie mieliśmy zresztą praktycznie żadnej innej możliwości, chyba że chcielibyśmy zostać przy wraku i czekać na drugi cud, ale ten wydawał się mało prawdopodobny – tam na górze musieli mieć nas serdecznie dosyć.

– Myślicie, że są tu węże? – zapytałem.

– W Afryce pełno najróżniejszych stworów – odparła Enigma. – Dlaczego pytasz?

– Nienawidzę węży.

Zacząłem iść wzdłuż drogi, a reszta ruszyła za mną.

Przeszliśmy może parę metrów, kiedy usłyszeliśmy w oddali dźwięk silnika. Wkrótce pojawił się obłok pyłu, a zza niego wyłonił się jadący w naszą stronę pojazd w kolorze khaki. Gdy podjechał bliżej, zauważyliśmy, że to dziwny, kanciasty samochód, wymalowany w barwy ochronne i z czymś w rodzaju anteny satelitarnej na dachu.

Bańka powstrzymał nas gestem.

– Co się dzieje? – zapytałem.

– To panhard PVP – stwierdził. – Lekki wóz bojowy używany zwykle przez armię francuską. Jedzie w naszą stronę i coś mi mówi, że to nie przypadek.

Opancerzony samochód zatrzymał się na środku jezdni, kilka metrów od nas, blokując nam drogę. Wsiadło z niego dwóch mężczyzn w identycznych mundurach khaki i hełmach. Obaj mieli broń, a jeden wycelował ją w naszym kierunku.

Powoli podnieśliśmy ramiona.

Ten, który trzymał nas na muszce, wskazał na wrak awionetki i powiedział po francusku coś, czego nie dosłyszałem. Drugi skinął głową, wyciągnął z kieszeni radio i z kimś się skontaktował. Poinformował, że na miejscu wypadku spotkał trzech białych mężczyzn i kobietę. Tyle udało mi się zrozumieć – mój francuski nie jest wybitny, a uderzenie w głowę raczej mi nie pomogło. Żołnierz dodał coś jeszcze, ale mówił bardzo szybko i niewyraźnie.

Ten z radiem zwrócił się do nas:

– No dobra, wy czworo: nie ruszajcie się, proszę. Co tu się stało?

Podszedł nieco bliżej. Dostrzegłem na jego mundurze flagę Francji i czarne galony z dwiema złotymi belkami. Bańka zwrócił się do niego per „poruczniku” i w krótkich słowach wyjaśnił, że jesteśmy grupą turystów z Europy, którzy rozbili się awionetką. Do minimum ograniczył liczbę szczegółów. W końcu zapytał, gdzie się znajdujemy.

– W pobliżu bazy wojskowej w Koulikoro – odparł porucznik.

– Przepraszam, chodziło mi konkretnie o to... w jakim kraju.

Żołnierz wytrzeszczył oczy. Zastanawiał się chyba, czy Bańka się z niego nabija.

– W Mali, proszę pana – odpowiedział w końcu. – Macie jakieś dokumenty?

– Obawiam się, że nie.

Porucznik popatrzył na nas jak na coś paskudnego, co przykleiło mu się do buta. Znowu wyciągnął radio i porozumiał się z kimś.

– Musicie jechać z nami. Wsiadajcie do auta i trzymajcie ręce na wierzchu – zarządził.

Jego towarzysz ciągle do nas celował, więc nikt nawet nie próbował dyskutować.

Porucznik odszedł na bok i przyglądał nam się nieprzyjaźnie, kiedy wsiadaliśmy do wozu.

Pojechaliśmy z francuskimi żołnierzami gruntową drogą, która doprowadziła nas do terenu otoczonego płotem z metalowych prętów zwieńczonych drutem kolczastym. Samochód minął bramę i zatrzymał się przed zielono-kremowym budynkiem. Dwupiętrowa budowla wyglądała dość skromnie i nie sprawiała wrażenia centrum dowodzenia bazy wojskowej, przypominała raczej gmach uniwersytecki.

Po okolicy kręciło się wielu żołnierzy, białych i czarnoskórych, w mundurach khaki. Odróżniali się od siebie jedynie galonami i flagami na rękawach – w większości były francuskie, choć niemal wszyscy Afrykańczycy nosili barwy zielono-żółto-czerwone.

Dwaj żołnierze, z którymi przyjechaliśmy, zaprowadzili nas do budynku. Zachowywali dystans, ale nie byli obcesowi. Poszliśmy za nimi do pomieszczenia wyglądającego na prowizoryczny punkt pomocy medycznej. Tam inny żołnierz przejął nas i kolejno zbadał za parawanem z białej tkaniny. Zaczął ode mnie, pewnie dlatego, że wyglądałem najgorzej z całej czwórki.

– Paskudny uraz – mruknął na widok rany na mojej twarzy. Zachowywał się zdecydowanie sympatyczniej niż jego koledzy, z którymi wcześniej mieliśmy do czynienia.

– Ma pan zawroty głowy? Mdłości? Zaburzenia widzenia?

– Nie. Tylko trochę... – Zawahałem się, bo zapomniałem francuskiego. – Bola mnie włosy?

– Bola...? – Lekarz się uśmiechnął. – Aaa, boli pana głowa. To normalne. Dam panu coś przeciwbólowego. Skąd pan jest? Z Europy?

– Z Hiszpanii.

– Ach, Hiszpania, piękny kraj – powiedział z roztargnieniem, zajęty bandażowaniem rany. – Mamy tu teraz paru Hiszpanów, z bazy EUTM. Mili ludzie.

– EUTM? Przepraszam, ale nie wiem co to...

– Szkoleniowa misja Unii Europejskiej w Mali. Stacjonują niedaleko stąd, w Koulikoro. Jest tam masa pana rodaków.

– A tutaj?

– Tu mamy tylko Francuzów. Jeden z kontyngentów operacji Barkhane.

– Myślałem, że misja francuska w Mali to operacja Serwal.

– Widzę, że nie jest pan na bieżąco. Serwal zakończył się ładnych parę miesięcy temu. Ta baza to pozostałość po tamtej operacji i wkrótce zostanie zamknięta. Mają nas przenieść do Gao.

Chętnie dowiedziałbym się czegoś więcej, ale lekarz oznajmił, że już ze mną skończył, i pozwolił wrócić do towarzyszy.

Po badaniach i opatrzeniu ran poddano nas przesłuchaniom. Najwyraźniej sami nie wiedzieli, czy traktować nas jako potencjalne zagrożenie czy tylko jako nietypowe przydrożne znalezisko. Ze swojej strony udzieliłem im tak skąpych informacji jak to możliwe – nie próbowałem zmyślać niestworzonych historii, ale pomijałem najważniejsze szczegóły.

Zrobili nam zdjęcia i przenieśli do skromnego budyneczku sąsiadującego z centralą bazy. Tam zostawili nas w jednym z pokoi i zamknęli drzwi na klucz. Czuliśmy się jak więźniowie, choć trudno było jednoznacznie stwierdzić, czy rzeczywiście nimi byliśmy, bo

nikt nie poinformował nas o naszym statusie.

Miałem wiele powodów do zmartwienia, ale najbardziej niepokoił mnie fakt, że Francuzi zabrali nam Baterię i Ster. Po cichu liczyłem na to, że wkrótce nam je oddadzą i wypuszczą nas na wolność, ale coś mi mówiło, że taki scenariusz jest mało prawdopodobny.

Po jakimś czasie w pokoju pojawił się wojskowy. Przedstawił się jako kapitan Thierry Lazure. Stał przed nami na szeroko rozstawionych nogach i z rękami założonymi za plecy, jakby szykował się do przeglądu wojska.

Z typowo francuską galanterią serdecznie przeprosił nas za warunki, w jakich nas trzymają, i zapytał o samopoczucie, mimo że nie sprawiał wrażenia, że w najmniejszym stopniu go to interesuje.

Potem przyszedł czas na złe wieści.

Kapitan Lazure dał nam jasno do zrozumienia, że nasze niespodziewane lądowanie sprawiło im niemały kłopot. Wyjaśnił, że oddział miał za zadanie zapobiegać wszelkim zdarzeniom mogącym zagrozić bezpieczeństwu w okolicy, my zaś wydaliśmy się im podejrzani jak paczka, z której dobiega złowrogie tykanie. Dlatego, ciągnął, puszczenie nas wolno nie wchodziło w grę. Musieliśmy pozostać pod strażą, dopóki nie uda się im w jakiś sposób nas zidentyfikować.

Oficer powiedział, że przesłał nasze zdjęcia hiszpańskiej policji oraz międzynarodowym służbom specjalnym. Ze względu na problemy z łącznością mogło minąć sporo czasu, zanim będzie mógł poinformować nas, czego się dowiedział i jakie kroki zamierza w związku z tym podjąć. Do tej pory mieliśmy pozostawać pod nadzorem funkcjonariuszy Republiki Francuskiej.

Zabronił nam opuszczać bazę, podejmować jakiegokolwiek próby komunikacji zewnętrznej, a nawet wychodzić z pokoju – do odwołania. Na koniec zasugerował, że mieliśmy wielkie szczęście – mogliśmy wpaść w łapy malijskich policjantów, a ci nie byli ani tak wyrozumiali, ani uprzejmi jak żołnierze francuscy. Miły akcent na zakończenie.

Pożegnał się z nami bez ceremonii i zostawił samych, nie do końca więźniów, mniej więcej zatrzymanych i w znacznym stopniu podejrzanych. To by było na tyle.

Bańka kopnął metalowe krzesło.

- Co za beznadziejna misja. Wszystko idzie nie tak. Nie przypominam sobie gorszej.
- Nie zapominaj o Maroku, skarbie – powiedziała Enigma z roztargnieniem.
- Z Marokiem włącznie.

Enigma spojrzała na niego, jakby oszalała. Potem westchnęła ciężko i rzuciła w przestrzeń:

– No to już po nas. Jednego z nas ściga hiszpańska policja, drugiego – Interpol. Obawiam się, że jak już stąd wyjdziemy, to odeślą nas prosto do Hiszpanii.

- A mnie do francuskiego więzienia – stwierdziłem z goryczą.
- Już jesteś we francuskim więzieniu, złotko.

Pogrążyliśmy się w niewesołej ciszy. Najwyraźniej po ucieczce piratom i przeżyciu katastrofy lotniczej wyczerpały się nam pomysły.

Enigma podeszła do jedyne go okna i wyjrzała na zewnątrz przez kraty. Z pokoju widać było wyrównany teren z kosztami do gry, coś w rodzaju prymitywnego boiska.

Grupka czarnoskórych żołnierzy w spodniach od munduru i koszulkach okrążała placyk w rytm śpiewanego marsza wojskowego. Zza okna dobiegały niskie głosy i miarowe uderzenia ciężkich butów o ziemię.

Stanąłem obok Enigmy i kontemplowałem widok. Przez plac przeszła kobieta w cywilu. Zatrzymała się przy jednym z francuskich żołnierzy i zaczęli rozmawiać. Kobieta miała na sobie koszulkę bez rękawów i spodnie bojówki z mnóstwem kieszeni. Na głowie nosiła czapkę, a na nosie – okulary słoneczne.

Ściągnęła czapkę i odsłoniła krótką blond grzywę. Na jej karku zobaczyliśmy tatuaż w kształcie salamandry. Enigma wyprostowała się gwałtownie.

– Bańko, chodź tu. Szybko.

– Co znowu? Montują gilotynę?

Poszukiwacz ciężkim krokiem zbliżył się do okna.

– Przyjrzyj się tej dziewczynie.

– Co z nią?

– Tatuaż! Patrz na tatuaż!

Twarz Poszukiwacza nagle spochmurniała.

– Cholera. Niemożliwe.

– Co się dzieje? – zapytałem. – Coś nie tak?

– Niech to szlag! – wycedził Bańka przez zęby, ignorując moje pytanie. – Nie wierzę, że mam aż takiego pecha!

– Co ty gadasz? To nieziemski fart! – zaproponowała Enigma. – Spróbuję zwrócić jej uwagę.

– Ani mi się waż.

Poszukiwaczka puściła groźbę mimo uszu. Wykruszyła kawałek tynku i cisnęła nim w kierunku kobiety. Całkiem celnie – trafiła ją prosto w potylicę.

Kobieta złapała się za głowę i odwróciła. Zdjęła okulary słoneczne i podeszła kilka kroków w stronę naszego okna, z grymasem na twarzy. Kiedy się zbliżyła, zobaczyłem, że jest młoda i całkiem atrakcyjna, z dziewczęcą twarzą o proporcjonalnych rysach, wielkich kasztanowych oczach i uroczych piegach na nosie.

Nagle stanęła jak wryta. Wzięła się pod boki i patrzyła na nas z dziwną miną. Potem obróciła się na pięcie i szybkim krokiem oddaliła poza zasięg naszego wzroku.

– Dobrze! Zauważyła nas – stwierdziła Enigma. – Mam nadzieję, że nas poznała.

– Czekaście... Wiecie, kto to jest? – zapytałem.

– Tak – burknął Bańka. – Wrzód na dupie. To właśnie ona.

– Nie słuchaj go, Faro. Mamy szczęście, że ją spotkaliśmy. Może uda jej się nas stąd wyciągnąć.

– Ale kto to? – drażyłem nieco zirytowany.

Bańka odpowiedział z taką miną, jakby wypluwał kawałek zgniłego mięsa.

– Hydra. – Powoli pokręcił głową. – To dopiero pech.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł żołnierz. Towarzyszyła mu kobieta, którą widzieliśmy wcześniej na boisku.

– Dziękuję, kapralu – powiedziała. – Mogę zostać z nimi sama?

– Kapitan Lazure nie ma nic przeciwko. Będę zaraz za drzwiami, gdyby mnie pani potrzebowała.

Wyszedł. Kobieta stała z rękami założonymi na piersi. Przez kilka chwil przyglądała się nam bez słowa. W końcu zamknęła oczy i pokiwała głową.

– To naprawdę wy. Już myślałam, że mam zwidy. – Uśmiechnęła się blado i dodała szeptem: – Kawalerowie Poszukiwacze.

Enigma pomachała jej niepewnie.

– Cześć, Hydro.

– Chryste... Od wieków nikt mnie tak nie nazwał. Enigma... Ile to już lat? Chyba z pięć czy sześć.

– Dokładnie siedem.

– Nic się nie zmieniłaś.

– Dziękuję, skarbie. Ty wyglądasz trochę dojrzałej, ale i tak ładnie.

Hydra się zaśmiała.

– Faktycznie, zupełnie się nie zmieniłaś. – Rozejrzała się za Bańką, który stał w kącie z kwaśną miną. – Bańka.

Spojrzał na nią spode łba, po czym kiwnął głową na powitanie i sapnął przez nos.

– Rozumiem – stwierdziła Hydra. – Nie cieszy cię mój widok, co?

– A dlaczego nie? Uwielbiam spotkania ze starymi znajomymi. Wybacz, jeśli odniosłaś inne wrażenie, mam kiepski dzień.

– Domyślam się – odparła Hydra. Atmosfera nagle mocno się zagęściła. Kobieta postanowiła czym prędzej przerwać niezręczną ciszę: – A wy to kto?

– Faro jest od nas, z Korpusu – odpowiedziała Enigma. – A tamten to César.

– Też Poszukiwacz?

– Coś w tym stylu – rzucił César.

– Czyli sami Poszukiwacze. Spodziewałam się, że prędzej czy później wpadnę na kogoś z Korpusu, ale nigdy bym nie pomyślała, że akurat tutaj, na końcu świata. Skąd się tu wzięliście?

– Długo by opowiadać – powiedziała Enigma. – Interpol rozesłał za Farem list gończy, ale jak na razie nasi gospodarze o tym nie wiedzą. Będą nas tu trzymać, dopóki się nie dowiedzą, kim jesteśmy, a wtedy będziemy mieli problemy.

– Jesteście na misji?

– A co innego może robić grupa Poszukiwaczy w Afryce?

– Słyszałam coś o rozbitej awionetce i dziwnych typach idących drogą. Teraz wszystko mi się składa. Nieźle nabruzdziście dowódcom bazy. Wybraliście sobie chyba najgorszy moment, żeby znaleźć się tu bez dokumentów. Pojawiły się doniesienia, że Ansar ad-Din planuje dziś jakiś zamach w Koulikoro, i Francuzi wpadli w histerię.

– Czyli trzymasz teraz z Francuzami – rzucił Bańka ze swojego kąta. – Chociaż pamiętam, jak powiedziałaś mi wtedy podczas wyprawy do Normandii: „Prędzej umrę, niż dogadam się z żabojadem”. Cóż, wtedy jeszcze myślałem, że twoje słowo jest coś warte.

Hydra uśmiechnęła się gorzko.

– Tak naprawdę nigdy nie miałam nic przeciwko Francuzom. To była chwilowa fanaberia.

– Z czymś mi się to kojarzy... Ciekawe czemu.

Enigma zgromiła go wzrokiem.

– Dosyć. Naprawdę chcesz zacząć ten temat? Tutaj, teraz?

– Nic się nie stało – odparła Hydra pojednawczym tonem. – W sumie ma prawo. Ale, żeby było jasne, nie pracuję dla Francuzów. Jestem z NCW.

– Serio? – spytała Enigma. – Z bondami?

– Są w porządku.

– Co robisz w Mali? – zapytał Bańka napastliwie.

– To co wy: próbuję dyskretnie wykonywać swoje obowiązki zawodowe, chociaż z tego, co widzę, mnie idzie to nieco lepiej. Bez wdawania się w szczegóły: wysłali mnie do bazy EUTM, która leży niedaleko stąd, żebym zbadała ewentualne związki Ansar ad-Din z komórkami salafitów w Europie, ale ostatnio robię głównie za łączniczkę.

– Czym się zajmujesz? – zapytałem.

– Przekazuję informacje między poszczególnymi misjami międzynarodowymi. Ogólnie rzecz biorąc, krążę od jednych do drugich i zbieram raporty EUTM, Barkhane i błękitnych hełmów ONZ.

– Strasznie skomplikowane – stwierdziła Enigma. – Nie można jakoś ujednoczyć pracy służb wywiadowczych?

– Tak by było logicznie, ale Francuzi zaczęli operację Serwal na własną rękę, więc teraz chcą zachować niezależność od Barkhane. Podstawowy problem polega na tym, że panicznie się boją w jakimkolwiek zakresie współpracować z ONZ. Wciąż drżą na wspomnienie wyczynów błękitnych hełmów w Sierra Leone. Uważają, że zawsze gdy interweniują w Afryce, udaje im się coś spieprzyć.

Zdziwiła mnie swoboda, z jaką Hydra opowiadała o swoich tajnych misjach. Przywykłem do dużo większej dyskrekcji ze strony bondów. Widocznie dawna Poszukiwaczka nie uznała za niebezpieczne zdradzenia starym znajomym kilku tajemnic. W końcu jeśli ktokolwiek potrafi trzymać język za zębami, to właśnie Poszukiwacze.

– Świetnie, dziękujemy za najnowsze wieści – powiedział sarkastycznie Bańka. – To była prawdziwa niespodzianka. Życzę ci dużo szczęścia.

– Akurat tobie przydałoby się ono chyba bardziej niż mnie. To nie ja siedzę w areszcie we francuskiej bazie wojskowej.

– To już nasz problem. – Poszukiwacz podszedł do okna i odwrócił się do nas plecami, jakby uznał dyskusję za zakończoną.

Hydra uśmiechnęła się kwaśno.

– Mówisz w imieniu wszystkich?

– Zapewniam, że nie – pośpieszyła z wyjaśnieniem Enigma. – Przydałaby się nam twoja pomoc.

Bańka się odwrócił.

– Nie chcę ani nie potrzebuję jej pomocy.

– Słuchaj, Bańko: gdybym mogła was stąd wyciągnąć, zrobiłabym to bez chwili wahania, nawet bez twojej zgody. Ale niestety jestem bezsilna.

– W takim razie nie widzę najmniejszego powodu, żeby kontynuować tę rozmowę – odparł Poszukiwacz.

Hydra chciała chyba coś odpowiedzieć, ale tylko pokręciła smutno głową. Potem wyjęła z kieszeni notes, zapisała coś i podała Enigmie karteczkę.

– To mój adres w Koulikoro. Mieszkam w pensjonacie przy starym dworcu kolejowym, łatwo go znaleźć. Jeśli uda wam się jakoś wykaraskać, poszukajcie mnie. Tymczasem obiecuję, że spróbuję wymyślić sposób, żeby wam pomóc. Nie zostawię was samym sobie.

– Tak, bo ty przecież nigdy byś tak nie postąpiła, prawda? – zapytał Bańka.

Hydra tylko westchnęła. Pożegnała się z nami zdawkowo i wyszła. Kiedy zostaliśmy sami, Enigma rzuciła się na Bańkę.

– W życiu nie widziałam tak kretyńskiego zachowania! Naprawdę zastanawiam się, czy mam do czynienia z dorosłym mężczyzną.

– Nie chcę mieć nic wspólnego z tą kobietą, a zwłaszcza być jej winnym jakkolwiek przysługę, tak trudno to zrozumieć?

Enigma zacisnęła wargi z wściekłości.

– Mam tylko nadzieję, że przez twój głupi upór nie zraziliśmy do siebie jedynej osoby, która może nas stąd wyciągnąć, panie Bailey. W przeciwnym razie będę bardzo, bardzo zła, a możesz mi wierzyć, że przy mojej furii francuskie więzienie to małe piwo.

TARG

O zmierzchu, parę godzin po rozmowie z Hydrą, przyszło po nas kilku francuskich żołnierzy.

Bez żadnego wyjaśnienia zaprowadzili nas pod karabinami do baraku z małymi pokoikami wyposażonymi w prycze. Do jednego wsadzili Enigmę, a pozostałą trójkę zakwaterowali w drugim. „Zakwaterowanie” to określenie mocno na wyrost, biorąc pod uwagę, że upchnęli nas w klitce, w której w normalnych warunkach ledwie zmieściłaby się jedna osoba. Na szczęście przynajmniej każdy dostał po materacu – lepiej niż na *Buenaventurze*.

Wyczerpani ostatnimi zdarzeniami, natychmiast zapadliśmy w sen. Spędziliśmy w tamtym pomieszczeniu cały dzień, odwiedzani jedynie dwukrotnie przez żołnierza, który przyniósł nam wojskowy prowiant na obiad i kolację. Konserwy i słone krakersy. Trudno uznać to za *nouvelle cuisine*, ale spałaszowaliśmy wszystko z wilczym apetytem.

W południe następnego dnia znów pojawili się uzbrojeni Francuzi. Tym razem towarzyszył im kapitan Lazure, który powitał nas poprzedniego dnia.

– Proszę wybaczyć, że warunki nie są najlepsze – powiedział. Tak jak za pierwszym razem uprzejmość ograniczała się u niego do słów, a mimika i mowa ciała mówiły coś zgoła innego. – To jedyne wolne miejsce w bazie. Musieliśmy improwizować.

– Jak długo jeszcze będziemy musieli tu zostać? – zapytał Bańka.

– Przekażemy was odpowiednim władzom. Proszę za mną. Dowódca wyjaśni wszystkie szczegóły.

Kapitan wyprowadził nas z baraku na drogę wjazdową do kompleksu. Czekał tam na nas oficer z jeszcze większą kolekcją galonów na mundurze. Jego twarz przypominała mordę psa. Miał zapadnięte oczy, a spod czapki wymykały się kosmyki rzadkich rudawych włosów. Rozmawiał z kobietą odwróconą do nas plecami.

Kiedy podeszliśmy do nich z kapitanem Lazure’em, kobieta zwróciła się w naszą stronę. Od razu rozpoznałem tę smagłą twarz i zielonkawo-bursztynowe oczy, które patrzyły teraz na mnie z irytującym wyrazem tryumfu.

– Pan Tirso Alfaro. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak się cieszę, że znów się spotykamy.

– Agentka Lacombe – odparłem. – Ale ten świat mały.

– Nic z tych rzeczy. Nie znalazłam się w Mali przypadkiem. Trudno, połączę pańską próżność, ale przyznam, że przyjechałam tu ze względu na pana.

Wtedy dopiero zauważyłem, że Lacombe miała przewieszoną przez ramię torbę z całym naszym dobytkiem: Baterią z Karbali i Sterem Gallieniego.

Oficer o psiej twarzy zwrócił się do agentki Interpolu:

– To ten człowiek?

– Tak. Jestem panu bardzo wdzięczna, pułkowniku Piquet.

– A pozostali? Wie pani, kim są?

– Na razie nie, pułkowniku, ale jeśli pan sobie życzy, mogę się zająć także nimi. Malijska policja pomoże mi ich zidentyfikować.

Pułkownik wzruszył ramionami.

– Nie widzę w tym nic złego. Nie mamy tu warunków do przetrzymywania ludzi bez dokumentów. Należą do pani, agentko Lacombe.

– Chwileczkę – wyrwał się Bańka. – Jakim prawem chcecie nas zatrzymać?

Lacombe się uśmiechnęła, jakby tylko czekała, aż ktoś zada to pytanie.

– Francuskie OCBC wydało za panem Tirsem Alfarem list gończy, który upoważnia mnie do zatrzymania go za zgodą lokalnych władz. Jeśli zaś chodzi o pozostałych, są państwo aresztowani przez policję Mali za brak dokumentów poświadczających tożsamość, do czasu, aż uda się państwa zidentyfikować.

– Widzę, że odrobiła pani lekcje – stwierdziłem.

– Jak zawsze, proszę pana. Posiadam cały stos dokumentów, które pozwalają mi doprowadzić was na najbliższy posterunek policji. Z przyjemnością przedstawię wam je wszystkie do wglądu po drodze. – Lacombe uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Podróż szybciej nam zleci.

– Dokąd dokładnie nas pani zabiera?

– Do Koulikoro. A pan Alfaro trafi stamtąd do Francji, gdzie ciąży na nim zarzuty kradzieży zabytków.

– Całkiem niezłe jak na nowicjusza, młody – wycedził Bańka przez zęby.

Do bazy wjechały dwa samochody – stare granatowe volva, tak brudne, jakby zaledwie kilka godzin wcześniej wyjechały z bagna. Wysiedli z nich czarnoskórzy mężczyźni w lekkich mundurach khaki. Na piersi mieli odznaki z napisem Police.

Dwóch funkcjonariuszy wsadziło Bańkę i Enigmę do jednego samochodu. Poszukiwaczka miała bardzo bojowy wyraz twarzy, więc podejrzewałem, że Bańkę czeka niezbyt przyjemna podróż.

Inny policjant podszedł do Cesara z kajdankami. Kiedy chciał skuć mu ręce, chłopak nagle się na niego rzucił. Doszło do przepychanki i w końcu dwaj francuscy żołnierze musieli przytrzymać Cesara na ziemi, żeby policjant mógł zapiąć mu kajdanki.

– Traciecie tylko czas! – zawołał César do Lacombe.

W pełni się z nim zgadzałem.

Bańki i Enigmy nie skuto, więc domyśliłem się, że mnie i Cesara traktowano wyjątkowo. Przestępcy pierwszej wody. Byłem pod wrażeniem, jakich postępów dokonałem dzięki Korpusowi Poszukiwaczy.

Cesara wepchnięto do drugiego volva, a mnie zakuto w kajdanki i kazano usiąść obok niego. W samochodzie śmierdziało jak w szatni na siłowni.

Jeden z policjantów zajął miejsce kierowcy. Lacombe ruszyła w stronę fotela pasażera, ale po drodze zamieniła jeszcze kilka słów z pułkownikiem Piquetem, tuż obok okna po mojej stronie.

– Jeszcze raz serdecznie panu dziękuję za wiadomość, pułkowniku. Dobrze, że od razu wysłał pan ich zdjęcia do Interpolu.

– Zrobiłem tylko to, co do mnie należało – odparł oficer. – Jestem pod wielkim wrażeniem pani energii i profesjonalizmu, agentko Lacombe. Nie spodziewałem się, że zjawi się tu pani osobiście, i to tak szybko.

– Zawsze staram się dopilnować, żeby wszystko przebiegało jak należy, a w tym przypadku było to szczególnie ważne: istniało duże ryzyko ucieczki poszukiwanego.

Chcąc nie chcąc, na te słowa poczułem dumę.

– Niech pani uważa. W ciągu ostatnich kilku godzin docierały do nas bardzo niepokojące sygnały. Koulikoro jest obecnie strefą wysokiego zagrożenia. Jako osoba odpowiedzialna za bezpieczeństwo moich rodaków radziłbym pani zachować najwyższą czujność aż do opuszczenia kraju.

– Podejmę wszelkie środki bezpieczeństwa, pułkowniku.

Lacombe wsiadła do samochodu i funkcjonariusz odpalił silnik. Wyjechaliśmy z bazy tuż za volvem Enigmy i Bańki.

Samochód jechał drogą w kierunku beładnej miejskiej zabudowy. César siedział obok mnie, wyprężony jak struna, a ja – załamany i ze spuszczoną głową – nie miałem żadnego pomysłu, jak uniknąć rysującej się przed nami dość ponurej perspektywy.

Ku mojemu zaskoczeniu przy wjeździe do Koulikoro był spory ruch. Przez okno widziałem najrozmaitsze pojazdy, niektóre wypchane pasażerami, a także pieszych idących poboczem w stronę centrum miasta. Wielu ciągnęło załadowane wózki albo niosło pakunki na plecach. Kobiety, mężczyźni, całe rodziny... Trafiliśmy chyba na godziny szczytu.

Volvo powoli toczyło się wśród całej tej zgrai. Sporo czasu zajęło nam dotarcie do centrum brzydkiego, chaotycznego miasta. Tłum wokół nas stopniowo gęstniał. Dostrzegłem osoby prowadzące za wodze wychudzone szkapy, obładowane klatkami pełnymi gdaczących wściekle kur. Wszyscy sprawiali wrażenie, jakby nie śpieszyło im się z dotarciem do jakiegokolwiek celu.

Siedząca z przodu agentka zaczynała się niecierpliwić.

– Co tu się dzieje? Skąd tu tylu ludzi?

– Dziś dzień targowy – odparł kierowca.

– Nie da się jechać szybciej?

Policjant kilkakrotnie zatrąbił. Okazało się to jednak niezbyt skutecznym rozwiązaniem – udało mu się jedynie wystraszyć parę zwierząt.

Parchaty osioł zarżał przerażony i z całej siły kopnął w wóz pełen żywych kurczaków. Ptaki, gubiąc pierze, powyskakiwały z klatki i rozpierzchły się we wszystkie strony. Zdezorientowani przechodnie zaczęli krzyczeć, a tymczasem mężczyzna w złachanej galabiji – najwyraźniej właściciel drobiu – próbował połapać swój inwentarz. Kilka osób mu pomagało, ale pozostali chwyтали tyle kurczaków, ile zdołali, i pośpiesznie uciekali z łupem.

Zanosilo się na zamieszki. Facet w galabiji zaczął się kłócić z grupką kobiet. Do dyskusji włączyło się kilku innych mężczyzn. Drogę zablokował zwarty tłum ludzi i inwentarza, tak że volvo nie mogło jechać dalej.

Lacombe była coraz bardziej wściekła.

– Nie można ich jakoś rozgonić?

Funkcjonariusz wysiadł z samochodu i próbował zaprowadzić porządek na ulicy. Udało mu się jednak tylko jeszcze bardziej podgrzać atmosferę. W końcu Lacombe straciła resztki cierpliwości. Wysiadła z wściekłą miną i skierowała się w stronę grupy blokującej nam drogę.

Gdy tylko zostaliśmy sami, César powiedział:

– Szybko. W mojej prawej kieszeni. Ja nie sięgnę.

– Co?

– Zajrzyj do mojej kieszeni!

Zrobiłem to, o co prosił. W środku znalazłem mały metalowy kluczyk.

– Klucz do kajdanek? – zapytałem. César skinął głową. – Jak...?

– Zabrałem temu głupiemu glinie, kiedy się na niego rzuciłem. Nawet nie zauważył.

– Zaplanowałeś to?

– A jak myślisz? – César podniósł dłonie na wysokość piersi. – Szybko, otwieraj.

Rozkułem go tak szybko, jak tylko mogłem. Lacombe z policjantem mogli w każdej chwili wrócić. César zdjął mi kajdanki już wolnymi rękami.

– Spadamy stąd! – zawołał.

Szczęście nam jednak nie sprzyjało. Akurat w chwili, w której César otworzył drzwi, Lacombe spojrzała w naszą stronę. Kiedy zobaczyła, że pozbyliśmy się kajdanek, natychmiast zareagowała. Wyjęła pistolet z kabury pod marynarką i wycelowała w kierunku samochodu.

– Stać!

Podniosłem ręce.

Policjant ruszył biegiem w naszą stronę.

I nagle rozpętał się chaos.

Do eksplozji musiało dojść w pewnej odległości, ale fala uderzeniowa dotarła aż do nas. Usłyszałem taki huk, jakby ktoś zdzielił mnie pięścią w uszy. Poczułem, że samochód się przewraca, a potem coś mocno uderzyło mnie w prawy bok. Przez kilka sekund (może nawet minut) byłem tak oszołomiony, że rejestrowałem jedynie urywane migawki rzeczywistości.

Kiedy dotarło do mnie, że mogę się ruszać, przemieściłem się do jednego z okien i udało mi się wydostać z samochodu. W uszach boleśnie mi dzwoniło, a twarz miałem zupełnie zdrętwiałą.

Sytuacja na zewnątrz sprawiała wrażenie, jakby rozpętała się wojna. W powietrzu unosiły się kłęby pyłu, a wszyscy krzyczeli i biegali w panice. Ciała ofiar wybuchu leżały w brudnych kałużach krwi i rozbitego szkła. Zamroczony, zastygłem w bezruchu, niezdolny do jakiegokolwiek reakcji, aż w końcu jakaś kobieta z dzieckiem na ręku wpadła na mnie w biegu i runąłem na ziemię. Ktoś bezlitośnie podeptał mi stopy. Wtedy czyjaś dłoń chwyciła mnie za ramię i silnym szarpnięciem postawiła na nogi.

César. Na policzku miał paskudny siniak, a całą twarz usmarowaną ziemią.

– Jesteś cały? – zapytał. Musiał krzyknąć, żeby go usłyszał.

– Chyba tak. Co się stało?

– Nie wiem, chyba wybuchła jakaś bomba.

Przypomniało mi się, jak pułkownik Piquet ostrzegał Lacombe.

– Zamach?

– Możliwe, ale teraz nie ma czasu się nad tym zastanawiać. Musimy uciekać.

Przyznałem mu rację. Próbowaliśmy się przedostać w nieco spokojniejsze miejsce, ale nie było to łatwe. Wszyscy wpadli na ten sam pomysł, więc z trudem przedzieraliśmy się przez uciekający tłum. Nagle przypomniałem sobie o czymś bardzo ważnym.

– Czekaj! – zawołałem do Cesara. – Muszę wrócić do auta!

– Co? Zwariowałaś?

Próbowałem mnie zatrzymać, ale odepchnęła go przebiegająca właśnie na oślep grupa mężczyzn o brudnych i zakrwawionych twarzach. Straciłem go z oczu, ale w tej chwili nic mnie to nie obchodziło – zafiksowałem się na jednej myśli.

Musiałem odzyskać torbę z Baterią z Karbali i złotym Sterem. Przedmioty mogły nadal znajdować się w przewróconym samochodzie, a oba uznałem za zbyt cenne, żeby tak po prostu je zostawić.

Ruszyłem pod prąd ludzkiej lawiny, rozpychając się łokciami, aż dotarłem do volva. Rzuciłem okiem na fotel pasażera i poczułem niewysłowioną ulgę – torba ze skarbami leżała na miejscu. Porwałem ją i co sił w nogach rzuciłem się do ucieczki.

Wtedy ktoś złapał mnie za ramię.

Odwróciłem się i stanąłem twarzą w twarz z agentką Lacombe. Wyglądała okropnie, jakby spadł na nią deszcz błota i sadzy. Wokół nosa zakrzepła jej warstwa krwi.

Agentka wycelowała do mnie z pistoletu. Nie miałem czasu na rozważanie alternatyw, więc zamachnąłem się torbą i z całej siły zdzieliłem ją w twarz. Udało mi się osiągnąć przynajmniej tyle, że wypuściła broń. Potem pognałem przed siebie bez konkretnego celu.

Przeskoczyłem ranną kozę, która beczała żałośnie na ziemi z paskudnie rozprutym brzuchem. Potem przemknąłem wąską uliczką pełną błotnistych kałuż, gdzie – na szczęście – nikogo nie spotkałem. Biegłem na oślep, kluczyłem zaułkami, czując, że rozsadza mi płuca, i ignorując ból odzywający się w różnych częściach ciała.

Usłyszałem huk wystrzału. Coś śmignęło mi nad głową, a ściana przede mną trysnęła nagle chmurą tynku. Kolejny strzał. Potknąłem się i upadłem. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem agentkę Lacombe – celowała prosto w moją twarz. Wyraz jej oczu sugerował, że bez najmniejszych oporów wpakowałyby mi kulkę między oczy.

– Niech pan wstanie – rozkazała chłodno – i odda mi torbę.

Posłuchałem. Potrafię uznać porażkę, a w tym wypadku nie mogłem mieć najmniejszych wątpliwości.

Wyciągnąłem worek w jej stronę, ale nagle pojawił się za nią César i rzucił się jej na plecy. Przypominało to atak drapieżnego kota. Zaczęli tarzać się po ziemi i wrywać sobie pistolet. Zanim zdołałem pojąć, co właściwie się dzieje, César rozbroił agentkę. Nastąpił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni: teraz to Lacombe leżała na ziemi, a César miał ją na muszce.

Chłopak miał rozciętą wargę. Splunął krwią i wyszczerzył zęby w grymasie wściekłości.

– Powinienem rozwalić jej łeb.

– Nie! – zawołałem.

Obejrzał się na mnie.

– Dlaczego? Tylko w ten sposób pozbędziemy się problemu.

Spojrzał na Lacombe tak, jakby już przyglądał się jej zwłokom. Agentka nerwowo patrzyła to na mnie, to na Cesara.

– Jak tam chcesz, Poszukiwaczu. – Opuścił broń i zwrócił się do Lacombe: – Spieprzaj. Dziś jest twój szczęśliwy dzień.

Podniosła się, nie odrywając od nas wzroku. Kiedy już stanęła na nogi, rzuciła:

– Popęłnił pan największy błąd w swoim życiu, panie Alfaro.

César strzelił jej pod nogi. Lacombe rzuciła się do ucieczki i znikła nam z oczu za pobliskim budynkiem. Mój towarzysz schował pistolet do kieszeni i spojrzał na mnie ponuro.

– Ma rację. To duży błąd – stwierdził.

– Wszystko mi jedno. Mam to, na czym mi zależało. Teraz poszukajmy bezpiecznej kryjówki.

– Dalej, prowadź. Obyś miał choć blade pojęcie, dokąd idziemy.

Tak się składało, że miałem.

Kiedy siedzieliśmy jeszcze w bazie wojskowej, Hydra podała Enigmie swój adres w Koulikoro. Nie zdążyłem go przeczytać, ale z tego, co pamiętałem, mówiła o pensjonacie przy starym dworcu. Uznałem, że najrozsądniej będzie udać się w tamtym kierunku.

Z jednej strony miałem nadzieję, że dawna Poszukiwaczka spełni obietnicę i pomoże członkowi Korpusu, z drugiej liczyłem na spotkanie z Enigmą i Bańką – może i oni wpadli na ten sam pomysł, jeśli udało im się ująć cało z zamieszania na targu. Dręczył mnie niepokój o los przyjaciół, ale wołałem na razie o tym nie myśleć, bo w niczym by mi to nie pomogło. Będę się martwił później.

Dość długo przemierzaliśmy zapyziałe uliczki i zaułki, starając się unikać policjantów, których cała masa kręciła się po mieście w związku z zamachem. W końcu udało nam się znaleźć dawną stację kolejową.

Niski, rozłożysty budynek zbudowano przynajmniej przed stu laty jako końcowy przystanek na trasie francuskiej linii kolejowej z Dakaru. Najwyraźniej nikt go nie odnawiał od czasu ukończenia robót, na dobrą dekadę przed wybuchem pierwszej wojny światowej.

Okolica sprawiała wrażenie opuszczonej, ale zaskakująco spokojnej w porównaniu z chaosem panującym na drugim końcu miasta. W cieniu pod sykomorą grupka mężczyzn rozmawiała i paliła papierosy, a kilka metrów dalej dostrzegłem parę białych ludzi.

Enigmę i Bańkę.

Zpracowany anioł stróż Kawalerów Poszukiwaczy znowu stanął na wysokości zadania. Kiedy przyjaciele zauważyli mnie i Cesara, od razu wyszli nam na spotkanie. Na twarzy Bańki odmalowała się ulga nie do opisania. Nie widziałem miny Enigmy, ale gdy tylko do mnie podeszła, zgmiotła mnie w silnym uścisku.

– Skarbie, dzięki Bogu! – zawołała. – Obawialiśmy się najgorszego.

– Mów za siebie – stwierdził Bańka. – Mówiłem ci przecież, że młody wykaraska się

z najgorszych tarapatów.

W krótkich słowach zrelacjonowaliśmy nasze perypetie od momentu wybuchu. Potem oni opowiedzieli nam, jak wykorzystali zamieszanie na targu, żeby uciec z samochodu. Mieli zdecydowanie łatwiej niż my: nie musieli przejmować się kajdankami ani upartą agentką Interpolu.

– Skąd wiedziałeś, gdzie nas szukać? – zapytała Enigma.

– Nie wiedziałem, po prostu zastosowałem podstawową zasadę każdej misji: jeśli grupa się rozdzieli, należy się udać na miejsce spotkania. Nie było wielkiego wyboru.

– Dobra robota, Faro. Bardzo profesjonalnie.

– To ja go tego nauczyłem – powiedział Bańka.

– Tak, na pewno. Nie wątpię.

– Skontaktowaliście się z Hydrą? – zapytałem.

– Nie – odparła Enigma. – Chcieliśmy na was poczekać. Poza tym Bańka nie chce się z nią spotykać. Może wam uda się przekonać tego uparciucha.

– Nie potrzebujemy jej – oznajmił Poszukiwacz. – Uwierzcie mi, świetnie sobie bez niej poradzimy. Tej kobiecie nie wolno ufać.

– Nie rozumiem, czemu jej tak nie cierpisz. Przecież byliście razem w Korpusie – powiedziałem.

– To nie ma najmniejszego znaczenia. Wiem, co mówię.

– Przykro mi, ale nie masz zielonego pojęcia – zaoponowałem. – Jesteśmy w obcym kraju, bez dokumentów, bez pieniędzy, nie mamy nic oprócz ubrań na grzbiecie, a ty zamierzasz odrzucić pomoc jedynej napotkanej w ostatnim czasie osoby, która nie próbowała nas aresztować, uprowadzić ani zabić. Enigma ma rację, zachowujesz się niepoważnie.

– Zgadza się z nimi – odezwał się César. – Potrzebujemy pomocy, żeby wydostać się z miasta.

Bańka machnął ręką w geście bezradności.

– Dobra, jak sobie chcecie. Tylko potem nie mówcie, że was nie ostrzegałem.

Enigma wciąż miała w kieszeni adres Hydry. Na karteczce widniała nazwa tak zwanego *maison de passage* – jak się później dowiedziałem, w Mali określano tak prowizoryczne kwatery w barach, restauracjach czy prywatnych domach. My mieliśmy udać się do baru Boko.

Kobieta obsługująca klientów wskazała nam, gdzie znajdziemy jedyną Europejkę zameldowaną w pensjonacie. Wspięliśmy się na drugie piętro i zapukaliśmy do jednych z dwojga drzwi.

Otworzyła nam jednak nie Hydra, ale atrakcyjna blondynka o przejrzyście niebieskich oczach. Na jej widok pomyślałem o aktorkach z reklam telewizyjnych, w których wszyscy są piękni, młodzi i nie wiedzieć czemu wiecznie zadowoleni. Miała na sobie spodnie moro i oliwkową koszulkę.

Zapytała nas o coś w niezrozumiałym dla mnie języku, brzmiącym nieco słowiańsko. Bańka przeprosił po angielsku, ale w tej samej chwili za plecami blondynki zobaczyliśmy Hydrę.

– Kto przyszedł, Ireno? – Wyjrzała zza jej ramienia i od razu nas poznała. – Aha, już

wiem. Spokojnie, znam ich.

Irena spojrzała na Hydrę z niepokojem. Zamieniły półgłosem kilka słów i blondynka zniknęła gdzieś w mieszkaniu.

– Co to za jedna? – zapytał Bańka.

– Ma na imię Irena.

– A co tu robi?

– Nie sądzisz, że to raczej ja powinnam zadać wam parę pytań?

– Chcę tylko wiedzieć, czy możemy jej zaufać.

– Tak samo jak mnie.

– To akurat żadna gwarancja.

Hydra nie odpowiedziała. Przyjrzała się po kolei każdemu z nas i zapytała:

– Wypuścili was czy w końcu udało wam się uciec?

– Raczej to drugie – odparła Enigma. – Był wybuch niedaleko targu...

– Wiem. Terrorysty. Pewnie Ansar ad-Din albo Al-Kaida Islamskiego Maghrebu. Od dłuższego czasu się na to zanosilo. Ktoś was śledził?

– Nie wydaje mi się.

Hydra się zawahała, jakby niepewna, co ma dalej robić.

– Wchodźcie – zaprosiła nas w końcu i odsunęła się na bok. – Przynajmniej dam wam jakieś czyste ciuchy i pozwolę skorzystać z prysznicza. Wyglądacie jak siedem nieszczęść.

GADY

Hydra wyjaśniła nam, że Irena jest porucznikiem w polskiej armii, tymczasowo przydzielono ją do misji EUTM. Poznały się w Mali i zamieszkały razem. Kiedy się zorientowałem, że w mieszkaniu jest tylko jedna sypialnia, i zauważyłem dyskretne oznaki czułości, domyśliłem się, że kobiety są dla siebie kimś więcej niż tylko współlokatorkami.

Hydra zostawiła nas z przyjaciółką. Z powodu zamachu musiała się udać do bazy EUTM, żeby załatwić sprawy służbowe, o których nie chciała nam nic powiedzieć. Polka okazała się sympatyczną towarzyszką: nie narzucała się nam i zostawiła pełną swobodę, jakby nasza wizyta była czymś zupełnie naturalnym. Jako że prawie nie mówiła po hiszpańsku, ograniczała się do serdecznych uśmiechów i potakiwania.

Hydra wróciła po południu. Na szczęście wpadła na to, żeby przynieść nam ubrania, dzięki czemu mogliśmy doprowadzić się do porządku. Stara odzież wojskowa pochodziła prawdopodobnie z jakiegoś kontenera, ale najważniejsze, że była czysta i wygodna.

O zmierzchu, kiedy już nieco zregenerowaliśmy nadwątlone siły, zebraliśmy się na tarasie na dachu Boko, żeby coś zjeść i ustalić plan dalszego działania. Nasza grupka wyglądała chyba dość komicznie w odzieży do kamuflażu, której każda sztuka była z innej parafii i albo za mała, albo za duża. Hydra uśmiechnęła się złośliwie na nasz widok.

– Świetnie wyglądacie. Gotowi na defiladę – stwierdziła.

– Moje spodnie dziwnie pachną – poskarżyła się Enigma. – Skąd wytrzasnęłaś te ciuchy?

– Z magazynu intendentury EUTM. Irena zna tam parę osób, które pomogły mi bez zadawania niewygodnych pytań.

Polka siedziała w hamaku i piła piwo prosto z butelki. Na dźwięk swojego imienia uśmiechnęła się do nas.

– Jutro spróbujemy poszukać bardziej dyskretnych ubrań – zapowiedział Bańka. Poszukiwacz najwyraźniej pogodził się już z faktem, że musimy skorzystać z pomocy Hydry, czy mu się to podoba, czy nie, i zaczął odnosić się do niej nieco mniej wrogo.

– Jak chcecie, ale ja bym wam to odradzała – odparła Hydra. – Te ubrania są wygodne i solidne. Poza tym dzięki nim mieszkańcy nie będą wam zawracać głowy na każdym kroku. Starają się trzymać z dala od mundurowych.

Z dachu rozciągał się malowniczy widok zachodu słońca nad Nigrem. Rzeka płynęła na tym odcinku dość szerokim nurtem, ale nadal bez trudu można było dojrzeć drugi brzeg. Wzburzone wody miały barwę ołowiu, zmieniającą się w zależności od światła – od zimnej szarości przy brzegu po pomarańczowy odcień rozgrzanego metalu w części bliższej zachodzącego słońca.

Grupki małych golasów pluskały się w wodzie, w otoczeniu kupek śmieci. Przypominały ulepione z błota skrzaty, które wykorzystują ostatnie promienie słońca, żeby

się pobawić. Kobiety w wesołych, kolorowych strojach rozwieszały pranie na nadrzecznych działkach otoczonych płotami ze sztachet. Inne ucierały ziarna prosa za pomocą specjalnych pałek wydających rytmiczny, przyjemny dla ucha odgłos, tworzący ścieżkę dźwiękową dla rzeki. Nieustanny stukot drewna o drewno miał towarzyszyć nam przez większość podróży i do dziś, gdy słyszę podobny dźwięk, wystarczy mi zamknąć oczy, żeby znów poczuć się jak w Afryce.

Zajęliśmy miejsca wokół okrągłego plastikowego stołu i zamówiliśmy kolację. Jedynym dostępnym daniem okazała się potrawka z groszku i bardzo twardego kurczaka. Pochłonęliśmy jedzenie, pomagając sobie senegalskim piwem Flag. Hydra wyjaśniła, że to najpopularniejsza marka w kraju. Nie było złe, chociaż nieco zbyt gorzkie jak na mój gust – i oczywiście za ciepłe.

Przy kolacji zdaliśmy Hydrze szczegółową relację z naszej misji. Mieliśmy też okazję opowiedzieć jej o losach Korpusu od czasu jej odejścia. Zajęło nam to sporo czasu i kiedy wreszcie dobrnęliśmy do końca, zapadła noc, a wraz z nią pojawiły się całe zastępy komarów.

– Widzę, że odeszłam z Piwnicy w niewłaściwym momencie – stwierdziła Hydra po wysłuchaniu naszych historii. – Za moich czasów nie było tak ciekawie. Magiczne stoły, legendarne skarby... Jak w filmie.

– To wszystko wina Fara – orzekła Enigma. – To on nas pakuje w takie hece. Zawsze potrafi nas przekonać, ma chłopak gadane.

– Nie wątpię – odparła Hydra, wpatrując się we mnie badawczo. – Jeśli dobrze zrozumiałam, zamierzacie jechać do Kolodugu?

– Na to miasto wskazywało antepedium Gallieniego – przytaknąłem. – Coś powinno się tam znajdować: może jakaś wskazówka, a może sam skarb Dżaudara Paszy.

– Rozumiem. Skarb tak cenny, że nikt nie zna nawet jego nazwy, strzeżony od stuleci przez władców Mali. I co zamierzacie zrobić, jeśli faktycznie go znajdziecie?

– Zabrać ze sobą – oznajmił Bańka. – To nasze dziedzictwo narodowe, odkryte przez hiszpańskiego Maura.

– Należy do narodu Mali – zaproponował stanowczo César, wyjątkowo włączając się do rozmowy.

– W takim razie niech Mali wyśle własnych Poszukiwaczy – rzekł Bańka chłodno.

César nie odpowiedział, ale wbił w niego tak zagadkowe spojrzenie, że w końcu skrzępowany Bańka odwrócił wzrok.

– Obawiam się, że ten skarb może się okazać pięknym przykładem Czarnego Dzieła – wtrąciła się Hydra. – Mam nadzieję, że nie będzie z tego jakichś kłopotów. Ale to w sumie wasz problem. Za moich czasów w Piwnicy robiliśmy gorsze rzeczy... Tak czy inaczej, wiecie cokolwiek o miejscu, do którego się udajecie?

– Znamy tylko nazwę – przyznałem. – Nie pojawia się na żadnej ze współczesnych map, sprawdzaliśmy. Mieliśmy nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej już tam.

– W tym akurat będę mogła wam pomóc.

– Wiesz, gdzie to jest?

– Ja nie, ale możliwe, że Irena wie. Jest tu dłużej niż ja, lepiej zna kraj. – Hydra zawołała Polkę, która odpowiedziała jej z hamaka pytającym spojrzeniem. – Ci tutaj chcą

się wybrać na wycieczkę do Kolodugu, co o tym sądzisz?

– Złe miejsce. Miasto Umarłych.

Miasto Umarłych było jednym z miejsc wspomnianych w kronice Dżaudara Paszy. Kiedy usłyszałem tę nazwę z ust Ireny, uznałem to za znak. Zacząłem wypytywać o szczegóły, a ona próbowała mi odpowiadać łamanym hiszpańskim. W końcu postanowiliśmy przejść na angielski, żeby Irena mogła swobodnie włączyć się do rozmowy.

– Nigdy nie byłem w Kolodugu – opowiadała – ale coś obito mi się o uszy. To jakieś święte miasto czy coś w tym rodzaju. Znajdują się tam stare grobowce, dlatego mówią o nim Miasto Umarłych.

– Dlaczego powiedziałaś, że to złe miejsce? – zapytałem.

– Mówi się, że od wieków w Kolodugu nikt nie mieszka: to zabronione. Rodowici Songhajowie twierdzą, że strzegą go demony, żeby nikt nie mógł zbezcześcić grobów. Mandingowie i Bambarowie także trzymają się z dala, bo wierzą, że miasto jest przeklęte.

– Trudno, zaryzykujemy, najwyżej lokalne duchy się wkurzą – stwierdził Bańka.

Irena pokręciła głową.

– To nie jest dobry pomysł. Nie chodzi o czary, ale o względy bezpieczeństwa. Funkcjonariusze EUTM i Francuzi ostrzegają, że Kolodugu może się stać celem ataku grupy terrorystycznej zwanej Ludźmi Piasku.

– A ci to kto znowu? – spytała Enigma. – Tuaregowie, salafici? Zaczynam się gubić w tym wszystkim...

Hydra wzruszyła ramionami.

– Tego nikt nie wie. Też coś o nich słyszałam, ale niewiele. Szczerze mówiąc, już od dłuższego czasu próbuję się dowiedzieć, do jakiej grupy należą. „Ludźmi Piasku” nazywają ich tutejsi mieszkańcy. Atakują wyłącznie historyczne osady. Raczej nie dają się we znaki cywilom, ale potwornie demolują zabytki. Nie tak dawno uderzyli w jednym z miasteczek w Bourem, na północy. Stał tam meczet z czternastego wieku. Przekopali się pod fundamenty i doszczętnie zniszczyli...

– Czekaj – przerwałem. – Przekopali się?

– Tak. Nie wiem, jak inaczej to określić. Przypominało to coś w rodzaju próbnego wykopu archeologicznego, ale zrobionego tak nieostrożnie i niechlujnie, jak to tylko możliwe. Jakby bardzo im się śpieszyło, żeby coś znaleźć.

– Od jak dawna działają?

– Trudno dokładnie określić. Mniej więcej od czasu podpisania rozejmu między Tuaregami a Ruchem Wyzwolenia Azawadu. Nie mam pojęcia, kto za nimi stoi, ale ich poczynania przywodzą na myśl działalność grupki szalonych archeologów.

– W zeszłym tygodniu Ludzie Piasku przypuścili atak na świątynię na granicy Azawadu – wtrąciła Irena. – Niedaleko stacjonował mały oddział francuski. Sprawcy zaatakowali nocą, padły strzały, ktoś zginął. Francuzi myśleli, że to garstka tubylców, ale kiedy wyszli na drogę, zorientowali się, że to całkiem liczna, uzbrojona po zęby grupa z nowoczesnym arsenałem. Trzech żołnierzy straciło życie, ale udało się złapać jednego z Ludzi Piasku, zanim wszyscy puciekali.

– To był ktoś z Zachodu – dodała Hydra. – Nie znam więcej plotek, bo Francuzi nie

puszczają pary z ust. Doszły mnie słuchy, że chodziło o Amerykanina. Zabrali go do Gao na przesłuchanie, ale po drodze napadnięto na konwój i facet zbiegł. Kimkolwiek byli, wygląda na to, że są lepiej zorganizowani i wyposażeni, niż myślano.

– Skąd pewność, że zaatakują w Kolodugu? – zapytałem Irenę.

– Tak się tu mówi i ma to sens. Właśnie takie cele wybierają.

– Mnie się wydaje, że to tylko gadanie – zaoponowała Hydra. – Tak jak to o klątwach i demonach. Francuzi od tak dawna nadstawiają tu karku, że zaczynają na każdym kroku widzieć zagrożenie. Jako agentka NCW oświadczam, że nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Ja tam nie zapuszczałabym się do Kolodugu, gdybym nie miała bardzo ważnych powodów – stwierdziła Irena i pociągnęła łyk piwa.

– Ale wiesz, gdzie to jest? – zapytałem.

– Nie, tylko że gdzieś nad Nigrem, w stronę Segu.

– Zawsze to coś – stwierdziłem. – Może znajdziemy kogoś, kto przetransportuje nas rzeką do celu.

– Nie będzie łatwo – ostrzegła Hydra. – Po porannym zamachu policja i Francuzi będą pilnować wszystkich dróg wychodzących z miasta. Podejrzewam też, że i was będą szukać.

– W takim razie co sugerujesz? – spytałem.

Irena powiedziała coś po polsku i odbyły z Hydrą krótką rozmowę. Na koniec Hydra oznajmiła po hiszpańsku:

– Tak, to może być niezły pomysł.

– Co?

– W porcie pracuje jeden rybak powiązany z salafitami. Czasem potajemnie przewozi gdzieś różnych członków grupy. W wywiadzie o tym wiemy, ale mu nie przeszkadzamy, bo pracuje dla nas jako informator. Za pieniądze mówi nam, kogo i dokąd zawozi.

– Nie wyda nas Francuzom?

– Nie, to nie nasz kontakt, tylko NCW. Francuzi nic o nim nie wiedzą. Mogę go namówić, żeby pomógł wam dyskretnie wydostać się z miasta, ale w tym celu musiałabym płynąć z wami. Tylko wtedy zachowamy pozory, że to oficjalna akcja Centrum.

Tak jak się obawiałem, Bańka aż podskoczył na te słowa.

– Co? Nie. Nie ma mowy.

– Czy takich decyzji nie powinniśmy podejmować wspólnie? – zapytała Enigma.

– Nie będę o tym dyskutował. Nigdzie z nią nie jadę – oświadczył kategorycznie Poszukiwacz. – A zresztą, nie robisz przypadkiem czegoś dla bondów?

– Zawsze mogę wcisnąć szefom kit, że musiałam na jakiś czas popłynąć w górę rzeki po informacje, co za problem? Coś wymyślę. To zresztą moja sprawa, nie twoja.

– Ani myślę się na to zgadzać.

Hydra westchnęła niecierpliwie.

– Przestań myśleć, Bańko. Jak zaczynasz za dużo myśleć, wszystko się pierdoli...

Zabrzmiało mi to jak aluzja do wydarzeń z przeszłości.

– Przykro mi, skarbie, ale nie masz takiej władzy, żeby na cokolwiek się zgadzać albo nie zgadzać – dodała Enigma. – To nie jest zwykła misja, a my nie jesteśmy twoimi cieniami.

– To szaleństwo. Ona nawet nie jest jedną z nas! Już nie.

– César też nie – ośmieliłem się zauważyć – a mimo to nam towarzyszy.

Bańka spiorunował mnie takim spojrzeniem, że prawie zapadłem się pod ziemię.

– Ty też, młody? Miałem cię za nieco bardziej inteligentnego.

– Każdy choć przeciętnie inteligentny człowiek powiedziałby ci, że nie wolno odrzucać pomocy, zwłaszcza w takich okolicznościach. A zresztą, ja tam ją lubię.

Bańka patrzył na nas jak ktoś zapędzony w kozi róg.

– Banda oszołomów – wymamrotał. – Nie da się wam przemówić do rozsądku.

Jednym haustem osuszył butelkę, odsunął krzesło i szybkim krokiem poszedł sobie z tarasu, razem ze swoim świętym oburzeniem.

Enigma westchnęła ponuro i wstała. Domyśliłem się, że pójdzie za nim.

– No dobra, chyba na mnie wypadło: muszę spróbować go przekonać, żeby zmienił zdanie. Ale co tam, uwielbiam wyzwania.

– Uda ci się? – zapytałem sceptycznie.

– Pewnie, że tak, złotko. Spędziliśmy tyle lat razem, że wiem, jak z nim postępować. Jeśli przez cały ten czas Bańka nauczył się czegoś obawiać, to mojego gniewu. Kiedy wpadnę we wściekłość, strach się bać.

– Poważnie?

– Tak podejrzewam. Jeszcze nikt się nigdy nie odważył doprowadzić mnie do takiego stanu.

Mrugnęła porozumiewawczo i poszła. Hydra wolno potrząsnęła głową, a na jej ustach błąkał się uśmieszek.

– Enigma – powiedziała z czułością. – Nie ma drugiej takiej, co? Tęskniłam za nią. Mogę cię o coś zapytać, Faro?

– Pewnie.

– Powiedziałeś, że mnie lubisz... Naprawdę?

– Tak... Nie wiem... Chyba... Nie znam cię jeszcze zbyt dobrze. Szczerze mówiąc, powiedziałem tak tylko po to, żeby wkurzyć Bańkę.

Dawna Poszukiwaczka wybuchnęła śmiechem.

– Wiesz co, Faro? Mam wrażenie, że będziemy dobrze się dogadywać.

– Co zaszło między wami? Dlaczego tak cię nie cierpi?

Hydra machnęła ręką.

– Stare dzieje, Faro, stare dzieje. – Napłała się z butelki i skrzywiła w dziwnym grymasie, jakby piwo nagle przestało jej smakować. – Wszyscy powinni już o tym dawno zapomnieć.

Tego wieczoru nie udało mi się nic więcej od niej wyciągnąć.

Koulikoro było dość ważnym portem rzeczonym – odpływały stąd promy do Timbuktu i Gao. W przystani znaleźliśmy oddział Western Union, gdzie wypłaciliśmy pieniądze przesłane z Madrytu przez Danny. Resztę czasu przeznaczaliśmy na zrobienie podstawowych zakupów. Nie przypominaliśmy już żalosnej grupy włóczęgów, która – dosłownie – spadła z nieba. Zaczęliśmy wyglądać jak doświadczeni podróżnicy.

Irena odprowadziła nas na nabrzeże, gdzie marynarze i rybacy doglądali swoich łódek. Hydra zagadała do jednego z nich – tyczkowatego mężczyzny o skórze koloru wypalanej

gliny. Na jego nagim tułowie wyraźnie rysowały się żebra, jak u wygłodzonego psa. Po krótkich negocjacjach przedstawiła go nam:

– To Modibo. Zawiezie nas do Koulikoro za pięć dolarów od łebka.

Bańka zaakceptował cenę. Barkarz chciwie złapał banknoty i zaczął natychmiast przygotowywać łódź do drogi. Czas pozostały do odpłynięcia wykorzystałem na szybkiego papierosa w towarzystwie Bańki, choć Poszukiwacz nie należał tego ranka do szczególnie rozmownych. Enigmie udało się go przekonać, żeby zgodził się na podróż z Hydram, ale to mu nie przeszkadzało żywić urazy do całego świata.

Po paru minutach Hydra dała nam znać, że barka jest gotowa.

– Irena dopilnuje, żeby nikt nas nie śledził – powiedziała. – Jeśli się dowie, że Interpol albo jakieś inne organy ścigania depczą nam po piętach, natychmiast mnie zawiadomi.

– Mówiłaś, że to bezpieczny i pewny środek transportu – stwierdził Bańka.

– Tak, ale zawsze lepiej mieć oczy z tyłu głowy.

Modibo, nasz kapitan, pomógł nam wejść na swoją łajbę. Łódka była długa i wąska, jak olbrzymia drewniana igła. Dziób i rufę pomalowano w kolorowe romby i gwiazdki. Nad pokładem umieszczono długi daszek z wygiętych gałęzi i słomy.

Łódeczkę wyposażono w mały, smrodzący silnik, byle jak przymocowany do kadłuba. Modibo sterował z rufy za pomocą długiego drąga. Słowem, statek przypominał gondolę zaprojektowaną przez dzieci na zajęciach praktyczno-technicznych.

Barkarz odepchnął się tyczką od dna rzeki, żeby oddalić łódkę od brzegu.

Przed nami Niger płynął na wschód, wprost do serca Mali.

Wkrótce przestałem widzieć brzegi. Niger okazał się rozległą połącją wody, przypominającą raczej odnogę morza niż rzekę – dużo szerszą, niż się spodziewałem.

Modibo trzymał się bliżej południowego brzegu. Przez całą podróż otaczał nas dziwny krajobraz, jałowy i zielony zarazem. Co jakiś czas dostrzegałem małe osady z białymi, przybrudzonymi domkami z gliny, o gładkich, zaokrąglonych ścianach – przykłady typowej malijskiej architektury. Mijały nas inne kutry rybackie, a ich brunatnoskórzy właściciele raz po raz zanurzali się pod wodę i wyciągali sieci pełne ubłoconych ryb. Hydra wyjaśniła nam, że nazywano ich *pêcheurs de sable*, „piaskowymi rybakami”. Uznałem to za dość dziwne określenie.

Na brzegu rzeki bawiły się dzieci, kobiety w kolorowych strojach robiły pranie albo chodziły wyprostowane z ogromnymi koszami na głowach – choć pakunki sprawiały wrażenie strasznie ciężkich, kobiety przez cały czas zachowywały idealną równowagę.

Wszystko było dla mnie zupełnie nowe. Wszystko mnie fascynowało. Zasypywałem Hydram pytaniami na temat kraju i zwyczajów mieszkańców, spragniony wszelkiej wiedzy o miejscu, które wydawało mi się tak wyjątkowe.

Godziny płynęły łagodnie i nieśpiesznie, jak wody Nigru. Pochłonięty widokami, niemal nie zauważałem upływu czasu. Czuję się jak kosmonauta odkrywający nagle zamieszkaną, pełną życia planetę. Rzeka coraz bardziej się poszerzała i Modibo oddalił się od brzegu. Im dalej płynęliśmy, tym rzadziej napotykalismy ludzi, a pejzaż stawał się coraz bardziej dziki. Widziałem jakieś rogate zwierzę (nie pamiętam, jak się nazywa), masę ptaków, a nawet hipopotama.

O zmierzchu barka przybiła do maleńkiej wioski. Kapitan oznajmił, że noc spędzimy

właśnie w tym miejscu, zwanym Massaboro. Z jego wyliczeń wynikało, że znajdujemy się w pół drogi między Koulikoro a Segu. Jeśli następnego ranka wypłyniemy wcześniej, powinniśmy o zmierzchu dotrzeć do Kolodugu.

Massaboro było miniaturową osadą zamieszkaną przez Bambarów, potomków ludu Mande, założycieli i władców drugiego imperium Mali z początku XIII wieku. Ich bardowie do dziś opowiadają historie wielkiego cesarza Sundiaty Keity, Księcia Lwa, który zjednoczył Dwanaście Królestw Mande w tych samych czasach, kiedy Czyngis-chan dotarł pod bramy Kijowa na czele mongolskich wojsk.

Domy w Massaboro zbudowano z gliny, drewna i słomy. Z daleka przypominały zamki z piasku. To tam, przy kolacji złożonej głównie z ryb i cebuli, poznałem historię Abu Iszaka Es-Sahelego, architekta z Granady, którego cesarz Musa wezwał na dwór i kazał wybudować meczety i pałace. To ten wybitny Hiszpan nadał kształt piaskowym budowlom i odpowiadał za oblicze malijskiej architektury, unikatowej w skali całego świata. Wyglądało na to, że już na dwieście lat przed tym, jak Dżaudar Pasza podbił Timbuktu, Hiszpanie odcisnęli swój ślad w historii odległego afrykańskiego imperium. Aż dziwne, że dopiero teraz Poszukiwacze trafili do Mali.

Modibo przedstawił nam miejscowego *jeli*. Tym terminem określa się opowiadaczy historii Bambarów, którzy znają na pamięć setki podań, przez wieki przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Sympatyczny *jeli* z Massaboro przedstawił nam – melodyjną, egzotycznie brzmiącą francuszczyznę – kilka ciekawych szczegółów z historii Miasta Umarłych.

W XIV wieku wielki Mansa Musa, cesarz Mali, zapragnął zbudować nekropolię, w której spoczęłyby ciała jego i jego przodków. Zlecił pracę architektowi Es-Sahelemu, który skończył właśnie opracowywać plany wielkiego meczetu Dżingereber (za co otrzymał zapłatę w wysokości 170 kilogramów złota). Saheli zdążył wznieść jedynie grób cesarza Abu Bakra, ojca Mansy. Mimo to narodził się wtedy zwyczaj chowania władców Mandingo w trumnach wykonanych w estetyce stworzonej przez Sahelego. Monarchowie songhajscy z dynastii Askia poszli za przykładem poprzedników i Kolodugu zmieniło się w wielkie mauzoleum królów.

Wyznawana przez władców Mali religia stanowiła mieszanekę islamu i animizmu. W Kolodugu postawiono więc meczet poświęcony zarówno Allachowi, jak i prastarym bóstwom natury. I jeden, i drudzy strzegli jednak nekropolii przed rabusiami – według legendy wielu cesarzy chciało zabrać na tamten świat znaczną część doczesnych bogactw. W Kolodugu, oprócz zmarłych, mieszkał jedynie imam, pełniący również funkcję strażnika sanktuarium. Każdego dnia odprawiał długie i skomplikowane modły, żeby utrzymać zaklęcia chroniące Kolodugu. Ani *jeli* z Massaboro, ani nikt mu znany nigdy nie widział Miasta Umarłych na własne oczy, bo każdego, kto odważyłby się wdrzeć na święty teren, czekała niechybna kara. *Jeli* stwierdził jednak, z typowo afrykańskim stoicyzmem, że jeśli chcemy jak ostatni głupcy igrać z kłątwą – droga wolna. Życzył nam powodzenia, a nawet zadedykował piękną pieśń w języku mande, która miała przywołać opiekuńcze duchy.

Z tą pomyślną wróżbą pożegnał nas i życzył dobrej nocy.

Przed snem poszedłem jeszcze nad rzekę – zapaliłem papierosa i podziwiałem gwiazdy.

Noc była wspaniała, niezbyt upalna, a niebo piękne i bez jednej chmurki.

Nagle zauważyłem Cesara. Siedział w kucki nad wodą i w zamyśleniu rysował coś na piasku. Odkaszniałem dyskretnie, żeby nie odniósł wrażenia, że czaję się w ciemności i go śledzę.

– Cześć – powiedział, nie podnosząc wzroku. – Nie powinieneś podchodzić tak blisko wody. Mogą tu być krokodyle.

Rozejrzałem się wokół.

– Hm... Wydaje mi się, że w najbliższej okolicy nie ma akurat krwiożerczych potworów, jeśli nie liczyć komarów – stwierdziłem i zabiłem owada na karku. – Nie znasz jakichś domowych sposobów na ich odstraszenie?

– Pal. Nie lubią dymu – odparł. – Oprócz tego jedyna metoda to się przyzwyczaić.

César znów pogрузił się w ciszy, jakby mnie tam nie było.

– Przeszkadzam? – zapytałem.

– Nie, możesz zostać, jeśli chcesz. Chciałem cię zresztą o coś zapytać.

– Pytaj.

– To prawda, co powiedział Bańka? Jeśli znajdziemy skarb, chcecie go zabrać?

– Po to przejechaliśmy taki szmat drogi.

– Żeby go ukraść?

Zirytowało mnie takie postawienie sprawy.

– Komu ukraść, Cesarze? Kto jest właścicielem? Rząd Mali, który nie był w stanie powstrzymać watahy muzułmańskich fanatyków przed zniszczeniem grobowców królewskich w Gao i Timbaktu? Czymkolwiek okaże się ten skarb, lepiej, żeby trafił w ręce Poszukiwaczy. To my odzyskujemy to, czego inni nie mogli albo nie chcieli zabezpieczyć.

– Władcy Mali przechowywali ten skarb przez wieki.

– A sami skąd go wzięli? Może też zrabowali. – Spojrzałem mu w oczy. Stanowczą mową ciała próbowałem wzmocnić argumentację werbalną, bo w głębi duszy wiedziałem, że jest dość słaba. – To jeden z tych przypadków, kiedy przedmiot do nikogo tak naprawdę nie należy, chyba że do tego, kto go znajdzie.

– Ale wam nie jest do niczego potrzebny. Po co wam? Chcecie się wzbogacić?

– Nie jestem piratem ani przemytnikiem. Jestem Poszukiwaczem. Jedyne, czego chcę, to odnaleźć ten skarb. Przykro mi, że nie potrafisz tego zrozumieć.

César spoglądał na mnie badawczo, jakby próbował czytać mi w myślach.

– Może jednak rozumiem... – powiedział bardziej do siebie niż do mnie. – Kiedy znajdziesz to, czego szukasz, zastanów się, czy na pewno tego potrzebujesz. Tylko o to cię proszę.

– Chciałeś powiedzieć: „jeśli znajdziesz”.

– Wiem, co powiedziałem – oznajmił. Znów zapadła cisza. César nadal rysował coś na piasku, a potem zapytał: – Jak ci się podoba w Mali?

Ucieszyła mnie zmiana tematu. Po raz pierwszy od dawna czułem się odprężony i wypoczęty, nie miałem więc ochoty na kłótnie, tylko na pogawędkę o niczym.

– To... – zawahałem się, szukając słowa, które odpowiednio wyrazi moje odczucia. – To bardzo stary kraj.

César pokiwał głową, jakby zgadzał się z moją oceną.

– Cała Afryka jest stara – powiedział. – Starsza niż jakiegokolwiek inne miejsce na Ziemi. To tu wszystko się zaczęło, Poszukiwaczu, wiesz? Cywilizacja, sztuka... Życie. To kolebka ludzkości. – Wstał i otrzepał ręce o nogawki spodni. Mówił dalej, ze wzrokiem utkwionym w rzecę: – Mali było kiedyś olbrzymim imperium. Songhajscy władcy budzili powszechny lęk. Opływali w dostatki, ale ich prawdziwy skarb jest tutaj, przed naszym nosem.

– Co masz na myśli?

– Rzekę. To w niej tkwił sekret bogactwa imperium. Niger wzmacniał i odżywiał kraj, tak jak karmiłby drzewo. Jeśli pragniesz poznać sekret Songhaju, najpierw musisz go zrozumieć.

– Znam historię.

– Nie, wiesz tylko to, co wyczytałeś w książkach. Historii Songhaju nie można spisać, to przekaz ustny.

César pochylił się i podniósł z ziemi kamień. Zważył go w dłoni i cisnął do rzeki. Kamyk podskoczył kilka razy na powierzchni, nim zatonął.

– Dawno, dawno temu była sobie wioska zwana Kare Kaptu – zaczął. – Mieszkał tam rybak, który zakochał się w rzecznej nimfie. Urodził im się syn, dali mu na imię Faran Bote. Chłopiec wyrósł na silnego i odważnego mężczyznę. Został rybakiem, tak jak ojciec. Niedaleko Kare Kaptu leżała wyspa, na której mieszkwały straszliwe potwory. Wyglądały jak monstrualne węże i były posłuszne potężnemu demonowi zwanemu Zirbin. Demon i jego straszliwi poddani atakowali rybaków, nie pozwalając im łowić w rzecę. Faran Bote zwrócił się do swojej babki, bogini Harakoy, królowej ziemskich wód, aby pomogła mu uwolnić się od węży. Królowa Harakoy stanęła do walki z Zirbinem, a kiedy go pokonała, z jego skóry i kości zrobiła magiczną włócznię. Wręczyła ją Faranowi Botemu i powiedziała: „Weź tę zaklętą broń. Z nią będziesz mógł stawić czoło najstraszliwszemu ze wszystkich rzecznych demonów, Wielkiemu Wężowi Zinkibaru. Dopiero gdy go pokonasz, uwolnisz Niger od wszelkiego zła, a rybacy będą mogli pracować w spokoju”.

Faran Bote popłynął rzeką na północ i spotkał Zinkibaru. Musiał stoczyć z nim wiele walk, bo Wielki Wąż był potężnym, pradawnym stworzeniem. Z każdego starcia Faran Bote wychodził silniejszy, aż posiadał wiedzę i umiejętności niezbędne do zwycięstwa. W końcu rybak przeszył cielsko potwora włócznią otrzymaną od królowej wód. Pokonał Zinkibaru i został władcą całej rzeki, od źródła aż do ujścia.

Dongo, bóg światła i piorunów, najpotężniejszy ze wszystkich, wściekł się na wieść o śmierci Zinkibaru, swojego potomka. Aby uśmierzyć jego gniew, Faran Bote zaoferował, że zostanie z nim jako bard i pięknymi piosenkami spróbuje załagodzić jego złość. Przy akompaniamencie magicznych bębnow Faran Bote zdołał udobruchać boga piorunów. Na Nigrze zapanował spokój, a rybacy mogli bez obawy zarzucać sieci w wodach rzeki.

Zadowolony z umowy Dongo zarządził, że od tej pory bogowie staną się niewidzialni dla ludzi i nie będą ich już dłużej prześladować, jeśli tylko Faran Bote nie przestanie grać na bębnach i nad nimi czuwać. Tak zaczął się w Mali okres panowania człowieka i od tej pory rzeka pozostaje źródłem bogactwa kraju. – César zakończył opowieść, ale nadal wbijał wzrok w wodę, jakby spodziewał się zobaczyć w niej gigantyczne węże i tytanicznych rybaków uzbrojonych we włocznie.

– To ciekawa historia – powiedziałem. – Dziękuję, że mi ją opowiedziałeś. Lubię dobre historie.

– Postaraj się jej nie zapomnieć. Mity były bardzo ważne dla cesarzy Songhaju, a to najświetniejszy spośród nich. Może kiedyś przyda ci się jego znajomość.

César odwrócił się na pięcie i odszedł znad rzeki. Zostałem sam.

I znów zacząłem się zastanawiać, co naprawdę nim kieruje i dlaczego tak usilnie stara się zachować swoje intencje w tajemnicy.

Kilka godzin później, kiedy słońce wstawało już nad horyzontem, wsiedliśmy z powrotem na łajbę Modiby i popłynęliśmy dalej w kierunku Segu. Miałem jednak raczej nie poznać stolicy historycznego królestwa Bambara (jednego z ostatnich prosperujących państw przedkolonialnego Mali), bo Miasto Umarłych leżało wcześniej na trasie.

W miarę jak łódeczka przemierzała wody Nigru, Hydra zabawiała mnie opowieściami o Segu, znaleziskach archeologicznych w mieście i słynnym targu. Słuchałem jej, błędząc wzrokiem po brzegu rzeki i ciesząc się porannymi promieniami słońca muskającymi moją skórę.

Nagle Hydra zamilkła i zwróciła moją uwagę na coś w rzece, niedaleko łódki. Spojrzałem w tamtą stronę, ale mignął mi tylko fragment jakiegoś zwierzęcia znikającego pod wodą.

– Co to było? – zapytałem.

– Krokodyl. Chyba coś upolował.

Przyjrzałem się lepiej i zobaczyłem stwora w całej okazałości. Zagryzł w szczękach wielkiego ptaka i teraz gwałtownie potrząsał łbem. W powietrzu fruwały pióra, a woda wokół gada zabarwiła się na czerwono. Potem krokodyl schował się w szuwarach. Ze śniadaniem w paszczy wyglądał na bardzo zadowolonego.

– Niezła bestia – stwierdziłem. – Nie chciałbym spotkać takiego podczas kąpieli.

– I słusznie – odparła Hydra. – Krokodyl nilowy to ostry zawodnik. Kiedy capnie zębiskami, może złamać nogę na pół jak marchewkę. Dam ci dobrą radę, na wypadek gdyby przyszło ci się kiedyś z takim zmierzyć: przytrzymaj go rękami za pysk.

– Mam złapać za te szczęki, którymi może odgryźć mi nogę? Dziękuję, że we mnie wierzysz, ale nie mam ramion ze stali.

Hydra się roześmiała.

– Pozory często mylą, Faro. To prawda, siła nacisku szczęk krokodyla jest ogromna, ale jednocześnie mięśnie odpowiedzialne za ich otwieranie są zaskakująco słabe. Nawet dziecko mogłoby bez problemu utrzymać pysk gada.

Jeszcze przez jakiś czas patrzyłem na krokodyla. Mimo że poznałem jego słaby punkt, nie czyniło go to wcale mniej przerażającym. Bardzo się cieszyłem, że dzieli nas spora odległość.

– Ktoś powinien powiedzieć gadzinie, że zawędrowała daleko od domu – stwierdziłem.

– To nie Nil.

– Nie bądź taki dosłowny, Faro. *Crocodylus niloticus* to najbardziej rozpowszechniony gatunek w całej Afryce. Występuje praktycznie we wszystkich rzekach kontynentu. – Hydra rzuciła okiem na brzeg, wypatrując gada. – Szkoda, że nie miałam pod ręką aparatu,

zrobiłabym zdjęcie. Piękny okaz, chociaż trochę mały.

– Mały? Mnie wydawał się całkiem spory.

– Z półtora metra, góra dwa. Niektóre dorosłe osobniki przekraczają nawet trzy metry. Niedawno w Burundi widziano ponad dwa razy większego. Podobno nadal gdzieś się tam kręci.

– Świetny powód, żeby trzymać się z dala od Burundi: sześciometrowy krokodyl to już przegięcie.

– A ja chętnie bym go zobaczyła. Wyobraź sobie... Najprawdziwszy ludojad. Podobno żeruje w jeziorze Tanganika, a całą skórę ma pokrytą bliznami po ranach od kul kłusowników. To musi być niezwykle zwierzę.

– Masz dość dziwny gust...

Mój komentarz ją rozbawił.

– Tak, wiem, nie ty pierwszy mi to mówisz. Gady mnie fascynują. To jeden z powodów, dla których Narváez ochrzcił mnie Hydrą.

– Gady? W sensie jaszczurki, węże i inne takie?

– Dokładnie tak. Ej, nie patrz tak na mnie. To tylko hobby. Poza tym zapewniam, że jestem najnormalniejszą kobietą pod słońcem.

– Przepraszam, ale naprawdę nie mogę pojąć, co może kogoś skłonić do interesowania się węzami.

– Nie przepadasz za nimi?

Skrzywiłem się w grymasie obrzydzenia.

– Nie. Cierpię na lekką fobię.

– Nie ma się czego wstydzić, wiele osób tak ma. Ale to piękne stworzenia, dużo mniej groźne, niż się powszechnie uważa.

– Wierzę ci, ale zostań sobie sama ze swoimi węzami. Ja wolę się trzymać jak najdalej od tych paskudnych gadzin.

– Biedaczek! W takim razie nie najlepiej trafiłeś. Nie wiem, czy wiesz, że w Mali żyje jeden z największych gatunków węży na świecie.

Poczułem nieprzyjemne ciarki na plecach, jakby coś pełzło mi wzdłuż kręgosłupa.

– Naprawdę?

– Tak. Pyton skalny. Może osiągać długość ponad siedmiu metrów i ważyć nawet sto kilo. Nie jest jadowity, ale to niewielka pociecha: ma dwa olbrzymie, ostre kły, którymi rzuca się na głowę ofiary, a potem owija się ciasno wokół ciała, dusi i połyka.

Zrobiło mi się niedobrze. Pomyślcie o czymś, co budzi w was największy lęk i obrzydzenie, a potem spróbujcie wyobrazić sobie, że powiększone do gigantycznych rozmiarów próbuje pożreć was jednym kłapnięciem szczęk. Dopiero wtedy zrozumiecie, jak się poczułem, słuchając Hydry.

– Nie wydaje mi się zbyt sympatyczny.

– A szkoda, bo to przepiękne zwierzę. Jego łuski układają się w czarne wzory przypominające hieroglify. Pokazać ci zdjęcie? Powinam mieć jakieś w telefonie.

– Jezu Chryste, nie! – zaprotestowałem, zanim się zorientowałem, że się ze mnie nabija.

– Powiedz mi tylko, gdzie można go spotkać, żebym trzymał się od tych miejsc z daleka.

– W takim razie nie zbliżaj się lepiej do kęp drzew porastających brzegi rzeki. Często

poluje w wodzie. A ty jesteś niewiele większy od impali, pożarłby cię w parę minut.

Dzień upływał bez większych wrażeń. Zatrzymaliśmy się na obiad w kolejnej wiosce rybackiej, a potem ruszyliśmy w dalszą drogę. Słońce zaczynało powoli obniżać się na niebie, zmieniło się światło.

Napawałem wzrok tym pięknym widokiem, a siedzący obok mnie Bańka obserwował okolicę przez lornetkę. Nagle zauważyłem, że zmienił się na twarzy. Podszedł do Modiby i powiedział coś półgłosem. Kapitan zatrzymał łódź.

– Coś się stało? – zapytałem.

– Sam zobacz – odpowiedział Bańka i podał mi lornetkę. – Przyjrzyj się tamtemu wzgórzu w oddali, po prawej.

Było już prawie ciemno, więc z trudem udało mi się dojrzeć to, o czym mówił Bańka. W końcu zobaczyłem jednak sporą grupę ludzi zebranych w czymś w rodzaju obozu wojskowego.

– Francuzi? – zapytałem.

Hydra podeszła i zabrała mi lornetkę, żeby sprawdzić.

– Nie – odparła. – Ani ludzie z EUTM, ani błękitne hełmy. Nie wiem kto to, ale nie znam tych mundurów.

Modibo zaczął gadać jak nakręcony swoim kreolskim francuskim, który rozumiałem, tylko jeśli rybak mówił bardzo powoli. Odniosłem jednak wrażenie, że czegoś się boi.

– Co on powiedział? – spytałem.

Hydra zacisnęła wargi, a jej twarz spochmurniała.

– Cholera – wymamrotała. – Mówi, że to Ludzie Piasku.

Modibo zacumował w zakolu rzeki. Zebraliśmy się na dziobie łódki, żeby przedyskutować dalsze działania. Nie wzięliśmy pod uwagę, że możemy natknąć się po drodze na Ludzi Piasku. Co najważniejsze, nie wiedzieliśmy, czy tajemniczy terroryści, o których opowiadała nam Hydra, stanowią dla nas bezpośrednie zagrożenie.

Dyskusja się przeciągała – moim zdaniem zupełnie niepotrzebnie. Było dla mnie jasne, że powinniśmy płynąć dalej i nie tracić czasu. Obóz Ludzi Piasku (jeśli to rzeczywiście byli oni) znajdował się na tyle daleko od rzeki, że nie powinniśmy rzucać im się w oczy, a nie wyglądało na to, żeby mieli się zbliżyć. Nie wiadomo nawet, czy również zmierzali do Kolodugu, a nawet gdyby, to tym gorzej, jeśli dotarliby tam przed nami.

Przedstawiłem swój punkt widzenia i pozwoliłem go im rozważyć. Szybko znudziło mi się wysłuchiwanie argumentów za i przeciw, więc wyłączyłem się z rozmowy i obserwowałem Ludzi Piasku przez lornetkę.

Niezbyt liczna grupa sprawiała wrażenie niewielkiego oddziału. Jego członkowie, ubrani w bladożółte mundury, kręcili się między namiotami khaki. Większość miała na głowach hełmy w tym samym kolorze, podobne do kasków motocyklowych, ale chyba nieco lżejsze.

Wszyscy mieli karabiny. Z jednej strony, obok niewielkiego wzniesienia, zauważyłem kilka pojazdów. Dwa samochody terenowe z zamontowaną na karoserii bronią maszynową, pozostałe były zwykłymi furgonetkami.

Jedna z nich przykuła moją uwagę. Zwiększyłem ostrość, żeby jak najdokładniej się jej

przyjrzeć. Wtedy się upewniłem, że na drzwiach umieszczono znajomy symbol.

Splaszczoną niebiesko-czerwoną gwiazdę o dwunastu wierzchołkach.

Zmarszczyłem brwi. Dłuższą chwilę przyglądałem się symbolowi, żeby się upewnić, że wzrok mnie nie myli.

– Coś nie tak, Faro? – zapytała Enigma. Ona też odłączyła się od reszty, wciąż pogrążonej w dyskusji, i stanęła za moimi plecami. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył coś paskudnego.

– Możliwe. Masz, przyjrzyj się temu symbolowi na furgonetce.

Enigma wzięła ode mnie lornetkę.

– Co to? Wygląda jak gwiazda. Z czymś mi się to kojarzy.

– To logo Voynicha.

Enigma spojrzała na mnie z miną, której nie potrafiłem rozszyfrować.

– Faktycznie. Oczami wyobraźni widzę już twój tok rozumowania, jak małego robaczka wijącego się przez kręty labirynt. Daj mu trochę odpocząć, bo dostanie zawrotów głowy i zwymiotuje absurdalnymi wnioskami.

– Myślałem, że lubisz absurd.

– Tak, skarbie, ale nawet ja znam pewne granice – odparła. – Na furgonetce jest logo Voynicha, w porządku, i co z tego? Ten symbol widnieje na milionach przedmiotów na całym świecie. Kojarzysz określenie „międzynarodowa korporacja”?

– To naprawdę godne podziwu, że serwis techniczny Voynicha dociera w tak odległe zakątki świata... Ale mało prawdopodobne. Ostatnimi czasy za każdym razem, kiedy widzę taką furgonetkę, mogę spodziewać się kłopotów.

– Tak, wiem, uważasz, że Voynich szuka skarbu Dżaudara Paszy, tak jak kiedyś ostrzył sobie zęby na Stół Salomona. To piękna teoria spiskowa, przyznaję, ale chyba zgodzisz się ze mną, że przypisywanie im związków z armią malijskich najemników to już jednak o krok za daleko.

– Dlaczego? Hydra mówiła, że ci ludzie atakują zabytki. Sama stwierdziła, że sprawiają wrażenie, jakby czegoś szukali.

Enigma w zamyśleniu zagryzła dolną wargę.

– No dobrze, trzymaj się swoich podejrzeń. Zwykle twoje dziwne pomysły zmierzają w dobrym kierunku – powiedziała. – Ale sugeruję, żeby na razie zostało to między nami. Pozostali nie są tak tolerancyjni w stosunku do paranoików jak ja.

Zawołał nas Bańka – wreszcie udało im się podjąć decyzję.

– Zgodnie z planem płyniemy do Kolodugu – oznajmił. Mina Hydry wskazywała, że ona próbowała przeforsować inne rozwiązanie. – Musiałem słono zapłacić Modibie, a i tak tylko udało mi się go namówić, żeby zostawił nas na miejscu. Będziemy musieli sami zorganizować sobie transport powrotny.

Modibo, wyraźnie przestraszony i naburmuszony, wprawił łódkę w ruch. Kontynuowaliśmy podróż rzeką, pozostawiwszy za sobą obóz Ludzi Piasku.

Hydra postanowiła skontaktować się z Ireną, żeby dowiedzieć się, czy EUTM wie o obecności uzbrojonego oddziału w pobliżu Kolodugu. Schowała się w kącie i po długiej rozmowie telefonicznej wróciła do nas z ponurym wyrazem twarzy.

– Irena nic nie wie – poinformowała nas. – Nikt z EUTM o tym nie słyszał.

– To i tak nie zmienia naszej sytuacji – odparłem. – Skąd ta kwaśna mina?

– Irenie się wydaje, że tamtej agentce Interpolu udało się nas namierzyć. Policja najwyraźniej rozpytała się wśród rybaków i któryś musiał powiedzieć im, że widział, jak ugadywaliśmy się z Modibem na podróż do Kolodugu.

– Niech ją szlag – wymamrotał Bańka. – Nigdy się nie uwolnimy od tej baby?

– Nie martwiłabym się tym szczególnie – stwierdziła Enigma. – Lacombe i tak nie wyprzedzi nas w drodze do Kolodugu, jeśli w ogóle się tam wybierze. Za kilka dni nie zostanie po nas żaden ślad.

– Nie zapominaj o malijskiej policji – zauważyła Hydra. – Jeśli Fara nadal będzie ścigał Interpol, ryzykujecie aresztowaniem w każdym mieście.

Zamyśliłem się.

– Jeśli problemem jest list gończy, możemy znaleźć rozwiązanie – powiedziałem. Potem spojrzałem na Enigmę. – Yokai.

– Serio?

– Czemu nie? Wcześniej udało mu się wyciągnąć mnie z bazy danych Interpolu. Poprosimy, żeby zrobił to jeszcze raz.

– Myślałam, że nie chciałeś go do tego mieszać.

– Nadal tak uważam, ale w takiej sytuacji nie możemy sobie pozwolić na przebieranie w sojusznikach. – Tu zerknąłem wymownie na Bańkę.

– Z tego, co rozumiem – wtrącił się Poszukiwacz – ten cały geniusz może usunąć cię z systemu tylko na dwadzieścia cztery godziny.

– To zawsze doba do przodu. – Spojrzałem pytająco na przyjaciół, ciekaw ich opinii. – Lepsze to niż nic.

Enigma wzruszyła ramionami.

– Niech będzie. Jeśli myślisz, że może to coś dać, spróbujemy się z nim skontaktować.

– Mogę wam pożyczyć telefon – zaofiarowała się Hydra. – Jest podłączony do sieci Iridium, więc mam zasięg na całym świecie.

– Dzięki, ale wolę nie rozmawiać bezpośrednio z Yokaim. Lepiej skorzystać z pomocy pośrednika, kogoś, komu możemy zaufać.

– Masz na myśli Danny? – zapytał Bańka.

– No jasne. Na pewno chętnie się na coś przyda.

Hydra pożyczyła mi telefon i wykręciłem numer Danny. W oczekiwaniu na sygnał zerknąłem na Bańkę.

– Mam nadzieję, że twoja siostra lubi dzieci... To wyjątkowo trudny przypadek.

BEHEMOT

To dobry moment, żeby skorzystać z przywileju narratora i przenieść akcję w inne miejsce.

Owszem, nie byłem osobiście obecny przy tych wydarzeniach, a informacje, których nie uzyskałem z pierwszej ręki, muszę uzupełnić za pomocą wyobraźni. Możecie jednak mi wierzyć, że ten fragment opowieści odpowiada rzeczywistości w takim samym stopniu jak relacja naocznego świadka.

Podczas gdy my przemierzaliśmy wody Nigru w kierunku Miasta Umarłych, Danny niecierpliwie czekała na wieści w Madrycie.

Ostatnio kontaktowaliśmy się z nią, kiedy udało nam się uciec z francuskiej bazy wojskowej, ale nie zdradziliśmy jej więcej szczegółów, a od tej pory minęły już prawie dwa dni.

Brak wiadomości, nawet przez dłuższy okres, nie musiał wcale oznaczać nic złego. Danny wiedziała z własnego doświadczenia, że Poszukiwacze nie zawsze mają czas i okazję, by na bieżąco informować o przebiegu misji. Z drugiej strony nie przywykła jednak do biernego czekania na nowiny, więc potrafię sobie wyobrazić jej frustrację i poczucie bezsilności. Co gorsza, nie mogła nawet pójść do Piwnicy i czymś się zająć, bo Alzaga podtrzymywał swoją decyzję o zawieszeniu działalności Korpusu.

Dlatego całkiem ją ucieszył telefon jubilerów, którzy prosili, żeby wpadła do zakładu – podobno odkryli coś, co mogło ją zainteresować.

Danny pośpiesznie się rozłączyła i pobiegła do sklepu Alfy i Omegi.

Bliźniacy przywitali ją z wielką radością, wyrażoną potokiem przymiotników, kwiecistych metafor i łacińskich sentencji. To najlepiej świadczyło o ich entuzjazmie.

Żeby mieć swój wkład w naszą afrykańską misję, Alfa i Omega zajęli się zbadaniem wszelkich możliwych informacji o Dżaudarze Paszy, *Mardudzie* z Sewilli i Łańcuchu Proroka. Wyglądało na to, że ich ciężka praca wydała w końcu owoce.

Danny poczęstowała się słynną kawą jubilerów, którą przynosili do warsztatu w termosie, po czym zapytała, co właściwie odkryli.

– Pewną notatkę służbową – odparł Alfa, Brat Ciemnych Krawatów.

– To nie brzmi szczególnie ciekawie.

– Ale jest wręcz przeciwnie, droga przyjaciółko. Warto podkreślić, że chodzi tu o sprawę, która przypomniała nam słowa Horacego...

– ...*aequam memento rebus in arduis servare mentem*¹ – dokończył Omega.

– To zawsze dobra rada. Ale teraz do rzeczy: o czym mowa?

Jeden z braci wręczył Danny teczkę pełną zapisanych na maszynie kartek. Poszukiwaczka przejrzała je pobieżnie, Alfa zaś wyjaśniał:

– Kilka dni temu skontaktowaliśmy się z pewnym znajomym, który ma dostęp do

Oddziału Posiadłości Zamorskich francuskiego Archiwum Narodowego. Chcieliśmy uzyskać informacje o marszałku Gallienim i jego ekspedycji do Mali. Nie zapominajmy, że Gallieni najwyraźniej również podążał śladem skarbu poszukiwanego przez Dżaudara Paszę.

– Uznaliśmy, że może ten wątek do czegoś nas doprowadzi – dodał Omega. – Przekazaliśmy naszemu znajomemu kilka wskazówek i słów kluczowych, według których mógł trafić na jakieś cenne informacje w archiwach kolonialnych.

– I co?

– Wysłał nam to – odparł Alfa i wskazał na dokumenty w ręku Danny. – To memorandum autorstwa francuskiego inżyniera wojskowego, Gilles’a Montagniera, datowane na październik 1887 roku. To wtedy rozpoczęły się prace przy budowie kolei z Dakaru, a Gallieni, jako gubernator Sudanu, chciał się dowiedzieć, czy istniała możliwość przedłużenia linii do Niameju.

– Gdzie jest Niamej?

– Obecnie to stolica państwa Niger. Gallieni chciał pociągnąć linię jak najdalej na wschód, żeby mogła służyć za główną oś komunikacji pomiędzy koloniami Afryki Zachodniej. W końcu jednak projekt został odrzucony i pociągi kończyły trasę w Koulikoro, w Mali.

– No dobrze, ale nadal nie rozumiem, dlaczego ta relacja ma być taka ważna.

– Cierpliwości – powiedział Omega. – Gallieni zlecił grupie żołnierzy i inżynierów zbadanie wschodniego dorzecza Nigru w celu sprawdzenia, czy dałoby się położyć tam tory. Wyprawie przewodził Gilles Montagnier.

– Ekspedycja zakończyła się tragicznie – ciągnął Alfa. – Wszyscy członkowie zniknęli, z wyjątkiem Montagniera. Nieszczęsnego inżyniera znaleziono, kiedy ledwo żywy z głodu i pragnienia błąkał się zagubiony w okolicy uskoku Bandiagara. Trafił do szpitala, gdzie przez długie tygodnie wracał do siebie. Potem sporządził raport dla Gallieniego, w którym przedstawia szczegóły wyprawy.

Omega przejął pałeczkę od brata.

– Jak widzisz, to ściśle poufny dokument, przeznaczony wyłącznie dla oczu Gallieniego. Odtajniono go dopiero pięćdziesiąt lat po śmierci marszałka. W tej historii jest coś niejasnego, Montagnier kilkakrotnie wspomina, że wypełniał jakąś sekretną misję powierzoną mu osobiście przez Gallieniego. Niestety, nie pisze, o co konkretnie chodziło, ale zdaje się to mieć jakiś związek z Dżaudarem Paszą.

– I to wszystko jest tu spisane? – zapytała Danny.

– Nie, całe memorandum jest znacznie dłuższe. Tu masz tylko końcówkę, bo wydaje nam się najciekawsza.

– Dlaczego?

Bracia wymienili niespokojne spojrzenia.

– Powinnaś to przeczytać, Danny – odparł w końcu Alfa. – Sami nie wiemy, co o tym myśleć. To dość... osobliwe.

– Nie podoba mi się sposób, w jaki wymówiłeś to słowo.

– Po prostu przeczytaj – powtórzył jubiler. – Może ciebie te słowa nie poruszą tak jak nas... Ale obawiamy się, że nasi przyjaciele mogli trafić do piątej komory...

– Piątej komory?

– „W piątej komorze były Nienazwane formy, które rzucały metale w przestrzeń”² – wyrecytował Omega grobowym tonem.

Danny otworzyła teczkę i zaczęła czytać.

18 października o świcie wyjechaliśmy z Mopti. Wskutek przyjęcia nie pierwszej świeżości pożywienia mój adiutant, sierżant Archinard, musiał pozostać w mieście, gdyż nieszczęśnik ledwie się trzymał na nogach. Rozważałem możliwość zaczekania, aż wróci do zdrowia, lecz jako że czas działał na naszą niekorzyść, postanowiłem bez niego ruszyć w dalszą drogę.

Tak więc z powodu niedyspozycji sierżanta Archinarda w naszej drużynie pozostali pan inżynier Duroc, dwóch topografów: Gallifert i Bouchard, chirurg – kapitan Kellermann oraz ja. Tylko pięciu z dwunastu członków wyprawy, która wyruszyła z Bamako. Zacząłem się obawiać, że ciąży nad nami fatum.

Jako że trasa prowadziła nas na terytorium Kraju Dogonów, w nieznane nam rejony, postanowiliśmy nająć w Mopti przewodnika. Pan Duroc skontaktował się z mężczyzną o imieniu Usman, z ludu Fulbe. Z początku nie byłem przekonany o słuszności zabrania go z nami, gdyż jak powszechnie wiadomo, Fulbe słyną ze skłonności do przemocy i fanatyzmu, niesubordynacji i podejrzliwości względem wszystkiego, co obce. Zagadnąłem pana Duroca o szansę znalezienia w Mopti rodowitego Dogona, który mógłby służyć nam za przewodnika, ale inżynier odparł, że praktycznie niemożliwym jest spotkać któregoś z nich poza krajem, a jeszcze mniej prawdopodobnym – że zrozumieliby naszą mowę.

Mimo moich obaw przewodnik okazał się skorym do pomocy i godnym zaufania. Jako członek koczowniczego ludu Fulbe Usman nieraz zapuszczał się do Kraju Dogonów i dobrze znał tamte tereny. Dzięki rozmowie z przewodnikiem sporo się dowiedziałem o całym regionie.

Dogoni to tajemniczy i osobliwy lud. Według Usmana zamieszkują miasta zbudowane w ścianach najbardziej stromych urwisk, w domach z gliny poustawianych jedne na drugich jak skrzynie na półce. Kraj Dogonów rozciąga się wokół wielkiego uskoku Bandiagara, na południowy zachód od zakola rzeki Niger.

Jego mieszkańcy należą do pradawnego ludu o niejasnym pochodzeniu. Po dziś dzień uprawiają prymitywny kult wyznawany przez ich przodków, a zdecydowana większość stanowczo odmawia przyjęcia jakiegokolwiek innej religii, czy to islamu, czy chrześcijaństwa. Zdaniem Usmana Dogoni czczą wielkie bóstwo Nommo, a także dziwaczne duchy zwane „człekorybami”. Zgodnie z ich wierzeniami, dżinny te miały przybyć z odległej gwiazdy Sigi Tolo (ze szczegółów uzyskanych od Usmana domyślałem się, że może chodzić o gwiazdę z konstelacji Syriusza). Dogoni odprawiają swoje rytuały w specjalnych maskach, są też niezwykle sprawnymi rzemieślnikami pracującymi w glinie i drewnie. Podstawowe umiejętności budowlane pozwoliły im wznieść proste świątynie.

Usman wyjaśnił mi, że wierzenia Dogonów różnią się nawet pomiędzy poszczególnymi wioskami. Istnieje wiele sekt, które wyznają własne kultury. Informacje te niezmiernie mnie

zaczekały i wszystkie skrupulatnie zapisałem, aby w przyszłości móc wrócić do nich przy okazji bardziej dogłębnego badania zwyczajów tego ludu.

Jako że nasz przewodnik zdawał się świetnie obeznany z kwestiami dotyczącymi historii starożytnego Mali, próbowałem dowiedzieć się od niego czegoś w związku z prawdziwą przyczyną mojego udziału w ekspedycji. Odpowiedź Usmana okazała się niezwykle interesująca.

Otóż opowiedział mi, że zgodnie ze starymi podaniami Dżaudar Pasza odwiedził Kraj Dogonów po zdobyciu Timbaktu. Nikt nie znał celu jego wyprawy, ale mógł wiązać się on z pewnym skarbem, strzeżonym od wieków przez kolejne dynastie władców Mali.

Zgodnie z historią – czy też raczej legendą – którą Usman poznał z ust starszych, Dżaudar Pasza wyruszył w kierunku Bandiagary z niewielką grupką najbardziej zaufanych żołnierzy, w poszukiwaniu miejsca zwanego Nieprzemijalną Oazą. Na dłuższy czas słuch po nich zaginął, aż w końcu z wyprawy wrócił tylko on. Nikt nie wie, czy jego poszukiwania zakończyły się sukcesem.

To zrozumiałe, że opowieść ta bardzo mnie poruszyła, gdyż wskazywała, że droga, którą podążaliśmy w ślad za dawnym konkwistadorem, prowadziła nas we właściwym kierunku. Zachowałem to jednak w tajemnicy przed pozostałymi członkami ekspedycji, trwającymi w przekonaniu, że naszym zadaniem jest znalezienie bezpiecznej trasy dla wytyczenia linii kolejowej. Mimo to Kellermann zaczął chyba podejrzewać, że coś przed nim ukrywam. Zadał mi kilka podchwytliwych pytań, ale udało mi się wybrnąć z nich najlepiej, jak potrafiłem.

Wędrówka ku Krajowi Dogonów przez afrykański płaskowyż okazała się niełatwa. To skalisty teren, pokryty spaloną słońcem, pomarańczową ziemią, a przez większość czasu w powietrzu unoszą się chmury pyłu, który oblepia skórę i dostaje się do dróg oddechowych, powodując ogromne niewygody. Roślinność, choć bujna, sprawia wrażenie nieprzyjaznej. Składa się głównie z akacji, ciernistych krzewów i traw, które na kontynencie nazywamy „chwastami dla słońca”.

W miarę jak oddalaliśmy się od brzegu Nigru w stronę góry Hombori Tondo (najwyższego szczytu w regionie), krajobraz stawał się coraz bardziej dziki i kamienisty. Jedyne źródło wody stanowiły krótkie, wąskie strumyki przypominające kałuże, przez miejscową ludność zwane wadisami.

Na szczęście podróż nie trwała zbyt długo i wkrótce nawiązaliśmy kontakt z Dogonami.

Pierwsza wioska dogońska, jaką napotkaliśmy na drodze, składała się z zaledwie czterech czy pięciu klockowatych budynków z gliny i słomy. Leżała u stóp kamiennego zbocza, wystawiona na działanie bezlitosnego słońca Afryki. Na spotkanie wyszedł nam pewien starzec. Jak wyjaśnił nam Usman, nosił on miano hogona – duchowego przywódcy wioski.

Nieliczni mieszkańcy osady sprawiali wrażenie niedożywionych i brudnych. Większość stanowili mężczyźni w trudnym do określenia wieku. Kobiet było niewiele, a dzieci – niemal wcale. Hagon porozumiewał się z naszym przewodnikiem w języku songhajskim, jedynym, którym obaj władali wystarczająco biegle. Dowiedzieliśmy się, że miejsce to nazywa się Gursay i jest nie tyle wioską, ile czymś w rodzaju malutkiej

sadyby, której wszyscy mieszkańcy należą do jednej rodziny. Duże miasta Dogonów miały znajdować się dalej na wschód.

Zaoferowano nam gościnę, więc postanowiliśmy skorzystać z zaproszenia i przenocować. Osobiście bardzo zależało mi na rozmowie sam na sam z hogonem – chciałem wypytać go o sprawy związane z moją tajną misją.

O zachodzie słońca, po skromnej wieczerzy wydanej przez naszych gospodarzy, miałem okazję do spotkania z hogonem na osobności. Usman jak zwykle służył za tłumacza. Zapytałem starca, czy kiedykolwiek słyszał o miejscu zwanym Nieprzemijalną Oazą. Hogon przytaknął z marsową miną i wypowiedział jedno słowo: „Ogol”. Powtórzył je kilkakrotnie, wskazując w kierunku wschodnim.

Wyjaśnił, że tak nazywa to miejsce jego lud. Poprosiłem, żeby wskazał mi drogę. Starzec gwałtownie pokręcił głową i zamienił kilka słów z Usmanem. W końcu tłumacz oznajmił, że hogan jest przerażony.

Chciałem się dowiedzieć dlaczego. Stary mężczyzna zaczął nerwowo wyrzucać z siebie potok słów, tak szybko, że Usman niemal nie nadążał z tłumaczeniem. Udało mi się wyłowić kilka słów, które hogan powtórzył wiele razy: „Numma”, „Zugu” i „Tellem”. W miarę jak mówił, wpadał w coraz większe podniecenie. Tłumaczowi niełatwo przychodziło zrozumieć jego słowa i przełożyć je tak, żebym mógł je pojąć.

Najwyraźniej hogan powiedział, że Ogol, czy też Nieprzemijalna Oaza, to niezwykle stara osada, zamieszkała jeszcze w czasach przed pierwszymi cesarzami. Mieszkali w niej jednak nie Dogoni, a plemię Tellem, znane jako „ludzie ptaki”.

Byli oni dobrymi ludźmi i udzielali wsparcia Dogonom, kiedy ci w ucieczce przed handlarzami niewolników osiedlili się na terenie uskoju Bandiagara. Tellemowie nauczyli Dogonów budować na skałach i znajdować wodę pod ziemią. Z czasem zniknęli i Dogoni uznali, że plemię wymarło. Inaczej jednak sprawa miała się z Nummami.

Członków tego ludu również nazywano „ludźmi ptakami”, ale w przeciwieństwie do Tellemów uchodzili oni za niegodziwych. Czcili złe bóstwa przyrody i uprawiali kult mrocznego demona zwanego Zugu, któremu składali ofiary z mięsa i krwi. Starożytni władcy Mali podpisali pakt z sektą Nummów, na którego mocy ci ostatni mieli strzec cennego skarbu w Nieprzemijalnej Oazie. Skarb ten nie miał nazwy, ale starzec opisywał go jako „Schedę Zielonego Proroka”.

Tyle tylko udało się wyciągnąć z jego słów. Większość opowieści zdała mi się zawiłą i niezrozumiałą, ale hogan nie zamierzał udzielać dodatkowych wyjaśnień. Albo sam ich nie znał, albo chciał zachować je w tajemnicy.

Widząc, że nie zdołam uzyskać już żadnych informacji, postanowiłem udać się na spoczynek. Moja drużyna rozgościła się w dwóch glinianych chatach, które Dogoni oddali do naszej dyspozycji. W jednej spałem ja z Kellermannem i Durokiem, w drugiej zakwaterowali się topografowie i Usman.

Kiedy następnego dnia się obudziliśmy i wyszliśmy z chaty, Duroc zauważył, że słońce dość wysoko stoi na niebie, co oznaczało, że wstaliśmy zdecydowanie później, niż mieliśmy w zwyczaju. Spaliśmy mocno i głęboko. To zwróciło naszą uwagę, gdyż podczas wyprawy przywykliśmy do płytkiego, przerywanego snu.

Jednak największe zaskoczenie dopiero nas czekało. Kiedy rozejrzeliśmy się po

okolicy, rzuciła nam się w oczy pustka panująca w wiosce. Nie został najmniejszy ślad ani po Dogonach, którzy poprzedniego dnia tak gościnnie nas podjęli, ani po ich duchowym przywódcy. Osada była całkowicie wyludniona, zamarła w bezruchu, jeśli nie liczyć tumanów pyłu wzbijanych przez wiatr. Można było odnieść wrażenie, że wioska od wielu lat pozostawała niezamieszkała.

Po początkowym zdziwieniu przyszedł jednak większy wstrząs. Kiedy zajrzeliśmy do chaty Usmana i typografów, okazała się równie pusta jak pozostałe zabudowania. Choć ich bagaż i przedmioty osobiste pozostały na miejscu, to po naszych towarzyszach zaginął wszelki ślad.

Poważnie zaniepokojeni postanowiliśmy zbadać okolicę, próbując znaleźć jakiś trop naszych zaginionych przyjaciół. Bezskutecznie. Nie odważyliśmy się jednak zbyt oddalać od wioski, na wypadek gdyby któryś z nich wrócił pod naszą nieobecność.

Przedyskutowaliśmy dalszy sposób postępowania. Kellermann opowiadał się za zwiększeniem terenu poszukiwań, Duroc zaś uważał, że najlepiej będzie zostać w wiosce. To przecież niemożliwe, żeby wszyscy mieszkańcy wyparowali – prędzej czy później ktoś będzie musiał się pojawić. Choć żadna z tych propozycji w pełni mnie nie zadowalała, w końcu przyznałem rację Durocowi.

Z naszej trójki to Kellermann sprawiał wrażenie najbardziej zaniepokojonego. Powtarzał, że to miejsce budzi u niego ponure przeczucia i że nie chce w nieskończoność wyczekiwać naszych zaginionych towarzyszy. Obawiał się, że może im grozić śmiertelne niebezpieczeństwo.

Próbowałem przemówić mu do rozsądku – na próżno. Postanowił na własną rękę kontynuować poszukiwania i wyruszyć z wioski wzdłuż linii skalnej ściany, licząc, że trafi na jakiś ślad. Poprosiłem, żeby nie odchodził zbyt daleko i zawrócił, kiedy tylko zacznie się ściemniać. Kellermann obiecał tak zrobić i poszedł.

Już nigdy miałem go nie zobaczyć. Ani jego, ani nikogo z pozostałych.

Od tego momentu moja pamięć zaczyna zawodzić. Wiem, że zostaliśmy z Durokiem w wiosce, ale nie pomnę, co robiliśmy ani jakie snuliśmy plany. Zachowałem jedynie wspomnienie tępego przerażenia, które paraliżowało mój umysł. Pamiętam też, że zapadł zmierzch, a ani Kellermann, ani reszta nie wrócili. Któryś z nas – nie wiem, ja czy Duroc – zaproponował, żebyśmy spędzili jeszcze jedną noc w osadzie. Jeśli rankiem nadal nie otrzymamy żadnych wieści o losie naszych towarzyszy, będziemy zmuszeni podjąć bardziej radykalne kroki.

Z tą myślą położyliśmy się spać.

Zastrzegam, że nie potrafię stwierdzić, czy to, o czym teraz opowiem, zdarzyło się naprawdę, czy też jest wytworem mojej wyobraźni. Jedno wiem na pewno, jedyne wspomnienie mogę uznać za wiarygodne: zamknąłem oczy w glinianej chacie, a otworzyłem je w sali szpitala w Bamako. Medycy poinformowali mnie, że spędziłem tam długie dni po tym, jak znaleziono mnie w stanie delirium wywołanego poważnym odwodnieniem, bliższego śmierci niż życiu. Od tamtej pory, z myślą o tym właśnie raporcie, wytężyłem siły, by wypełnić lukę ziejącą w pamięci, ale napotykałem przy tym jedynie zatrważające wizje, które do dziś prześladują mnie w koszmarach. Z całego serca pragnę, aby wizje te okazały się wyłącznie wytworem mojego umysłu, okaleczonego przez

udar słoneczny i niedożywienie.

Koszmary, nic więcej.

Widzę ciemną noc z niebem upstrzonym nieznośną ilością gwiazd. Otaczają mnie złowrogie stworzenia, malutkie demony o groteskowo zdeformowanych ciałach. Przypominają ludzi, ale nie mogą nimi być. Skórę pokrywają im gadzie łuski, oczy są jadowicie żółte, a paszcze wypełniają ostre kły. Niektóre mają głowy węża, inne – malutkie ludzkie twarze o diabolicznym wyrazie. Są i takie, na których odrażających czarnych ciałkach tkwi nie jedna, lecz dwie głowy: jedna jakby ludzka, druga – jaszczurza. Wrzeszczą coś w niezrozumiałym języku, słowa, których nikt nie powinien być w stanie wymówić.

Widzę grootę, jaskinię. Widzę krew i śmierć. Rozczłonkowane ciało utyłane w błocie. Krwawiące rany. W mojej okropnej wizji twarz nieboszczyka przypomina Duroca, ale w miejscu, gdzie powinny być oczy, ktoś zatopił dwa zwierzęce kły, niczym sztylety. Oblicze domniemanego Duroca zastygło w grymasie absolutnego przerażenia. Słyszę śpiewy. Widzę więcej ciał i jakimś sposobem wiem, że należą do moich przyjaciół. Jednemu ktoś wbił w czaszkę kły – wyglądał, jakby z czoła wyrosły mu kościane zębiska. Innemu skórę poznaczono szpetnymi ranami, przypominającymi nieco łuski wycięte bezpośrednio w żywym ciele – niektóre wciąż obficie krwawią...

Jest ich więcej. Dużo więcej. Ale nie chcę pamiętać. Nie chcę przelewać na papier tych straszliwych wizji.

Widzę coś zatrważającego. Nie pamiętam co to. Nie wiem, jaki ma kształt. Wynurza się z mętnych, cuchnących wód niczym potwór z głębin. Coś tak przerażającego, że doszczętnie niszczy mój umysł. Nie chcę wiedzieć.

Od czasu tamtej przekłętej wyprawy zauważyłem, że znajduję pewną pociechę w ponownej lekturze Pisma Świętego. Niedawno miałem okazję wrócić do Księgi Hioba i znalazłem tam ustęp, którego od tej pory nie potrafię zapomnieć.

„A oto Behemot. (...) Oto jego moc jest w jego biodrach, a jego dynamiczna energia w ścięgnach jego brzucha. (...) Kości jego to rury miedziane; jego mocne kości są jak drągi z kutego żelaza. (...) Wyleguje się pod szydlicami, w trzcinistych kryjówkach i na mokradle. Szydlice osłaniają go swoim cieniem”³.

Coś w tych słowach każe mi myśleć o tym, co wynurzało się z tamtych odmętów. Omamy, rzeczywistość? Czymkolwiek by było, dziękuję Niebiosom za to, że wymazały to wspomnienie z mojej pamięci.

GILLES MONTAGNIER

Danny nie chciała umniejszać wysiłku bliźniaków, więc nie powiedziała głośno, że wydarzenia opisane w memorandum wydały jej się równie prawdopodobne, co opowiadania Edgara Allana Poego. W głębi duszy pomyślała, że najlepszym miejscem, w jakim można by zachować ten dokument dla potomności, jest najbliższy kosz na śmieci.

Po wyjściu z warsztatu Alfy i Omegi nadal myślała o tekście Montagniera. Absurd. Groteska. Majaczenia Francuza z udarem słonecznym. Piętrowa bzdura.

A jednak z jakiegoś powodu nie mogła pozbyć się tej historii z głowy. Pomogło jej to złagodzić niepokój, jaki odczuwała, nie mając kontaktu z nami.

Kiedy wróciła do domu, postanowiła przeprowadzić własne śledztwo w internecie. Zaczęła szukać informacji związanych z nazwami i terminami, które nie dawały jej spokoju, utkwiły w podświadomości.

Numma, Zugu, Tellem, ludzie ptaki...

Co za stek bzdur.

Ku swemu zaskoczeniu odkryła jednak, że rzeczywiście istniał jakiś związek między Tellemami a plemieniem Dogonów.

Najwyraźniej aż do roku 1895 żaden antropolog nie zbadał dogłębnie kultury ani historii Kraju Dogonów, a pierwsze publikacje na ten temat pojawiły się dopiero w roku 1930. To mogłoby tłumaczyć, dlaczego w roku 1887 Montagnier postrzegał ich jako tajemniczy, zagadkowy lud. Nic nadprzyrodzonego.

W pracach antropologicznych nie pojawiała się żadna wzmianka ani o sekcie Nummów, ani o ich złowrogim duchu Zugu. Owszem, pisano o Tellemach czy ludziach ptakach, ale nie wiązał się z nimi żaden mroczny sekret.

Naukowcy ustalili, że Dogoni pochodzili najprawdopodobniej z gór Mandinka, naturalnej granicy między Gwineą a Mali. W piętnastym wieku Dogoni musieli opuścić góry, prześladowani przez plemiona nawrócone na islam, których członkowie chcieli ich wyłapać i sprzedać handlarzom niewolników – Dogoni nie chcieli odrzucić animizmu. Exodus zawiódł ich nad uskok Bandiagara, gdzie nawiązali kontakt z plemieniem Pigmejów żyjących w jaskiniach wykutych w skalistych zboczach.

Wiele rodzimych gatunków ptaków budowało gniazda na kamiennych ścianach, więc Dogoni zaczęli nazywać tubylców Tellem, co w ich języku oznacza „ludzie ptaki”.

Między Dogonami a ludźmi ptakami trwała pokojowa koegzystencja. Wkrótce członkowie plemion zaczęli zawierać małżeństwa mieszane, z których rodziły się dzieci. Z upływem wieków asymilacja pogłębiła się do tego stopnia, że Tellemowie w końcu zniknęli i urosli do rangi legendarnych bóstw, które pomogły Dogonom w potrzebie. Żaden szanujący się naukowiec nie postawiłby tezy, że niektórzy z tych Pigmejów – dobrzy czy źli – nadal zamieszkiwali rejon Bandiagary w momencie przejścia przez Francuzów władzy nad Mali. Sekta Nummów zdawała się więc bajką, mitem.

Kiedy zadzwonił telefon, Danny poczuła ulgę. Uznała, że rozmowa na inny temat dobrze jej zrobi.

Spojrzała na ekran. Numer dzwoniącego był wyjątkowo długi, więc nastawiła się na wieści z Afryki.

Chciałbym myśleć, że na dźwięk mojego głosu ucieszyła się tak bardzo, jak ja słysząc jej głos. Już od dłuższego czasu bardzo mi go brakowało.

Poczułem absurdalny impuls, żeby zapytać ją, czy o mnie myślała, wyznać, że we wszystkich sytuacjach, kiedy niebezpieczeństwo było blisko (a w ostatnich dniach ich nie brakowało), w mojej głowie pojawiał się jej obraz. Zdałem sobie jednak sprawę, że byłoby to mocno nieprofesjonalne zachowanie jak na Kawalera Poszukiwacza, więc ograniczyłem się tylko do przekazania jej informacji, że jak na razie wszyscy jesteśmy cali i zdrowi, a misja toczy się dalej.

Danny zrewanżowała się relacją ze swoich ostatnich poczynań (w dużym skrócie opisałem je przed chwilą). Powiedziałem jej, czego potrzebujemy. Tak jak podejrzewałem, nie ucieszyła jej wizja proszenia o pomoc nastolatka.

– Uwierz mi, chłopak jest niezły – przyznałem bez większego entuzjazmu. – Przynajmniej na tyle, żeby wykiwać zabezpieczenia systemu informatycznego Interpolu.

– Powierzasz swoje bezpieczeństwo dziecku? Nawet nie wiemy, czy potrafi trzymać buzię na kłódkę.

– Jeśli masz lepszy pomysł, chętnie go wysłucham. Błagam, jestem gotów zaakceptować każde rozwiązanie – poprosiłem.

Przez chwilę nic nie mówiła.

– W porządku – stwierdziła w końcu. – Skoro tak ustaliliście...

– Świetnie. Skontaktuj się z nim jak najszybciej, powinnaś złapać go pod tym numerem. – Podyktowałem jej ciąg cyfr.

– Znasz go na pamięć?

– Ja nie, ale Enigma owszem.

– No tak, powinnam się domyślić. – Znow zawiesiła głos, tym razem na dłużej. – Tirso.

– Tak?

– Pamiętaj o naszej umowie. Musisz wrócić.

– O niczym innym nie myślę.

– Kłamczuch – odparła. Nie wiedzieć czemu wyobraziłem sobie, że się przy tym uśmiechnęła. – Myślisz tylko o skarbie.

Potem życzyła nam powodzenia i się rozłączyła.

Danny nacisnęła guzik dzwonka. Zza drzwi dobiegła wesola melodia, ale nikt nie otworzył.

Było zimno, a w ogródku przed domem unosiła się góraska mgła. Z gęstych jak mleko oparów wynurzał się sympatyczny pyszczek kreta w stroju ogrodnika. Wielkie gipsowe oczy i wyszczerzone w uśmiechu zęby budziły niepokój.

Odkąd opuściła Madryt, wciąż usiłowała przekonać samą siebie, że to, co robi, ma sens. Przypominała sobie, po co tu przyjechała, próbując zignorować głos rozsądku.

Już miała znowu zadzwonić, kiedy drzwi w końcu się otworzyły. Na progu stanął chłopak, który wyglądał, jakby właśnie zwał się z łóżka wyrwany z głębokiego snu. Rozczochrane włosy sterczały mu we wszystkie strony, miał na sobie koszulkę z Bertem i Erniem w strojach motocyklistów oraz bokserki w dinozaury. W rękę trzymał nadgryzioną kanapkę i pracowicie przeżuwał, jak kowboj, który lada chwila splunie porcją tytoniu.

Chłopak zlustrował Danny od stóp do głów. Nie wydawał się ani trochę speszony swoim nieformalnym strojem.

Danny westchnęła. Uznała, że nawet geniusze mają prawo ubierać się swobodnie we własnym domu.

– Yokai? – zapytała.

Młody skinął głową i przełknął to, co miał w ustach.

– A ty to Danny?

– Zgadza się.

– Udowodnij.

– Jak?

– Nie wiem, pokaż jakieś papiery. A jak się pod nią podszywasz?

Danny znów ciężko westchnęła. Chłopak naogładał się za dużo filmów szpiegowskich. Nic dziwnego, to dzieciak.

Wygrzebała z torebki niebieską przepustkę do Piwnicy. Wręczyła ją Yokaiemu, który obrzucił kartę nieufnym spojrzeniem.

– A co to za gówno? Zwykły kawałek plastiku z imieniem.

– A czego się spodziewałeś?

– Nie wiem... Jakiejś odznaki Poszukiwacza czy czegoś w tym stylu. Nie macie takich?

– Nie mamy. A mnie się śpieszy, kolego, i marzę o tym, żeby jak najszybciej załatwić sprawę i się stąd oddalić. Nie wkurzaj mnie.

– Cholera... Wszyscy jesteście tacy milutcy? – wymamrotał Yokai. Coś w spojrzeniu Danny kazało mu jednak dać sobie spokój z legitymowaniem, więc przesunął się i powiedział: – No dobra, wchodź.

– Dziękuję. To miłe z twojej strony.

Danny poszła za chłopakiem do sypialni na piętrze. W pokoju walały się sterty brudnych ubrań, resztki jedzenia i dziesiątki makiet budynków.

Muzyka grała na cały regulator, jakaś płyta Dropkick Murphys. Yokai ją wyłączył i rzucił się na fotel przed komputerem podłączonym do najróżniejszych urządzeń. Zgarnął z klawiatury pustą torebkę po chipsach i pociągnął łyk ze stojącej na biurku puszki red bulla.

Danny pomyślała, że jeśli nie liczyć makiet i punka płynącego z głośników, pokój spokojnie można by uznać za domową wersję Graciarni – gabinetu przeklętego Tesli z czasów, kiedy jeszcze pracował w Piwnicy. Wzięła to za dobry omen.

– Dobra, gadaj – powiedział Yokai, nie omieszkawszy wcześniej donośnie beknąć. – Co mam zrobić?

– Jesteś sam w domu?

– Już ci mówiłem przez telefon: ciotka wybyła na cały weekend na jakieś kościelne zamieszki. Poza tym nie ma nikogo.

Danny uważała, że żaden rozsądny dorosły nie odważyłby się zostawić tego chłopaka samego na cały weekend, niezależnie od tego, jak poważnie traktowałby swoją wiarę.

– Bardzo ważne, żeby cała ta sprawa pozostała w absolutnej tajemnicy.

– Wiem, wiem. Nie musisz mi znowu o tym pieprzyć. Słuchaj, ja wiem, jak to działa, okej? Nie rozmawiasz z głupim bachorem. Jestem Poszukiwaczem na stażu.

– Czym proszę?

– Tak mi powiedział Fara – oznajmił Yokai i dumnie zadarł podbródek. – A Enigma nadała mi imię i w ogóle. Jesteśmy współpracownikami. Jak myślisz, kto wyciągnął dane Fara z systemu Interpolu? Ten facet. – Kciukami wskazał na swoją pierś.

– O tym już wiem. I szczerze mówiąc, z trudem przychodzi mi w to uwierzyć.

Danny udało się odkopać krzesło spod hałdy koszulek. Przysunęła je bliżej Yokaiego i zajęła miejsce obok chłopaka przed komputerem.

– Musisz to zrobić jeszcze raz – poprosiła.

– No tak, mówiłaś już przez telefon.

– Możesz odmówić, jeśli chcesz. – O tym też już wspominała.

– Niby czemu miałbym odmówić?

– Bo proszę cię o ewidentne złamanie prawa. Uważam, że możesz się na to nie zgodzić. Powinieneś wiedzieć, że jeśli cię złapią, nikt nie będzie świecił za ciebie oczami. Sam będziesz musiał sobie poradzić.

– Żaden problem. Faro to mój kumpel, nie mówił ci? On pakuje się w kłopoty, a ja go z nich wyciągam. Jesteśmy jak tych dwóch z tamtego filmu... Zabójcza broń. On odpiardala, a ja go uspokajam. Rozumiesz.

Na usta Danny wypełził jeden z jej półuśmieszków.

– Faro mówił, że możesz na dwadzieścia cztery godziny usunąć go z listy poszukiwanych przez Interpol listem gończym.

– Zgadza się. To banalnie proste, ale wiesz co? Tak sobie myślałem...

– Nie żartuj.

– Jak go wyciągnę z tego systemu, to oni go tam zaraz wpakują z powrotem. I znowu będziecie musieli mnie o to prosić, i znowu, i znowu... Trochę strata czasu.

– Czyli odmawiasz? – zapytała Danny. Nie spodziewała się, że poczuje aż takie rozczarowanie.

– Nie, no co ty! Mówię tylko, że można zrobić to lepiej. Poprzednio na to nie wpadłem.

– Co masz na myśli?

– Nie mogę zupełnie usunąć jego danych z systemu Interpolu, ale mogę tak zmienić plik, żeby figurował na liście jako osoba już złapana. Wiem, że lepiej byłoby usunąć go na stałe, ale to chyba i tak pomoże trochę Farowi.

Danny rozważyła propozycję. Wydawała się bardzo atrakcyjna, aż trudno jej było uwierzyć, że chłopak sam na to wpadł. Może jednak miał w głowie coś poza burzą hormonów.

– Jesteś pewien, że potrafisz to zrobić?

– Pewka! Rozgość się, złotko, i patrz, jak pracuje geniusz.

– No dobra, rób swoje. Ale nigdy więcej nie waż się nazywać mnie „złotkiem”, zwłaszcza jeśli nie masz na sobie spodni.

Yokai uniósł wyprostowany kciuk, jak pilot przed startem.

– To chwilę potrwa – powiedział. Złapał parę monstrualnie wielkich słuchawek, wcisnął sobie na głowę i z powrotem włączył muzykę. – Możesz tu poczekać. Włącz sobie telewizor, jak chcesz, albo poszukaj jakiejś szamy w kuchni. Nie jesteś głodna? Cholera, ja bym coś zjadł. O, mam zajebistą ochotę na pizzę. Mogłabyś zamówić? Dzięki. Tylko bez anchois! I z dodatkowym kurczakiem.

Jego dłonie zatańczyły na klawiaturze, a palcem wskazującym maltretował klawisz myszki, jakby próbował wystukać Biblię alfabetem Morse'a. Danny przez jakiś czas przyglądała się, jak chłopak porusza się między kilkoma ekranami, wpisuje kody, łamie zabezpieczenia i bez najmniejszego problemu włamuje się do najbardziej zaawansowanych systemów bezpieczeństwa na świecie. Patroszył je precyzyjnie jak

zegarmistrz, który bez najmniejszej szkody wyciąga z czasomierza skomplikowany mechanizm. Przez cały czas kiwał głową w rytm muzyki grającej w słuchawkach i bez cienia zażenowania zawodził fałszywie refreny ulubionych piosenek. Sprawiał wrażenie, jakby zupełnie zapomniał o obecności drugiej osoby w pokoju.

Fascynujące widowisko. Yokai wywiązał się z obietnicy, jakby nie wymagało to od niego najmniejszego wysiłku. Danny musiała przyznać, że chłopak jest niezły.

A nawet całkiem dobry.

1. W trudnej sytuacji pamiętaj o zachowaniu równowagi. [↵](#)
2. William Blake, „Zaślubiny Nieba i Piekła” w: *Wiersze i poematy*, oprac. Krzysztof Puławski, tłum Tomasz Basiuk, „Świat Literacki”, Izabelin 1997. [↵](#)
3. Hi 40,15-22, cytata za: Pismo Święte w przekładzie Nowego Świata. [↵](#)

NEKROPOLIA

Cienie stopniowo wydłużały się, w miarę jak słońce zachodziło, a nasza łajba brnęła przez błotniste wody rzeki. Wkrótce moim oczom ukazały się, niczym fatamorgana, odległe sylwetki dziwacznych budynków przypominających kolczaste krzewy. Modibo wskazał zabudowania i powiedział:

– Kolodugu.

Dotarliśmy do Miasta Umarłych.

Łódka przybiła do gliniastej plaży. Słońce już zaszło, ale udało nam się wykorzystać resztki dziennego światła. Przyplnięcie łodzią na cmentarz tuż po zmierzchu wydało mi się bardzo na miejscu. Jestem pewien, że Alfa i Omega nie omieszkaliby przytoczyć kilkunastu odpowiednich cytatów, gdyby byli tam z nami.

Ledwie postawiliśmy stopy na lądzie, Modibo zawrócił łódź i zostawił nas na pastwę losu. Miasto Umarłych widniało przed nami, choć w pewnej odległości. Mieliśmy przed sobą kawał drogi.

Bańka rozdał nam latarki zakupione w Koulikoro, na wypadek gdyby zaskoczyła nas noc, ja zaś czuwałem nad Baterią z Karbali i Sterem Gallieniego.

Wśród głuchoj ciszy zaczęliśmy żmudny marsz ku nekropolii.

Jakieś dwadzieścia–trzydzieści minut szliśmy przez płaską, jałową ziemię, upstrzoną jedynie cherlawymi, powykręcanyimi krzakami wyrastającymi z gleby w kolorze ognia.

W końcu wyrósł przed nami niezbyt wysoki, zaokrąglony gliniany mur. Na pierwszy rzut oka nie potrafiłem ocenić rozmiarów terenu, który otaczał, ale powierzchnia wydała mi się dość spora. Ruszyliśmy wzdłuż ogrodzenia w poszukiwaniu wejścia. Wrota do Kolodugu okazały się zwykłym łukiem – bez bramy, bez krat, niczego, co utrudniałoby dostęp. Nie wiedzieć czemu zaniepokoiło mnie to bardziej, niż gdyby czekała na nas niemożliwa do pokonania fosa czy inne przeszkody.

Z oddali dobiegło nas dziwne wycie. Poza tym nadal panowała absolutna cisza. Kto choć raz był w Afryce, ten wie, że nie może to oznaczać nic dobrego.

Na łuku nad wejściem wyryto jakiś napis.

– Co tu jest napisane? – zapytałem.

– To w języku songhajskim – odparł César. – „To miejsce spoczynku tysiąca królów. Uszanuj ich sen, przybyszu, i ruszaj w dalszą drogę”.

– Wejdziemy na palcach, żeby im nie przeszkadzać – stwierdziła Enigma. Potem zapaliła latarkę i jako pierwsza przekroczyła próg.

Poszliśmy w jej ślady, nie wając się ani jednym słowem zakłócić ciszy. Za murami znajdowało się mnóstwo niewielkich konstrukcji z gliny. Kształtem przypominały obcięte piramidy i sięgały dwóch–trzech metrów wysokości. Tworzyły równe rzędy, z uliczkami i przecznicami jak w miniaturowym miasteczku.

Na grobach nie umieszczono żadnych ozdób ani inskrypcji. Większość składała się z trzech bloków w kształcie trapezu, ułożonych jeden na drugim i malejących wraz z wysokością, niczym w zikkuracie. Z brnatnych glinianych ścian sterczały dziesiątki ostrych kawałków drewna, przez co grobowce zdawały się najeżone kolcami. Niektóre stały tak blisko siebie, że szpikulce niemal się dotykały, uniemożliwiając przejście. Czuję się, jakbym spacerował wśród ogromnych uspionych jeży.

Uliczkami Miasta Umarłych zaczął hulać pierwszy nocny wiatr. Wzbijał tumany kurzu i wywoływał dziwny pogłos. Nie mogłem opędzić się od myśli, że to głosy legionu cesarzy, których majestat obraziliśmy, profanując ich miejsce spoczynku, a sterczące z grobów patyki brałem za kościste palce przebijające się przez gliniane ściany, żeby nas schwytać. Mimo upału poczułem dreszcz.

Miasto zbudowano tuż pod skalistym zboczem niewielkiej góry i to do niej zdawały się prowadzić wszystkie wąskie uliczki. Tam, pod skałą, wzniesiono konstrukcję dużo bardziej okazałą od pozostałych. Przypominała olbrzymi zamek z ubitego piasku. Szeroką fasadę wzmocniały gliniane przypory, które wznosiły się nad mury, tworząc rząd tępo zakończonych blanak. W równych odstępach rozmieszczono bardzo wysokie wieże o stożkowym zwieńczeniu. Całą fasadę pokrywały niewielkie otwory przypominające okienka. Natychmiast skojarzyły mi się z oczami pająka: małymi, złowrogimi, tkwiącymi we łbie jadowitej bestii. Budynek, tak samo jak grobowce, najeżony był niezliczonymi drewnianymi kolcami, które stwarzały wyjątkowo niegościnne wrażenie.

W centralnej baszcie umieszczono prostokątne drzwi. Po obu stronach płonęły dwie niewielkie lampy zrobione ze skorup strusich jaj. Wisiały na ścianie przymocowane zwykłymi sznurkami. Drewniane drzwi pozbawione były jakichkolwiek ozdób, jeśli nie liczyć metalowych guzów.

Brakowało klamki czy kołatki. Zdawało się też, że nikt nie pilnuje wejścia, ale przecież ktoś musiał zapalić lampy...

César wskazał nagle coś, co przeoczyłem. W drzwiach umieszczono otwór sprawiający wrażenie zamka. Kształtem przypominał koło zębate.

– Chyba będzie nam potrzebny klucz – stwierdził César.

– A czy to kiedykolwiek powstrzymało Kawalerów Poszukiwaczy? – odparłem.

Wiedziony nagłym przyływem weny, wyciągnąłem Ster Gallieniego i wetknąłem w otwór. Pasował idealnie. Zakręciłem Sterem i za drzwiami coś się poruszyło, jak dobrze naoliwiony skobel. Drzwi ustąpiły i otworzyły nam drogę.

– Bardzo sprytnie, Faro – pochwaliła mnie Hydra.

– Nie takie rzeczy już robił... – mruknął Bańka.

Poszukiwacz zrobił krok do przodu i wszedł do wnętrza tajemniczego budynku.

Podążyliśmy za nim.

Znaleźliśmy się w obszernej sali w całości zbudowanej z gliny, gładkiej i nieskazitelnej jak wnętrze otoczaka. Pod ścianami ciągnęły się postumenty zastawione płonącymi świecami, a w powietrzu unosiła się dusząca woń kadzidła.

W głębi pomieszczenia, za naszymi plecami, ktoś siedział na podłodze. Kimkolwiek była ta postać, nie sprawiała wrażenia, że w ogóle nas zauważyła. Wymieniłem pytające

spojrzenia z towarzyszami, po czym ostrożnie zbliżyliśmy się do jedynej żywej duszy w tym miejscu.

Człowiek nie poruszył się ani o włos, nawet kiedy podeszliśmy tak blisko, że musiał czuć na karku nasz oddech. Dopiero wtedy zwrócił głowę w naszą stronę, żeby sprawdzić kto zacz.

Był to mężczyzna w bardzo podeszłym wieku, o skórze czarnej i pomarszczonej jak suszona śliwka. Kępki siwych włosów porastały mu policzki, przypominając raczej pajęczynę niż brodę z prawdziwego zdarzenia. Oczy, otoczone siecią zmarszczek, zasnuwała cienka mleczna powłoka.

Przed nim na glinianym podeście leżało otwarte opasłe tomisko. Trudno przypuszczać, żeby starzec mógł odczytać tekst wykaligrafowany tak drobnym i ozdobnym pismem, bo zaćma chyba skutecznie pozbawiła go wzroku.

Starzec dźwignął się na nogi za pomocą sękatego kija, którego używał jako laski. Miał na sobie jasną, strasznie zabrudzoną galabiję, a na głowie sfatygowany turban. Potoczył po nas wzrokiem, kręcąc przy tym głową jak kret, który wychynał właśnie z nory.

– Kim jesteście? Jak udało wam się wejść do meczetu? – zapytał po francusku.

Ku mojemu zdziwieniu bez trudu go zrozumiałem. Zdawało mi się nawet, że słyszę lekki hiszpański akcent w jego głosie.

– Użyliśmy tego – odparłem i pokazałem mu Ster Gallieniego.

Starzec wyrwał mi go z rąk. Najpierw zaczął obmacywać Ster drżącymi palcami, a potem podsunął go sobie prawie pod sam nos. W końcu wziął go do ust i ugryzł jednym z niewielu zębów, które uchowały się jeszcze w jego dziąsłach.

– Złoto – stwierdził i oddał mi artefakt. – To złoty Ster Dżaudara Paszy. Skarb Armów. Bogu niech będą dzięki, że mogłem dostąpić zaszczytu ujrzenia tego na własne oczy.

Można by dyskutować, czy ten nieborak w ogóle mógł zobaczyć coś na własne oczy. W jakiegokolwiek boga wierzył, najwyraźniej nie należał on do najmiłościwszych.

César nagle zaczął mówić do starca w niezrozumiałym dla nas języku. W miarę jak mężczyzna go słuchał, jego twarz przybierała coraz bardziej nieprzyjemny wyraz.

– Co ja słyszę? Język dawnych cesarzy? – Starzec zamachał laską przed twarzą Cesara, jakby beształ nieposłusznego urwisa. – W tych murach nie ma miejsca dla języka Songhajów! Jak śmiesz przychodzić tu ze złotym Sterem i przemawiać do mnie językiem pokonanych królów? Idź porozmawiać ze zmarłymi, zjawo, bo tylko oni będą chcieli cię zrozumieć.

Słowa starca doprowadziły Cesara do furii.

– Kogo nazywasz „pokonanym”, ty odrażające ścierwo? – wysyczał przez zęby. – Więcej szacunku dla tych, czyich grobowców strzeżesz!

Przerażony starzec cofnął się o krok. Podeszedłem do Cesara, żeby go nieco uspokoić, bo bałem się, że lada chwila rzuci się na tamtego.

– Spokojnie, Cesarze. Nie chcemy się tu z nikim bić.

Na dźwięk hiszpańskiego oczy starca rozblęły.

– Ach, język konkwistadorów! Język pierwszych Armów. – Podeszedł do mnie niepewnym krokiem i zaczął obmacywać moją twarz. Dotyk jego suchych jak pergamin palców budził we mnie odrazę, jakby po policzkach łążyły mi robaki. – Niestety, nie

rozumiem już słów, ale mój lud nigdy nie zapomni tego brzmienia. Lud pamięta. Witajcie, przybysze, witajcie. Chodźcie za mną, a wskażę wam, gdzie znaleźć to, czego szukacie.

Starzec pokuśtykał o lasce i zniknął w małym bocznym wyjściu. Ruszyliśmy za nim, zaintrygowani jego słowami.

Drzwi prowadziły do niewielkiego pomieszczenia, na którego środku płonął ogień. Z metalowego stojaka nad płomieniami zwisał metalowy imbryk. Wydobywała się z niego silna woń ziół. Podłogę zaścielały różnokolorowe tkaniny.

Starzec wręczył każdemu z nas po małej glinianej miseczce, usiadł przed ogniem i gestem nakazał nam zrobić to samo. Otoczyliśmy kręgiem palenisko.

– Wypijecie napar z *dableni*. Częstujcie się, przybysze. Grzeje się na ogniu. – Jego zaproszenie brzmiało trochę jak rozkaz. Zaczęliśmy rozlewać do miseczek zawartość czajnika – mętny, czerwonawy płyn. – Jestem Mussa, imam tego meczetu. Wiem, po co tu przybyliście.

– Skąd możesz to wiedzieć? – zapytał Bańka.

– Bo macie ze sobą Ster i znacie język zdobywcy, wielkiego Dżaudara Paszy. To on przywiódł do tych ziem nas, Armów.

– Jesteś Arma? – spytałem.

– Tak. Moi przodkowie walczyli u boku Dżaudara Paszy w Tondibi, gdzie udało się pokonać cesarza Songhaju i zmasakrować jego armię. Przybyliśmy aż zza Sahelu, z królestwa Granady, tak jak wielki architekt Es-Saheli, który położył fundamenty pod to miasto. Teraz to mój ród strzeże go tutaj wśród grobowców dawnych królów. Dżaudar Pasza osobiście powierzył nam tę misję.

– Chcesz powiedzieć, że jest tutaj? – zapytałem. – Łącuch Proroka jest tutaj?

Mussa pokręcił głową. Wyglądał na zirytowanego.

– Nie, nie... To ty nic nie wiesz? Łącuch Proroka! Dżaudar Pasza go odnalazł, ale nie ośmielił się po niego udać. Czy Armowie są godni strzec takiego wspaniałego skarbu? Nie, głupcze! Nikt nie jest. Powinieneś o tym wiedzieć.

– Dlaczego Dżaudar Pasza nie mógł zabrać ze sobą Łącucha?

Twarz starca spochmurniała.

– Ponieważ strzegą go Nummowie wraz ze swoim straszliwym demonem Zugu. Pierwsi władcy Mali, pogańscy głupcy, zawarli pakt z siłami nieczystymi, żeby nikt nie mógł zabrać Łącucha z tych ziem.

Chciałem zadać imamowi więcej pytań o sektę i jej demony, ale Bańka wszedł mi w słowo:

– Co to jest? Czym jest ten przeklęty Łącuch? W czym tkwi sekret tego skarbu?

– Zielony Prorok wręczył go Mojżeszowi. To dar od Boga. – Imam złożył ręce jak do modlitwy i skłonił się z namaszczeniem, jakby mówił o największej świętości.

– Zielony Prorok?

– Khidr, Przenajświętszy Święty. Ten, którego Bóg nazwał swoim przyjacielem. Anioł nieskończonej mądrości. Niech Bóg wybaczy mi, że wymówiłem jego imię. – Starzec utkwił niewidzący wzrok w oddali, a na jego twarzy odmalował się wyraz wielkiej pobożności. – Sługa nad Sługami, Władca Nieprzemijalnej Oazy... To tam znajduje się Łącuch Proroka.

Starzec dalej dywagował w podobnym klimacie. Zaczęło do mnie docierać, że i on nie ma bladego pojęcia o naturze skarbu poszukiwanego przez Dżaudara Paszę.

– Odpowiedz mi na jedno pytanie, Musso – poprosiłem. – Mówiłeś o skarbie, który się tu znajduje. Jeśli nie ma to nic wspólnego z Łańcuchem Proroka, to co miałeś na myśli?

Mężczyzna spojrział na mnie przebiegle.

– A właśnie, że ma wiele wspólnego, przybyszu, bardzo wiele wspólnego... Skarb Armów składał się z trzech złotych elementów: Steru, Czaszki i Cegły. Wszystkich trzech potrzeba, by wejść do Nieprzemijalnej Oazy. Dżaudar Pasza dobrze o tym wiedział. Zabrał ze sobą Ster, ale dwa pozostałe ukrył w tym meczecie. Tylko ten, kto zbierze je wszystkie, będzie godny odnaleźć Łańcuch Proroka. Jesteście tu, bo uważacie się za godnych, prawda? – Starzec wskazał na mnie kościstym paluchem. – W takim razie musicie to udowodnić. Tak. Tak mi się właśnie wydaje. – Skrzywił wargi w paskudnym uśmiechu. – Jeśli tego nie zrobicie, będziecie musieli ponieść konsekwencje.

– To się jeszcze zobaczy – stwierdził Bańka. – Gdzie jest ta cała Nieprzemijalna Oaza?

– Dowiesz się... jeśli okażesz się godny. W przeciwnym razie zginiesz.

– Ja na twoim miejscu uważałbym z groźbami, staruszku – odparł Poszukiwacz.

– To nie ja ci grożę. Nie dla głupców Scheda Zielonego Proroka. Zginiesz przygnieciony ciężarem własnej ignorancji, jeśli nie uda ci się udowodnić swojej wartości.

– Ta cała rozmowa prowadzi donikąd – przerwała Hydra i wstała. – Po co tracimy czas na rozmowy z tym biednym wariatem? Bierzcie to, po co przyszliście, i zmywajmy się stąd.

– Śpieszy ci się? – zapytał naburmuszony Bańka.

– Po okolicy kręcą się uzbrojeni ludzie, może nawet w tej chwili szykują się do ataku na cmentarz. Więc tak, trochę mi się śpieszy, i wam też powinno zależeć na czasie.

Wyglądali, jakby lada chwila mieli skoczyć sobie do oczu. Coś wisiało w powietrzu, coś w tym mauzoleum wywoływało napięcie i irytację.

Zwróciłem się do imama:

– Pokaż nam skarb Armów, Musso. Jak słusznie powiedziałeś, to po niego tu przyszliśmy.

– Tak właśnie zrobię. – Starzec wsparł się na lasce i wstał. – Macie Złotą Rybę?

Wyciągnąłem ku niemu Baterię z Karbali. Nie wyjmując mi jej z rąk, obmacał opuszkami palców.

– Tak... to ona – mruczał. – Chodź ze mną, przybyszu. Do ciebie należy Złota Ryba. Pozostali nie mają prawa obcować ze skarbem.

Wstałem, żeby ruszyć za imamem. Bańka złapał mnie za ramię.

– Chyba nie zamierzasz nigdzie iść z tym oszołomem?

– Jest ślepy jak kret i ledwie trzyma się na nogach, co mi może zrobić? – spytałem. – Zaczekajcie tutaj. Jeśli będę potrzebował pomocy, to was zawołam.

Bańka obrzucił wzrokiem starca, a potem mnie. Wyglądał na zaniepokojonego.

– Uważaj na siebie, Faro. Nie podoba mi się ta sytuacja.

Obiecałem, że będę ostrożny. Imam odchrząknął niecierpliwie. Ostatni raz spojrziałem na przyjaciół i ruszyłem za nim.

Nawet nie przypuszczałem, że najgorsze dopiero przed nami.

WŁÓCZNIE

Wszedłem za Mussą do wnętrza meczetu. Starzec ciągle coś mówił, ale nie rozumiałem jego słów. Pomyślałem, że któryś z moich bardziej biegłych w językach obcych towarzyszy lepiej sprawdziliby się w tej sytuacji. Cóż, przypadek sprawił, że to ja zostałem uznany za właściciela Złotej Ryby.

Starzec gadał i gadał, aż w końcu mu przerwałem:

– Przykro mi, Musso, ale musisz mówić powoli i po francusku. Nie rozumiem cię.

Mężczyznę najwyraźniej zirytowała moja uwaga.

– Mówiłem w pradawnym języku, przybyszu. To święte słowa, nie musisz ich rozumieć.

A teraz powściągnij swoje komentarze do czasu, kiedy będę chciał ich wysłuchać.

Nieźle mi się dostało. Postanowiłem zamknąć gębę i iść dalej w milczeniu.

Mussa wyszedł z meczetu przez malutkie tylne drzwi. Podążyłem za nim na zewnętrzny dziedziniec wychodzący na zbocze góry, pod którą zbudowano Kolodugu. Wokół nas zapadła ciemna noc i nie było widać praktycznie nic poza samotną pochodnię płonąca przy otworze wykutym w skalnej ścianie. Imam wziął pochodnię i wszedł przez dziurę.

Dotarłem za nim do wejścia do groty znajdującej się pod poziomem gruntu. Miałem pewne opory przed podążaniem dalej, bo od czasu wydarzeń w Jaskiniach Heraklesa został mi uraz do zapuszczania się w mroczne podziemia. Wracają nieprzyjemne wspomnienia, zaczyna brakować mi tlenu, a serce wali jak młotem.

Mussa zauważył, że się zatrzymałem.

– Idziesz, przybyszu?

– Tak, tak, zaraz cię dogonię – odpowiedziałem z wejścia do groty, próbując ukryć złe samopoczucie.

Wziąłem kilka głębokich wdechów, policzyłem do dziesięciu i ruszyłem przed siebie. Niemal czułem, jak kamienne ściany przybliżają się i próbują mnie zmiażdżyć.

Na odgłos moich kroków Mussa również podjął wędrówkę.

Przeszliśmy spory kawałek. Teren stopniowo się obniżał i bardzo wiele wysiłku kosztowało mnie zignorowanie uczucia klaustrofobii.

– Kto wydrążył tę jaskinię? – zapytałem.

– Kazałem ci milczeć, przybyszu – upomniął mnie starzec. Mimo to odpowiedział na moje pytanie: – Armowie. Dżaudar Pasza osobiście nadzorował prace wielkiego architekta z Hiszpanii, swojego przyjaciela z młodości. Był on też zdolnym inżynierem, a nazywał się Hixam As-Dakkara. Po jego śmierci Dżaudar Pasza zaszczylił go pochówkiem w Kolodugu, razem z cesarzami.

Nigdy wcześniej nie słyszałem o tym architekcie. Pomyślałem, że jego rzekomo wielki talent został chyba zmarnowany, skoro powierzono mu wyłącznie wykucie groty pod niewielką górą.

– Dlaczego Dżaudar Pasza wybrał to miejsce na ukrycie skarbu Armów?

– Bo to święta ziemia. Wiedzieli o tym Songhajowie, a przed nimi Bambarowie, którzy wzniesli tu nekropolię za panowania wielkiego cesarza Mansy Musy.

– Myślałem, że dopiero wybudowanie panteonu uświęciło tę ziemię.

– Nie, to miejsce było uważane za święte dużo wcześniej. To tu mieszkał wąż Bida, pierwotny demon czyniący zło na świecie. Przed wiekami poddany egipskich faraonów, Igo Khasse Dingka, przybył tu z boskiego namaszczenia, stanął do walki z Bidą i go zabił. W rezultacie w tym miejscu już nigdy nic nie wyrosło. W nagrodę Bóg uczynił Dingkę ojcem ludu Soninke, który wkrótce stanął na czele pierwszego imperium Mali. Nazwano je Wagadu, ale Arabowie określali państwo nazwą pochodzącą od tytułu jego władców: imperium Ghany. To wszystko działo się sto lat po śmierci Mahometa i siedemset lat przed przejęciem władzy przez Songhajów.

Szybko przeliczyłem daty w pamięci i wyszło mi, że starzec mówi o wydarzeniach z ósmego wieku naszej ery. To mniej więcej wtedy królowie wizygocy z Toledo ukryli Stół Salomona w Jaskiniach Heraklesa, miejscu dość podobnym do tego, w którym obecnie się znajdowaliśmy. Poczuję dziwne *déjà vu*.

Grota kończyła się wąskim wyjściem. Po drugiej stronie znalazłem się wewnątrz obszernej sali o ścianach pokrytych gliną niczym stiukiem. Mussa pochodnią pozapalał poustawiane w rogach znicze z garnków pełnych oliwy. Rozchybotane pomarańczowe światło rozjaśniło mroki jaskini.

Pomieszczenie miało kształt zbliżony do okręgu, a w jednej ze ścian wykuto drzwi zwieńczone łukiem. Zamontowano w nich grube metalowe pręty, które broniły przejścia. Nieco dalej zauważyłem trzy duże nisze, niemal tak wysokie jak ja. W każdej z nich na drewnianym postumencie leżała włócznia.

– Co to za miejsce? – zapytałem.

Starzec usunął się w ciemny kąt.

– Jedna z nich to dar od Boga – powiedział. – Wybierz dobrze.

– Co to znaczy?

– Jedna z nich to dar od Boga. Wybierz dobrze – powtórzył Mussa.

Uśmiechnąłem się z przekąsem. Z doświadczenia wiedziałem, na czym polegają takie próby: musiałem wybrać jedną włócznię. Jeśli wybiorę dobrze, będę mógł iść dalej, w przeciwnym razie... Na pewno nie chciałbym poznać konsekwencji nieprawidłowej decyzji.

– Rozumiem, że niczego więcej się od ciebie nie dowiem, prawda? – zapytałem imama.

– Jedna z nich to dar od Boga. Wybierz dobrze – powtórzył uparcie.

Starzec bardzo poważnie traktował funkcję lakonicznego strażnika skarbu. Profesjonalista w każdym calu.

Ja zaś uważałem się za eksperta w swojej dziedzinie.

Uważnie przyjrzałem się broni leżącej w niszach. Były to trzy niemal identyczne włócznie: długie, o grotach w kształcie serca i z drzewcami pokrytymi jakimś grubym materiałem. Ani w niszach, ani nigdzie indziej w pomieszczeniu nie umieszczono żadnych napisów czy symboli.

Poczuję frustrację. Odniosłem wrażenie, że projektant tej sali chciał zastawić na mnie

pułapkę. Wypadałoby zostawić jakąś odpowiedź, żeby decyzji nie trzeba było podejmować w sposób zupełnie losowy. Ale nic nawet nie przypominało wskazówki, a wiedziałem, że ze starca nie wyciągnę nic poza dwoma wykutymi na pamięć zdaniami. To nie fair.

Długo wpatrywałem się w broń, czując narastającą irytację. Wyglądało na to, że pozostało mi tylko zaufać swojej szczęśliwej gwiazdce. Może w Afryce to tak ukrywa się skarby.

Podszedłem do pierwszej włóczni. Zawahałem się. Potem do drugiej. Znow się zawahałem. To samo przy trzeciej... W końcu, jak gracz, który stawia wszystkie żetony na czarny albo czerwony, wróciłem do pierwszej włóczni i wyciągnąłem ją z niszy. Była dość ciężka. Kiedy wziąłem ją do rąk, drewniane podium zaczęło się podnosić, a zza ściany dobiegł dźwięk jakby sprężyny. Doświadczenie nauczyło mnie, że to nigdy nie zwiastuje niczego dobrego.

Od strony wejścia do groty dobiegł metaliczny zgrzyt. Odwróciłem się w samą porę, żeby zobaczyć, jak drzwi, przez które niedawno przeszliśmy, zasłoniły się pięcioma żelaznymi prętami.

Teraz nie mieliśmy jak wydostać się z sali.

Mussa skrzywił usta w grymasie przypominającym uśmiech.

– Zły wybór, przybyszu.

Oblał mnie zimny pot.

– Nie, nie, zaczekaj – zaprotestowałem. – Co to ma znaczyć?

– Wyjścia zostały zamknięte. Nie możemy ani wrócić, ani iść dalej.

Zabrakło mi tchu w płucach. Modliłem się, żeby moja pomyłka nie oznaczała pogrzebania żywcem z tym niesympatycznym staruchem jako jedynym towarzyszem. Umysł nie dopuszczał możliwości tak brutalnej i powolnej śmierci.

– Aha, już rozumiem, co masz na myśli: właściwa włócznia otwiera drogę, a niewłaściwa ją zamyka... Ale zostały jeszcze dwie włócznie! Jedna z nich musi odblokować drugie drzwi. Nadal mam szansę!

Starzec przymknął oczy, jakby wielce uraziło go to, że nie chciałem zgnić z nim w tej dziurze.

– Tylko jedną, przybyszu – podkreślił. – Jeśli znow się pomylisz, mechanizm otwierający drugie drzwi zablokuje się na zawsze. Trzecia próba nie będzie miała sensu. Nic ci z tego nie przyjdzie.

Poczułem cień ulgi. Bardzo nikły cień, bo przerażająca wizja pogrzebania żywcem pochłaniała wszystkie moje myśli. Los dał mi jednak jeszcze jedną szansę. Ostatnią. Musiałem się skupić i myśleć rozsądnie.

– Pomóż mi. Daj jakąś wskazówkę, cokolwiek... – błagałem. – Chyba ty też nie chcesz tu utknąć, prawda?

– Jeśli taka jest wola Boga – odparł starzec z paskudnym uśmiechem.

Oddychanie przychodziło mi z trudem. Nieraz prześladowały mnie koszmary o pochowaniu żywcem i nie chciałem wcielać ich w rzeczywistość. Korciło mnie, żeby złapać starucha za kark i zmusić do wskazania właściwej włóczni, ale rozumiałem, że skoro gotów był swój upór przyplacić życiem, to żadnymi groźbami nic nie wskóram.

Spoczywała na mnie cała odpowiedzialność za to, żeby ta sala nie stała się miejscem naszego wiecznego spoczynku.

Na drżących nogach podszedłem do włóczni. Były identyczne. Nie miało sensu czekać na olśnienie ani żaden inny cud, przedłużyć w nieskończoność tego zakładu o wszystko.

Stałem przed drugą włócznią i złapałem za drzewce pokryte szorstką skórą, jak u krokodyla.

Nie odważyłem się jej podnieść.

Zamarłem z dłonią zaciśniętą na łuskowatej rękojeści.

„Łuskowata rękojeść”.

Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że drzewce pierwszej włóczni pokrywały nie łuski, a skóra ssaka. Wyszedłem z niszy i zbadałem tę włócznię: miałem rację. Potem sprawdziłem trzecią – i jej rękojeść pokrywała skóra gada, a po bliższej inspekcji stwierdziłem, że węża.

Poczułem podniecenie. Odkryłem, czym różniły się trzy włócznie: drzewce jednej pokryto zwykłą skórą, drugiej – skórą krokodyla, a trzeciej – skórą węża. To musiała być wskazówka!

Przypomniałem sobie słowa imama: „Jedna z nich to dar od Boga”. Boski dar. Kolejna podpowiedź. Niech to szlag... Jak mogłem być taki głupi? Modliłem się o jakiś znak, a nie zauważyłem tych, które miałem przed nosem!

Tryumfalnym krokiem podszedłem do włóczni w drugiej niszy, tej o drzewcu pokrytym łuskami węża. Chwyciłem obiema rękami i podniosłem. Drewniany postument znowu się podniósł, ale tym razem się nie bałem, przekonany o słuszności wyboru.

Zniknęły żelazne kraty blokujące drzwi. Droga była wolna. Uniosłem włócznię w geście zwycięzcy i spojrzałem na starca.

– Dobry wybór, przybyszu – rzucił lakonicznie. Sprawiał wrażenie zawiedzionego. – A teraz w drogę.

Pokuśtykał do otwartego przejścia, a ja podążyłem za nim.

Jeśli nauczyłem się czegoś od mojego ojca, to tego, żeby nigdy nie lekceważyć potęgi mitu. Zapomniałem o tej przestrodze tylko na chwilę, a mogłem przypłacić to życiem, gdybym utknął na zawsze w jaskini pod Miastem Umarłych.

Kiedy dostrzegłem na drzewcu włóczni łuskowatą skórę węża, w mojej głowie pojawiło się nagle wspomnienie, podrzucone tam chyba przez anioła stróża. Była to legenda opowiedziana przez Cesara w Massaboro, nad brzegiem Nigru. Mit o rybaku uzbrojonym we włócznię, z którą mógł stawić czoło najgroźniejszym demonom. Broń miała być boskim darem, prezentem od królowej wszech wód, która zrobiła włócznię ze skóry i kości potwora zwanego Zirbinem. Władał on zastępami węży z rzeki Niger. Logicznie można było więc i Zirbina uznać za węża.

Włócznia pokryta skórą węża.

Ktokolwiek przygotował tę próbę, musiał mieć na myśli tamtą legendę i oczekiwać, że osoba godna skarbu Armów również będzie ją znać. Dotarło do mnie z całą mocą, że jeśli chciałem poznać tajemnice Mali, musiałem nauczyć się myśleć jak Malińczyk. Kiedy wydostałem się z pomieszczenia, w którym o mało co nie zostałem na całe życie,

obiecałem sobie nigdy nie zapomnieć tej nauki.

Byłem szczęśliwy, że wywinałem się śmierci, ale jednocześnie czułem lekki zawód, że Mussa nie okazał wcale podziwu dla mojego sprytu. Każdy lubi zostać doceniony za dobrze wykonane zadanie.

Imam jednak nie był skory do pochwał. Po wyjściu z sali włóczni znów pogrążył się w milczeniu, ja również bez słowa szedłem kilka kroków za nim.

Spodziewałem się, że trafimy prosto do miejsca ukrycia skarbu, ale nie miałem racji. Starzec przyprowadził mnie przed kolejną grotę, równie ciemną i ponurą jak poprzednia. Mroki rozjaśniała jedynie jego pochodnia, ledwie oświetlająca drogę przed nami.

Coś szeleściło mi pod nogami, jakbym kroczył po dywanie suchych liści albo papierków. Spojrzałem na ziemię i zobaczyłem długie pasy przezroczystej, żółtawej materii.

Im dalej szliśmy, tym więcej pojawiało się tych dziwnych skrawków – miejscami pokrywały całe podłoże. Jakby ktoś rozrzucił w jaskini całą masę zwojów papirusu.

Jaskinia nagle się rozszerzyła i zauważyłem, że dotarliśmy do kolejnej sali, czy raczej wykutej w skale groty. W świetle pochodni Mussy nie dostrzegałem ścian rozległego pomieszczenia.

Imam podpalił olej w dwóch wielkich kotłach, podobnych do tych w sali włóczni. W świetle dostrzegłem niewielki zbiornik wody na środku jaskini. Przyjrzałem mu się bliżej i uznałem, że nie powstał naturalnie, lecz jest dziełem ludzkich rąk – do wody prowadziły schody, a brzegi były proste i gładkie.

Najwyraźniej znalazłem się nad basenem – dużym podziemnym basenem zbudowanym przed pięcioma wiekami, ewidentnie w celach innych niż rekreacyjne.

Zbiornik zagradzał nam drogę. Wypełniała go stojąca, mętna woda. Na powierzchni kwitły rachityczne rośliny, upodabniające go do bagna. Po drugiej stronie basenu, kilkanaście metrów od nas, grotka zdawała się kończyć. Dostrzegałem jakieś cienie na drugim brzegu, ale w słabym świetle nie mogłem ich zidentyfikować. Dałbym jednak głowę, że coś delikatnie błyszczało.

Miałem nadzieję, że to właśnie skarb Armów.

Mussa się zatrzymał. Spodziewałem się, co teraz nastąpi.

– No dobrze, staruszkule – powiedziałem. – Wyrecytuj mi następną enigmatyczną zagadkę i miejmy to już z głowy.

– Tu nie ma żadnej zagadki, przybyszu – odparł imam. – Znajdujesz się w komnacie skarbu. Po drugiej stronie wody czeka na ciebie dziedzictwo Armów.

– To wszystko? Żadnych pułapek, tajemniczych mechanizmów?

– Żadnych. Musisz tylko przeprowić się na drugi brzeg.

Obrzuciłem starca podejrzliwym wzrokiem. On jednak tylko usiadł po turecku na ziemi i wlepił niewidzący wzrok w przestrzeń.

Oddaliłem się od niego powoli, co kilka kroków zerkając przez ramię. Dotarłem na brzeg basenu i zapatrzyłem się w głąbię. Nie uśmiechała mi się myśl o wejściu do cuchnącej, zastałej, pokrytej glonami wody, ale poza tym zbiornik nie sprawiał wrażenia niebezpiecznego.

Postawiłem stopę na pierwszym stopniu prowadzącym do basenu. Potem na kolejnym.

Na ostatnim postanowiłem zdjąć buty, żeby móc łatwiej płynąć.

Zza pleców dobiegł mnie głos imama.

– No dalej, przybyszu, śmiało. Nie bój się wody.

Nie spodobał mi się jego ton. Brzmiał jak głos kogoś, kto częstuje cię orzeszkami, a kiedy otwierasz puszkę, ze środka wyskakuje długaśna sprężyna w kształcie...

– O nie. Cholera.

Na brzegu zbiornika leżało więcej żółtawych pasów przypominających zeschnięte liście. Wziąłem jeden z nich do ręki i uważnie mu się przyjrzałem. Z bliska zauważyłem, że pokrywa go warstwa łusek. Wrzasnąłem z obrzydzeniem i cisnąłem pas w kąt.

Skóra zrzucana przez węża! Dopiero teraz dotarła do mnie okropna świadomość, że szedłem po dziesiątkach skrawków gadziej wylinki.

Woda się poruszyła. Na powierzchni pojawił się lśniący, lepki grzbiet, a potem wynurzył się łeb wielkości mojej pięści. Natychmiast zrozumiałem, że ta przeklęta jaskinia to po prostu wielkie terrarium.

Myślałem tylko o tym, żeby uciec stamtąd co sił w nogach. Do diabła z Armami i całym ich skarbem. Byłem ostatnią osobą, która nadawała się do przepłynięcia basenu pełnego węży.

Jednak paskudny stwór, który wynurzył łeb na powierzchnię, nie zamierzał puścić mnie wolno. Z przerażeniem zobaczyłem, jak straszliwa rozdziawiona paszcza z białawym, umięśnionym podniebieniem mknie niczym pocisk w kierunku mojej twarzy. Wrzasnąłem ile sił w płucach i zasłoniłem głowę rękami. Poczulem zęby na nadgarstku. Łuskowaty ogon wystrzelił z wody i owinał się wokół moich kostek. Potknąłem się i runąłem do basenu.

Wpadłem w sam środek swojego największego lęku. Mało powiedziane – nawet w najgorszych koszmarach nie wyobrażałem sobie spotkania z tak olbrzymim wężem. Cielsko miał grubości mojego ramienia, a łeb – choć ucapiony mojego nadgarstka jak wnyki – przypominał pięść o żółtych oczach. Skórę pokrywały mu czarne plamy przypominające hieroglify, oprócz brzucha w kolorze zgniłego mięsa.

Byłem przerażony, już kiedy Hydra opowiadała mi o pytonie skalnym, ale konfrontacja przerosła moje najgorsze oczekiwania.

Pyton zaczął zachłannie owijać się wokół mojego ciała. Poczulem wstrętny dotyk wilgotnych łusek na skórze nóg, ramion i tułowia. Wąż próbował wciągnąć mnie pod wodę, a ja z całych sił trzymałem się kurczowo brzegu basenu. Zdawało mi się, że z oddali dobiegł mnie szyderczy śmiech starego imama.

Zachłysnąłem się i połknąłem spory haust błotnistej wody. Wrzasnąłem i z przerażeniem zdałem sobie sprawę, że choć co prawda udało mi się wypuścić powietrze z płuc, to już dużo trudniej przychodziło mi nabrać go na nowo. Cielsko gada miażdżyło mi pierś w śmiertelnym uścisku. Mięśnie miał twarde jak skała.

Im bardziej się dusiłem, tym szybciej opuszczały mnie siły. Zaczęło kręcić mi się w głowie, pojawiły się halucynacje – paszcza węża zdawała się rosnąć na moich oczach.

Dłoń ześliznęła mi się z brzegu basenu. Drugą ręką podjąłem ostatnią, desperacką próbę i chwyciłem się czegoś, co przypominało gałąź, ale nic mi z tego nie przyszło. Wąż zanurkował, a ja poszedłem za nim pod wodę. Wypuściłem z płuc resztki powietrza

i zapanowała ciemność.

W ostatnim przeblasku świadomości postanowiłem zdzielić gada tym, co udało mi się złapać, zanim wciągnął mnie pod wodę. Zaklinałem los, żeby udało mi się trafić prosto w łeb, i to właśnie uratowało mi życie.

Wąż rozluźnił uścisk na tyle, że udało mi się wynurzyć głowę na powierzchnię. W miarę jak krew stopniowo wracała mi do mózgu, zauważyłem, że ściskam w ręku włócznię zabraną z postumentu w poprzedniej sali. Przypadkiem udało mi się wbić ostrze prosto w łeb pytona.

Znowu złapałem się brzegu basenu i zdołałem wydostać z wody górną połowę ciała. Wąż nadal oplatał mi nogi, ale teraz był już tylko martwym ciężarem.

Zacisnąłem zęby i zamknąłem wilgotne, łzawiące oczy. Dobyłem włóczni i zacząłem wbijać ją raz po raz w grzbiet pytona. Mieszanka krwi i wody zalała mi całe ciało i bryznęła na twarz. Znowu zsunąłem się do basenu. Wrzasnąłem. Oswobodziłem się z gadzich objęć i zacząłem płynąć na oślep, aż poczułem grunt pod stopami. Wyskoczyłem z wody, choć każdy oddech kosztował mnie wiele wysiłku z powodu boleśnie poobijanych żeber.

Upadłem na kolana i skupiłem się na tym, żeby wypełnić płuca powietrzem. Moim ciałem wstrząsały bolesne dreszcze, rezultat mieszanki zimna, wstrętu i paniki. Po upływie dłuższej chwili odważyłem się spojrzeć za plecy. Zobaczyłem zwłoki węża: cielsko na pół zanurzone w wodzie, z drugą połową wyciągniętą w moją stronę. Gad był tak długi, jak długa jest śmierć przez uduszenie.

Rzuciłem okiem na drugi brzeg. Mussa stał tam i patrzył na mnie z poważnym wyrazem twarzy.

– Przeklęty sukinsynu! – zawołałem. – Powinienem skrócić ci kark! Że też mnie nie uprzedziłeś, stary kutasie!

Wyzwiska odbijały się echem od ścian jaskini. Mussa zaczekał, aż umilknie pogłos, i dopiero wtedy odpowiedział.

– Dotarłeś tam, dokąd chciałeś, przybyszu – rzekł głośno, żebym go usłyszał. – Jesteś godzinien zobaczyć nasz skarb.

Potem usiadł z niezmaconym spokojem i zamknął oczy, jakby zamierzał medytować.

Na szczęście ciągle miałem w kieszeni latarkę, którą Bańka wręczył mi przed wejściem do Kolodugu. Była niewielka, ale jej światło wystarczyło, żeby oświetlić najbliższe otoczenie.

Na końcu jaskini znajdowała się szeroka przestrzeń zwieńczona sklepieniem. Gładkie, kamienne, wilgotne ściany barwy gliny wyginały się w miękkie łuki.

Na pierwszy rzut oka nie zauważyłem niczego niezwykłego. W głębi światło latarki padło jednak na kilka walcowatych przedmiotów z wypolerowanego drewna. Pokrywały je rzeźbione wzory, a wykończone były skórzanymi membranami. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że patrzę na bębny. Naliczyłem ich pięć, a każdy sięgał mi do pasa.

Szybko straciłem zainteresowanie instrumentami. Blask latarki wydobył z ciemności kamienną tablicę wiszącą na ścianie nad bębnami. Przyjrzałem jej się uważnie i zrozumiałem, że to mapa, podobna do tej na frontale ołtarza w kościele w Saint-Béat.

Tak samo jak w przypadku antepedium, mapa przedstawiała Niger. Wokół zarysu rzeki umieszczono dziesiątki przezroczystych kapsuł opisanych arabskimi literami.

Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem Baterię z Karbali. Jeśli ta mapa działała na tej samej zasadzie co frontale w Saint-Béat, wystarczyło wetknąć Baterię w odpowiednie miejsce, żeby moim oczom ukazał się kolejny etap wyprawy.

W rogu mapy znalazłem otwór tej samej średnicy co Bateria. Obok wryto symbol ryby. Problem w tym, że brakowało mi płynu do uruchomienia Baterii. Mogłem co najwyżej napęlić ją wodą, ale nic by mi z tego nie przyszło.

Rozejrzałem się po jaskini w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby spełnić funkcję elektrolitu, ale bezskutecznie. Poczulem frustrację: udało mi się uniknąć pogrzebienia żywcem i wyjść cało z konfrontacji z gigantycznym wężem, a tu nie tylko ani śladu wielkiego skarbu Armów, lecz także żadnej innej nagrody za moje wysiłki. Miałem ochotę obrzucić starego kapłana kolejnym stekiem wyzwisk, choćby po to, żeby sobie ulżyć.

Postanowiłem jednak bliżej przyjrzeć się bębnom. Ktoś musiał mieć powód, żeby je tu umieścić. Znow wróciłem myślą do legendy opowiedzianej przez Cesara – skoro raz na coś mi się przydała, może znajdę w niej kolejną podpowiedź.

Bębny nasunęły mi pewien pomysł. Według mitu o Faranie Botem, heros znad Nigru zawarł pakt z Dongiem, bogiem piorunów. Na jego mocy rybak musiał uprzyjemniać czas bogom grą na magicznych bębnach.

Instrumenty znajdujące się w jaskini nie sprawiały wrażenia czarodziejskich, a ich membrany wyglądały na tak przegniłe, że szczerze wątpiłem, czy uda się z nich wydobyć jakiś dźwięk. Z braku innych pomysłów postanowiłem jednak wypróbować najprostsze rozwiązanie.

Podszedłem do największego bębna i – wykorzystując włócznię w charakterze pałeczki – uderzyłem w niego, jakbym chciał zagrać.

Nie wiem, czego właściwie się spodziewałem, ale jedyne, co udało mi się osiągnąć, to przebić skórzaną membranę jak skrawek starego materiału. W powietrze wzbiła się chmura pyłu i zacząłem gwałtownie kaszleć.

Zdenerwowany wytarłem nos i już miałem wymierzyć kopniaka głupiemu, zbutwialemu ustrojstwu, kiedy nagle zauważyłem w jego wnętrzu jakiś błysk. Skierowałem tam światło latarki i moim oczom ukazał się niewielki prostopadłościan. Wydobyłem go z kryjówki i przyjrzałem się bliżej. Okazał się zwykłą cegłą, ale wykonaną z błyszczącego materiału – możliwe, że ze złota. Na kilku jej ściankach widniały malutkie nacięcia o różnych kształtach – może jakieś napisy? W pierwszej chwili jednak nie rozpoznałem alfabetu.

Złota Cegła... Czy to nie jeden z elementów skarbu Armów?

Uśmiechnąłem się w ciemności. Potem schowałem dobrze Cegłę i podszedłem do następnego bębna. Pięścią przebiłem membranę i w środku znalazłem kolejny błyszczący przedmiot.

Tym razem trafiłem na maskę przypominającą ludzką twarz, choć o bardzo prostych, schematycznych rysach: oczy jako dwie kule z podłużnymi pęknięciami, trójkątny nos i usta w postaci dzioba zakończonego okrągłą dziurą, co nadawało masce lejkowaty kształt. Ten przedmiot również zdawał się wykonany ze złota.

W jedną rękę wziąłem Cegłę, w drugą maskę i napawałem się ich widokiem. Skarb

Armów – nareszcie go zdobyłem. Żłoty Ster, Czaszka i Cegła. Wszystkie trzy elementy znowu razem, po pięciu wiekach. Jeśli w legendzie tkwiło ziarno prawdy, miałem wszystko, co niezbędne, by dotrzeć do Łańcucha Proroka.

Nikt nie może zaprzeczyć, że w mojej krótkiej jak na razie karierze Poszukiwacza odnosiłem dość znaczące sukcesy.

Nie wiedziałem jeszcze tylko, dokąd powinienem udać się dalej. Odpowiedź niewątpliwie umieszczono na kamiennej mapie, ale bez możliwości uruchomienia Baterii z Karbali była ona równie użyteczna, co plan nabazgrany na serwetce.

Poczucie świeżo odniesionego tryumfu dodało mi jednak entuzjazmu i postanowiłem sprawdzić, czy w pozostałych bębnach nie kryje się coś przydatnego. Dwa kolejne okazały się jednak puste, a w trzecim czekała mnie niemiła niespodzianka: gniazdo robaków wijących się po skórzanym bukłaku.

Nie mam pojęcia, ile ich tam było, bo nie potrafiłem zliczyć całej tej masy odnóży, czułków i czerwonych pancerzyków. Owady przypominały karaluchy i może faktycznie nimi były, ale robaki tak monstrualnych rozmiarów można spotkać tylko w ściekach.

Skrzywiłem się z obrzydzeniem. Wetknąłem rękę do bębna i odgarnąłem owady. Na szczęście moja fobia dotyczy tylko węży, nie mam problemu z karaluchami i innymi robalami, chociaż przyznaję, że to żadna przyjemność czuć łaskotanie małych odnóży na palcach i przedramionach.

Wydobyłem bukłak pełen jakiegoś płynu. Kiedy odkręciłem korek, poczułem lekką woń octu. Bóg Dongo jednak zostawił mi prezent.

Użyłem maski jako lejka i wlałem ocet do Baterii z Karbali. Połowa płynu wylądowała na ziemi, ale udało mi się napełnić Baterię na tyle, żeby zadziałała.

Taką przynajmniej miałem nadzieję.

Bez dalszej zwłoki wetknąłem Baterię na miejsce i rezultat spełnił moje oczekiwania. Jedna z kryształowych kapsulek rozbłysła słabym światłem. Umieszczono przy niej napis po arabsku, a ja nie wziąłem ze sobą nic, czym mógłbym przepisać obce znaki. Skupiłem się maksymalnie, żeby wyryć sobie litery w pamięci, a potem ewentualnie je zapisać i pokazać komuś, kto mógłby je rozszyfrować.

W końcu miałem wszystko, czego potrzebowałem.

Czekał mnie jednak ostatni, ale nie najłatwiejszy krok: ponownie przepłynąć basen i stanąć twarzą w twarz z imamem Mussą.

Choć zabiłem już pytona, zbiornik nie wydawał mi się ani trochę mniej groźny. Wolałbym wetknąć głowę do gniazda karaluchów, niż znowu płynąć przez tę cuchnącą wodę.

Postanowiłem działać szybko i bez namysłu. Podeszedłem do brzegu, starannie unikając wzrokiem zmasakrowanych zwłok węża, i zanurzyłem się w wodzie. Dopiero teraz zauważyłem, że sięgała mi ledwie do ramion. Ruszyłem przed siebie tak szybko, jak tylko mogłem, z włócznią w mocno zaciśniętej dłoni, gotów zaatakować wszystko, co choćby otarło się o moją nogę. Chyba nawet nie oddychałem.

Dotarłem na przeciwległy brzeg bez nieprzyjemnych przygód. Wyszedłem z wody i skierowałem się w stronę starego imama, który nadal siedział na ziemi z dłońmi spoczywającymi na kolanach.

– Znalazłeś to, czego szukałeś, przybyszu? – zapytał.

Obrzuciłem go spojrzeniem pełnym nienawiści. Wciąż pamiętałem jego złośliwy, hieni śmiech, kiedy pyton miażdżył mi żebra. W odpowiedzi schyliłem się tylko i palcem wypisałem na ziemi arabskie litery, które zapamiętałem z mapy.

– Zapisałem coś przed twoimi stopami – powiedziałem. – Świecę latarką, widzisz?

– Poczekaj. Spróbuję odczytać.

Starzec uklęknął, oparł dłonie na ziemi i zbliżył twarz do oświetlonego miejsca. Wyglądał, jakby odprawiał modły.

– Moje oczy nie widzą już zbyt wiele, ale jeszcze jestem w stanie przeczytać proste słowo – powiedział. – „Ogol”.

– Co to znaczy?

– Nie wiem.

– Może chodzić o nazwę miasta – wyjaśniłem. – Nic ci to nie mówi?

– Jeśli to miasto, to nigdy o nim nie słyszałem... Chociaż brzmi mi to jak słowo z języka Dogonów. Może to gdzieś w okolicach uskoku Bandiagara.

Starzec wstał. Nie chciał albo nie potrafił wyjaśnić mi nic więcej.

– No dobrze – orzekłem i starłem arabskie znaki stopą. – Wracajmy do meczetu.

– Zaczekaj chwilę, przybyszu. Widziałeś nasz skarb?

– Tak. I na pewno nie dzięki twojej pomocy.

– Nie miałem obowiązku ci jej udzielać – odparł stary. – Zostawiłeś go na miejscu?

– Oczywiście, że nie. Uznałem, że skarb to nagroda za spryt, mądrość i takie tam...

– Nie. Jesteś godzien podziwiać skarb, ale nie wolno ci go zabrać. Musisz wrócić i zostawić go tam, skąd go wzięłeś.

– Przykro mi, staruszkule, ale obawiam się, że na jakiś czas muszę go wypożyczyć.

Zrobiłem krok w stronę wyjścia, ale imam chwycił mnie za ramię sękatą dłonią.

– Nie wolno ci zabrać skarbu! Należy do Armów!

Wyrwałem mu się bezceremonialnie.

– Należy do Dżaudara Paszy i w jego imieniu zabieram skarb tam, gdzie narodził się jego właściciel. Dzięki temu każdy będzie mógł go podziwiać, bez konieczności rozwiązywania morderczych zagadek ani ryzyka pożarcia przez ogromnego gada.

Być może nie miałem zbyt mocnych argumentów. W mitach i legendach herosi działają z czystych, idealistycznych pobudek i raczej nie okradają niedowidzących starców. Nigdy jednak nie uważałem się za bohatera – jestem tylko dość upartym typem.

– Złodziej! Oszukałeś mnie!

– Wypraszam sobie. Nie jestem złodziejem – zaproponowałem. – Jestem Poszukiwaczem.

Odepchnąłem imama na bok. Nagle z jego gardła dobył się wściekły warkot, coś jak skomlenie zdychającego psa. Spomiędzy fałdów brudnej galabiji wyciągnął sztylet o zakrzywionym ostrzu i rzucił się na mnie, zanim zdążyłem zareagować.

Wziął mnie z zaskoczenia i gdybym spóźnił się choć o sekundę, wyciąłby mi w szyi nowy otwór, przez który mógłbym wypuszczać dym z papierosów. Ledwie zdążyłem schwytać go za nadgarstki i zatrzymać ostrze z dala od gardła.

Rzucił się na mnie jednak z takim impetem, że obaj runęliśmy na ziemię. Starzec miał dużo więcej siły, niż można by się spodziewać, albo to ja osłabłem po walce z wężem.

Przetoczyliśmy się po jaskini – on próbował wymierzyć mi cios pięścią w tchawicę, ja zaś starałem się go z siebie zrzucić.

Udało mi się trafić stopą w jego brzuch i odepchnąć celnym kopniakiem. Stary poleciał do tyłu i wpadł do basenu. Szybko jednak zerwał się na nogi i znów rzucił w moją stronę, z wyciągniętymi rękami, rozcapierzonymi palcami i mrozącym krew w żyłach wrzaskiem.

Nagle z wody wynurzył się trójkątny gadzi łeb i pomknął w stronę pleców imama. Cofnąłem się o krok. Najwyraźniej zamordowany przeze mnie pyton skalny nie był jedynym mieszkańcem zbiornika.

Wąż zatopił kły w pasie starca i zaczął owijać swoje ciężkie, pokryte łuskami cielsko wokół jego nóg. Kapłan upadł, podskoczyłem do niego, ale wtedy z wody wychyłała głowa kolejnego gada. Drugi pyton rozdziawił wielką paszczę i przywarł do twarzy starca jak straszliwa przyssawka. Usłyszałem stłumione krzyki dobiegające spomiędzy gadzich szczęk, a potem po pomarszczonej szyi spłynęły dwa strumienie krwi.

Nie mogłem dłużej na to patrzeć. Zanim zacisnąłem powieki i odwróciłem głowę, zobaczyłem jeszcze, jak drobne ciało nieszczęsnego imama ginie pod masą oślizgłych, łuskowatych mięśni. Wyglądało to tak, jakby imama dorwała olbrzymia ośmiornica. Z kłębowiska wijących się węży sterczały żałośnie ludzkie członki, wstrząsane agonalnymi konwulsjami.

Jeszcze dość długo wrzaski starca niosły się echem po jaskini, jakby dochodziły spod sterty grubych koców. Potem usłyszałem trzask, jakby pękła gałąź. Dopiero ten dźwięk pobudził mnie do działania – instynkt przetrwania i panika kazały mi biec, nie oglądając się za siebie.

Może nie postąpiłem w pełni słusznie, ale przynajmniej nie zanosilem się śmiechem na widok jego cierpienia.

Nigdy nie należy śmiać się z Poszukiwacza ani próbować go zadźgać. Nie wiadomo, kiedy może się przydać jego pomoc. Niestety, starzec poznał tę cenną naukę zaledwie na kilka chwil przed tym, jak węże pożarły go na obiad.

YOONAH

Wróciłem do moich towarzyszy czekających w meczecie. Znalazłem ich w pomieszczeniu, w którym nieszczęsny imam poczęstował nas wcześniej ziołowym naparem.

Kiedy zjawiłem się – blady, roztrzęsiony i przemoczony – zarzucili mnie gradem pytań. Byli głodni wieści, ale ja, wciąż poruszony mrozącymi krew w żyłach wydarzeniami, mogłem tylko pokazać im w odpowiedzi maskę i cegłę ze złota.

– To ma być ten słynny skarb Armów? – zapytał Bańka. W jego dużych dłoniach przedmioty nie robiły większego wrażenia: ot, bibeloty. – Po opowieściach tego starucha spodziewałem się czegoś bardziej spektakularnego... A właśnie, gdzie on jest?

– Nie żyje – odparłem. – Wiem już, jaki jest następny etap naszej wyprawy. Musimy dostać się do miejsca zwanego Ogol. Imam twierdził, że to chyba gdzieś w okolicy uskoku Bandiagara.

– Czekaj, „nie żyje”?! Co się stało? – zapytała Enigma. – Nic ci nie jest?

Pokręciłem głową. Potem usiadłem na ziemi i poprosiłem, żeby dali mi trochę odsapnąć, zanim zrelacjonuję im wszystkie szczegóły. Ciągle nie mogłem dojść do siebie po konfrontacji z pytonami skalnymi.

– Przykro mi, młody, nie mamy czasu – powiedział Bańka. – Tutaj też się wszystko pokomplikowało.

– Jak to?

Bańka zaprowadził mnie pod szczelinę w ścianie meczetu. Rzuciłem okiem na zewnątrz i zobaczyłem przed budynkiem grupę ludzi w żółtawych mundurach i hełmach zasłaniających twarze.

– Ludzie Piasku – potwierdził moje obawy Bańka. – Tak przynajmniej uważamy. Mają identyczne mundury jak tamci nad rzeką, może to nawet ten sam oddział.

Kilka osób rozstawiało przed meczetem przenośne reflektory i podłączało je do agregatu. Inni wyciągali z paki samochodu terenowego plastikowe bloki i dźwigali je gdzieś poza moje pole widzenia. Wszyscy mieli przy sobie broń.

– Przyjechali zaraz po tym, jak poszliście z tym dziadem – powiedziała półgłosem Hydra. – Moim zdaniem ten plastik to materiały wybuchowe. Wygląda na to, że rozmieszczają je w całej nekropolii.

– Cholera... Chyba nie chcą tego wysadzić, co?

– Wiemy tyle co i ty, młody. Na pewno nie chcemy tu dłużej zostać, żeby się o tym przekonać. Czekaliśmy tylko na ciebie, żeby się stąd zmyć.

– Dokąd? Obstawili jedyne wyjście z meczetu.

– César ma pewien plan. Ja uważam, że beznadziejny, ale... – Bańka westchnął ciężko. – Nie mam lepszego pomysłu.

Uważnie wysłuchałem planu Cesara i, podobnie jak Bańka, uznałem, że nie ma on większego sensu. Chłopak proponował, że wymknie się chyłkiem z meczetu, znajdzie ładunki wybuchowe i sam je zdetonuje. Dzięki temu odwróci uwagę Ludzi Piasku i pozwoli nam niepostrzeżenie uciec z nekropolii.

Oznajmiłem, że ten plan wydaje mi się skazany na niepowodzenie.

– Masz lepszą propozycję, Poszukiwaczu? – zapytał César.

– Nie, ale... to absurd! Skąd pewność, że uda ci się bezpiecznie zdetonować ładunki?

– Mogę przynajmniej spróbować. Jeśli mi się nie uda, postaram się w inny sposób odwrócić ich uwagę, żebyście mogli wyjść z meczetu.

– A jak sam zamierzasz się stąd wydostać?

– Tędy. – César wskazał niewielki otwór tuż nad podłogą, nie większy od studzienki kanalizacyjnej. Może i zmieściłby się tam kot, ale na pewno nie dorosły człowiek.

Nie dyskutowałem z nim dłużej. Zdawałem sobie sprawę, że pod moją nieobecność reszta podjęła już decyzję i była gotowa zrealizować plan uciezki.

César poprosił nas o bidony z wodą. Wylał ją na ziemię otaczającą odpływ, dzięki czemu glina zmiękła i zamieniła się w błoto. Potem rozebrał się od pasa w górę, a resztą wody zwilżył tors, ramiona i głowę.

Patrzyłem, jak kładzie się na ziemi i czołga w glinianym bajorze. Wyciągnął ręce do przodu, wepchnął je do otworu aż po łokcie, a potem zaczął się wic niczym dżdżownica. Ramiona wygięły mu się nienaturalnie, jakby kości wyskoczyły ze stawów. Na widok tych wygibasów przeszły mnie ciarki.

Giętkie ciało Cesara stopniowo znikało w odpływie. Nieprzyjemny spektakl przypominał nagranie z porodu puszczone od końca i w zwolnionym tempie: najpierw ramiona, potem barki, głowa, klatka piersiowa... Kończyny wykręcały się na wszystkie strony, jakby były z gumy. Po kilku minutach, które zdawały się wiecznością, na zewnątrz zostały już tylko nogi Cesara.

W końcu cały zniknął w otworze.

– No proszę, człowiek guma – mruknął Bańka. Na jego twarzy malował się ledwie zauważalny grymas obrzydzenia. – Niecodzienny widok...

Nagle od wejścia do meczetu dobiegł nas huk detonacji.

Niemożliwe, żeby César zdążył już przeprowadzić następną część planu – ktoś inny musiał doprowadzić do wybuchu.

Z najwyższą ostrożnością wśliznęliśmy się z Enigmą do sali modłów. Drewniane drzwi prowadzące do świątyni zwisały w drzazgach z zawiasów, a wokół unosiły się kłęby dymu i kurzu. Powietrze cuchnęło spalonym plastikiem.

Dwóch Ludzi Piasku wkroczyło do środka. Jeden z nich miał na sobie znajomy żółtawy mundur, drugi ubrany był na czarno. Obaj mieli na głowach hełmy.

Ten w żółtym wpadł pierwszy, z uniesionym karabinem. Omiótł wzrokiem pomieszczenie i zwrócił się po angielsku do tego w czerni:

– Czysto, doktorze Yoonah.

Ubrany na czarno wszedł wolnym krokiem do meczetu. Zdjął hełm, a światło jednego z ustawionych na zewnątrz reflektorów oświetliło mu twarz. Był dojrzałym mężczyzną

o gęstych, czarnych włosach. Jego małe usta o mięsistych wargach otaczała cienka bródka, jakby narysowana węglem. Miał azjatyckie rysy twarzy, ale skośne oczka wyróżniały się intensywnie błękitnymi tęczówkami.

Nieczęsto spotyka się niebieskookich Azjatów, ale akurat tego mężczyznę już znałem: to jego widziałem w twierdzy w Saint-Béat, kiedy próbowano ukraść Ster Gallieniego.

Schowaliśmy się z Enigmą głębiej, żeby uniknąć zauważenia przez nowo przybyłych.

– Cholera – mruknąłem. – Znam tego gościa w czarnym. To David Yoonah, ten matematyk.

– Jesteś pewny?

– Na sto procent. W końcu ilu może być na świecie Azjatów o błękitnych oczach?

– Mówisz o Davidzie Yoonahu, jednym z założycieli Voynich Inc.?

– O tym samym. Nadal uważasz mnie za paranoika?

Enigma mnie uciszyła. Znowu ostrożnie wyrzeliśmy do sali modłów.

Yoonah rozglądał się dookoła z uśmiechem zadowolenia.

– Czy to nie wspaniałe? – zapytał mężczyznę w mundurze. – Przyjrzyj się tylko, przyjacielu: przestrzeń nietknięta przez wieki. Od tych murów aż bije historią i mitologią, a od czasów zdobywcy Dżaudara Paszy nikt nie miał okazji ich podziwiać. – Azjata odetchnął głęboko. – Oczywiście nikt poza imamem Armów. Ciekawe, gdzie się podział. Według legendy powinien siedzieć właśnie w tym miejscu.

– Przyprowadzę paru ludzi, panie doktorze, i zbadamy teren.

– Nie, nie... Proszę, okaż nieco szacunku. To święte miejsce. Chciałbym sam je zbadać, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Uważa pan, że to bezpieczne?

– Bez wątpienia. Jeszcze będziecie mieli czas pobawić się w bombardierów. Na razie wolałbym podejść do sprawy nieco subtelniej. Nie zapominaj, że to wyprawa archeologiczna. – Yoonah uśmiechnął się zimno do towarzysza. Potem spoważniał. – Ładunki gotowe?

– Tak, panie doktorze. Dokładnie w tych miejscach, które pan wskazał. Kiedy odpalimy pierwszy, nastąpi reakcja łańcuchowa.

Nie podobało mi się to. Odniosłem wrażenie, że Yoonahowi również, tak przynajmniej wywnioskowałem po tym, jak jego wargi skrzywiły się w grymasie niezadowolenia.

– Wcale nie chcę zmieniać tego pięknego miejsca w kupę gruzu.

– Przykro mi, panie doktorze, ale otrzymałem jasne rozkazy – odparł Człowiek Piasku. – Może pan sam się tu rozejrzeć, jeśli tego pan sobie życzy, ale jeśli nie znajdzie pan wejścia do podziemnych komnat, będziemy musieli sami je otworzyć.

– Wiem, wiem – przytaknął Azjata i machnął ręką w geście irytacji. – A teraz idź już i sprawdź, czy wszystko gotowe. Zawołam cię, jak tu skończę.

Yoonah poczekał, aż zostanie sam, i dopiero wtedy zaczął uważnie oglądać salę modłów. Podeszedł do leżącej na pulpicie książki, którą czytał stary imam, kiedy zobaczyliśmy go po raz pierwszy. Stał tyłem do mnie i Enigmy i zaczął powoli przewracać kartki.

Zostawiliśmy Yoonaha i wróciliśmy do reszty, żeby opowiedzieć im, co zobaczyliśmy. Niepokoiła nas zwłaszcza wzmianka Człowieka Piasku o reakcji łańcuchowej. Jeśli mówił

prawdę, plan Cesara mógł rozpętać niewyobrażalny chaos.

– W takim razie sytuacja uległa całkowitej zmianie – stwierdził Bańka. – Nie możemy czekać na Cesara: musimy się stąd wydostać i go znaleźć, zanim odpali ładunki, a potem wiać, gdzie pieprz rośnie.

Hydra wpadła na pewien pomysł.

– Ten doktor Yoonah to chyba jakaś szycha, możemy spróbować to wykorzystać – powiedziała i spojrzała na Bańkę. – Rozumiesz, co mam na myśli?

– Chyba tak. Tak jak na Sycylii.

– Co się stało na Sycylii? – zapytałem.

– Użyliśmy ludzkiej tarczy, żeby się wydostać z podobnej sytuacji – wyjaśnił Poszukiwacz. – Jeśli chcemy zrobić to samo, potrzebujemy broni.

Hydra dysponowała pistoletem HK, podobnym do tego, który Bańka miał w bagażu pozostawionym na *Buenaventurze*. Faktycznie, wzięcie Yoonaha jako zakładnika mogło nam pozwolić wydostać się z nekropolii mimo uzbrojonych Ludzi Piasku. Taki plan był bardzo w stylu Bańki, więc pozwoliliśmy mu przejąć inicjatywę.

Na palcach wróciliśmy do sali modłów. Yoonah nadal kartkował księgę starego imama, nieświadomy zbliżającego się zagrożenia. Bańka zaszedł go od tyłu i kiedy znalazł się za jego plecami, obezwładnił, przyciskając mu szyję przedramieniem.

Matematyk otworzył usta do krzyku, ale Bańka w samą porę wcisnął mu w nie chustę. Nie zazdrościłem doktorowi – Poszukiwacz nosił ją na szyi od czasu lądowania na Wyspach Zielonego Przylądka, więc dla ofiary musiała stanowić gorszą torturę niż lufa pistoletu wbita między nerki.

Wyprowadziliśmy Yoonaha z sali modłów do pomieszczenia, w którym przed chwilą się ukrywaliśmy. Wił się jak piskorz wyciągnięty z wody.

Bańka popchnął go na dywan wyściełający pokój imama Mussy. Potem stanął przed nim i wycelował mu broń w czoło.

– Najmocniej przepraszam za ten napad, panie doktorze – powiedział. – Proszę się nie obawiać: jeśli postąpi pan zgodnie z moimi instrukcjami, nie zrobimy panu nic złego. Najpierw wyjmę panu tę szmatę z ust. Proszę nie krzyczeć. Proszę nic nie mówić. W ogóle proszę nie wydawać żadnego dźwięku, chyba że o coś zapytam. Zrozumiał pan?

Azjata skinął głową. Patrzył na nas w milczeniu i wyglądał na dużo mniej przestraszonego, niż można by się spodziewać.

– Ma pan broń? – zapytał Poszukiwacz. Yoonah zaprzeczył, ale Hydra mimo to go obszukała. – No dobrze, plan jest taki: wyjdzie pan z nami z meczetu i zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby pańscy ludzie pozwolili nam odejść. Jeśli ktoś będzie próbował nam przeszkodzić... Jeśli pojawi się chociaż cień podejrzenia, że ktoś próbuje nam przeszkodzić, wpakuję panu kulkę w kark. Jasne?

– Ci na zewnątrz to nie moi ludzie. Nie mam nad nimi żadnej władzy – odparł Yoonah.

– Świetnie się składa. Zawsze chciałem zobaczyć, jak wygląda z bliska mózg matematyka – stwierdził Bańka i wbił lufę pistoletu w skroń doktora.

Groźba odniosła pożądany skutek.

– Chwileczkę, chwileczkę! – zawołał Azjata. – Myślałem, że Narodowy Korpus Poszukiwaczy unika przemocy.

Podszedłem bliżej.

– Co pan powiedział?

– Jesteście Poszukiwaczami, prawda? – Przenikliwe niebieskie oczy spojrzały w moje. Na usta wypełził mu nikły uśmiech. – Tak, to wy... Kto inny dotarłby przede mną do sanktuarium Armów? W pewnym sensie spodziewałem się tego spotkania.

– Jak na człowieka uchodzącego za geniusza wygaduje pan straszne bzdury, doktorze – odparł Bańka. – W co pan próbuje grać?

– Nigdy nie gram z pistoletem przystawionym do głowy. Potrafię ocenić, kiedy nie mam szans, przyjacielu. – Yoonah uśmiechnął się jeszcze szerzej i przypominał teraz chińskiego filozofa. – Nie ma sensu blefować. Wiem, kim jesteście. Wiem też, że szukamy tego samego. Może moglibyśmy się wzajemnie wspierać. Nie jestem głupi, doceniam wasze możliwości.

– Kto panu powiedział, że Poszukiwacze są w Mali? – zapytałem, gotów poddać doktora przesłuchaniu pełną gębą. – Z kim pan rozmawiał o Korpusie?

– Z kimś, kto was zna, Tirso Alfaro. Tak, Lilith słyszała także o tobie. O was wszystkich. Już od dłuższego czasu śledzi wasze kroki.

Utkwił we mnie porcelanowy wzrok i przyglądał mi się, jakby skądś mnie znał.

– Musi nam pan sporo wyjaśnić, doktorze.

– Chętnie to zrobię, o ile uda nam się dojść do cywilizowanego porozumienia.

Zerknąłem na Bańkę. W jego oczach dostrzegłem wahanie, ale też głęboką nieufność. Nadal celował w głowę Azjaty, a palcem wskazującym gładził spust.

– Nie mamy na to czasu, Faro – wycedził przez zęby. – Nie teraz. Pamiętaj o Cesarze.

Zignorowałem jego słowa.

– Jaki układ proponujesz? – zapytałem doktora.

Ten uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Synergję. Pomóżcie mi znaleźć skarb Dżaudara Paszy, wspólnie zakończmy te poszukiwania. Nie musimy być wrogami. W zamian obiecuję odpowiedzieć na wszystkie pytania. A jeśli nasza misja zakończy się sukcesem, czeka was wspaniała nagroda.

Kusząca oferta. Na nieszczęście dla Yoonaha niewłaściwie ocenił klienta. Ani Lilith, ani Voynich nie znali Korpusu Poszukiwaczy tak dobrze, jak sądzili, jeśli uważali, że pójdziemy na jakiś układ w zamian za parę nędznych odpowiedzi.

Poszukiwacz nie oczekuje odpowiedzi. Do szczęścia wystarczą mu pytania.

Poza tym ten orientalny typ o oczach lalki poważnie zranił moją dumę, kiedy wziął mnie za najemnika.

– Może go ktoś uciszyć?

– Z największą chęcią, młody.

Uśmiech spełził z warg Yoonaha dopiero na sekundę przed tym, jak Bańka rozkwasił mu nos kolbą pistoletu. Krew buchnęła niczym z odkręconego gwałtownie kranu.

Poszukiwacz chwycił Yoonaha za zakrwawione ubranie i zmusił go do wstania. Nie wiem, czy byłby zdolny strzelić mu w głowę, ale cieszyłem się, że nie muszę rozważać tej kwestii z punktu widzenia doktora.

– Dalej, Yoonah – powiedział Bańka. – Sprawdźmy, jak bardzo rzeczywiście jesteście potrzebny w tym całym bajzlu. – Popchnął go w stronę wyjścia, nie odrywając mu lufy od

karku.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, na sekundę oślepiło mnie jasne światło reflektorów zamontowanych przez Ludzi Piasku. Trzymałem się wraz z moimi towarzyszami za Yoonahem, który służył nam za tarczę.

Na nasz widok Ludzie Piasku znieruchomieli. Po chwili jednak padł rozkaz i wycelowano w nas dziesiątki karabinów maszynowych. Zrozumiałem, co muszą czuć skazańcy przed plutonem egzekucyjnym. Na chwilę aż zatęskniłem za pytonami. Z nimi przynajmniej można sobie poradzić za pomocą zwykłej włóczni.

Tymczasem tej armii wystarczyłby jeden rozkaz, żeby rozstrzelać nas na kawałki.

Doktor Yoonah podniósł ręce. Wyraźnie drżały.

– Spokojnie! – zawołał roztrzęsiony. – Nie strzelać! Proszę nie strzelać!

Karabiny nadal celowały w naszym kierunku. Jeden z Ludzi Piasku krzyknął do nas:

– Wypuście doktora i rzućcie broń!

Bańka wyszeptał coś Yoonahowi do ucha, a ten powtórzył na głos słowa Poszukiwacza:

– Nie robią mi krzywdy! Chcą... chcą tylko, żeby puścić ich wolno. Jeśli pozwolimy im odejść, nikomu nie spadnie włos z głowy.

– Powtarzam: rzucić broń, bo będziemy strzelać! – wrzasnął Człowiek Piasku, zupełnie ignorując słowa Yoonaha. – Liczę do trzech!

Raz.

– Każ im nie strzelać! – rozkazał Bańka doktorowi. – Powiedz im!

Dwa.

– Nie posłuchają mnie! Mówiłem, że nie ja tu rządzę!

– Trzy! Ognia!

W tej samej chwili nastąpił pierwszy wybuch.

Poczułem, jakby pękły mi bębenki. Bolesne uderzenie rzuciło mnie w tył i upadłem plecami na kurhan z gliny i piasku. Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem tylko cienie tańczące w chmurze pyłu, gęstej jak mgła. Potem rozległa się kolejna eksplozja, nieco dalej ode mnie, choć i tak ledwie ją dosłyszałem przez wściekle dzwoniące w uszach.

Zacząłem iść na oślep, zdezorientowany. Kurz opadł na tyle, że mogłem dojrzeć olbrzymi krater w ziemi, zaledwie kilka metrów od miejsca, w którym jeszcze przed chwilą celował w nas pluton egzekucyjny. Zobaczyłem ciała rozrzucone w kałużach krwi. W szyi jednego tkwił wbity na wylot długi pal – w wyniku wybuchu drewniane wzmocnienia grobowców poleciały na wszystkie strony.

Wielu Ludziom Piasku udało się jednak ujść cało z wybuchu. Szybko poukrywali się za grobami i zaczęli strzelać. Umysł odblokował mi się w chwili, gdy kula ze świstem przeleciała mi tuż nad głową. Pognałem ile sił w nogach i schowałem się za jedną z glinianych piramid.

Nie nastąpiły kolejne eksplozje. Najwyraźniej reakcja łańcuchowa rozpoczęta przez Cesara się urwała, a ja nie miałem czasu zastanawiać się nad przyczyną.

Ludzie Piasku otaczali nas ze wszystkich stron, a kule roztrzaskiwały się wokół mnie niczym grad. Usłyszałem histeryczne krzyki doktora Yoonaha:

– Nie pozwólcie im uciec! Łapcie ich! Łapcie ich wszystkich!

Doktor leżał na ziemi przed meczetem, na krawędzi wyrwy po eksplozji. Ubranie miał w strzępach, a twarz pokrytą krwią. W tej samej chwili zobaczyłem, jak Hydra wychyla się zza drzwi sanktuarium. Zdobyła jakoś karabin i teraz puściła serię w stronę Yoonaha. Ten poderwał się na równe nogi i pobiegł między grobowce.

Przy kraterze stał nieduży samochód terenowy. Z jego wnętrza dwóch Ludzi Piasku ostrzeliwało meczet. Hydra odpowiedziała strzałami i obaj mężczyźni padli martwi. Eks-Poszukiwaczka wykorzystała ten moment i wybiegła na zewnątrz. Za nią gnała Enigma. Wsiadły do pojazdu – Enigma uruchomiła silnik, a Hydra tymczasem starała się utrzymać Ludzi Piasku w bezpiecznej odległości.

Chciałem podbiec do samochodu, ale kiedy tylko wychynałem z kryjówki, pod moimi nogami eksplodował pocisk, wzbijając w powietrze grudy ziemi. Kilku Ludzi Piasku wdrapało się na pobliski grobowiec i zaczęło ostrzeliwać drogę dzielącą mnie od dżipa. Gliniany kurhan osłaniał mnie od kul, ale nie mogłem ryzykować wyjścia ze schronienia – natychmiast dosięgłyby mnie strzały.

Hydra mnie zauważyła.

– Biegnij, Faro! Tutaj!

Łatwo powiedzieć.

Enigma dawała mi znaki z samochodu. Ludzie Piasku coraz bardziej się do nich zbliżali i dziewczyny mogły już długo nie wytrzymać.

– Faro! – usłyszałem za plecami.

Obróciłem się. Bańka krył się za grobowcem z wielką dziurą w ścianie, wewnątrz której dojrzałem stos rozsypujących się szkieletów i roztrzaskane naczynia ceramiczne. Poszukiwaczowi udało się zdobyć broń.

– Biegnij do auta! – krzyknął. – Będę cię osłaniał!

– A gdzie César?

– Rób, co mówię! Oni są wszędzie!

– A ty?

– Będę za tobą!

Kolejny strzał odłupał kawał ściany o centymetry od głowy Bańki. Poszukiwacz posłał serię pocisków w lewo. Głowa jednego z Ludzi Piasku wybuchła jak balon pełen mięsa i krwi, a ciało osunęło się na ziemię.

– Biegnij, do jasnej cholery! – wrzasnął Bańka. – Wskakuj do auta i jedźcie, dogonię was!

Moje nogi posłuchały rozkazu, zanim mózg zdążył go przetworzyć. Rzuciłem się do ucieczki, a nad głowami świstały mi kule. Zatrzymałem się, dopiero kiedy praktycznie wpadłem na terenówkę. Hydra złapała mnie za ramię i wciągnęła do środka. Krzyknąłem do Enigmy, żeby odpalała silnik, i ruszyliśmy.

Chwyciłem leżący w samochodzie karabin i posłałem serię w stronę Ludzi Piasku, którzy ostrzeliwali wyjście z meczetu – chciałem odwrócić ich uwagę, żeby Bańka mógł bezpiecznie opuścić kryjówkę.

Poszukiwacz zaczął biec. Kocia zwinność i szczęście pomagały mu lawirować między pociskami. Samochód się oddalał, ale Bańka bez trudu zmniejszał dystans.

Wtedy szczęście odwróciło się od Poszukiwacza.

Wystarczyła jedna kula. Jedna kula oznaczała koniec jego drogi, we wszystkich znaczeniach tego słowa. Stopy zatańczyły, jakby się potknął, a na jego twarzy odmalował się wyraz zdziwienia, a może nawet oburzenia – ciało, które nigdy wcześniej nie zawiodło, teraz przestało go słuchać. Poszukiwacz upadł na twarz, a na jego plecach wykwitła czerwona plama.

Wszystko działo się jednocześnie. Wrzasnąłem, Hydra też. Zamierzałem wyskoczyć z jadącego samochodu, żeby ratować towarzysza. Uznałem, że to jakiś okrutny i zupełnie nieśmieszny żart – nie mogłem przyjąć do wiadomości, że Bańkę naprawdę mogłaby pokonać jedna mała kula. Nie. Niemożliwe. Nie najlepszego Poszukiwacza, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Nie mojego przyjaciela.

Już, już miałem wyskoczyć z auta, kiedy przekłeta reakcja łańcuchowa znów się uruchomiła i rozległy się rytmiczne eksplozje. Ciało Bańki zniknęło mi z oczu, przesłonięte chmurą gliny i ziemi. Jedna z wież meczetu runęła za nami niczym zamek z piasku, odcinając nam drogę powrotną. I grzebiąc Poszukiwacza.

– Cofnij! Wracaj! – wrzeszczałem na siedzącą za kierownicą Enigmę. Mój własny głos brzmiał obco. – Bańka!

Kolejna eksplozja. Enigma coś powiedziała, ale nie dosłyszałem. Nie chciałem przyznać, że nie da się jechać w żadnym innym kierunku niż do przodu, jak najdalej od tego piekła kurzu i błota.

Auto gwałtownie skręciło i zarzuciło. Upadłem i uderzyłem głową o coś metalowego. Próbowałem się wyprostować, ale nie mogłem. Nie tylko ciało odmawiało mi posłuszeństwa – straciłem resztki siły ducha.

Enigma najechała terenówką na kamienny mur otaczający cmentarz – staranowaliśmy go bez najmniejszego trudu. Nie zatrzymała się. Nie spoglądała za siebie, tylko mocno trzymała kierownicę, żeby przynajmniej trójka Poszukiwaczy wydostała się cała i zdrowa z przekłetej nekropolii. Nie mogłem jej za to ganić, sam zrobiłbym to samo. I jestem pewien, że Bańka również.

Zostawiliśmy za sobą Miasto Umarłych. Straciliśmy nie tylko Cesara, ale – co gorsza – również najbardziej szlachetnego i najbardziej upartego spośród Kawalerów Poszukiwaczy.

KUSZNIK (III)

Noga Skrzydłowego nie pozostała w Muzeum Archeologicznym, odkąd odszedł z Korpusu. Właściwie nie była to świadoma decyzja, nigdy nie postanowił, że już tam nie wróci. Kiedy więc zdał sobie sprawę, że przekracza próg budynku po raz pierwszy od dwudziestu lat, nie posiadał się ze zdumienia. Zaczął się zastanawiać, czy mimo wszystko podświadomie nie unikał wizyty w tym miejscu.

Rozejrzał się dookoła, licząc na ukłucie nostalgii, ale niczego takiego nie poczuł. Budynek uległ radykalnej zmianie. Długo zapowiadany remont przekształcił muzeum w miejsce tak nowoczesne, że Skrzydłowy ledwie je rozpoznawał.

Zjawił się przed czasem, więc mógł pozwolić sobie na leniwą przechadzkę po salach w poszukiwaniu wspomnień. Czuł się jak turysta w miejscu, które kiedyś traktował praktycznie jak dom, i nie było to przyjemne. To tak jakby po latach wrócić na stare śmieci i odkryć, że nowi właściciele wyburzyli część ścian, pozostałe przemalowali, a nasz pokój przerobili na spiżarnię.

Minął Salę Narvaeza, gdzie wystawiano Skarb z Jaskiń Heraklesa i Stół Salomona, obecnie najcenniejszy eksponat. Rzucił okiem na rezultat najświeższych dokonań Narodowego Korpusu Poszukiwaczy i na chwilę ogarnęło go coś w rodzaju melancholii. Pomyślał, że jako Poszukiwacz wiele by dał, żeby znaleźć coś tak pięknego. Za jego czasów nigdy nie przeprowadzono tak spektakularnej misji.

Nieco zagubiony zapytał strażnika, gdzie znajdzie Damę z Elche („Damę, po prostu Damę” – upomniał się w myślach). Podeszedł do niej i spojrzał jej w oczy, jak miał w zwyczaju każdy Poszukiwacz przed wyruszeniem na wyprawę. Chcąc nie chcąc, uśmiechnął się smutno i zamyślił: czy kolejne pokolenia członków Korpusu nadal będą odprawiać ten rytuał?

„Cześć, piękna” – powiedział w myślach do kamiennych oczu. „Pamiętasz mnie?”

Nie otrzymał odpowiedzi. Dama ich nie udzielała, gromadziła tylko kolejne pytania.

Skrzydłowy uśmiechnął się pod wąsem, dużo bardziej siwym niż w czasach, kiedy po raz ostatni stał przed Damą.

Rzucił okiem na zegarek. Wybiła godzina umówionego spotkania. Z szacunkiem pożegnał się z Damą i wrócił pod główne wejście do muzeum, obok kawiarni.

Na niewielkim tarasie przed nową kawiarenką wystawiono kilka stolików i krzesła dla klientów. To tutaj Skrzydłowy umówił się z osobą, która już na niego czekała przy jednym ze stołów. Poza nimi nie było tam nikogo.

Z niektórymi czas obchodzi się wyjątkowo okrutnie. Tego mężczyznę potraktował jednak łagodnie: nikt co prawda nie wziąłby go za młodzieńca, ale udało mu się zachować atrakcyjnie dojrzały wygląd, nieco dostojny i niewiele inny niż przed laty, kiedy należał do Korpusu.

Skrzydłowy przywołał w pamięci kamienne oczy Damy, z nadzieją, że obraz ten doda mu siły. Potem usiadł naprzeciwko mężczyzny.

– Witaj, Kuzniku – powitał go, nie patrząc mu w twarz. Nienawidził tego człowieka z całego serca, gardził nim i nie zamierzał zaszczycać go nawet spojrzeniem.

– Kuzniku...? Mam rozumieć, że to coś w rodzaju spotkania starych wiarusów?

– Masz coś przeciwko?

– Nie, po prostu od lat nikt się tak do mnie nie zwracał. Mogę ci coś wyznać, Skrzydłowy?

– Szczerze mówiąc, na to właśnie liczę.

– Nigdy mnie nie bawiły te wszystkie szyfry i pseudonimy: Kuznik, Skrzydłowy, Narváez... Zawsze uważałem to za dziecinadę, jakbyśmy nie byli agentami z prawdziwego zdarzenia, tylko bandą z podwórka bawiącą się w szpiegów.

– Nie byliśmy bandą z podwórka – odparł zirytowany policjant. – Nasza praca była jak najbardziej serio. Niektórych kosztowała życie.

– Co? A, tak... Piorun. Faktycznie, to bardzo smutna sprawa. Biedny chłopak.

– Wiesz, że osierocił syna?

– Tak. Sam mi o nim opowiadał, podczas tamtej roboty w Valcabado. Pechowa sprawa: po powrocie zamierzał odejść z Korpusu i zająć się dzieckiem, cały czas o nim nawijał. – Kuznik westchnął ciężko, a Skrzydłowy przyglądał mu się w milczeniu, przerażony bezmiarem cynizmu. – Gdyby sprawy potoczyły się inaczej... To był fajny gość. Pamiętam, że zawsze dopisywał mu humor.

– Nie udawaj, że nie wiesz, kim jest ten chłopak.

– Oczywiście, że wiem. Nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Nie miałem za to pojęcia, że ty orientujesz się w sytuacji.

– Sam na to wpadłem, wystarczyło połączyć kilka faktów.

– Tak, zawsze dobrze ci to szło. Pilny, uparty Skrzydłowy. – Na ustach Kuznika zagościł uśmiech, który można było zinterpretować na wiele sposobów. – Nie żeby nie cieszyło mnie nasze spotkanie, towarzyszu, ale wciąż się zastanawiam, w jakim celu mnie tu zaprosiłeś. W ciągu ostatnich lat mieliśmy wiele okazji, żeby umówić się na pogawędkę o starych czasach. Kilka razy spotkaliśmy się nawet twarzą w twarz, ale jakoś nigdy nie wykazałeś nawet cienia zainteresowania spotkaniem w cztery oczy. Dopiero teraz. O co chodzi? Nagły przyływ nostalgii?

– Byłem zajęty, podobnie jak ty, jak przypuszczam. Z uwagą śledziłem rozwój twojej kariery przez te wszystkie lata. Piąłeś się po kolejnych szczeblach drabiny, a raczej dawałeś się po nich wciągać wyżej postawionym. Zawsze potrafiłeś zjednywać sobie odpowiednich ludzi, Kuzniku... A jeszcze łatwiej przychodziło ci się ich pozbywać.

Uśmiech Kuznika rozciągnął się w paskudny grymas.

– To dziwne, ale mam wrażenie, że z jakiegoś powodu mnie atakujesz.

– Powodów mi nie brakuje – wypalił Skrzydłowy. Zaczynał tracić cierpliwość. – Mam ich tyle, że nie wiem nawet, od czego zacząć. Zdrada, spisek, rabunek, zabójstwo... Wymienię je wszystkie, a ty możesz sobie wybrać ten, który najbardziej ci się podoba. – Kuznik gwałtownie podniósł się z krzesła, ale Skrzydłowy chwycił go za rękę i cisnął na stolik plastikową teczkę, w której znajdował się pewien dokument. W nagłówku widniało logo przedstawiające czerwono-niebieską gwiazdę. – Dwadzieścia lat czekałem na tę chwilę.

– Co to jest, do diabła?

– Rzuć tylko okiem na te papiery – rozkazał Skrzydłowy, cały czas trzymając go za rękę.

Dawny współpracownik powoli usiadł z powrotem. Podniósł teczkę takim gestem, jakby musiał dotknąć jakiegoś paskudztwa, i przejrzał pobieżnie dokument. Na jego twarzy pogarda zaczęła ustępować miejsca niepokoju.

– Skąd to wytrzasnąłeś?

– Uparty Skrzydłowy, sam powiedziałaś... Kiedy trafię na jakiś ślad, lubię nim podążać, nawet jeśli ma mi to zająć wiele długich lat. Nie tylko ty masz kontakty i znajomości, Kuznik, a moje są nawet godniejsze polecenia. To dzięki nim trafiłem na ten dokument. Dokument, w którym mowa, jak widzisz, o tak zwanym Projekcie Lilith. Skłamałbym, gdybym stwierdził, że zaskoczył mnie widok twojego nazwiska, bo któż by się zdziwił na widok szczura w kloace?

– Zwariowałaś – rzucił Kuznik, choć jego wzrok przywodził na myśl osaczone zwierzę. – To jakieś paranoiczne brednie, tania fantazja...

– Tak sądzisz? Ja z kolei widzę tu całkiem poważną historię. Długo czekałem, żeby ci to powiedzieć, skurwysynu, ale wreszcie mogę to zrobić: dorwałem cię.

– To żaden dowód.

– Masz rację: to tylko trop. Ale nie miej wątpliwości, że zdobędę dowody, a wtedy pogrążę cię tak głęboko, jak tylko sięgnie moje ramię. Jedyne, czego żałuję, to że ten papier wskazuje na inną zbrodnię niż ta, za którą osobiście chciałbym cię wykończyć. – Kuznik otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Skrzydłowy nie dał mu szansy. – Sprzedałeś Pioruna.

– Kończysz już ten cyrk? Mam lepsze rzeczy do roboty niż wysłuchiwać majaczeń niewydarzonego gliniarza.

– Na razie skończyłem, ale to dopiero początek. – Inspektor wstał z krzesła i odszedł. Wierny swoim zasadom, nawet nie uraczył rozmówcy pożegnaniem.

Kuznik przez kilka minut siedział w milczeniu i próbował przetrawić słowa dawnego towarzysza. Choć przekłeta teczka zniknęła ze stołu, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że dokument ciągle wskazuje na niego niczym oskarżycielsko wyciągnięty palec. Nie potrafił też zrozumieć, w jaki sposób Skrzydłowy go zdobył – owszem, zawsze miał niezłego nosa, ale nigdy aż tak. Ktoś musiał naprowadzić go na właściwy trop. Ktoś, kto słyszał już o Projekcie Lilith, pozostawał w kontakcie z którymś z jego członków i był wystarczająco blisko związany ze Skrzydłowym, żeby mu o tym napomknąć.

Podjęcie zaczęło nabierać konkretnych kształtów.

Duch Pioruna zdawał się prześladować go zza grobu. Gdyby Kuznik był w lepszym humorze, może nawet uśmiechnąłby się na myśl o tym, jak dziwnie plotą się losy.

Wyjął z kieszeni komórkę i wybrał długi numer. Musiał sporo odczekać, zanim po drugiej stronie ktoś się zgłosił.

– Tu Kuznik. Obawiam się, że mamy problem i musimy szybko się nim zająć.

Danny spała w niewygodnej pozycji, więc obudziła się o świcie.

Obolałe żebra, choć powoli się zrastały, od czasu do czasu dawały jej się we znaki.

Wygrzebała się z łóżka, zażyła lek przeciwbólowy, a potem, choć znów otulona ciepłą pościelą, zapadła już tylko w płytką, niespokojną drzemkę, z której wyrwały ją pierwsze dźwięki poranka. Po przebudzeniu pamiętała, że męczyły ją koszmary, ale nie mogła sobie przypomnieć ich treści.

Wizja spędzenia całego dnia beczynnie wydała jej się nagle nie do zniesienia. Musiała coś zrobić, cokolwiek. Musiała poczuć się potrzebna.

Pomyślała, że może dobrze byłoby sprawdzić, czy sztuczka Yokaiego z systemem listów gończych Interpolu nadal działa. Postanowiła zajrzeć do Skrzydłowego i poprosić go, żeby dowiedział się czegoś na ten temat. Wiedziała, że wiele jej z tego nie przyjdzie, ale przynajmniej czymś się zajmie.

Wkrótce weszła do komisariatu. Podeszła do funkcjonariusza siedzącego w recepcji i zapytała o eks-Poszukiwacza. Młodzieniec, który wyglądał, jakby nieco przesadzał z treningiem na siłowni, spojrzal na nią pustym wzrokiem.

– Inspektor Santamaria? – powtórzył. – Ach, tak... Mieli się państwo dziś spotkać?

– Jestem Daniela Bailey, z Korpusu. Nie byliśmy umówieni, ale na pewno zechce się ze mną zobaczyć.

Wyraźnie zdezorientowany policjant kilkakrotnie zamrugał.

– Widzę, że nie jest pani na bieżąco...

– W jakim sensie?

– Inspektor Santamaria miał... wypadek. To znaczy... padł ofiarą zamachu. Wczoraj w nocy został postrzelony pod swoją bramą.

– Postrzelony? Jezu Chryste... Co z nim?

– Obawiam się... – Funkcjonariusz zwilżył językiem zaschłe wargi. – Przykro mi, ale już nic nie dało się zrobić. Zmarł nad ranem w szpitalu.

Danny zupełnie zatkało. Z trudem zmusiła umysł do pracy. Płacz mógł poczekać, teraz najbardziej liczyły się odpowiedzi.

Policjant patrzył na nią smutno. Danny błyskawicznie otaksowała go spojrzeniem: uczynny i niezbyt bystry. Mogła to wykorzystać.

Zachłysnęła się, jakby nagle zabrakło jej powietrza. Roztrzęsiona opadła na pobliskie krzesło, starając się, by wypadło to jak najbardziej dramatycznie. Żeby spotęgować wrażenie, zakryła twarz dłońmi i zaniósła się płaczem.

Dokładnie tak jak się spodziewała, młody policjant wyszedł zza lady recepcji i rycersko ruszył jej na pomoc.

– Wszystko w porządku, proszę pani?

Poszukiwaczka nieco pohamowała teatralny szloch, żeby nie przedobrzyć. Była dobrą aktorką, ale miewała tendencje do przesady.

– Tak... ja... och, przepraszam... – ząkała. – To okropne! Nie mogę w to uwierzyć!

– Przyniosę pani trochę wody.

Danny złapała go za rękę.

– Nie, proszę się nie kłopotać. Już mi lepiej. To po prostu taka okropna wiadomość...

– Udała szloch. – Biedny Javier... Co za koszmar! A jego żona, dzieci... Na pewno są zrozpaczeni.

– Dobrze pani znała inspektora Santamarię?

– Tak, tak... Byliśmy bardzo blisko. Jestem z Korpusu, już panu mówiłam. Tyle razy pracowaliśmy razem!

– Pani też jest z policji?

– Tak, tak, mam na myśli jeden z oddziałów. – Danny pociągnęła nosem. – Ach, przepraszam! Zupełnie wyleciało mi z głowy... Mam tu odznakę. – Pozornie niezdarnym, ale w rzeczywistości wystudiowanym gestem zaczęła żałośnie grzebać w torebce, rozrzucając dookoła masę szpargałów.

Młody funkcjonariusz oczywiście rzucił się je zbierać.

– Nie, nie ma potrzeby, nie musi mi pani niczego pokazywać – powiedział uprzejmie.

– Zaraz się tym zajmę. Na pewno dobrze się pani czuje? Może jednak przyniosę wody?

– Dziękuję, faktycznie dobrze mi to robi.

Policjant podszedł do dystrybutora i napełnił mały papierowy kubeczek. Danny zaczęła sączyć małymi łyčzkami.

– Lepiej?

– Trochę. – Poszukiwaczka uśmiechnęła się przez łzy. – To straszne... Straszne... Wie pan, co się stało?

– Bardzo mi przykro, ale śledztwo jest w toku, więc... – Na widok smutnych, zaczerwienionych oczu Danny funkcjonariusz natychmiast zmiękł. – Wie pani co? Tak między nami, jak policjant z policjantem, mogę chyba zdradzić pani parę szczegółów.

– Nawet pan nie wie, jak będę wdzięczna.

– Szczerze mówiąc, niewiele wiadomo. W nocy, koło drugiej, zamiatacze znaleźli ciało inspektora przed bramą budynku, w którym mieszkał. Natychmiast wezwali pogotowie. Kiedy karetka przyjechała na miejsce, jeszcze żył, ale było już za późno. Zmarł wkrótce po dotarciu do szpitala.

– Mówił pan, że... że do niego strzelano?

– Na to wygląda. – Policjant ściszył nieco głos. – Wczoraj do późna pracował w gabinecie. Kiedy wracał do domu, ktoś najprawdopodobniej go napadł, oddał dwa strzały i uciekł.

– Będzie... będzie sekcja?

– Tak. W tym samym szpitalu, w którym zmarł, w San Carlos. Sekcję ma zrobić najlepszy anatomopatolog, doktor Ángel Gadea. – Policjant uśmiechnął się do Danny pocieszająco. – Zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby złapać sprawców, mogę panią zapewnić.

– Wiadomo, kto mógł to zrobić?

– Jak na razie nie. Wszyscy w komisariacie jesteśmy w szoku. Nikt nie spodziewał się czegoś takiego. Może to napad rabunkowy, a może... Sam nie wiem. Żałuję, że nie mogę powiedzieć pani nic więcej.

– Nie szkodzi. – Danny westchnęła. Uznała, że czas skończyć przedstawienie. – Bardzo pan miły, dziękuję za wszystko. Powinnam już chyba iść.

Funkcjonariusz odprowadził ją do wyjścia i otworzył drzwi, jak wzór dżentelmena. Na ulicy Danny doprowadziła się do porządku. Oczy ją piekły od ciągłego pocierania, żeby wywołać łzy.

Oczywiście było jej niezmiernie przykro z powodu śmierci Skrzydłowego. Dotknęła ją

tak samo mocno, jakby chodziło o najbliższego przyjaciela. Polubiła starego, lojalnego Poszukiwacza. Nie zasługiwał na taką śmierć – zastrzelony na środku ulicy, jak pospolity przestępca.

W całej tej sprawie było jednak coś dziwnego, co nie dawało Danny spokoju, niczym uporczywe dzwonięcie w ucho. Musiała się upewnić, że zabójstwo Skrzydłowego nie miało żadnego związku z jego współpracą z Korpusem Poszukiwaczy.

Wyciągnęła z kieszeni komórkę i wybrała numer zakładu jubilerskiego. Przesłódzony głos jednego z bliźniaków odezwał się po pierwszym sygnale.

– Szybkie pytanie – powiedziała Poszukiwaczka, nie tracąc czasu na powitania. – Macie może jakąś odznakę Interpolu? Świetnie! Zaraz u was będę. Opowiem wam wszystko na miejscu.

Dotarła do szpitala dopiero tuż przed przerwą obiadową. Obawiała się, że nie spotka już doktora Gadei, ale miała szczęście – pielęgniarka powiedziała, że lekarz nadal jest w prosektorium.

Danny zeszła po schodach do piwnicy. Do kostnicy prowadził długi, biały, jasno oświetlony korytarz, jak w tych wizjach, jakie podobno nawiedzają osoby, które otarły się o śmierć. Całkiem adekwatnie.

Ángel Gadea okazał się czterdziestolatkiem o okrągłej, rumianej twarzy. Wyglądał zdecydowanie zdrowiej niż większość jego pacjentów. Kiedy Danny weszła do prosektorium, miał na sobie zielony szpitalny kitel i zakrwawione rękawiczki jednorazowe.

– Mogę pani pomóc? – zapytał.

– Agentka Julianne Lacombe, Interpol – powiedziała Danny i machnęła lekarzowi przed nosem fałszywą blachą, krócej niż trwa mignięcie klatki w filmie.

Odznakę dali jej Alfa i Omega. Mogli pochwalić się okazałym zbiorem podobnych identyfikatorów pracowników rozmaitych organów ścigania, zarówno hiszpańskich, jak i zagranicznych. Wykonywali je własnoręcznie. Zgromadzone w warsztacie odznaki nieraz się przydawały podczas misji Korpusu. Poszukiwacz zawsze powinien mieć pod ręką zapas fałszywych dowodów tożsamości – nigdy nie wiadomo, kiedy się przydadzą.

– Interpol? Nie rozumiem...

– Chodzi o zabójstwo inspektora Javiera Santamarii. Rozumiem, że to pan przeprowadził sekcję?

– Ach, tak. Faktycznie, ktoś wspominał, że przy ostatniej sprawie współpracował z Interpołem. – Doktor Gadea podszedł do niewielkiej umywalki i umył ręce. – Tak, jak się zastanowić, to chyba nawet kojarzę pani nazwisko. Agentka Lacombe. Może wpadło mi w oko w jakimś raporcie?

– Bez wątplenia. Współpracowaliśmy z inspektorem Santamarią przy sprawie rabunku zabytkowego kodeksu. Dlatego tu jestem.

– Myśli pani, że zabójstwo mogło mieć jakiś związek z kradzieżą?

– To właśnie chciałabym ustalić – odparła Danny. – A dlaczego pan pyta? Może coś obito się panu o uszy?

– Nie, ja tak z czystej ciekawości. Nie ma jeszcze żadnej hipotezy w związku

z zabójstwem. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. – Patolog osuszył ręce papierowym ręcznikiem i cisnął go do kosza na śmieci. – Jak mogę pani pomóc?

– Spisał pan już raport z autopsji?

– Miałem zabrać się do tego po obiedzie, ale mogę go teraz pani streścić. Przyczyną śmierci była utrata krwi spowodowana dwiema ranami postrzałowymi z broni palnej, co do tego nie ma wątpliwości.

– Dwa strzały?

– Tak. Od tyłu. Jedna kula przebiła płuco, a druga trafiła w głowę, w tym miejscu. – Wskazał lewą skroń. – Właściwie tylko się otarła, nie spowodowała śmierci, ale pozbawiła ofiarę przytomności. Szkoda... Gdyby wcześniej znaleziono rannego, może dałoby się go uratować, ale do czasu przyjazdu pogotowia zdążył się niemal całkowicie wykrwawić.

– Mówił pan, że strzelano z tyłu?

– Zgadza się. Powiedziałbym, że z odległości około trzech–czterech metrów. W raporcie policyjnym odnotowano ślady opon na asfalcie, jakby jakiś samochód gwałtownie ruszył. Wszystko zdaje się wskazywać, że strzały padły z pojazdu.

– To pańska opinia?

– Owszem, ale nieoficjalna, ja mogę odpowiadać tylko za sekcję. Nie wiem, jakie wnioski wyciągnęła policja.

– Zdaje się, że dobrze pan zna treść raportu.

– Inspektor prowadzący śledztwo zdradził mi kilka szczegółów. To normalne, od lat współpracuję z policją i zbudowaliśmy wzajemne zaufanie... – Doktor Gadea zerknął podejrzliwie na Danny. – Mam nadzieję, że nie będę miał z tego powodu żadnych problemów.

– Spokojnie, to nie moja sprawa. – Poszukiwaczka uśmiechnęła się sympatycznie. – Powiem więcej: cieszę się, że tak wiele pan wie na ten temat. Opinia dobrego patologa często znaczy więcej niż ustalenia wielu znanych mi policjantów.

Doktor wyglądał na mile polechtanego komplementem.

– Dziękuję pani.

– Myśli pan, że to mógł być napad rabunkowy?

– Mało prawdopodobne. Ofiara miała przy sobie pieniądze i inne wartościowe przedmioty.

– Skąd ta pewność?

– Jego rzeczy nadal są w szpitalu. Jakiś funkcjonariusz ma je odebrać po południu.

– Mogę rzucić okiem?

– Oczywiście. Nie chcę problemów z Interpolem – odparł lekarz i uśmiechnął się porozumiewawczo. – Są w moim gabinecie, proszę za mną.

Danny wyszła z prosektorium za anatomopatologiem. Po drodze wypytywała doktora Gadeę o potencjalnych świadków napadu. Lekarz powiedział, że jak na razie nikogo nie znaleziono, ale policja nie traci nadziei.

Gadea zajmował niewielki gabinet na piętrze nad kostnicą – klitkę pełną podręczników medycznych, dokumentów i modeli anatomicznych ze wszystkimi narzędziami na wierzchu. W pomieszczeniu unosiła się mieszanka woni formaliny

i odświeżacza powietrza.

Lekarz otworzył mały sejf umieszczony pod biurkiem i wyciągnął z niego przezroczystą plastikową torebkę. Podał Danny, a ta ją otworzyła i wyjęła zawartość na stół.

Nic nie zwróciło jej szczególnej uwagi: tani zegarek elektroniczny, paczka papierosów, zapalniczka z herbem drużyny piłkarskiej, klucze i niemal pusta puszcza miętówek. Kiedy Danny poruszyła pudełkiem, wydało nieprzyjemny dźwięk, jakby w środku grzechotał stos miniaturowych kości.

Osobiste drobiazgi biednego Skrzydłowego. Danny poczuła ukłucie smutku na widok żalostnej kupki w plastikowym woreczku.

„Przykro mi, przyjacielu” – pomyślała, nie wiadomo czemu z silnym poczuciem winy. „Bardzo mi przykro. Nie zasługiwałeś na taki koniec”.

Portfel inspektora umieszczono w osobnej torebce. Zwykły, ze sztucznej zapewne skóry, wytarty i zniszczony od długiego noszenia, a teraz pokryty rdzawymi plamami krwi. Danny nie chciała go otwierać – bała się, że w środku znajdzie zdjęcie rodziny (żony, może dzieci), a nie była na to jeszcze gotowa. Nie teraz.

– W portfelu były pieniądze? – zapytała, siląc się na obojętny ton.

– Kilka dwudziestek i trochę bilonu, poza tym karty płatnicze.

To wykluczało motyw rabunkowy, zresztą Danny nigdy poważnie nie brała go pod uwagę. Mało który policjant ginie na ulicy od kul z powodu zawartości swojego portfela.

– To wszystko?

– Nie, znaleziono jeszcze to.

Lekarz wyjął kolejną torebkę. W środku znajdowała się zwyczajna niebieska teczka, złożony na pół kawałek tektury. Danny otworzyła pokryte warstwą zaschniętej krwi okładki, ale w środku nic nie znalazła.

Wydało jej się to dziwne.

Zauważyła odciski palców w plamie krwi. Zapytała lekarza, czy mogła je zostawić ofiara.

– Tak przypuszczam. Policja już to sprawdziła: najwyraźniej mocno ścisnął ją w dłoń, kiedy go znaleźli, stąd ślady – odpowiedział.

– A jednak teczka jest pusta... – powiedziała Danny do siebie. – Gdzie jej zawartość?

– Nie mam pojęcia. Kiedy przywiozła go karetka, w teczce nic nie było. Dlaczego myśli pani, że coś powinno być w środku?

– A kto nosi przy sobie pustą teczkę?

Lekarz bez słowa wzruszył ramionami.

Policjant z komisariatu twierdził, że Skrzydłowy do późna pracował w gabinecie. Danny przypomniała sobie te słowa i wyobraziła sobie całą sytuację: inspektor wychodzi z pracy, a pod pachą ma niebieską teczkę z dokumentami, którymi się zajmował. Dochodzi do bramy domu, zaczyna szukać kluczy i wtedy ktoś strzela do niego z zaparkowanego samochodu. Zabójca wysiada i próbuje wyrwać teczkę ofierze, ale Skrzydłowy ostatkiem sił kurczowo wpija w nią palce.

Dlaczego? Niewątpliwie dlatego, że zawartość była dla niego ważna.

Morderca nie ma czasu do stracenia, zabiera więc tylko papiery z teczki. Wsiada do

samochoду, gwałtownie rusza i odjeżdża w stronę dal. Tymczasem na chodniku życie wycieka ze Skrzydłowego kropla po kropli...

Zabili go przez tę teczkę. A może nie? Dlaczego po prostu jej nie ukradli? Po co go zabijali?

Danny wreszcie zrozumiała. Zabójcy nie zależało tylko na zawartości teczki, Skrzydłowy musiał zginąć.

Poszukiwaczka z najwyższym skupieniem przyjrzała się niebieskiej okładce. Rozpaczliwie szukała jakiejś wskazówki. W końcu, pod brązową plamą zakrzepłej krwi, dostrzegła ślady długopisu – nieczytelne, ale wyraźnie wyryte w kartonie.

Odchrząknęła kilkakrotnie i zamarkowała kaszel, jakby coś utkwilo jej w gardle.

– Bardzo przepraszam za kłopot, doktorze, ale czy nie miałby pan może pod ręką szklanki wody?

– W korytarzu jest dystrybutor, zaraz pani naleję i przyniosę.

Kiedy tylko zniknął za drzwiami gabinetu, Danny porwała z biurka arkusz białego papieru i ołówek. Ułożyła kartkę na teczce i kilkakrotnie przejechała po niej ołówkiem, tak żeby odbiły się litery. Słowa wypisane ręką Skrzydłowego nagle stały się widoczne.

Proj. Lilith. Kusznik.

Słowo „Kusznik” podkreślono.

Projekt Lilith.

Danny poczuła dreszcz, a jednocześnie zaczęły jej się pocić dłonie.

Lekarz wrócił z wodą. Danny pociągnęła łyk i podziękowała za pomoc. Potem pośpiesznie się pożegnała i wyszła z gabinetu.

Ręce drżały jej jeszcze długo po opuszczeniu szpitala.

Przez dłuższy czas włóczyła się bez celu po ulicach i próbowała poukładać sobie wszystko w głowie.

Ostatnie jej spotkanie ze Skrzydłowym miało miejsce w gabinecie inspektora. Obiecał wtedy zająć się sprawą tak zwanego Projektu Lilith i przekazać Korpusowi Poszukiwaczy wszelkie informacje, jakie uda mu się zdobyć na ten temat.

Wydawało się oczywiste, że poszukiwania Skrzydłowego okazały się owocne. Może nawet zbyt owocne. Danny wcześniej nie wierzyła, że Projekt Lilith może mieć poważne skutki. Dopiero teraz zdała sobie sprawę ze swojej pomyłki. Im bardziej próbowała przekonać samą siebie, że śmierć dawnego Poszukiwacza nie miała żadnego związku z tymi dwoma słowami, tym uporczywiej jej myśli krążyły wokół tego tematu.

Projekt Lilith... Do tego dochodziła kolejna zagadka. Jedno słowo, zapisane pod warstwą krwi.

Kusznik...

Co to wszystko miało znaczyć? Danny nie wiedziała. Nie potrafiła nawet sobie tego wyobrazić, a co gorsza, nie mogła podzielić się swoimi przemyśleniami z pozostałymi członkami Korpusu. Potrzebowała pomocy, a nie miała do kogo się zwrócić. Piwnicę zamknięto, przyjaciele szukali skarbów na innym kontynencie, Skrzydłowy nie żył...

Została sama.

Poczucie zagrożenia zapłonęło jej pod skórą jak gorączka. Nieprzyjemne wrażenie

nienazwanego niebezpieczeństwa, ukryte w zagadce trzech słów.

Projekt Lilith. Kuznik.

Uznała, że nie może ani nie chce mierzyć się z tym sama. Bała się, że skończy tak jak Skrzydłowy.

Weszła do baru, żeby spokojnie zadzwonić. Potem zajęła miejsce przy najbardziej ukrytym stoliku w głębi lokalu, zamówiła piwo i czekała. Przez cały czas rozglądała się nerwowo, jakby się obawiała, że ktoś ją obserwuje.

Po jakiejś godzinie (długiej i pełnej niepokoju) Danny w końcu wypatrzyła przy wejściu znajomą twarz. Od razu rozpoznała chłopaka w znoszonych, wystrzępionych dżinsach i bluzie z kapturem narzuconym na głowę.

„Co ty wyrabiasz, Danny?” – zapytał cichy głosik w jej głowie. Woląла nie zastanawiać się nad odpowiedzią.

Yokai zobaczył Poszukiwaczkę i podszedł do stolika. Opadł ciężko na krzesło i przyjął pozę zdezelowanego manekina. Nie raczył nawet wyjąć rąk z kieszeni ani ściągnąć kaptura.

– No dobra, to jestem – powiedział zamiast powitania. – O co chodzi?

Danny wzięła głęboki oddech. Z całego serca miała nadzieję, że nie postępuje lekkomyślnie.

– Czemu tak długo ci zeszło?

– Ej, wyluzuj. Mieszkam pod miastem, zapomniałaś? Musiałem złapać takse, żeby się tu dostać, zapłaciłem zresztą kupę forsy. Ale Korpus chyba zwróci mi koszty podróży czy jak to tam się nazywa?

– Spokojnie, oddam ci, ile trzeba, jeśli tylko pomożesz mi z jedną rzeczą, zgoda?

Yokai przez chwilę wpatrywał się w Danny.

– Nie.

– Co?

– Słyszałaś: nie. Mam tego dość. Ciągle coś dla was robię, a sam gówno z tego mam.

– Rozumiem. – Danny westchnęła ciężko. – W takim razie: ile?

– Wsadź sobie swoją kasę, nie potrzebuję jej. Masz mnie za jakiegoś najemnika czy co? Mogę wam pomagać, ale tylko jeśli zaczniecie traktować mnie serio.

– Słuchaj, mały, jestem zmęczona i mam masę spraw na głowie. Nie mam za to czasu na bawienie się w terapeutkę. Jeśli chcesz czegoś, co mogę ci dać, mów. W przeciwnym razie zadzwoń na telefon zaufania.

Yokai skrzywił się w grymasie oburzenia.

– Jeśli odwalam robotę Poszukiwaczy, to sam chcę nim być. Prawdziwym Poszukiwaczem, nie żadnym pieprzonym stażystą. Tego właśnie chcę.

Danny miała ochotę rzucić mu w twarz kategorię odmowę. Już otwierała usta do najbardziej ciętej riposty, kiedy nagle popatrzyła na chłopaka, jakby zobaczyła go pierwszy raz w życiu. Świadomy, że nagle stał się obiektem obserwacji, Yokai zaczął wiercić się na krześle.

– Co się tak gapisz?

– O co ci chodzi?

– Masz jakiś taki wzrok... Dziwnie wyglądam czy co?

– Nie – odparła Danny. Na usta wypelzył jej półuśmiech. – Wyglądasz na Poszukiwacza. Dopiero teraz to zauważyłam.

Chłopak uśmiechnął się, jakby usłyszał największy komplement w życiu.

– Super... – zaczął i pokiwał głową.

– Nie ciesz się. To nic dobrego. Jeśli cię w to wciągnę, trafię do specjalnego kręgu piekła. Spędzę całą wieczność w otoczeniu pedofilów i tych wojskowych, co rekrutują dzieci w krajach trzeciego świata.

– Nie jestem dzieckiem.

Danny znów uśmiechnęła się kącikiem ust, ale tym razem z goryczą.

– Pewnie.

Poszukiwaczka zamilkła, bo kelnerka przyszła przyjmując zamówienie od Yokaiego. Potem, kiedy znów zostali sami, powiedziała:

– Wiesz co? Dowiedziałam się o istnieniu Korpusu Poszukiwaczy mniej więcej w twoim wieku, tyle że byłam wtedy nieco dojrzała... Miałam tam brata, właściwie ciągle mam. Pomógł mi się dostać. Przyznaję, rażący przypadek nepotyzmu. Ale prawdą jest też, że zasłużyłam na członkostwo. Jestem naprawdę niezła. A ty masz rodzinę?

– Nie. – Yokai otarł nos wierzchem dłoni. – Starzy... rodzice nie żyją. No dobra, mam ciotkę, ale tej starej jędzy zwisa, co robię. Nie przepuści okazji, żeby się mnie pozbyć.

– To w sumie... dobrze – stwierdziła Danny. – Chodzi mi o to, że tak jest łatwiej – poprawiła się. – Poszukiwacz bez mocnych więzów uczuciowych to dobry Poszukiwacz. Staruszek zawsze tak mówił, dlatego też uważał, że dobrze pracować z rodzeństwem. Mówił, że przynajmniej nie musimy się wzajemnie oszukiwać... – Danny myślała na głos.

– Staruszek?

– Świetny facet. Gdyby żył... Myślę, że... Wiesz co? Myślę, że byś mu się spodobał. Lubił ciekawych ludzi. Zawsze powtarzał, że najlepsi Poszukiwacze to artyści, szaleńcy i samotnicy. Myślisz, że należysz do którejś z tych grup?

– Nie wiem... Może. – Chłopak znowu potarł nos ręką. – Stary mówił na mnie czasem „Mały Pip”, wiesz?

– Mały Pip?

– Tak... Jak ten gość z książki Dickensa.

– Aha, z Wielkich Nadziei.

– Zgadza się. – Yokai po raz trzeci wytarł nos. – Mówił, że jestem taki sam. Że od malucha chodziłem własnymi ścieżkami.

Danny się uśmiechnęła. Do zadania kolejnego pytania sprowokował ją nagły impuls.

– A jakie są twoje wielkie nadzieje?

Yokai wzruszył ramionami, z dłońmi wciąż wciśniętymi w kieszenie bluzy.

– Nie zależy mi, żeby dużo zarabiać, wiem już, jak zdobyć potrzebną forszę. Nie chce mi się też uczyć po to, żeby na resztę życia iść do jakiejś gównianej roboty. Musi być chyba coś więcej, nie? Chciałbym wiedzieć... – Yokai urwał.

– Co?

– Właśnie to. Nie wiem. Wiedzieć, co jest poza tym wszystkim, co zwyczajne. Życie bez pytań jest do dupy.

Danny poczuła gęsią skórę. Twarz wykrzywił jej grymas goryczy.

– Tylko tajemnica trzyma nas przy życiu, tylko tajemnica... – mruknęła, jakby myślała na głos.

– Co ty gadasz?

– Po prostu kogoś wspominam, nie zwracaj na mnie uwagi. – Danny westchnęła ciężko. – Będę szczerą, młody: może kiedyś będziesz dobrym Poszukiwaczem, ale jeszcze nie teraz. Nie mam uprawnień, żeby przyjąć cię do Korpusu, właściwie nie powinnam nawet teraz z tobą rozmawiać. Powinnam za to zostawić cię w spokoju i nie wciągać w sprawę, która może sporo cię kosztować. Niestety, w tej chwili jestem samotną kaleką i tylko ciebie mam pod ręką. – Danny skrzywiła się, jakby do podniebienia przywarło jej coś paskudnego w smaku. – Możesz sobie pójść, jeśli chcesz. Nie będę ci miała tego za złe. Zapłacę nawet za taksówkę do domu.

Yokai przyjrzał się Danny ze zmarszczonym czołem. Poszukiwaczka spodziewała się, że puści jej soczystą wiązanekę, a potem wstanie, odwróci się na pięcie i odejdzie. Właściwie tak byłoby najlepiej.

Chłopak nerwowo potarł kark.

– Cholera – wycedził przez zęby. – Masz mnie za ostatniego kutasa? Nie możesz patrzeć na mnie wzrokiem zbitego psiaka i mówić, jaka to jesteś samotna i potrzebujesz pomocy. Grasz nie fair, wiesz? – Zacmokał z niezadowoleniem, a potem westchnął długo, pokonany. – Powiedz, czego potrzebujesz.

Danny się uśmiechnęła.

– Dobry z ciebie chłopak.

– A z ciebie pieprzona manipulatorekka.

– Wiem. Pierwsza lekcja z podręcznika Kawalera Poszukiwacza. Możesz to uznać za początek szkolenia.

Danny wytłumaczyła Yokaiemu, czego od niego potrzebuje. Najpierw przekazała mu wiadomość o śmierci Skrzydłowego – ograniczyła się do najważniejszych faktów, bez wchodzenia w szczegóły. Potem przeszła do rzeczy.

– Jest coś, co nazywa się Projekt Lilith – powiedziała. – Nie wiem co to, ale prawdopodobnie ma jakiś związek z korporacją Voynich. Muszę się dowiedzieć, o co chodzi i co ma z tym wspólnego słowo „Kusznik”.

– Nie możesz powiedzieć mi nic więcej?

– Gdybym mogła, chętnie bym to zrobiła, ale sama nie wiem nic więcej. Jesteś sprytny, potrafisz się dostać do różnych baz danych, więc zrób to, co najlepiej ci wychodzi: pobuszuj trochę w dżungli internetu. Mój znajomy z policji, ten, którego zabili, nie znał się na tym tak dobrze jak ty, a jednak udało mu się znaleźć jakiś trop na podstawie tych samych informacji, które przekazałam teraz tobie. Jeśli rzeczywiście uważasz się za dobrego materiał na Poszukiwacza, masz szansę to udowodnić.

Yokai się zamyślił.

– Voynich... – mruknął. – Jesteś pewna?

– Faro jest pewny, a on ma zwykle niezłą intuicję. – Danny pochyliła się w stronę Yokaiego. – Jeśli Projekt Lilith ma coś wspólnego z Voynichem, to w ich bazach danych powinna się znaleźć jakaś wzmianka na ten temat.

– No ładnie. Prosisz mnie, żebym spróbował obejść zabezpieczenia firmy, która

wynalazła Heimdalla, i pogrzebać trochę w ich archiwach. Łatwiej by mi było dostać się do Pentagonu w przebraniu skautki sprzedającej ciasteczka.

– Widziałam, do czego jesteś zdolny, więc dobrze wiem, o co cię proszę.

– Dobra, dobra – rzucił Yokai. – W porządku. Chciałem się tylko upewnić, czy dobrze cię zrozumiałem.

– Myślisz, że ci się uda?

– No pewka. Prawie mi staje na myśl o zrobieniu Voynicha w chuja. Połowa hakerów na świecie zaczęłaby mnie czcić jak boga. Nie mogę nic obiecać, ale spróbuję, choćbym miał stracić jaja.

– To właśnie chciałam usłyszeć.

Omówili jeszcze kilka szczegółów, ale niecierpliwy Yokai chciał jak najszybciej wziąć się do roboty. Wyszli razem z baru i Danny zaoferowała mu podwózkę do domu. Po jakiejś godzinie pożegnali się w ogrodzie pełnym strasznych figurek kretów-ogrodników.

– Odezwij się, kiedy coś znajdziesz – poprosiła Danny. – I uważaj na siebie. Nie chcę żałować, że przeze mnie maczasz w tym palce.

– Wolalbym zamoczyć w czymś innym – stwierdził Yokai z szelmowskim uśmiechem. – Spoko. Wszystko pod kontrolą.

Chłopak wysiadł z samochodu i nie oglądając się za siebie, wszedł do domu ciotki. Już za progiem rzucił okiem na stojącą na szafce przy drzwiach fotografię ojca ubranego w mundur. To był odruch, jak zrzucenie kurtki czy odłożenie kluczy. Ciotce często się zdarzało przy ścieraniu kurzu przesuwając zdjęcie i obracać je do ściany. Yokai pilnował, żeby podobizna ojca zwracała się w stronę drzwi, witała go zaraz po wejściu do domu. Na szczęście jęzda już od dłuższego czasu była poza domem, więc nie miała okazji niczego poprzestawiać – ramka stała tak, jak powinna.

Zjął bluzę i bezceremonialnie cisnął ją na podłogę. Poszedł do kuchni po zapasy i po chwili wspinał się już do sypialni z całym naręczem puszek red bulla i trzema wielkimi paczkami chipsów o smaku barbecue. To na przystawkę.

Wszedł do pokoju, włączył wszystkie graty i puścił na Spotify specjalną listę muzyki pomagającej się skoncentrować. Nazywał ją „muzą do roboty”: bite sześć godzin najróżniejszych kawałków, od hitów hardcorowego punka w rodzaju DKM, Bad Religion czy AC4 po utwory Outasighta i Ramones, a nawet UB40. Słowem – chaos. Yokai przekonał się już, że najlepiej pracuje mu się w chaosie, dlatego ta playlista tak mu pasowała.

Załóżyl na głowę olbrzymie słuchawki i natychmiast pogrążył się w rozkręconej na cały regulator piosence Chelsea Dagger The Fratellis. Zaczął kiwać głową do rytmu, otworzył paczkę i wepchnął sobie do ust garść chipsów.

Palce zatańczyły na klawiaturze. Stopniowo, z każdym kliknięciem myszki, Yokai zmieniał się z nastoletniego żarłoka w zerojedynkowego demona, ducha układu binarnego przenikającego przez kolejne zapory sieciowe. Ekran komputera stał się polem walki, a Yokai poruszał się po nim jak najbardziej doświadczony żołnierz i nie zostawiał po sobie ani śladu.

Czas płynął, odmierzany tylko kolejnymi utworami ze Spotify, które zastępowały wskazówki zegara. Za oknem zaszło słońce, potem zapadł mrok, ale Yokai – zamknięty

w swojej dźwiękoszczelnej bańce słuchawek – nawet tego nie zauważył.

Dotarł na próg Wielkiej Twierdzy. Siedziby Heimdalla i Sekretów Przyszłości, strzeżonych zazdrośnie przez Voynicha. Twierdza zamiast grubych murów miała linie kodu i szyfrów, a na system bezpieczeństwa składała się sieć hasel i pułapek. Przez długie godziny Yokai zmagał się z twardą jak stal ścianą. Nie było łatwo, ale tak pociągało go to wyzwanie, że każda kolejna porażka tylko go zachęcała, żeby się nie poddawać.

Yokai znalazł się na rzeczy i to lepiej, niż Danny – niż ktokolwiek – mógłby sobie wyobrazić. Bez wątplenia miał dar, ale tak czy inaczej był tylko nastoletnim chłopcem, a twierdzę Voynicha zaprojektowano w każdym szczególe tak, aby mogła się oprzeć atakom najtęższych umysłów świata.

Prędzej czy później musiał wpaść w pułapkę. Kiedy udało mu się już pokonać zabezpieczenia, których niemal nikt nie potrafiłby złamać, trafił wreszcie na wzmiankę o Projekcie Lilith i rzucił się na nią jak mucha na kroplę miodu. Niestety, wkrótce miał utopić się w baryłce.

Honeypot (dosłownie „baryłka miodu”) to zmyślna pułapka. Haker wykorzystuje wszystkie swoje zasoby, żeby się do niej dostać, nieświadomy, że w tym samym czasie system monitoruje jego działania, a nawet może go zidentyfikować. Zwykle Yokai z daleka rozpoznawał takie podpuchy, ale tym razem zgubiła go nadmierna pewność siebie.

Podczas gdy chłopak gonił za słodką przynętą, pracownik oddalonego o tysiące kilometrów centrum kontroli bezpieczeństwa zobaczył nagle na ekranie alert z numerem IP komputera Yokaiego. W Voynichu nie tylko wiedzieli więc, że ktoś próbuje ich zaatakować, ale dysponowali czymś nawet lepszym niż fotografia włamywacza.

Alarm błyskawicznie wrócił na kontynent europejski. W ciągu kilku minut uruchomiono protokoły bezpieczeństwa, tak tajne, że dosłownie kilka osób na całym świecie w ogóle wiedziało o ich istnieniu. Yokai nieświadomie wymierzył cios w serce przeciwnika, a ten w odpowiedzi wystawił najbardziej elitarne oddziały obronne.

Chłopak jednak nie miał o tym wszystkim pojęcia i nadal zawzięcie dobierał się do baryłki jak głupi, głodny niedźwiedź. Spędził sporo czasu na tej zabawie, ale nagle zaczął tracić koncentrację. Nie wykorzystał jeszcze całego arsenału środków i mógłby tak długo, gdyby nie głód i zmęczenie.

Zdjął słuchawki i westchnął głęboko. Chyba nadszedł czas, żeby chwilkę odsapnąć i zadzwonić po chińszczyznę. Wokół walały się torebki po chipsach i puste, zgniecione puszki po napojach energetycznych – krajobraz po bitwie.

Yokai odłożył słuchawki i zszedł na parter. Nagle usłyszał dźwięk zbliżającego się samochodu. Zdziwił się – ciotka miała wrócić dopiero za parę dni, a o tej porze mało kto zapuszczał się na ich ulicę. W okolicy stało zaledwie kilka domów, a zimą i tak większość pozostawała pusta.

Wyjrzał przez okno salonu. W świetle samotnej latarni zobaczył białą furgonetkę. Na boku pojazdu widniała niebiesko-czerwona gwiazda, a pod nią słowa: „Voynich Inc. Serwis techniczny 24 h”.

Mniejszy niepokój wzbudziłby w nim nawet radiowóz na sygnale. Furgonetka

niewątpliwie kierowała się w stronę jego domu. Yokai uznał, że wpadł w kłopoty.

Z pomocą przyszła mu nastoletnia fantazja: naoglądał się tylu filmów, że dobrze wiedział, co musi zrobić. Pobiegł do kuchni i otworzył drzwi prowadzące do ogródka na tyłach, a potem wrócił do sypialni. Jeszcze na schodach usłyszał dzwonek do drzwi.

Nie miał najmniejszego zamiaru sprawdzać kto tam.

Wpadł do pokoju i zamknął drzwi. Znowu dzwonek. Chłopak podszedł do okna wychodzącego na mały daszek. Spędził tam wiele bezsennych nocy – palił po kryjomu papierosy i nie musiał się obawiać, że zapach dymu dotrze do pokoju ciotki. Otworzył okno i wyszedł. W tej samej chwili usłyszał, że ktoś otwiera drzwi wejściowe.

Yokai wyskoczył na dach i schował się z dala od okna, które niechcący zostawił otwarte. Noc była ciemna, bezksiężycowa, a dodatkowo ta strona domu wychodziła na góry. Nikt nie powinien więc odkryć jego kryjówki.

Podczołgał się w stronę mansardy i nagle z sypialni dobiegł go huk – ktoś wyważył drzwi. Potem usłyszał dwa męskie głosy.

– Nic? – zapytał jeden.

– Pusto – odparł drugi.

– Na dole, w kuchni, jest tylne wyjście. Drzwi są otwarte, jakby ktoś wybiegł w pośpiechu.

– Myślisz, że nas widzieli?

– Nie wiem, ale patrz. – Zawiesił głos. – Komputer jest włączony. Sprawdź, czy IP się zgadza.

Yokai przywarł do ściany. Miał nadzieję, że żadnemu z intruzów nie przyjdzie do głowy wyjrzeć przez okno na dach. Próbował zachowywać się jak najciszej, ale z zimna drżały mu nogi. Podleciał do niego malutki nietoperz. Kiedy Yokai szarpnął się, żeby uniknąć spotkania z roztrzepotanym ssakiem, z dachu odłamał się kawałek gzymsu i spadł na ziemię z odgłosem, który chłopakowi wydał się głośniejszy od huku walącego się miasta. Zacisnął powieki i wstrzymał oddech.

Nikt nie podszedł do okna.

– IP się zgadza – powiedział jeden z mężczyzn. – Ktokolwiek włamał się do naszej bazy danych, zrobił to z tego sprzętu.

– Zabieramy?

– Nie. Zatopimy temu piratowi statek, może to go nauczy, żeby nie zadzierać z nieodpowiednimi ludźmi.

Yokaiego dobiegły hałasy i brzęk tłuczonego szkła. Nie widział, co ci faceci rozwalają, ale cieszył się, że nie ma go w pokoju.

– Trochę szkoda grata. To jeden z tych droższych – stwierdził jeden z intruzów. – No dobra, spadamy.

Dało się słyszeć cichnące kroki mężczyzn, a kilka minut później Yokaiego dobiegł dźwięk odpalanego silnika. Furgonetka odjechała spod domu.

Chłopak na wszelki wypadek odczekał jeszcze chwilę. Kiedy uznał, że intruzi oddalili się na bezpieczną odległość, wśliznął się przez okno do pokoju, gdzie ujrzał obraz nędzy i rozpacz: komputer został roztrzaskany na kawałeczki. Zbiry nie miały litości, ani jedna część nie została się nietknięta.

– Skurwysyny – wycedził przez zęby. – Zajebisty serwis techniczny, naprawdę.

Niby się go trzymały żarty, ale tak naprawdę był przerażony. Wolał nawet nie myśleć, co mogliby zrobić ci ludzie, gdyby go znaleźli. Wizja samotnego siedzenia w domu wydała mu się nagle mocno nieprzyjemna. Nie wiadomo, czy tamci po niego nie wrócą, może nawet w tej chwili go szukają.

Chciał zadzwonić do Danny, ale wyobraźnia znowu doszła do głosu: a jeśli go śledzą? Nie może doprowadzić ich do Poszukiwaczki i również jej narazić na niebezpieczeństwo.

Odrzucił opcję zawiadomienia policji. Danny zobowiązała go do milczenia, więc nie puści pary z ust, choćby się walilo i paliło. Jeśli chciał zostać Poszukiwaczem (a pragnął tego z całego serca), musiał się nauczyć postępować tak jak oni.

Najlepiej będzie się ukryć – stwierdził. W jakimś dyskretnym miejscu, gdzie nikt go nie znajdzie.

Yokai zapakował parę rzeczy do plecaka. Po chwili wahania dorzucił też egzemplarz Żywotów... Vasariego. Czytał je właśnie po raz kolejny i nie zamierzał pozwolić, żeby ci dranie z Voynicha pozbawili go kolejnego elementu codziennej rutyny, tak jak zniszczyli mu komputer. Odniesie nad nimi moralne zwycięstwo... Czy jakoś tak.

W ceramicznym hełmie Dartha Vadera miał jeszcze trochę pieniędzy. Schował je i zszedł do kuchni, gdzie dopełnił plecak puszkami napojów gazowanych. W końcu zostawił liścik dla ciotki – nabazgrał parę słów i przyczepił świstek magnezem do drzwi lodówki: „Wyjeżdżam na parę dni”. Nie musi wiedzieć więcej. Na pewno wręcz się ucieszy, że na jakiś czas będzie miała z nim spokój. Nie pierwszy raz Yokai zniknął bez wyjaśnień.

Miał paru znajomych, u których mógł przeczekać kilka dni – tyle, żeby odzyskać jasność umysłu i zdecydować o dalszych krokach. Wiedział, że musiał popełnić jakiś błąd przy próbie włamania do systemu Voynicha – pewnie jak ostatnia ofiara wpadł w pułapkę honeypota i dlatego tak szybko go namierzyli. Następnym razem zachowa większą ostrożność.

Ci debile, którzy zmasakrowali mu komputer, nie mieli pojęcia, z kim zadzierają. Zamierzał dać im nauczkę.

Z mocnym postanowieniem zemsty Yokai wyszedł z domu w ciemną noc.

CZEŚĆ CZWARTA

ŁAŃCUCH PROROKA

Musa i Zielony Prorok szli dalej, aż do miasta na zboczu urwiska. Musa powiedział: „Czy to nie kraina ludzi ptaków, ojczyzna Tellemów i Nummów? Chyba przebyliśmy długą drogę”. Zielony Prorok przytaknął i rzekł: „W rzeczy samej. Bóg obdarzył ich umiejętnością drążenia domów w skale, poszukiwania wody pod ziemią oraz pożywienia pośród głazów. Dlatego wychwalają Go i postępują sprawiedliwie”.

Musa powiedział: „Ach! Wiem, że Tellemowie są prawi i sprawiedliwi, w przeciwieństwie do Nummów, sławiących prastare bóstwa łaknące krwi”.

Zielony Prorok potwierdził: „Mówisz prawdę. Nummowie są źli, a ich wierzenia obrażają Boga. Powinno się ich raczej zwać ludźmi węzami, a nie ludźmi ptakami, bo są jadowici i czają się pośród skał, by ukąsić podróżnika w stopę”.

Musa i Zielony Prorok dotarli do wyschniętego pustkowia. Kiedy Zielony Prorok postawił na nim swoje stopy, wyrosło tam tysiąc drzew, pełnych soczystych owoców, z ziemi wytrysnęła rzeka, a płynąca w niej woda nappełniła miejsce życiem. Tak oto dawne pustkowie stało się Nieprzemijalną Oazą.

Zielony Prorok rzekł wówczas: „Nadszedł czas, by wyjaśnić ci wszystko, na co nie chciałeś cierpliwie czekać. Ukradłem więc ster z łodzi tych rybaków, by nie mogli wyruszyć na połów, wiedziałem bowiem, że ściga ich pirat, który chce ich pozabijać i przywłaszczyć sobie łódź. W ten sposób byli bezpieczni na brzegu, reperując ster.

Zabiłem tego chłopca, bo wiedziałem, że wyrośnie na złego i bezlitosnego mężczyznę, który przysporzy zgryzoty swoim rodzicom. Allah obdarzy ich w zamian kochającym i prawym potomkiem.

Naprawiłem mur, gdyż wiedziałem, że znajduje się pod nim skarb, należący do dwóch osieroconych chłopców z tego miasteczka. Ich ojciec był prawym człowiekiem, a Bóg chciał, by znaleźli skarb, kiedy dorosną, a gdyby mur się rozsypał i odsłonił go przed czasem, przywłaszczyliby go sobie źli mieszkańcy miasteczka.

Oto znaczenie wszystkiego, na co nie chciałeś cierpliwie zaczekać”.

Musa uklęknął i powiedział: „Teraz już rozumiem. Jesteś mędrcom nad mędrkami, gdyż to Allah obdarza cię swoją mądrością”.

Zielony Prorok przytaknął: „Tak właśnie jest. Wszelka mądrość pochodzi od Allacha i tylko On ją rozumie. Twój Pan chce teraz, byś ty posiadał wiedzę, która pozwoli ci wypełnić Jego wolę”.

I tak Zielony Prorok poprowadził Musę do serca Nieprzemijalnej Oazy. Tam Musa zobaczył coś tak cudownego, czego nie widział nigdy wcześniej. I splendor Allacha olśnił go, a jego serce przeppełniło się światłem i wiedzą.

Musa rzekł: „Pochwalony niech będzie Pan, jedyny Bóg całego wszechświata! Cóż to za skarb, który mam przed sobą?”.

A Zielony Prorok odparł: „Imię nad Imionami. Słowo Stworzenia”.

PISMO HIERATYCZNE

Segu to niewielkie miasto leżące nad brzegami Nigru, w połowie drogi między Koulikoro i Mopti.

Zanim rak džihadu zaczął toczyć kraj, malijski rząd kusił turystów, opisując Segu jako urocze miasteczko z szerokimi alejami pełnymi historycznych budynków i tętniących życiem targów, najwspanialszych w całej Afryce. Jeśli brać poważnie przewodniki turystyczne napisane przed wojną salaficką, można by pomyśleć, że Segu to subsaharyjska wersja Paryża.

Przekonałem się jednak naocznie, że miasto jest tylko konglomeratem niskich domków, stojących przy wytyczonej regularnie siatce ulic. Przestronne aleje okazały się pozbawionymi chodników drogami z ubitej ziemi, przy których rosły bujne sykomory. Pod szumną nazwą „historyczne budynki” kryły się opuszczone ruiny w stylu, który jedynie obdarzony dużą dozą dobrej woli podróżnik mógłby uznać za kolonialny.

Nad rzeką ciągnęła się droga, czy też jak głosiły przewodniki – „bulwar”, oddzielona od Nigru zwykłym kamiennym murkiem. W nocy za jedyne oświetlenie służyły księżyc i gwiazdy. Tu właśnie znajdował się słynny targ: przedstawiciele rozmaitych ludów zamieszkujących Mali rozkładali swoje towary wprost na leżących na ziemi płachtach. Były tam drewniane rzeźby i przedmioty użytkowe, i plastikowe kubły pełne suszonych ryb (i innych zwierząt, których przynależności gatunkowej wolałem nie odgadywać). Sprzedawcy obsługiwali klientów przycupnięci na taboretach. Między stoiskami krążyły ubrane w kolorowe tkaniny kobiety, balansujące sprawnie pomimo wielkich koszy, jakie niosły na głowach. Całość przywodziła na myśl wielkie targowisko na przedmieściach o nieco egzotycznym klimacie.

Pewnie w innych okolicznościach z przyjemnością napawałbym się atmosferą, ale myślami znajdowałem się zupełnie gdzie indziej. Nawet najbardziej urocze miasto świata nie poprawiłoby mi w tym momencie nastroju.

Po ucieczce z Miasta Umarłych Hydra, Enigma i ja udaliśmy się do Segu z tego prostego powodu, że było najbliżej. To Hydra tak postanowiła, a ja byłem jej wdzięczny, bo nie mogłem myśleć o niczym innym jak o Bańce znikającym pod lawiną gliny.

Przebyliśmy tę trasę pogrążeni w rozpacz i milczeniu. Każde z nas w samotności próbowało pogodzić się z tragedią, która nas spotkała. Całe szczęście, że Hydra potrafiła zapanować nad smutkiem i wykazała się inicjatywą, Enigma i ja byliśmy tak przygnębieni, że nie podjęlibyśmy żadnej racjonalnej decyzji.

Dotarliśmy do Segu o świcie. Hydra znalazła położony na obrzeżach miasta hostel o nazwie Hôtel Victoire. Nazwa wydała mi się kiepskim dowcipem. Hostel prowadziła para sympatycznych Niemców, którzy zapewne stworzyli go w pomyślniejszych czasach. Za urokliwą fasadą z niepalonej cegły, imitującą tradycyjną architekturę malijską (która

wywołała we mnie nieprzyjemne wspomnienie meczetu w Kolodugu), kryło się całkiem przyzwoite miejsce, czyste, funkcjonalne, z interesującym wystrojem bazującym na sztuce ludowej, wyposażone w wygody, o których już zdążyliśmy zapomnieć: bar, łóżka z moskitierami, pokoje z łazienkami, gdzie z kranu leciała ciepła woda. Niestety smutek nie pozwalał mi cieszyć się tymi luksusami.

Umówiliśmy się na kolację. Byliśmy przygnębieni, potrzebowaliśmy odpoczynku i samotności, by wylizać rany. Ja osobiście najbardziej potrzebowiałem oswoić się z myślą, że straciliśmy Bańkę. Rzuciłem się na łóżko, mając nadzieję, że zmorzy mnie sen. Ale sen nie nadchodził. Kiedy zamykałem oczy, w pamięci stawały mi sceny, wszystkie związane z Bańką. Widziałem go w absurdalnym przebraniu kata, które miał na sobie, gdy poznałem go w Canterbury, przypominałem sobie naszą pierwszą rozmowę, kiedy, przedstawivszy się jako pan Burgos, nadzorował nasze egzaminy do Narodowego Korpusu Poszukiwaczy. Każde wspomnienie było jak sypanie soli na świeżą ranę. Smutek był tak namacalny, że czasem przygniatał mi pierś i nie mogłem zaczerpnąć oddechu.

Pogodziłem się z tym, że nie uda mi się zmrużyć oka, wyszedłem więc z budynku i ukryłem się w kącie ogrodu. Pod rozłożystym drzewem stało kilka leżaków, z których można było podziwiać piękny widok na rzekę. Usiadłem na jednym z nich, całkiem opętany wspomnieniami, i paliłem papierosa za papierosem.

Miałem przy sobie skarb Armów. Sądziłem, że przyglądając mu się uważnie, zdołam zapomnieć o Bańce. Nie zdołałem. Dotykałem bezwiednie złotej Cegły, nie mogąc opędzić się od myśli o zmarłym Poszukiwaczu.

Dopiero po dłuższej chwili zauważyłem, że nie jestem sam. Enigma przysiadła się do mnie, ale nie odzywała się słowem. Siedzieliśmy tak w milczeniu, żadne z nas nie odważyło się przerwać ciszy.

– Zdrzemnąłeś się trochę? – zapytała w końcu.

Nie odpowiedziałem. Nie miałem nawet pewności, że usłyszałem pytanie.

– Przepraszam – powiedziała. – Powinna była się domyślić, że chcesz być sam.

Zrobiła ruch, jakby chciała wstać z leżaka.

– Nie. Zostań ze mną, proszę – odparłem. – Opowiedz mi coś. Cokolwiek. Muszę... – Zamilkłem. Nie mogłem znaleźć właściwych słów, jakbym nagle stracił zdolność mówienia.

Uśmiechnęła się ciepło.

– Musisz przestać myśleć? Przynajmniej na chwilę?

– Chyba tak.

Byłem wykończony. Zasłoniłem twarz dłońmi i na moment zamarłem w bezruchu. Siedziałem jak ptak chowający głowę pod skrzydłem. Enigma źle odczytała mój gest i podała mi chusteczkę.

– Schowaj to – mruknąłem. – Na razie jej nie potrzebuję.

– Cieszę się. Nigdy nie wiedziałam, jak zareagować na widok płaczącego mężczyzny. – Zrobiła pauzę. – Nie powinniśmy go opłakiwać, Faro. Nie warto, wiesz o tym, prawda?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Opłakuje się jedynie zmarłych. Inne łzy to tylko strata czasu.

– Widziałem, jak go postrzelili.

– Ja też. I widziałam, jak wali się na niego ściana. A mimo wszystko nie wierzę, że umarł. Nie znałeś go tak dobrze jak ja, Bańka zawsze miał szczęście. Posłuchaj mnie, on żyje. Tylko... na chwilę wypadł z gry.

Zrobiło mi się żal Enigmy. Każdy z nas starał się uporać ze stratą na swój sposób i Poszukiwaczka chyba postanowiła nie dopuszczać prawdy do wiadomości. Mogłem ją przekonywać, żeby pogodziła się z rzeczywistością, ale wydało mi się to okrutne i niepotrzebne. Miała prawo zrobić ze swoim bólem, co chciała.

– Wydajesz się całkiem pewna, że Bańka żyje.

Wzruszyła ramionami.

– Oczywiście, a dlaczego nie? Sądzę też, że Cesarowi również udało się uciec, ten chłopak umie wymknąć się z tarapatów. Obaj są bezpieczni, może nawet uciekli razem? A my tymczasem powinniśmy szukać dalej. Na tym polega nasza misja, Faro.

– To całkiem kusząca perspektywa – wyszeptalem, czując, że opuszczają mnie siły.

– Więc przywiąż się do niej! To lepsze niż pochlipywanie pod drzewem. Nie możemy sobie na to pozwolić. Przynajmniej nie w tej chwili. – Enigma odgarnęła mi włosy z czoła, jakby chciała mnie zmusić, żebym spojrzał jej w oczy. – Może się okazać, ale to tylko jedna z wielu możliwości, że kiedy skończymy poszukiwania, wrócimy do domu, a Bańki z nami nie będzie. Gdyby tak się stało, zapłaczymy razem, ale na razie nie pozwolę ci na lamenty. A ty powinienes odwdziaczyć się tym samym. Nie damy się rozpaczy, zgoda?

Przytaknąłem. Oczy Enigmy emanowały pięknym, zielonym blaskiem. Spróbowałem wygiąć usta w uśmiechu. Blady, rachityczny, wymuszony uśmiech, ale sam fakt, że próbowałem, wydał mi się bohaterstwem.

– Tak, będziemy się wspierać. To... to chyba dobry pomysł.

Enigma poklepała mnie po policzku.

– Właśnie to, mój ukochany Tirso. Ty też musisz się postarać. Nie zostawiaj mnie z tym samej, proszę...

Pokręciłem głową.

– Nie zrobię tego.

– Dobrze. Pamiętaj, będę miała na ciebie oko. – Poszukiwaczka spojrzała na Cegłę ze złota, którą cały czas trzymałem w dłoniach. – A co dokładnie zamierzasz z tym zrobić?

Musiałem zdobyć się na olbrzymi wysiłek, żeby odpowiedzieć na to pytanie. Jakbym zaczynał toczyć bardzo ciężki głaz.

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem.

– Najwyższa pora, żeby to zrobić. Yoonah i jego Ludzie Piasku depczą nam po piętach i z pewnością nie tracą czasu na użalanie się nad sobą.

– Nie wiedzą, jaki jest następny krok, my tak. To nam daje sporą przewagę.

– Ale nie wiadomo, jak długo zdołamy ją utrzymać. Lepiej nie chwalcmy dnia przed zachodem słońca. – Moje myśli znów chciały popłynąć w niepożądanym kierunku, ale Enigma do tego nie dopuściła, czym prędzej zadała mi kolejne pytanie: – Jak się nazywało to miasto z mapy w meczecie?

– Ogol – odparłem nie od razu, bo nie mogłem sobie przypomnieć nazwy. Wydawało mi się, że słyszałem ją sto lat temu.

– Musimy je znaleźć.

- Tak. Imam mówił, że być może znajduje się w Kraju Dogonów.
- Sprawdźmy to. Hydra dobrze zna Mali, może zdoła nam pomóc.
- Może... – Westchnąłem bez krzty entuzjazmu.

Enigma wyjęła mi Cegłę z rąk i przyjrzała się jej uważnie.

– Widziałeś, że z obu stron wyryto na niej jakieś znaki? – zapytała.

– Tak. Nie wiem, co to jest.

– Naprawdę? Rozczarowujesz mnie, Faro. Przecież jesteś niezły w te klocki. – Stanowczym ruchem położyła Cegłę na moich kolanach. – Przyjrzyj się uważnie. I nie myśl o niczym innym.

Wiedziałem, po co to robi. Miała dobre intencje i dziękowałem jej w duchu, ale oczekiwała ode mnie wysiłku, którego nie czułem się na siłach podjąć. Moje myśli wciąż krążyły wokół Bańki i nie mogłem nic na to poradzić. To było silniejsze ode mnie.

– To tylko jakieś nacięcia – powiedziałem, macając Cegłę bez większego zainteresowania. – Naprawdę nie mam pojęcia, o co chodzi.

– Nie starasz się, kochanie. Spróbuj jeszcze raz.

– Mam wrażenie, że już rozwiązałaś zagadkę.

– Mój drogi, znam tyle rodzajów pisma, że mogłabym napisać autobiografię w tuzinach martwych języków. Oczywiście, że wiem, co to jest, ale chciałabym usłyszeć to od ciebie.

– Proszę, nie mam ochoty na zgadywanki.

– Tirso – powiedziała z wyrzutem. – Obiecałeś mi to. Pamiętasz?

Miała rację.

Westchnąłem i znów zacząłem bacznie przyglądać się Cegle. Obracałem ją w dłoniach, nie przestając mamrotać pod nosem:

– Przysięgam ci, że nie mam zielonego pojęcia, co to za znaki. Cholera, w przeciwieństwie do ciebie nie jestem żadnym ekspertem, nie wiem, co tu jest napisane.

Byłem tak zajęty protestowaniem jak uparte dziecko, że nawet nie zauważyłem, kiedy przestałem myśleć o Bańce. Obracałem Cegłę w dłoniach, nieustannie pomstując, aż nagle mój wzrok przykuł znak, który wydał mi się znajomy.

Potem drugi, w końcu trzeci.

– O rany – wyjąkałem. – Przecież to hieratyczne pismo egipskie.

Enigma uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Brawo, Faro.

Nie słyszałem jej słów. W skupieniu szukałem znanych mi symboli. Mogłem rozpoznać dużą część z nich.

Jak wspominałem wcześniej, interesuję się kulturą starożytnego Egiptu. Każdy jej miłośnik wie, że Egipcjanie rozwinęli trzy rodzaje pisma: hieroglificzne, hieratyczne i demotyczne.

Alfabet hieratyczny przypomina niewprawnemu obserwatorowi nieczytelne zawijasy: kreski i kółka. To schematyczna, uproszczona wersja kwiecistych hieroglifów, wymyślona przez starożytnych skrybów, by szybciej notować. Mogłem wprawdzie zidentyfikować system notacji, ale nie potrafiłem go odczytać, a tym bardziej przetłumaczyć. Niestety nigdy nie zdołałem się tego nauczyć. Już i tak wycierpiałem swoje, wkuwając łacinę, i uważam, że w dziedzinie języków martwych nie osiągnę więcej.

– Rozumiesz, co tu jest napisane? – zapytałem Enigmę.

– Ani słowa. Rozpoznaję te znaki, ale nigdy nie nauczyłam się ich czytać. – Poszukiwaczka westchnęła z rozczarowaniem. – Gdyby chodziło o alfabet grecki albo cyrylicę, mogłabym ci pomóc, ale to dla mnie zbyt trudne.

Patrzyłem na Cegłę ze ściągniętymi brwiami. Tekst zapisany alfabetem hieratycznym sprawiał, że nasze poszukiwania nabrały nowego wymiaru. Do tej pory zdawało mi się, że skarb Dżaudara Paszy był związany jedynie z kulturą Mali. Nie spodziewałem się, że pojawią się również Egipcjanie.

– Kiedy rozwinęło się pismo hieratyczne? – spytałem.

– To łatwe pytanie: zaczęto je stosować mniej więcej dwa tysiące pięćset lat przed Chrystusem, a wyszło z użycia około trzeciego wieku naszej ery.

– Z czego wynika, że ta Cegła ma co najmniej tysiąc siedemset lat, i jeśli naprawdę ma służyć do odnalezienia skarbu Dżaudara Paszy, skarb ten musi być co najmniej równie stary... – Szczypałem się w brodę, zafrapowany. – Jest coś, czego nie rozumiem.

– Co takiego, złotko?

– Nic tu się nie składa w całość. Co robi staroegipski tekst na złotej cegle ukrytej w malijskim meczecie? Czy ma służyć za wskazówkę pozwalającą odnaleźć skarb Dżaudara Paszy? A jeśli tak, to kto zostawił te wszystkie wskazówki? Wcześniej sądziłem, że zrobił to Dżaudar Pasza, ale teraz. – Cmoknąłem zniecierpliwiony. – Wiele bym dał, żeby się dowiedzieć, co tu jest napisane.

– Na razie zapisz tekst na kartce. Nie będziemy musieli nosić ze sobą tego cacka. Lepiej nie kusić losu.

– Dobry pomysł – powiedziałem. Wstałem, żeby poszukać czegoś do pisania. Zobaczyłem swoje odbicie w okiennej szybie. Wyglądałem jak członek oddziału, który stoczył właśnie ciężką bitwę. – O mój Boże. Muszę wziąć prysznic. Potrzebuję też nowych ubrań.

– Zgadzam się w pełni. Idź, wykąp się, ja tu na ciebie poczekam. Potem pójdziemy kupić sobie jakieś ciuchy, w których nie będziemy wyglądać jak rekruci. Dobrze nam to zrobi.

– Fantastycznie. Za chwilę jestem z powrotem.

Cały czas rozmyślając o tekście wrytym na Cegle i związanych z nim zagadkach, udałem się szybkim krokiem do pokoju. Kiedy usiadłem na łóżku, żeby zdjąć buty, zamknąłem na chwilę oczy... Tak przynajmniej mi się wydawało.

Kiedy otworzyłem je znowu, spojrzałem na zegarek i uświadomiłem sobie, że spałem prawie cztery godziny. Wreszcie udało mi się zasnąć.

Muszę przyznać, że drzemka dobrze mi zrobiła.

Zmysły Enigmy potrafiły uchwycić rzeczy, które uchodziły uwagi zwykłych śmiertelników. Była niezwykła, jak czterolistna koniczyna albo puchar pełen złotych monet.

Tylko Enigma potrafiła dokonać czegoś takiego: sprawić, że śmierć Bańki nie przynębiła mnie totalnie, chociaż sama musiała odczuwać jego stratę co najmniej równie boleśnie jak ja. Pomogła mi się podnieść, kiedy było mi tak smutno, że nie potrafiłem ruszyć się z miejsca, i przypomniała, że nasze poszukiwania zaszły tak daleko, iż

porzucenie ich teraz zwyczajnie nie wchodziło w grę. Nie wiem, jak to zrobiła, ale jestem pewien, że nikt na jej miejscu by tego nie osiągnął.

Kiedy spotkałem się z nią po nieplanowanej drzemce, nie robiła mi wyrzutów, jakby z góry zakładała, że nade wszystko potrzebuję odpoczynku. Potem zaciągnęła mnie na targ w Segu, żeby kupić nowe ubrania. Nie wspominaliśmy słowem o Bańce ani Cesarze, zawarliśmy umowę, że odsuniemy od siebie te myśli, by skoncentrować się na najpilniejszych sprawach. Jej siła udzielała się i mnie, nie chciałem czuć się słabszy niż ona.

Kupiliśmy kilka niezbędnych rzeczy i wróciliśmy do hostelu, żeby się przebrać. Pozbyłem się zdobytego przez Hydre wojskowego wdzianka z przyjemnością, z jaką człowiek pozbywa się złych wspomnień.

Nowe ubrania nie były wprawdzie najlepszej jakości, ale przynajmniej nowe. Może zabrzmiało to przewrotnie, ale zapewniam, że kiedy umknie się śmierci na afrykańskim cmentarzu, nie koi nerwów tak jak przebranie się w czyste ciuchy. Tamtego dnia nabrałem pewności, że legendarni podróżnicy, od Kolumba po Amundsena, zawsze mieli przy sobie bieliznę na zmianę, chociaż historyczne księgi uparcie o tym milczą.

Zapadła noc, a my udaliśmy się na kolację z Hydrami. Sprawiała wrażenie wypoczętej, ale wyraźnie przygnębionej. Wspomniała o Bańce i Cesarze tylko przelotnie, jakby też doszła do wniosku, że powinna iść dalej, nie oglądając się za siebie.

Podziwiałem jej siłę i oczywiście cieszyłem się, że mamy tak odważną towarzyszkę, ale zacząłem się zastanawiać, czemu nadal jest z nami. Teraz, kiedy wyjechaliśmy już z Kolodugu, nie potrzebowaliśmy jej tak bardzo jak wcześniej.

Chociaż bardzo bym tego żałował, uważałem, że zgodnie z logiką odłączy się od nas w Segu i podąży własną drogą. Powiedziałem jej to bez ogródek.

Ona pokręciła głową.

– O nie, kolego. Mam was zostawić na pastwę losu w obcym kraju? Chyba nie chcę wiedzieć, jakie masz wyobrażenie o bondach, ale powiem ci jedno, nigdy nie opuszczamy towarzyszy. Poza tym, po wszystkim, co przeszłam, sądzę, że mam prawo się przekonać, czym jest ów niesamowity skarb, którego tak gorliwie szukasz.

Byłem jej wdzięczny z całego serca. Zaczynałem odczuwać nieklamany podziw dla byłej Poszukiwaczki i zastanawiałem się, czemu Bańka miał z nią na pieńku.

Zaczęliśmy więc razem planować kolejne kroki. W pierwszej kolejności powinniśmy się dowiedzieć, gdzie leży miejsce zwane Ogolem, zaznaczone na mapie w meczecie. Hydra również nie miała pojęcia, gdzie go szukać, nie znaleźliśmy go też na starej mapie drogowej nabytej na targu.

– Nie dziwi mnie to specjalnie – przyznała Hydra. – Dziś niełatwo o dobrą mapę Mali, na której byłyby zaznaczone wszystkie wioski i maleńkie miejscowości. Najlepszymi mapami dysponuje oczywiście wojsko.

– Więc powinniśmy taką zdobyć – powiedziałem.

– Jeśli uda mi się nawiązać kontakt z Ireną, mogłabym ją poprosić, żeby wyciągnęła jakąś z bazy EUTM i nam ją dostarczyła, ale to potrwa, sama nie wiem jak długo.

– Nie podoba mi się pomysł, że mamy tu tkwić jak kołki. Ludzie Piasku Yoonaha mogliby nas ubiec.

– To prawda. – Hydra się zamyśliła. – Przez całe popołudnie zastanawiałam się nad tym Yoonahem. Dlaczego ktoś taki jak on kradnie dzieła sztuki z bandą najemników? Nie potrafię sobie tego wytłumaczyć.

Odpowiedź na to pytanie była zbyt skomplikowana i pełna zagadek, których sam nie zdołałem jeszcze rozwikłać, wołałem więc nie wspominać o Voynichu i jego mackach. Obiecałem sobie, że przy najbliższej okazji podzielę się z Hydrą moimi podejrzeniami. W tamtej chwili nie czułem się na siłach, żeby to zrobić.

– Mam pewien pomysł – wtrąciła Enigma. – Faro uważa, że Ogol może się znajdować w Kraju Dogonów. Czemu tam nie pojechać i po prostu zapytać? Pewnie trafimy w końcu na kogoś, kto będzie wiedział, gdzie to jest.

– No nie wiem... – odparłem.

– Czemu wcale mnie to nie dziwi? Mężczyzna, który wstydzi się zapytać o drogę. – Hydra najwyraźniej drwiła sobie ze mnie. – No więc mnie to rozwiązanie wydaje się całkiem sensowne. Nikt nie zna kraju lepiej niż jego mieszkańcy, a Dogoni słyną z gościnności. Zwykle dobrze traktują przyjezdnych.

– No dobra: dwa głosy za, jeden przeciw. Żeby nikt mi potem nie wypominał, że nie słucham opinii większości. A gdzie właściwie znajduje się ten Kraj Dogonów?

Hydra pokazała nam na mapie pas na południowym wschodzie kraju, między rzeką Niger a granicą z Burkina Faso.

– Dokładnie tu, w rejonie Bandiagary. Od wieków Dogoni żyją tam w swoich osadach na zboczach wąwozów.

– Trudno dotrzeć do ich krainy? – zapytałem.

– Nie. Możemy pojechać szosą do Mopti. To jakieś czterysta kilometrów stąd. Kiedy w Mali było jeszcze bezpiecznie, to właśnie z Mopti wyruszały wycieczki do Bandiagary. Tam na pewno znajdziemy przewodnika, który zabierze nas do Kraju Dogonów.

– W takim razie potrzebny nam tylko samochód – zauważyłem.

– Już jeden mamy, kochanie – odrzekła Enigma. – Ten, który ukradliśmy Ludziom Piasku, już zapomniałeś?

– Nie możemy tym jeździć, to wojskowy dzip. Ma broń przymocowaną do karoserii.

– Mogę się tym jutro zająć, potrzebuję tylko odpowiednich narzędzi – zaproponowała Hydra. – No i zabierze mi to trochę czasu.

– Trudno. Nie chcę jeździć po kraju jak Mel Gibson w *Mad Maksie*. Poszukiwacze działają po cichu, nie chcę zwracać na siebie uwagi.

– Jak sobie życzysz, panie Poszukiwaczu. – Hydra patrzyła na mnie rozbawiona, jakbym powiedział coś śmiesznego. – Zapomniałam, że my, bondowie, nie mamy pojęcia, jak działać ukradkiem.

Obawiałem się, że kłótnia wisi w powietrzu, więc czym prędzej zmieniłem temat.

– Jest jeszcze jedna rzecz, która nie daje mi spokoju. – Położyłem na stole kartkę z inskrypcjami, które wyryto na złotej Cegle. – Powinniśmy to przetłumaczyć. Czy w Mopti znajdzie się ktoś, kto potrafi to zrobić?

– Może nie będziesz musiał czekać tak długo – odparła Hydra. – Tutaj w Segu ma siedzibę jeden z nielicznych w tym kraju uniwersytetów. Oczywiście to nie Oxford, ale nie zaszkodzi zajrzeć i zapytać.

Uzgodniliśmy, że następnego ranka Hydra zajmie się zdemontowaniem broni z naszego samochodu, podczas gdy Enigma i ja udamy się na uniwersytet w poszukiwaniu tłumacza.

Skończyliśmy kolację i rozeszliśmy się do swoich pokoi. Enigma odprowadziła mnie pod same drzwi, jakby chciała się upewnić, że szczęśliwie dotrę na miejsce. W drzwiach ucałowała mnie w policzek i uśmiechnęła się.

– Świetnie ci idzie.

– Jesteś przy mnie, to mi bardzo pomaga. – Spróbowałem również się uśmiechnąć, ale wyszedł mi chyba nieudolny grymas. – On żyje, prawda? Nadal tak uważasz?

– Oczywiście, słoneczko. Myśl o tym za każdym razem, kiedy poczujesz, że dopada cię zwątpienie.

Ale jej spojrzenie mówiło zupełnie co innego niż słowa. Wyczytałem z niego, że, podobnie jak ja, sądzi, iż Bańka nie żyje. Nie zmartwiłem się tym zbytnio, jej kłamstwo dodawało mi sił. I tylko to miało wówczas znaczenie.

Poszedłem za jej przykładem i postanowiłem zachować łzy na potem. Z tą myślą w głowie wskoczyłem do łóżka i zamknąłem oczy. Podejrzewałem, że znów będę miał problemy z zaśnięciem, ale wbrew tym przypuszczeniom mój umysł wyłączył się po krótkiej chwili, jak urządzenie, które odłączono od prądu.

Gmach główny uniwersytetu w Segu okazał się niewielkim, dwupiętrowym budynkiem, przypominającym raczej nadmorski hotelik niż wyższą uczelnię.

Do głównego wejścia prowadziły olbrzymie schody. W środku ruch był stosunkowo niewielki. Weszliśmy najpierw do zupełnie pustego korytarza i zauważyliśmy siedzącą za biurkiem kobietę. Podeszliśmy do niej, żeby poprosić o wskazówki.

Nastąpiła długa seria pytań i odpowiedzi, po której rozpoczęliśmy niekończącą się pielgrzymkę po pokojach kolejnych pracowników, odsyłani od wykładowcy do wykładowcy. Każdy z nich, usłyszawszy o naszym problemie, drapał się tylko w głowę, a potem odsyłał dalej, jak paczkę, której nikt nie ma odwagi otworzyć.

W końcu jakiś adiunkt na wydziale socjologii wpadł na nieco lepszy pomysł niż fundowanie nam kolejnej przechadzki po uniwersyteckich korytarzach. Zadzwoił gdzieś, potem wykonał drugi telefon i poprosił, żebyśmy za nim poszli. Miał nam kogoś przedstawić.

Udaliśmy się więc do *auditorium maximum*. W pustej auli za katedrą siedział czarnoskóry mężczyzna, o głowie ciemnej i lśniącej jak ziarenko kawy, z wąsikami przetykanymi siwymi pasmami. Pochylał się nad stertą zapisanych kartek, domyśliłem się, że sprawdza prace egzaminacyjne.

Przedstawiono go nam jako Salifa Tounkarę, profesora historii cywilizacji afrykańskich. Powitał nas płynną angielszczyzną z melodyjnym akcentem i zaprosił do swojego gabinetu, żebyśmy mogli napić się herbaty i zreferować nasz problem.

Gabinet okazał się niewielkim pokoikiem sąsiadującym z audytorium, pełnym książek i dzieł sztuki ludowej z rozmaitych regionów: bębnów, masek, marokańskich fajek wodnych... Na ścianach wisiały zdjęcia rozmaitych zabytków oraz reprodukcje papirusów i malowideł naskalnych.

Profesor poczęstował nas szklanką mocnej, aromatycznej i słodkiej jak miód herbaty.

Potem, zgodnie z tutejszymi zasadami dobrego wychowania, rozpoczął miłą pogawędkę o niczym.

Wyjaśnił mi, że jesteśmy hiszpańskimi dziennikarzami i podróżujemy po kraju, by napisać reportaż o zniszczeniach poczynionych przez wojnę w malijskim dziedzictwie artystycznym, czym zaskarbiliśmy sobie natychmiast sympatię profesora. Rozmawialiśmy o walkach z terrorystami, sytuacji politycznej i przyszłości Mali, w którą Tounkara patrzył z godnym pozazdrosczenia optymizmem.

– Wojenne rany potrzebują dużo czasu, żeby się zabiżnić – oświadczył głębokim, modulowanym głosem. – Na szczęście Segu nie doznało zbyt wielu zniszczeń. Powoli uniwersytet wraca do swojej zwykłej działalności, chociaż niestety wielu młodych ludzi, którzy mogliby doskonalić swoje umiejętności i zdobywać wykształcenie, przeszło na stronę salafitów. My, intelektualiści, mamy do wypełnienia bardzo ważne zadanie: zwalczenie islamskiego ekstremizmu, zanim pochłonie on całe pokolenie młodzieży.

– Sądzi pan, że to możliwe? – zapytała uprzejmie Enigma.

– Przyznaję, że jestem urodzonym optymistą. – Profesor uśmiechnął się i upił łyk herbaty. – Może to zbyt uproszczenie, ale powiem wam, że znaczna część winy za tryumf salafizmu spada dziś na Tuaregów. To oni zaczęli zawierać sojusze z muzułmańskimi fanatykami, żeby osiągnąć swoje cele polityczne. Całe życie poświęciłem na studiowanie historii rozmaitych afrykańskich nacji i udzielę wam pewnej przestrogi: nigdy nie ufajcie Tuaregom. Dbają tylko o własny interes, potrafią zawierać i zrywać sojusze z niezwykłą łatwością, nie bacząc na konsekwencje. W przeciwieństwie do nich my naprawdę chcielibyśmy kraju zjednoczonego, szczęśliwego i niezagrożonego wojną.

– Kogo ma pan na myśli, mówiąc „my”, profesorze? – dociekała Enigma.

– Inne nacje zamieszkujące Mali. Ja na przykład należę do grupy etnicznej Songhaj, ale to nie ma znaczenia, w Mali żyje w zgodzie wiele ludów: Songhajowie, Soninke, lud Bambara, Fulbe, Armowie. Wszyscy jesteśmy Malijczykami i chcemy dla naszego kraju jak najlepiej.

Wydało mi się dość niesamowite, że piję sobie herbatę z prawdziwym przedstawicielem ludu Songhaj, w dodatku ubranym w garnitur i pod krawatem. Do tej pory uważałem Songhajów raczej za dumnych władców imperium z odległej przeszłości.

Podzieliłem się tym spostrzeżeniem z profesorem, który uznał je za dość zabawne i typowe dla europejskiej perspektywy. Uznał, że my, Europejczycy, wciąż postrzegamy Afrykę jako królestwo malowniczej egzotyki, po czym uprzejmie wyjaśnił, że Songhajowie są narodem bardzo rozpowszechnionym nie tylko w Mali, ale na całym świecie. Mówił mi o sportowcach, pisarzach, a nawet słynnych hollywoodzkich aktorach, w których żyłach płynęła songhajska krew. By zilustrować swój wykład, wyciągnął z półki płytę znanego malijskiego piosenkarza, który podobno zdobył sławę poza granicami kraju.

– To nie jest mój ulubiony gatunek muzyki, ale słuchałem z zainteresowaniem, jak artysta łączy ludowe rytmy z bardziej współczesnymi aranżacjami, powinien pan posłuchać – zachęcał.

Pokiwałem głową, udawałem, że naprawdę mnie to interesuje. Na okładce płyty dostrzegłem znany symbol przypominający ludzika.

Przypomniałem sobie natychmiast, gdzie widziałem go wcześniej: César miał go

wytatuowanego na plecach, a jeden z piratów, którzy porwali *Buenaventurę*, na rękę.

– Panie profesorze, czy ten rysunek coś oznacza? – zapytałem.

– Ach, no tak... Mówią, że to bardzo stary ideogram. Nawiązuje do paktu.

– Jakiego paktu?

– Wiele osób wierzy, że to emblemat dawnych władców Songhaju i członków szlacheckich rodów. Coś w rodzaju znaku lojalności wobec władcy. Osobiście uważam, że to głupota: nic nie wskazuje na to, żeby ten symbol był używany w czasach imperium. Sądzę raczej, że cała ta symbolika powstała na potrzeby ruchów młodzieżowych, tuż przed uzyskaniem przez Mali niepodległości. Aktywiści jej używali, by wyrazić sprzeciw wobec francuskich kolonizatorów w latach pięćdziesiątych.

– Czyli to symbol patriotyczny?

– Tak, można tak powiedzieć... Chociaż niektórzy z moich kolegów wierzą, że znak ten ma długą historię. Jak mówiłem, nie zgadzam się z tym.

Profesor nie wykazywał zainteresowania ideogramem, więc postanowiłem przejść do sedna i zadać mu pytanie, które przywiodło nas na uniwersytet.

– Jako specjalista od historii afrykańskich cywilizacji – zacząłem – czy mógłby pan wyjaśnić nam związek między starożytnym Egipcem a ówczesnymi mieszkańcami Mali?

– To ciekawa kwestia, panie Alfaro, wiele przekazywanych ustnie opowieści wspomina o wpływach kultury egipskiej w regionie Sahelu, niestety nie ma na to świadectw na piśmie. Na przykład lud Soninke, który założył państwo Ghana w 750 roku, wywodzi swój rodowód od mitycznej postaci zwanej Dingka. Mężczyzna ten według mitu był dawnym dworzaniem faraona, zbiegłym później z Egiptu.

– Słyszałem o tym, ale czy są na to dowody?

– Drogi przyjacielu, nie należy lekceważyć tradycji ustnej. Pamięć ludów Sahelu jest bardzo długa.

Pokazałem profesorowi transkrypcję tekstu zapisanego pismem hieratycznym na złotej Cegle. Powiedziałem mu, że znalazłem go na papirusie, który kupiłem w sklepie z pamiątkami w Timbuktu.

– Rozumiem... – powiedział profesor, przyglądając się tekstowi. – Uważa pan, że to autentyczny egipski papirus. Oczywiście nie mogę powiedzieć nic konkretnego, nie zobaczywszy oryginału, ale z góry uprzedzam: niech pan sobie nie robi zbyt wielkich nadziei. W Timbuktu pełno jest falsyfikatów, na które nabierają się łatwowierni turyści. – Spojrzał na mnie i uśmiechnął się łagodnie. – Przepraszam, jeśli moje słowa pana uraziły.

– Nie ma za co, w pełni się zgadzam. Ale bardziej interesuje mnie, co tu jest napisane. Powiedziano nam, że potrafiłby pan to przetłumaczyć.

– Być może. Robiłem doktorat w Kairze, nauczyłem się tam trochę o staroegipskich systemach notacji. Ale to było tak dawno temu! – Tounkara poprawił okulary i wczytał się w znaki. – To alfabet hieratyczny, prawda? Krótki tekst, nie wydaje się zbyt skomplikowany. Tak, chyba będę mógł wam pomóc.

– Jeśli oczywiście ma pan na to czas – wtrąciła Enigma. – Nie chcielibyśmy robić kłopotu.

– Nie ma problemu, z przyjemnością zajmę się czymkolwiek, byle tylko nie sprawdzać egzaminów. – Uśmiechnął się szelmowsko. – Tylko nie mówcie o tym rektorowi.

Profesor powiedział, że potrzebuje kilku godzin, żeby zajrzeć do podręczników gramatyki i spokojnie popracować nad tłumaczeniem. W tym czasie poszliśmy z Enigmą na obiad, a potem wróciliśmy do jego gabinetu.

– To było prostsze, niż się spodziewałem – powiedział z zadowoloną miną. – Proszę, oto przekład.

Touunkara wręczył mi kartę, na której zapisał kilka wersów:

*Światłem okryty jak płaszczem.
Rozpostarłeś niebo jak namiot,
wzniosteś swe komnaty nad wodami.
Za rydwan masz obłoki,
przechadzasz się na skrzydłach wiatru.
Jako swych posłów używasz wichry,
jako sługi – ogień i płomienie.
Tobie, srebrzyste światło, ofiarowuję swe złoto.*

Przeczytałem tłumaczenie kilka razy i podałem kartkę Enigmie.

– To jakiś wiersz? – zapytałem profesora.

– Raczej hymn – odparł. – Z początku myślałem, że chodzi o słynny fragment hymnu do Atona, bóstwa tarczy słonecznej, ułożonego przez faraona Amenhotepa IV. W każdym razie bardzo go przypomina.

– Ale to inny tekst?

– Jakby wariacja na ten temat... Może pan sam porównać, wydrukowałem kopię egipskiego hymnu, kiedy zrobiłem tłumaczenie.

Touunkara wręczył mi drugą kartkę, na której wydrukował słynny *Hymn do Atona*. To bardzo znany utwór literacki pochodzący z czasów starożytnego Egiptu. Specjaliści twierdzą, że powstał około roku 1350 p.n.e., autorstwo przypisuje się faraonowi Amenhotepowi IV, znanemu również jako Echnaton. W tamtych czasach władca wpadł na oryginalny pomysł, by zaprowadzić w swoim państwie kult monoteistyczny. Jedynym bogiem miał być bóg słońca Aton. Tak radykalna reforma religijna wywołała bunt i pogrążyła państwo w chaosie: poddani Amenhotepa byli zbyt przywiązani do swoich pradawnych bogów, by z dnia na dzień ich porzucić dla kaprysu władcy. Po jego śmierci na egipski panteon znów wrócili Re, Horus, Izyda, Aton zaś został oddelegowany na zupełnie drugorzędne miejsce.

Hymn do Atona był wyznaniem niezłomnej wiary nowego akolity i, według zgodnej opinii najznamienitszych egiptologów, jednym z najpiękniejszych poematów starożytności. Porównując teksty, dostrzegłem wiele paralelizmów z hymnem wrytym na złotej Cegle, ale bez wątpienia chodziło o dwa różne utwory.

Trzymając tekst *Hymnu do Atona* w jednej ręce i tłumaczenie tekstu wrytego na Cegle w drugiej, zerkałem na nie na zmianę, jakbym szukał różnic na dwóch prawie identycznych rysunkach.

Wydawały się takie podobne...

Nagle, może za sprawą olśnienia zesłanego przez boga słońca, przyszedł mi do głowy

pewien pomysł.

– Panie profesorze, czy ma pan może pod ręką Biblię? – spytałem.

– Przykro mi, ale Pismo Święte nie należy do moich zwyczajowych lektur – powiedział przepraszającym tonem. – Gdyby chodziło o Koran...

– Nie, bardzo dziękuję. Potrzebny mi Stary Testament.

– W tym nie mogę panu pomóc. Ale proszę zajrzeć do naszej biblioteki. Znajduje się piętro niżej.

– Dziękuję, tak właśnie zrobię – odparłem i schowałem do kieszeni tłumaczenie. – Jestem panu ogromnie wdzięczny.

Pożegnaliśmy się z sympatycznym profesorem, wymieniając mnóstwo życzeń pomyślnej przyszłości, i opuściliśmy jego gabinet. Skierowałem się prosto do biblioteki uniwersyteckiej.

– O co chodzi? – dopytywała Enigma. – Co takiego zobaczyłeś w tym poemacie?

– Nie jestem pewien. Po prostu mam przeczucie.

– Gratuluję. Ale podzielisz się nim ze mną czy mam po prostu za tobą iść, jak głupsza koleżanka?

– Wszystko w swoim czasie. Chciałbym najpierw się przekonać, czy moje przypuszczenia są słuszne. Może się pomyliłem.

– W porządku, lubię suspensy. Mam tylko nadzieję, że twoje odkrycie okaże się naprawdę warte tej chwili cierpliwości.

Uśmiechnąłem się przebiegle.

– Czy kiedyś cię rozczarowałem?

– Nie. I właśnie dlatego ostrzegam: wysoko ustawiłeś poprzeczkę!

Znaleźliśmy się w bibliotece. Poprosiłem o egzemplarz Biblii, dostałem francuskie wydanie, tak nieskazitelnie nowe, jakby przed chwilą opuściło drukarnię. Chyba żaden student tutejszego uniwersytetu jeszcze do niego nie zajrzał. Otworzyłem tom i zacząłem kartkować w poszukiwaniu Księgi Psalmów.

– Sto czwarty... sto czwarty... sto czwarty – mamrotałem bezwiednie pod nosem. – Dawaj, gdzie, do cholery, jesteś? Sto czwarty...

– Mam rozumieć, że posługujesz się jakimś numerycznym szyfrem?

– Jest! – wykrzyknąłem. Jakiś jegomość siedzący w kącie czytelni posłał mi karcące spojrzenie. Zawstydzony spuściłem głowę i nieco ciszej zwróciłem się do Enigmy: – Psalm sto czwarty. Przeczytaj i powiedz mi, co o tym sądzisz.

Poszukiwaczka omiotła wzrokiem pierwsze linijki, a jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

– To ten sam tekst! – powiedziała zbyt głośno. Czytelnicy znów posłali nam serię złowrogich spojrzeń. Enigma ściszyła głos i przeczytała pierwsze strofy psalmu: – „Światłem okryty jak płaszczem. Rozpostarłeś niebo jak namiot”... To słowa wyryte na złotej Cegle!

– Co z moją poprzeczką?

– Jesteś geniuszem. Jak się tego domyśliłeś?

– Daj spokój, nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Kiedy interesowałem się starożytnym Egiptem, wielokrotnie czytałem, że psalm sto czwarty ze Starego Testamentu jest czymś

w rodzaju adaptacji *Hymnu do Atona*, być może Hebrajczycy nauczyli się go w egipskiej niewoli. Lubię religioznawstwo porównawcze, a podobne szczegóły łatwo zostają mi w pamięci, ale przyznaję, że gdyby profesor Tounkara nie wspomniał o hymnie, nigdy bym na to nie wpadł. Zwykły fart.

– Nic mnie tak nie irytuje jak fałszywa skromność. – Enigma wróciła do lektury psalmu. – To nieprawdopodobne, to ten sam tekst.

– Prawie ten sam. Napis na Cegle ma dodatkowy wiersz, którego brakuje w psalmie. – Wyjąłem tłumaczenie profesora i przeczytałem ostatnią linijkę: – „Tobie, srebrzyste światło, ofiarowuję swe złoto”. Zdanie nie pojawia się również w tekście *Hymnu do Atona*, musiała je więc dodać osoba, która wyryła inskrypcję.

– Wyryła ją w przedmiocie wykonanym ze złota – ciągnęła Enigma. – Założę się, że Cegła jest rodzajem ofiary, i do tego właśnie nawiązuje ostatni wers.

– Bardzo prawdopodobne.

– Dobrze. Wszystko zaczyna się składać w całość.

– Tak sądzisz? Ja mam wrażenie, że za każdym razem przybywa nam puzzli, które do niczego nie pasują. Znalezienie staroegipskiego tekstu zapisanego alfabetem hieratycznym już wydawało mi się dziwne. A teraz się okazuje, że to psalm. Jakiś absurd. Nic tu nie ma sensu.

– Nie miało go też w chwili, gdy rozpoczynaliśmy nasze poszukiwania. Dlatego właśnie nam zależy, żeby wytrwać do końca.

– Zaczynam sądzić, że nawet wtedy nie uda nam się rozwiązać takiego spiętrzenia zagadek.

– Czy to naprawdę takie ważne? – rzuciła Enigma, robiąc swoją uroczą, zmęczoną minkę. – Czy jest coś bardziej fascynującego niż pytania bez odpowiedzi?

I nie czekając na moją replikę, zamknęła Biblię i ruszyła do wyjścia. W ten sposób, bez słów, dała mi do zrozumienia, że najwyższy czas wrócić do Hydry i udać się do Mopti, kolejnego etapu naszej podróży.

KLUCZE

W porównaniu z Segu i Koulikoro Mopti wydało się prawdziwą metropolią. Tamtejszy port rzeczny był największym portem w Mali i ważnym węzłem komunikacyjnym między Timbuktu i Dżenne. W Mopti znajdowało się nawet międzynarodowe lotnisko.

Usytuowane u ujścia rzeki Bani do Nigru miasto znane było jako malijska Wenecja. Mam wrażenie, że twórca tego porównania albo nienawidził Wenecji, albo przeceniał walory Mopti, gdyż oba miasta miały ze sobą tyle wspólnego co japoński ogród i wysypisko śmieci.

Hydra wyjaśniła mi, że Mopti zbudowano na groblach, podobnie jak Wenecję, i właściwie do tego sprowadzały się podobieństwa. Ze względu na ograniczoną dostępność terenów nadających się pod budowę miasto pięło się w górę: wysokie i koszarne wieżowce wyrastały nagle z maleńkich zaułków, tonących w górach śmieci. Jakby sam chaos urbanistyczny nie wystarczył, na wysokości miasta rzeka Niger była tak zanieczyszczona, że pokryty kurzem i śmieciami port na domiar złego nieprawdopodobnie śmierdział. Jeśli Mopti rzeczywiście miało jakiś urok, ja nie potrafiłem go dostrzec, chociaż być może mój kiepski nastrój też się do tego przyczyniał.

Podróż z Segu okazała się długa i męcząca, miast nie dzieliła wprawdzie zbyt duża odległość, ale łącząca je szosa pozostawiała wiele do życzenia. Jechaliśmy powoli, po drodze mieliśmy dwugodzinny przymusowy postój – musieliśmy poczekać na usunięcie z szosy zepsutego traktora blokującego przejazd. Kiedy wreszcie wyczerpani dotarliśmy do Mopti, znaleźliśmy szybko nocleg i położyliśmy się spać.

Nazajutrz wczesnym rankiem wyruszyliśmy na poszukiwanie przewodnika, który mógłby nas zawieźć do urwisk Bandiagary. Zanim rozpętała się wojna z Tuaregami i dżihadystami, Mopti było ożywionym centrum turystycznym jako punkt wypadowy wycieczek do Kraju Dogonów, niestety potem biura podróży zaczęły się zamykać lub po prostu bankrutowały.

Te nieliczne, które kontynuowały działalność, niespecjalnie potrafiły nam pomóc. W ogóle sytuacja wydała mi się dość podejrzana: kiedy wymawialiśmy słowo Ogoł, większość naszych niedoszłych przewodników zapewniała, że nie mają zielonego pojęcia, gdzie to jest, i uprzejmie sugerowała, żebyśmy szukali gdzie indziej. Jeden z nich, znacznie mniej uprzejmy, po prostu pokazał nam drzwi.

Wreszcie, strawiwszy cały poranek na bezsensowną włóczęgę, znaleźliśmy kogoś, kto nie odmówił współpracy. Mężczyzna miał na imię Amadou, był właścicielem niewielkiego biura podróży specjalizującego się w organizacji spływów rzeką i wycieczek po okolicznych rezerwach przyrody. Przyjął nas w obskurnym biurze pełnym brzęczących much, mieszczącym się tuż przy porcie. Na ścianach wisiały wyblakłe zdjęcia uśmiechniętych turystów pozujących na tle egzotycznych krajobrazów – niewątpliwe świadectwo lepszych czasów. Biuro było siedzibą firmy o nazwie – jak dowiedzieliśmy

się z zardzewiałego szyldu nad drzwiami – Ambedjele Tours & Adventures.

– Więc chcecie jechać do Ogotu – powiedział korpulentny Amadou, jedyny pracownik, a zarazem właściciel biura. – Wyobrażam sobie, że nie jestem pierwszą osobą, z którą o tym rozmawiacie.

– Mamy za to nadzieję, że ostatnią – odparła Hydra.

Przewodnik w zamyśleniu podrapał się po policzku.

– Rozumiem – odezwał się po chwili. – A tak z czystej ciekawości, ilu przewodników posłało was do diabła?

– Jest pan czwartym, z którym rozmawiamy – odrzekła Hydra. – Nie rozumiem, jaki problem macie z tym miejscem. Jest tam jakieś cmentarzysko odpadów atomowych czy co?

– Nie, po prostu ludzie są bardzo przesądni. A inni najzwyczajniej w świecie nie mają pojęcia, gdzie to jest.

– A pan ma?

– Nie, ale przynajmniej mam tyle odwagi, żeby przyjąć uczciwą propozycję, zamiast bać się jakichś opowieści staruszków. Jeśli mi zapłacicie, zawiozę was, dokąd tylko chcecie. Dożyliśmy takich czasów, że nie można odmawiać klientom.

– Chcemy się dostać do Ogotu. Jeśli nie wie pan, gdzie to jest, obawiam się, że kiepski z pana przewodnik.

– Mam dla was propozycję – ciągnął niezrażony Amadou, odchylając się do tyłu na krześle. – Za siedemdziesiąt pięć procent mojej zwykłej stawki zabiorę was do Benigoto. To jedna z największych wiosek Dogonów w tym regionie, jestem pewien, że znajdziecie tam kogoś, kto wskaże wam drogę do Ogotu.

– A jeśli nie?

– Zabiorę was do Digi Bombo. Jeśli znów nie będziemy mieli szczęścia, wrócimy do Mopti, a ja oddam wam połowę stawki. To chyba uczciwa propozycja.

Zgodziliśmy się. Kilka godzin później Amadou podjechał po nas do hotelu swoim dżipem. Na drzwiach samochodu dostrzegliśmy logo biura podróży: żarłocznego krokodyla z otwartą paszczą.

– Podoba mi się to logo, Amadou – stwierdziła Hydra, wielbicielka gadów, zajmując miejsce obok kierowcy. – Kryje się za nim jakaś historia?

– Nie, oprócz tego, że w tym rejonie można spotkać krokodyla nawet w ubikacji. – Przewodnik odwrócił się do Enigmy i do mnie. – Wygodnie wam tam z tyłu?

– W porządku, dziękujemy – odrzekła Enigma. – Czy to długa podróż?

– Jakies dziewięćdziesiąt afrykańskich kilometrów – powiedział z przekąsem. – Szosa jest do bani, ale krajobrazy piękne, więc radzę wyciągnąć aparaty i uzbroić się w cierpliwość.

Droga wiodła pomiędzy baobabami, polami uprawnymi i ciągnącymi się po horyzont połaciami czerwonej ziemi. W miarę jak zostawialiśmy za sobą dolinę Nigru, pejzaż robił się coraz bardziej dziki. Wkrótce na horyzoncie pojawiły się pierwsze formacje skalne.

Zgodnie z zapowiedzią przewodnika krajobraz rzeczywiście okazał się malowniczy. Bujne drzewa o rozłożystych koronach wyrastały ze złocistej gleby porośniętej ziołami. Otaczał nas rozległy płaskowyż okolony górami, których grzbiety były płaskie jak stoły i przypominały olbrzymie, porowate, miedziane płyty, składowane jedna na drugiej przez

miliony lat. Sceneria tak bardzo kojarzyła mi się z filmami o Dzikim Zachodzie, że nie zdziwiłbym się, zobaczywszy gdzieś w oddali dyliżans ścigany przez Indian na koniach.

Potem asfalt zniknął, a dżip ruszył szutrową drogą pomiędzy gardzielami urwisk. Po niemal godzinie dotarliśmy do Benigoto. Był to mój pierwszy kontakt z Krajem Dogonów.

Miejsce emanowało jakimś pradawnym charakterem, jakbyśmy, oprócz podróży w przestrzeni, odbyli również podróż w czasie, cofnęli się do epoki, kiedy główny posiłek stanowiły mamuty, a temat konwersacji – nowe zastosowania koła. Benigoto było rozległą wioską pełną kwadratowych domków z kamienia i niepalonej cegły, ściśniętych wokół krętych, wąziutkich uliczek. Wiele budynków wieńczyły dachy z gałęzi w kształcie czapki czarodzieja.

Zatrzymaliśmy się i natychmiast otoczyła nas zwarta gromada ciekawskich dzieci: te starsze i odważniejsze tłoczyły się z przodu, mniejsze wyglądały im zza pleców jak wystraszone zwierzątka. Kiedy Amadou wysiadł z auta, podbiegły do naszego przewodnika jak do starego znajomego. On zaczął rozdawać im orzechy i słodycze, na co dzieciaki reagowały okrzykami radości.

Z wioski nadszedł mężczyzna ubrany w czarne, luźne spodnie i koszulkę koloru ziemi. Na głowie miał niewielką czapkę. Przywitał się z Amadou wylewnie, rozmawiał z nim przez chwilę. Potem przewodnik nam go przedstawił:

– To Balam. Jest nauczycielem i jedną z niewielu tu osób mówiących po francusku. Twierdzi, że może zdoła wam pomóc.

– Amadou wspominał, że chcecie jechać do Ogołu – powiedział.

– Wiesz, gdzie to jest? – zapytała Hydra.

– Jestem bardzo ciekaw, czego wy, Europejczycy, tam szukacie? – Nauczyciel odpowiedział pytaniem na pytanie. – Większość w ogóle nie wie o istnieniu tego miejsca.

Opowiedzieliśmy wcześniej wymyśloną bajeczkę, że jesteśmy grupą antropologów specjalizujących się w kulturze Dogonów. Balam wydawał się usatysfakcjonowany tym wyjaśnieniem.

– Ja nie wiem, gdzie znajduje się Ogol. – Ale może *hogon* wie. Zapytamy go.

– Kto to jest *hogon*? – zainteresowała się Enigma.

– Duchowy przewodnik wioski – odparł Balam. – Chodźcie za mną, na pewno jest w *togunie*. Zaprowadzę was.

Ruszyliśmy za Balamem, który krętymi uliczkami osady powiódł nas na znajdujący się w centrum placyk. Stała tam dziwna konstrukcja składająca się z kwadratowej podstawy ze skał i gliny, wysoka na jakieś dwa metry. Kolumny z głazów podtrzymywały grube belki ozdobione motywami antropomorficznymi, a na nich spoczywało coś w rodzaju zadaszenia z gałęzi i prosa.

Oszacowałem, że te grube belki i zadaszenie znajdowały się mniej więcej na wysokości metra. W środku siedział starzec ze skrzyżowanymi nogami, ubrany w niebieską tunikę i czerwony fez. Patrzył w przestrzeń, na jego twarzy malował się błogi spokój.

Balam wyjaśnił nam, że ta konstrukcja nazywa się *toguną*. Wszystkie dogońskie wioski miały podobną, gromadzili się tam mężczyźni, by dyskutować o ważnych dla wioski sprawach albo po prostu przeczekać godziny największego upału. Wyjaśnił nam zasady organizacji tej przestrzeni, pomyślanej po to, by nikt przebywający w środku nie mógł

wstać, co zapobiegało przeradzeniu się dysput w bójki. Pomysł wydał mi się znakomity i zacząłem uważać Dogonów za nader rozsądny lud.

Hydra i Enigma nie mogły wejść do środka, gdyż była to przestrzeń zarezerwowana dla mężczyzn. Balam, Amadou i ja wspięliśmy się po schodach z grubych gałęzi. Usiedliśmy obok starca, a on pozdrowił nas skinieniem dłoni. Miał na nadgarstku bransoletkę z perłą.

– To nasz *hogon* – przedstawił go Balam. Duchowy przywódca wioski patrzył na nas poważnym wzrokiem. – Zapytam, czy wie, jak dotrzeć do Ogołu. Musicie być cierpliwi, chwilę mi to zajmie.

Dogoni słynną z niezwyklej uprzejmości: kiedy się spotykają, choćby przez przypadek, wymieniają kurtuazyjną serię pytań i odpowiedzi o zdrowie całej rodziny, łącznie z dalekimi krewnymi, a dopiero potem przechodzą do sedna.

Po kilku minutach Balam oświadczył:

– *Hogon* wie, gdzie znajduje się Ogol. Problem w tym, że to święte miejsce. Nie można tam wejść.

– Nie może nawet nam powiedzieć, jak tam dotrzeć?

Balam przetłumaczył moje pytanie *hogonowi*. Potem powiedział przeproszającym tonem:

– Przykro mi, ale to niemożliwe. To nie miejsce dla kapryśnych turystów.

Hogon mierzył nas surowym wzrokiem, z którego wywnioskowałem, że uważa nas za bandę głupków, którzy chcą tylko zrobić atrakcyjne zdjęcia z egzotycznej wycieczki.

Spojrzałem mu w oczy i położyłem przed nim torbę, w której miałem Ster, Cegłę i złotą Czaszkę.

– Balam, powiedz mu, żeby zajrzał do środka – poprosiłem, nie odwracając wzroku od starca.

Hogon otworzył torbę. Na widok skarbu Armów przymknął oczy. Potem popatrzył na mnie i lekko się uśmiechnął. Oddał mi torbę i powiedział coś do Balama.

– Pyta, skąd masz to, co jest w tej torbie – przetłumaczył nauczyciel.

– Powiedz mu, że Dżaudar Pasza objawił mi, gdzie znaleźć te rzeczy. – Balam miał zakłopotaną minę. – Po prostu to przetłumacz.

Starzec zaśmiał się pod nosem, gdy usłyszał moją odpowiedź. Wydawał się wyraźnie rozbawiony. Przemówił, a nauczyciel tłumaczył:

– *Hogon* mówi, że wzbudziłeś jego ciekawość, a to nie byle co. Mówi też, że jeśli naprawdę chcesz, udzieli ci wskazówek, jak dostać się do Ogołu, ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Że potem tu wrócisz i pokażesz, co tam znalazłeś. Mówi, że chciałby dowiedzieć się przed śmiercią, co ukrył tam Zielony Prorok. – Balam wydawał się wyraźnie zdezorientowany. – Mogę wiedzieć, o czym rozmawiacie? Co jest w tej torbie?

– Przykro mi, ale podobnie jak *hogon*, mam swoje sekrety. Powiedz, że z przyjemnością spełnię jego warunek.

– Mam wrażenie, że nie jesteście zwykłymi antropologami – stwierdził nauczyciel. Potem przetłumaczył moje słowa *hogonowi*, który uśmiechnął się zadowolony i przekazał nam przez Balama: – *Hogon* dziękuje i powie ci, jak dotrzeć do Ogołu.

Starzec pokiwał głową i śpiewnym tonem wypowiedział kilka zdań, które, jak twierdził Balam, oznaczały, że uznaje pogawędkę za zakończoną.

Moi towarzysze opuścili *togunę*, a ja ruszyłem za nimi. Balam zatrzymał mnie tuż przy schodkach z gałęzi.

– Nie. Ty zostajesz. *Hogon* chce pomówić z tobą w cztery oczy.

Balam i Amadou wrócili do moich towarzyszek, a ja usiadłem naprzeciwko starca, zastanawiając się, jak mam rozmawiać z osobą, która nie włada żadnym ze znanych mi języków.

– Zbliź się, przyjacielu – odezwał się niespodziewanie *hogon*.

Uniosłem brwi.

– Więc zna pan francuski? Nieźle. Nie mógł pan powiedzieć od razu?

– Mogłem, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, czy warto z tobą rozmawiać. – Staruszek uśmiechnął się z przekąsem. – Amadou przywozi do tej wioski wielu turystów. Robią zdjęcia. Rozdają dzieciakom słodycze. Pytają o jakieś bzdury, a potem wracają do miasta. Nie chcą, żebym mówił po francusku. Chcą słuchać melodii tutejszego języka. Pragną... tajemnicy.

Nie mogłem wyjść z podziwu dla staruszka. Z pewnością był specem od marketingu. Przez chwilę się wahałem, czy wybuchnąć śmiechem, czy raczej się obrazić za tę pułapkę zastawianą na przyjezdnych.

– Rozumiem. Nie okazałem się godzien pańskiego spektaklu. Nie jestem tylko pewny, czy to dobrze, czy źle.

– Oczywiście, że dobrze, przyjacielu. Bardzo dobrze. Przedstawienie jest dla tych, którzy chcą za nie zapłacić. Robią zdjęcia i zadają głupie pytania. Ty się do nich nie zaliczasz. Przyniosłeś ze sobą skarb. – Staruszek wskazał torbę, którą zdążyłem przewiesić przez ramię. – Dlatego chcę z tobą porozmawiać. Ale najpierw... – *Hogon* wsunął dłoń w poły tuniki i wyciągnął zapalniczkę Zippo i papierosa przypominającego uschniętą dżdżownicę. Włożył go do ust i zapalił. Z wyrazem błogości na twarzy dwukrotnie wypuścił dym przez nos. Potem podał mi skręta. – Zapalmy razem, podróżniku.

Nigdy nie odmawiam papierosa, nieważne, jak źle wygląda. Przyjąłem zaproszenie szamana i zaciągnąłem się tym wynalazkiem. Mocny tytoń miał kwaśny posmak jak stare cygaro.

– Smakuje ci?

– Tak, bardzo dobry – odpowiedziałem, nie mogąc pohamować kaszlu.

– Sami uprawiamy ten tytoń. Tu, na placu, mężczyźni z naszej wioski palą i rozmawiają. Ty i ja już zapaliliśmy razem. Nadszedł czas na rozmowę.

– Zamieniam się w słuch.

– Szukasz skarbu Zielonego Proroka?

– Szukam skarbu Dżaudara Paszy. Nigdy nie słyszałem o żadnym Zielonym Proroku.

– Nazywamy go Panem Nieprzemijalnej Oazy, bo tam właśnie mieszkał. Ogół to wrota do jego królestwa. Tego właśnie szukał Dżaudar Pasza.

– Wie pan, o jaki skarb chodzi?

Staruszek wypuścił z ust chmurę dymu, a potem pokręcił głową.

– Nie. Dlatego chcę ci pomóc. Skarb, który Zielony Prorok ukrył w Nieprzemijalnej Oazie, pojawia się w opowieściach naszych przodków od początku istnienia naszego ludu. Nazywali go Łańcuchem Proroka. Nie wiemy, co to dokładnie jest, ale bardzo chciałbym się o tym przekonać. Odkąd Zielony Prorok zostawił tu swój skarb, tylko cztery osoby próbowały go odnaleźć.

– Kto taki?

– Przed wiekami przybył Dżaudar Pasza. Dotarł do Ogolu, ale tak bardzo przestraszył się tego, co tam zobaczył, że nie odważył się pójść dalej. Potem jakiś Francuz. A teraz ty, przyjacielu.

– To trzy osoby.

– Była jeszcze czwarta, ale o niej my, Dogoni, wiemy niewiele. Przybyła tu bardzo dawno temu. Bardzo dawno. Wtedy nasz lud nie zamieszkiwał jeszcze tych ziem. Żyli tu jedynie Tellemowie i Nummowie. Podobno była to wielka królowa. I potężna czarodziejka. My tego nie wiemy, nas tu nie było. Byli tylko Tellemowie, ale oni już nie istnieją, więc nie mogą nam nic opowiedzieć. Nie dowiemy się nigdy, kim była ta tajemnicza królowa i czy zdołała odnaleźć skarb Zielonego Proroka.

– A co z Nummami?

– Oni nie chcą słuchać pytań. Pragną tylko krwi dla swojego boga. Dla Zugu. Są strażnikami Nieprzemijalnej Oazy. Kiedy tam dotrzesz, zabiją cię.

– Możesz mi wierzyć, że zrobię wszystko, by temu zapobiec – powiedziałem. – Kim dokładnie są ci Nummowie?

– Zielony Prorok nazwał ich ludźmi węzami, bo są równie groźni jak węże i czają się pośród skał. Dla nas są jak Tellemowie, tyle że Tellemowie byli dobrzy, podczas gdy Nummowie zatracili swoją uczciwość, oddając się kultowi złego bóstwa. Żaden z Dogonów nigdy ich nie widział, ale wiemy o ich istnieniu z przekazów Tellemów, z czasów, gdy pomogli nam zmienić te urwiska w nasz dom. – *Hogon* dopalił papierosa, a potem spojrzał na mnie z poważną miną. – Mam nadzieję, że wiesz, jak pokonać Nummów, w przeciwnym wypadku nie uda ci się odnaleźć skarbu. Zginiesz.

Podczas tej podróży niebezpieczeństwo utraty życia tak mi już spowszedniało, że przestałem się bać. Puściłem w niepamięć historię Nummów i ich demonicznych bóstw i zapytałam *hogona* o coś innego:

– Od jak dawna ten skarb jest ukryty w Nieprzemijalnej Oazie?

– Od dawna. Od bardzo dawna. Zielony Prorok dbał o niego, chronił go i pokazywał tylko mędrcom. On przechadzał się po tej ziemi, rozmawiał z bogami, sprawiał, że drzewa rosły, a koryta rzek wypełniały się wodą. Ale pewnego dnia przestał ukazywać się ludziom i nikt więcej go nie spotkał. Zostawił po sobie tylko ten skarb.

– A potem? Co się stało potem?

– Nastali wielcy władcy ludu Soninke, którzy oddawali cześć bóstwom ziemi, podobnie jak my, potem Książę Lew i jego potomkowie. Oni wierzyli już w Mahometa. Potem nadszedł czas Songhajów, którzy rządili ostatnim wielkim imperium Mali. Wszyscy wiedzieli o istnieniu skarbu. Wszyscy starali się go chronić, wiedzieli bowiem, że dopóki Łańcuch Proroka spoczywa na swoim miejscu, ich królestwa pozostaną potężne.

– Więc władcy Mali nie używali do niczego tego skarbu, po prostu go chronili?

– Tak. Każde kolejne pokolenie władców starało się, by miejsce ukrycia skarbu nigdy nie zostało zapomniane, i stworzyli wskazówki, jak do niego dotrzeć w razie potrzeby, ale tylko najmądrzejsi mieli dostęp do tej wiedzy.

– Te złote przedmioty zostały stworzone przez władców Mali? – zapytałem, mając oczywście na myśli skarb Armów.

Hogon pokiwał głową.

– To owoc wielu lat. Najpierw do Nieprzemijalnej Oazy dotarł lud Soninke i to oni zrobili Cegłę. Nikt nie wie, kiedy dokładnie to nastąpiło, choć niektórzy twierdzą, że sam Dingka, ojciec ich wszystkich, był twórcą złotej Cegły.

Przypomniałem sobie, że zgodnie z tradycją Soninke Dingka był moźnym z dworu faraona, co tłumaczyłoby pismo hieratyczne na Cegle. Ale wydawało mi się mało prawdopodobne, by Cegła liczyła tysiące lat. Poza tym nadal nie rozumiałem, dlaczego Dingka miałby wybrać tekst z Pisma Świętego. Byłem ciekaw, czy kiedykolwiek znajde jakieś logiczne wyjaśnienie.

– A co z Czaszką i Sterem?

– Książę Lew wykonał Czaszkę. To klucz, podobnie jak Cegła, nie wiem tylko, co otwiera.

– Sądzę, że zaczynam rozumieć. Każda nowa imperialna dynastia robiła swój własny klucz. Więc Songhajowie wykonali Ster, prawda?

– Nie, Songhajowie okazali się najgłupszy ze wszystkich, to oni sprowadzili Nummów i sprawili, że zostali strażnikami Nieprzemijalnej Oazy. Osiągnęli tylko jedno: nikt nigdy nie zdołał dotrzeć do skarbu.

– Kto zatem jest twórcą Steru?

– Dźaudar Pasza. Ster służy za klucz umożliwiający wejście do sanktuarium Miasta Umarłych, gdzie zdobywca ukrył Czaszkę i Cegłę. Zresztą domyślam się, że już o tym wiesz, skoro przywiozłeś je ze sobą.

– A Złota Ryba, która pokazuje na mapach szlak prowadzący do Nieprzemijalnej Oazy? Kto ją zrobił?

– Nie wiem, o czym mówisz, przyjacielu. My, Dogoni, znamy tylko historię Steru, Czaszki i Cegły. Niewykluczone, że to, o czym wspominasz, też było dziełem Dźaudara Paszy. Mówią, że był niezwykle przebiegły.

Spojrzałem na skarb Armów.

– Więc to klucze – powiedziałem. – Ciekawe, jakie zamki otwierają.

– Przykro mi, ale na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć. Chciałbym jednak coś dla ciebie zrobić. – Spojrzałem na *hogona* pytająco. – Zugu, bóg Nummów, ma potężną moc, potrzebujesz specjalnego zaklęcia, by nie wpaść w jego szpony. Zorganizuję ceremonię na cześć Lebe, naszej bogini o ciele węża. Jej błogosławieństwo bardzo ci się przyda.

W pierwszej chwili chciałem wytłumaczyć staruszkowi, że z węźami nie dogaduję się najlepiej, ale w końcu podziękowałem za ten gest. Jeśli Zugu bał się węży tak bardzo jak ja, bogini pod jego postacią mogła się okazać doskonałą sojuzniczką.

Hogon wyjaśnił, że ceremonia odbędzie się o zmierzchu, a następnego dnia wskaże nam drogę do Ogolu. Tymczasem moi towarzysze i ja możemy się poczuć gośćmi Dogonów. Podziękowałem mu wylewnie za pomoc i uprzejmość i wyszedłem z *toguny*.

Opowiedziałem o mojej rozmowie Hydrze i Enigmie, a potem zapłaciliśmy Amadou za jego usługi. Nasz przewodnik mógł spokojnie wracać do Mopti.

Później gromadka dzieci, dla których stanowiliśmy niewątpliwą atrakcję, dopadła nas niczym rój brzęczących pszczoł. Dzieciaki złapały nas za ręce i pociągnęły ulicami wioski, chcąc pokazać wszystkie jej zakamarki.

Słońce niczym wielka ognista kropla zaczęło się chować za urwiste szczyty Bandiagary. Wieczór wypełnił się tajemniczymi dźwiękami i niecodziennym światłem.

Na centralnym placu Benigoto, tuż obok *toguny*, grupka tubylców uderzała w bębny zwykłymi drewnianymi pałkami. Dzieci i kobiety rozsiadły się na gładkich i dachach domów, by przyglądać się sprawowanej przez *hogona* ceremonii na cześć Lebe Seru, bogini-węża.

Procesja mężczyzn ubranych w czarne tuniki zainicjowała obrzęd, za nimi szła grupa tancerzy odzianych w kolorowe rytualne stroje. Mieli na sobie spódniczki ze słomy i szerokie, niebieskie spodnie, na ich nagich torsach lśniły kolorowe naszyjniki z drewna i sznurków, na ramionach zaś mieli wielkie bransoletki, podskakujące w rytm muzyki jak pióra wielobarwnych ptaków.

Twarze tancerzy zakrywały misternie wykonane w drewnie totemiczne maski, które osłaniały ich głowy jak hełmy. Większość z nich przyozdobiono piórami, inne rogami, a do kilku przyczepiono deski, szaro-białe i długie prawie na dwa metry, mimo imponującej długości mężczyźni potrafili utrzymać je prosto siłą mięśni szyi.

Za nimi ukazała się inna grupka: mężczyźni w pstrokatych strojach i maskach z koralików szli na szczytach, tańcząc w rytm muzyki, dawali popis niezwyklej płynności ruchów i zmysłu równowagi. Muzycy otoczyli obie grupy półkolem, a oni wykonali dziwny, obrzędowy taniec: ich ręce falowały, a ziemia pod szczytami i stopami rozpryskiwała się pośród gwałtownego dudnienia.

Mieszkańcy wioski zaczęli śpiewać pieśni. Na jednym z krańców placu ukazali się mężczyźni, których ciała całkowicie osłaniały brązowe tkaniny, przewiązane sznurami w kostkach, na nadgarstkach i na szyjach. Również ich głowy były zakryte tym samym materiałem, kaptury miały tylko niewielkie otwory na oczy. Nowi tancerze skojarzyli mi się z przerośniętymi szmacianymi kukiełkami, w które nagle ktoś tchnął życie.

Ci w maskach i ci w workach wykonali teraz wspólną choreografię, której najdramatyczniejsze momenty podkreślał szalony łomot bębnow. Przyglądałem się ceremonii w skupieniu, by wreszcie zdać sobie sprawę, że mam do czynienia z inscenizacją walki mężczyzn w drewnianych maskach z tymi przypominającymi kukiełki.

Nagle muzyka ucichła, a tancerze zastygli w bezruchu. Dopiero wtedy zauważyłem, że słońce już zaszło i otaczają nas nocne ciemności. Muzycy się rozstąpili, robiąc miejsce chłopcom niosącym zapalone pochodnie, za nimi szedł *hagon* z drewnianym przedmiotem w kształcie pucharu, z którego unosił się aromatyczny dym.

Tubylcy zachowywali nabożne milczenie. *Hagon* odszedł na bok i wtedy na scenę wypadł tancerz ubrany w strój z kolorowych słomek i maskę imitującą okropne zwierzę z rogami i długimi kłami. Nowo przybyły miał dwie laski. Opierając się na nich, wykonał przedziwny taniec – miałem wrażenie, że nigdy nie dotyka ziemi dwiema stopami naraz. Wił się i trząsł, jakby poraził go prąd.

Znów odezwały się bębny, najpierw cicho, potem głośniejsze, aż w końcu noc wypełniła się dudnieniem przypominającym zejście kamiennej lawiny. Tancerz z laskami wyginał się jak opętany. *Hogon* zbliżył się do niego uroczystym krokiem i okadził go aromatycznym dymem z pucharu. Konwulsje mężczyzny z laskami uspokajały się powoli, aż w końcu tancerz upadł na ziemię, jak gdyby zapadł w głęboki sen. W tym momencie wszyscy mieszkańcy – mężczyźni, kobiety, dzieci – zaczęli krzyczeć z radości.

Hogon uniósł drewniany puchar i wokół znów zapadła cisza. Chyboczącym się krokiem podszedł do miejsca, z którego ja, Enigma i Hydra obserwowaliśmy ceremonię, i delikatnie poruszał naczyniem wokół naszych głów, śpiewając pod nosem coś, co zapewne było modlitwą.

Kiedy skończył, przemówił do zgromadzonych, którzy znów wydawali wesole okrzyki. Tancerze wrócili na placik razem z zakapturzonymi mężczyznami i wszyscy rzucili się w tany przypominające karnawał w Rio. Zrozumiałem, że przeszliśmy do mniej formalnej części ceremonii.

Mieszkańcy wioski podchodzili do nas od czasu do czasu i coś mówili. Robili to w swoim języku, więc nie rozumieliśmy ani słowa, uśmiechali się jednak przyjaźnie, uznałem więc, że życzą nam powodzenia. Tancerze w rytualnych strojach znikali, w ich miejsce pojawili się mężczyźni, którzy zaczęli rozpalać na placu ogniska. Kobiety przynosiły oskubane kurczaki i ustawiły rożny nad ogniem, podczas gdy mężczyźni rozlewali mętną ciecz do misek i kubków. Bębniarze grali nadal, teraz towarzyszyli im muzycy grający na instrumentach strunowych z drewna i tykw. Całość zaczęła przypominać festyn.

Miałem wrażenie, że rytuał błogosławieństwa posłużył Dogonom za pretekst do urzędnictwa czegoś w rodzaju odpustu. Cieszyłem się ich radością, choć nie czułem się w żaden sposób chroniony przez jakieś gadzie bóstwo i niepokoiłem się coraz bardziej tym, co też czeka nas nazajutrz w Ogolu.

Skorzystałem z ogólnego zamieszania, by pójść w jakieś spokojniejsze miejsce i zapalić. Znalazłem je u stóp ogromnej skały, gdzie docierały do mnie tylko dalekie, łagodne echa muzyki i rozbłyśki płomieni ognisk.

Nad moją głową jaśniał rozgwieżdżony firmament. Zapaliłem i wydmuchnąłem smugę dymu w stronę nieba, jakbym chciał oślepić miliony zimnych oczu spoglądających na mnie jak na coś zupełnie nieznaczącego i żalosego. Miałem wrażenie, że obserwują mnie niezliczone lodowate źrenice.

Prawie skończyłem papierosa, gdy usłyszałem za sobą czyjeś kroki.

– Cześć, Faro. Pozwolisz, że się przyłączę?

To była Hydra. Miała w rękach naczynie z kalabasy pełne jakiejś podejrzanej cieczy.

– Oczywiście – powiedziałem. – Nieba starczy dla wszystkich.

– Dziękuję. – Była Poszukiwaczka usiadła obok mnie. – Chcesz się napić? – zapytała, podając mi naczynie.

– Co to takiego?

– Piwo z prosa. Kilku gości rozlewa je litrami.

– Dobrze?

– No, nie jest to moët chandon, ale smakuje nieco lepiej niż woda w publicznej toalecie.

– Chyba nie mam ochoty.

Hydra zachichotała.

– Trudno. W takim razie twoje zdrowie. – Upiła duży łyk, a potem odstawiła naczynie. Z jej miny wywnioskowałem, że nie chcąc go spróbować, podjąłem mądrą decyzję. – Wydajesz się przygnębiony. Nie przepadasz za festynami?

– Cóż... Wolę nie przesadzać z zabawą, skoro nazajutrz czeka mnie robota.

– Rozumiem. Bardzo odpowiedzialnie z twojej strony. – Hydra znów napiła się piwa. – Jak myślisz, co tam znajdziemy: okrutnych pradawnych bogów, spragnionych ludzkiej krwi, jak twierdzi *hohon*?

– Tego akurat się nie spodziewam, ale doświadczenie nauczyło mnie ostrożności w miejscach, gdzie przechowuje się starożytne relikwie. Wciąż mam świeżo w pamięci to, co spotkało mnie w Kolodugu.

– Spokojnie, jeśli tym razem pojawią się gigantyczne pytony, ja się nimi zajmę.

– Niczego innego nie oczekiwałem.

Uśmiechnęliśmy się oboje.

Po chwili milczenia Hydra rzekła:

– Odkąd odeszłam z Piwnicy, robicie bardzo ciekawe rzeczy.

– Domyślam się, że wy, bondowie, też macie swoje zastrzyki adrenaliny.

– Owszem, ale to nie to samo. – Hydra westchnęła. – Korpus Poszukiwaczy ma w sobie coś... nie wiem, jak to nazwać... improwizowanego. Poza tym odzyskiwanie dzieł sztuki wydaje mi się o wiele bardziej emocjonujące niż ściganie międzynarodowych terrorystów. Ostatnio myślę, że powinnam była lepiej się zastanowić, zanim zrezygnowałam.

– Czemu to zrobiłaś?

Skrzywiła się.

– To bolesne wspomnienia.

– Rozumiem, jeśli nie chcesz, nie musisz mi o tym opowiadać.

– A zresztą... tyle czasu upłynęło. Już nie powinnam się tym przejmować. A poza tym nie odeszłam, wyrzucili mnie.

Spojrzałem na nią zaskoczony.

– Co się stało?

Hydra znów sięgnęła po piwo. Spoglądała w niebo, jakby w gwiazdach widziała odbicie swojej przeszłości.

– Narváez... Był bardzo sprawiedliwym szefem, szanowaliśmy go wszyscy. Miał tylko jedną wadę, czasami – nie zdarzało się to często – za bardzo przywiązywał się do jednego ze swoich Poszukiwaczy. I to odbierało mu zdolność racjonalnej oceny. Myślę, że w głębi duszy czuł się samotny. Jak ojciec, który nie ma na kogo przelać swoich ojcowskich uczuć. Z tego, co wiem, przez te wszystkie lata, kiedy kierował Korpusem, zdarzyło mu się faworyzować tylko kilku podwładnych. Jednym z nich był Bańka. To on przekonał Staruszka, żeby mnie wylał.

– Bańka? Ale... ale dlaczego? – spytałem, nic nie rozumiejąc. – W takim wypadku to ty powinnaś mieć do niego żal, a miałem wrażenie, że jest odwrotnie.

– To długa historia. – Hydra zamyśliła się na chwilę, a po głębszym zastanowieniu poprawiła samą siebie: – Chociaż nie, to była najbardziej typowa historia na świecie.

Kiedy czujesz się zdradzony przez kogoś, kogo kochasz, bardzo łatwo zacząć cię tę osobę nienawidzić. Miłość i nienawiść to dwie strony tej samej monety.

Patrzyłem na Hydre ze ściągniętymi brwiami, jakbym spoglądał na niemożliwe do rozwiązania równanie matematyczne.

– Bańka i ty?

– Nie wiem, czemu wydajesz się taki zaskoczony. – Na twarzy byłej Poszukiwaczki malowała się melancholia. – Jest... był... bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Zawsze.

– Przepraszam, myślałem po prostu... Bo Irena i ty...

Hydra uśmiechnęła się, jakby bawiło ją moje zakłopotanie.

– Tak, Faro, podobają mi się kobiety. Problem w tym, że odkryłam prawdę, będąc w związku z mężczyzną, który, jak się później okazało, kochał mnie o wiele bardziej, niż przypuszczałam. Okropnie go skrzywdziłam.

– Rozumiem, ale nawet jeśli tak było... To chyba nie aż tak straszne przewinienie, żeby żyć urazę przez tyle lat.

– Chyba masz szczęście: nie wiesz, co się czuje, kiedy porzuca cię ktoś, kogo naprawdę kochasz.

Miała rację, ale nadal cała ta historia nie składała mi się w całość.

– Siedem lat to chyba dostatecznie dużo czasu, żeby uporać się z traumą.

Uśmiechnęła się do mnie gorzko. Bardzo gorzko.

– Widzę, że nadal nie rozumiesz. Czuję, że muszę opowiedzieć ci całą prawdę. Nie tylko go porzuciłam, Faro. W dodatku go zdradziłam. Z kimś bardzo mu bliskim. Kimś, kogo on też bardzo kochał.

– Aha. Z byłą narzeczoną czy coś takiego.

– Znacznie gorzej. – Hydra zawiesiła głos. – Z Danny.

Miałem wrażenie, że stanęło mi serce.

– Danny? – powtórzyłem skonsternowany i zaskoczony. – Ale... myślałem, że ona... znaczy właściwie jestem całkiem pewien...

Hydra spojrzała mi w oczy. Z jej miny domyśliłem się, że pojęła wszystko, czego nie powiedziałem.

– Ach, tak. – Pokiwała głową. – No więc, Faro, Danny jest osobą, która, jakby to powiedzieć... nie boi się nowych doświadczeń. Dla niej to był eksperyment, rzecz w tym, że każda z nas wyciągnęła z niego zupełnie odmienne wnioski. Rozumiesz?

Tak, rozumiałem. Może więcej niżbym chciał. Po raz kolejny uświadomiłem sobie, jak niewiele wiem o pozostałych Poszukiwaczach, mimo że uważałem ich za bliskich przyjaciół. Dziwne, ale zarazem fascynujące uczucie.

– Zaczynam sobie wyobrażać sytuację – powiedziałem po chwili milczenia. – Zdradziłaś Bańkę z jego siostrą, a potem go porzuciłaś. Jasne. Z pewnością trudno przyjąć taki cios.

– No i oczywiście nie winił za to Danny. Nigdy jej za nic nie winił. Nienawiść do mnie była o wiele łatwiejszym rozwiązaniem. W końcu pewnie pomyślał, że nie zdoła uporać się z tym bólem, ciągle mnie widując. Przekonał Staruszka. Nie wiem, co mu opowiedział, ale na pewno nie była to prawda. Narwał mnie wylał. To już cała historia.

– A ty? Nie masz do niego pretensji?

Hydra zastanawiała się przez moment.

– Nie. Tak naprawdę nie mam. Kiedyś czułam wściekłość, ale nie powinnam była go zdradzać. Kochał mnie. Kochał naprawdę. Kiedy ranisz kogoś w ten sposób, musisz być gotowy na konsekwencje. Był dobrym człowiekiem. Na pozór silnym, ale życie nie obchodziło się z nim łaskawie. Nie zasłużył sobie na to.

Wydało mi się to boleśnie dokładnym opisem Bańki. Milczałem, myśląc o nim. Zresztą nie wiedziałem, jak mógłbym skomentować taką historię.

– Pewnie teraz uważasz, że nie zachowałam się tak, jak powinnam – odezwała się Hydra.

– A kim ja jestem, żeby cię oceniać? Poza tym w Piwnicy nikt nie jest święty. To jaskinia zbójców...

Chyba spodobały się jej moje słowa, bo się uśmiechnęła.

– To prawda, Faro. Jaskinia zbójców. Ale w tej Piwnicy spędziłam wiele pięknych chwil, wiesz? – Hydra jednym haustem dopiła piwo. – Mój Boże, jak bardzo za tym tęsknię. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, póki znów nie zjawiliście się na mojej drodze. Gdybym tylko mogła do was wrócić...

– Jeśli naprawdę tego chcesz, z przyjemnością wstawię się za tobą. Właśnie takie osoby jak ty sprawiają, że Narodowy Korpus Poszukiwaczy to wspaniałe miejsce.

– Dziękuję, Faro. Porządny z ciebie gość.

Hydra wydawała się tak wzruszona, że wolałem nie wspominać, że aktualnie mój wpływ na nowego szefa był, delikatnie rzecz ujmując, niewielki.

Znów usłyszałem kroki w ciemności. Wyłoniła się z nich Enigma z kalabasą piwa w rękę. Na szyi miała mnóstwo sznurków z koralikami i piórami, w których wyglądała dość egzotycznie. A jednak ładnie.

– Zabawa jest wspaniała, nie wiecie, co tracicie – powiedziała. – To najbardziej szalone błogosławieństwo, jakie kiedykolwiek dostałam. Ci Do... dogoni to wspaniali ludzie.

Gdy wymawiała słowo Dogoni (w końcu wyszło jej coś podobnego do Zogoni), poplątał jej się język. Widać nie żałowała sobie piwa z prosa.

Rzuciłem okiem na naczynie z kalabasy, na którego dnie falowały resztki trunku.

– Ile takich wypijaś? – zapytałem.

– Och, nie liczyłam. Jedna kobieta ciągle mi dolewała do kubka... naczynia, nie wiem, jak to się nazywa. Najohydniejszy płyn, jaki kiedykolwiek piłam, ale uderza do głowy, że ho ho... Powinniście spróbować, widzę, że nastrój wam nie dopisuje.

– Nie pachnie jak coś, czego chciałbym spróbować – odparłem, krzywiąc się.

– A ja sobie golnę – rzekła Hydra. – Podobno to rytuał błogosławieństwa dla nas, prawda? Może jutro pożre nas niejaki Zugu, więc cieszymy się chwilą.

– Mądrze gada, dolać jej – przyklasnęła Enigma. – Chodźmy razem. – Spróbowała wstać, ale w połowie zrezygnowała. Widać było, że kręci się jej w głowie. – Nie. Lepiej tu zaczekam. Chyba muszę trochę posiedzieć.

Hydra odeszła, a ja zostałem z Enigmą. Wydawało mi się, że lepiej nie zostawiać jej samej w tym stanie.

Enigma westchnęła i położyła mi głowę na ramieniu.

– Chyba trochę mi niedobrze, kolego...

– Za dużo piwa, koleżanko?

Zamknęła oczy i spróbowała wygodnie ułożyć głowę, jakby mój obojczyk uznała za poduszkę.

– W żadnym wypadku. Mogłabym wypić więcej niż cała wioska. To tylko ten kurczak... chyba dodają do niego za dużo przypraw. – Kręciła się, nie znajdując odpowiedniej pozycji, aż w końcu zrezygnowana uniosła głowę. – Nie jesteś zbyt wygodny, Faro.

– Przykro mi.

– To przez te kości, są takie wystające.

– Tak, moja osteopatka twierdzi to samo.

Enigma się uśmiechnęła. Potem położyła się na plecach i przez chwilę w milczeniu spoglądała w gwiazdy. Poszedłem za jej przykładem i przez jakiś czas zgubiłem się kompletnie pośród morza srebrnych iskier.

– Niesamowite, co? – powiedziała ściszym głosem, jakby bojąc się je spłoszyć. – Nocne niebo w Afryce nie ma sobie równych. Chciałabym odłamać kawałek i zabrać ze sobą na pamiątkę.

Jej życzenie wydało mi się wzruszające. Uśmiechnąłem się. Uniosłem ręce, jakbym naprawdę coś w nich trzymał. Nie wiem, czemu nagle poczułem się w nastroju do wygłupów.

– Zrobione – powiedziałem. – Mam dwa kawałki. Chcesz?

Milczała przez chwilę.

– Tak.

– W takim wypadku musisz mi dać coś w zamian.

– A co na przykład?

– Może sznurek tych błogosławionych koralików?

– Aha... – mruknęła. Miałem wrażenie, że moja odpowiedź ją rozczarowała. – Nie potrzebujesz ich, i tak szczęście ci sprzyja. Poza tym są moje.

– No to nie dam ci gwiazdek. Sam sobie wezmę.

– Nie, najlepiej odłóż je na miejsce. Te gwiazdy nigdzie nie będą lśniły piękniej niż tutaj, prawda?

– Tak, masz rację. – Otworzyłem dłonie i wyobraziłem sobie, jak gwiazdy wracają z powrotem na firmament, machając przezroczystymi skrzydełkami. Zapadła cisza.

– Faro... – usłyszałem po chwili.

– Co?

– Jak myślisz, co znajdziemy tam jutro?

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Może skarb. Może nic. – Po chwili namysłu przyznałem: – W gruncie rzeczy nie ma to dla mnie znaczenia.

Patrząc na roziskrzony firmament, przypomniałem sobie światełka na mapach, wyznaczające drogę, która przywiodła nas aż tutaj. Niebo wydało mi się taką bezbrzeżną mapą pełną świetlistych znaków. Niekończącym się szlakiem. Zapragnąłem nim podążyć.

– Wiem, że cię to nie obchodzi – powiedziała. – Imponujesz mi tym.

Wzięła mnie za rękę. Uczucie było przyjemne, więc leżeliśmy tak przez jakiś czas, a ja wpatrywałem skarbów pośród gwiazd.

NUMMOWIE

Dogoni obudzili nas o świcie i zaprowadzili do *hogona*. Nie wyglądałem najlepiej, nigdy nie byłem rannym ptaszkiem, a tej nocy spałem wyjątkowo krótko. Pocięczałem się, że Hydra i Enigma też nie są w dobrej formie, oprócz niewyspania męczył je również kac po piwie z prosa. Pod oczyma miały wielkie, szare cienie.

Hogon przywitał nas uroczystą przemową, z której nie zrozumieliśmy ani słowa, gdyż wygłosił ją w swoim języku. Balam streścił nam ją po francusku. Powiedział, że *hogon* życzy nam dobrej podróży i zapewnia o dobronnej przyjaźni swego ludu.

Potem przedstawił nam chłopaka, który miał nas zaprowadzić do Ogołu. A na końcu pobłogosławił nas po raz ostatni, kładł nam po kolei na twarzach swoje pomarszczone dłonie i szeptał słowa modlitwy do dobrych duchów ziemi, prosząc je, by zawsze nam towarzyszyły. W takim oto doborowym towarzystwie Enigma, Hydra i ja opuściliśmy Benigoto.

Nasz przewodnik poprowadził nas stromymi ścieżkami, które wiły się zboczami gór. Ten skalisty, dziki krajobraz wydawał mi się wszędzie taki sam, ale chłopak nie wahał się ani przez chwilę, którą drogę wybrać.

Schodziliśmy krętą ścieżką prowadzącą stromym zboczem. W połowie drogi musieliśmy zacząć pomagać sobie rękami, żeby nie runąć jak kamyki, osuwające się spod naszych stóp. Po mniej więcej dwóch godzinach marszu znaleźliśmy się na dnie ogromnego uskoku. Jego środkiem płynęła rzeka, przez którą musieliśmy się przeprawić.

Rzeka miała wartki nurt i była stosunkowo głęboka, musieliśmy zanurzyć się po pas, żeby dotrzeć na drugi brzeg. Pochód otwierał nasz przewodnik. Kiedy wyszedł z wody, zaczął pokazywać nam nerwowymi gestami, żebyśmy się pospieszyli. Kiedy i my znaleźliśmy się na lądzie, wskazał nam ślad na wodzie, kilka metrów od nas. Z toni wynurzył się pokryty łuskami pysk i złośliwe oczka, które wyraźnie się do nas zbliżały. Teraz zrozumiałem ponaglania przewodnika i ucieszyłem się, że nie zauważyłem krokodyla, gdy byłem jeszcze w wodzie.

– Piękny egzemplarz – skwitowała Hydra, oglądając się za siebie. Bestia wynurzyła pół cielska z wody i zaległa na skałach. – Krokodyl nilowy, bez dwóch zdań. Pewnie aż się tu od nich roi.

– Złe. Złe krokodyle – powiedział chłopak, używając trzech na krzyż francuskich słów, które znał. – Jedzą ludzi. Bardzo źle. – Położył jedno ramię na drugim, imitując ogromną paszczę. – Wielkie.

Podążaliśmy dalej dnem uskoku, blisko skalnego urwiska, ale nie tracąc z oczu rzeki. Rozglądałem się wokół pełen obaw, każdy suchy pień wydawał mi się przyczajonym gadem czyhającym na śniadanie. Postanowiłem trzymać się blisko Hydry, nie tylko nie bała się krokodyli, ale wydawała się niecierpliwie oczekiwać spotkania z jakimś okazem.

Na szczęście dla mnie jedyny krokodyl, na którego natrafiliśmy po wyjściu z rzeki, nie był z krwi i kości – został namalowany na skale. Było to spore malowidło o białych konturach i ciele pomalowanym na czerwono. Zwierzę otwierało groźnie pysk. Nasz przewodnik wskazał na nie.

– Numma – powiedział i rozejrzał się niespokojnie.

Szliśmy dalej wzdłuż skalnej ściany. Wkrótce ujrzeliśmy kolejne malowidła. Większość przedstawiała zwierzęta, przede wszystkim krokodyle w rozmaitych pozach, ale zdarzały się też węże i ptaki. Inne sylwetki miały ludzkie kształty, byli to mężczyźni w maskach, ubrani w słomkowe spódniczki; od czasu do czasu zdarzały się też dziwne motywy graficzne, jakby we wzór szachownicy, których nie potrafiłem zidentyfikować. Wszystkie sprawiały wrażenie bardzo starych.

Przewodnik zatrzymał się w miejscu, gdzie ściana urwiska była tak wysoka, że nie widzieliśmy nawet szczytu. Tu również znajdowało się mnóstwo malowideł, przykrytych przez jakieś gęste pnącza wyrastające gdzieś ze skalnej ściany. Chłopak postukał jedną ręką w urwisko, a drugą wskazał niebo.

– Ogol. Tutaj.

– Tutaj? – zdziwiła się Enigma. – Przecież tu nic nie ma.

– Ogol – upierał się chłopak. Złapał lianę i pociągnął kilka razy. – Na górze. Wspinać.

Wtedy zauważyłem, że rzekome pnącza nie były wcale roślinami, ale grubymi, prymitywnie splecionymi sznurami.

– Chyba wykonano je z włókien jakiegoś drzewa. Może baobabu? – powiedziała Hydra, przyglądając się linie. – Mamy z nich skorzystać, żeby wspiąć się po zboczu?

Nasz przewodnik owinał sobie linę wokół nadgarstka i zaczął się wspinać. Potem zwinnie zeskoczył i gestami wskazał, że mamy pójść za jego przykładem.

– Tak, chyba tak – odrzekłem. – Bez wątpienia Tellemowie wchodzili w ten sposób do swoich wiosek. To skrzydła słynnych ludzi ptaków.

– Nie podoba mi się ten pomysł – żaliła się Hydra. – A jeśli sznury się zerwą?

– Z tych właśnie względów zawsze uważam na dietę – wtrąciła Enigma. Chwyła jedną z lin i mocno za nią pociągnęła. – Wydaje się mocna. Jeśli skorzystamy z jednej, żeby się wspinać, a drugą przewiążemy się w pasie, być może dotrzemy na górę cali i zdrowi.

– Mamy jakieś inne wyjście? – zapytałem.

Nie otrzymałem odpowiedzi.

Chłopak, który najwyraźniej chciał jak najszybciej się stamtąd ulotnić, zniknął nagle bez słowa pożegnania. Spojrzałem na ścianę urwiska i zauważyłem, że chociaż pnie się prawie pionowo w górę, są na niej występy, po których można się wspinać. Pociągnąłem za linę, wydawała się giętka, ale solidna.

Próbowałem przekonać samego siebie, że wspinaczka będzie bezpieczna. Wziąłem jeden ze sznurów i przewiązałem go sobie wokół bioder, jak sugerowała Enigma. Hydra pomogła mi zawiązać solidny marynarski węzeł. Złapałem drugą linę oburącz i wsunąłem but w szczelinę między skałami. Potem zrobiłem kolejny krok. Liany wydawały się z łatwością utrzymywać ciężar mojego ciała.

Zaczekałem, aż moje towarzyski się przygotowują, i we trójkę zaczęliśmy wspinaczkę. Posuwałem się w górę ostrożnie i powoli, odpędzając od siebie myśl, że każdy kolejny

krok uczyni mój upadek boleśniejszym. Nie patrzyłem w dół, więc nie wiedziałem, jak długą drogę przebyłem, czułem jednak, że wiatr staje się coraz silniejszy.

Upłynęło wiele dłużeńych się w nieskończoność minut, a ja patrzyłem tylko na zbocze, lecz ciągle nie widziałem szczytu. Najpierw dłonie zaczęły mi się pocić i zadrżałem na myśl, że wypuszczę linę z rąk. Przypomniałem sobie czym prędzej wszystkie sztuczki mające na celu odpędzenie ataku paniki.

Po długim wysiłku mięśnie przedramion zaczęły mi drżeć. Miałem nadzieję, że cel jest blisko, bo nie byłem pewien, jak długo jeszcze wytrzymam. W końcu dostrzegłem nad głową coś, co nie wydawało się tylko wyłomem w skalnej ścianie. Podekscytowany zacząłem wspinać się szybciej. Hydra wyprzedzała mnie o kilka kroków.

– Chodźcie! – rzuciła za siebie. – Już prawie jesteśmy na miejscu.

To ona pierwsza wspięła się na szczyt. Kilka chwil potem Enigma też znalazła się na górze. Kiedy już prawie i mnie się udało, dziewczyny podały mi ręce. Dyszałem jak pies i bolały mnie ramiona, ale przynajmniej nic mi się nie stało.

Stałem na szczycie, spojrzałem w dół i obróciłem się jak najszybciej. Pode mną otwierała się przepaść, a rzeka płynąca dnem uskoku przypominała srebrzysty zygzak. Z drugiej strony rozciągała się perspektywa, jaką zapewne mógł się cieszyć ptak ze swojego gniazda.

Znajdowałem się przy wejściu do ogromnej groty w zboczu, mniej więcej w połowie jego wysokości. Grota była bardzo głęboka, a w środku dostrzegliśmy niewielkie, prymitywne budyneczki z niepalonej cegły. Cała wioska zdawała się schowana przed oczami stworzeń pozbawionych skrzydeł.

Niektóre domki były niziutkie i kanciaste, niektóre miały kształt sześcianu, inne były smukłe jak wieże szachowe, jeszcze inne nieco spłaszczone, wszystkie miały w murach otwory przypominające okienka strzelnicze. Największe budowle miały dwa, trzy metry wysokości i wielkość niedużego pokoju, wiele z nich wieńczyły spiczaste dachy z gałęzi o niezbyt regularnych kształtach. Całość zrobiła na mnie ponure wrażenie jak scena z gotyckiej powieści. Mieszkania – jeśli rzeczywiście zamieszkiwało je coś poza paskudnymi robalami o wielu odnóżach – piętrzyły się jedno na drugich niczym ściśnięte babki z piasku albo gliniane grzyby wyrastające ze skalnej ściany. Struktura tej napowietrznej wioski zdawała się szalona i chaotyczna, a kiedy się jej przyglądałem, ogarnęły mnie niepokojące przeczucia. Nie potrafiłem ocenić rozmiarów osady, gdyż wewnątrz groty tonęło w ciemnościach.

Dotarliśmy do Ogolu, twierdzy Nummów i bramy Nieprzemijalnej Oazy.

Chociaż miejsce wydawało się równie zamieszkane jak cmentarz, miałem uczucie, że wiele par oczu śledzi nas zza ścian maleńkich chatek, jakby wewnątrz znajdowały się istoty zbyt obrzydliwe, by ujrzeć światło dzienne. Jeśli rzeczywiście był tu jakiś skarb, ukryto go bardzo dobrze, a poza tym trudno było wyobrazić sobie miejsce mniej odpowiednie na lokalizację oazy, wszystko jedno nieprzemijalnej czy nie.

Nadeszła chwila, by zachować się jak Poszukiwacze i przeczesać okolicę. Za to nam płacili. Podobno byliśmy w tym najlepsi.

Zaproponowałem Hydrze i Enigmie, żebyśmy się rozdzielili i pojedynczo wyruszyli na

inspekcję osady widma. Moja sugestia nie spotkała się z najcieplejszym przyjęciem.

– Wolałabym nie kręcić się tu sama, jeśli da się tego uniknąć – przyznała Hydra. – To miejsce przyprawia mnie o gęsią skórkę.

– Poza tym jako jedyna wzięłam ze sobą latarkę i nie mam zamiaru się z nią rozstawać. Jeśli chcesz iść sam obmacywać ciemne ściany groty, droga wolna, tylko żebyś się później nie skarżył, że ukąsiło cię coś kosmatego.

Ruszyliśmy więc razem na rekonesans. Część położoną najbliżej wejścia do jaskini oświetlały promienie słońca, ale tu nie znaleźliśmy nic godnego uwagi. Domki były puste, nie licząc kurzu i pajęczyn oraz plecionych z wikliny zużytych naczyń. W kilku budynkach znaleźliśmy resztki sadzy, ale nie udało nam się ustalić, jak bardzo starej.

Zagłębialiśmy się coraz dalej do wnętrza jaskini, podążając płataniną wąskich uliczek. Po chwili musieliśmy zrobić użytek z latarki Enigmy. W domkach bardziej oddalonych od wejścia do groty znaleźliśmy różne intrygujące przedmioty: na przykład ceremonialne maski i naczynia z kalabasy. Maski były mniejsze niż te używane przez Dogonów i wykonano je mniej starannie. Wszystkie były zwykłymi kawałkami drewna, z otworami na oczy oraz usta – szpary na usta imitowały jakiś okropny grymas. Ich jedyne zdobienia stanowiły zwykłe czerwone linie. Nie wydaje się, by ich autorzy kierowali się jakimś kryterium estetycznym: miałem wrażenie, że otwory wykonano gołymi rękami, a kreski namalowano na chybił trafił palcami zamoczonymi w czerwonej farbie. Chociaż leżały porozrzucane jak śmieci, postanowiliśmy nie ruszać ich z miejsca: były zbyt proste, by mieć jakąś wartość artystyczną, a jako dekoracja sprawdziłyby się chyba tylko w ponurych lochach zamku.

Kiedy zagląдалиśmy do kolejnych budynków, coraz częściej znajdowaliśmy w nich kości małych zwierząt, przede wszystkim ptaków i gryzoni. Leżały zwykle na środku pomieszczenia, usypane w niewielkie stosiki. Ściany niektórych izb ozdabiały malowidła. Większość z nich przypominała ludziki albo gady namalowane ręką przedszkolaka. Wewnątrz jednego z domów, wyraźnie większego od innych, znaleźliśmy na ścianach odciski dłoni wykonane czerwoną farbą i sadzą. Były to małe dłonie, nie większe niż ręce dziecka. Ten szczegół wzbudził we mnie wielki niepokój.

Kontynuowaliśmy nasz marsz coraz głębiej w czeluście jaskini. Okazała się o wiele rozleglejsza, niż przypuszczałem, zdawała się nie mieć końca. Wpadliśmy na jakiś budynek, którego mury z niepalonej cegły ozdobiono czaszkami zwierząt ułożonymi w kilka pasów. Przyjrzałem im się w płomieniu zapalniczki, by stwierdzić, że należą najpewniej do jakiegoś gatunku jeleniowatych. Wtedy usłyszałem jęk Enigmy.

– Co się stało? – zapytałem.

– Spójrzcie na to.

Poszukiwaczka skierowała światło latarni na inny dom ozdobiony kośćmi. Były to niewątpliwie ludzkie czaszki pozbawione żuchw. Naliczyłem ich dwanaście, rozmieszczonych w rzędach, po cztery czaszki w każdym.

– Właściciel miał dość kiepski gust – powiedziałem.

– Zdaje się, że nie był jedyny, chyba wprowadził modę w sąsiedztwie. – Hydra wskazała naokoło, wszystkie budynki miały podobne dekoracje.

Przyglądaliśmy się w milczeniu rzędom białych, ślepych głów. Od tamtej pory

wszystkie napotkane przez nas domy były ozdobione w ten właśnie sposób. Wrażenie, że ktoś obserwuje każdy nasz krok, stało się jeszcze bardziej dojmujące.

– Boję się – powiedziała Enigma.

– Ja też – przyznałem. – Ale musimy iść dalej. Jeszcze nie zbadaliśmy całej jaskini.

Pomyślałem sobie, że to wielkie szczęście, iż w wiosce nikt nie mieszka. Poznawszy upodobania estetyczne ludu Numma, nie miałem najmniejszej ochoty ryzykować spotkania z jego przedstawicielami twarzą w twarz.

Domy udekorowane czaszkami zostały rozmieszczone wzdłuż czegoś w rodzaju szerszej alei. Podążyliśmy nią i po chwili przekonaliśmy się, że prowadzi do budowli o wiele większej niż wszystkie poprzednie. Konstrukcja z gliny i nieociosanych kamieni przylegała do ściany jaskini. Miała kształt wieży i była wysoka na jakieś pięć metrów. Wieżę wieńczyły spiczaste merlony, a prowadziły do niej drewniane drzwi.

By do nich dotrzeć, należało najpierw przejść przez korytarz o murach z gliny, pokrytych malowidłami. Poprosiłem Enigmę, by pożyczyła mi latarkę. Chciałem przyjrzeć im się bliżej.

Malowidła wydawały się bardziej wysublimowane niż te, które widzieliśmy w domkach. Chociaż nadal było to malarstwo naiwne, artyście nie można było odmówić talentu i umiejętności. W świetle latarki ujrzeliśmy grupę ludzi chudych jak patyczki oraz gady przypominające salamandry, otaczające większego gada: krokodyla z otwartą paszczą. W przeciwieństwie do pozostałych elementów muralu, utrzymanych w kolorystyce rozmaitych tonów ochry oraz czerni, krokodyl był zupełnie biały. Ludzkie sylwetki piętrzyły się pod jego łapami albo też znajdowały się w paszczy, jakby bestia właśnie jadła śniadanie. W porównaniu do tych ludzików krokodyl był wielki jak dinozaur.

– Bardzo interesująca scena – orzekła Hydra, robiąc zdjęcie telefonem. – To chyba coś w rodzaju polowania...

– Tak, tylko trudno dociec, kto jest myśliwym, a kto ofiarą. Widziałaś kiedyś białego krokodyla?

– Nie, ale wiem, że na świecie żyje kilka albinosów. Z pewnością jednak nie są tak wielkie jak na tym rysunku. Zwróć uwagę na proporcje.

– Afrykańskie malowidła naskalne nie są zbyt realistyczne.

– To dobrze. Wyobraź sobie spotkanie z takim potworem. Jest większy niż sarkozuch.

– Niż co?

– To olbrzymi krokodyl, zamieszkiwał Afrykę w erze mezozoicznej. Uważa się, że mógł mieć nawet dwanaście metrów długości, tyle co trzy samochody ustawione jeden za drugim.

– Myślisz, że to właśnie zwierzę pożera biednych ludzików? – zapytała Enigma.

– Niemożliwe. Sarkozuch wyginał na długo przedtem, zanim pojawili się tu pierwsi ludzie.

Przyglądałem się pozostałym scenom. Były bardzo złożone, bogate w szczegóły: ukazywały zwierzęta i patyczkowate ludzkie sylwetki dzierżące włócznie i tarcze, rozmaite budowle... Pomyślałem, że wielu antropologów sporo by dało, aby móc zobaczyć na własne oczy to wspaniałe dzieło sztuki ludowej.

Jedna ze scen przykuła moją uwagę. Przedstawiała człowieka w lektyce niesionej na

ramionach przez inne figurki. Przed nimi maszerowała kolumna wojowników. A na samym czele pochodu ukazana była inna grupa, w długich tunikach, która niosła coś na głowach. To coś przypominało ołtarz albo...

Nagle przedmiot wydał mi się znajomy.

– Enigmo – zawołałem, nie odrywając wzroku od muralu. – Mogłabyś rzucić na to okiem?

Enigma oddaliła się od Hydry i stanęła za mną.

– O co chodzi?

Pokazałem jej przedmiot niesiony przez figurki w tunikach.

– Powiedz, co to jest.

– No, chyba jakiś mebel z... – Poszukiwaczka zamilkła. Przechylała głowę to w jedną, to w drugą stronę, jakby szukając nowej perspektywy. – Niemożliwe... A jednak wydaje się...

– Też tak myślisz, prawda? To nie są tylko moje halucynacje?

– To niemożliwe, Faro. Zwykły zbieg okoliczności.

– Ale zwróć uwagę na te szczegóły. Są identyczne jak na – spojrzałem ukradkiem na Hydre i ściszyłem głos – jak na wiesz czym, tylko o wiele większe.

– Mówię ci, że to niemożliwe.

Hydra podeszła do nas.

– Znaleźliście coś ciekawego? – zapytała.

– Nie – skłamałem. – Przyglądaliśmy się tylko temu malowidłu. Przedstawia jakiś pochód tryumfalny czy coś w tym rodzaju.

– Raczej ceremonię religijną – zauważyła Hydra. – Przedmiot, który niosą, jest chyba ołtarzem. Niosą go do jakiegoś budynku, prawdopodobnie świątyni. A tu... co my tu mamy? Spójrzcie na te potworki.

Wskazała na dwie grupy wojowników walczące ze sobą. Jedną z grup tworzyły antropomorficzne sylwetki z głowami krokodyli. Ci żołnierze byli znacznie mniejsi od przeciwników, a mimo wszystko zdawali się wygrywać bitwę.

Na tej scenie kończyły się ozdabiające korytarz malowidła. Naszym oczom ukazały się schody prowadzące do drzwi budynku przyległego do ściany groty. Budynek wydawał się najodpowiedniejszym w tej jaskini miejscem na przechowywanie skarbu.

Ruszyłem w górę po schodach, za mną moje towarzyszki. Przekonałem się, że drzwi były zrobione z desek przewiązanych sznurami i nie miały żadnych zamków ani innych zabezpieczeń. Zdawało się, że wystarczy je pchnąć, by ustąpiły.

Tak też zrobiłem. Drzwi się otworzyły, nie stawiając oporu.

I w tej właśnie chwili zaczęły się problemy.

Przerażający wrzask odbił się echem od ścian jaskini. Przypominał kwik zarzynanej świni i świdrował uszy jak rozgrzane do czerwoności wiertło. Zawtórował mu inny okrzyk, a potem rozległo się ich jeszcze wiele, jaskinię zalał chór dzikich wyjców.

Wszyscy troje instynktownie zasłoniliśmy uszy dłońmi. Dostrzegłem przemykające się pomiędzy domami cienie i kształty wylewające się przez wyrwy w ścianie groty, na które wcześniej nie zwróciłem uwagi.

Wioska wypełniła się mrocznymi sylwetkami biegającymi jak stado szympanów. Kiedy tu dotarliśmy, kryli się w mrokach, teraz najwidoczniej zdecydowali, że pora zgotować nam odpowiednie powitanie. Zrozumiałem, dlaczego od samego początku czułem się obserwowany.

Wtedy ostry ból przeszył mi ramię. Złapałem się za bolące miejsce i wymacałem tam prymitywną strzałę z kolca jeżozwierza. Wyrwałem ją z ramienia, ale wtedy trafili mnie w udo.

– Kryć się! – zawołała Hydra.

Wszyscy troje schowaliśmy się za jednym z budynków. Znów rozległy się przeraźliwe okrzyki. Ostry, przenikliwy dźwięk jak tysiące metalowych szponów drapiących po szkle.

– Jak oni robią ten przekłety hałas? – zapytała Enigma.

Nie odpowiedziałem. Nagle poczułem, że coś trochę większego i cięższego niż dziecko rzuca mi się na plecy. Dwie maleńkie dłonie sięgnęły moich policzków i poczułem, jak dziesięć ostrych paznokci rozrywa mi skórę. To coś, co mnie złapało, wrzasnęło, a potem ugryzło mnie w szyję.

Krzyknąłem z bólu. Próbowałem uwolnić się z uścisku napastnika, ale wbił się we mnie jak kleszcz. Walnąłem pięścią tam, gdzie, jak się spodziewałem, miał głowę, i osiągnąłem tyle, że przestał mnie gryźć. Enigma skoczyła mi na pomoc – zdzieliła stworzenie latarką, a Hydra zaczęła ciągnąć je za ramiona.

Mała istota upadła na ziemię. Poświeciliśmy na nią. Był to maleńki mężczyzna, któremu za jedyne strój służyła skórzana przepaska na biodrach. Całe jego ciało pokrywały szpetne blizny, co sprawiało, że jego skóra wyglądała jak łuski gada. Człowieczek wstał, prychnął na nas i znów się na mnie rzucił.

Z cieni wylało się mnóstwo podobnych Pigmejów, którzy szybko nas otoczyli. Ledwo zdołałem uwolnić się od pierwszego, zadając mu cios kamieniem w głowę, dopadło mnie dwóch następnych. Złapali mnie za nogi i przewrócili. Hydra i Enigma nie były w lepszym położeniu, Pigmeje tłoczyli się wokół nas niczym rój natrętnych owadów. Było ich zbyt wielu, a nas tylko troje. Chociaż stawialiśmy opór, zostaliśmy pokonani.

Podeszła do nas grupka z pochodniami. W ich świetle ujrzałem przeraźliwych Nummów, ludzi węży.

Nazwa odpowiadała rzeczywistości, gdyż naprawdę przypominali gady. Wielu z nich miało peleryny z krokodylej skóry, inni nosili także spodniczki albo przepaski na biodra. Na ciałach wszystkich bez wyjątku uwagę zwracały liczne blizny, pokrywające nogi, ręce, torsy, a czasem nawet głowy. Zrozumiałem, że nie są to ślady po rzeczywistych ranach, ale dzieło brutalnych tatuażystów. Kształt ich ostrych jak szpilki zębów, które szczyrzyli niczym wygłodniałe wilki, też nie był naturalny. Domyśliłem się, że Nummowie je piłowali, by nadać sobie jeszcze dzikszyny wygląd.

Pigmeje obezwładnili nas i ułożyli na ziemi, twarzami do góry. Czułem, jak przytrzymują mnie maleńkie dłonie z twardymi, ostrymi jak szpony paznokciami. Próbowałem wyswobodzić się z tego uścisku, ale napastników było zbyt wielu, w dodatku okazali się nadspodziewanie silni. Grupka mężczyzn ze złowrogimi minami pochylała się nade mną jak nad soczystym, apetycznym kąskiem. Kilku miało na głowach prymitywne hełmy zrobione z głów krokodyli, wysuszonych i pokrytych szarym grzybem.

Nummowie zdawali się mieć jakąś chorą tendencję do ozdabiania swych ciał przerażającymi dodatkami. Zauważyłem prymitywny piercing ze zwierzęcych kłów, przyszyte do rąk i nóg fragmenty gadziej skóry. Wydawali się adeptami jakiegoś perwersyjnego odgałęzienia chirurgii plastycznej, która pozwalała im na mocowanie do skóry fragmentów zwierzęcych kości, zębów, łusek. Niektórzy mieli porozcinane wargi i w tym wiecznym uśmiechu pokazywali spiłowane, ostre zęby, inni mieli skrawki skóry w miejscach, gdzie powinny znajdować się powieki czy nosy, co w połączeniu z łuskami sprawiało, że wyglądali na jakieś skrzyżowanie istot ludzkich z gadami.

Kiedy wiązali mi ręce, spoglądali na mnie złowrogo, niektórzy wysunęli z ust języki i zobaczyłem, że ich czubki są rozdwojone jak język kobry. Wszystkie te przerażające szczegóły ich wyglądu doprowadzały mnie do mdłości. Uznałem, że nie zniosę już więcej obrazów rodem z najgorszego nocnego koszmaru, i zamknąłem oczy.

Pigmeje pociągnęli za sznury, którymi skrępowali mi stopy. Wlekli mnie w głąb jaskini, porozumiewając się przy tym za pomocą gardłowych odgłosów, nieprzypominających żadnego cywilizowanego języka. Pośród nieprzyjemnego hałasu tej dziwnej mowy okrzyki Hydry były ledwie słyszalne.

– Wypuście nas! Wypuście, cholerne skrzaty! Obłeśne potwory! Uwolnijcie nas!

Ją również Pigmeje ciągnęli za sznury krępujące kostki, podobnie jak Enigmę, która wiła się jak wąż, próbując się oswobodzić z więzów.

Wlekli nas uliczkami wioski, póki ostatnie domki nie zniknęły za plecami. Nasi porywacze kontynuowali marsz stromą drogą. Jaskinia zrobiła się tak wysoka, że światło pochodni nie docierało do stropu. Zaczęło się robić gorąco i mokro, jakby dno groty pokrywała w tym miejscu cienka warstwa wody.

Po chwili dotarliśmy do miejsca, w którym, jak mi się zdawało, Nummowie naprawdę mieszkali. Nie było tu domków z niepalonej cegły, zamiast nich dostrzegłem otwory w skalnych ścianach wielkości okien. Widziałem wyglądające przez nie drobne twarze, niektóre należały z pewnością do kobiet. Z jednego otworu wypadł dzieciak i zbliżył się do nas. Całe jego ciało pokrywały strupy i świeże rany, jakby niedawno poddano go rytuałowi inicjacji. Dorośli Nummowie wrzasnęli na chłopca, który natychmiast wślizgnął się w inną dziurę, jak jakiś niespotykany okaz jaszczurki.

Tubylcy zatrzymali się w końcu na krawędzi wielkiej jamy i wrzucili nas do środka, nie zadając sobie trudu, by nas rozwiązać. Spadłem z wysokości kilku metrów, bezwładnie jak worek ziemniaków, na gliniaste, mokre podłoże. Za mną wrzucili Hydre, a na końcu Enigmę, która wylądowała prosto na mnie. Jęknąłem z bólu.

– Przepraszam – mamrotała. – Te paskudne gnomy! Jesteś cały, kochanie? Błagam, powiedz, że nic ci nie jest.

– Tak, tak, nie martw się.

Odwróciłem się na bok w grząskim błocie. Na dnie dziury było bardzo ciemno. W świetle pochodni Nummów, którzy przyglądali nam się z góry, zdołałem tylko zobaczyć, że jesteśmy w czymś w rodzaju ogromnej studni.

Hydra wstała i spojrzała w górę.

– Wyciągnijcie nas stąd, skurwysyny! – krzyczała. – Zmiażdżę te wasze maleńkie obłeśne ciała, przeklęte krasnale!

Pigmeje odeszli, nieporuszeni groźbami Hydry. W tej chwili usłyszałem głos dobiegający z kąta jaskini.

– Możesz sobie wrzeszczeć, aż zedrziesz struny głosowe, to na nic.

Hydra, oniemiała z wrażenia, odwróciła się. Tam, opierając się o ścianę studni, siedział mężczyzna ze związanymi rękami i nogami. Drgające światła nummijskich ognisk rozświetliły na chwilę jego twarz, na której malował się smutny uśmiech.

– Witajcie, towarzysze – powiedział.

Pomyślałem, że mam przed sobą ducha.

To był Bańka.

PIORUN

Słyszac dobiegajacy z oddali głos, Bańka z trudem otworzył oczy. Zobaczył rozmazane, jakby znajome kształty. Chciał przełknąć ślinę, ale ze zdumieniem odkrył, że jego gardło jest ściśnięte jak pięść, poza tym ktoś przykleił mu do podniebienia coś potwornie spuchniętego i wysuszonego. Po długiej chwili zdał sobie sprawę, że to jego własny język.

W pierwszym momencie pomyślał, że przeżywa właśnie najgorszego w życiu kaca. Odwrócił wzrok ku oknu, oślepiający blask słońca kazał mu z powrotem zacisnąć powieki. Poruszył ustami i poczuł, że ktoś napompował mu wargi sztywną, plastikową masą.

– Wszystko w porządku? – usłyszał.

Głos należał do mężczyzny i przemawiał w języku, który Bańka rozumiał, chociaż w tym momencie nie byłby w stanie określić, co to za język. Jakby jego mózg zaczął działać, ale tylko na pół gwizdka.

Bańka zebrał się w sobie, a z jego ust wydobył się gardłowy, chrapliwy pomruk:

– Wody!

Ktoś wsunął brzeg plastikowego kubka pomiędzy jego wargi. Poszukiwacz pił łapczywie. Kiedy poczuł ożywczą wilgoć na podniebieniu, odważył się znów otworzyć oczy.

Rozejrzał się wokół. Znajdował się w pomieszczeniu wyglądającym na szpitalną salę. Obok niego stał mężczyzna w białym fartuchu.

– Może pan usiąść? – zapytał.

W pierwszej chwili Bańka nie zrozumiał pytania. Potem uświadomił sobie, że leży w łóżku, z głową na twardej poduszce.

– Chyba tak – odpowiedział słabym głosem. Oparł łokcie na materacu i poczuł ból w plecach, jakby ktoś wbijał mu nóż na wysokości łopatk. Z wielkim wysiłkiem zdołał usiąść. – Ma pan jeszcze trochę wody?

– Oczywiście. Proszę bardzo.

Mężczyzna w fartuchu znów podał mu kubek, a Bańka pił do dna. Igielki w gardle rozpląnęły się jak lód na słońcu.

– Gdzie ja jestem? – zapytał.

– W szpitalu Nianankoro Fumba w Segu – odparł mężczyzna w fartuchu. Umysł Bańki zaczynał powoli funkcjonować na pełnych obrotach, przynajmniej na tyle, by zdać sobie sprawę, że rozmawiają po francusku. – Jestem doktor Diara.

– Znakomicie – wymamrotał Poszukiwacz. Próbował przybrać jakąś wygodniejszą pozycję, oparł plecy o wezglowie łóżka. Znów ostry ból przeszył mu ramię. – Dlaczego boli mnie całe ciało?

– Nie pamięta pan?

– Pamiętam, ale... No, niechże mi pan pomoże. Czuję się jak w cholerny noworoczny poranek.

– Wyjęliśmy panu z pleców kulę. Ze względu na jej spłaszczony kształt podejrzewamy, że oberwał pan rykoszetem. Rana była bardzo poważna, ale jest pan w godnej pozadzroszczenia kondycji. To zadecydowało. Ale miał pan dużo szczęścia, że w porę pana znaleźli.

– Kto mnie znalazł? Gdzie?

– Policja z Segu. W Kolodugu.

Wspomnienia wylaniały się z odmętów umysłu Bańki, niczym pojedyncze sceny z nocy pijackiego szaleństwa: Miasto Umarłych, strzelanina, ucieczka. Przypomnił sobie, że biegł za kimś, potem się potknął i poczuł wielki ból w plecach (a może najpierw był ból, a potem potknięcie, nie był tego pewien). Lawina ziemi zagroziła mu drogę, a potem...

Potem nie pamiętał już nic.

Drzwi na korytarz się otworzyły. Bańka miał gościa, co wyraźnie nie spodobało się lekarzowi.

– Co pani tu robi? – zapytał doktor Diara. – Mówiłem już, że dam pani znać, gdy będzie można zobaczyć się z pacjentem.

– Przykro mi, ale nie mam zbyt wiele czasu. A widzę, że pacjent odzyskał przytomność.

– To prawda, ale to ja zadecyduję, kiedy będzie gotów do rozmowy.

– Proszę się nie martwić, panie doktorze – wtrącił się Bańka. – Chcę z nią pomówić. Proszę mi tylko zostawić pod ręką wodę.

– Sam pan słyszał – ucieszyła się Lacombe. – Poza tym przypominam, że zgodnie z tym pozwoleniem wydanym przez...

– Dobrze, już dobrze – przerwał lekarz. – Już się naoglądałem tych pani pozwoleń. Niech pani robi, co chce, ale uprzedzam, że dostał bardzo silny zastrzyk przeciwbólowy i będzie miała pani szczęście, jeśli nie uśnie po pięciu minutach.

I wyszedł, nie czekając na odpowiedź, co wyraźnie zirytowało Lacombe. Kiedy została sam na sam z Poszukiwaczem, skrzyżowała ręce na piersiach i podeszła do jego łóżka. Bańka patrzył na nią z rozbawieniem.

Nie miał pojęcia, że przez ostatnie kilkanaście godzin przysporzył agentce wielu problemów. Kiedy powiadomiła policję w Segu, że zbiedzy mogą się znajdować w Kolodugu, grupka agentów zgodziła się to sprawdzić w asyście kilku francuskich żołnierzy. Znaleźli tylko kupę ruin i wiele trupów. Istny krajobraz po bitwie.

Już mieli stamtąd odejść, kiedy któryś z policjantów odkrył, że jedno z ciał się porusza. Trudno było ocenić, czy ofiara przeżyje, ale przynajmniej oddychała, kiedy zabrali ją do bardziej cywilizowanego miejsca.

Dowiedziawszy się o wszystkim, Lacombe postanowiła osobiście stawić się w Segu, ale dotarła za późno. Policja dostarczyła tę niewygodną przesyłkę do jedynej w mieście szpitala. Położyli Bańkę pod drzwiami, zadzwonili i uciekli, żeby nie składać wyjaśnień. Lekarze znaleźli Bańkę, jak znajduje się na schodach porzucone niemowlę w koszyku, z karteczką wyjaśniającą jego pochodzenie. Oczywiście zajęli się rannym, nie łamiąc sobie głowy nad tym, co z nim zrobią, kiedy będzie już mógł opuścić szpital na własnych

nogach. Tymczasem Lacombe, wyposażona w całe pliki oficjalnych dokumentów, próbowała sprawić, żeby policja Mali przekazała jej Bańkę, działania te nie przynosiły jednak spodziewanego rezultatu. Agentka bała się, że Poszukiwacz zwieje, jak tylko lekarze pozwolą mu opuścić szpital, wołała więc ani na chwilę nie tracić go z oczu.

– Agentko Lacombe – zaczął Bańka. – Jestem pod wrażeniem. Wydaje się, że posiadała pani umiejętność bilokacji.

– Też tak myślę, panie... Przepraszam, ale do wielu rzeczy, których wciąż o panu nie wiem, należy również pańskie nazwisko.

– Może pani nazywać mnie Burgos. Wiele osób zna mnie pod tym nazwiskiem.

– Z braku laku... – Obdarzyła Bańkę uprzejmym uśmiechem i usiadła obok niego na krześle. – Jak się pan czuje?

– Wprost wyśmienicie, chyba widać. Czy może mi pani wyjaśnić, co ja, do diaska, tu robię?

– Mogę spróbować, ale to nie jest łatwe pytanie. – Lacombe zawiesiła głos. Chciała jak najszybciej wyciągnąć z Poszukiwacza potrzebne informacje, postanowiła jednak być miła, żeby go nie wystraszyć. – Panie Burgos, potrzebuję pańskiej pomocy, żeby znaleźć Tirsa Alfara.

– Nie wiem, jak potraktować tę kuszącą propozycję. Ostatnim razem, kiedy pani pomogłem, w nagrodę przykuła mnie pani do ściennej lampy.

Lacombe uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Ach tak, ma pan na myśli nasze spotkanie w madryckim Ritzu? Wie pan, chociażby z tego powodu, ale także z wielu innych, mogłabym pana natychmiast aresztować. Nie zrobiłam tego i chyba należy mi się coś w zamian.

– Nie wierzę pani – odparł spokojnie Bańka. – Z pewnością pani blefuje, bo napotkała jakiś problem z papierami i pozwoleniami. Gdyby mogła mnie pani aresztować, dawno by to pani zrobiła. Poza tym nie wiedziałaby pani nawet, kogo ma dotyczyć nakaz aresztowania. Nie ma pani pojęcia, jak się nazywam.

– Przyznaje pan więc, że nazwisko Burgos jest fałszywe?

Bańka oparł głowę na poduszce i westchnął.

– O mój Boże... Jestem na to zbyt zmęczony. – Spojrzał na Lacombe z wyrazem znużenia na twarzy. – Naprawdę Interpol nie ma nic ważniejszego do roboty? Może mnie pani ścigać do samego piekła, a i tak mnie pani nie złapie.

– Mam zostawić pana w spokoju? Zrobię to. Pod jednym warunkiem: powie mi pan, gdzie jest Tirso Alfaro.

Pomimo dotkliwego bólu głowy Bańka próbował się skupić, by rozważyć rozmaite opcje. Mógłby jeszcze trochę pozwozić agentkę Lacombe, a kiedy da za wygraną, wymknąć się ze szpitala i poszukać towarzyszy. Nie miał pojęcia, gdzie się teraz znajdują, ale znał kolejny etap wyprawy śladem skarbu Dżaudara Paszy: miejsce zwane Ogol, gdzieś za urwiskami Bandiagary.

Samotna wycieczka tam wydawała się trudna. Nie miał pieniędzy, był osłabiony, sam w obcym, nieprzyjaznym kraju. W najlepszym wypadku dostanie się do Ogolu zajęłoby mu kilka dni, jeśli w ogóle dotarłby tam cały i zdrowy.

Lacombe tymczasem dysponowała środkami. Bańka nie wiedział dokładnie jakimi, ale

miął prawo przypuszczać, że nieporównywalnymi do jego własnych. Gdyby rozegrał odpowiednio swoje karty, mógłby dotrzeć do Ogolu, korzystając z pomocy Lacombe, a potem...

Nie miał pojęcia, co potem. Ufał jednak swojej zdolności do improwizacji i szczęściu. Postanowił więc odłożyć tę decyzję na później.

– Agentko, gdzie leży Bandiagara? – zapytał.

– Na południowym wschodzie kraju, jakieś pięćset kilometrów stąd. Czemu pan o to pyta? Czyżby tam był Alfaro?

– Być może. A jednak odległość wydaje się zbyt duża, żeby dotrzeć do Bandiagary na czas.

– Policja Segu obiecała mi pomoc. Mogę się tam znaleźć w ciągu kilku godzin.

„W ciągu kilku godzin”, pomyślał Bańka. Sprawa zaczęła się robić interesująca.

– Wie pani co? Bardzo prawdopodobne, że wiem, gdzie znaleźć Tirsa. Może nawet mógłbym podać konkretną nazwę... Ale te leki, robią mi straszne dziury w pamięci. Gdybym pojechał z panią do Bandiagary... Niewykluczone, że efekty uboczne leków miną i nagle wszystko sobie przypomnę.

– Proponuje mi pan układ?

– To zależy, do jakiego stopnia jest pani skłonna do negocjacji.

Lacombe zaczęła się bawić kosmykiem włosów z zamyśloną miną.

– Dlaczego miałabym z panem negocjować? Skoro wie pan, gdzie znajduje się Tirso Alfaro, ma pan obowiązek mi o tym powiedzieć.

Bańka westchnął, wyraźnie przygnębiony. Głupia, uparta Francuzka. Dlaczego najbardziej atrakcyjne kobiety zawsze są takie nieznośne?

– Myli się pani. Ani ja nie mam obowiązku o niczym pani informować, ani pani sposobu, by mnie do tego zmusić. Ale jeśli naprawdę chce pani odnaleźć Tirsa, musi się pani pospieszyć. Ja wiem, gdzie on jest, ale nie mogę tam dotrzeć, pani ma środki, ale nie wie, gdzie go szukać. Naprawdę sądzi pani, że połączenie sił to zły pomysł?

– Sądzę raczej, że to jakiś podstęp. Chcę doprowadzić tego człowieka przed sąd. A pan? Jakie są pańskie zamiary?

– Pragnę tylko upewnić się na własne oczy, że on żyje – powiedział Bańka, nie wyjawiając całej prawdy.

Lacombe nadal się wahała. Bańka miał nadzieję, że będzie tak zdeteminowana, by złapać swojego zbiega, iż zgodzi się na układ nawet z potencjalnym przeciwnikiem.

Agentka spojrzała na niego, jakby starała się wyczytać z twarzy Poszukiwacza jego intencje. On przyglądał się jej z nieco rozbawioną, ale raczej senną miną. Lacombe zastanawiała się, dlaczego atrakcyjnym mężczyznom prawie nigdy nie można ufać.

– Zgadzam się. – I podali sobie ręce, by przypieczętować ten niespodziewany pakt. – Ale proszę pamiętać, że ze mną nie ma żartów, panie Burgos, czy jakkolwiek się pan nazywa.

– No cóż, pan Burgos w tej sytuacji brzmi za bardzo oficjalnie. Proszę mówić do mnie Bańka – powiedział, coraz bardziej odurzony lekami. Ziewnął i poczuł, że odpływa.

– Co to za nazwisko?

– Próbowала pani kiedyś złapać bańkę? – wyszeptał.

I zasnął, zanim zdążył skończyć zdanie.

Mimo trudnej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, przez chwilę poczułem wielką radość. Skakałbym jak dziecko, gdyby nie więzy krępujące mi dłonie i stopy. Bańka żył! Był w niewoli, podobnie jak my, wyglądał fatalnie, ale przynajmniej żył!

W dodatku okazało się, że nie jest sam. Obok niego siedziała kobieta. Długo się jej przyglądałem, zanim w tej ubłoconej, wykrzywionej grymasem bólu twarzy poznałem agentkę Lacombe. I chociaż po niespodziewanym zmartwychwstaniu Bańki moja zdolność do odczuwania zdumienia uległa znacznemu osłabieniu, jej obecność tutaj wywołała lekkie zaskoczenie.

Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem wykrztusić słowa. Tysiące pytań uwięzły mi w gardle i niemal nie pozwalały oddychać. Bałem się nawet zamrużyć, żeby ta dziwna wizja nie zniknęła niczym fatamorgana.

– Bańka? – wyjąkała Enigma. – Boże święty! To naprawdę ty?

– Raczej to, co ze mnie zostało – odparł Poszukiwacz. Nasze spojrzenia się spotkały. – Zamknij usta, młody, bo ci język wypadnie.

Fatamorgana mówiła, reagowała na swoje imię, a nawet nazywała mnie „młodym”. Hydra i Enigma też ją widziały, więc powoli zacząłem się przekonywać, że to nie tylko wytwór mojej wyobraźni.

– Co... – zacząłem, nie mając pojęcia, jak skończyć to zdanie. – Co ty tu robisz?

– Przybyłem wam na ratunek.

– A ona? – zapytałem, mając na myśli agentkę Interpolu.

– Przepraszam, że przywiozłem ją ze sobą, młody, ale nie miałem wyboru.

– Kim jest ta kobieta? – spytała Hydra.

– Julianne Lacombe – odpowiedziała tamta jak automat. – Interpol.

– Proszę, bądźcie dla niej mili. Mówiąc między nami, sytuacja chyba nieco ją przerosła.

– Będę bardzo wdzięczna, jeśli schowa pan swoją wielkoduszność do kieszeni – obruszyła się agentka. – Nie potrzebuję jej – prychnęła, jakby znalezienie się w niewoli zapomnianego rodu Pigmejów należało do jej codziennych obowiązków.

– Wydaje się sympatyczna – uznała Enigma. – Nie przyprowadziłeś więcej przyjaciół, którzy mogliby nam pomóc się stąd wydostać? Oczywiście cieszę się z twojej obecności, ale wolałabym zobaczyć cię w innych okolicznościach.

– Przykro mi, nikogo więcej nie ma.

– Ja nawet nie wiem, co tu w ogóle robię – powiedziała agentka, a w jej głosie wyczułem rozzalenie, chociaż tak naprawdę sprawiała wrażenie raczej wkurzonej niż przestraszonej. – Oszukał mnie pan, panie Burgos, Bańko, mam gdzieś, jak się pan naprawdę nazywa. Obiecał mi pan, że znajdziemy Tirsa Alfara.

– Znów ta sama śpiewka. – Bańka westchnął ciężko. – Dotrzymałem swojej części umowy. Ma tu pani swojego zbiega, niech go pani zabierze, gdziekolwiek pani chce, a przy okazji wydostanie stąd nas.

– To prawda? – zapytałem. – Chciałeś mnie wydać? Dlaczego?

– Uspokój się, młody, pozwól, że wszystko ci wyjaśnię. Mamy z Lacombe pasjonującą historię do opowiedzenia i obawiam się, że też sporo czasu na snucie opowieści, te

krasnale nieprędko wróca.

– Skąd wiesz?

– Nie wiem, tylko podejrzewam. Nas złapali wczoraj i zostawili w spokoju, jak jakieś robaki w słoiku. To chyba ich więzienie. Nie wiem, co chcą z nami zrobić, ale raczej im się z tym nie spieszy.

Pozwoliliśmy Bańce opowiedzieć, co się stało od czasu, kiedy rozdzieliliśmy się w Mieście Umarłych. Wyjaśnił nam, że zawieźli go do szpitala w Segu, gdzie został zmuszony do zawarcia układu z agentką Interpolu, bo tylko w ten sposób miał szansę dotrzeć do Ogolu. Miał nadzieję, że tu się spotkamy. W tym momencie przerwała mu wściekła Lacombe:

– Miałam rację. Od samego początku chciał mnie pan wykorzystać!

– Dobrze, niech mnie pani postawi przed sądem – odparł wyczerpany Poszukiwacz. – Wprost nie wierzę, że spośród wszystkich naszych problemów ten doskwiera pani najbardziej.

Z opowieści Bańki wynikało, że mieli z Lacombe więcej szczęścia niż my, jeśli chodzi o przewodnika, który znał dokładne położenie Ogolu. Policja w Mopti, z którą współpracowała Lacombe, wskazała im adres odpowiedniej osoby.

– Był Dogonem mieszkającym w mieście – wyjaśnił Bańka. – Prowadził jakąś spelunę w pobliżu portu i był notowany przez policję. Jego wuj był *hogonem* w jakiejś wiosce, czy coś w tym stylu, dlatego wiedział, gdzie znajduje się to tajemnicze miejsce. Musieliśmy jednak zapłacić fortunę, żeby nas tu przyprowadził.

– Musieliśmy? – zapytała agentka, coraz bardziej wkurzona. – Ja zapłaciłam. Moimi własnymi pieniędzmi. Ale ten łotr wystawił nas do wiatru.

– Zaprowadził was nie tam, gdzie trzeba? – spytałem.

– Gorzej, wydał nas tym potworom. Najpierw poszliśmy z nim do jakiejś wioski, niedaleko stąd. Wioska to może za dużo powiedziane, była to raczej kupa żalonych baraków, zamieszkanych przez garstkę ludzi, patrzyli na nas jak na zadzumionych. Przewodnik przedstawił nam wuja, bezzębnego starucha wyglądającego jak ptak na długich nogach. Ten starzec uparł się, że musimy wypić jakieś obrzydliwe, rozcieńczone piwo. Przewodnik wyjaśnił, że to część ceremonii powitalnej i że jeśli odmówimy, cała wioska się obrazi. Daliśmy się nabrać jak naiwniacy. Nie wiem, co nam dosypali do tego piwa, ale nagle się poczułem, jakbym wypalił całą trawę świata. Straciłem przytomność, a kiedy się obudziłem, byłem w tej studni, ze spętanymi dłońmi i kostkami, a głowę miałem tak ciężką, jakby ktoś wlał mi do czaszki beton. Ci obleśni Pigmeje przyglądali się nam z góry, sycząc jak węże. Wrzucili nam trochę spleśniałego chleba i sobie poszli. Kiedy pokazali się po raz drugi, przywlekli ze sobą was.

Z opowieści Bańki wynikało, że niektórzy Dogoni zajmowali się dostarczaniem Nummom jeńców. Przypomniałem sobie, że *hogon* z Benigoto napomknął mi o tym po zakończeniu ceremonii na cześć bogini-węża. Podejrzewał, że do podobnych praktyk dochodziło od lat w pewnych niewielkich społecznościach Dogonów. Nie wiedział, dlaczego to robili, podejrzewał, że ze strachu przed Nummami. Mieli pewnie nadzieję, że w ten sposób zaskarbią sobie ich przychylność. Bańka i Lacombe mieli pecha i wpadli właśnie w ich ręce.

Spojrzałem na agentkę.

– Naprawdę chciało się pani jechać aż tutaj, żeby mnie złapać?

Ku mojemu zaskoczeniu Bańka stanął w jej obronie.

– Nie wyzywaj się na niej, to moja wina. Uwierzyła, że zaprowadzę ją do ciebie.

– Co jeszcze wie?

Poszukiwacz wzruszył ramionami.

– Że szukamy skarbu. Tylko tyle.

– I muszę powiedzieć, że w ogóle w to nie wierzę – przerwała Lacombe. – Poszukiwacze skarbów, używający pseudonimów zamiast imion. Nie wiem, co z was za świry, ale zapewniam, że będziecie się gęsto tłumaczyć przed sądem. Osobiście dołożę wszelkich starań...

– Och, niech się pani wreszcie zamknie – wybuchnąłem. Nie wiedziałem już, co sądzić o tej kobiecie: albo cechował ją nienaganny profesjonalizm, albo była po prostu zbyt głupia, żeby zdawać sobie sprawę, w jak tragicznym położeniu się znajdujemy. W obu przypadkach jej obecność tutaj była równie bezużyteczna. – Przeklęty dzień, kiedy nasze drogi się skrzyżowały.

– W tej kwestii zupełnie się z panem zgadzam – odparowała.

W naszej sytuacji nie bardzo mogliśmy pozwolić sobie na bezowocne utarczki. Postanowiliśmy schować urazy do kieszeni i zastanowić się wspólnie, jak się wydostać z tej dziury.

Mimo że wszyscy wyteżaliśmy umysły, nie znaleźliśmy rozwiązania. Musieliśmy przyznać: zostaliśmy schwytani w pułapkę. Krępujące nas więzy nie pozwalały na żaden inny ruch, z wyjątkiem pełzania jak robak. Próbowaliśmy je sobie wzajemnie poprzegryzać, ale się nie udało: splątane roślinne włókna były za grube. Próbowaliśmy też czołgać się w kierunku wyjścia, a potem spróbować stworzyć drabinę z własnych ciał, ale ściany studni były oblepione warstwą śliskiej gliny, nie sposób było się po niej wspiąć, mając unieruchomione ręce i nogi. Więzienie Nummów, choć prymitywne, okazało się bardzo skuteczne.

Straciliśmy mnóstwo czasu i energii. W końcu, wyczerpani i przygnębieni, położyliśmy się na ubłoconych kamieniach, czekając na to, co zaplanowali dla nas Nummowie.

Upływały godziny. Nie pilnował nas żaden strażnik. Jedyнным śladem obecności Pigmejów było delikatne migotanie ich ognisk nad naszymi głowami. Ten szczegół sprawił, że odpłynąłem myślami w kierunku Platona i jego metafory jaskini. Chyba już całkowicie zwątpiłem, że kiedykolwiek uda nam się stąd wydostać.

Rozejrzałem się po moich przyjaciółach. Na ich twarzach malowały się zmęczenie i poczucie klęski. Nikt się nie odzywał. Miałem wrażenie, że spędziliśmy w tym więzieniu całe wieki i że Nummowie po prostu nas tu zostawiają, byśmy umarli z głodu i pragnienia.

Pokusa, by zwyczajnie poddać się zmęczeniu, stawała się coraz silniejsza. Zachować się jak struś, schować głowę w piasek i poczekać, aż niebezpieczeństwo rozplynie się w powietrzu.

Powieki zamknęły mi się same, zresztą w ciemnościach tej studni widziało się prawie to samo z otwartymi oczami. Przez chwilę drzemałem, póki nie poczułem, że ktoś uderza mnie w ramię. Odwróciłem się i ujrzałem przed sobą twarz Bańki. Przyczołgał się do mnie

z drugiego końca studni. Kobiety leżały przy ścianach, przypominały bezwładne worki. Chyba wszystkie trzy spały.

– Co tam, młody? – powiedział prawie szeptem. – Jak się masz?

Uśmiechnąłem się blado.

– Fantastycznie! Dawno nie czułem się lepiej. A ty?

– Ja też. Ale wiele bym dał za papierosa.

– Przykro mi. Miałem papierosy w torbie razem ze skarbem Armów, ale krasnale zabrały mi wszystko.

– Cholera!

Oparłem głowę o ścianę.

– Powiedz mi prawdę? Mamy przejebane, co?

– Niewykluczone, młody, niewykluczone. Ale w Kolodugu też myślałem, że to już koniec, a udało mi się ocalić skórę.

– Tak, rzeczywiście, twoja sytuacja znacznie się poprawiła – odparłem. – Ale tak czy owak, cieszę się, że cię widzę. Myślałem już, że...

– Dobrze, dobrze, młody. Lepiej nie kończ tego zdania. Nie chcę wiedzieć, że płakałeś po nocach, rozmyślając o mnie.

– Ja? No co ty, nie bądź śmieszny! Tak naprawdę wcale się nie martwiłem. Ale Enigma, sam rozumiesz, była zropanzona. Bardzo cię lubi. – Zdawało mi się, że usta Poszukiwacza wykrzywiły się w ironicznym uśmiechu. – Przykro mi, że cię zostawiłem.

– Wiem, wiem – odrzekł – nie masz za co przepraszać. Na twoim miejscu zrobiłbym to samo. To ja powinienem prosić cię o wybaczenie, że przyprowadziłem tu Lacombe. Nie miałem takiego zamiaru, chciałem jej zwiać, zanim was odnajdę.

– Nie szkodzi.

Chyba byliśmy kwita, chociaż każdy z nas miał coś na sumieniu. Ja żałowałem, że nie wróciłem do Kolodugu, żeby sprawdzić, czy Bańka żyje, on, że sprzymierzył się z moją najzagorzalszą fanką w Interpolu.

Przez chwilę bez słów wpatrywaliśmy się w mrok.

– Szkoda, że nie ma z nami Cesara – odezwał się w końcu Bańka. – On to dopiero umiał wymykać się z różnych miejsc. Szkoda, że straciliśmy go w Kolodugu.

– Zginął? – zapytałem, czekając, aż Bańka potwierdzi to, co od dawna podejrzewałem. – Widziałeś jego śmierć?

– Nie, ale domyślam się, że nie przeżył. Tamto miejsce zaczęło walić się w gruzy, Ludzie Piasku strzelali do nas jak do kaczek, ja cudem uszedłem cało. Nie spodziewam się, że César miał tyle szczęścia. A jeśli zdołał uciec, najprawdopodobniej nie oglądał się za siebie. Nic nie zyskiwał, współpracując z nami. Wplątaliśmy go tylko w niezłą kabałę.

– Masz rację. To cud, że ty przeżyłeś.

Bańka pokiwał głową w zamyśleniu.

– Tak... Był taki moment, kiedy naprawdę się bałem. Zwykle się nie boję, że zginę podczas misji. Taka jest nasza praca, ryzyko jest wpisane w profesję Poszukiwacza, wiesz, o czym mówię?

– Jasne – przytaknąłem, wspominając wszystkie okazje, kiedy po wstąpieniu do Korpusu otarłem się o śmierć. Już traciłem rachubę. – Osobiście wolę po prostu o tym nie

myśleć.

– No właśnie. Do tej pory niebezpieczeństwo nie spędzało mi snu z powiek. Myślałem: Co z tego? Nikt nie będzie za mną tęsknił, nie mam rodziny, nie mam dzieci na utrzymaniu, nie zostawię żadnych nierozwiązanych spraw. Mogę pozwolić sobie na luksus nadstawiania karku.

– Masz przecież Danny.

– Tak, ona by płakała po mojej śmierci, ale jest silna i na pewno poradziłaby sobie z tym. Nie należy do ludzi, którzy tracą czas, roniąc bezsensownie łzy. Ale nie o niej myślałem tam, w Kolodugu. Myślałem o tobie, młody.

Ściągnąłem brwi.

– Jak mam to potraktować? Jako wyznanie uczuć?

– Nie wygłupiaj się. Nie jesteś w moim typie.

– W takim razie dlaczego myślałeś o mnie, czując, że zbliża się śmierć?

Bańka się zawahał, jakby nie umiał ubrać w słowa tego, co chciał powiedzieć.

– Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć – zaczął. – Powiedział mi o tym Staruszek jakiś czas temu. A dokładnie w chwili, kiedy przyjął cię do Korpusu.

– Narváez?

– Tak. Wiesz, że uważał, iż to ja powinienem zastąpić go na stanowisku, dlatego podzielił się tym sekretem ze mną, z nikim więcej. Potem Staruszek zginął, a ja w Kolodugu, ocierając się o śmierć, pomyślałem, że nie powinienem zabierać tej tajemnicy ze sobą do grobu. To by było niesprawiedliwe.

– Niesprawiedliwe wobec kogo?

– Wobec ciebie, Faro. Ma to związek z tobą. – Poszukiwacz westchnął głęboko. – Jeśli nie wydostaniemy się z tej dziury, a z tą ewentualnością należy się liczyć... No cóż... masz prawo się dowiedzieć.

– O czym?

Bańka zwiesił głowę na długą chwilę, zanim odpowiedział.

– Chodzi o twojego ojca – powiedział w końcu. – Nie był pilotem lotnictwa cywilnego, Tirso. Twój ojciec był Poszukiwaczem. Jak ty i ja.

Jeśli sądzicie, że ta wiadomość na temat mojego ojca mnie zaskoczyła, oznacza to, że nie przeczytaliście mojej opowieści dostatecznie uważnie.

Spójrzcie wstecz. Przypomnijcie sobie od początku wszystkie moje przygody. Szedłem śladami wizygockiego świętego, żeby znaleźć biblijną relikwię. Widziałem, jak przyjaciele zmieniają się we wrogów, widziałem przepowiednię wyrytą na wieku kufra (*Moris. Umierasz*). Widziałem, jak Złota Ryba wskazuje na mapie lokalizację skarbu, walczyłem z gigantycznymi wężami w podziemiach Miasta Umarłych. Ścigali mnie piraci, mordercy, funkcjonariusze policji, a nawet plemię Pigmejów, w których istnienie nikt do końca nie wierzył. A wszystko dlatego, że kiedy byłem małym chłopcem, pewien mężczyzna wiele razy opowiadał mi cudowną historię o królu i czarownicy. Tym mężczyzną był mój ojciec.

Mój ojciec Poszukiwacz.

Nie byłem więc zdziwiony, dowiedziawszy się prawdy. Osoba, która obudziła we mnie wiarę w niemożliwe historie o zagubionych skarbach, sama musiała w nie wierzyć.

Musiała być Poszukiwaczem. Co miało mnie zaskoczyć? To naturalne, że piskłeta mają skrzydła, a ryby potrafią pływać. Wiadomość o tym, że mój ojciec był członkiem Korpusu, stanowiła dla mnie raczej odpowiedź na pytanie, dlaczego sam do niego wstąpiłem. Nie czułem zdumienia, raczej dumę.

Ojciec przestał być dla mnie wyblakłym wspomnieniem, żeby stać się czymś o wiele bliższym: moim własnym odbiciem. Teraz już nie był nieznajomym. Wiedziałem, kim był.

Mój ojciec był Poszukiwaczem. Tak jak ja.

Jeśli za tę wiadomość miałem zapłacić śmiercią w pełnej błota studni w Mali, i tak cena wydała mi się uczciwa. To był mój skarb. Nagroda za poszukiwanie. Znalazłem ojca.

Tam, w mrokach więzienia Nummów, przymknąłem oczy i poczułem, że po policzkach płyną mi łzy. Otarłem je ramieniem. Nie chciałem, by Bańka dostrzegł moje wzruszenie.

– A więc był Poszukiwaczem – powiedziałem, siląc się na to, żeby nie łamał mi się głos. – Jeśli wyjdziemy z tego żywi, przyrzekam, że zamienię parę słów z doktor Alicią Jordán, możesz być tego pewien.

– Twoja matka o tym nie wie. Tak przynajmniej twierdził Narváez.

Pokiwałem głową, tak, to miało sens: znałem matkę wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie potrafiłaby utrzymać czegoś takiego w sekrecie. Nigdy nie umiała kłamać.

Tak wiele pytań cisnęło mi się do głowy, że nie wiedziałem, od czego zacząć. Zdecydowałem się na najprostsze.

– Miał... miał jakiś pseudonim? Jak my?

– Tak, jego pseudonim brzmiał Piorun, dlatego Staruszek chciał nadać ci takie imię. Ale mówią, że powtarzanie przydomków przynosi pecha. – Bańka wydawał się zdenerwowany.

– Nie wiem, czy dobrze postąpiłem, może wolałbyś...

– Nie, nie. Lubię imię Faro, już ci mówiłem.

I bezwiednie zachichotałem. W naszym obecnym położeniu mój pseudonim Poszukiwacza wydawał mi się absolutnie bez znaczenia.

– Piorun – powtórzyłem. – Kurwa, dlaczego Narváez nigdy mi o tym nie powiedział?

– Nie mam pojęcia. Czekał pewnie na jakiś odpowiedni moment, ale nigdy nie znalazł okazji. To nie jest temat na miłą pogawędkę.

– Ale ty jakoś dałeś radę.

– Tak, ale zauważ, że trzymałem prawdę w sekrecie bardzo długo. Musiałem zajrzeć śmierci w oczy, a potem zostać schwytyany przez plemię morderczych liliputów, żeby się zdobyć na wyjawienie ci jej.

Znów zachichotałem nerwowo. Musiałem jak najprędzej zapanować nad emocjami.

– Opowiedz mi o nim coś więcej.

– Przykro mi, Faro, ale nie wiem zbyt wiele. Narváez powiedział mi tylko, jak się nazywał. I że zginął podczas misji w Ameryce Południowej, w Republice Valcabado.

– Cholera, nie miałem nawet pojęcia o istnieniu takiego kraju. Czyli to wszystko... katastrofa samolotu, międzynarodowe loty, przez które ciągle był nieobecny... To wszystko kłamstwo?

Bańka przytaknął.

– Przynajmniej już wiesz, dlaczego nie mógł się tobą zaopiekować. Jak ci powiedziałem na pokładzie *Buenaventury*, twój ojciec nie był tchórzem.

- A skąd ta pewność?
- Bo żaden Poszukiwacz nim nie jest.

Odpowiedź wydała mi się całkiem dobra, bez wahania uznałem, że Bańka ma rację.

Nagle na jego twarzy pojawił się wrogi grymas. Nie patrzył na mnie, lecz w przestrzeń za moimi plecami.

- Czego chcesz? To prywatna rozmowa.

Odwrociłem się i zobaczyłem za sobą Hydrę.

– Przepraszam, nie chciałam przeszkadzać – powiedziała zakłopotana. – Próbowałam spać, ale niechcący usłyszałam, o czym mówicie.

- Jeśli masz coś do dodania, wyduś to z siebie natychmiast – syknął Bańka.

Nadal irytowało mnie, że jest dla niej taki niemiły, chociaż już wiedziałem dlaczego.

Hydra spojrzała na mnie.

- Wiem coś o twoim ojcu.

- To niemożliwe. Jesteś za młoda, nie mogłaś go poznać!

– Usłyszałam o nim później, w CNI. Facet, który zaprotegował mnie w centrum wywiadu, był eks-Poszukiwaczem. Miał pseudonim Hełm. Pracował w Piwnicy razem z twoim ojcem. Kiedyś powiedział mi, że był najlepszym Poszukiwaczem, jakiego znał.

Na wieść o tym poczułem, że puchnę z dumy. Nigdy wcześniej nie byłem dumny z ojca. Uczucie to okazało się zupełnie nowe, do tego stopnia, że przez chwilę nie byłem pewien, jak je sklasyfikować.

- Co jeszcze ci powiedział?

– Coś o jego śmierci... Plotkowano na ten temat. Hełm twierdził, że jeden z jego towarzyszy zdradził Pioruna i dlatego zginął.

- Powiedział ci, jak nazywał się ten zdrajca?

- Tak, ale zapomniałam.

- Hydra, na miłość boską! – obruszył się Bańka.

– Przepraszam. To było tak dawno temu. Spróbuję sobie przypomnieć. Poza tym mogę zapytać Hełma. Co prawda przeszedł już na emeryturę, ale na pewno go znajdę. Kiedy tylko stąd wyjdziemy...

Nagle ogarnęło mnie zniechęcenie.

- Jeśli kiedykolwiek stąd wyjdziemy – powiedziałem.

SREBRO

Chciałem wyciągnąć z Hydry więcej szczegółów na temat śmierci ojca, kiedy usłyszałem dziwny rytmiczny dźwięk, który rozległ się nad naszą studnią. Był jak dudnienie bębnów i jakiegoś bliżej niezidentyfikowanego żelastwa, do którego dołączył wkrótce chór przenikliwych krzyków. Enigma i Lacombe natychmiast się obudziły.

– Co to jest? – zapytała zdezorientowana Enigma.

– Chyba Nummowie urządzili jakąś imprezę. Mam nadzieję, że to nie jest zła wiadomość – odparł Bańka.

Instynktownie stłoczyliśmy się wszyscy pięcioro w jednym kącie i patrzyliśmy w górę, na skraj studni. Tam grupa tańczących cieni podrygiwała w rytm bębnów i wrzasków.

Wkrótce ujrzelśmy pierwsze twarze Nummów, drobne i złowrogie. Pigmeje groźnie szczyrzyli do nas zęby. Rzucili w głąb jamy liny i zaczęli się po nich spuszczać. Pchnięciami zmusili nas, żebyśmy położyli się na ziemi, a potem przewiązali nam linami klatki piersiowe. Przez cały czas nas bili i kłuli dziurkami o grotach z kości.

Nummowie, którzy zostali na krawędzi jamy, wciągnęli nas na górę, jak worki ziemniaków. Potem powlekli nas do wnętrza jaskini. Byliśmy zbyt zmęczeni, żeby stawiać skuteczny opór, może z wyjątkiem Bańki, którego musiało ciągnąć wielu Pigmejów. Naszemu osobliwemu pochodowi towarzyszyło bicie bębnów i odgłos prymitywnych marakasów. Drapieżne wycie i wrzaski zaczęły przybierać bardziej artykułowaną formę i zmieniły się w powtarzany raz po raz okrzyk:

– Zugu! Zugu! Zugu!

Pigmeje wili się jak w transie, nie przestając wzywać swojego boga. Walenie bębnów stawało się coraz bardziej ogłuszające. Zrozumiałem, że uczestniczymy w jakimś religijnym obrzędzie, w którym w dodatku mieliśmy odegrać ważną rolę. Nie wiedziałem jeszcze jaką, ale byłem pewien, że nie czeka nas nic dobrego.

Nummowie, którzy wlekli naszą piątkę, zatrzymali się na krawędzi ogromnego zagłębienia i kazali nam uklęknąć na jego skraju. W głębi jamy zauważyłem powierzchnię podziemnego stawu, z jednej strony wpadał do przestronnej groty, z drugiej, tuż przy przepaści, kończył się małą zatoczką z kamieni i błota. W jego ciemnych wodach jeżyły się skały i coś, co w pierwszej chwili wziąłem za dryfujące pnie.

Zauważyłem, że pnie się poruszają. Jeden z nich zbliżył się do brzegu, a kiedy wyszedł z wody, zmienił się w wielkiego jaszczura z długim, pełnych ostrych zębów pyskiem. Za nim wyszły kolejne dwie bestie. Nummowie krzyczeli coraz głośniejsze:

– Zugu! Zugu! Zugu! Zugu!

Jakby rozumiejąc okrzyk, krokodyły zamarły na brzegu. Dotarło do mnie wówczas, że Nummowie mają zamiar nakarmić bestie, a Kawalerowie Poszukiwacze będą ich głównym daniem.

Śpiewy i bębny umilkły. Z tłumu wyłonił się Pigmej w płaszczu z krokodylej skóry. Na głowie miał nakrycie z łba zwierzęcia. Wargi szamana zostały odcięte, całą jego twarz pokrywały blizny, a w miejscu, gdzie powinien znajdować się nos, ziała tylko czerwona dziura. W rękę trzymał wielki jak sztylet kiel.

Zbliżył się do nas i zaczął wydawać z siebie gardłowy śpiew. Zatrzymał się za Hydram.

Uniósł kiel nad głową naszej towarzyszki.

Pigmeje zaczęli krzyczeć:

– Zugu! Zugu! Zugu!

– Co się dzieje? Co on robi? – zapytała przerażona Hydra.

Pigmej stał za jej plecami, nie mogła więc go zobaczyć.

Zanim zdążyliśmy odpowiedzieć, szaman zatopił sztylet w boku agentki CNI. Krzyknęła z bólu, jej ubranie zaczęło zabarwiać się na czerwono.

– Nie! – ryknął Bańka. – Co robicie, skurwysyny! Hydra!

Poszukiwacz chciał rzucić się na Nummów, ale ci tak mocno pociągnęli za krępujące go sznury, że upadł na ziemię. Bańka się nie poddał, walczył jak byk na rodeo. Próbowałem przyjść mu z pomocą, ale dwóch Pigmejów przyłożyło mi do gardła kościane noże, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Pozostali rzucili się na Bańkę, żeby go unieszkodliwić.

Z niepokojem spojrzałem na Hydram. Mimo że miała związane ręce, próbowała przyciskać ramię do boku, by zatamować obfity krwotok. Jej twarz robiła się coraz bledsza.

Bańka krzyczał i szarpał się, próbując się wyrwać ze szponów Pigmejów. Szaman w płaszczu z krokodylej skóry podszedł teraz do niego. Nadal miał w dłoni kiel ociekający krwią Hydry. Bańka spojrzał na niego, zaciskając zęby. Na próżno usiłował wstać.

Szaman stanął obok głowy Poszukiwacza i uniósł kiel. Pigmeje znów wznieśli okrzyk na cześć swojego boga:

– Zugu! Zugu! Zugu! Zugu!

Szaman zasyczał jak wąż. Chwilę później jego głowa rozprysła się na kawałki.

Chór Pigmejów natychmiast umilkł. Ciało szamana stało jeszcze przez moment, strasząc czerwoną plamą w miejscu, gdzie wcześniej znajdowała się twarz, a potem runęło na ziemię tuż obok Bańki. I wtedy rozpętała się strzelanina.

Jaskinię zalały serie z karabinów automatycznych. Wielu tubylców padło martwych na ziemię, pozostali rozpierzchli się jak karaluchy w poszukiwaniu schronienia.

Kule przecięły im drogę ucieczki. Po chwili na ziemi zaroilo się od zmasakrowanych ciał. Nummowie wrzeszczeli wniebogłosy, rozpaczliwie pragnąc się schronić. Tylko niewielu zdołało dopaść dziur w ścianie groty i wyjść cało z opresji, znakomita większość ich lilipucich ciał padła rozerwana przez pociski. Ani ja, ani moi towarzysze nie zostaliśmy ranni; napastnicy strzelali tylko do Pigmejów.

Na wszelki wypadek położyłem się jednak na ziemi i schowałem głowę w ramionach. Kiedy strzelanina się skończyła, podpełzłem do znajdującej się najbliżej mnie Enigmy.

– Wszystko w porządku? – zapytałem przerażony. – Enigmo! Enigmo, jesteś ranna?

Uniosła głowę, plując gliną.

– Nie. Chyba nie. Co się dzieje?

Pomogliśmy sobie wzajemnie wstać. Dostrzegłem sporą grupę uzbrojonych po zęby mężczyzn, którzy się do nas zbliżali. Ubrani byli w beżowe mundury kamuflujące i hełmy. Natychmiast je rozpoznałem.

Ludzie Piasku.

Dwóch podeszło do nas, jeden miał karabin automatyczny.

– Nie ruszać się! Ręce na głowę – rozkazał ten, który nie miał broni.

– Nie mogę, głupcze – odparłem. – Nie widzisz, że jesteśmy związani?

– Na pana miejscu byłbym sympatyczniejszy. Uratowaliśmy wam życie – powiedział Człowiek Piasku. Zdjął hełm i ujrzałem twarz o azjatyckich rysach i nietypowych niebieskich oczach. – Pamięta mnie pan, Alfaro?

– Yoonah.

– We własnej osobie. – Doktor zwrócił się do jednego z najemników: – Przetrząsnijcie jaskinie, żeby sprawdzić, czy któraś z tych obrzydliwych istot przypadkiem nie uszła z życiem.

– Racja – przyznał tamten, a potem, wskazując nas lufą karabinu, zapytał: – A co z tymi?

– Zostaw ich mnie. Chciałbym uciąć sobie małą pogawędkę z Kawalerami Poszukiwaczami.

– Mamy rannego – powiedziała Enigma. – Potrzebuje lekarza.

– Och, przykro mi, panienko, ale nie jestem doktorem medycyny. Moja specjalność to liczby. Mimo to rzucę okiem, proszę bardzo.

Podczas gdy pozostali Ludzie Piasku rozpierzchli się po jaskini, Yoonah zbliżył się do Hydry, żeby zbadać ranę w jej boku. Odepchnęła go gwałtownie.

– Proszę się do mnie nie zbliżać! Nie potrzebuję twojej pomocy, psycholu! – A potem jej twarz wykrzywił grymas bólu. Chociaż rana nie wydawała się śmiertelna, była Poszukiwaczka nie wyglądała najlepiej. Była blada jak ściana i słaniała się na nogach.

– Nie rozumiem, skąd taka wrogość – obruszył się Yoonah. – Mógłbym zachować się wobec was o wiele mniej uprzejmie, a jednak wyrwałem was z rąk Pigmejów. Co więcej, by dowieść moich dobrych zamiarów, uwolnię was z więzów.

Dał znak jednemu z najemników, który rozciął krępujące nas sznury. Gdy krew znów zaczęła swobodnie krążyć w moim ciele, poczułem niesamowitą ulgę. Yoonah patrzył na nas z pobłażliwym uśmiechem, a my masowaliśmy obolałe nadgarstki.

– Widzicie? Potrafię zachować się fair, przyjaciele Poszukiwacze.

– Co to znów za gierki? – zapytał Bańka.

– Żadne gierki, panie Bailey, zapewniam pana. To wy uparliście się widzieć we mnie wroga, ale wcale nie musi tak być. Możemy współpracować, w końcu mamy wspólny cel.

Jeden z Ludzi Piasku podszedł do Yoonaha. Miał ze sobą torbę ze skarbem Armów.

– Znaleźliśmy coś takiego, doktorze.

– Bardzo dziękuję. – Azjata wziął torbę i zajrzał do środka. Na jego ustach pojawił się uśmiech zadowolenia. – Wspaniale. Właśnie tego potrzebowałem. Wyobrażam sobie, że zastanawiacie się, drodzy Poszukiwacze, jak się tu znalazłem. Wyjaśnię to wam, w gruncie rzeczy sprawa jest bardzo prosta. Złapałem w Mieście Umarłych jednego z waszych towarzyszy, który natychmiast zrozumiał korzyści płynące ze współpracy. To od niego pierwszy raz usłyszałem słowo Ogol.

– César – wymamrotałem.

– Tak, chyba właśnie tak się nazywał.

Powinienem był przewidzieć, że César nas zdradzi. W końcu to Voynich go wynajął, by ukraść *Mardud* z Sewilli, i mogliśmy się spodziewać, że prędzej czy później powróci do swoich pierwotnych chlebodawców. Mimo wszystko chciałem spojrzeć mu w oczy i zapytać, co takiego zaoferował mu Yoonah w zamian za zdradę Korpusu Poszukiwaczy.

– Gdzie on jest? – zapytałem. – Chciałbym z nim porozmawiać.

– Niestety to niemożliwe. Niejaki César nawiał nam przy pierwszej sposobności. Zdaje się, że jest w tym specem. Ale najważniejsze, że znaleźliśmy się tu wszyscy razem i razem znajdziemy Nieprzemijalną Oazę. Dotarliśmy już prawie do mety, przyjaciele.

– Nie jesteśmy pańskimi przyjaciółmi – zaznaczyła Enigma. – Jeśli chce pan znaleźć skarb Dżaudara Paszy, niech go pan szuka sam!

– Niczego bardziej nie pragnę, panienko, ale obawiam się, że brakuje mi pewnych elementów układanki. – Yoonah wskazał na torbę ze złotymi skarbami. – To klucze do oazy, ale ja nie mam pojęcia, jak ich użyć. Jak już mówiłem, specjalizuję się w cyferkach. Jestem jednak przekonany, że jeden z was doskonale wie, co zrobić z tymi śmieciami. Mam rację, panie Alfaro?

– Ja? Dlaczego właśnie ja?

– Och, nic nie irytuje mnie bardziej niż fałszywa skromność. Wiemy doskonale o pańskich talentach. Lilith też o nich wie, zna dobrze pańskie zasługi i wkład w znalezienie Stołu Króla Salomona. Ktoś z pańską wyobraźnią będzie mi niezwykle pomocny na ostatnim etapie tej drogi. Co pan na to? Połączymy siły?

– Niech pan idzie do diabła!

– Rozumiem. – Doktor gniewnie zmarszczył brwi, a jego twarz stężała. Potem zwrócił się do jednego z Ludzi Piasku: – Wrzucicie ich do krokodyli, nie będą mi potrzebni.

Zanim zdołałem cokolwiek powiedzieć, żołnierze popchnęli moich towarzyszy na krawędź urwiska. Patrzyłem, jak w przepaść spadają Hydra i Enigma, zupełnie zaskoczone tym nagłym zwrotem akcji. Bańka zaczął się szarpać z jednym z najemników. Przez chwilę mocowali się na krawędzi, w końcu żołnierz poślizgnął się na żwirze i runął w przepaść, ale pociągnął za sobą Bańkę.

Rzuciłem się, by mu pomóc, ale zanim zdołałem go złapać, Yoonah otoczył mi szyję ramieniem i przyłożył lufę do skroni.

– Ani kroku dalej – syknął, zapomniawszy o uprzedniej uprzejmości. Podniosłem rękę. – Teraz jest pan sam. Lepiej, żeby się pan zgodził na współpracę, w przeciwnym wypadku zapewniam, że nie wyjdzie pan stąd żywy.

Doktor zaprowadził mnie do opuszczonej wioski znajdującej się na skraju jaskini. Towarzyszyli nam Ludzie Piasku. Modliłem się tylko, żeby żaden z moich towarzyszy nie skręcił sobie karku, wpadając do jamy. I żeby krokodyle nie były tego dnia bardzo głodne.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, jeden z żołnierzy zwrócił się do Yoonaha.

– Zabiorę stąd moich ludzi – powiedział. – Wyjdziemy z jaskini i wystawimy wartę na dole, u stóp urwiska.

– Dobrze. Pan Alfaro i ja zamierzamy zbadać okolicę. Dołączę do was, kiedy znajdę to,

czego szukam.

Nie uszło mojej uwagi, że użył liczby pojedynczej. Zdaje się, że opuszczenie przeze mnie Ogolu nie mieściło się w jego planach. Nie wróżyło mi to dobrze na przyszłość.

– Co pan ze mną robi? – zapytałem, czując na szyi lufę jego pistoletu.

– To zależy od pana, Alfaro. Póki będę przekonany o pańskiej przydatności, nie grozi panu żadne niebezpieczeństwo. Teraz poszukajmy wejścia do Nieprzemijalnej Oazy.

Mogłem go oszukiwać i zacząć snuć się po wiosce, ale nie wydało mi się to najlepszym pomysłem. Z jednej strony nie chciałem tracić czasu, podczas gdy moich towarzyszy być może pożerało stado krokodyli, po drugie – czułem, że Yoonah bez wahania wpakuje mi kulkę w łeb, jeśli domyśli się, że go zwodzę.

Zastanowiwszy się nad sytuacją, uznałem, że najlepiej będzie zakończyć całą sprawę jak najszybciej. Jeśli zaprowadzę doktora do skarbu, bardziej prawdopodobne, że wyjdę z tego żywy.

Pokazałem mu więc drogę do największej budowli ozdobionej malowidłami. Stanęliśmy przed drzwiami, przez które miałem przejść, kiedy zaatakowali nas Nummowie. Doktor pokiwał z uznaniem głową.

– Tak, to bez wątplenia tutaj – powiedział, przyglądając się malowidłom. – Wygląda na wejście do komnaty ze skarbem. Ma pan dobre oko. Niech pan idzie przodem.

Drzwi były uchylone, tak jak zostawiłem je kilka godzin temu. Oparłem o nie dłonie i popchnąłem. Podmuch wilgotnego, pachnącego ziemią powietrza uderzył mnie w twarz. W środku panowały egipskie ciemności.

– Potrzebuję światła – powiedziałem.

– Tak. Proszę się nie przejmować, jestem przygotowany.

I rzeczywiście, zobaczyłem, że ma zatkniętą za pas latarkę LED w kształcie manierki. Włączył ją i snop białego światła oświetlił drogę przede mną.

Drzwi prowadziły do niskiego korytarza. Musieliśmy schylić głowy, żeby móc iść naprzód. Po kilku metrach korytarz doprowadził nas do obszernego pomieszczenia o wysokim sklepieniu.

Doktor poświecił naokoło. Przed sobą mieliśmy kamienny mur ozdobiony płaskorzeźbami. Pod naszymi stopami znajdowały się duże płytki z grubego kamienia.

Reliefy na murze były interesującym dziełem sztuki. Przedstawiały pięć zwierząt stojących w szeregu: małpę, krokodyla, sokoła, lwa i jakiegoś ptaka z długim, cienkim dziobem, może bociana lub ibisa. Zwierzęta przedstawiono z profilu i w sposób bardzo schematyczny. Patrzyły w górę, gdzie znajdowała się duża tarcza, z której odchodziły zakończone haczykowato promienie. Nad każdym ze zwierząt ujrzałem prostokątny otwór. Podobny znajdował się również w środku tarczy.

I to wszystko. Nie zauważyłem żadnych inskrypcji ani innych wskazówek, tylko pięć stworzeń, jeden okrąg i sześć otworów.

– Ciekawe – odezwał się doktor. – Jak pan sądzi, co to jest?

Mogłem to sobie wyobrazić bez najmniejszego trudu. Ktokolwiek wymyślił tę zagadkę, nie wysilił się za bardzo. A jednak nie powiedziałem Yoonahowi prawdy, wydawało mi się bowiem, że mam plan, jak się go pozbyć.

– To chyba drzwi – powiedziałem, udając, że nie jestem pewien.

– Oczywiście – wykrzyknął zadowolony i otworzył torbę ze skarbem Armów. Złote artefakty wysypały się na podłogę. – A jeden z tych przedmiotów je otwiera, prawda?

– Może Ster? Użyłem go już, żeby się dostać do meczetu w Kolodugu.

W świetle latarki zobaczyłem, że na ustach Yoonaha pojawił się przebiegły uśmieszek.

– Proszę nie bawić się ze mną w kotka i myszkę, panie Alfaro, nie jestem głupcem. Te prostokątne otwory w ścianie nie mają wcale kształtu Steru, lecz... – Yoonah uniósł Cegłę – ...tego.

Zbliżył się do jednego z nich i podniósł wyżej Cegłę. Wydawała się pasować.

– Prawda – przyznałem. – Teraz trzeba tylko wybrać odpowiedni zamek.

– Tak, tylko który? – Znów uśmiechnął się chytrze. – Ach, co my tu mamy. Jakieś inskrypcje? Założę się, że wie pan, co tu jest napisane.

– Możliwe.

Yoonah przyłożył mi broń do głowy.

– Jestem pewien, że tak.

– To fragment psalmu sto czwartego – wyjaśniłem.

Sięgnąłem do tylnej kieszeni spodni i wyjąłem z niej tłumaczenie, które uzyskaliśmy na uniwersytecie w Segu. Yoonah mi je wyrwał, nie przestając mierzyć do mnie z pistoletu.

– „Światłem okryty jak płaszczem, rozpostarłeś niebo jak namiot...” – przeczytał cały tekst, aż do ostatniego wersu: – „Tobie, srebrzyste światło, ofiarowuję swe złoto”. Dziwne. Dlaczego na tej Cegle jest tekst z Biblii?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Rozczarowuje mnie pan, Alfaro, może przeceniłem pańskie zdolności. Nieważne, ta zagadka jest dziecinnie prosta i nie potrzebuję pańskiej pomocy. To oczywiste, że Cegłę należy wsunąć w otwór tarczy znajdującej się nad zwierzętami.

Wiele wysiłku kosztowało mnie powstrzymanie się od tryumfalnego uśmiechu.

– Skąd ta pewność? – zapytałem.

– To przecież proste. Wprawdzie jestem tylko matematykiem, lecz muszę nieskromnie przyznać, że posiadam sporą wiedzę z innych dziedzin. Być może nie słyszał pan o tym, panie Alfaro, ale autora psalmu sto czwartego zainspirował pewien słynny egipski poemat.

– Naprawdę?

– Tak, *Hymn do Atona*, boga słońca czczonego przez Amenhotepa IV. A wie pan, jak go przedstawiano? Jako tarczę, z której odchodziły promienie słoneczne zakończone haczykami, dokładnie jak na tym reliefie. Zresztą to nie są haczyki, lecz ręce, boskie dłonie Atona. No i co?

– Jest pan bardzo sprytny, doktorze, muszę to przyznać – powiedziałem, udając podziw. – Nigdy bym na to nie wpadł, gotów bym przysiąc, że Cegłę należy umieścić zupełnie gdzie indziej... Może w tym ptaku...

Pokazałem otwór nad głową ptaka o długim dziobie. Yoonah uśmiechnął się z pogardą.

– Biedaku, jak widzę, pańskie talenty są mocno przereklamowane. Mam nadzieję, że okaże się pan bardziej przydatny w przyszłości, w przeciwnym wypadku będę zmuszony zrezygnować z pańskich usług. A teraz, jeśli pan pozwoli...

Yoonah stanął przy murze. Uniósł złotą Cegłę i umieścił w otworze na tarczy. Musiał ją wpechnąć siłą, bo nie pasowała dokładnie.

Ukradkiem cofnąłem się o kilka kroków. Tak na wszelki wypadek.

Kiedy Cegła znalazła się wreszcie w zamku, usłyszałem głośny trzask. Z doświadczenia wiedziałem, że w podobnych sytuacjach dźwięk ten nie zwiastuje nic dobrego. Przeczucie mnie nie zawiodło. Nagle kamienna płyta, na której stał Yoonah, usunęła mu się spod nóg niczym zapadnia. Zaskoczony doktor osunął się w ciemną, głęboką dziurę, zanim jednak spadł, złapał się krawędzi.

Trzymał się resztkami sił, z dziury wystawały mu tylko ramiona i głowa. Patrzył na mnie z przerażeniem, a policzki z wysiłku zrobiły mu się purpurowe.

– Proszę mi pomóc, błagam!

Skrzywiłem się pogardliwie. Widziałem, że ręce Yoonaha słabną i długo nie wytrzyma. Zaraz spadnie w przepaść.

Podszedłem do pułapki i nachyliłem się nad nią. Czulem perfidną satysfakcję, widząc, jak się szarpie, podobny do owada uwięzionego w klepsydrze.

– Ptak, doktorze – powiedziałem spokojnie, patrząc na jego walkę. – Mówiłem panu, ptak z długim dziobem. To ibis, symbol boga Totha, związanego z kultem lunarnym. Dlatego zwano go także „srebrnym Atonem”. Pamięta pan ostatni wiersz z inskrypcji na Cegle? „Tobie, srebrzyste światło, ofiarowuję swe złoto”. Nie chodziło o słońce, doktorze. Tylko o księżyc.

– Wyciągnij mnie. Dłużej nie wytrzymam!

W oczach Yoonaha widziałem przerażenie.

Wstałem.

– Miał pan rację, jest pan specem, ale tylko od cyferek.

Przypomniałem sobie, że to Yoonah rozkazał rzucić moich towarzyszy na pożarcie krokodylom, i z tym obrazem przed oczyma nadepnałem mu na palce. Azjata krzyknął z bólu, puścił krawędź i zniknął w dziurze. Spadając, wydał okrzyk, który nagle ucichł. Nie wiedziałem, czy doktor leży z roztrzaskaną głową na dnie jakiejś jamy, czy też leci dalej w niekończącą się przepaść. I szczerze mówiąc, nie bardzo mnie to obchodziło. Na obie rzeczy zasłużył sobie z nawiązką.

Podniosłem z ziemi latarkę Yoonaha i moją torbę ze skarbem Armów. Potem wyjąłem Cegłę z otworu w murze.

Chciałbym móc napisać, że schowałem ją razem z pozostałymi przedmiotami i jak najszybciej wybiegłem z pomieszczenia, żeby ratować przyjaciół, ale tak się nie stało. Kiedy trzymałem Cegłę w ręku, jeszcze raz spojrzałem na otwór nad głową ibisa.

Miałem w dłoni klucz, a przed sobą zamek.

Wsunąłem Cegłę we właściwe miejsce, pewien poprawności swojego rozumowania. W murze natychmiast otworzyła się wyrwa, ukazując przejście wysokości mniej więcej metra, szerokie na tyle, by mógł się nim przecisnąć człowiek.

Być może z drugiej strony znajdowała się Nieprzemijalna Oaza.

Niebezpieczeństwo grożące w tej chwili moim towarzyszom zmieniło się w mglistą ideę zepchniętą w najodleglejsze zakamarki mojej głowy. Wszystkie moje myśli koncentrowały się teraz na wyrwie w murze i na tym, co się za nią kryło.

Był to zew, któremu nie potrafiłem się oprzeć. Nawet nie próbowałem.

Musiałem uklęknąć na ziemi i wsunąć się do korytarza na czworakach. W tej właśnie

pełnej pokory pozycji przekroczyłem wrota Nieprzemijalnej Oazy.

Do dziś się wstydzę, że zdecydowałem się wyruszyć sam po skarb, zamiast udzielić natychmiastowej pomocy reszcie Poszukiwaczy. Próbowałem znaleźć wiele usprawiedliwień dla swojego postępowania. Żadne nie wydaje mi się satysfakcjonujące. Na swoją obronę mogę tylko powiedzieć, że nie zdawałem sobie sprawy, iż sytuacja Hydry, Enigmy i Bańki była aż tak rozpaczliwa.

OAZA

Bańka spadł do ciemnej jamy pełnej krokodyli, będącej dla Nummów sanktuarium Zugu, ich żadnego krwi bóstwa.

Zdołał jednak pociągnąć za sobą jednego z Ludzi Piasku. Spleceni w kurczowym uścisku mężczyźni polecili pięć, sześć metrów w dół na brzeg kamienistej podziemnej laguny.

Najemnik uderzył plecami o kamienie, amortyzując upadek Bańki. Nadal się mocowali. Poszukiwacz starał się wyrwać napastnikowi karabin, ale tamten był silny i nie dawał za wygraną.

Wymierzył Bańce cios prosto w szczękę. Miał szczęście, uderzenie zabolowało. Bańka na chwilę zwolnił uścisk, a najemnik wstał i wycelował do niego z broni.

Nie miał jednak czasu, żeby oddać strzał. Laguna wypluła z siebie potwora, który dopadł żołnierza szybko jak strzała. Bańka zobaczył, jak szczęki zwierzęcia zaciskają się na tułowiu jego wroga, a ten upuszcza karabin i krzyczy. Po chwili zaczął pluć krwią, która zabarwiła mu na czerwono brodę i szyję. Krokodyl gwałtownie potrząsnął głową. W paszczy bestii człowiek przypominał bezbronną szmacianą lalkę.

Z wody wyłonił się drugi krokodyl, za nim kolejny. Jeden z nich ugryzł Człowieka Piasku w ramię. Bańka usłyszał mrożący krew w żyłach odgłos łamanych kości i rozdieranej tkaniny, a potem zobaczył, że drugi gad trzyma w pysku rękę najemnika. Trzeci złapał go za nogę. Bańce się zdawało, że słyszy jeszcze krzyk ofiary, kiedy jej głowa i tors zniknęły w paszczy jednej z gadzin.

Brzeg zappełnił się cielskimi zwierząt, zwabionych zapachem świeżej krwi. Bańka naliczył przynajmniej pięć, ale kilka zostało w wodzie. Poszukiwacz dostrzegł karabin upuszczony przez Człowieka Piasku. Jedna z bestii na swoich krótkich, pokrytych łuskami łapach podchodziła do broni.

Bańka nie namyślał się długo. Jednym susem zerwał się z ziemi i pobiegł w tamtą stronę. Jego dłoń zacisnęła się na karabinie w tej samej chwili, gdy krokodyl rzucił się na niego, szczerząc kły. Bańka odskoczył. Cudem nie został drugim daniem bestii. Przez koszarne sekundy widział resztki włosów, ciała i ubrań Człowieka Piasku na zębach zwierzęcia.

Gad znów czaił się do skoku. Bańka przymierzył się do strzału, ale w tym momencie zjawiała się Hydra. Kopnęła zwierzę w pysk, a ono cofnęło się, pryhajac.

– Są głodne! Zmywamy się stąd!

Bańka wstał i oboje ruszyli biegiem jak najdalej od brzegu zatoczki. Poszukiwacz zauważył, że Hydra pochyla się na bok, zasłaniając ranę zadaną przez szamana Nummów.

Potknęła się. Bańka złapał ją za ramię i przerzucił je sobie przez barki. Prawie niósł

ją na plecach, a dwa krokodyły deptały im po piętach.

Poszukiwacz zobaczył Enigmę i Lacombe. Wspięły się na skałę. Enigma miała w ręku grubą gałąź, którą najwyraźniej zamierzała się bronić. Na widok Bańki i Hydry krzyknęła:

– Szybciej! Gonią was!

Bańka zacisnął zęby i skupił się na ostatnim wysiłku. Wciąż czuł się osłabiony, zaledwie kilka dni temu wyjęto mu z pleców kulę. Hydra robiła, co mogła, by nie być dla niego ciężarem, ale krew nieustannie płynęła jej z rany i wyraźnie traciła siły.

Lacombe wychyliła się ku nim. Złapała Hydrę za drugie ramię i pomogła Bańce umieścić ją na skale. Już prawie będąc na szczycie, Poszukiwacz poczuł nieznośny ból w nodze – jeden z krokodyli złapał go za łydkę.

Bańka wrzasnął. Enigma zaczęła okładać zwierzę kijem, ale nie zdołała sprawić, żeby puściło Poszukiwacza.

– Po oczach! – jęknęła Hydra. – Wal go po oczach!

Enigma skupiła wzrok na złowrogim oku bestii. Zacisnęła usta, zamierzyła się kijem jak włócznią i zanurzyła jego koniec w źrenicy atakującego zwierzęcia. Strumień ciemnej, lepkiej krwi popłynął ze zmiażdżonej gałki ocznej gada, który zwolnił uścisk szczęk. Bańka wyswobodził się, a krokodyl oddalił się przerażony.

Ale wokół głazu aż roilo się od wielkich jaszczurów. Bańka zdołał załadować karabin i zaczął strzelać. Kule zabiły jednego krokodyla, raniły drugiego i sprawiły, że całe stado nieco się odsunęło.

– Do cholery, Bailey, przestań strzelać na oślep! – krzyknęła Hydra. Każde wymawiane słowo kosztowało ją nadludzki wysiłek. – Celuj między oczy, w mózg!

Bańka usłuchał. Zdołał zabić dwa kolejne gady, które podeszły zbyt blisko, pozostałe zaś trzymały się na dystans, przestraszone hukami broni. Wydawało się jednak, że w wodach tego podziemnego jeziora żyje całe ogromne stado.

– Tu nie jesteśmy bezpieczni! – krzyknął Bańka między jednym strzałem a drugim. – Mogą nas otoczyć, sam nie dam rady. Poza tym nie mam pojęcia, ile amunicji mi zostało!

– Oslaniaj mnie – powiedziała Lacombe. A następnie zeskoczyła z głazu i ruszyła w stronę skalnej ściany odległej zaledwie o kilka metrów.

– Ale... dokąd idziesz? – krzyknął za nią Poszukiwacz.

Ledwo zdołał zabić krokodyla, który natychmiast rzucił się w pogoń za agentką Interpolu.

Lacombe wślizgnęła się w szczelinę w skalnej ścianie. Była długa i dość wąska, ale udało się jej zejść do niej bez większego trudu. Chwilę później Bańka znów ją zobaczył. Gestami pokazywała im, żeby wzięli z niej przykład.

– Zdaje się, że twoja przyjaciółka znalazła schronienie – powiedziała Enigma.

– Dobrze, mam tylko nadzieję, że nie wpadniemy prosto w paszczę krokodyla. – Bańka podał Enigmie broń. – Ty będziesz je odstraszać, ja sprowadzę Hydrę.

– Dasz radę z tą nogą? – Poszukiwaczka z powątpiewaniem wskazała zakrwawioną łydkę towarzysza.

– To tylko drobne ugryzienie.

Bańka pomógł Hydrze wstać. Z przerażeniem odkrył, że cały prawy bok kobiety był

skapany we krwi. Trzeba zatamować ten krwotok, bo konsekwencje mogły się okazać naprawdę fatalne.

– Odwagi, jeszcze chwilę – powiedział. – Wytrzymaj jeszcze trochę.

Ona pokiwała głową i zacisnęła zęby.

Oboje zeszli ze skały i ruszyli w stronę szczeliny, gdzie schroniła się Lacombe. Enigma postępowwała kilka kroków za nimi, strzelając do krokodyli, które wydawały się coraz liczniejsze i coraz odważniejsze. Jakby apetyt na ludzkie mięso zagłuszył w nich strach przed kulami.

Enigma szła tyłem, celując w gady. Była zbyt skoncentrowana na śledzeniu ich ruchów, żeby patrzeć pod nogi. Kiedy mierzyła w krokodyla, który czaił się do ataku na nią, trafiła piętą na duży kamień i przewróciła się, wypuszczając broń. Złowroga bestia zareagowała natychmiast, zaczęła biec, otwierając przerażającą paszczę. Enigma krzyknęła.

Bańka się odwrócił.

– O kurwa! – wymamrotał.

Enigmie udało się wsadzić karabin w paszczę krokodyla, zanim ten zdołał zacisnąć na niej szczęki. Niestety zwierz nie zamierzał wypuścić broni, a tuż za nim pełzło kilku wygłodniałych braci.

Bańka nie wiedział, co robić.

– Pomóż jej – powiedziała Hydra. – Dam sobie radę. Idź.

– Możesz...?

– Idź!

Bańka nie miał wyjścia, musiał zostawić Hydrę i podbiec do walczącej z krokodylem Enigmy. Po drodze podniósł z ziemi wielki kamień. Kiedy dotarł do celu, zaczął okładać nim czaszkę gada. Ten wypuścił karabin, odwrócił się szybko, zamachnął ogonem i smagnął nim jak biczem plecy Poszukiwacza. Bańka poczuł niewiarygodny ból. Ogon krokodyla był twardy i pełen łusek ostrych jak zęby piły. Poszukiwacz upadł na ziemię, a potwór rzucił się na niego z otwartym pyskiem.

Rozległ się strzał. Enigma trafiła bestię w podniebienie. Potem pomogła towarzyszowi się podnieść i razem rzucili się do ucieczki. Hydra znajdowała się przed nimi, już prawie udało się jej dotrzeć do szczeliny, w której schroniła się Lacombe.

W tym momencie zza skały wypelzł krokodyl, który oddalił się od stada. Był o wiele mniejszy od pozostałych, ale okazał się równie groźny. Gad przechylił głowę, wycelował w bok Hydry i zacisnął szczęki na jej krwawiącej ranie. Pomachał głową, wyrывая kawał ciała, a potem ponowił atak. Hydra zawyla z bólu i osunęła się na kolana.

Enigma oparła karabin na ramieniu i wycelowała. Za pierwszym razem trafiła krokodyla między oczy. Bańka i Lacombe biegiem rzucili się na pomoc byłej Poszukiwaczce, która leżała na ziemi w kałuży krwi.

Upewnili się, że żyje, ale rana była koszmarna. Krokodyl wyszarpał jej ogromny kawał skóry i mięśni, odsłaniając wnętrze, niektóre także zostały uszkodzone.

Bańka wpadł w panikę. Wpatrywał się w ranę, nie wiedząc, co robić. Hydra oddychała z trudem. Zaciskała szczęki, a jej twarz była przezroczysta jak lód.

– Kurwa, kurwa – wyjąkała. – Jak to strasznie boli! Chyba mocno mnie użarł.

– Spokojnie. Wszystko będzie dobrze. Patrz na mnie, proszę. Patrz na mnie cały czas! Lacombe próbowała jakoś opatrzyć ranę, ale uświadomiła sobie, że to nic nie da. Spojrzała na Bańkę poważnie i pokręciła głową.

– Kurwa, nie, nie, nie – wymamrotała. – Musimy jej jakoś pomóc.

Dołączyła do nich Enigma. Hydra przymknęła powieki. Oddychała, ale coraz słabiej. Na twarzy Bańki malowała się rozpacz.

– Enigmo, co mogę zrobić?

Poszukiwaczka skrzywiła się, ale nie straciła zimnej krwi.

– Zabierzmy ją do szczeliny. Tu nie jest bezpieczna. My też nie.

Lacombe i Enigma uniosły ją delikatnie, ale Hydra i tak wydała przeraźliwy okrzyk bólu. Otworzyła oczy i rozejrzała się wokół. Była na wpół przytomna.

– Bailey? Jesteś tu?

Zbliżył się do niej i chwycił ją za rękę. Miał całe dłonie we krwi.

– Tak, jestem tu. Przy tobie. Nie zostawię cię.

Hydra się uśmiechnęła.

– Zawsze byłeś porządnym facetem... – Ostatnie słowa były ledwie słyszalne.

Wszyscy czworo dotarli do niewielkiego schronienia znalezione przez Lacombe. Była to maleńka grotka, nie większa niż spiżarnia, ale wystarczyło miejsca dla wszystkich, a szczelina była zbyt wąska, żeby mógł prześlizgnąć się przez nią krokodyl.

Ułożyli Hydre na podłożu. Znowu zemdląca w wyniku utraty krwi, prawie nie oddychała. Bańka wciąż trzymał ją za rękę.

– Kiepsko to wygląda – oceniła Lacombe. Podarła ubranie Hydry na kawałki i tymi prowizorycznymi bandażami próbowała obwiązać ranę. Nic to nie dało: obrażenia były zbyt poważne. Towarzysze mogli tylko patrzeć, jak z byłej Poszukiwaczki ulatuje życie, podczas gdy Enigma próbowała utrzymać nadal atakujące krokodyle na dystans. – Musimy ją stąd wyciągnąć. Natychmiast – dodała agentka.

– A co zrobimy z tymi cholernymi zwierzakami? – zapytał Bańka.

– Już sobie poszły – odrzekła Enigma. Pozostali popatrzyli na nią zdumieni. – Krokodyle. Sami zobaczcie. Nagle odeszły.

– To niemożliwe.

Lacombe odstepała od Hydry i wyjrzała przez szczelinę. Enigma miała rację: wszystkie krokodyle wróciły do wody.

W tym momencie rozległ się dziki ryk.

Żadne z nich nie słyszało wcześniej tak niepokojącego hałasu. Był dziwny, przeszywający, coś między syczeniem a wyciem, jakby wydawała go istota będącą skrzyżowaniem węża i lwa.

– Co to, u licha, jest? – zapytała Lacombe.

Dźwięk znowu zadudnił w ścianach groty. Dochodził z jaskini znajdującej się naprzeciwko laguny. Wody podziemnej zatoczki wzburzyły się, a ciszę rozdarł po raz trzeci ów potworny odgłos.

Enigma i Bańka też podeszli do szczeliny. Utkwili spojrzenie w jaskini, czekając na to, co wynurzy się z tych ciemności. Spodziewali się, że będzie to coś przerażającego.

Ale to, co wyłoniło się z wnętrza ziemi, przerosło ich najgorsze lęki.

– *Mój Boże... – powiedział Bańka. – Co to, kurwa, jest?*

– *Nie wiem – wymamrotała Enigma. – Chyba Zugu.*

Szedłem na czworakach przez niewielki korytarz zasnuty gęstymi pajęczynami. Cieszyłem się, że jest zbyt ciemno, by zobaczyć, czy ich twórcy nadal tam są.

Po przebyciu niezbyt długiego odcinka zauważyłem nikłe światło, które musiało padać z jakiegoś otworu. Było to chyba światło słoneczne.

Korytarz kończył się ogromnych rozmiarów jaskinią. Wszedłem tam, wstałem z kolan i otrzepałem kurz i ziemię z twarzy i dłoni. Rozejrzałem się wokół. Wysoko nad głową ujrzałem skalne sklepienie pełne szczelin i dziur, częściowo zarośniętych płataniną korzeni i łodyg. Ukośne snopy delikatnego światła przecinały grootę, w promieniach tańczyły miriady drobinek kurzu.

Ze ścian grotki wystawały uschnięte korzenie, niektóre miały nawet grubość mojego ramienia. Inne, długie i grube, zwisały z sufitu, pokryte martwym mchem przypominającym szare łachmany. Ściekała z nich mętna ciecz. W powietrzu unosił się lekki zapach zgnilizny, jak z kartonowego pudła pozostawionego zbyt długo w wilgotnym kącie garażu. W skalnych zakamarkach dostrzegłem liczne stonogi w kolorze zwiędłych liści oraz owady. Ślepe ćmy wielkości wróbli, których skrzydła przypominały kawałki brudnej gazy, raz po raz uderzały o sklepienie i ściany. Jedna uderzyła mnie w czoło, a potem upadła pod stopami. Jej odwłok porastały szarawe włoski. Była naprawdę obrzydliwa.

To miejsce w niczym nie przypominało oazy, no chyba że oazę bardzo chorą.

Nie zauważyłem tu żadnych skarbów ani bogactw. Jaskinia była prawie zupełnie pusta, nie licząc dziwnego przedmiotu oświetlonego promieniami słońca. Był to drewniany blok, wysoki mniej więcej na dwa metry, przypominający kształtem sarkofag. Przyjrzałem mu się z bliska. Jego powierzchnia była czarna i błyszcząca, pomyślałem, że wykonano go z hebanu. Zauważyłem też, że cienka pionowa linia dzieli sarkofag na pół. Niewątpliwie zrobiony był z dwóch drewnianych bloków.

W jego górnej części dostrzegłem wgłębienie, którego kształt natychmiast wydał mi się znajomy. Otworzyłem torbę i znalazłem wśród eksponatów składających się na skarb Armów złotą Czaszkę. Przyłożywszy ją do sarkofagu, przekonałem się, że osoba, która wyrzeźbiła ten wklęsły relief, starannie skopiowała kontury Czaszki.

Ster pasował do wrót meczetu w Kolodugu, złota Cegła do muralu z wizerunkami zwierząt... Wniosek nasuwał się sam, znalazłem miejsce, do którego dostęp otwierał trzeci z kluczy Armów.

Włożyłem Czaszkę na właściwe miejsce i nacisnąłem delikatnie. Pasowała jak ulał do tego nietypowego zamka. Usłyszałem niezbyt głośny trzask i dwie części, z których składał się sarkofag, otworzyły się, by ukazać mi jego zawartość.

Spodziewałem się, że za chwilę ujrzę wielki skarb. Serce waliło mi jak młotem.

Z wnętrza dobył się kwaśny powiew zgnilizny, który sprawił, że zasłoniłem nos i odwróciłem twarz. Kaszlnąłem parę razy, a potem zobaczyłem, co spoczywało w sarkofagu.

Było to zmumifikowane ciało. Człowiek mógł być martwy równie dobrze od stu, jak od tysiąca lat, nie potrafiłem tego stwierdzić. Długie, siwe pasma zwisające mu z brody

kazały mi przypuszczać, że zmarł w podeszłym wieku. Z twarzy pozostała tylko czaszka obciążona ciemną, pomarszczoną skórą, z oczu – dwa czarne otwory, usta miał otwarte jakby w pośmiertnym krzyku, ukazującym zielone, nierówne zęby, które przywodziły na myśl prowizoryczną palisadę naprędce skleconą z resztek drewna. Mumia zwymiotowała sznurek owadów przypominających chrabąszcze, a jej głowa przechyliła się na bok.

Ciało otaczał łańcuch o grubych ogniwach, podobny do tych używanych w stajniach, jakby ktoś chciał utrzymać mieszkańca sarkofagu w niewoli po wieczne czasy. Na każdym ogniwie wyryto inskrypcje w języku, którego nie potrafiłem rozpoznać. Łańcuch wykonano z nieszlachetnego metalu pokrytego warstwą złota, o czym świadczyły rdza i pęknięcia na niektórych ogniwach.

W grobowcu nie było nic więcej. Tak oto przedstawiał się wielki, niewyobrażalny skarb Dżaudara Paszy: wysuszona mumia i zardzewiały łańcuch.

Przez chwilę ogarnęło mnie przeraźliwe zniechęcenie. Miałem zamiar zatrzaskać sarkofag, przeklinać, a nawet kopać w drewno. Poszukiwania prowadziły donikąd. Donikąd. Osunąłem się na kolana, kompletnie bezsilny.

Wówczas poczułem, że nie jestem tu sam.

Podniosłem się i odwróciłem.

Za mną stał mężczyzna i patrzył na mnie.

Był w zaawansowanym wieku, może nie bardzo stary, ale na jego twarzy czas odcisnął swoje piętno. Miał długi, cienki orli nos i bujną, czarną brodę przyciętą w kształt kwadratu, poprzetykaną białymi nitkami, lśniącymi jak ważne wspomnienia z przeszłości. Cerę miał śniadą i spoglądał na mnie oczami w kolorze najintensywniejszej zieleni: nigdy wcześniej podobnych nie widziałem.

Mężczyzna miał na sobie niebieską tunikę, podobną do tej, jaką widziałem u szamana w Benigoto, chociaż szata *hogona* przypominała raczej znoszone łachmany, ta natomiast, chociaż miejscami poprzecierana, wydawała się porządna i coś warta.

Uniósł rękę, jakby chciał mnie przywitać.

– Witaj, podróżniku!

Cofnąłem się o krok, bardziej ze zdumienia niż ze strachu, gdyż mężczyzna nie wyglądał na niebezpiecznego.

Nie odpowiedziałem na powitanie, ale nie wydawał się o to zły. Podeszedł do sarkofagu i delikatnie ułożył głowę mumii w poprzedniej pozycji. Zrobił to tak delikatnie, jakby poprawiał głowę śpiącemu dziecku.

– Dobrze – powiedział. – Tak jest o wiele lepiej. Zmarli muszą zachować swoją godność. – Wyjął złotą Czaszkę z reliefu i mi ją podał. – To chyba należy do ciebie, podróżniku.

Patrzyłem na niego jak na ducha.

– Kim pan jest? – wyjąkałem w końcu.

Wzruszył ramionami, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że ta kwestia nie ma najmniejszego znaczenia.

– Ja? Nikim. Strażnikiem. A może raczej opiekunem.

– Jak się pan tu znalazł?

– Chyba to ja powinienem zapytać o to ciebie, przybyszu. Znam prawie wszystkie tunele

i wejścia do tego grobowca, ale ten, którym tu dotarłeś, jest dla mnie zupełnie nowy. Tak mi się przynajmniej wydaje... Łatwo zapomina się różne rzeczy.

– Są tu inne drogi?

– Ależ oczywiście. Ale trzeba bardzo dobrze znać okolicę, żeby się w nich nie pogubić. Wokół grobowca istnieje cały labirynt korytarzy i galerii, bardzo niebezpieczny dla każdego, kto się w nie zagłębi i będzie chciał znaleźć drogę na oślep. Ja go znam jak własną kieszeń. Często wchodzę i wychodzę. – Strażnik westchnął ciężko. – Chociaż nie tak często jak dawniej, muszę przyznać.

– Powiedział pan, że to grobowiec...

– Oczywiście. Jeszcze tego nie zauważyłeś? A myślałeś, że niby gdzie jesteś?

– Sądziłem, że dotarłem do Nieprzemijalnej Oazy.

Oczy mężczyzny zalsniły smutno.

– Ach tak. Podobno była tu kiedyś, ale dużo wody upłynęło od tego czasu. Teraz zostały tylko zbutwiałe korzenie. Nie wiem dokładnie, kiedy to się stało. Jak wspominałem, nie zaglądam tu tak często jak dawniej. Wina leży po stronie Nummów. Tych wrogo nastawionych Pigmejów, być może napotkałeś ich po drodze. Może to miejsce zaczęło więdnąć z chwilą, kiedy spoczęły tu zwłoki. Zresztą, czy ma to jakieś znaczenie? Nie ma już nikogo, kto by to pamiętał.

– Czy pan wie, kto spoczywa w sarkofagu?

– Tak. Sądziłem, że ty też wiesz. Nie dlatego tu przybyłeś?

– Nie. Nie mam pojęcia...

– Jesteś pewien? Przypatrz się dobrze.

Mężczyzna usiadł na kamieniu i utkwiał we mnie wzrok, jakby czegoś ode mnie oczekiwał. Powodowany dziwnym przecuciem jeszcze raz przyjrzałem się wnętrzu sarkofagu. Zauważyłem, że obok z mumifikowanego ciała leży pastorał, a znaki na łańcuchu to hieratyczne pismo egipskie. Mój mózg zaczął pracować na pełnych obrotach i doznałem nagłego olśnienia: „Wyzwoliciel”, „Prorok”, udało mi się przeczytać. Potem światło inspiracji zgasło, jakby spłynęło na mnie z jakiegoś innego umysłu.

Wyzwoliciel. Prorok.

– To Musa – powiedziałem pod nosem. – Prorok, o którym mowa w *Mardudzie* z Sewilli. Mojżesz.

Strażnik pokiwał głową.

– Też tak sędzę.

– Ale... to niemożliwe. Biblia mówi, że Mojżesz został pochowany na górze Nebo, tuż przed wejściem do Ziemi Obiecanej.

– Nie znam się na świętych księgach, podrózniku, jestem tylko zwykłym strażnikiem, ale znam legendy. A według nich Zielony Prorok przekazał Musie wielki sekret: złoty łańcuch mądrości, dzięki któremu Bóg dał mu moc, by zmiękczył duszę faraona i wyprowadził Izraelitów z niewoli. Prawda jest taka, że to nie był zwykły łańcuch. To tylko metafora, chodziło o coś o wiele potężniejszego. Szem ha-Meforasz, słyszałeś o tym?

Pokiwałem głową.

– Imię nad Imionami – powiedziałem. – Stół, na którym wryto słowa Stworzenia.

– To nie stół, w rzeczywistości chodzi o ołtarz. Ogromny ołtarz. Zielony Prorok znał

dokładnie jego moc, ale przekazał Musie tylko część swojej wiedzy.

– Słyszałem co innego – odparłem, przypominając sobie opowieść ojca. – To Lilith, królowa Saby, kazała zrobić ten stół dla króla Salomona.

Strażnik wzruszył ramionami.

– Nie znam tej wersji, przykro mi. Podejrzewam, że ustne opowieści mają tyle wersji, ilu jest opowiadaczy. Skąd znasz tę legendę?

– Od mojego ojca.

– Ach tak. To z pewnością mądry człowiek. Ale Bóg jest najmądrzejszym z mędrców, podróżniku. Tylko On zna całą prawdę. My możemy jedynie dążyć do jej poznania. – W oczach strażnika dostrzegłem intensywny błysk. – Chcesz posłuchać mojej wersji?

– Oczywiście.

– Dobrze. Musa zabrał Ołtarz z Imieniem nad Imionami do ziemi faraonów. Tam wykorzystał jego moc, by uwolnić swój lud, tak jak pouczył go Zielony Prorok. Jednak wychodząc z ziemi egipskiej, Żydzi nie mogli zabrać ołtarza. Jeden z nich nie był niewolnikiem, lecz bogatym kupcem, który zajmował wysokie stanowisko na dworze faraona. Podobno nie chciał iść za Musą do Ziemi Obiecanej. Dekret faraona nakazywał jednak wszystkim Izraelitom opuścić Egipt, kupiec ów ukradł więc ołtarz i uciekł z nim tutaj.

– Lud Soninke wywodzi swój rodowód od dworzanina faraona.

– Tak, obito mi się to o uszy. Bardzo interesujące, prawda? Być może tkwi w tym ziarno prawdy, gdyż kolejni władcy Mali zawsze uważali ołtarz za swoją własność, chociaż większość z nich nigdy nie widziała go na oczy. Tak czy owak, možny Egipcjanin ukrył ołtarz właśnie tutaj, w tej jaskini. Powiadają, że zamknął go za wrotami otwieranymi przez złotą Cegłę, na której wrył hymn do egipskiego boga w jego hebrajskiej wersji. Co o tym myślisz?

– Myślę, że... że to ma sens.

– Niewykluczone. Jakiś czas później Musa poczuł, że zbliża się godzina jego śmierci. I poprosił Boga o ostatnią łaskę: chciał spocząć w tym samym miejscu, gdzie znajdował się ołtarz z Imieniem nad Imionami, pragnął bowiem ujrzeć go po raz ostatni. Legenda głosi, że jego prośba została wysłuchana: niebiescy aniołowie przynieśli go do tej jaskini.

– Ale... ołtarza tu nie ma.

Wymawiając te słowa, uświadomiłem sobie coś zupełnie oczywistego: ołtarza tu nie było, gdyż wystawiono go w Narodowym Muzeum Archeologicznym w Madrycie.

Tak przynajmniej sądziłem.

– Nie, rzeczywiście go tu nie ma – przyznał zamyślony strażnik. – Być może później znów go skradziono, niewykluczone, że zrobiła to królowa Saby, by podarować go później Salomonowi. Wiesz co, podróżniku? Prawdopodobnie wersja twojego ojca też nie jest pozbawiona sensu. Jeśli chodzi o mity, wszystko jest możliwe.

Spojrzałem na mężczyznę wyzywająco.

– Ołtarz nie jest żadną legendą. Sam go znalazłem.

Nie wydaje mi się, by moje wyznanie zrobiło na nim wrażenie.

– Tak? W takim razie gratuluję. Bardzo dobrze. A więc go znalazłeś? Zdaje się, że masz do tego talent, podróżniku. – Mężczyzna uśmiechnął się rozbawiony. – Oczywiście,

wyglądasz na poszukiwacza. Tak będę cię nazywał, Poszukiwaczem. Chyba że masz coś przeciwko temu.

Spojrzałem na niego, zastanawiając się, czy się ze mnie przypadkiem nie naśmiewa, ale w jego twarzy nie dojrzałem złościwości.

– Nie, nie mam nic przeciwko temu – powiedziałem podejrzliwie.

– To dobrze, bo przydomek do ciebie pasuje. A powiedz mi, jak wygląda ten ołtarz, który znalazłeś.

– Jest... raczej niewielki. – Tych rozmiarów i...

Strażnik mi przerwał:

– O nie, słyszałem co innego. Ołtarz z Imieniem nad Imionami jest wielki, przeogromny. Dwanaście wołów podtrzymuje blat zdobiony drogimi kamieniami, całą masą, nikt nigdy nie widział tylu klejnotów naraz. Tak przynajmniej głosi legenda.

– To, co znalazłem, pasuje mniej więcej do opisu, ale stanowi jakby skromniejszą wersję. Mniej wołów... i drogich kamieni.

– Ach tak? Więc może będziesz musiał szukać dalej. Chyba znalazłeś nie to, o co ci chodziło.

Wspomniał o tym jakby mimochodem, nie przywiązując zbytnej wagi do swoich słów. Na mnie natomiast wywarły one niesamowite wrażenie. Ogarnęły mnie wątpliwości. Czy naprawdę znalazłem Stół Króla Salomona? Patrzyłem na mężczyznę, jakbym oczekiwał od niego odpowiedzi, ale on tylko się do mnie uśmiechał.

– Wszystko jedno – powiedziałem zirytowany. – Jedno jest pewne: ten ołtarz, czy też stół, nie znajduje się tutaj. Nie ma tu też żadnego skarbu. Tu nie ma nic.

– Chyba nie – przyznał zmartwiony. – Chociaż wyobrażam sobie, że nie przejmujesz się tym za bardzo, prawda, Poszukiwaczu? Ty nie potrzebujesz odpowiedzi, lecz pytań, a teraz masz ich w głowie mnóstwo.

– I co mi z tego przyjdzie?

– Mędrcecm wcale nie jest ten, kto zna najwięcej odpowiedzi, lecz ten, co stawia sobie najwięcej pytań, wiesz, Poszukiwaczu? Tutaj znalazłeś skarb mądrości, najcenniejszy ze wszystkich.

Jego słowa były jak balsam na moją duszę, chociaż nie rozumiałem dokładnie dlaczego. Czulem tylko, że ów mężczyzna przypomniał mi coś o mnie samym, coś niezwykle ważnego, o czym zupełnie zapomniałem.

Spojrzałem znów na mumię i westchnąłem cicho.

– Jest przynajmniej Łańcuch Proroka – powiedziałem.

– Masz na myśli to? – zapytał, wskazując na ogniwa otaczające zwłoki. – To tylko zwykła ozdoba, nie pamiętam, kto ją tu umieścił. Podejrzewam, że ten ktoś zbyt dosłownie zrozumiał metaforę łańcucha mądrości. Efekt jest nieco groteskowy, jakby próbowano zatrzymać tu mumię siłą. Wiesz co? Chyba powinieneś go ze sobą zabrać. Może ci się przyda.

W tym momencie któreś z przeżartych rdzą ogniów musiało pęknąć, gdyż łańcuch zsunął się z mummii i upadł pod nogi strażnika. Ten wskazał mi gestem, żebym go podniósł. Tak zrobiłem. Był dość ciężki, nie wiedziałem, czy naprawdę chce mi się go targać, ale po chwili zdecydowałem, że zabiorę coś do Muzeum Archeologicznego, jako skromną

pamiętkę z tej wyprawy, tak skąpej w rekompensaty materialne.

– Dziękuję – powiedziałem, owijając łańcuch wokół ramienia. – Chyba pana posłucham i wezmę go ze sobą.

– Cieszę się. A teraz bądź tak miły i zamknij sarkofag. Niech nasz prorok spoczywa w spokoju. Zasluguje na to.

Zrobiłem to, o co prosił mnie strażnik. Mojżesz, czy ktokolwiek to był, znów znalazł się we wnętrzu swego drewnianego grobowca.

– Czyli... to już wszystko.

– Tak mi się wydaje, Poszukiwaczu. Sądzę, że w tej jaskini nie masz już czego szukać, a ktoś prawdopodobnie potrzebuje cię w tej chwili bardziej niż ja i mój cichy przyjaciel z sarkofagu. Powinieneś już iść.

Jego rada wydała mi się nader rozsądna. Słuchałem tego człowieka jak zahipnotyzowany.

– Tak. To prawda.

– Przy okazji pogratuluj ode mnie ojcu. Powiedz, że bardzo spodobała mi się historia o królowej Saby. Nigdy wcześniej jej nie słyszałem, a uwierz mi, trudno mnie zaskoczyć.

– Mój ojciec... – odpowiedziałem. – Mój ojciec nie żyje.

Strażnik ściągnął brwi.

– Ach tak? Bardzo mi przykro. Tak czy siak, powiedz mu o tym.

Chociaż może zabrzmiało to dziwnie (a właściwie na pewno tak to zabrzmiało), te słowa nie wydały mi się pozbawione sensu. W gruncie rzeczy wszystko, co mówił ten mężczyzna, wydawało mi się rozsądne. Biła od niego jakaś tajemnicza pewność siebie.

– A pan? – zapytałem. – Co będzie z panem?

– Nie musisz się o mnie martwić, Poszukiwaczu. Pojawiam się i znikam, dobrze znam drogę. Pokręcę się tu jeszcze trochę, jak zwykle. Ty musisz już iść.

Poczułem niewytłumaczalną potrzebę, by usłuchać tej rady. Z umysłem wolnym od wszelkich pytań oddaliłem się od mężczyzny i ruszyłem w drogę powrotną. Znów musiałem przejść na czworakach przez otwór w murze. Po chwili doznałem dziwnego uczucia, jakby ktoś pstryknął palcami tuż przed moją twarzą. Nagle zalała mnie lawina wątpliwości.

Cofnąłem się do jaskini tak szybko, jak zdołałem, by znów stanąć twarzą w twarz z mężczyzną o zielonych oczach i dokładnie go przemaglować. Kiedy jednak dotarłem na miejsce, już go tam nie było. Odszedł.

Kamień, na którym siedział, był pusty. Ujrzałem na nim grubą warstwę mchu, który wydawał się świecić własnym światłem pośród tego jałowego otoczenia.

Zdarzają się sytuacje, w których nie warto poddawać umysłu zbyt trudnym próbom. Świat to dziwne, pełne tajemnic miejsce, pragnienie rozwiązania wszystkich zagadek jest z góry skazane na porażkę, jak usiłowanie wyznaczenia granic firmamentu.

Opuszczałem jaskinię po raz drugi z tą myślą w głowie. Tym razem nie obejrzałem się za siebie.

W nummijskiej wiosce nie było już ani jednego Człowieka Piasku. Domyśliłem się, że trzymają wartę u stóp urwiska, tak jak obiecali Yoonahowi. Postanowiłem zastanowić się później nad tym, jak opuścić to miejsce, żeby nas nie zauważyli. Teraz miałem na głowie pilniejsze sprawy.

Z łańcuchem na ramieniu pobiegłem do jamy z krokodylami. Z całego serca liczyłem na to, że gady nie zdążyły pożreć żadnego z moich towarzyszy.

W części jaskini zamieszkaney wcześniej przez Nummów zastałem tylko ich rozszarpane kulami ciała. Nagle usłyszałem przerażający dźwięk, który odbił się echem po całej grocie. Brzmiał jak stary motor, który nie może odpalić, ale miał też w sobie kadencję podobną do syku kobry. Potem rozległy się huk i krzyki. Ludzkie krzyki.

Obawiając się najgorszego, pobiegłem do miejsca, skąd docierały owe dźwięki: do jamy krokodyli.

To, co zobaczyłem, sprawiło, że serce zamarło mi w piersi.

Z początku myślałem, że to olbrzymi wąż. Nie mogłem w to uwierzyć, gdyż rzeczony gad był długi jak autobus i prawie równie gruby. Potem zauważyłem, że ma cztery silne łapy zakończone pięcioma krótkimi palcami oraz ogon wielkości pnia drzewa, pokryty łuskami o kształcie płetwy rekina i niewiele od niej mniejszymi. Po drugiej stronie tułowia dostrzegłem pysk, długi i spłaszczony, w którym połyskiwały ostre jak brzytwa kły.

To nie był wąż, lecz krokodyl.

Ale nie taki zwyczajny krokodyl; oprócz niecodziennych rozmiarów uwagę przykuwała jeszcze jedna niezwykła cecha: był zupełnie biały.

Jego monstrualne cielsko świeciło na dnie jamy niczym góra piany. Każdy centymetr ciała potwora pokrywał pancerz z łusek w kolorze kości słoniowej wielkości dłoni. Jego zęby zwisały z białej szczęki jak sople z gzymsu, a miękki brzuch był biały jak kreda. Jedyne kontrasty kolorystyczne stanowiły oczy: dwie rubinowe gałki, przecięte czarną źrenicą w alabastrowej oprawie.

Biały krokodyl o ognistoczerwonych ślepiach. Wydał mi się zjawą żywcem wyjętą z piekła.

Przypomniałem sobie podobną bestię z murali w wiosce i szybko doszedłem do wniosku, że właśnie spotkałem Zugu, złowrogie bóstwo Nummów. I wcale nie chodziło o żadne nadprzyrodzone zjawisko, lecz o zwierzę z krwi i kości, chociaż osobiście wolałbym mieć do czynienia z bogiem. Do boga można się przynajmniej pomodlić, nie miałem natomiast pojęcia, jak się zachować w obliczu takiego stworzenia.

Moi biedni towarzysze myśleli chyba to samo. Jaszczur czyhał na nich przy niewielkiej szczelinie w skalnej ścianie. Bańka trzymał karabin, ale nie strzelał. Odgadłem, że nie zostało mu zbyt wiele amunicji i nie chciał oddawać choćby jednego strzału, który nie zrobiłby krzywdy potworowi. Stojące obok niego Enigma i Lacombe tłukły krokodyla po mordzie kijami, co niestety tylko jeszcze bardziej rozsierdzało potwora.

Bestia znów zaryczała – musiałem zakryć uszy dłońmi – a potem odwróciła się i uderzyła ogonem w szczelinę, w której ukryli się moi towarzysze. Ze skalnej ściany posypał się deszcz kamieni.

Zdesperowany rozejrzałem się wokół w poszukiwaniu czegokolwiek, co pomogłoby mi obronić się przed gigantycznym jaszczurem. Oczywiście niczego takiego nie znalazłem. Nie wiedziałem nawet, jak się dostać do jamy. Mogłem co prawda wskoczyć, ale to uniemożliwiłoby mi późniejszą ucieczkę.

Bańka strzelił do krokodyla. Kula trafiła go w okolice oka, ale obrażenia nie były poważne. Potwór wydał groźny pomruk i zaatakował kryjówkę. Udało mu się zrobić otwór

tak duży, że prawie mógł wsunąć tam paszczę.

W końcu zauważyłem coś, co mogło mi się przydać. Jeden z poległych Nummów trzymał w ręku prymitywny trójzab składający się z długiego kija, na którego trzonku tkwiły zaostrome kości. Chwyciłem go i skierowałem się do jamy.

Uświadomiłem sobie, jak bardzo bezużyteczna jest moja broń. Co właściwie zamierzałem zrobić? Rzucić nią w potwora, żeby przebiła go na wylot? Nie z tej odległości, nie z moją celnością. Poza tym krokodyl miał pancerz z białych łusek. Tak naprawdę mogłem jedynie przystanąć i patrzeć, jak bóstwo Nummów pożera połowę Narodowego Korpusu Poszukiwaczy.

Krokodyl znów smagnął ogonem szczelinę. Wielki fragment skalnej ściany odpadł, a moi towarzysze byli teraz zupełnie bezbronni. Bańka zaczął strzelać na oślep. Karabin wypluł dwa naboje. Potem amunicja się skończyła.

Bestia wydała kolejny przerażający ryk.

Jestem niewolnikiem własnych impulsów, chyba zdążyłem już o tym wspomnieć przy paru okazjach. Czasem część mózgu odpowiedzialna za ocenę konsekwencji moich decyzji się zawiesza, a stery przejmuje szalona nieświadomość. Zdarza się to zwłaszcza w sytuacjach bezpośredniego zagrożenia życia.

To miało być jedno z moich największych szaleństw.

Ale podsuwany mi przez wyobraźnię obraz przyjaciół rozszarpywanych przez potwora uczynił mnie głuchym na podszepty zdrowego rozsądku. Wydałem z siebie bojowy okrzyk, chwyciłem mocniej trójzab i skoczyłem.

Bohaterstwo godne szlachetnego rycerza? Czy raczej wyczyn kamikadze? Pewnie obie rzeczy po trochu.

Wylądowałem na łbie krokodyla. Lądowanie nie było miękkie, gdyż jego skórę pokrywały twarde jak kamienie wypukłości. Zwierzę musiało poczuć ciężar, bo zostawiło w spokoju moich przyjaciół i zaczęło wymachiwać głową. Chciało się mnie pozbyć jak jakiejś natrętnej pchły. Przywarłem całym ciałem do czoła jaszczura, wiedząc, że jeśli spadnę, już po mnie. Oczywiście upuściłem trójzab. Teraz mogłem pokonać gigantycznego jaszczura tylko gołymi rękami.

Moi towarzysze z przerażeniem przyglądali się temu pokazowi absurdu bohaterstwa. Pierwsza zareagowała Enigma: podniosła z ziemi wielki kamień i rzuciła. Chciała chyba trafić krokodyla w oko, ale trafiła we mnie. Na szczęście potwór przestał przynajmniej na chwilę machać głową.

Wówczas przypomniałem sobie o dwóch ważnych rzeczach. Po pierwsze: miałem ze sobą gruby łańcuch. Po drugie: Hydra powiedziała mi kiedyś, jak unieszkodliwić krokodyla. Zamyka szczęki z bardzo wielką siłą, ale mięśnie, które je otwierają, nie są już tak mocne.

Rozwinąłem łańcuch i zacząłem nim kręcić nad głową. Musiało to przypominać jakąś scenę z surrealistycznego rodeo, w którym małe kowboje wywija nad głową metalowym lassem, siedząc na grzbiecie potwora albinosa wielkości wagonu towarowego.

Przerzuciłem łańcuch pod pyskiem gada i chwyciłem jego drugi koniec. Teraz wyglądałem, jakbym trzymał w rękach wodze. Najszybciej jak umiałem, zawiązałem na paszczy krokodyla pętlę i ścisnąłem. Ku zdumieniu wszystkich obserwujących scenę

ujarzmiania monstrum (będą ją zapewne pamiętać do końca swoich dni) działanie przyniosło pożądany skutek: łańcuch wytrzymał, a zwierzę nie mogło otworzyć pyska.

Rozwścieczony krokodyl odchylił głowę do tyłu, odsłaniając przy tym miękki brzuch. W tym momencie szybki jak strzała Bańka podniósł z ziemi trójzab i rzucił się na niego.

Nie wiem, czy Poszukiwaczowi sprzyjało szczęście, czy rzeczywiście był tak silny, jak sam utrzymywał... A może błogosławieństwo *hogona* z Benigoto, mające chronić nas przed przeklętym Zugu, okazało się potężniejsze, niż sądziłem. Tak czy siak kościany trójzab trafił w słaby punkt i zanurzył się w ciele jaszczura wraz z całą rękojęścią.

Strumień krwi trysnął z gada i ochlapał Bańkę od stóp do głów. On zamierzył się ponownie i znów przedziurawił żołądek bestii z taką siłą, że broń prawie rozpadła mu się w rękach. Krokodyl próbował otworzyć szczęki, ale łańcuch trzymał mocno. Ja tymczasem kopnąłem krokodyla z całej siły w oko, podczas gdy Bańka zadawał mu kolejne ciosy w szyję i brzuch.

W końcu spadłem na ziemię. Pode mną runął także wszechpotężny Zugu, stając się teraz potencjalnym materiałem na drogie torebki i buty. Obok cielska zebrała się kałuża lepkiej jak smoła krwi. Jego ogon zadrżał jeszcze spazmatycznie, a potem potwór znieruchomiał. Nie żył.

Enigma, Bańka i Lacombe podskoczyli do mnie. Poszukiwacz wyglądał tak, jakby właśnie wydostał się ze studni pełnej śmierdzącej gliny, w rękach nadal trzymał trójzab.

Spojrzelismy po sobie.

– Czy to coś... na pewno nie żyje? – spytała Lacombe drżącym głosem.

Przytaknąłem. Trzęsły mi się ręce i nogi, czułem się tak, jakbym miał za chwilę zemdleć.

– Faro, rzuciłeś się na wielkiego krokodyla – wymamrotała Enigma.

– Na to wygląda.

Bańka spojrział na mnie i pokręcił głową.

– Durny skurwielu – wyszeptał. Potem odłożył trójzab i mnie uściskał. Krótko, szorstko i mocno.

Pewnie doceniłbym bardziej ten czuły gest, gdyby nie to, że zaplamił mnie lepka, śmierdząca posoką krokodyla. Kiedy wypuścił mnie z objęć, podeszła Enigma, ujęła moją twarz w dłonie i pocałowała w usta. Uczucie okazało się o wiele przyjemniejsze.

– To największe wariactwo, jakie w życiu widziałam – powiedziała. – Uwielbiam cię.

Agentka Lacombe też była pod wrażeniem.

– Nie do wiary, panie Alfaro. Nie wiem, co bardziej podziwiam, pańskie szczęście czy całkowity brak instynktu samozachowawczego. Tak czy owak, mam wobec pana dług.

– Dziękuję, agentko, proszę nie zapominać o tym, kto naprawdę zabił bestię – odparłem, wskazując na Bańkę.

Ona spojrzała na Poszukiwacza, który kuczał na brzegu laguny i zmywał sobie z twarzy krew.

– Tak, to też było niezłe – przyznała.

– Wszyscy jesteście cali? – zapytałem. – Gdzie Hydra?

Enigma pobiegła do grotu, w której wcześniej się schronili. Ruszyliśmy za nią.

Hydra leżała w kacie. W dole brzucha, po prawej stronie, miała ogromną ranę, choć słowo rana nie w pełni oddaje skalę spustoszeń. Mogłem dojrzeć organy, które w żadnym

wypadku nie powinny być widoczne, co w połączeniu z ogromną ilością krwi dookoła sprawiło, że zrobiło mi się słabo. Biedna Hydra wyglądała jak pacjentka chirurga, który porzucił w połowie swoją operację.

Na szczęście straciła przytomność. W przeciwnym wypadku cierpiałaby nieznośny ból.

– Boże – wyjąkałem. – Co się stało?

– Przeklęty krokodyl – usłyszałem za plecami głos Bańki.

Miał w ręku koszulkę zwilżoną wodą. Zbliżył się do Hydry, by delikatnie oczyścić jej ranę.

– Żyje? – zapytałem.

– Tak – odparła Lacombe. – Oddycha jeszcze, ale straciła przytomność dość dawno temu i ani razu jej nie odzyskała.

– Nie sądzę, by to nastąpiło. Już nie – stwierdziła Enigma.

Bańka spojrział na nią. Miałem wrażenie, że zaraz rzuci się na Poszukiwaczkę, ale po chwili tylko spuścił wzrok.

I tak, w kompletnej ciszy, towarzyszyliśmy Hydrze w jej ostatnich minutach. Nie mogliśmy nic dla niej zrobić. Było za późno.

Nie wiem, jak każde z nas przeżywało tę śmierć. Nie wiem, czy Enigma straciła wielką przyjaciółkę, Bańka miłość swego życia, nie wiem, czy Lacombe zachowywała pełne szacunku milczenie tylko po to, by ukryć fakt, że dla niej Hydra była zwykłą nieznaną. Ja nie mogłem odpędzić od siebie myśli, że ta odważna kobieta zabiera ze sobą do grobu imię Poszukiwacza, który zdradził mojego ojca.

Czułem się tak, jakby umierała moja koleżanka z pracy, chociaż przez splot różnych okoliczności Hydra nie pracowała już w Piwnicy. Każdy poległy Poszukiwacz zasługuje na pamięć towarzyszy. Miałem nadzieję, że tak się stanie i po mojej śmierci.

Narváez powiedział mi kiedyś, że prawdziwy Poszukiwacz nie przestaje nim być, nawet kiedy umiera, wtedy bowiem wyrusza na najbardziej niezwykłą i wspaniałą ze swoich wypraw. U jej kresu czeka na niego sekret, którego nikt na świecie nie zdołał poznać. Pomyślałem o tym, spoglądając na ciało Hydry, i życzyłem jej szczęśliwej podróży. Miałem nadzieję, że wydawszy ostatnie tchnienie, znajdzie po drugiej stronie coś naprawdę pięknego. Zasłużyła sobie na to.

Kiedy śmierć przerwała jej cierpienia, jeszcze przez chwilę staliśmy nieruchomo, w milczeniu. W końcu Bańka odważył się je przerwać:

– Teraz to nie Hydrą powinniśmy się martwić. Musimy znaleźć sposób, żeby się stąd wydostać.

Enigma splótła dłonie na piersiach, jakby było jej zimno. Pokiwała w zamyśleniu głową i odrzekła:

– Masz rację. – Podeszła do Bańki i czule położyła mu rękę na ramieniu. – Co z nią zrobimy?

– Musimy ją tu zostawić... Ukryjemy ciało, żeby nie pożarły go krokodyle. Chociaż z drugiej strony może pragnęłaby właśnie takiego pogrzebu. Uwielbiała te zwierzęta. – Skrzywił się. Pochylił się nad martwą Hydrą i ucałował ją w czoło. Potem chyba wyszeptał jej coś do ucha, ale nie jestem pewien, gdyż wolałem dyskretnie odwrócić wzrok.

W końcu wstał.

– Idziemy!

Wróciliśmy na brzeg laguny, by zastanowić się, jak wyjść z jamy. Oczywiście najpierw myśleliśmy o wspinaczce, ale żaden fragment ściany nie wydał się nam odpowiedni.

W końcu Lacombe zauważyła na krańcu laguny niewielką grootę. Powietrze w tym miejscu wydawało się mniej ciężkie i wilgotne, pomyśleliśmy więc, że może warto zaryzykować i sprawdzić, czy nie prowadzi na krawędź urwiska. Nie mieliśmy wiele do stracenia: gdybyśmy znaleźli się w ślepym zaułku, zawsze mogliśmy wrócić.

– Dobrze – ocenił Bańka. – Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic przeciwko temu, żeby zbadać tę dziurę. Wszystko wydaje mi się lepsze, niż siedzieć tu i czekać, aż pojawi się kolejna przedpotopowa bestia.

– To mi przypomina... – odezwał się. – Poczekajcie chwilę, chcę odzyskać łańcuch.

– À propos, skąd go wzięłeś? – zapytała Enigma. – Jeszcze nam nie opowiedziałeś, jak się pozbyłeś Yoonaha i Ludzi Piasku. A co ze skarbem? Znalazłeś go?

Zbyt wiele pytań naraz. A ja byłem zbyt skołowany, by na nie odpowiedzieć. W tej chwili pragnąłem tylko jak najszybciej zobaczyć światło słońca.

– Mniej więcej – odparłem wymijająco. – To długa historia. Chcecie tu siedzieć i jej wysłuchać czy wolicie poszukać wyjścia?

– Bierz łańcuch i zmywamy się stąd – powiedział Bańka. – Nie mam teraz nastroju na opowieści, młody.

Wszyscy się z nim zgodziliśmy. Zabrałem to, co zostało z legendarnego skarbu Dżaudara Paszy, i wróciłem do towarzyszy. Weszliśmy do groty, mając nadzieję, że to pierwszy krok, by znaleźć się znów w bezpiecznym miejscu.

POWRÓT

Wgrocie natrafiliśmy na kręty korytarz schodzący stromo w dół. Na szczęście nie napotkaliśmy po drodze żadnego rozwidlenia, więc nie groziło nam zagubienie w labiryncie tuneli, mogliśmy tylko iść do przodu.

Zaczęliśmy mieć nadzieję, że tunel rzeczywiście zaprowadzi nas na zewnątrz. Powietrze robiło się coraz mniej duszne, a od czasu do czasu pojawiały się nawet jakieś naskalne rośliny. Chyba tym razem szczęście nam sprzyjało.

Gdy przemierzaliśmy podziemny tunel, zdałem towarzyszom skrótową relację z tego, co mnie spotkało, od chwili, kiedy Yoonah wziął mnie na muszkę i kazał towarzyszyć sobie w poszukiwaniu skarbu. Nie pominąłem żadnego szczegółu oprócz spotkania ze strażnikiem w jaskini, w której znajdował się sarkofag, i treści naszej rozmowy. Nie opowiedziałem o tym, bo sam nie wiedziałem, co myśleć o tej dziwnej konwersacji, co więcej, nie byłem pewien, czy nie była ona jedynie wytworem mojej wyobraźni.

Bąłem się, że moi towarzysze będą źli, iż nie znaleźliśmy żadnego skarbu, i przygotowałem się, by ze stoickim spokojem znieść wszelkie wyrzuty. Uznałem, że zasłużyłem na ich złość: w końcu to ja przekonałem ich do wyprawy, która zakończyła się fiaskiem.

Ku mojemu zdumieniu nie usłyszałem złego słowa. Być może czuli się równie odpowiedzialni za tę porażkę jak ja.

– Powinniśmy się domyślić, że jeśli rzeczywiście istniał jakiś skarb, został skradziony przed wiekami – powiedział Bańka z rezygnacją. – Takie rzeczy często się zdarzają.

– Poza tym nie poszło nam aż tak źle... Wciąż mamy skarb Armów. I słynny Łańcuch Proroka – dodała Enigma. – Nie jest to może zbyt cenna relikwia, ale niezastąpiona w starciu z gigantycznymi krokodylami.

Byłem jej wdzięczny za ten niewyczerpany optymizm i jeszcze raz poczułem się szczęśliwy, że mogłem odbyć tę podróż w jej towarzystwie. Miałem nadzieję, że to nie ostatni raz.

– Obawiam się, że ten łańcuch nie należy do was – powiedziała Lacombe. – Podobnie jak przedmioty ze złota. Należą do Malińczyków. I przypominam, że musicie jeszcze odpowiedzieć za kradzież *Mardudu* z Sewilli. Zwłaszcza pan, panie Alfaro.

Nie wierzyłem własnym uszom.

– Na miłość boską! Pani mówi poważnie?

Stanąła i popatrzyła na nas z oburzoną miną.

– Proszę mnie posłuchać. Nie wiem, z jakiego absurdałnego powodu ryzykowaliście życie w tych jaskiniach, ja natomiast znam swój cel: trafiłam tu, ścigając pana Alfara. Nie przeszłam przez to piekło po to, żeby wracać z pustymi rękami.

– Będzie lepiej, jeśli trochę sobie pomilczymy, dobrze? – wtrącił się Bańka. –

Najpierw się upewnijmy, że ten tunel dokądś nas zaprowadzi, a potem zaczniemy snuć plany na przyszłość.

I ruszyliśmy dalej w posępnym milczeniu. Bańka i Enigma znaleźli się kilka kroków przed nami, Lacombe wykorzystała ten moment, by zamienić ze mną kilka słów na osobności.

– Panie Alfaro... – zaczęła.

W jej tonie nie wyczułem wrogości, raczej chęć pojednania.

– Błagam, niech pani zostawi mnie w spokoju. W tej chwili nie mam ochoty na kłótnie z nikim, a już szczególnie z panią.

– Chciałam tylko powiedzieć... Zapewniam, że osobiście nie mam nic przeciwko panu.

– Cóż, przykro mi, ale odniosłem zupełnie przeciwne wrażenie.

– A pan musi zrozumieć, że pragnę tylko wypełniać swoje obowiązki. Nie... nie chcę, by pan myślał, że nie doceniam tego, co pan dla mnie zrobił... dla nas wszystkich, tam, w tej jamie. I przyznaję, że pański talent do znajdowania zaginionych dzieł sztuki bardzo mi imponuje. Ale ja też mam swoją misję i muszę ją doprowadzić do końca.

Choć sporo mnie to kosztowało, w głębi duszy musiałem przyznać, że dobrze ją rozumiem. Oboje byliśmy równie wytrwali i oddani swojej pracy.

– Wcześniej powiedziała pani, że ma wobec mnie dług – odparłem. – Niech go pani spłaci, zostawiając mnie w spokoju. Mnie i moich przyjaciół.

– Chciałabym to zrobić, naprawdę, ale to niczego nie zmieni. Pozostanie pan nadal na celowniku Interpolu. Jeśli ja pana nie zatrzymam, zrobi to ktoś inny, różnica jest taka, że ja spróbuję ułatwić panu życie. Więc tak naprawdę wyświadczę panu przysługę.

– Jestem na celowniku Interpolu tylko i wyłącznie przez pani upór. Jeśli rzeczywiście chce pani ułatwić mi życie, niech pani odwoła ten cholerny czerwony alert.

Lacombe spojrzała na mnie smutno.

– Gdyby to było takie proste. Ale moja etyka...

– Niech pani idzie do diabła z tą całą etyką – uciałem. – I proszę się pożegnać z pomysłem, że mnie pani aresztuje. Przypominam, że na razie mamy przewagę liczebną.

Oddaliłem się od niej, by dołączyć do Bańki i Enigmy. Pozostałą część drogi agentka szła kilka kroków za nami.

Moje podejrzenia, że tunel zaprowadzi nas do podnóża urwiska, okazały się słuszne. Przez wąski otwór, częściowo przysłonięty korzeniami, przesączały się promienie słońca. Dotarliśmy do wyjścia.

Kiedy wyrwaliśmy korzenie i wydostaliśmy się na zewnątrz, na chwilę oślepiło mnie światło. Poczułem, jak ciepło dnia łaskocze moją skórę i twarz. Przymknąłem oczy, by rozkoszować się tym cudownym doznaniem. Zacząłem sądzić, że najgorsze już za nami.

Kiedy uniosłem powieki, ujrzałem dwóch mężczyzn mierzących do nas z karabinów.

Nie przejąłem się zbytnio. Odkąd wyruszyliśmy w tę podróż, zdarzało się to ciągle.

Od razu zauważyłem, że nie są to Ludzie Piasku. Celowało do nas dwóch młodych mężczyzn w wojskowych ciuchach, które jednak nie były mundurami. Jeden miał na sobie spodnie w zieloną panterkę i szarą, rozpiętą na piersi koszulkę, drugi podobne spodnie w kolorze musztardy i koszulkę z emblematem igrzysk olimpijskich w Nagano. Jego stroju

dopełniał niebieski берет.

Wyglądali na bardzo młodych, chyba nie skończyli jeszcze dwudziestu lat. Ten w zielonych spodniach miał na piersiach tatuaż, który już widywałem: prostą figurkę przypominającą ludzika.

Moi towarzysze podnieśli ręce. Uczyniłem to samo, chociaż bardzo niechętnie, byłem zbyt zmęczony na odgrywanie kolejnego teatryku.

– I co teraz? – zapytałem tego z tatuażem.

Odpowiedział mi pytaniem. Z trudem porozumiewał się po francusku.

– Wy Poszukiwacze?

– Co?

– Poszukiwacze czy Ludzie Piasku? Odpowiedz!

– Poszukiwacze, Poszukiwacze. I możesz opuścić broń. Nie będziemy stawiać oporu.

– Wy chodźcie. Mansa was chce.

– Kto to, u licha, jest Mansa?

– Wy chodźcie!

– Dobrze, ale proszę się nie złościć. Spokój. Wszyscy zachowajmy spokój.

Dwóch chłopców poprowadziło nas na pobliskie wzgórze. Zobaczyłem większą grupę uzbrojonych mężczyzn, wszyscy w równie chaotycznych strojach i w podobnym wieku. Wyglądaliby na zwykłą grupę chłopaków na pikniku, gdyby nie dwa szczegóły: broń palna i noże, w które byli uzbrojeni, oraz leżące na ziemi trupy.

Mundury pozwoliły mi od razu zidentyfikować poległych: wszyscy byli ubrani jak Ludzie Piasku. Podejrzywałem, że to ci sami, którzy napadli na Ogol z doktorem Yoonahem, a potem mieli pełnić straż u podnóża urwiska. Cóż, najwidoczniej nie okazali się najlepszymi wartownikami.

Młodzieniec w berecie kazał nam stanąć.

– Wy czekać.

Poszedł za kępę krzaków i po chwili wyłonił się zza niej w towarzystwie innego mężczyzny. Chociaż miał słoneczne okulary, rozpoznałem go od razu.

Był to César.

Nie zdziwił mnie specjalnie jego widok. Od dłuższego czasu miałem pewność, że ten chłopak coś ukrywa, nie wiedziałem tylko co.

César i ten w berecie zamienili kilka słów w nieznanym mi języku. Potem nasz dawny wspólnik kazał wszystkim opuścić broń i podszedł do nas. Najpierw odezwał się do Lacombe:

– Znam panią. Jest pani agentką Interpolu z Koulikoro, prawda?

– W rzeczy samej. I ostrzegam, że jeśli zamierza nas pan porwać, ściągnie na siebie problemy...

Nie dał jej dokończyć. Wydał jakiś rozkaz temu w berecie i chłopak zabrał Lacombe poza zasięg naszego wzroku. Musiał mu pomóc kolega, gdyż nieustraszona agentka stawiała opór godny rozsierdzonej Francuzki.

– Co z nią zrobicie? – zapytał zmartwiony Bańka.

– Włos nie spadnie jej z głowy. Chcę tylko porozmawiać na osobności. – César przyjrzał się uważnie Bańce. – Widzę, że ocalałeś. Bardzo się z tego cieszę.

– Tak. Ty też – odparł Poszukiwacz. – Ale nie wiem, czy powinienem się z tego cieszyć. César uśmiechnął się ironicznie.

– Nawet mi nie podziękujesz, Poszukiwaczu?

– A niby za co?

– Tam w Kolodugu uratowałem ci życie. To ja wyciągnąłem cię rannego i nieprzytomnego spod kupy ziemi i ukryłem przed Ludźmi Piasku. Opatrzyłem ci ranę na plecach. Gdyby nie ja, wykrwawiłbyś się na śmierć. Przez ciebie straciłem czujność i złapał mnie ten skurwiol Yoonah.

Bańka mierzył się z nim na spojrzenia.

– W takim razie rzeczywiście należą ci się podziękowania.

– Nie dziw się, że nie jest bardziej wylewny – wtrąciłem. – Yoonah powiedział nam, że to ty mu przekazałeś, jak dotrzeć do Ogotu.

– To prawda. Ludzie Piasku potrafią być bardzo uparci, kiedy chcą się czegoś dowiedzieć. Może ty świetnie znosisz tortury, ale ja jestem tylko zwykłym śmiertelnikiem – odpowiedział złośliwie.

Kiedy zdjął słoneczne okulary, zobaczyliśmy, że jedno oko ma przeraźliwie opuchnięte, a skóra naokoło mieniła się rozmaitymi odcieniami żółci i fioletu. Miał też złamany nos. Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, wyglądał znacznie lepiej.

– Bili cię?

– Trochę. Mogę cię tylko zapewnić, że nie zostałem kolaborantem z własnej woli. – Na ustach Cesara pojawił się pogardliwy uśmiech. – Nigdy mi nie ufałeś, prawda, Poszukiwaczu?

– Nigdy nie dostarczyłeś mi zbyt wielu powodów, żebym ci zaufał... Manso, czy jakkolwiek masz na imię – odparłem. – To twoje prawdziwe imię czy kolejna zasłona dymna?

– Nazywam się Daud Muhammad Gao, z rodu Askia, z królewskiej dynastii władców imperium Songhaju. Moi ludzie mówią do mnie Mansa.

Zaintrygowany uniosłem brew. To wyznanie wydało mi się naprawdę oryginalne.

– Co to dokładnie znaczy? Jesteś jakimś księciem?

– Mógłbym nim być, gdybym przyszedł na świat pięć wieków wcześniej. Jestem ostatnim potomkiem cesarza Iszaka II, pokonanego przez Dżaudara Paszę pod Tondibi. Ale nie martw się, Poszukiwaczu, nie będę się od ciebie domagał hołdów.

– Cieszę się, mam kolana w strasznym stanie.

Nie bardzo potrafiłem potraktować jego słowa poważnie. Czuję się wycieńczony walką z gigantycznym krokodylem i potrzebowałem dłuższej chwili, by pogodzić się z myślą, że ten włamywacz, którego poznałem w Madrycie, był potomkiem królewskiego rodu.

– Nasuwa mi się pytanie: jesteśmy twoimi gośćmi czy jeńcami? Pytam, bo mam wrażenie, że niektórzy członkowie twojego dworu spoglądają na nas tak, jakby też nie byli tego pewni.

– Uważasz, że wyglądają na dworzan?

– Tak samo jak ty na księcia.

– Zawsze uważałem, że masz dobre oko. Nie jesteśmy żadnym dworem, raczej

bractwem, a może nawet partią. Niektórzy sądzą, że Mali znów stałoby się szczęśliwym krajem, gdyby miało króla. Symbol, który połączyłby Tuaregów, ludy Songhajów, Armów, Bambarów... tak jak przed wiekami. Kiedy wybuchła wojna, pomyśleliśmy, że to dobra okazja, by osiągnąć nasz cel. Uważasz, że to szaleństwo?

Wzruszyłem ramionami.

– Dlaczego? Jeśli czegoś nauczyłem się w Mali, to tego, że każda uzbrojona grupa może wystąpić w imię jakichkolwiek haseł. Restauracja monarchii nie wydaje mi się gorszym pomysłem niż domaganie się teokratycznego państwa opartego na prawie koranicznym. Poza tym to naprawdę nie moja sprawa.

– Myślmy podobnie, Poszukiwaczu. Jesteś mądrym człowiekiem.

– Dziękuję. Chciałbym dowiedzieć się jednego. Dlaczego pomogłeś tym z Voynicha w kradzieży Mardudu, a potem postanowiłeś współpracować z nami? Czy staliśmy się częścią jakiejś intrygi mającej doprowadzić do twojej koronacji?

César roześmiał się głośno.

– Nie mam zamiaru się koronować, przynajmniej nie w tej chwili.

Na razie chodzi nam o to, by ludzie poznali i szanowali nasz ruch, a to niełatwe zadanie. Wiesz, ilu Malijczyków twierdzi, że pochodzi z królewskich rodów? Setki. Na razie nie dysponuję niczym, co odróżniałoby mnie od pozostałych pretendentów do tronu, prócz garstki rozproszonych fanów. Nawet oni specjalnie we mnie nie wierzą, są po prostu oddani sprawie. Potrzebuję czegoś, jakiegoś symbolu, który uczyniłby mnie wyjątkowym kandydatem zdolnym połączyć wszystkie ludy Mali we wspólnym pragnieniu przywrócenia monarchii.

– Rozumiem, nie musisz mówić dalej. Chodzi ci o Łańcuch Proroka, skarb, który dawni cesarze uznawali za swoje dziedzictwo.

– Właśnie. Gdyby udało mi się wejść w posiadanie Łańcucha, być może poprawiłoby to naszą sytuację. Wszystkie narody Mali mają wielki szacunek dla tradycji, a Łańcuch Proroka jest jednym z naszych najważniejszych zabytków. W przeszłości cesarze uważali, że samo posiadanie Łańcucha legitymizuje ich władzę.

– Dlatego postanowiłeś go odnaleźć – domyśliłem się.

César pokiwał głową.

– Usłyszeliśmy o *Mardudzie* i o tym, że w księdze są wskazówki, jak dotrzeć do Łańcucha. Wiedziałem, że księga jest w Hiszpanii, ale nie mogłem ukraść jej sam. W końcu udało mi się znaleźć ludzi, którzy chcieli tego samego co ja.

– Ludzi z Voynicha.

– Tak. Zaproponowali, że razem ukradniemy *Mardud*. Miałem zamiar skorzystać z ich pomocy, a potem zniknąć z księgą, ale mnie przechytrzyli. Potem spotkałem was. Ci z Voynicha opowiadali mi bardzo dużo o Korpusie Poszukiwaczy. Śledzą wasze działania z uwagą, boją się was i darzą wielkim szacunkiem. Nie wiem, dlaczego tak żywo się wami interesują, nigdy mi tego nie powiedzieli.

– Dlaczego Voynich chciał znaleźć Łańcuch Proroka?

– Nie mam pojęcia. Zresztą wszystko mi jedno. To wielki skarb, każdy chce znaleźć wielki skarb. Chociaż miałem wrażenie, że plany Voynicha sięgają o wiele dalej, nie chodziło im o sam Łańcuch. To tylko intuicja, której nikt mi nie potwierdził. Dla nich

byłem zwykłym włamywaczem. Mieli swoje plany, ja miałem swoje.

– Ale nic z tego nie wyszło.

– Tak. Na szczęście znalazłem ciebie, Poszukiwaczu. Przyznaję, na początku chciałem was wykorzystać, żeby móc zajrzeć do księgi, tak samo jak ludzi z Voynicha. Ale przeliczyłem się, myślałem, że wskazówki z *Mardudu* okażą się bardziej jednoznaczne. Szybko się domyśliłem, że sam nie zdołam znaleźć Łańcucha. Postanowiłem więc zainteresować cię tym skarbem. No i chyba mi się udało.

– Nie jest to zbyt wielkie osiągnięcie – powiedział złośliwie Bańka. – Faro i opowieści o legendarnych skarbach... To tak jakbyś pomachał psu przed nosem kawałem mięsa. Oczywiście, że za tobą pójdzie.

– W zasadzie zainteresowałeś nas wszystkich – wtrąciła Enigma.

Byłem jej wdzięczny za ten komentarz.

– A na czym dokładnie polegał twój plan? – zapytałem. – Chciałeś iść z nami do końca, a potem zabrać Łańcuch?

– Nie do końca – przyznał cynicznie nasz były wspólnik. – Do momentu, kiedy uznałbym, że dalej poradzę sobie sam. Myślałem, że wszystko pójdzie o wiele łatwiej, ale... No cóż, lubicie utrudniać sobie życie. Nigdy nie sądziłem, że już na początku podróży porwą nas piraci.

Wzmianka o piratach sprawiła, że coś sobie przypomniałem.

– Jeden z nich miał wytatuowany symbol. Taki sam jak ty i niektórzy twoi ludzie. On też był częścią waszego ruchu?

– Ten znak symbolizuje pakt, jaki podpisujemy, by działać dla naszej sprawy – wyjaśnił César. – Pamiętam tego pirata, tak, też bardzo mnie zaskoczył. Nasz ruch jest liczny, ale rozproszony. Ten człowiek musiał do niego należeć, a potem zapewne odszedł. Podejrzewam, że niestety nie był jedyny. Ja tylko powiedziałem mu to w twarz, mieliśmy szczęście, że tak bardzo się zdenerwował.

– Jesteś mistrzem w sztuce oszustwa, Cesarze. Mogłem się domyślić, że chcesz zrobić karierę w polityce – powiedziałem kąśliwym tonem. – Tak z czystej ciekawości, kiedy miałeś zamiar nas opuścić?

– Skoro pytasz, powiem ci, że w Mieście Umarłych, kiedy dowiedzieliście się o Ogołu. Chciałem wam towarzyszyć aż do Mopti, tam spotkać się z moimi ludźmi i ruszyć na własną rękę do Bandiagary. Nie przewidziałem jednak ataku Ludzi Piasku ani tego, że porwie mnie Yoonah. Udało mi się w końcu wymknąć, ale on wyciągnął ze mnie wszystkie niezbędne informacje. Kiedy uciekłem najemnikom, zebrałem grupkę swoich ludzi i natychmiast przybyliśmy tutaj. Nie chciałem, żeby Yoonah zabrał skarb. Bałem się też, że jeśli spotka się z wami, zrobi wam coś złego. Nigdy nie wątpiłem, że tu dotrzesz, Poszukiwaczu. – César spojrział mi prosto w oczy. Zrobił się nagle bardzo poważny. – Możesz mi wierzyć lub nie, ale prawda jest taka, że nigdy nie życzyłem źle Poszukiwaczom. W chwilach niebezpieczeństwa traktowaliście mnie jak towarzysza, poza tym nigdy nie rozwikłałbym zagadek *Mardudu* bez waszej pomocy. Mam honorowy dług wobec Korpusu, a dla mnie to bardzo ważna sprawa.

César podał mi rękę. Pomyślałem, że bez jego pomocy nie osiągnęlibyśmy zbyt wiele. Był to sojusz interesowny, ale korzystny dla obu stron.

Odkąd zostałem Poszukiwaczem, narobiłem sobie wielu wrogów. Nie potrzebowałem kolejnego, uściśnałem więc dłoń Cesara.

– Zatem puścisz nas wolno? – spytałem.

– Nigdy nie miałem innego zamiaru.

César poprosił, żebyśmy poszli za nim. Dwóch mężczyzn wróciło z Lacombe. Potem malownicza grupka malijskich monarchistów sprowadziła nas na płaskowyż.

Tam pokazali nam kilka dziupów ukrytych pod gałęziami akacji. Pilnowali ich wartownicy. Wielu miało w widocznych miejscach wytatuowany symbol paktu.

– Mój człowiek zawiezie was do Mopti. Tam powinniście już dać sobie radę.

Nie spodziewałem się podobnego gestu z jego strony. Ponownie uściśnałem mu dłoń.

– Dziękuję, Cesarze. Cieszę się, że wreszcie możemy pożegnać się jak ludzie.

– Jeszcze nie, Poszukiwaczu. Jest jeszcze jedna sprawa.

Wiedziałem, o czym mówi, zdziwiłem się nawet, że nie wspomniał o tym wcześniej.

– Tak. Rozumiem. Chodzi o skarb?

César pokiwał głową.

– Znalazłeś go?

Pokazałem mu łańcuch.

– To wszystko, co znalazłem. Jeśli w jaskini jest jakiś inny skarb, pozostał ukryty dla naszych oczu.

– W takim razie go nie ma – stwierdził César. Potem zapytał: – Mogę zobaczyć ten łańcuch?

Dałem mu go. Nasz były współnik przyjrzał mu się uważnie, ale na jego twarzy jak zwykle nie odmalowały się żadne emocje.

– To jest Łańcuch Proroka?

– To łańcuch, którym było owinięte ciało domniemanego proroka. Nie wiem, czy to ta sama relikwia, o której mówi legenda.

César spojrzał mi w oczy.

– Myślałeś już, co z nim zrobisz?

Tak, myślałem. Dokładnie w chwili, gdy zobaczyłem łańcuch w dłoniach tego włamywacza, który zamienił się w księcia. Była to jedyna logiczna decyzja.

– Weź go sobie.

Pokiwał głową, nie okazując zaskoczenia, jakby właśnie takiej odpowiedzi oczekiwał.

– Jesteś tego pewien, Faro? – zapytała Enigma.

– Tak. – No bo co, u licha, mielibyśmy zrobić z tym łańcuchem? Wystawić jako eksponat w Muzeum Archeologicznym, żeby zwiedzający, którzy nic o nim nie wiedzą, obrzucili go szybkim spojrzeniem w drodze do innych, słynniejszych i bardziej błyszczących dzieł sztuki? Ten chłopak przynajmniej wie, co z nim zrobić.

Enigma nie dyskutowała ze mną. Bańka tylko wzruszył ramionami, jakby chciał dać do zrozumienia, że pozostawia tę decyzję mnie.

– Dziękuję, Poszukiwaczu. Podjąłeś słuszną decyzję.

– Jak już mówiłem, nie jesteśmy rabusiami. W zamian poproszę cię o przysługę.

– Słucham.

– Chcę, żebyś poszedł do wioski Benigoto i znalazł jej hogona. Pokaż mu łańcuch

i powiedz, że to właśnie znalazłem w Nieprzemijalnej Oazie. On będzie wiedział, o co chodzi.

– Zrobię to, o co mnie prosisz – zapewnił. – A co ze skarbem Armów?

– Też go chcesz?

César zamyślił się na chwilę.

– Nie, chyba nie – powiedział w końcu. – Jest tak stary, że już nikt nie pamięta, do kogo powinien należeć. Ale na pewno nie do mnie. Ty dowiedziałeś się o jego istnieniu, ty go znalazłeś, myślę, że powinieneś go dostać w nagrodę za swój wysiłek.

W tym momencie poczułem się jak dworzanin, który otrzymuje nagrodę od szczodrego króla. Dziwne uczucie. Wątpiłem szczerze w to, że César zasiądzie kiedykolwiek na efemerycznym malijskim tronie, ale muszę przyznać, że prezencję miał odpowiednią. Uznałem nawet za całkiem prawdopodobne, że w jego żyłach płynie krew władców z dynastii Askia.

– Dziękuję, Cesarze... Manso, jak wolisz.

Wsiedliśmy do samochodu. Niewiele już pozostało nam do powiedzenia, ale uznałem, że warto przypieczętować to pożegnanie jakąś formułką.

– No cóż. Żegnaj, pewnie na zawsze. Powodzenia!

– Dziękuję, Poszukiwaczu. Życzę wam szczęścia. I kto wie, może się jeszcze kiedyś spotkamy.

– Tak, może na twojej koronacji. Mam nadzieję, że nie omieszkasz nas zaprosić – powiedziała Enigma.

César się uśmiechnął.

Jeden z mężczyzn z jego grupy usiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk w stacyjce. Samochód ruszył płaskowyzem. Spojrzałem za siebie, zobaczyłem urwiska i przyglądającego się nam Cesara. Miał królewski łańcuch przewieszony przez ramię niczym szarfę.

Pomyślałem o rozmaitych obliczach Mali. I o tym, że na świecie nie zostało chyba zbyt wiele podobnych miejsc, gdzie żyliby wojownicy, szamani, wykładowcy akademicki, rybacy i pretendenci do dawno zapomnianych tronów. Kraj soli, złota i słowa Bożego.

Poczułem, że Mali opowiedziało mi świetną historię, ale jego imperialne miasta, urwiste zbocza gór i zawikłane meandry niekończącej się rzeki kryły inne opowieści. Być może jeszcze ciekawsze.

Zgodnie z obietnicą Cesara jego człowiek zawiózł nas do Mopti. Stamtąd mieliśmy wyruszyć w drogę do domu.

Wysiedliśmy wszyscy w porcie: Enigma, Bańka, Lacombe i ja. Samochód odjechał, a my jeszcze długo staliśmy, patrząc na siebie w milczeniu. Sytuacja nie była zbyt komfortowa.

W końcu Lacombe odchrząknęła i powiedziała:

– No dobrze. I co teraz?

– Teraz powinniśmy się pożegnać, agentko – odparłem. – Czy ma pani jakieś inne plany? Na twarzy Lacombe pojawił się gorzki uśmiech.

– Odkąd po raz pierwszy nasze drogi się skrzyżowały, nic nie toczy się tak, jak sobie zaplanowałam – powiedziała. – Rozumiem, że nie uda mi się przekonać pana, żeby

dobrowolnie oddał się w ręce policji.

– Nie liczyłabym na to, złotko – odpowiedziała za mnie Enigma.

Lacombe westchnęła głęboko. Zrozumiałem, że pogodziła się z porażką.

– Tak naprawdę nie wiem, co o was myśleć. – Pokręciła głową. – Nie wiem, kim jesteście, i nie jestem pewna, czy naprawdę chcę to wiedzieć. Ale jestem kobietą pragmatyczną. Nie lubię przegrywać, kiedy się tak jednak zdarzy, po prostu przyjmuję to do wiadomości. Odkąd pana ścigam, panie Alfaro, zostałam porwana przez plemię dzikich Pigmejów, wrzucona przez najemników do jamy pełnej krokodyli, a w końcu zaatakowana przez stworzenie, którego nigdy nie spodziewałabym się ujrzyć w innym miejscu niż w kinie... A najgorsze jest to, że wcale nie jestem bliższa ujęcia pana niż na samym początku. – Lacombe znów pokręciła głową. – Na pewno będę o wiele szczęśliwsza, jeśli o panu zapomnę. Wolę nie myśleć, w co się wpakuję, jeśli nadal będę pana ścigać. Mam już dość. Wygraliście.

– Brawo, Julianne – podsumował Bańka z entuzjazmem. – To najrozsądniejsza rzecz, jaką usłyszałem z pani ust.

Ja jednak wolałem pohamować radość.

– A co z czerwonym alertem?

– Wciągnęłam pana do bazy, bo byłam przekonana, że jest pan niebezpiecznym przestępcą. To, co ostatnio widziałam, każe mi przypuszczać, że nie miałam racji. Chyba się z tym pospieszyłam.

– Odwoła go pani?

– Chwileczkę, panie Alfaro, to nie jest takie proste. Jeśli naprawdę mam to zrobić, musi mi pan udowodnić, że nie jest kryminalistą. Potrzebuję pańskiej współpracy.

– Na czym miałyby ona polegać?

Wskazała torbę na moim ramieniu.

– Tam w środku jest złoty ster, skradziony z francuskiego muzeum. Jeśli mi pan go odda, francuska policja nie będzie już miała powodu, by pana ścigać, a Interpol odwoła czerwony alert.

Transakcja wydała mi się uczciwa. Wyjąłem ster marszałka Gallieniego i podałem go agentce. Lacombe nie wydawała się jednak usatysfakcjonowana.

– A co z pozostałymi dziełami sztuki?

– Nie zostały skradzione z francuskiego muzeum.

– Ale nie należą do pana. Znalazł je pan tu, w Mali, są więc częścią lokalnego dziedzictwa kulturowego.

– To dość dyskusyjna kwestia. – Upierałem się przy swoim. Czaszka i Cegła były jedynymi zdobyczami z tej wyprawy, które mógłbym zawieźć do Muzeum Archeologicznego w Madrycie i tym samym sprawić, że misja nie będzie kompletną klapą.

– Faro, możemy zamienić słowo na osobności? – zapytała Enigma. Za zgodą Lacombe oddaliliśmy się, żeby porozmawiać. – Uważam, że powinienesz je zwrócić.

– Co? Nie ma mowy! To ja je znalazłem.

Spojrzała na mnie surowo.

– Odpowiedz mi na jedno pytanie: na czym polega misja Kawalera Poszukiwacza?

– Na odzyskiwaniu hiszpańskich dzieł sztuki, które zostały nam skradzione, a nie można

ich odebrać zgodnie z prawem – odburknąłem niechętnie. – Ale...

Uniosła palec wskazujący do ust.

– No właśnie. Nie zapominaj o tym. Przywozimy do domu dzieła sztuki, które należą do nas. Ani Czaszka, ani Cegła nie powinny trafić gdzieś, gdzie nigdy wcześniej ich nie było. Jeśli je zabierzesz, będzie to zwykła kradzież. A my nie jesteśmy rabusiami. Sam tłumaczyłeś to Cesarowi.

– A on powiedział, że mogę je wziąć.

Byłem jednak świadom, że słowa pretendenta do tronu Mali nie były wystarczającą podstawą prawną. Enigma oczywiście też.

– No więc wzięłeś. Proponuję ci, żebyś zrobił z nich teraz użytek: oddaj je Lacombe i niech odwoła ten cholerny czerwony alert.

– Ale wtedy wrócimy z pustymi rękami.

Twarz Enigmy złagodniała.

– Nie zgadzam się z tobą, słonko. Poza tym sam mi kiedyś powiedziałeś, że nie jest to dla ciebie takie ważne.

– Nie mogę ich oddać, Enigmo. Jeśli to zrobię, cała nasza misja okaże się fiaskiem.

Uśmiechnęła się i pogłaskała mnie po policzku.

– Bańka ma rację. Czasami wciąż zachowujesz się jak nowicjusz – powiedziała. – Nie zawsze wracamy do domu z nagrodą. Porażka też jest częścią pracy Poszukiwacza. Po tym wszystkim, co zrobiłeś, nikt nie ma do ciebie pretensji. Ale jeśli teraz zmarnujesz okazję, żeby załatwić swoje sprawy z Interpolem, owszem, będzie to tylko i wyłącznie twoja wina.

Enigma potrafiła przekonać mnie jak nikt inny na świecie. Tym razem stało się tak samo. Niechętnie wróciłem do Lacombe i wręczyłem jej torbę ze skarbami, wyjąwszy z niej własne rzeczy.

– Dziękuję, panie Alfaro. Podjął pan najrozsądniejszą z możliwych decyzji.

– Tak. Mam nadzieję, że pani również dotrzyma umowy.

Podniosła dumnie głowę.

– Oczywiście, za kogo pan mnie ma? Gwarantuję, że w ciągu dwudziestu czterech godzin w archiwach Interpolu nie zostanie po panu ślad. – Lacombe przewiesiła torbę przez ramię i wyciągnęła do mnie rękę. – Jesteśmy kwita.

Uścisnąłem jej dłoń bez entuzjazmu. Potem agentka pożegnała się z moimi towarzyszami i zniknęła w tłumie.

Enigma westchnęła.

– Wiecie co? Może i jest trochę specyficzna, ale jakoś ją polubiłam.

– Jest jak pryszcz na dupie – mruknął Bańka. – Mam nadzieję, że już nigdy jej nie spotkam.

– Wciąż nie wierzę, że tyle przeszliśmy po to, żeby wrócić z pustymi rękami – powiedziałem. Nie mogłem pogodzić się z utratą złotej Cegły i Czaszki.

Bańka poklepał mnie po plecach.

– Rozchmurz się, młody. Przypomnij sobie, jak to wszystko się zaczęło. Od tej cholernej księgi. Cały czas ją mamy. I nikt nam tego sukcesu nie odbierze.

Miał rację.

Enigma zasugerowała, żebyśmy skontaktowali się z Danny. Powinniśmy opowiedzieć jej

o naszej przygodzie, poza tym potrzebowaliśmy pieniędzy na podróż powrotną do Madrytu.

Znaleźliśmy kawiarenkę internetową, z której można było wykonać tani telefon do Hiszpanii. Bańka miał zadzwonić do Danny, podczas gdy Enigma i ja wyruszyliśmy na poszukiwanie noclegu. Wszyscy troje potrzebowaliśmy solidnego odpoczynku.

Kiedy kilka godzin później znów spotkaliśmy się z Bańką, z jego twarzy wyczytaliśmy, że ma nam do przekazania złe wieści. Dowiedzieliśmy się, że podczas gdy my przeżywaliśmy nasze przygody w Mali, w Hiszpanii też wydarzyło się wiele złego. Przede wszystkim zamordowano Skrzydłowego, a Yokai zniknął. Jakby tego było mało, Alzaga dowiedział się o naszej wyprawie do Afryki i, jak nietrudno się domyślić, wpadł w furię.

Powrót do domu zapowiadał się co najmniej ciekawie.

Winę ponosili bliźniacy. Kiedy Alzaga przyparł ich do muru, Alfa i Omega wyśpiewali wszystko jak z nut. Na ich obronę muszę powiedzieć, że nigdy nie wyznaliśmy im, iż zaplanowaliśmy misję w Mali za plecami szefa, więc można uznać, że wsypali nas niechęć.

Kolejny problem wiązał się ze Skrzydłowym. Danny miała powody, by przypuszczać, że za jego śmiercią stał ktoś z Voynicha. Poszukiwaczka przyznała bratu, że nie wiedziała, do kogo się z tym zwrócić, więc poprosiła o pomoc Yokaiego. Od tamtej pory kontakt z chłopakiem się urwał, chociaż próbowała go znaleźć i bardzo się bała o jego życie.

W Madrycie czekało więc na nas wiele kłopotów, a jednak pragnęliśmy jak najprędzej opuścić Mali. Ale musieliśmy poczekać na to jeszcze dwa dni.

Naszym środkiem transportu stał się samolot handlowy lecący z Bamako do Madrytu, z międzylądowaniem w Paryżu. Agentka Lacombe dotrzymała słowa i bez przeszkód dostałem się na pokład, kiedy sprawdzano mój paszport, nie włączył się żaden alarm, a straż graniczna nie aresztowała mnie, kiedy wylądowaliśmy w Paryżu. Zdążyłem już zapomnieć, jak wygodnie się podróżuje, nie będąc poszukiwanym przez policję.

Podczas długiej podróży dużo rozmyślałem o naszej przygodzie. Rzeczywiście, musiałem przyznać rację Enigmie, która uważała, że misja w Mali nie była całkowitym fiaskiem. Przynajmniej dla mnie.

W Mali dowiedziałem się dwóch ważnych rzeczy. Po pierwsze, że eksponat znajdujący się w Muzeum Archeologicznym w Madrycie, który dotąd uważaliśmy za Stół Króla Salomona, może być tylko repliką autentycznego ołtarza. To podejrzenie rodziło oczywiście bardzo wiele pytań. Jeśli to nie była prawdziwa relikwia, to gdzie znajdował się autentyk? Czy kiedykolwiek istniał? Czy wizygoccy władcy wiedzieli, że ich relikwia jest fałszywa? Sądziłem, że raczej nie. Z drugiej strony, odkąd znalazłem stół w podziemnych korytarzach pod Toledo, jeden szczegół nie dawał mi spokoju. Jego skromne rozmiary nie zgadzały się absolutnie z opisami, jakich doczekał się w tekstach świętego Izydora. Znalezione przeze mnie przedmiot nie był ani wielki, ani szczególnie bogato zdobiony. Czy istniała możliwość, że to, co królowie wizygoccy przechowywali w Jaskiniach Heraklesa, nie było stołem, który znalazłem? A jeśli tak, czy był to ten sam Ołtarz Imienia nad Imionami, który zniknął z Nieprzemijalnej Oazy? Taka ewentualność wydawała się niepokojąca, lecz wcale nie tak absurdalna, jak mogło się na pierwszy rzut oka wydawać.

Rozmyślałem nad wszystkim samotnie, gdyż Enigma i Bańka nie mieli pojęcia o moim tajemniczym spotkaniu przy grobie w Nieprzemijalnej Oazie. Na razie chciałem zachować je w sekrecie.

Drugie odkrycie, którego dokonałem w Mali, miało charakter osobisty i okazało się dla mnie o wiele ważniejsze niż pierwsze. Dowiedziałem się, że mój ojciec był Poszukiwaczem i zginął zdradzony przez towarzysza na misji w Ameryce Południowej. Nie znałem więcej szczegółów poza pseudonimem, którego używał – Piorun. Tuż po powrocie zamierzałem odnaleźć ślad jego działalności w archiwach Korpusu. Nie mogłem się już doczekać chwili, gdy będę mógł to zrobić.

Podczas postoju w Paryżu dotarła do mnie kolejna nieprzyjemna wiadomość. Kupiłem amerykańską gazetę, w której na środkowych stronach zobaczyłem niepokojący nagłówek: Słynny matematyk ocalony w Mali. Krótka notka informowała, że oddział francuskich żołnierzy odnalazł doktora Davida Yoonaha z Kalifornijskiego Instytutu Technologicznego w jednej z jaskiń Bandiagary. Doktor, tłumacz, uległ wypadkowi podczas wyprawy do jaskini, doznał dość ciężkich obrażeń i został przewieziony do szpitala, ale jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo.

Przekląłem pod nosem, myśląc o niewielkiej skuteczności pradawnych malijskich pułapek. Miałem nadzieję, że już nigdy nie napotkam na swej drodze błękitnookiego Azjaty, gdyż spotkanie to nie odbyłoby się w przyjacielskiej atmosferze. Niestety intuicja podpowiadała mi, że Yoonah będzie chciał wyrównać ze mną rachunki.

Wreszcie wylądowaliśmy w Madrycie. Zgodnie z umową Danny przyjechała po nas na lotnisko. Chciałem porozmawiać z nią w cztery oczy, więc kiedy powiedziała, że idzie po samochód, zostawiłem Bańkę i Enigmę przy wejściu do hali przylotów i postanowiłem jej towarzyszyć.

– Alzaga jest wściekły – powiedziała. – Zwłaszcza na ciebie, Faro. Uważa, że cała ta wyprawa to twój pomysł.

– Dlaczego tak sądzi?

– Nie wiem, ale lepiej przygotuj się na długie kazanie.

– Miejmy nadzieję, że na tym się skończy.

Kiedy dotarliśmy do samochodu, przyjrzała mi się uważnie.

– Świetnie wyglądasz, Tirso. Najwyraźniej służy ci afrykańskie słońce. I jesteś jakby... spokojniejszy. I – przekreśliła głowę jak ptak – przystojniejszy?

Odważyłem się na coś, o czym marzyłem od dłuższego czasu. Podeszedłem do Danny i ją pocałowałem. Szybki pocałunek. Nie chciałem być namiętny, raczej sprawdzić, jak zareaguje.

Kiedy się odsunąłem, uśmiechnęła się lekko.

– Wskakuj do samochodu! – powiedziała. – Widzę, że zrobiłeś się wylewny.

Usiadłem obok niej na przednim siedzeniu.

– Za bardzo?

– Nie. W sam raz.

Potem przekreśliła kluczyk w stacyjce i ruszyliśmy po naszych towarzyszy. Rozwieźliśmy ich do domów, w końcu zostaliśmy tylko Danny i ja.

– Wiesz co? – odezwała się, kiedy odstawiliśmy Bańkę. – Teraz mamy bliżej do mnie

niż do ciebie. Mogłabym cię zaprosić.

– Pewnie tak, ale dlaczego myślisz, że dam się skusić...

Nie dała mi dokończyć, ujęła moją twarz w dłonie i pocałowała. Nie spodziewałem się tego pocałunku, najbardziej namiętnego i słodkiego w całym moim życiu.

Odsunęła się i uśmiechnęła tym swoim półuśmiechem.

– Masz jeszcze jakieś pytania, Kawalerze Poszukiwaczu?

– Tylko jedno. Pożyczysz mi szczoteczkę do zębów? Chyba zostawiłem swoją w Afryce. Danny wybuchnęła śmiechem.

Tym razem nie musiałem wymykać się z łóżka, kiedy ona jeszcze spała. Nie chciałem się z niego ruszać, pragnąłem czuć jej ciepło do samego rana i patrzeć, jak jej skóra zmienia kolor w chwili, gdy przez szybę zaczęły się przesączać pierwsze promienie słońca.

Zazdrościłem temu światłu. Miało szczęście łagodnie dotykać jej ciała, przebywać tę słodką drogę, którą znałem dobrze, bo sam przebyłem ją kilkakrotnie tej nocy, i chociaż leżała przy mnie, po prawej stronie łóżka, wiedziałem, że będę za nią tęsknił, jeszcze zanim wyślizgnę się z pościeli i zacznę wkładać ubranie.

Odwrociłem głowę na jej poduszce (poduszka Danny, łóżko Danny, ciało Danny) i obrzuciłem niechętnym spojrzeniem części mojej garderoby rozrzucone po podłodze. Uczucie było podobne, jakbym patrzył na karocę, która zmienia się w dynię, nieuchronny znak, że fantastyczna przygoda właśnie dobiegła końca.

Na razie nie chciałem o tym myśleć, odwróciłem więc z powrotem głowę (leżcie tam sobie, głupie ciuchy) i zacząłem obserwować, jak Danny budzi się ze snu.

Może i moja twarz nie jest najpiękniejszą rzeczą, jaką można napotkać, otwierając oczy, ale Danny na jej widok się uśmiechnęła. Zdążyłem już zapomnieć, jakie to cudowne, kiedy ktoś uśmiecha się do ciebie jeszcze w łóżku. Taki początek dnia daje niesamowitą siłę.

– Cześć – powiedziała. – Tym razem zostałeś?

– Przeszkadza ci to?

– Wręcz przeciwnie. Podoba mi się. Ty też mi się podobasz, Tirso.

– Będiesz myśleć to samo, kiedy stąd wyjdziemy i wrócimy do Piwnicy? – Skrzywiła się tylko. – Nie wiem, jak mam interpretować tę odpowiedź.

– Przepraszam. To nie była odpowiedź. Ale kiedy wspomniałeś o Piwnicy, znów sobie wszystko przypomniałam. O problemach. Zmartwieniach... Tej nocy zdołałam się od nich uwolnić.

– W takim razie to ja przepraszam, że o tym napomknąłem.

Danny nachyliła się nade mną i pocałowała w usta.

– To nie twoja wina. Nawet najlepszy seks nie może wymazać rzeczywistości.

– Dzięki. Powiedziałbym raczej, że sprawdziliśmy się jako zespół.

Zaśmiała się. Lubiłem, jak się śmieje, ale nie umknęło mi, że nie odpowiedziała na moje pytanie.

– Nie chcę wychodzić z tego łóżka. Nigdy – westchnęła.

– To w nim zostaniemy. Co takiego nas czeka tam, na zewnątrz?

Danny uśmiechnęła się smutno.

– Ciebie stosowna awantura naszego pożał-się-Boże-szefa. Ja muszę znaleźć Yokaiego

i ustalić, co się stało Skrzydłowemu. – Spojrzała na mnie przepraszająco. – Wzywają nas obowiązki.

– Mam gdzieś Alzagę. Nie obchodzą mnie też Yokai ani Skrzydłowy.

– Wiem, że nie mówisz tego poważnie – powiedziała i westchnęła.

– No dobra – przyznałem. – Masz rację. Ale uważam też, że nie powinnaś czuć się odpowiedzialna za dochodzenie w sprawie zabójstwa Skrzydłowego. To nie należy do twoich obowiązków.

– A jeśli zabili go z powodu jakoś powiązanego z Korpusem?

– Nie wiemy, czy tak było.

– Dlatego muszę to ustalić. – Danny pogładziła czubkiem palca wskazującego bliźnię na moim czole. – Ty masz swoje poszukiwania, ja mam swoje.

– Rozumiem. A jeśli nigdy się nie dowiesz, kto zabił Skrzydłowego?

– Dowiem się – odparła natychmiast, bardzo pewna siebie. – Powinieneś już znać mnie na tyle, żeby wiedzieć, że dopnę swego.

Chyba miała rację, ale z pewnością przeceniała moją znajomość jej osoby. W gruncie rzeczy Danny pozostawała dla mnie pytaniem bez odpowiedzi, nierozwikłaną zagadką.

Nagle przypomniałem sobie pewną historię, którą opowiedziała mi przyjaciółka pod rozgwieżdżonym niebem Mali.

– Mogę cię o coś zapytać, Danny?

– Jasne.

– Czy kiedyś...? To znaczy... ty... – odchrząknąłem, bo naprawdę nie wiedziałem, jak to powiedzieć. – Lubisz eksperymentować? No wiesz, nowe doświadczenia, te sprawy.

Na jej ustach pojawił się uśmiech, który mógłby roztopić lód. Nigdy nie widziałem, żeby uśmiechała się w ten sposób.

– Może sam spróbuj się o tym przekonać?

Delikatnie usiadła na mnie i zaczęła całować, jej dłonie dotknęły mojej piersi i zaczęły sprawnie zsuwać się w dół.

„Miłość to chemia, Faro, niech nikt ci nie wmówi, że jest inaczej”.

Mądre słowa. Nie wiem, czemu przyszły mi do głowy właśnie w tej chwili.

PROPOZYCJA

W końcu musiałem wrócić do rzeczywistości, o której udało nam się z Danny zupełnie zapomnieć na dobrych kilka godzin.

Opuściłem jej dom i ruszyłem w kierunku mojego. Byłem bardzo zmęczony. Wszedłem po schodach na trzecie piętro, myśląc o czekających mnie wygodach, przede wszystkim o prysznicu, w którym dostępność ciepłej wody uzależniona jest tylko od tego, czy odkręcisz kran. Kiedy znalazłem się pod drzwiami mieszkania, stanąłem jak wryty. Z drugiej strony dobiegał hałas, ale nie jakieś tam zwykłe domowe odgłosy, miałem wrażenie, że w moim salonie rozgrywa się właśnie lądowanie w Normandii.

Włożyłem klucz do zamka, drzwi nie były zamknięte. Pchnąłem je i wszedłem. Pierwsze, co zobaczyłem, to żołnierza marines rozwalającego nazistów na ekranie mojego telewizora. Na mojej sofie siedział Yokai z konsolą playstation.

– Cześć – rzucił w moją stronę, nie odrywając wzroku od ekranu. – Już wróciłeś. Genialnie. Jak podróż?

Przez chwilę miałem ochotę wyjść, policzyć do dziesięciu i wrócić tu jeszcze raz z nadzieją, że zastanę moje mieszkanie w takim stanie, w jakim je zostawiłem, bez wszystkich tych torebek po chipsach i puszek po red bullach na podłodze, bez pudełek po pizzy i nastolatka uwalniającego świat od nazistowskiego reżimu.

– Co ty tutaj, do licha, robisz?

– Spokojnie, tylko chwila. Pozwól mi zapamiętać grę.

– Och, oczywiście, bardzo cię przepraszam. Nie będę cię poganiał.

Yokai zapamiętał grę i w końcu na mnie spojrzał.

– Jesteś wkurzony, rozumiem. Ale zanim zaczniesz zrzędzić, pozwól mi wytłumaczyć!

– Włamałeś mi się do domu!

– Tak, ale... Tak naprawdę...

– Masz na sobie moją piżamę.

– Nie miałem własnej.

– Masz się stąd wynosić. Natychmiast!

– Nie mogę! Ci goście mnie śledzą!

– Jacy znów goście? O czym, do diaska, mówisz?

– Właśnie staram się wytłumaczyć. Ludzie z Voynicha. Byli u mnie w domu, zniszczyli mi komputer, nie mają żadnych skrupułów. Są naprawdę niebezpieczni. Boję się, tak trudno to, kurwa, zrozumieć?

Westchnąłem. Trudno, nie miałem wyboru, musiałem pozwolić chłopakowi, żeby wszystko wyjaśnił. Potem miałem zamiar natychmiast wyrzucić go na ulicę.

– No dobra. Co się stało?

– To wszystko wina twojej przyjaciółki, Danny. To ona mnie w to wplątała. Żyłem sobie spokojnie, nikomu nie wadziłem. Ale kiedy zabili tego gliniarza, poprosiła mnie, żebym włamał się do archiwów Voynicha i znalazł coś na temat „Projektu Lilith”. Nie wiem, o co

w tym wszystkim chodzi, ale ktoś musiał się nieźle na mnie wkurwić. Przyszli do mojego domu, o mały włos mnie nie złapali, nie wiem, co by ze mną zrobili.

– Dlaczego nie poprosiłeś Danny o pomoc? Od jakiegoś czasu próbuje się z tobą skontaktować.

– Jasne, żeby ją też narazić na niebezpieczeństwo? Nie, to zdecydowanie zły pomysł.

Yokai zrelacjonował mi swoje posunięcia od chwili, gdy Voynich włamał mu się do domu. Przede wszystkim postanowił zniknąć na jakiś czas. Nie chciał rozmawiać z policją, żeby nie wsypać Korpusu, poza tym bał się, że ludzie z Voynicha go śledzą.

– Potrzebowałem kryjówki – tłumaczył – więc pomyślałem, kurwa, czemu nie skorzystać z twojego mieszkania. Tamci wiedzą, że jesteś w Afryce, do głowy im nie przyjdzie, żeby tu zajrzeć.

– Skąd znałeś adres?

– Włamałem się do twojej teczki w Korpusie, nie pamiętasz?

– Ale dlaczego właśnie mój dom? – zapytałem zirytowany. – Mogłeś iść do hotelu, gdziekolwiek, byle nie tutaj!

– Kurwa, nieżyły z ciebie skurczybyk. Staję na rżęsach, żeby wymazać twoje nazwisko z bazy Interpolu, a ty mnie tak traktujesz? Oczekiwałem od ciebie pomocy w zamian za wszystko, co dla was zrobiłem. Co ci przeszkadza, że ukryję się tu na parę dni? To wy mnie w to wplątaliście.

Wbiłem wzrok w Yokaiego. Intensywnie myślałem nad jakąś ripostą, ale musiałem przyznać, że miał rację. To my wpakowaliśmy go w tę całą kabałę. Gdyby naprawdę coś mu się stało, miałbym wyrzuty sumienia.

Postanowiłem się uspokoić, zebrać myśli, spojrzeć na wszystko z innej perspektywy. Usiadłem w fotelu i zapaliłem papierosa.

– Jak się tu dostałeś? – zapytałem.

– A, to akurat bułka z masłem. To stara kamienica, zamki są do dupy. Jest coś, co nazywa się bump key...

– Doskonale wiem, co to jest bump key – przerwałem. – Od jak dawna tu jesteś?

– Ze dwa dni. No dobra, może trzy. A nawet cztery... – Wyraz mojej twarzy zmieniał się powoli z obojętnego na wrogi. – Ale nie wyrządziłem żadnych szkód, przysięgam! Nawet zrobiłem zakupy i podlewałem kwiaty.

– Nie mam kwiatów.

– I zobacz, co zdobyłem! – Pokazał z zachwytem konsolę. – Z grami! I to jakimi! *Call of duty*, *Fifa*, ostatni *Assassin's Creed*. Będziemy mogli zagrać razem. Jak chcesz, dam ci ją w prezencie. Co ty na to?

Yokai spojrzał na mnie. W jego oczach dostrzegłem, że desperacko stara się zasłużyć na moją akceptację.

Nie miałem zielonego pojęcia, co z nim począć.

– Odkryłeś coś na temat Voynicha?

– Że istnieje coś, co nazywają „Projektem Lilith”, ale nie mam pojęcia, co to takiego, skurwysyny nieźle go zabezpieczyły. Sprawdziłem natomiast, że wiedzą o was wszystko. W miarę jak dobierałem się do ich katalogów, zachowywałem wszystko na swoim komputerze, ale mi go rozwalili. Ci ludzie są niebezpieczni. Bardzo niebezpieczni.

Chłopak nie zdołał ukryć, że naprawdę się boi. Wyrzucenie go na ulicę wydawało mi się zbyt okrutne, ale nie chciałem pozwolić mu zostać u siebie. Nie miałem zamiaru przyjmować współlokatora, a tym bardziej zostać niańką.

Moje myśli przerwał dźwięk telefonu. Ktoś dzwonił na stacjonarny. Podniósłszy słuchawkę, usłyszałem głos Urquija, naszego adwokata. Nadszedł czas spodziewanej kary. W sposób lapidarny i oschły poinformował mnie, że chce się ze mną natychmiast spotkać w Piwnicy.

– Kto to był?

– Muszę wyjść. – Pogroziłem Yokaiemu palcem, jak ojciec udzielający nagany. – Pogadamy, jak wrócę. Jeszcze nie wiem, co z tobą zrobię.

– OK. *No problemo.*

Schowałem klucze do kieszeni i narzuciłem płaszcz.

– Posprzątaj trochę ten bajzel – powiedziałem, kierując się do drzwi. – Brudno tu jak w chlewie. I wyskakuj z mojej piżamy!

– Ona też tak mówiła...

To ostatnie, co usłyszałem, zanim znalazłem się na schodach i zatrzasnąłem za sobą drzwi.

Przybyłem do Piwnicy przekonany, że Alzaga zmyje mi głowę za to, że wyruszyłem na poszukiwanie skarbów bez jego wiedzy. Nie miałem czasu, żeby wymyślić jakąś dobrą wymówkę, ale miałem nadzieję, że wymazanie z kartotek Interpolu złagodzi nieco jego gniew. Poza tym przygotowałem się na to, by znieść jego pretensje z godnością, ale potulnie.

W Piwnicy było pusto i ciemno. Ten widok zrobił na mnie przygnębiające wrażenie. Liczyłem na to, że teraz, gdy Interpol już nie deptał nam po piętach, Alzaga zechce wznowić działalność Korpusu.

Urquijo czekał na mnie w sali konferencyjnej. Był sam, nie było z nim naszego szefa. Zdziwiło mnie to.

– Ach, Faro, już jesteś – powitał mnie. Chociaż trudno było z jego twarzy wyczytać jakieś uczucia, minę miał bardzo poważną. – Usiądź, proszę.

Patrzył na mnie ponurym wzrokiem. Ogarnęły mnie złe przeczucia. Ostatni raz widziałem go z taką miną wtedy, gdy przybył do Piwnicy, żeby poinformować nas o śmierci Narvaeza.

Na stole leżała teczka z moim nazwiskiem.

– Co się stało? Przez telefon mówiłeś, że sprawa jest pilna – rzuciłem z miną niewiniątka.

Adwokat się skrzywił.

– Faro, muszę zadać ci pytanie i radzę, żebyś odpowiedział na nie szczerze. Czy samowolnie wyjechałeś do Afryki z dwojgiem innych agentów Korpusu?

– Chyba znasz odpowiedź na to pytanie.

– Chcę usłyszeć twoją wersję.

– Nie mam zbyt wiele do powiedzenia – odparłem, pragnąc mieć to jak najszybciej za sobą. – Znaleźliśmy trop w Mardudzie z Sewilli i postanowiliśmy wyruszyć na

poszukiwanie tego przedmiotu. To wszystko. Korpus nie ma z tym nic wspólnego.

– Nie utrudniaj mi sprawy, Faro. Nie pojechałeś do Mali na wakacje, korzystając z niespodziewanego urlopu. Była to misja Korpusu, tylko że nikt nie wydał na nią zgody. A może się mylę?

– To tylko jeden z możliwych punktów widzenia.

– Obawiam się, że nie. Zabrałeś ze sobą Baterię z Karbali?

– Tak... Chyba tak.

– Nie miałeś prawa zabierać dzieła sztuki znajdującego się w depozycie bez stosownego pozwolenia. Poza tym wykorzystałeś Alfę i Omegę, nie mówiąc im, że wasza misja odbywa się za plecami dyrektora.

– Mówisz tak, jakbyśmy ich zmusili. Ja pamiętam zupełnie co innego, pomogli nam z wielką chęcią.

– W każdym razie nie powinieneś był tego robić. Nie powinieneś nawet się z nimi kontaktować. Nie tylko zignorowałeś polecenie Alzagi o zawieszeniu działalności Korpusu, ale w dodatku naraziłeś się na niepotrzebne ryzyko. Wiedziałeś, że szuka cię Interpol.

– Jeśli o to chodzi, spieszę donieść, że problem został rozwiązany. Już wszystko w porządku.

Przygnębiony Urquijo pokręcił głową.

– Nie, Faro, obawiam się, że nic nie jest w porządku. Przynajmniej dla ciebie.

Ton jego głosu wydał mi się bardzo niepokojący.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Uwierz mi, że jest to dla mnie niezmiernie bolesne. Nawet nie wyobrażasz sobie jak bardzo. – Adwokat zmierzył mnie smutnym, poważnym spojrzeniem. Przypominał klauna, który zaraz się rozplacze. – Oddaj mi swoją błękitną przepustkę.

– Co?

– To, co słyszysz. Połóż ją na stole, a potem podpisz ten dokument.

Zimny pot zaczął mi spływać po plecach.

– Jaki dokument? Co to, u licha, jest?

– Wypowiedzenie. Bardzo mi przykro, Faro. – Urquijo zawiesił głos, a potem westchnął. – Zostałeś dyscyplinarnie zwolniony ze stanowiska agenta Narodowego Korpusu Poszukiwaczy.

Poczułem się, jakby ktoś uderzył mnie pięścią prosto w żołądek.

– Niemożliwe! – mamrotałem. – Zwolniony? To musi być jakiś błąd!

– Chciałbym, żeby tak było, ale niestety to nie pomyłka. Alzaga uważa samowolną wyprawę do Afryki za poważne przewinienie. W konsekwencji stracił do ciebie zaufanie. W tych okolicznościach nie możesz dłużej z nami zostać.

– A gdzie jest Alzaga? Chcę, żeby powiedział mi to w twarz!

– Niestety to część moich obowiązków. On nie musi być przy tym obecny osobiście.

Uznałem, że mój szef jest skończonym tchórzem: podpisał na mnie wyrok i wysłał płatnego mordercę, żeby go wykonał. Z drugiej strony może to i lepiej, gdyby tu był, atmosfera mogłaby się zrobić naprawdę gorąca, co w niczym nie poprawiłoby mojej sytuacji.

– To absurd! Kara zupełnie nieadekwatna do przewinienia! Sam o tym wiesz, prawda?

– Moje zdanie nie ma tu żadnego znaczenia, wykonuję tylko polecenia przełożonych. Nie powinienem kwestionować decyzji samego dyrektora Korpusu... Ale jeśli to cię pocieszy, przyznaję, że się z nią nie zgadzam.

– A pozostali? Też ich wyleje?

– Dostaną nagany.

– To znaczy, że wyrzucił tylko mnie – warknąłem wściekły. – Nie do wiary! Nie możesz się na to zgodzić!

– Moja zgoda lub jej brak w żaden sposób nie wpłyną na decyzje Alzagi. Jak ci już mówiłem, rola prawnika ogranicza się do przekazania ci tej informacji. – Urquijo spojrział na mnie bezradnie. – Zrozum mnie, Faro, zrozum moje położenie. Dałbym wiele, żeby nie musieć odbywać z tobą tej rozmowy. Ale to moja praca, proszę cię, żebyś nie utrudniał mi sprawy.

– Ale musi być jakieś wyjście, coś, co mógłbym zrobić – powiedziałem. Poczulem, że ogarnia mnie lęk o przyszłość. – Pozwól mi porozmawiać z Alzagą. Spróbuję go przekonać, że...

– To niemożliwe. Jego polecenia w tej sprawie nie pozostawiają cienia wątpliwości. Naprawdę się przeraziłem. Sprawa była poważna.

– Proszę... Nie możecie mnie tak po prostu wyrzucić. To wszystko, co mam. Ja... – Zabrakło mi słów. – Jestem Poszukiwaczem.

Urquijo popatrzył na mnie z żalem.

– Nie, Tirso – odrzekł. – Obawiam się, że już nim nie jesteś.

Tych kilka słów wywarło piorunujący efekt. Natychmiast zdałem sobie sprawę, że mój los jest przesadzony i nie zdołam zrobić nic, by go odmienić.

– To niesprawiedliwe! – krzyknąłem zdenerwowany. – Wiesz o tym dobrze!

Adwokat miał przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby odwrócić wzrok.

– Ja tylko wykonuję polecenia. Wyrażanie własnego zdania nie należy do moich obowiązków.

Jego oportunistyczny doprowadzał mnie do szaleństwa.

– Twoich obowiązków? Pozwól, że powiem ci jedno, szacowny panie mecenasie, być może już niedługo będziesz się cieszył swoją posadką. I ty, i wszyscy pozostali w tej Piwnicy. Alzaga doprowadzi Korpus do ruiny.

– Jest skutecznym szefem – mruknął Urquijo.

– Ale nie jest Poszukiwaczem! Narváez nim był! Nikt, kto nie był Poszukiwaczem, nie powinien mieć prawa zastąpić Staruszka. Nikt!

– Mylisz się, Tirso. Alzaga był kiedyś jednym z was. Dlatego właśnie go wybrano.

Nie słuchałem go. Chciałem wyjść stamtąd jak najszybciej. Podniosłem się gwałtownie z krzesła i warknąłem do adwokata:

– Nie bluźnij. Nigdy nie był jednym z nas, nie ma nawet pseudonimu.

Odwróciłem się i odszedłem. Usłyszałem, że Urquijo mamrocze coś w odpowiedzi, ale nie chciałem go słuchać. Dla mnie ta rozmowa już się skończyła.

Przypomniałem sobie słowa adwokata po bardzo długim czasie. Niestety wówczas było już za późno.

„Ależ owszem, miał pseudonim” – powiedział Urquijo.

„Nazywał się Kusznik”.

Opuszczałem Piwnicę na zawsze, czując się jak najmarniejsza i najbardziej nieszczęśliwa ze wszystkich istot na ziemi. W kieszeni miałem dokument poświadczający śmierć Fara, Kawalera Poszukiwacza. Znów stałem się po prostu Tirsem.

Byłem naprawdę w podłym nastroju. Przed sobą widziałem tylko szarą pustkę. Nie potrafiłem nawet wyobrazić sobie dokładnie, co oznacza dla mnie ta utrata tożsamości. Alzaga ukradł mi przyszłość, ukradł mi duszę. Życie. I to w dodatku w sposób najbardziej ze wszystkich poniżający: wyrzucił mnie za niesubordynację. Odprawił z wilczym biletem.

Wracałem do domu jak lunatyk. Nie miałem ochoty na nic, dla mnie czas mógł się już w tej chwili zatrzymać. Nie chciałem życia, w którym nie mogę być Poszukiwaczem.

Nie wiedziałem, czy moi koledzy – byli koledzy, poprawiłem się w myślach – wiedzieli o tym, że mnie wyrzucono. Najprawdopodobniej nie. Czuję, że powinienem powiadomić ich osobiście, ale odwlekąłem ten moment, jak tylko się dało. Miałem wrażenie, że mówiąc im o tym, przyznam, że nie ma już odwrotu.

Bo nie było odwrotu, chociaż uparcie nie chciałem przyjąć tego do wiadomości.

Wszedłem do domu. Kiedy zobaczyłem wiadomość przypiętą magnesem do lodówki: „Wyszedłem po coś do jedzenia”, przypomniałem sobie o Yokaim. Wspaniale! Jakbym nie miał dość kłopotów na głowie, musiałem jeszcze rozwiązać kwestię małego współlokatora. Zapragnąłem w tej chwili zapaść w śpiączkę i spędzić resztę życia jako warzywo, przykuty do szpitalnego łóżka.

Niestety tak się nie stało. Z braku bardziej wymagających aktywności zacząłem więc zbierać w salonie opakowania po różnych produktach żywnościowych, które Yokai porzucił po całym pomieszczeniu. Sprzątanie zawsze było dla mnie znakomitą sposobem na oddalenie ponurych myśli.

Po chwili rozległ się dzwonek do drzwi. Domyśliłem się, że mój gość wraca z zakupów z napojami energetycznymi, paczkami chipsów i inną równie zdrową żywnością. Już miałem zignorować dzwonek i udawać, że nikogo nie ma w domu, kiedy przypomniałem sobie, że ta przyszczata ofiara hormonalnej burzy ma swój własny klucz.

Westchnąłem i otworzyłem drzwi. Nie ujrzałem jednak Yokaiego.

W progu stała Julianne Lacombe.

Dzisiejszy dzień obfitował w niemiłe niespodzianki w stopniu, który wydawał się zasadniczo odbiegać od przeciętnego.

– Nie wierzę własnym oczom – powiedziałem. – To musi być jakiś żart. Co pani tu robi?

– Cieszę się, że znów pana widzę, panie Alfaro. Czy mogę wejść?

Właściwie czemu nie? Tak naprawdę wizyta agentki nie mogła popsuć mi humoru jeszcze bardziej. Odsunąłem się, żeby ją wpuścić. Weszła do środka i rozejrzała się uważnie po mieszkaniu.

– Urządzał pan imprezę? – zapytała.

– Nie, po prostu mam gości – odparłem. – Czego pani, do cholery, chce, agentko? Umówiliśmy się przecież, że zostawi mnie pani w spokoju.

– Przepraszam, sądziłam, że mnie pan oczekuje. Dzwoniłam do pana wczoraj. Domyśliłam się, że wrócił już pan z Mali, i chciałam się z panem zobaczyć. Jakiś chłopak obiecał, że panu powtórzy. Nie pamiętam, jak się nazywał...

Yokai. Przeklęty smarkacz. Miałem zamiar nieźle go ochrzanić, kiedy wróci.

– Obawiam się, że zapomniał mi przekazać wiadomość.

– Tak naprawdę jestem tu tylko przejazdem. Wybieram się na kongres w Meksyku i skorzystałam z okazji, by zatrzymać się na moment w Madrycie.

– Widzę, że nie zrobiła sobie pani ani chwili wolnego po przygodach w Mali.

– Wakacje są dla tych, którzy nie lubią swojej pracy. To nie mój przypadek.

– Godna podziwu postawa! – powiedziałem, nie kryjąc sarkazmu. – A czego chce pani ode mnie?

– Pamięta pan te złote przedmioty... Pewnie chciałby pan wiedzieć, że przekazałam je natychmiast władzom Mali, które przyjęły je z ogromną wdzięcznością. Oczywiście nie chciałam sobie przypisywać cudzych zasług, wspomniałam więc pańskie nazwisko. Rząd malijski jest pod wielkim wrażeniem pańskiego odkrycia, panie Alfaro. Nie wiedzą jeszcze, jak wyrazić swoją wdzięczność za odnalezienie tak cennego skarbu. Niewykluczone, że przyznają panu narodowe odznaczenie piątej klasy.

– Wspaniale – mruknąłem bez cienia entuzjazmu. – A ile jest klas?

– Pięć.

– Cudownie.

– No, możliwe też, że w końcu go pan nie otrzyma, ale to i tak wielki zaszczyt, że rozważa się taką ewentualność. Odznaczenie to przyznaje się za „niezwykłe zasługi i lojalność w służbie wojskowej lub cywilnej na rzecz narodu”. Powinien pan być dumny, że postąpił słusznie z tymi dziełami sztuki.

– Wprost tryskam radością, nie widać? – Zgasilem papierosa i wrzuciłem do pustej puszki. – Dziękuję za wieści. Nie będę pani dłużej zatrzymywał, na pewno ma pani mnóstwo roboty.

– Tak naprawdę, panie Alfaro, jest jeszcze coś, o czym chciałabym z panem porozmawiać.

Westchnąłem, zmęczony.

– Proszę się nie krępować. Mam sporo czasu.

– No więc... Dużo o panu myślałam. Muszę przyznać, że czuję się... co najmniej zaintrygowana umiejętnościami, którymi się pan wykazał, odkąd się poznaliśmy. Ma pan talent, intuicję, potrafi się pan zachować w sytuacjach ekstremalnych. Mogę zapytać, w jaki sposób zarabia pan na życie?

– Sądziłem, że kolega już pani o tym opowiedział.

– Ach tak, ta historyjka o poszukiwaczach skarbów. – Lacombe się uśmiechnęła. – Panie Alfaro, chyba zna mnie pan już na tyle dobrze, żeby się domyślić, że nie uwierzę w takie bajeczki. Niech pan powie prawdę, gdzie pan pracuje? Pytam ze zwykłej ciekawości. Jakież służby wywiadowcze? Może CNI?

– Jeśli mam być szczerzy, agentko Lacombe, w tej chwili jestem bezrobotny.

– Naprawdę? To bardzo ciekawe.

– Nie bardzo. Dla mnie osobiście to raczej przygnębiające.

– Och, proszę nie zrozumieć mnie źle. Jestem po prostu pewna, że ktoś z pańskimi zdolnościami nie powinien mieć wielkiego kłopotu ze znalezieniem odpowiedniego zajęcia.

Tak, sądziłem, że je znalazłem. Niestety przed chwilą otrzymałem wypowiedzenie.

– Dziękuję. Mam nadzieję, że w przyszłości dostanę jakąś ciekawą propozycję.

Lacombe nachyliła się ku mnie. W jej oczach dostrzegłem błysk przebiegłości.

– W przyszłości? Nie ma na co czekać, panie Alfaro. Muszę zadać panu pytanie: co sądzi pan o pracy dla Interpolu?

Spojrzałem na Lacombe kompletnie zaskoczony. Nie byłem pewien, czy dobrze zrozumiałem pytanie.

– Słucham?

– Agencja potrzebuje takich ludzi jak pan. I na pewno wszyscy wyszliby na tym dobrze, gdyby oddał pan swoje zapierające dech w piersiach umiejętności służbie prawu, a nie odwrotnie. Mamy u nas rozbudowany wydział do spraw walki z przestępstwami przeciw dziedzictwu artystycznemu, w którym osobiście pracuję. Myślę, że bardzo by pan tam pasował. Proszę sobie tylko wyobrazić: podróże po całym świecie śladami skradzionych dzieł sztuki, odbieranie ich kryminalistom i nielegalnym handlarzom... Może zdołałby pan zlokalizować dla nas dzieła zagubione od dziesięcioleci? Nie kusi pana taka propozycja? Zapewniam, że to najbardziej fascynująca praca na świecie.

Słuchałem tych słów, nie do końca rozumiejąc ich sens. Ale wszystko to wydawało mi się do złudzenia podobne do pracy Poszukiwacza.

Lacombe ciągnęła:

– Nie musi pan decydować od razu. Proszę się dobrze zastanowić. Jak już wspominałam, jadę teraz do Meksyku. Będę tam tydzień. Możemy się spotkać po moim powrocie i wtedy powie mi pan, co sądzi o mojej propozycji.

– Tydzień? Ale... ja... – wyjąkałem. Ten nagły zwrot akcji tak mnie zaskoczył, że nie potrafiłem wydusić z siebie składnej odpowiedzi.

– Tak, tydzień. Odezwę się do pana. Niech się pan czegoś więcej o nas dowie, poradzi rodziny, przyjaciół. – Lacombe skierowała się do drzwi. Na odchodnym uśmiechnęła się do mnie. – Mówiłam, że mam wobec pana dług. Sądzę, że to najlepszy sposób, by go spłacić. Wszyscy byśmy na tym zyskali. Proszę mi zaufać, panie Alfaro. Uważam, że Interpol to idealne miejsce dla kogoś z pańskimi zdolnościami.

Pożegnała się i wyszła, zostawiając mnie samego.

Jeszcze przez chwilę stałem jak słup przed drzwiami, niezdolny zebrać myśli. Moje życie zdawało się zmieniać w sposób tak gwałtowny, że nie mogłem nadążyć za rytmem wydarzeń.

Interpol... Ja, Tirso Alfaro, dawny Poszukiwacz, miałem zostać agentem Interpolu? To prawie jak zdrada, przejście do wrogiej frakcji.

Dużo czasu zajęło mi podjęcie tej decyzji, ale w końcu ją podjąłem. To dało początek nowej historii, jeśli chcecie, mogę wam ją opowiedzieć.

Posłuchajcie uważnie. Jest naprawdę niezła.

POSŁOWIE

Wiele faktów opisanych w tej książce jest prawdziwych, inne należą do świata fikcji. Uważam, że tłumaczenie, które są, nie ma większego sensu. Niech zadecydują o tym czytelnicy.

Każdemu pisarzowi, a zwłaszcza osobie, która dopiero pretenduje do tego zaszczytnego miana, byłoby trudno wymyślić od zera takie wątki, jak przygody Dżaudara Paszy czy rzeczywistość Mali. Większość opisanych tu wydarzeń związanych z Dżaudarem Paszą, samym krajem i jego najnowszą historią oraz interwencją sił międzynarodowych zgadza się z prawdą. Kiedy piszę te słowa, operacje takie, jak Barkhane czy EUTM, nadal trwają (w tej ostatniej biorą udział hiszpańscy żołnierze, wykonując godną podziwu i często niebezpieczną pracę). Na potrzeby fabuły zdecydowałem się dodać kilka rzeczy własnego pomysłu odnośnie do funkcjonowania rzeczonych misji, podobnie zmodyfikowałem parę szczegółów dotyczących procedur Interpolu, CNI i innych sił bezpieczeństwa wspomnianych w powieści.

Dziękuję mojej siostrze Almudenie, która pomogła mi rozwikłać wiele wątpliwości. To dzięki jej pomocy moja powieść zyskała na wiarygodności. W miejscach, gdy nie udaje mi się być wiarygodnym, cała wina spada tylko i wyłącznie na mnie. Chciałbym równie serdecznie podziękować doktor Marcie Betés za jej cierpliwe wyjaśnienia dotyczące zagadnień z zakresu medycyny, a przede wszystkim za pomysł, żeby Danny złamała sobie żebra.

Wszystkie sugestie Almudeny i Marty były ważne i trafne. Jeśli przekładając je na fikcję, popełniłem jakiś błąd, wina leży po mojej stronie.

Pragnę jeszcze raz podziękować całemu zespołowi z wydawnictwa Plaza & Janés i mojemu redaktorowi Albertowi Marcosowi. To dzięki nim historia Narodowego Korpusu Poszukiwaczy nabrała kolorów, ich staranność i uważność dorównują tym, jakie cechują wzorowego Kawalera Poszukiwacza. Gratuluję znakomitej pracy redakcyjnej, z której jestem naprawdę dumny.

I na koniec chciałbym podziękować Wam wszystkim, którzy dotarliście do tego etapu przygód Fara. Mam nadzieję, że dobrze się przy tym bawiliście.

L.M.M.